

Cetnarowski Ćwiek Dębski Janusz  
Kosik Małecki Orbitowski  
Paliński Skalska Szmidt Wegner

# Herosi



powergraph

Cetnarowski Ćwiek Dębski Janusz  
Kosik Małecki Orbitowski  
Paliński Skalska Szmidt Wegner

# Herosi



powergraph

**Warszawa 2013**

# Łukasz Orbitowski

## KRET I KRÓL

*Pierwszy z mężczyzn był małego wzrostu, o żywych ruchach, ciemnej twarzy, niespokojnych oczach i ostrych, mocnych rysach. Wszystko było w nim wyraźnie zarysowane: małe, silne dłonie, smukłe ręce i cienki, kościsty nos. Za nim szło jego przeciwieństwo: ogromny mężczyzna o bezkształtnej twarzy, wielkich, bladych oczach i szerokich, opadających ramionach. Szedł ciężko, powłócząc nieco nogami jak niedźwiedź. Ręce jego nie kołysały się miarowo, lecz zwisały luźno.*

John Steinbeck *Myszy i ludzie*,  
tłum. Jan Meysztowicz

Zacząłem ślepnąć siedem lat temu i długo nie pojmowałem, co tak naprawdę się dzieje. Najpierw musiałem mrużyć oczy, żeby zobaczyć, kto zbliża się do mojego domu i bardzo szybko przestałem odróżniać przyjaciół od wrogów. Jedni i drudzy byli tylko zamazanymi sylwetkami, które wyostrzały się, kiedy gość stawał w progu. Potem wydało mi się, że Słońce słabnie i wkrótce mrok nas podusi. Moja łąka stanie się czarna i martwa, bo ogniska i jasne nie zdołają utrzymać świata przy życiu. Poszedłem do świątyni i porozmawiałem z kapłanem. Zerknął w moje oczy. Powiedział, że Słońce słabnie, ale tylko dla mnie.

Prerażony, wróciłem do domu i zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Rozważałem samobójstwo i jak sądzę, nie byłem daleko od tego kroku. Nie obawiałem się samej ślepoty. Widziałem w życiu dosyć – świat jest paskudnym miejscem, spowszedniała mi łąka, a kota najlepiej głaskać z zamkniętymi oczyma. Wiem, jak wygląda śmierć w mroku i zrobiłbym wszystko, żeby jej uniknąć. Nieustanne przebywanie w świetle, samemu będąc ociemniałym, wydawało mi się niemożliwe.

Na szczęście traciłem wzrok bardzo powoli. Przygotowałem wszystko, pozwalając sobie na ruch godny księcia. Wydzieliłem z domu pokój wraz z komórką, gdzie poleciłem wstawić kubeł na nieczystości, a służbie kazałem obić pomieszczenie jasnym pierwszą próbą i zamykać mnie w nim przed nadejściem nocy. Za sam sufit mógłbym kupić dwadzieścia koni. Do tego wokół domu płoną ogniska. Wiem, bo czuję ich ciepło. Nigdy nie zamykam okien, żeby mogły wchodzić koty.

Służący siedzą przy ogniu w innym skrzydle i co rano otwierają moje drzwi, mówiąc, że nastał nowy dzień. Nim wyjdę, wysuwam rękę za okno i sprawdzam, czy Słońce już grzeje. Nie ufam im. Prędzej czy później ktoś mnie oszuka, na przykład zedrze jasne ze ściany lub zwyczajnie wepchnie mnie w mrok. Zasłużyłem na to i w jakimś sensie wydaje mi się to nieuniknione. Wiem, że mnie okradają i odejdą, kiedy odkryją, gdzie trzymam resztę złota. Lata wojny nauczyły mnie o ludziach tego i owego.

Na co dzień nie jestem wymagający – chcę, by karmiono koty, co spotyka się z reakcją pełną niezrozumienia. Ludzie nie umieją pojąć, czemu otaczam się tak dziwnymi zwierzętami. Płacę jednak dość dobrze, by każdy mógł żyć z tak drobną przykrością. Domagam się regularnych posiłków, wina i wody, zawsze też muszę mieć kogoś pod ręką, choć dom znam na

wylot i mogę poruszać się po nim bez żadnych kłopotów. W mroku okrywającym moje oczy jest coś naprawdę przerażającego.

Nie umiem pisać i dyktuję tę księgę, mając nadzieję, że służba pozwoli mi ją skończyć, nim mnie zabiją. Może dlatego idzie mi tak powoli. Pamiętam, jak z Królem po raz pierwszy porozmawialiśmy o kotach i jak pomyślałem sobie, że nikt nigdy nie spotkał starego najemnika.

Cóż, nie jest to prawdą.

\* \* \*

Nikt nie wiedział, jak naprawdę ma na imię i nazywano go po prostu Królem. Początkowo sądziłem, że to na cześć jego niezwykłej siły, co okazało się bardzo mylące. Pochodził z Południa i był wielki nawet jak na ludzi stamtąd, wyrosłych, zmężniałych w wyjątkowo mocnym Słońcu. Nim go zobaczyłem, zdołałem się nasłuchać, że to nie żaden człowiek, lecz olbrzym – tylko wyjątkowo bystry, lub syn kobiety zgwałconej przez olbrzyma. Takie rzeczy jednak się nie dzieją. Był po prostu bardzo dużym mężczyzną, jednym z największych, jakich widziałem.

Nauczyłem się nie myśleć za wiele, a już na pewno nie zastanawiać się, kto ma rację, a kto nie. Wędrowałem na wschód w poszukiwaniu zajęcia i natrafiłem na fortyfikacje kopalni, gdzie wydobywano blask do produkcji jasnych. Takie miejsca to niesamowita sprawa – schodzi się do głębokiej sztolni tak nisko, że pochodnie gasną i na ścianach wiszą jasne, aż dociera się do grubych żył blasku, które trzeba rozkuć i wyciągnąć na wózku. No, ale ja nie byłem górnikiem i zdziwiłem się, że przy kopalni kręci się tylu podobnych do mnie. Przyjęto mnie nieufnie i dowiedziałem się, że górnicy mają kłopoty z księciem o imieniu Sar, który nie zgadza się na ich ceny. W sumie nie wiadomo, czy to Sar chciał płacić mniej lub obmyślił sobie, że zajęcie kopalni siłą bardziej mu się opłaci, czy górnicy podbijali ceny. Jak mówiłem, nie ma co za dużo myśleć. Nająłem się.

Tam poznałem Króla.

Słyszałem o wielu, którzy wybierali się na Południe, by urosnąć, przebywając w pełnym Słońcu od rana do wieczora. Sam czasem miewałem na to ochotę, zwłaszcza że budową przypominałem człowieka z gór: niski, silny, o mocnych, drobnych kościach. Szybko zorientowałem się, że mój niewielki wzrost bywa przydatny, czy nawet bezcenny, a od wyprawy na Południe odwiódł mnie widok tych, którzy przebywali tam zbyt długo. Ciało rzeczywiście rośnie, mięśnie stają się mocniejsze, a potem człowiek deformuje się w okropny sposób: z pleców – niby resztki skrzydeł – wyrastają kości, dłonie i stopy zmieniają się w płetwy, palce wydłużają się i w końcu łamią, klatka piersiowa zaczyna przypominać skrzynkę, aż nieszczęśnik staje się właściwie niezdolny do ruchu. Potem taki pełza i prosi o chleb. Co gorsza, kości rosną również do wewnątrz i rozrywają serce, wątrobę, płuca. To wielkie cierpienie każe szukać wybawienia w mroku.

Mówiono, że Król spędził dzieciństwo na Południu – co jest niemożliwe, tam tylko się podróżuje – jednak w tej opowieści kryła się odrobina prawdy. Miał proporcjonalne, bardzo piękne ciało. Z wyjątkiem głowy. Na niej tylko twarz była w miarę normalna, wokół czoła zaś, mniej więcej na wysokości uszu biegły grube guzy o rozmiarach kciuka dorosłego mężczyzny. Mnie samemu skojarzyły się z koroną, rozumiem więc, czemu go tak nazywano.

Siedział przed namiotem i wgrzyzał się w mięso. Zdumiały mnie jego oczy – puste i

łagodne, w lot połapałem się, że do najbystrzejszych ma trochę daleko. Wszyscy wciąż na niego patrzyli, donosili wina i jedzenia, ale nikt nie mógł się za bardzo zbliżyć. Pilnował tego rosły mężczyzna z czarną brodą, który miał na imię Hal. Nie opuszczał Króla ani na krok, szedł po nim spać i zawsze był pierwszy na nogach.

Nasze obozowisko składało się z kilkunastu drewnianych domów dla górników oraz naszych namiotów. Szybko połapałem się, że kilkudziesięciu dobrze wyszkolonych mężczyzn da tutaj radę dużo większej armii. Z trzech stron otaczały nas skały zbyt strome, żeby się na nie wspiąć, zresztą, górnicy mówili, że z góry nie ma żadnej drogi, zwłaszcza takiej, którą zdołaliby pokonać zbrojni. Do kopalni szło się wąwozem, dość wąskim, by przeciwnik nie mógł wykorzystać przewagi liczebnej. Na mój rozum mogli wziąć nas głodem i do tej pory nie rozumiem, czemu Sar na to nie wpadł.

Przesiedzieliśmy tydzień właściwie beczynnie, najpierw mi się to podobało, a potem zaczęło złościć. Górnicy to mrukliwa nacja, nie do pogadania, więc zacząłem szukać towarzystwa. Padło na Hala, który okazał się bardzo rozmowny. Potem dowiedziałem się czemu – ciągle gadanie tylko z Królem bywało męczące, zwłaszcza gdy trzeba tłumaczyć każdą rzecz po trzy razy. Najpierw rozmawialiśmy tylko o nim, co chyba nudziło Hala. Musiał wiele razy opowiadać to samo różnym ludziom, a ja i tak pytałem: czy to prawda, że Król, kiedy miał pięć lat, urwał łeb niedźwiedziowi? Czy rzeczywiście walczył od maleńkości, a za pierwszą broń miał drzewo, które sam wyrwał z korzeniami? Jak to było przy oblężeniu Muru – rzeczywiście, brał kamienie przeznaczone dla katapult i ciskał nimi w nacierającego wroga? Czy to prawda, że poszedł w góry i sam jeden zabił pięćdziesięciu Skalnych w ich własnych jarach i to stąd Skalni boją się zapuszczać między ludzi? Prawda to, Hal, że to dzięki Królowi mamy spokój ze Skalnymi?

Tak pytałem, pytałem, on zgadzał się albo zaprzeczał. Wreszcie wziął mnie do ognia i powiedział coś takiego:

- Wędruję z Królem prawie dwa lata, dużo widziałem, a czego się nasłuchałem! O Wężach, co je podusił, Tronach, którym pogniótł stalowe łąby. Pięknie - splunął, w ogóle lubił pluć - znam trochę innego Króla. Znam Króla, któremu nie można podać ręki, żeby ci jej nie zmiażdżył, za to trzeba mu podetrzeć tyłek, bo inaczej rozsmaruje sobie gówno od karku po łądki. Znam Króla, którego muszę pilnować, kiedy się pieprzy i nawet uważać podczas walki, żeby nie zabił swoich - mówił coraz szybciej, oczy miał zimne i wściekłe - znam Króla, który dziesięć razy zapyta o to samo, a ty dziesięć razy odpowiesz, nim dotrze do jego zakutego łąba. Króla, co pierdzi tak, że w namiocie nie da się siedzieć albo ryczy jak baba z byle powodu, a ty musisz uważać, żeby cię nie rozdeptał. A jeśli ktoś twierdzi, że Król jest inny, znaczy, że łąze – tyle ci powiem.

Słuchałem go tak i pomyślałem sobie, że Hal jest strasznie słaby i zniewieściały jak na najemnika. Mógłbym go zabić bez większego kłopotu, choć jestem niski i niespecjalnie silny. Zrozumiałem, czemu Hal nim się zajmuje, wolałem to jednak usłyszeć od niego.

- No to czemu się z nim włóczysz? - zapytałem.

Hal wzruszył ramionami.

- Przecież to sierota i dureń, dnia by nie przeżył. Powiesz mu dla kawału: „Królu, idź no w mrok”, to polezie i będzie po nim. Albo polecą za kotem i skądś zleci, albo kogoś zadusi i go wsadzą, rzuci się na łuczników czy co tam jeszcze. - Bez przerwy pluć. Miałem ochotę powiedzieć mu, żeby tego nie robił. - To z nim trzymam, żeby nie napisał sobie biedy.

Zamilkł. Trudno szanować człowieka, który nie mówi prawdy, kiedy nie musi kłamać. Hal

właśnie taki był. Brał część zapłaty Króla i jestem pewny, że go do tego oszukiwał. Poza tym żaden był z niego najemnik i sam potrzebował ochrony Króla, tak jak Król potrzebował jego.

Nie przepadałem za Halem, jednak czasem powiedział coś ciekawego, no i lubiłem słuchać o Królu. Mówił mi o trudach opieki nad nim, jak przygotować mu łóżko i co powiedzieć kobiecie, żeby był zadowolony, w jaki sposób ustawić go do walki i co robić, żeby nie wariował z nudów.

- Uwielbia, jak mu się opowiada historie, a ja nie jestem w tym zbyt dobry.

Tak słuchałem, usiłując wyrobić sobie zdanie na temat Hala i zrozumiałem, że nie pała do Króla jakąś szczególną niechęcią – po prostu nie przepadał za ludźmi i nie zdradzał żadnego przywiązania. Moim zdaniem lepiej sprawdziłby się jako kupiec albo jeden z tych ludzi, którzy dbają, żeby w dworach zawsze było jedzenie, ogień i jasne. Po jakimś czasie Hal wyczuł, że mam ochotę poznać Króla, i zaprosił mnie do namiotu, ostrzegając, żebym nie podawał mu ręki, a najlepiej nie siadał zbyt blisko. Wziąłem to sobie do serca. Król, właściwie nagi, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach, o ciemnej gładkiej skórze, z długimi włosami opadającymi na byczy kark skojarzył mi się z jednym z tych posągów pradawnych wojowników, które widzimy w wielkich miastach przy Wieży. Usiadłem naprzeciw niego. Jadł pieczone mięso, spojrzał na mnie i wybuchnął śmiechem.

- Jesteś mały! He! Nie za mały na wojownika?

- Pochodzę z Północy. Tam mamy mniej Słońca. A nim zostałem wojownikiem, byłem złodziejem.

- No, chyba że tak - zjadał się Król - no, chyba że tak. A co żeś kradł?

- A to, co było do ukradzenia.

Zarechotał i się zakrztusił.

- Dobrze, dobrze! - Zerwał się z trójkątnego stołka i zobaczyłem, jaki jest ogromny. Cień jego głowy przypominał gwiazdę. - Ja tu nie chcę! Ja tu siedzę! Ja bym poszedł! Rok tutaj!

- Trzeci tydzień - przypomniał Hal.

- Rok! Rok! Rok! - upierał się Król. - A gdzie pójdziemy potem? Hy? Hal, musisz mi to powiedzieć, dokąd dalej pójdziemy, bo w górach nie da się już siedzieć.

Hal sapnął, popatrzył na mnie trochę bezradnie, nalał sobie do kubka.

- Nie wiem, Królu. Pójdziemy, to zobaczymy.

W okamgnieniu Król znalazł się przy mnie, potężne łapy zacisnęły mi się na ramionach. Bolało. Poczułem, że gdyby szarpnął, mógłby wyrwać mi ręce. Hal zerwał się ze swojego kąta.

- Ty, złodzieju, gdzie można by pójść? - zapytał Król.

Nie zwolnił uścisku. Za jego plecami stał Hal i dawał mi bezradne znaki. Nie było sensu tłumaczyć, że od dawna nie jestem złodziejem. Przypomniałem sobie miejsca, które odwiedziłem.

- Byłeś kiedyś w Maral? To ogromne miasto na południowy wschód stąd.

Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

- Ja byłem. Nie wyobrażam sobie piękniejszego miejsca, a jak ma się pieniądze, to dopiero można pożyć. Maral to naprawdę dwa miasta, jedno nad drugim. To na dole nazywa się Ma, a na wyższe wołają Ral. - Opowiadanie szłoby lepiej, gdyby nie żelazny uścisk na ramionach. - Wygląda to tak, że Ma leży w kotlinie, a wyżej, na mostach i słupach wznosi się Ral. Mają tam przebogate złoża blasku, jasne robią najlepsi światłomistrze i jasne w Ma są barwy wody. Wszystko jest nimi pokryte, nawet dachy domów. Ral wygląda podobnie, tylko tam jasne są

złote. Mrok tam nigdy nie zapada. Jak siedzisz w Ma, widzisz nad sobą złote niebo, a jak wyjdiesz na górę, to znów widzisz miasto jak wielkie jezioro, w którym odbijają się gwiazdy.

- A Wieże są?

- Pewnie, że są, nie znajdziesz miasta bez Wieży. Tamtejsza wygląda inaczej niż gdzie indziej, wyrasta z Ma i ma szeroką podstawę, ugina się, podparta przez grubą kolumnę. Na niej - chrząknąłem, naprawdę bolało - wiją się złote jasne z Ral. I podczas gdy wszystkie inne Wieże zwężają się ku górze, ta rozkwita, rozumiesz, Królu, złote pasma rozbiegają się we wszystkich kierunkach jak rozczapierzona dłoń.

Król zwolnił uścisk. Wpatrywał się we mnie i wyglądał, jakby zaraz miał się popłakać. Cofnął się, Hal poprowadził go do stołka. Król był wyraźnie poruszony i chciał sprawić mi jakąś przyjemność – wskazywał na piekące się mięso i butelki wina. Nie bardzo mogłem odmówić, więc wypilem pół kubka i poszedłem, mając dość tego namiotu i tego człowieka.

Położyłem się u siebie i zasnąłem. W środku nocy obudził mnie człowiek od Hala i powiedział, że Hal prosi, błaga i zaklina, żebym przyszedł do jego namiotu. Nie miałem na to ochoty, ale tamten był stanowczy. Otuliłem się w jasne, wziąłem pochodnię. Mrok był cichy tej nocy, za to wrzaski Króla niosły się po obozie. Przez rozświetlone płótno widziałem wyraźnie miotającą się sylwetkę olbrzyma. Na zewnątrz wypadł Hal.

- Ja cię proszę. Idź tam, nic się nie bój i opowiedz mu jeszcze raz o tym mieście. Nie umiem go uspokoić, tylko tego chce. Maral i Maral, aleś mu, chłopie, w głowie zawrócił. Idź. Nie robi ci krzywdy.

Nie byłem taki pewien, no ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Teraz to już wiesz, czemu trzymam go z daleka od innych - rzekł Hal.

Na mój widok Król przestał wrzeszczeć i machać pięściami, zwiesił ramiona, jakby były martwe i usiadł w kącie, z opuszczoną głową. Wskazał mi stołek, wystarczająco odległy, żebym zdążył uciec, gdyby się na mnie rzucił. Gibał się w przód i w tył, nie śmiał na mnie podnieść oczu. Opowiedziałem mu wszystko, co pamiętałem z Maral, słuchał z otwartymi ustami. Gdy skończyłem, poprosił, bym powtórzył.

- Bo chcę dobrze zapamiętać - wyjaśnił - u mnie z tym to nie jest dobrze.

Opowiedziałem. Hal zasnął na ziemi, pomiędzy mną a Królem.

\* \* \*

Następnego dnia zobaczyłem Króla w walce.

Obudziłem się koło południa, w jego namiocie. Król spał, siedząc na poduszkach, co wyglądało bardzo dziwnie w pierwszej chwili. Zorientowałem się, że to guzy przeszkadzają mu w leżeniu. Ledwo doszedłem do siebie, kiedy do namiotu wpadł człowieczek z wrzaskiem, że idą ludzie księcia Sara. Pobiegłem zaraz zobaczyć – i rzeczywiście, nadciągali, w sile około stu, z długimi tarczami i w mocnych hełmach, co miało chyba zabezpieczać przed atakiem z góry. Zaraz pomyślałem sobie, że muszą to być najlepsi z jego armii albo Sar jest wyjątkowym durniem.

Król już wyszedł, w skórzanym napierśniku, na rękawicach miał nabite gwoździe. W lewej ręce trzymał miecz, w prawej długi sztylet o zakrzywionym ostrzu. Obok stał Hal z tarczą i coś mu klarował. Król prawie go nie słuchał, kiwał łbem od niechcenia i nie odrywał wzroku od nadciągającego wojska. Musiałem zająć swoją pozycję, więc straciłem ich z oczu.

Wypuściliśmy strzały, właściwie je marnując, ludzie Sara unieśli tarcze i tyle z tego wyniknęło. Szli równym tempem, rozwijając szereg tak szeroko, jak pozwalał wąwóz. Ruszyliśmy w dwóch flankach, tak jak było wcześniej mówione. Mam krótkie nogi i szybko zostałem z tyłu, a kiedy dobiegłem, linia wroga już była przełamana. Lubię walczyć i jestem w tym niezły, przeciwnik często mnie lekceważy, a umiem być szybki. Skakałem wokół większych od siebie, ciąłem, dźgałem, ostrze zawsze znalazło dziurę w pancerzu albo ominęło tarczę. Ci ludzie wcale nie byli tacy dobrzy, jak sądziłem, sam położyłem dwóch, a trzeciego raniłem w oko. Spychaliśmy ich w dół wąwozu.

Wówczas ruszył Król. Popędził po stoku i wpadł w sam środek, w miejsce, które było dla niego zostawione. W ogóle się nie osłaniał, jakby skórę miał z metalu, jednak osłaniać się nie musiał – nikt nie zdołał doń dość bliżej niż na odległość ciosu. Powalił dwóch jednym uderzeniem, ciął na lewo i prawo, nie patrząc na boki czy za siebie. Walił mieczem jak kijem, a jak sztylet utkwiał mu w kościach przeciwnika, zerwał rogaty hełm i prał nim po łbach. Wbrew swoim rozmiarom, był cholernie szybki, dużo szybszy ode mnie.

Ludzie Sara pojęli, co się święci, i odstąpili od Króla. Wokół niego na długość miecza nie było nikogo, tylko zwały trupów. Ryknął, zupełnie nie jak człowiek, bo i człowieka też nie przypominał – cały zakrwawiony, z guzami wokół czaszki. Nie mieliśmy na co czekać, uderzyliśmy z boków, spychając ludzi Sara wprost na Króla. Kto inny zaraz by zginął, Królowi jednak nie w głowie było umieranie, walił na wszystkie strony, nim kto doskoczył, padał, jakby piorun w niego trafił, a on przecież dopiero zaczynał – zmienił się w czerwoną smugę, dopadającą wroga, celną i bezlitosną. Rannym miażdżył grdyki lub kopniakiem przetrącał karki. We mnie wstąpiły nowe siły. Król odwalał robotę za dwudziestu no i – silny, szybki Bóg walki – był w jakiś sposób piękny. Dawał nadzieję.

Wypieraliśmy tych od Sara to na Króla, to w dół wąwozu, aż pobiegli bezładnie, porzucając tarcze i próbując zerwać zbroje, żeby uciekać szybciej. Król puścił się za nimi, nie zdradzając objawów zmęczenia. Ciął mieczem przez plecy lub przebijał uda, zostawiając krwawiących za sobą, przetrącał kręgosłupy, ciskał kamieniami, aż straciliśmy go z oczu. Hal był zupełnie spokojny. Wkrótce zobaczyliśmy Króla, jak wraca z mieczem zarzuconym na ramię.

- Zabił ich wszystkich? - zapytałem.

- Nie wiadomo - odparł Hal. - Mówię mu, niech zostawia paru, żeby opowiedzieli swoim, co się stało. W walce to on całkiem rozum traci i czasem rzuca się nawet na naszych.

Rozumiałem, co chciał mi powiedzieć. Niedobitki wrócą, Sar dowie się o walce. Wieści pójdą w świat, sława Króla wzrośnie i Hal będzie mógł wziąć więcej za następną robotę. Życie jest śmieszne i kto wie – myślałem – może następnej wiosny ruszymy z Halem i Królem na górników, opłaceni przez Sara.

Zerwaliśmy z trupów wszystko, co miało jakąś wartość, i zrzuciliśmy ciała w dół wąwozu, żeby wiatr nie nawiewał smrodu. Wszyscy cieszyliśmy się łatwym zwycięstwem, choć kilku, łącznie z Halem i mną, usiłowało ostudzić nastroje pozostałych. Być może Sar wysłał zwiad przed właściwym uderzeniem? Ci, których zabiliśmy, nie walczyli zbyt dobrze. Wystawiliśmy strażę i czekaliśmy w spokoju, co jest najnudniejszym zajęciem pod Słońcem. Ludzie pili i skakali sobie do gardeł.

Król w walce zrobił ogromne wrażenie i niektórzy chcieli ruszać w jego towarzystwie na podbój królestw. Wydawał się niezniszczalny i nawet ja nie wyobrażałem sobie siły, która zdoła mu się oprzeć. Właściwie podzielałem zdanie innych: po co włączyć się od bijatyki do



biłatyki, skoro można ruszyć kupą, na plecach Króla wywalczyć sobie to i owo. Zapytałem Hala, czy nigdy o tym nie myślał.

- Póki Król tłucze tępaków od takiego Sara, eskortuje karawany albo ściga zbójców, nikt go nie ruszy - powiedział - przecież go widziałeś. Jednak świat jest za wielki na tego olbrzyma. Nie poradzi sobie.

Zgodziłem się, lecz w duchu pytałem siebie, czy przypadkiem nie jest tak, że świat jest za duży, ale dla Hala.

Żadne niebezpieczeństwo nie nadciągało, za to w obozie działo się coraz gorzej. Z górnikami dogadać się nie szło, pewno dlatego że wcześniej każdy umawiał się osobno. Żądaliśmy, żeby wynagrodzenie zabitych podzielić przez nas wszystkich lub dać ich sługom, górnicy chcieli zatrzymać je dla siebie. Próbowali zaciągnąć nas do jakiejś roboty przy dźwigach i sztolniach, co miałoby sens, bo zyskalibyśmy zajęcie, nikt jednak się na to nie zgodził. Po dwóch tygodniach takiej szarpaniny mieliśmy dosyć siebie nawzajem.

Górnicy zdecydowali się zatrzymać dziesięciu najemników, resztę zaś rozpuścić. Zabiegali u Hala, by Król pozostał, Hal może i byłby zadowolony, za to Król nie chciał o tym słyszeć, groził nawet, że jak tak ma być, to on pójdzie i pozabija wszystkich w kopalni. Co tu dużo mówić, siedzieliśmy na wulkanie i trzeba było iść. Ustaliliśmy, że wyruszymy w grupie, na wypadek spotkania z ludźmi Sara albo gdybyśmy wpadli na Skalnych. Wybraliśmy świt.

Nikt nie miał jasnych planów, co będzie dalej, dokąd pójdzie i co zrobi. Planowałem iść z Halem i Królem przynajmniej do miast, a potem zastanowić się – pozostać z nimi, czy wędrować samemu. Hal, jakikolwiek był, miał w głowie to i owo, no i pomagałem mu przy Królu, czym wzbudziłem jego sympatię i nieufność. Zastanawiał się, czemu robię to, co robię, opowiadam mu o miejscach, które widziałem, albo myję to wielkie ciało. W gruncie rzeczy, nie było jednej odpowiedzi. Nudziłem się.

Ruszyliśmy w kilkudziesięciu, dość wolno, bo każdy był objuczony. Król z Halem jechali w środku kolumny, ja trzymałem się z tyłu, tak że widziałem te wielkie plecy i guzy z tyłu głowy. Nie chciało mi się z nikim gadać, może dlatego że opuszczałem to ponure miejsce i przywykłem do cieszenia się w samotności. Nie zarobiłem wiele, nic, co by się zaraz nie rozeszło. Jak masz pieniądze, najmilej wydawać je w głowie.

Otoczające nas skały o łagodnych garbach w porannym Słońcu wydawały się śnieżnobiałe. Wąwóz najpierw biegł ostro w dół i był w miarę wąski, by rozszerzyć się i prowadzić łagodnie w zieleń doliny, majaczącą pod nami. Jest coś głupiego i denerwującego w takiej wędrówce – leziesz, leziesz, wiesz, że nigdy nie wrócisz, tam gdzie byłeś, nie spotkasz tych ludzi, a jeśli wrócisz lub spotkasz, to znaczy, że w życiu ci się nie powiodło.

Zaatakowali nagle i z dwóch stron poleciały kamienie, strzały i bełty, nim ktokolwiek się połapał, kilku od nas już leżało. Ludzie się rozbiegli, dopadłem pierwszego głazu, zerknąłem – kilkadziesiąt drobnych postaci siedziało między skałami. Sar miał taki pomysł, podesłać nam mięso, uspić i nakłonić do wyjścia. Potem weźmie kopalnie jak swoje, no ale w tej chwili interesowało mnie co innego.

W zamieszaniu nie wiedziałem, co się dzieje, popędziłem więc naprzód, chcąc opuścić te kleszcze. Wystarczyło spojrzeć, jakie to było głupie – w miejscu, gdzie wąwóz się zwężał, walił grad strzał, ludzie padali. Często myślałem, że już jest po mnie i nauczyłem się tym nie przejmować: skulony, kryjąc się, za czym mogłem, biegłem po stoku ku strzelającym. Inni zrobili to samo.

Król mignął mi przez moment, miałem inne rzeczy do roboty, choć ta chwila wystarczyła,

bym dokładnie go zapamiętał. Sadził ogromne susy w przedziwny sposób – zgarbiony, z głową schowaną między ramionami. Strzały poszły w jego stronę, przywarł do ziemi, tylko jedna, krótka i czarna utkwiała głęboko w udzie. Równie dobrze mogliby weń żwirem ciskać, nie patrzyłem już, słyszałem tylko, jak dopada strzelców.

Może nie przewidzieli, że zdołamy do nich dotrzeć, albo taki był właśnie plan Sara, który widocznie nie troszczył się o ludzi. Walka dobiegła końca szybciej, nim ktokolwiek by przypuszczał, właściwie mnie samemu wydała się snem. Stałem, jakoś tak wybudzony, z zakrwawioną pałąką, do której przykleiły się czyjeś włosy. Popatrzyłem w dół. Jeśli celem Sara było przetrzebienie naszych – wygrał, jego ludzie ruszą wkrótce za ocalałymi i wybiją jednego po drugim. Główna kolumna zajmie kopalnie bez żadnego wysiłku. Górnicy nie zbiorą nowych sił.

O tym myślałem, schodząc ze stoku, a także o tym, kto zginął, a kto nie. Nie przywiązuję się do ludzi i patrząc na zmarłych, czułem ulgę, że tym razem śmierć mnie ominęła. Nie o każdym można tak powiedzieć: Hal leżał na wznak, z piersi wystawało mu piórko strzały. Król pędził w jego stronę i zaraz go objął. Nawet ze swojego miejsca widziałem, że Hala mamy z głowy, jednak Król nie przyjmował tego do wiadomości. Z delikatnością, o którą bym go nie podejrzewał, dotykał jego dłoni i wodził palcem po czole. Coś kazało mi do niego podejść, a ledwo to zrobiłem, zacząłem żałować. Wówczas nie wiedziałem, czego spodziewać się po Królu.

Stałem za nim. Trzymał trupa za głowę, próbował otwierać mu usta, udając, że Hal wciąż oddycha. Potrząsnął nim, wściekły, jakby wbrew swojej legendzie miał problemy ze zrozumieniem tego, na czym polega umieranie. Telepał ciałem coraz mocniej, jął wyć, gniesć mu kości i bić martwą głową o kamienie. Chyba chciał ukarać Hala za to, że ten go opuścił. Przynajmniej ja tak zrozumiałem.

Nikt nie śmiał się zbliżyć do Króla, ocaleli uciekali, byle dalej z wąwozu. Też powinienem tak zrobić. Byłem ciekaw różnych rzeczy, a widok olbrzyma wyjącego niczym dzieciak sprawił, że poczułem się dziwnie, zwłaszcza kiedy Król, potrzaskawszy ciało, przeraził się tym, co uczynił. Zabrał się do naprawiania, niezdarnymi dłońmi próbował złączyć połamane kości i wpychał w mózg kawałki czaszki.

- Wystarczy - powiedziałem mu.

Popatrzył na mnie zdumiony. Potrząsnął czerwoną głową. Trwał na czworakach i zerkał to na Hala, to na mnie. Nie wiedziałem, co powinienem zrobić, więc zrobiłem to, co należałoby, gdyby nic się nie wydarzyło. Zabrałem tobolek, broń i poszedłem. Powiedziałem tylko:

- Uważaj na siebie, Królu.

Ledwo ruszyłem, już wrzasnął. Oskoczyłem, żeby mi nie zrobił krzywdy – byłem pewny, że mnie atakuje, wściekły, bo Hal umarł, a ja nie. Był to tylko błysk gniewu, przepadł, odwróciłem się – Król pełznął do mnie na czworakach, zasmarkany i smutny. Przywarł do ziemi, objął mi nogę, całował stopę, aż znieruchomiał, z głową pod moim kolaniem. Guzy uwierały mnie w łydkę. Nie puścił.

Odtąd wędrowaliśmy we dwóch.

\* \* \*

Myślę dużo o głosach w mroku i tym, czy nie doprowadzą mnie do zguby. Słyszałem ich bardzo wiele. Kiedy byłem młody, najbardziej na świecie podziwiałem wojowników w typie

Króla, poznawałem o nich prawdę i przechodziło. Teraz podziwiam matki, więcej – myślę, że poza nimi nie ma nikogo do podziwiania, nie chodzi tylko o ból porodu, gotowość na śmierć, jeśli dziecko będzie trzeba z brzucha wyciąć, ani nie o ten siermiężny wysiłek, który wyciska urodę i każe mężczyźnie szukać sobie kogoś innego. Podziwiam kobiety, bo uczą o mroku.

Zgoda, najpierw dzieci trzymamy wśród jasnych, co samo w sobie jest dla mnie trudne do zniesienia: te wielkie sale, gdzie co wieczór zjeżdżają biedni, którzy nie mają na jasne. W takiej sali jasne akurat są, leży, dajmy na to, trzy tuziny matek, obok gdzieś tyle dzieci, a jak jedno wrzaśnie, już ryczą wszystkie. Ja bym tego nie wytrzymał.

Jeśli mężczyzna spróbuje nauczyć małego mroku, dzieciak przeżyje rok, dwa, to znaczy dopóki nie nauczy się chodzić. Więc co właściwie jest w tych matkach? One potrafią, nie wiem, siedzą, czy chodzą, mówią lub pokazują, ale dziecko dowiaduje się pomału, czym jest mrok, a czym Słońce i jak odróżnić prawdziwy głos od fałszywego. Widywałem matki stojące na skraju ognisk z dziećmi na rękach, wsłuchiwały się z nimi i uczyły rozpoznawania. Słowo po słowie i dźwięk po dźwięku. Żałuję czasem, że nie pamiętam, jak było ze mną.

Żałuję, bo chętnie nauczyłbym się od nowa. Zawsze to było proste: mrok niesie śmierć, a w świetle jest bezpiecznie, tylko że mrok mnie nie opuszcza i nie przestał szeptać. Tak naprawdę, to szepcze dwa razy – na zewnątrz i wewnątrz mnie. Myślę o drogach jego kłamstwa: dzieci mam czasem dźwiękiem zabawy albo mówi jak ojciec, który odszedł lub zginął, kobiety przyzywa głosami kochanków, mnie podsuwa głosy ludzi, których kiedyś znałem. Tak, słyszę także Króla.

I czasem nie wiem, czy kiedyś nie weźmie się na sposób, czy to, co w nim żyje, nie jest dość sprytnie, by podszyć się pod ludzi, z którymi mieszkam, pod świergot ptaków o świcie, czy nie przywoła czyjś cienia pod moje okno w środku nocy i nie skłoni, żebym wyszedł. Może udać wojnę, zmusić, bym wybiegł odziany w jasne, zgubił się i błądził – ślepy, między skałami.

\* \* \*

Szybko odkryłem, że Hal pomylił się co do Króla – mój towarzysz był znacznie bardziej przydatny, niż wydawało się na początku, wymagał tylko cierpliwości. Błyskawicznie odkryłem, że mogę wysłać go po drewno i tylko pilnować, by pozostał w zasięgu głosu. Nie głodowaliśmy, Król miał oko i kupę szczęścia, wystarczyło go na chwilę puścić w las i wracał z czymś na ząb. Musiałem tylko trzymać go blisko siebie. Zresztą, nie miałem nikogo, z kim mógłbym porozmawiać. Pytał kilka razy o to samo, do czego zdołałem szybko przywyknąć.

Byłem wściekły, bo chciałem jak najszybciej zniknąć sprzed oczu Sara. Ogromny wóz z rzeczami Króla bardzo nas spowalniał, uniemożliwiał wybranie drogi na przełaj. Powiedziałem mu, że lepiej go porzucić, mamy dość pieniędzy, żeby kupić nowy. Odmówił. No to poradziłem, żeby przynajmniej wywalić łóżko, znaczy, tę dziwną rzecz, którą łóżkiem nazywał. Wówczas całkiem się wściekł i chciał mnie pobić, musiałem stanąć przed nim, cierpliwie tłumacząc: to ja, to ja, to ja. O wyrzuceniu łóżka już nigdy nie rozmawialiśmy.

Nie będę opowiadał o wszystkim, co nam się przydarzyło, w końcu wędrowaliśmy przez cztery lata i działo się niejedno. W każdej historii, takiej nawet, jak historia Króla, liczy się głównie początek i koniec, tak jak ważne jest źródło rzeki i morze, do którego ona wpada. No więc szliśmy trochę, grzejąc się przy ogniu, aż dotarliśmy na ziemię, gdzie mało kto znał Sara,

a jeśli nawet znał, to się nim nie przejmował. Niektórzy ludzie rozpoznawali Króla i oferowali nam gościnę. Postępowałem wówczas jak Hal, prosząc, by się do niego nie zbliżali.

Miasto nazywało się Mar i dotarliśmy doń dziesiątego dnia drogi. W miastach zawsze jest robota, nawet w tak nędznych jak Mar. Po czym poznać, że miasto jest nędzne? Ano po domkach ściśniętych na brzegach szerokich ulic, takich, którymi zawsze można przegonić wojsko, jakby coś się działo. Pośrodku takiego bajzlu stoi sobie Wieża podobna do tych widywanych w nadmorskich skupiskach handlu, gdzie nawet gównu jest ze złota. Tylko trochę inna, matowej barwy i taka jakaś niezachęcająca. Jak zobaczyłem tę w Mar, to zaraz pomyślałem, że pierdnę i się zawali.

No i wał się takie Wieże. Ta runęła zaraz, kiedy dotarliśmy do Mar.

Jeśli człowiek trochę wędruje, to zyskuje jakie takie pojęcie, jak to jest z Wieżami. Każde miasto ma własną, a z tego, co słyszałem, żadne nie wybudowało swojej do końca i doskonale wiem, jak to za każdym razem wygląda: budują najpierw szybko, myślą, że Słońce – to można drapnąć jak byle pannę, potem mają dziesięć, trzydzieści pięter i wcale nie jest bliżej ani cieplej. Nawet gwiazdy nie można dotknąć, no i co powiedzieć ludziom? Ano, że budowa trwa, pracujemy ciągle i jeszcze trochę czasu nam zejdzie, nim znajdziemy się na Słońcu. Z czasem praca idzie wolnej, aż wreszcie spowalnia na tyle, że człowiek przez całe życie widzi Wieżę mniej więcej takiej samej wysokości. Chciałbym zrozumieć, czemu je się buduje, skoro nikomu jeszcze nie wyszło.

Wieże mają jeden sens – im jest wyższa i piękniejsza, tym ludzie żyjący obok wydają się przyjezdnym bogatsi i szczęśliwsi. Aż chce się tam osiedlać. Ktoś mądry będzie budował Wieżę powoli i dokładnie, miasto się rozrośnie, to i ona urośnie, pieniądz się na to znajdzie. Ktoś głupi wzniesie taką od razu, na słabym drewnie, kamieniu, łapami partaczy, chlapnie farbą i sam będzie królem farbowanym. Potem takie licho wali się wszystkim na głowy, co stało się właśnie w Mar.

Weszliśmy, Król chciał jeść i pić, no i ledwo żeśmy siedli – zaraz walnęło. Ludzie zerwali się na nogi, wybiegli, było dopiero południe. Nad miastem wirowała gęsta chmura kurzu, właśnie w miejscu, gdzie wcześniej stała Wieża. Wszyscy popędzili w tamtą stronę, ale nie trwało to długo – Wieża runęła na ulice i domy, zewsząd dochodziły krzyki rannych, ludzie gołymi rękami rozgrzebywali gruz w poszukiwaniu bliskich. Niektórzy przypominali upiory, cali w pyłe i krwi. Żołnierze nie wiedzieli, co ważniejsze – pomagać, czy się wycofać. Król wiedział i zabrał się do odwalania kamieni.

Zastanawiałem się, czy mu pomóc lub, jeszcze lepiej, pchać się między rumowiska i wydobywać rannych. Stałem trochę z boku i patrzyłem na zakurzone kłębowisko, na nadciągających gapiów, z których pomału formował się wściekły tłum. Król był niestrudzony i w ogóle się nie męczył, przetaczał kamienie, a jak kogoś odkrył, musiałem wrzeszczeć, żeby nie dotykał, i wołałem innych. W ten sposób znalazłem dla siebie zajęcie. Zapalano ogień, znoszono jasne, z myślą o nadciągającej nocy.

Nie narobiliśmy się. Przyszedł oficer, rozpoznał Króla i powiedział, że natychmiast jesteście potrzebni gdzie indziej, a zrobił to takim tonem, że nie szło odmówić. Próbował przemilczeć, o co chodzi, nie pozwoliłem i przyznał, że księżę Maru chce nas widzieć – i będzie płacił, a jak!

Poprowadzono nas do drewnianego pałacu na niewielkim wzniesieniu – widziany z daleka, przypominał mi szopę obitą przez jasne. Nigdy nie słyszałem o panu Kar, jednak widziałem wcześniej parę rzeczy i miałem pojęcie, jak może wyglądać człowiek władający Marem.

Mimo to mnie zaskoczył. Był ogromnym człowiekiem, tylko o głowę niższym od Króla, kwadratowy łeb cwaniaka zawsze trzymał ciut opuszczony. Cały czas próbował opanować drżenie ręki. To zderzenie brutalnej twarzy z kobiecą bojaźliwością dziwiło mnie.

Wkrótce wiedzieliśmy, co się święci. Kar w swoim małym rozumku pojął, że ludzie znajdują winnych katastrofy dużo szybciej, nim odgrzebią z gruzów swoich zmarłych, mało tego – z każdym odgrzebanym winny będzie bardziej oczywisty. Ruszą na pałac. Przerażony Kar ścigał, kogo mógł, obok nas było jeszcze pięćdziesięciu ze straży i kilkunastu nam podobnych. Wszyscy patrzyli na Króla z szacunkiem.

Poddaliśmy się rozkazom kapitana – który należał do tych, co więcej myślą, niż mówią – ale i bez jego pomysłu wiedzieliśmy, co robić. Tłum nadciąga falą, nie spróbuje oblężenia, lecz zaatakuj drzwi i okna. Zabiliśmy je deskami i podparliśmy. Zerkałem przez szpary w drewnie na ludzi gromadzących się pośród ruin miasta. Sam Kar krążył między nami, by co jakiś czas zniknąć w pomieszczeniach z tyłu.

- Wytrzymamy, aż Słońce zajdzie i będzie w porządku - powiedziałem Królowi. - Nie poprowadzą oblężenia pod mrokiem.

- No - zgodził się Król - nic z tego nie rozumiem.

- Czego nie rozumiesz?

- Czemu on nie pójdzie.

- Kto nie pójdzie?

- Kar - z namysłem skinął głową - przecież to zniszczone miasto, mógłby pójść i zbudować nowe. Na biednego - zerknął przez ramię - on mi nie wygląda.

- To nie jest takie proste, Królu - nie wiem czemu, nieustannie zwracałem się do niego w ten sposób - zakładanie miasta to poważna sprawa.

Wzruszył ramionami.

- Ja i tak bym poszedł.

Nie trzeba było czekać zbyt długo, żeby ludzie z Mar ruszyli na pałac. Szli wściekłą kolumną, a każdy trzymał, co tam miał: miecz, pałkę, dzidę albo coś zabranego z domu. Część owinęła się w jasne, z boku, kobiety i dzieci niosły drewno i pochodnie. Atak prowadzili oficerowie, którzy przeszli na ich stronę.

Pierwsze uderzenie zdołaliśmy odeprzeć bardzo dużym kosztem. Padła zewnętrzna brama, przeprowadziłem struchlałego Kara w głąb budynku, zabarykadowaliśmy się znowu, osłaniany przez żołnierzy i samego Króla. Z naszej strony zginęło dziesięciu, tamtych ze cztery razy tyle. Tłum nie wyglądał na mniejszy. Humoru nie poprawiał nam Kar, wrzeszczący i łkający na przemian, jak to nas wynagrodzi, jeśli ocalimy go z tej kabały. Nie wiedziałem, jak to zrobić, więc nic nie mówiłem.

Otoczyli pałac szczelnym półkolem. Słońce jeszcze stało wysoko. Wystarczyło zerknąć na zewnątrz, by stwierdzić, że nie jest wesoło. Zdarto już jasne z zewnętrznej części i rozpięto między ścianami – teraz już mogli stać tak aż do świtu. Zastanawiałem się, czy nie postawić Króla w wejściu lub po prostu wypuścić go na nich.

Kapitan miał inne zdanie. Zawołał do okna z tłumu takiego, który wyglądał na w miarę kumatego, i coś mu długo klarował. Potem przyszedł do mnie – jako opiekun Króla wyrosłem na kogoś w rodzaju przywódcy najemników – i przedstawił swój pomysł. Niewiele myśląc, zgodziłem się, kłopot był tylko z przekonaniem Króla, taka zmiana planów nie mieściła mu się bowiem w głowie. W końcu, usłyszawszy, że wyjaśnię mu wszystko potem – ustąpił.

Rozeszliśmy się po pałacu. Ostatecznie, książe Kar skrył się w komórcie dla służby, tak

małej, że ledwo się tam zmieścił. Król skrzył mu kark, truchło pociągnęliśmy pokojami i cisnęliśmy przed tłum. Zaraz wbili mu dzidy pod pachy i powlekli, obrzucając gnojem. Ledwo to się stało, Król odciągnął mnie na bok.

- Czemu tak? - chciał wiedzieć.

- Czasem trzeba i już.

- Obiecałeś.

- Nie dalibyśmy rady. Warto umierać dla kogoś takiego jak Kar? - Wzruszyłem ramionami. Chodziliśmy po pałacu, szukając nagrody. - On też ma lepiej. Widzisz no? Popatrz za okno.

Popatrzył. Ludzie wciąż ciskali w Kara gównem. Jak znam życie, przeciągną go przez całe miasto i porzucą ciało u jego wrót.

- No to sam widzisz - rozmowę trzeba było kończyć - tym chętniej zrobiliby mu to samo, gdyby żył.

\* \* \*

Wieczorem Król zażądał kobiety, więc ją przyprowadzono. Musiałem mu towarzyszyć, choć nie miałem na to ochoty. Odpowiadałem za jego bezpieczeństwo, a wiadano powszechnie, że Król jest bezbronny tylko wtedy, kiedy uprawia miłość. Ja jeden miałem prawo go przygotować.

Dziewczyna była tęga i przynajmniej raz rodziła. Nosila czarną perukę poprzetykaną złotymi pasemkami. Jak większość kobiet stamtąd, goliła głowę do gołej skóry, żeby wystawiać ją na Słońce, podobnie jak biodra, tyłek i piersi. Bardzo się bała, więc jej wyjaśniłem, że nic się jej nie stanie, dopóki Król nie opuści łóżka, czego przecież nie uczyni.

Musiała się rozebrać i obejrzałem ją dokładnie: uniosłem ciężkie piersi, rozchyliłem uda i pośladki, wsadziłem dwa palce głęboko w usta, ale nic nie znalazłem. Kazałem obciąć paznokcie, na co przystała niechętnie. Z namiotu dochodziły niecierpliwe nawoływania – mruknięcia, jęki. Brzęczały łańcuchy. Dziewczyna zapytała, czy to prawda, co mówią: Król miał mieć drugą koronę tam na dole. Roześmiałem się tylko, bo akurat w tym miejscu nie różnił się ode mnie i innych mężczyzn.

W namiocie płonęły pochodnie, po jednej w każdym rogu, ogień trzaskał też w kociołku pośrodku, a dodatkowe światło dawała jasna, najwyższej próby, rozpięta między masztami. Król leżał na łóżku, tak nazywaliśmy je, choć wcale łóżka nie przypominało. Składały się na nie deski grubości jego nadgarstków, spięte żelaznymi obręczami. Z każdego rogu odchodziła para łańcuchów, które łączyły kajdany na przegubach Króla z potężnymi palami wbitymi w podłogę. Król musiał trzymać ręce rozkrzyżowane, był nagi i mógłbym go zabić, gdybym tylko zechciał.

Wprowadziłem dziewczynę. Odzyskała odwagę i zbliżyła się do Króla. Sam usiadłem na stołku w takiej odległości, bym mógł zareagować, gdyby coś poszło inaczej niż zwykle. Miałem krótki miecz i zerkałem raz na niego, raz na łóżko. Pierwszy raz pilnowałem Króla, czułem się dziwnie i nie przypuszczałem, że w przyszłości tak szybko przywyknę.

Wcześniej poinstruowałem dziewczynę, czego od niej oczekujemy, i chyba była tym zdziwiona – w tych niebezpiecznych czasach mężczyźni lubili szybko i mocno. Ostrożnie zbliżyła się do Króla, przejechała palcem po jego nasmarowanym oliwą udzie i przesunęła dłoń na podbrzusze. Wyćwiczonym ruchem wpęzła na to ogromne ciało, cała zmieściła się na falującym torsie. Jak jej mówiłem, zaczęła głaskać Króla po policzkach i całować w powieki,

delikatnie dotykała szyi i wodziła palcami po naprężonych ramionach. Król wpatrywał się w nią z niemym zachwytem. Dziewczyna dotknęła szerokiego czoła, trąciła ucho, wiała się na mężczyźnie, aż wreszcie zamknęła dłoń na jego fiucie i ułożyła się w ten sposób, by Król mógł całować jej nos i policzki. Czynił to gwałtownie i trochę się bałem. Doszedł w paru ruchach.

Po wszystkim rozkułem go i dałem wina.

- Czemu ty nie chodzisz do kobiet? - zapytał.

- Przecież chodzę. Nie zawsze mam kiedy. Jak jestem w mieście, zawsze idę do kobiety.

- A nie chciałbyś mieć swojej kobiety? Hal ciągle o tym gadał.

- No dobra, ale Hal gryzie ziemię i coś mi śpiewa, że nawet gdyby żył, to by kobiety nie miał tak na co dzień. Najemnikowi nikt nie da córki księcia albo kupca, choćbyś nie wiem ile miał pieniędzy. Nawet tobie nie dadzą.

- No, ja nie chcę. Mi dobrze tak, jak jest.

Król kłamał, ale jeszcze o tym nie wiedziałem. Nie znosił łóżka miłości i chciał mieć kobietę bez niego.

- Żaden hodowca kobiet nie da ci takiej porządnej, jeśli dobrze nie zapłacisz. Teraz to każdy może mieć pieniądze - mówiłem dalej - więc jak ktoś hodował kobietę, dajmy na to, dziesięć lat – najpierw pójdzie i zobaczy, czy masz dom jak trzeba, czy stać cię na jasne dla niej i dla dzieci.

- E tam, na pewno nie każdy - mruknął - jakbym był takim od kobiet, to chciałbym sprzedać kobietę kapitanowi Króla.

- Tylko czy chciałbyś od takiego wziąć. Jak wyhodujesz dobrą kobietę, to o nią dbasz, a jak ktoś nie dba, to znaczy, że kobieta nie jest dobra i lepiej nie brać takiej.

\* \* \*

Dziś przyprowadzono mi kobietę. Obawiałem się trochę, jednak poszło mi dobrze. Bardzo dziwne wrażenie, to że dobrze szło i sama kobieta.

Mógłbym kupić sobie ich kilka i trzymać tutaj. W mojej sytuacji byłoby to kłopotliwe – im mniej ludzi, tym lepiej. Posyłam po nie kilka razy w miesiącu i zaraz przypomina mi się, jak przygotowywałem te dla Króla. Siedzę i czekam, słyszę moich ludzi, ich krzatanie, obcinanie paznokci, jej fochy i jęki, choć z reguły zjawiają się pokorne.

Położyłem się na wznak i rozkrzyżowałem dłonie, właśnie na wspomnienie Króla, za to nie wiem zupełnie, jak wygląda moje ciało, czasem dotykam mięśni ramion, sprawdzam, czy nie zanikły. Wszystko się pomieszało. Wpizam palce w uda, uciskam brzuch. Jak byłem młody, w ogóle nie wiedziałem, że mam ciało – teraz jest inaczej.

Ciemność była trochę inna niż zwykle, płaszczyzny przesuwają się nałożone jedna na drugą, trochę podobne do kurtyn w ulicznych teatrzykach, tyle że czarne. Przyszła mi do głowy dziwna myśl: jaką barwę ma mój oddech, może niektórzy widują takie rzeczy. Potem przyszła. Pachniała mocną wiosną. Weszła na łóżko, pozwoliła się dotykać bardzo powoli, robiła, jak kazałem wcześniej – idź po łóżku bardzo wolno i ocieraj się o mnie.

Nigdy nie zamawiam drugi raz tej samej kobiety. Tak było i tym razem. Poznawałem jej ręce, wodziłem palcem po palcach, sprawdzałem twardość brzucha, ciężar piersi, kształt ust i szyi, wszystko po to, by dziewczyna wyłoniła się dla mnie z mroku, ciągle w mroku pozostając.

\* \* \*

Bardzo łatwo mógłbym oszukać Króla, lecz nigdy tego nie zrobiłem. Liczył z trudem i o monetach wiedział tyle, że złote są ładniejsze niż srebrne, więc najchętniej widział wynagrodzenie w tym kruszcu. Zaraz na początku ustaliliśmy zasady podziału. Pierwszą ćwiartkę Król przeznaczał na to, czego w danej chwili potrzebował, druga szła na wspólne potrzeby: opatrunki, jedzenie, podkucie koni, jasne, noclegi, wyposażenie, naprawę uzbrojenia lub łapówkę, co zdarzało się nieczęsto. Trzecia ćwiartka przypadała mnie, a przeznaczenie czwartej długo było dla mnie tajemnicą. Król zażyczył sobie, żebym ją odkładał. Nie powiedział w jakim celu, a ja nie pytałem.

Pewnego wieczoru przyszedł do mnie, siedliśmy sobie, oświetleni ze wszystkich stron. Ciemność mruzczała naokoło, wwierała się między liście i świszczała daleko, na wzgórzach.

- Nie zawsze bym tak chciał - powiedział mi Król.

Odpowiedziałem, że nie rozumiem, i zaraz ugryzłem się w język, bo nie lubił takich odpowiedzi.

- Widziałem tego człowieka i przecież ja też taki będę - rzekł zdumiewająco łagodnie i wgrzył się w pieczeń, którą trzymał na ostrzu.

Z początku nie wiedziałem, kogo ma na myśli, i dopiero po chwili przypomniałem sobie, że w mieście spotkaliśmy żebraka. Był bardzo stary i miał resztki siwych włosów, posklejane wymiocinami. Uwiesił się nas i bałem się, że Król go zabije.

- Nigdy nie będziesz biedny - odpowiedziałem. - Zawsze znajdzie się robota dla takich jak my.

- Każdy się starzeje, to ja chyba też - rzekł Król. Uświadomiłem sobie, że nie wiem, ile właściwie ma lat. - No, a jak nawet nie ja, to ty na pewno. Chciałbym być dobry dla ciebie, bo ty jesteś dobry dla mnie. Nie byłbym dobry, gdybym cię opuścił i mógłbyś być jak tamten człowiek.

- No, ale do tego mamy dużo czasu.

Król zamilkł. Odłożył mięso i przez chwilę patrzył w gwiazdy, których tej nocy pojawiło się wyjątkowo dużo. Wielu mówiło, że gwiazdy to statki wysłane ze Słońca, aby nas zabrać do domu, każdy ma tysiąc masztów, na każdym maszcie płonie tysiąc żagli z najprzedniejszych jasnych, statki płyną przez kosmos i wypalają ciemność. Teraz wydaje mi się to nieprawdą – gwiazdy świecą już bardzo długo i z jednakową mocą, więc muszą być czymś innym.

- Ja tam nie wiem i trochę mi się poplątało - odezwał się Król - tyle mamy tych wojen. Nie wiem, jak je rozróżnić. Mamy monety?

- Już się kończą.

- Te, co odkładasz. O te pytam.

Przeliczyłem w myślach, trochę tego było. I tak odpowiedziałem, Król rozumiał, że czegoś może być trochę, dużo albo wcale.

- To powiedz mi, jak będzie na dom. Bardziej na Południu, żeby ciągle było Słońce. Nie tylko, żeby dom był, ale taki jak chcemy i żeby nie brakło nam jedzenia. Na łące i koło jeziora. I kupię ci kobietę - śmiał się. - Nie! Kupię ci dwie kobiety albo tyle, ile tylko będziesz chciał. Jesteś dla mnie dobry, dużo lepszy niż Hal.

Obrócił ku mnie głowę. W jego oczach nie było kłamstwa i teraz wydaje mi się, że już ten dom widział, wraz z kobietami i łąką. W ten sposób dowiedziałem się, na co kazał mi zbierać pieniądze. Nie miałem serca powiedzieć mu, że owszem, czasem widuje się starych żebraków, ksiąząt albo kupców, nigdy zaś najemników.



- Musimy trochę poczekać - odpowiedziałem. Coś jeszcze przyszło mi do głowy. - Powiedz mi, Królu, skoro ja będę miał swoje kobiety, to co ty będziesz robił? Umiesz tylko walczyć i nie znasz innego życia. Obawiam się, że nie będzie ci się tam podobało i gdzieś mnie będziesz ciągnął.

Jego reakcja mnie zaskoczyła. Poczzerwieniał, co widziałem nawet w świetle ognisk, nadał policzki i uderzał rękami o uda. Wypuszczał powietrze krótkimi prychnięciami, a gdy spróbowałem spojrzeć mu w oczy, spuścił głowę. Nie pozwolił.

- Ej, Królu. Ukrywasz coś przede mną.

Potrząsnął głową. Oczu nie podniósł.

- Przecież widzę - nalegałem.

Byłem naprawdę rozbawiony. Przypominał mi dziecko, skrywające sekret, którym chce i zarazem nie chce się podzielić. Naciskałem go, on trząsał się i burczał. Wreszcie nie wytrzymał.

- Będę hodował koty i ty mi w tym pomożesz. Kiedy nie będziesz się zajmował kobietami.

- W gruncie rzeczy to mądre - przyznałem. - Będę wtedy już stary, a starzy wolą chyba nawet koty od kobiet. Kłopot w tym, Królu, że kotów się nie hoduje. Nie znam nikogo, kto by tak robił i nie chcę, żebyś wyszedł na głupka.

Króla nic to nie obchodziło.

- No i co! No i co! - Zaciskał wargi, bliski płaczu.

Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że koty siedzą w nim tak głęboko. W takich chwilach odsuwałem się tak, by nie oberwać, jeśli Król by się zezłościł, a zarazem być blisko i go uspokoić.

- Przecież możesz hodować króliki albo konie. Jeszcze pożytek będzie z tego, część można będzie sprzedać i przeznaczyć na utrzymanie domu. Kupimy go sobie wcześniej - tłumaczyłem.

- Poza tym koty nie chcą być hodowane, żyją sobie jak wilki albo ptaki. Nie da się ich przerobić na mięso, skóry lub futra, a do tępienia myszy wystarczy zaledwie jeden.

Usta Króla przypominały świeżo zabliźnioną ranę – wąska, czerwona kreska. Potrząsał głową i popiskiwał. Zaczął łapczywie jeść, napchał sobie usta i niespodziewanie cisnął ostrze wraz z mięsem poza światła ognisk. Metal zadzwonił o skały.

- Ładne kwiatki. Ciekawe, czy rano go odzyskamy.

- Będą koty! Ty będziesz miał kobiety, a ja koty, wiele, bardzo wiele w każdym pokoju. Nie będę ich więził, po co więzić, jak mogę otworzyć okna i cieszyć się nimi. Koty na Słońcu - opowiadał - mnóstwo, mnóstwo kotów.

Popatrzył na mnie wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu. Rozmowa była skończona. W takich momentach bałem się Króla – potrafił w jednej chwili przejść z płaczu we wściekłość. Zastanawiałem się, czy zabił któregoś z moich poprzedników i o co właściwie chodzi mu z kotami. Przecież nikt nie lubi tych zwierząt. Powiadają, że tylko koty mogą wejść w ciemność i wrócić bez szwanku, wielu zarzekało się, że je widzieli, jak nikną w nocy i wracają rano, jakby nigdy nic.

Król podzielił się ze mną długo skrywanym sekretem i odtąd bez końca opowiadał o kotach.

\* \* \*

Świat jest mały i w końcu wróciliśmy do księcia Sara. Hal by się uśmieł, gdyby żył, a Król

w ogóle go nie pamiętał: ani walki w wąwozie, ani dawnego opiekuna, imię Sar nie mówiło mu nic. Z tym też było u niego kiepsko, usiłowałem przywołać jakąś przygodę, mówiłem: Królu, a jak zawędrowaliśmy tam lub tam, stało się to lub to, co o tym teraz myślisz. On patrzył na mnie zdumionym wzrokiem, jadł i dawał do zrozumienia, że chodzi o życie kogoś innego.

A przecież przeszliśmy trochę przez te cztery lata i zżyliśmy się ze sobą. Nieustannie w ruchu, od drogi do lasu, przez wioski i miasta, tam gdzie znajdowaliśmy zajęcie, którego nie brakowało. Kilka razy mogliśmy zostać na dłużej i tak by się stało, gdyby nie Król, który pakował nas w kłopoty. Zawsze wyglądało to podobnie, przyjmowaliśmy stałą robotę w wojsku lub straży, wówczas siadałem przy Królu i tłumaczyłem, aż sił brakowało: wreszcie możemy gdzieś zostać, chcą nas i się nie boją, płacą nawet, więc, Królu, nie rób nic głupiego. Kiwał na to głową. Siadałem przed nim i powtarzałem.

- Będę uważał - obiecywał, tak przejęty, że nie sposób było mu nie uwierzyć - a jakby tylko coś mi nie szło, to zaraz powiedz. Wystarczy, że podejdziesz i powiesz, „idź sobie stąd”, a ja pójdę. Schowam się w drzewach, tam będę siedział i myślał, aż pozwolisz mi wrócić.

- Nad czym będziesz myślał? - pytałem.

- Nad tym, czemu byłem niemądry. Nie chcę być niemądry. Gdybym był mądry, lepiej by nam się wiodło.

Z reguły wyglądało to podobnie – rzeczywiście, starał się bardzo, przynajmniej przez pierwsze tygodnie. A potem działo się coś, co zmuszało nas do kolejnej włóczęgi – raz doszliśmy do miasta schodzącego prosto w morze, ludzie byli tam ogromni, gdyż żyli w dwóch Słońcach, tym prawdziwym i odbitym w wodzie. Tam zawsze było co robić, wyruszaliśmy na ryby, broniliśmy brzegu przed korsarzami i dobrze było mi w tym miejscu. Król cały czas opowiadał o kotach i morskich bestiach, które chciałby zabić, ale morze było spokojnie, a jeśli czasem pod wodą przesunął się czarny kształt, był zbyt wielki nawet dla Króla. Siedział więc na plaży i się gapił, z tego gapienia coś przestawiło mu się w głowie, poszedł pić i pobił się z wojskowymi. Ponoć śmiali się z jego rogów, więc jednemu wbił w łeb nogę od stołka. Uszliśmy o świcie. Przepraszał i obiecywał, że już nigdy to się nie powtórzy.

Tak było zawsze, zdołałem przywyknąć. Bójka to jeszcze najmniejszy kłopot, ludzie piorą się przecież po karczmach i trudno winić Króla, że był zwyczajnie silniejszy. Robiliśmy w straży kupca, właściwie za straż wystarczał mu sam Król. Kupiec ów uwielbiał spacerować przez miasto w jego towarzystwie, lecz miał też drugą maskotkę: ogromnego tygrysa białej maści, trzymanego w wydzielonej części ogrodu. Lubił obcinać palce za nieposłuszeństwo i rzucać je na pożarcie zwierzęciu, powiadano też, że czasem za palcem kończyła w tygrysiej paszczy cała reszta. Zdaniem samego kupca, zwierz ten był czarowny, w jego cielsku dało się wyczytać imię najgorszego wroga i sama obecność zapewniała powodzenie w handlu. Cóż z tego, skoro Król założył się po butelce, wlaź do ogrodu i tygrysa zadusił.

Zapytany, co mu strzeliło do łba, odparł:

- Przecież na świecie znajdziesz masę takich zwierząt. Widziałem.

Przyszło mi do głowy coś, co zmusiłoby go do zastanowienia:

- Nie sądzisz, że tygrysy przypominają koty? Popatrz na kota, a zobaczysz, że jest podobny.

Król zmilczał moje słowa, a kiedy następnym razem kocur przypętał się po resztki – przegoniłbym go, gdybym mógł – długo mu się przyglądał.

- Nie - rzekł - nie jest podobny.

Nim trafiliśmy do Sara, zakotwiczyliśmy się przy innych sztolniach blasku, jednak nie

mieliśmy ich strzec. W mieście obok świątłomistrzowie robili jasne z blasku i potem pchali karawaną na Północ. No i mieliśmy strzec tych karawan. Jasnych musiało się trochę zebrać, żebyśmy wyruszyli, czyli spędzaliśmy całe tygodnie, nie robiąc nic, poza pobieraniem żołądu. No, mieliśmy też strzec miasta, lecz nikt nie próbował napadać. Karawana pod naszą obstawą była bezpieczna. Czasem leżałem sobie z rękami pod głową, świeciło Słońce i myślałem: zawsze, odkąd ludzie pamiętają, świeciło Słońce i był mrok, więc ludzie zawsze wydobywali blask, robili z niego jasne i potem sprzedawali. Z tego miasta idą karawany, odkąd ono istnieje, będą szły, nawet jak umrę i w sumie dobrze mi tutaj. Uzbieraliśmy trochę grosza, niedługo starczy na opłacenie świątłomistrza, by tkął dla nas jasne. Tylko te koty trzeba Królowi z głowy wybić. Kto widział koty u ludzi? A może karczma. Tak, karczma to dobra rzecz.

Królowi trzeba było wynajdować zajęcia, z czym był pewien problem, chętnie grał w kości, pływał, a pił jeszcze chętniej. Powoli stawał się mrukliwy i nieswój, coś wyraźnie go niepokoiło, nie pytał o nic i nie chciał, żebym mu coś opowiadał. Potem zaczął uciekać. Nagle. Najpierw zniknął na krótko i wracał z głupim uśmiechem, potem przepadał i na pół dnia. Nie wiedziałem, co z tym zrobić, niechże kogoś zabije albo zwyczajnie zostanie w mroku – Król nie należał do ludzi, których można pilnować wbrew ich woli. Wędrował ze mną, bo był przywiązany.

Nie chciał powiedzieć, dokąd chodzi, a nawet udawał, że nigdzie się nie rusza i cały czas siedzi ze mną. Wreszcie zjawił się człowieczek od świątłomistrzów – Król miał chodzić za jego córką, przymilać się i przynosić zwierzęta. Czaił się pod domem, czuwał za oknem albo laźł za nią w ukryciu i wychodził, kiedy zostawała sama. Zapytałem, czy próbował zrobić jej krzywdę.

- Nie. Tylko łązi i ją straszy - usłyszałem.

Odeszliśmy o świcie następnego dnia. Król próbował protestować, pytał też, dlaczego nie możemy zostać, i zgodził się iść, dopiero gdy zagroziłem, że zostawię go samego. Mruczał, jęczał, aż zapomniał o dziewczynie. Wołałem nie myśleć, co by się stało, gdyby próbując przytulić, zrobił jej krzywdę.

Nie zastanawiałem się za wiele nad swoim życiem i nad tym, dlaczego przebiega ono akurat w taki sposób. Mało kto się zastanawiał, wydawało mi się tylko, że to niezwykle szczęście, skoro nie zginąłem i mam co do gęby włożyć. Właściwie wszystko biegło, jak biegło, tak zwyczajnie, coraz gorzej pamiętałem, co było, kiedy jeszcze nie miałem towarzystwa Króla. Przyszło mi do głowy, że traktuję go jak Słońce.

Nie kwapiłem się na ziemi Sara, lecz też nie bałem się przez nie wędrować – gdyby książę usiłował dybać na życie każdego, z kim się powadził, życia by mu nie starczyło. Unikaliśmy miasta, no to ono nas znalazło. Leżeliśmy w wozie pokotem, jasne rozciągało się pod sufitem, a na ziemi rozciągał się Król, urżnięty jak to on. Nie mogłem zasnąć. Często nie sypiałem. Wyciągałem wówczas rękę, tak żeby jeden palec zniknął w mroku. Tylko na chwilę.

Pojawiła się grupa zbrojnych. Obudziłem Króla, narobił rabanu, nim zdążyłem mu powiedzieć, żeby siedział cicho. Wówczas z grupy odłączył się jeden i zawołał mnie po imieniu. Wszedłem z pochodnią, owinięty w jasne, mając za plecami Króla. Mężczyzna przedstawił się jako Ron, kapitan księcia Sara. Sar chciał pilnie widzieć nas u siebie.

Nie odpowiedziałem od razu, bo nie mogłem zrozumieć. Jeśli Sar chciałby nas zabić, zrobiłby to po swojemu, a nie wysyłał sześciu osłów, skoro daliśmy radę setce cztery lata temu. Jak miał inny interes, poczekałby do świtu, zamiast ubierać swoich ludzi w jasne, dawać

ogień w łapy i słać w mrok. Cokolwiek chcą, może poczekać do rana, pomyślałem i powiedziałem to samo.

- Rano już nie będzie po co - orzekł Ron, jakby stanowiło to część oferty. Wahałem się i w końcu poszliśmy, zostawiając wóz. Król pytał mnie, po co właściwie. Nie mogłem zrozumieć, że dowiemy się potem. Poszedłem, bo Ron wydawał mi się porządnym człowiekiem. Przyszłość pokazała, że miałem rację.

Po drodze Ron zbliżył się do mnie i powiedział coś takiego:

- Postaraj się nie spoglądać zbyt długo na Sara. Książę lubi, kiedy patrzy mu się prosto w oczy. Nigdzie indziej. Powiedz to swojemu kumplowi.

Dwór księcia Sara był domem człowieka rozsądnego, znającego własne ułomności – grube mury oddziaływały go od ludzi, którzy także te ułomności znali. Niewiele jasnych, tylko ognie, małe miejsce wciśnięte w skały, jedynie nad dachem migotała korona, zrobiona z tego samego materiału, co złote miasto Ral. Jej łagodne światło odbijało się w kamiennej ścianie, którą Sar – lub ktoś przed nim – kazał oszlifować.

Musieliśmy oddać broń, co wydało mi się głupie – Król rozszarpałby Sara, gdybym tylko rozkazał. Książę nie przyjął nas w głównej sali, lecz w niewielkim pokoju w prawym skrzydle i w ogóle nie przypominał księcia, raczej jednego z tych dziwnych ludzi, których Słońce wyciągnęło i pomieszało zmysły. Długi, wychudzony, nosił białą szatę rozpiętą do piersi, ręce początkowo trzymał na brzuchu i już wtedy wydawały mi się jakieś dziwne, tak samo jak kształt czaszki. Zrozumiałem, co jest – kiedy je opuścił, zwisały mu za kolana, pokryte guzami, o grubych, niesprawnych palcach. Policzki miał nabrzmiące, podobnie jak czoło, jego oczy zaś spoglądały z półmroku.

Podszedł ku nam, wysunął ramiona, jakby chciał Króla objąć – muskulatura też była dziwna, nabrzmiąca od unoszenia tak ogromnych dłoni. Światło jasnych spłynęło na niego, kątem oka dostrzegłem, że Ron daje mi dłońmi jakieś znaki, chyba żebym był spokojny. Czaszka Sara rozdwajała się, jakby wałnąć siekierą, a potem rozciągając rękami powstałą w ten sposób szparę. Gładka skóra opinała kości, schodziła po załamaniach i osłaniała miękką tkankę wewnątrz głowy. Ta przypominała mięso, pulsowała przy każdym oddechu, czasem znów swoim rytmem, żyło w niej światło, błyszczące punkty pędzące własnymi torami. Spotykały się w błyskach, mnożyły, rozświeślały całą głowę, by zaraz zgasnąć. Widziałem wielu ludzi, którzy zbyt długo przebywali na Południu, lecz nigdy nikogo takiego.

Nie dałem niczego po sobie poznać, choć byłem mocno zdziwiony. Za to Król inaczej – stanął przed Sarem, próbował dotknąć, a wtedy książę się cofnął i posłał mu smutny uśmiech.

- Jemu jasnych nie trzeba - orzekł Król.

W odpowiedzi Sar dotknął rogów na jego głowie. Stali tak chwilę.

- Powiedz im - Sar zwrócił się do Rona.

Fuknąłem na Króla, żeby sobie poszedł. Uczynił to niechętnie, przycupnął w rogu i nawet nie udawał, że słucha.

- Pół roku temu zjawił się u nas pewien człowiek, który uwiódł Pa. Pa to córka księcia Sara. Pozwoliliśmy mu na to z kilku przyczyn - rozpoczął Ron - ów człowiek miał na imię Kor i przyjechał z Północy, choć wcale na takiego nie wyglądał. Postawny, bystry, nie miał nic z tych, którzy tam żyją. Towarzyszyło mu kilkudziesięciu zbrojnych, niektórzy byli prawie tak wysocy, jak twój Król. Przywiózł dary, obietnice. Przyznam wam, że zaprzyjaźniliśmy się i wszyscy mu zaufali.

- Nie będę tłumaczył się przed nikim - wtrącił Sar - nie było żadnego powodu, aby

potraktować go inaczej, niż potraktowałem.

- A traktowano go dobrze. - Ron był chyba drugą głową Sara. - Okazał się wielkim wsparciem i kiedy zbliżył się do Pa, patrzyliśmy na to przez palce. Zbliżył się to może złe słowo. Wielu zbliżało się do Pa.

- To prawda - przyznał Sar, zwrócił się do mnie - masz córkę?

- Nic o tym nie wiem.

- Zmieniła się przy nim i to mnie zaślepiło - wyznał Sar.

Żeby nie patrzeć na niego, na ten pulsujący karczoł w czaszce, gapiałem się na Rona, na jego wyraz twarzy, gdy słuchał o pannie Pa, i już znałem jego tajemnicę.

- Wczoraj o świcie Kor zniknął wraz z ludźmi - podjął. - Wyruszył na Północ, bez słowa, nikt nic nie zrozumiał, aż nie weszliśmy do Pa. Zabrał jej życie, nim odjechał. Dokładnie tak zrobił, a my nie wiemy dlaczego.

- Niektórzy zwyczajnie tak robią - odpowiedziałem.

- Ale wy macie znaleźć tego jednego.

- Zabił ją? - chciałem się upewnić.

- Nie, zabrał życie - odparł Ron.

Pomyślałem chwilę, usiłując sobie przypomnieć, co wiem o czymś podobnym.

- Odebranie życia to trudna sprawa - odparłem w końcu, zastanawiając się, czy Król podoła takiej robocie.

- Nie będziecie jedni - rzekł głucho Ron.

Książę Sar podniósł się, głowa mu ciążyła.

- Chodźcie.

Powiódł nas korytarzem, w drodze Król zrównał się ze mną i rzekł, że nie rozumie.

- Zabicie a zabranie życia to nie to samo - szepnąłem, Ron z Sarem i tak słyszeli - czasem po prostu możesz zabrać życie i nie zabić.

- Nie rozumiem - odrzekł Król.

Nie umiałem mu tego wytłumaczyć. Takie rzeczy rzadko się dzieją, żeby zabrać komuś życie, trzeba być nie byle kim i nigdy nikogo takiego nie spotkałem. Samo życie widziałem kilka razy i bardzo krótko: błysnęło w ustach konającemu, uleciało z trupa, a sam, raz miałem wrażenie, że mnie opuszcza, rozświetla mi ciało, jak to coś, co żyło w głowie księcia Sara. Trudno to porównać z czymkolwiek innym, trochę jakbym połknął kawałek Słońca i ten kawałek chciał się wydostać na zewnątrz.

Za Sarem wyszliśmy na piętro, tam korytarz się rozszerzał i było cicho. Zatrzymaliśmy się przed drzwiami, Sar je otworzył, sam stanął trochę z boku i patrzył, więc poprowadził nas Ron. W środku zobaczyliśmy Pa, przykutą trochę tak jak Król do łóżka miłości, z tą różnicą, że ona mogła stać.

Leżała jednak, z brzuchem przy ziemi, a cokolwiek grało w jej oczach, nie było z tego świata. Język, napuchnięty od ugryzień, jakby chciała zjeść plaster miodu razem z rojem, palce bez paznokci, kolana zdarte do kości, strzępy włosów i włosy z głowy lepiące się do krwi na całym ciele, oto, co zobaczyłem i chyba już nie zapomnę. Pa pobiegła ku nam jak żuczek skoczek, aż łańcuchy jej nie zatrzymały, napięte wokół sinego śladu na szyi. Odrzuciła ją do słupa, do którego ją przykuto, rozplaszczyła się na podłodze, szarpała za swoje sutki, wbijała palce w piersi i brzuch. Podszedłem – spróbowała mnie opluć.

Zerknąłem za siebie, Ron zniknął w korytarzu.

Przy Pa leżały przewrócone miski i tykwa, w której była woda. Nachyliłem się tak, by

dziewczyna mnie nie sięgnęła, i dostrzegłem drzazgi wbite w język. Chciała mnie polizać, więc się wycofałem. Sar ujął mnie pod rękę, a Król patrzył. Patrzył i patrzył, robiłby to dalej, gdybym nie kazał mu pójść.

- Ona myśli, że umarła. Wydaje się jej, wydaje się Pa, że jej ciało jest ciałem trupa - powiedział książę Sar.

Skinąłem głową. Ludzie, którym zabrano życie, właśnie tak sądzą.

\* \* \*

Poprosiłem Sara, by pozwolił nam się przespać, ale żeby ktoś obudził nas o świcie – wtedy pójdziemy. Dowiedziałem się, że nie sami, co mnie ucieszyło. Dostaliśmy wsparcie kilkunastu ludzi i kapitana Rona, który zgodził się wyruszyć z nami.

Wyprawa trwała trzy dni i trzy noce.

Pierwszej nocy Król zasnął, ogromny i spokojny, a Ron podszedł do mnie i usiadł przy ognisku. Byliśmy sami.

- Długo tak trzymacie ze sobą? - zapytał Ron.

Nie dopatrzyłem się w jego słowach żadnej złośliwości.

- Trochę to już będzie. - Nie lubię mówić zbyt wiele.

Pomilczał chwilę. Przypomniałem sobie pierwszą rozmowę z Halem. Zaczęła się w podobny sposób.

- Właściwie, to czemu z nim trzymasz? - wskazał na Króla.

Król leżał na wznak i chrapał.

- No wiesz. We dwóch zawsze lepiej. Trochę pomagamy sobie. We łbie to nie ma poukładane - ściszyłem głos - ale bije się za tuzin. Ja mu pomogę, on mnie, i tak to życie się toczy.

Ron podrapał się w czoło, jakby chciał coś sobie wygrzebać z głowy. Przeniósł wzrok na mnie i dostrzegłem w nim coś, co mi się nie podobało. Nie, żeby chciał mi zrobić krzywdę, po prostu patrzył jak ktoś, kto uważnie przygląda się sobie w lustrze.

- Wyglądasz na sprytnego i dałbyś sobie radę bez niego.

- Nie jestem tak silny jak on.

Patrzył przed siebie. Dłonie trzymał na kolanach. Zauważyłem, że palce ma poparzone. Musiał nosić sygnet, metal się stopił, zostawiając okropną bliznę.

- Taki jak ty zawsze znajdzie sobie silnego i wyjdzie na tym dobrze.

Złościło mnie takie gadanie, ale nie chciałem się pokłócić. Ron mówił dalej:

- Gość tak sprytny jak ty przydałby się w wielu miejscach. Mógłbyś zostać u Sara, ale nie sądzę, żebyś to zrobił - kiwnął palcem w stronę namiotu - przez niego nie zostajesz, co?

- Może nie jestem tak sprytny, jak ci się zdaje.

Zamilkliśmy, już liczyłem, że Ron odpuści, ale gdzie tam, on nie był z tych.

- Ciekawi mnie to trochę - rzekł i znowu zamilkł.

Trochę trwało, nim zrozumiałem, o co mu chodzi, więc może rzeczywiście nie byłem dość sprytny.

- Nie okradam go. Człowiek, który był z nim przede mną, chyba to robił, ale ja nie jestem taki.

- Więc co?

Już zrozumiałem, że nie ustąpi. Właściwie mi nie przeszkadzał, nie pytał przecież, żeby

nam zaszkodzić. Zwyczajnie miałem kłopoty z wytłumaczeniem samemu sobie, dlaczego wędruję z Królem.

- Przecież on sobie sam nie da rady. W coś wlezie, ukręci łeb, komu nie trzeba - tak gadałem i przypomniał mi się Hal - oszukają go przy wypłacie, to też dobry powód. Nie zliczy, ile dostał.

- A co cię to obchodzi?

- Tyle samo co ciebie. Pytasz i pytasz.

- Chcę wiedzieć - powtórzył.

- A ja chcę mu pomagać – jaka różnica?

Znów milczeliśmy chwilę. Dzięki Królowi byłem w tym dobry. Gapiłem się w ogień i zadzierałem głowę ku gwiazdom, wydawały mi się zimne i zacząłem myśleć, jak komukolwiek mogło przyjść do głowy, że idą w naszą stronę. Napiłem się wody, opadłem łokciami na piasek, wyciągnąłem nogi, stopy znalazły się na krawędzi mroku. Patrzyłem na nie. Przeszła mi ochota na milczenie.

- Król jest inny, tak sobie myślę - powiedziałem. - Nie, żeby wiele widział, jednak coś tam widziałem. I nie ma co narzekać, może i jestem sprytny, jednak nie aż tak, żeby zaraz innych oceniać. Są, jacy są, i tego nie zmienisz. A z Królem inaczej. Gołymi rękami łeb komu urwie, a potem pójdzie za tobą jak pies. To jeszcze nieważne, niektórzy tak robią. Nazbiera drewna i będzie pilnował, patrzy bardziej na ciebie niż na siebie. Taki to człowiek i nic z tym nie zrobimy.

- No tak - rzekł Ron.

- Tyle rzeczy w nim nie gra. Siedzi we krwi jeszcze, a gada o domu i kotach. Chce hodować koty, wiesz? Zupełnie nie wiem czemu. Zachwyca się drobiazgami jak baba, umie się jak baba poryczeć, a walczy jak nikt. Nie muszę mówić, co? Słyszałeś o nim. Nie pojmuję go, czekaj, nie tego słowa szukam. Jest inny, po prostu, i dziwnie by mi było, gdybym go zostawił.

Liczyłem, że Ron coś powie. Nie odezwał się. Słuchał i patrzył przed siebie. Więc mówiłem ja:

- On nie pamięta i tego mu zazdroścę – zapytasz, co było w zeszłym roku, nie powie ani gdzie walczył, ani kogo spotkał, czy był zadowolony, czy nie. Nie chciałbyś tak, Ron? Niewiele dobrego może człowieka spotkać i też mało kto wiele oczekuje. Ludzie przychodzą i odchodzą, łatwo przywyknąć, a potem pojawia się taki Król i jest. Więc niech będzie, mówię sobie, lepiej jak jest. Nie zmienia się, nie żałuje niczego, nie pamięta, próbuje być wdzięczny na swój niezdarny sposób i czasem myślę, że jest szczęśliwszy niż ja czy ty.

\* \* \*

Drugiej nocy Król patrzył w milczeniu na tańczące płomienie, a potem przeniósł wzrok na czarną ścianę, która nas otaczała. Kiedy patrzysz w mrok, ten rzadko wydaje się jednolity. Przesuwają się w nim postacie i góry. Brzmią syki, głosy i śpiewy, ludzie niekiedy słyszą wołanie swoich umarłych.

- Opowiedz mi o mroku - poprosił Król.

Mieliśmy wino. Pałem fajkę na cienkim cybuchu.

- Czemu akurat o mroku? Nie dałoby się o czymś przyjemnym, co, Królu? Przecież jaki jest mrok, właśnie widzisz i na moje nie ma sensu o tym gadać.

Król zamilkł i gapił się w ogień. Trochę to trwało.

- Opowiedz mi o mroku - powiedział.

- Nie mam nic do gadania na ten temat. Żyjemy w świetle, a w mroku się nie da. Nikt stamtąd nie wrócił i nie słyszałem, żeby się wybierał. To jak ze Słońcem, Królu - wyjaśniłem.

- Często je widzimy, a niewiele o nim wiemy.

Opieka nad Królem wymagała oczu dookoła głowy, ale i cierpliwości. Zadawał w kółko te same pytania i milknął, dopiero gdy mu odpowiadałem. Myślę, że w ten sposób zawsze dowiadywał się tego, czego chciał.

Zmarszczył czoło, wyraźnie usiłował sobie coś przypomnieć. Otworzył szeroko oczy, wybuchnął śmiechem i bił ręką we własne udo.

- Nie! Właśnie, że nie! My wiemy! Na Słońcu są nasi dziadkowie i ślą nam gwiazdy, coibyśmy do nich mogli wrócić. Ha! Naprawdę nie wiedziałeś tego? Ha! A mówią, że jesteś taki mądry. - Pokazywał na mnie palcem i się śmiał. Nagle spoważniał - to co z tym mrokiem, no?

Wiedziałem, że będę musiał gadać, i to tak, by zrozumiał.

- No, ale nie wiemy, jak dokładnie jest na Słońcu, poza tym, że nie ma tam mroku i ludzie nie mogą umrzeć - zacząłem. - A z mrokiem, Królu, to zupełnie inna sprawa. Bo ludzie mówią różne rzeczy i nie wiadomo, co jest prawdą. Na przykład, słyszałem, że mrok jest jak ja albo ty. Jednym żywym stworem, który wypelza wraz ze zniknięciem Słońca i jak niektórzy mówią, jest jego złym młodszym bratem. Spierają się nieustannie, walczą ze sobą - splotłem dłonie i ścisnąłem w ten sposób, że raz lewa przechylała się nad prawą, a potem odwrotnie - raz mrok bierze górę i wypycha Słońce poza horyzont. Wówczas nastaje noc i ludzie muszą palić ogniska lub otaczać się jasnymi. A Słońce zbiera siły, liże rany i atakuje mrok ze zdwojoną siłą. Ciemność ustępuje i mamy...

- Dzień! - Król wszedł mi w słowo. Śmiał się i powtarzał - dzień! Dzień! I można wystawić twarz do Słońca. - Podrapał się w czoło. - A głosy? To, co w mroku gada, to skąd?

- A tu na dwoje babka wróżyła - wyjaśniłem. - Niektórzy gadają, że mrok jest jeden, ale ma wiele głosów i kusi nimi ludzi, żeby ich sobie zabrać. No, na przykład, jak byłem mały, zabrał kobietę z naszej wsi. Jej mąż poszedł na wojnę i pewnej nocy usłyszała, jak woła ją spoza światła. Niewiele myśląc, otuliła się w jasne i pobiegła. - Splunąłem w ogień. - Tyle ją widzieli. Mąż wrócił kilka tygodni później i dowiedział się, że jest wdowcem.

- To trzeba być bardzo głupim, żeby pójść samemu w mrok. Zobacz. - Wstał i stanął na skraju świetlnego okręgu. Wysunął rękę, tak że na koniuszku palca zaległa ciemność. Zaraz ją cofnął. - Widzisz? - Uśmiechnął się. - Ja nie jestem głupi. Mogę stanąć na samym skrajuszku, ale w mrok nie wejść, żeby nie wiem co. Nie ma mowy.

Stanąłem obok niego.

- A znów są tacy, którzy ci powiedzą, że w mroku żyje cała masa istot. Diabły, chochliki lub też umarli. Stąd głosy, nawoływania. Zmarli chcą, abyśmy do nich dołączyli. W sumie to nie wiem, jak jest i tylko tak ci opowiadam.

Król skinął głową na znak, że rozumie. Światło, opadające na jego guzy, tworzyło niezwykle wrażenie prawdziwej korony. Wziął kamień, podrzucił w dłoni i cisnął w mrok. Słyszałem, jak odbija się od skał.

- Coś mi tu nie gra. Jak mrok może być żywy i żeby jeszcze coś w nim żyło? Po mojemu tak być nie może. - Podłubał w nosie. Wytrzeszczał oczy.

Podąłem mu wino. Znów milczeliśmy, a ja szukałem dobrego przykładu, żeby wyjaśnić Królowi, co miałem na myśli.



- Pamiętasz, jak umierał stary En? - zagadnąłem wreszcie. Król potrząsnął głową. - A starego Ena w ogóle pamiętasz? Dowodził nami na przełęczy i poprowadził w góry, tam dostał od Skalnych w brzuch i głowę. Musieliśmy go nieść przez kilka tygodni i słuchać wrzasków, aż wreszcie brzuch mu pękł.

- Pamiętam! Zupełnie jak jabłko!

- A pamiętasz ty, Królu, jak z wnętrznościami wylała się masa białych robaków?

- Takich jak paprochy, tylko miękkich!

Skinąłem głową. Rana Ena gniła i teraz żałuję, że nie dobiliśmy go wcześniej.

- Myślę, że one żyły w Enie, tak jak zmarli żyją w mroku. Czyli coś może być w czymś, i to coś też może żyć - powiedziałem najprościej, jak umiałem i wróciłem do ogniska.

Wino szumiało przyjemnie, chciało mi się spać, ale stwierdziłem, że spróbuję być dobry dla Króla i opowiedziałem mu taką historię:

- Pewnego razu żył sobie najemnik, taki jak ja albo ty. To było dawno temu. Jego sława była prawie tak duża jak twoja. W każdym mieście noszono go na rękach, kobiety same przychodziły do niego, a on był dla nich hojny. Do tego miał łeb na karku i szybko zgromadził dużo pieniędzy, osiadł i myślał zająć się hodowlą. - Zobaczyłem błysk w oczach Króla i dodałem szybko - nie wiem, co hodował, ale na pewno nie koty. Był taki sławny, że przyjmowano go tam, gdzie takich jak my nie wpuszczają. Na dwory i poddasza świątyń. Ucztował, bawił się i pech chciał, że pokochał córkę księcia. Zapomniałem ci powiedzieć, najemnik nazywał się Ur, a ona Tara.

- Ur i Tara - powtórzył Król.

- Tara także pokochała Ura, ale życie, Królu, to gówno i ta historia gównianie się skończyła. Księżę, kiedy usłyszał o kochankach, wściekł się, a że był tchórzem, nie śmiał zabić Ura ani go sprowokować. Rzucił więc na niego straszliwy czar. Ur stał się inny niż my – Słońce raniło go i musiał żyć w mroku. Po prostu, nie mógł normalnie wyjść za dnia. Za sprawą czaru mrok go nie zabił. Potem księżę żałował, że tak zrobił. Tara zwariowała z rozpaczy i w końcu uciekła, jak to baby. Ja tam ich nie rozumiem. I podobno, tak mówią, spotykają się co noc. Ona siedzi przy ogniu albo w sali pełnej jasnych, on w mroku obok, rozmawiają i nie mogą się dotknąć. On ją widzi, ona jego nie i tylko na moment, kiedy wstaje świt i nie jest jasno ani ciemno, lecz szaro, mogą być ze sobą. Dziwna to historia i nawet nie wiem, czy prawdziwa.

Przerwałem. Król zaciskał pięści, kiwał się na boki i płakał.

\* \* \*

Trzeciej nocy dogoniliśmy Kora tuż przed jego domem. Zabiliśmy jego ludzi, odebrałem życie należące do Pa, a Król chwycił Kora w dłonie i chciał udusić. Ron sprzeciwił się temu i poszedł go zabić w ustronne miejsce – tak, żebyśmy nie widzieli, a Kor żeby dłużej cierpiał.

\* \* \*

W ciemności słowo zyskuje szczególne znaczenie. Inaczej jest z moim ciałem, ono zanika, bo nie wiem, gdzie się kończy, a gdzie zaczyna mrok. Czasem leżę na wznak, wciągam jasne powietrze, a moje dłonie szukają mnie samego, jakbym przeczuwał własny rozpad, jakby to, co kiedyś stanowiło o mnie, muskuły, mocne kości – obracało się w proch jeszcze za mojego życia. Myślę o sobie jak o drzewie, które ma mocny pień, które wciąż kwitnie, ale codziennie

rozpoznaje na sobie huby, gnijące konary; ptaki w gryzają się w jego korę.

Nie umiem pisać i nigdy nie przeczytałem żadnej historii z tych opowiedzianych Królowi, wszystkie zostały zasłyszane. W książce jest jakiś przymus, wola trwania, książka jest więzieniem opowieści. Ta żyje, póki fruwa, póki jest duchem krążącym między ustami. Próbuję ją zatrzymać, bo chcę zatrzymać samego siebie w słabnięciu i umieraniu, dlatego dyktuję, ale skąd wiem, czy te słowa są naprawdę zapisywane? Przyszedł skryba, który siedzi teraz tutaj i jeśli wierzyć jego słowom, zapisuje wszystko, co powiem. Nie ma powodu do kłamstwa, słyszę nawet szuranie pióra o papier. Tylko czy rzeczywiście pisze to, co mówię? A może coś innego, może wykorzystuje czas na własne sprawy, coś notuje – wiersze, takie rzeczy? Mógłbym poprosić, by przeczytał, ale ja jeden nie chcę już tego słuchać.

Ciekawe, zapisał te słowa, czy nie?

Bo mrok ma swoją mowę, ja swoją i istnieją jeszcze słowa pomiędzy, pukające w głowie, przywołujące ludzi, wydarzenia, wszystko razem, mówią, nie rozpoznaję niemal niczego, to obcy świat mowy, o której nie wiem nawet, czy jest złowroga, czy nie. Gada tylko we mnie i ja gadam, wyobrażam sobie, że moje słowo napina się liną nad jarem innych słów i dopiero potem zostaje zapisane.

\* \* \*

W południe Sar wydał ucztę na cześć moją, Rona i Króla. Nie sądziłem, że jest człowiekiem zdolnym do wyrażenia wdzięczności inaczej niż monetą, ale byłem w błędzie – jedzenie dymiło z półmisków, wiły się dziewczęta, w powietrzu unosił się zapach perfum i wina.

Pierwszy raz doświadczyłem czegoś podobnego, Król chyba też, a sam Sar należał do nielicznych, którzy chcą widywać najemników przy swoim stole. Sądzę, że niewiele o tym myślał, po prostu dał rozkaz przygotowania uczyty i dopiero potem się zastanowił. Niektórzy od niego byli wyraźnie przejęci, inni zgorszeni i wściekli – zwłaszcza na widok Króla, pakującego sobie kawały mięsa głęboko do gęby – niewiele mnie to obchodziło.

Ron próbował stworzyć pomost pomiędzy nami a resztą, cały czas opowiadał, czego dokonaliśmy i że dobrze było służyć razem w jednej sprawie. Zerkał to na nas, to na moźnych, przywoływał szczegóły wyprawy i ciut przesadzał, jak zawsze w takich sytuacjach. Zdziwiłem się trochę, bo nie wiedziałem, że umie być taki wylewny. Pomagało mu w tym wino i chyba czuł się wyjątkowo dobrze. Przypominał człowieka, któremu w cudowny sposób garb odjęto.

Za to Król promieniał i jeśli widzę go jeszcze, to najczęściej w tej właśnie chwili: odzianego w błękitną szatę, z włosami zaczesanymi za uszy i szerokim uśmiechem. Jadł, wlewał w siebie wińsko, walił pięścią w stół i rechotał ze wszystkiego, co usłyszał, nawet jeśli nie było to specjalnie śmieszne. Jego oczy błyszczały jak jasne, a po brodzie ciekły sosy i tłuszcz. Ludzie wyraźnie się go bali i nikt nie chciał przy nim siedzieć. Król nie zwracał na to uwagi, tylko gadał, śmiał się i napychał sobie usta. W spojrzeniach paru takich wymuskanych gagatków dostrzegłem, że najchętniej powlekliby go końmi, daleko, poza zamek.

Uczta trwała w najlepsze, już zapadał zmrok, już rozwieszono jasne i zapalono ognie na murach, gdy przysiadł się do mnie książę Sar, wyraźnie czymś przejęty. Zupełnie nie przypominał tego człowieka, którego sobie wyobrażałem, walcząc w wąwozie. Był mały, zgarbiony, jakby po prośbie przyszedł. Podał mi kubek z winem. Książęta nie robią takich rzeczy.

- Długo się z nim włóczył? - zapytał.

- A będzie już ze cztery lata.

- Jak go poznałeś?

Nie widziałem powodu, żeby kłamać. Powiedziałem prawdę, także tę, że gdyby nie zasadzka w wąwozie, Hal by żył i nie zostałbym opiekunem Króla.

- Życie ciekawie biegnie. - Sarowi zebrało się na przemyślenia. - Potem wyszło, że cała awantura była po nic, górnicy prawie wyczerpali złoża, a moi ludzie nie umieli wydobywać blasku tak efektywnie. I płaciłem więcej, niż na początku górnicy chcieli. Więc jak nazywał się ten człowiek?

- Hal.

- Hal - książę zadumał się nad tym imieniem. Wodził palcem po brzegu kubka. - Powiedz mi - rzekł nagle - długo jeszcze zamierzacie tak chodzić?

- Aż czegoś nie wychodzimy.

- Przydaliby mi się tacy jak wy - wreszcie dowiedziałem się, z czym przyszedł - najemników mam dosyć. Służylibyście normalnie pod Ronem - kiwnął głową w stronę kapitana - po dziesięciu latach miałbyś dosyć, by żyć spokojnie i opiekować się tym półgłówkiem. Musieliście już swoje odłożyć.

- No, musieliśmy. - Nie lubiłem, jak ktoś zagląda mi do kieszeni, nawet jeśli jest księciem.

Odpowiedziałem, że przemyślę sprawę i zaraz się do tego zabrałem. Wino i hałas w tym nie pomagały, poprosiłem więc Króla, żebyśmy szli. Nie chciał się zgodzić, bawił się tak dobrze i zostałem jeszcze trochę. Prawie siłą go wyciągnąłem, potrząsał głową i wskazywał na salę, mówiąc, jakie tu wszystko jest piękne.

Odprowadziłem Króla do jego pokoju – urżnął się strasznie i miałem pewność, że zaraz zaśnie i nie zbudzi się do rana – a sam runąłem na łóżko, w ubraniu i patrzyłem w jasne. Dość dobrze pamiętam tamte myśli: wspominałem to, co było, i rozważałem słowa Sara. Polubiłem wędrowanie, zwłaszcza z Królem, w towarzystwie jest zupełnie inaczej niż samemu. Brakowałoby mi tego. Ale przecież człowiek nie robi się młodszy, prędzej czy później osłabnie nawet ktoś tak silny jak Król. I co wtedy? Zbuduję dom? Zaproszę koty? Tak naprawdę nie chciałem nigdy mieszkać z Królem, wolałbym zarobić na kobietę i starzeć się w spokoju.

Tu Król znalazłby dom i ludzi, którzy zajęliby się nim, gdybym umarł, mógłby grać w kości, a nawet przygarnąć sobie kota. Myślę też, że w życiu nic nie dzieje się bez powodu i skoro połączyła nas walka z ludźmi Sara, to tegoż Sara można zacząć się trzymać. Układałem w głowie, co jutro powiem Królowi, zostajemy i koniec tej tułaczki. I tak jeszcze mu powiem: Królu, jak teraz coś popsujesz, między nami koniec, idziesz między te swoje drzewa albo do jamy, ale ja nie przyjdę do ciebie. Zrobisz sobie, co zechcesz, więc pamiętaj. Tutaj musisz się starać, tak jak nigdy się nie starałeś.

Mimo wina sen nie chciał przyjść. Drzwi do komnaty uchyliły się i stanęła w nich Pa, ubrana tylko w przepaskę na biodrach. Miała piersi mniejsze, niż myślałem, trójkątne i sterczące, jak u bardzo młodej kobiety, choć ona taka młoda już nie była. Zamknęła drzwi za sobą i zaraz była już przy mnie, czułem jej odurzającą woń i wilgoć, która wylewała się z niej – gęsta, piźmowa.

\* \* \*

Tej nocy miałem niewyraźny sen o uciekaniu, błądziłem w półmroku, a choć nie miałem światła, nie działała mi się krzywda. Coś dużego szło za mną, wołało po imieniu, a ja nie wiedziałem, czy odwrócić się, czy uciec jak najdalej.

Nie pamiętam samej chwili przebudzenia. W gruncie rzeczy rzadko pamiętamy coś takiego. W jednej chwili byłem w tym ciemnym miejscu i zza moich pleców dochodziło wołanie, w drugiej już siedziałem w pełni rozbudzony, w szarówce świtu i wytrzeszczałem oczy na rozdygotanego Króla. Nigdy wcześniej takim go nie widziałem, nie umiał złożyć słowa, tylko się trząśł. Pokazywał to na drzwi, to na siebie i zaraz zrozumiałem, że nie wydarzyło się nic dobrego.

Bezskutecznie próbowałem go uspokoić, gorzej, im więcej mówiłem, tym bardziej się telepał, jakby dochodziła do niego groza jakiegoś nieznanego mi zdarzenia. Pociągnął mnie przez korytarz ku swojej komnacie, tam drzwi stały otworem i nie musiałem wchodzić, by zobaczyć, co się stało. Przez środek łóżka, na podobieństwo zużytej szmaty leżała naga Pa. Oczy miała szkliste, głowę nienaturalnie przekręconą, na żebrach i piersiach rozlały się sinoczarne plamy. Nie trzeba orła, by stwierdzić, że nic nie można dla niej zrobić.

- Coś ty zrobił? - jęknąłem. - Królu, na Słońce i wszyściuchne gwiazdy, coś ty najlepszego uczynił?

- Nic! Nic! - wykrztusił. - Przyszła. Przyszła do mnie. Nie chciałem! - zalał się łzami. - Przecież kto by chciał taką skrzywdzić, taka piękna, taka piękna...

Już gnając po schodach, wiedziałem dobrze, co się wydarzyło. Pa, jak to Pa, postanowiła podziękować za ratunek w wiadomy sposób, zaczęła ode mnie, a kiedy zasnąłem, pofatygowała się do Króla. Właściwie nie byłem zły na niego, tylko na nią, najgłupsza dziwka z targu miała więcej rozumu.

Mnie także rozum odjęło: przerażony, pociągnąłem Króla za sobą i pognaliśmy ile sił, zostawiając wszystko, co mieliśmy. Sam byłem bosi, tylko w lnianej koszulinie, Król miał przepaskę biodrową, ni jasnych, ni broni, ogrom tego błędu pojąłem za późno – staliśmy już daleko, za bramą pałacu księcia Sara. Wahałem się, układając rozpaczliwy plan: mógłbym wrócić, zabrać złoto i jasne, albo poszukać szczęścia gdzie indziej, coś ukraść, kogoś ograbić, a nade wszystko pędzić przed siebie, byle dalej od ziemi Sara. Nad jego pałacem wschodziło Słońce i kłębiły się ptaki.

- To będziemy musieli iść, co? - zagadnął Król.

- No, będziemy. I to szybko.

Nie uszliśmy dziesięciu kroków, gdy znów stanął.

- To może ja wrócę.

- Po co wrócisz, baranie?

- Żeby powiedzieć, że to ja, a nie ty.

- Przecież będzie po tobie. Gęby nawet nie otworzysz.

- Otworzę.

- Królu. Po prostu chodźmy. Im szybciej, tym lepiej. Może nasz wóz jeszcze stoi.

Nie pozwolił dojść do najbliższego zaułka, znów stanął i się zaparł.

- Co znowu?

- Jak cię poniosę, będzie szybciej - rzekł.

- Że jak? - gestem kazałem mu iść. Zrównał się ze mną i mówił dalej:

- Normalnie. Wezmę cię na plecy i pobiegnę. Mogę biec bardzo długo.

- Wiem.

- Naprawdę bardzo długo.

- Chodźmy już.

Wóz stał tam, gdzie go zostawiliśmy. Łóżko było na swoim miejscu, ale brakowało jasnych. Przetrasnąłem, co było do przetrząśnięcia, wściekły, uderzyłem ręką w koło.

- Nabroiłem, co?

- Nie, Królu. Tym razem to nie twoja wina.

- Jak nie moja. Zawsze moja jest.

- Nie tym razem. - Miałem ochotę objąć go, jak dzieciaka. - Zawsze, jak zrobiłeś coś złe, to ci mówiłem i byłem wściekły. A czy teraz coś powiedziałem? Albo jestem wściekły?

- Jesteś. Tylko nic nie mówisz.

Złapałem oddech. Tak, byłem zły na Pa, która nie umiała tyłka sobie zaszyć choćby na jedną noc, na Sara, który przecież wiedział, jaką ma córuchnę, i na siebie samego, bo przy odrobinie wyobraźni mógłbym przewidzieć, jak sprawy przebiegną.

- Tak - odpowiedziałem po chwili wahania. - A teraz musimy iść. Bardzo szybko i nie oglądając się za siebie.

Tak też zrobiliśmy. Popędziliśmy na oślep, w jedynym znanym mi kierunku, do wąwozu i kopalni. Szczęście sprzyjało nam i nie sprzyjało jednocześnie. Nie spotkaliśmy prawie nikogo aż do wyjścia z miasta, znalazłem też krzesiwo i hubkę w domu śpiącego rzemieślnika, za to ani kawałka jasnego, ani drzazgi z pochodni. Przeklinałem samego siebie – gdybym chwilę pomyślał, okiełznał strach, mielibyśmy i złoto, i dość jasnych, by ubrać całą wieś, ukradłbym konie i Sar szukałby nas do końca świata. A tak czułem się głupszy niż Król.

Koło południa marsz zaczął mnie męczyć. Wędrowaliśmy przez rzadkie krzaki, ponure badyle i czarne strumienie, w oddali majaczyły znajome wzgórza. Spowalniałem marsz i poprosiłem Króla, by spełnił swoją prośbę i wziął mnie na ramiona. Tak uczynił. Nie sprawiło mu to większej różnicy. Biegł, a ja cały czas oglądałem się, choć miałem tego nie robić. Każdy punkt rozrastał się do oddziały zbrojnych, drgnienie powietrza zmieniało się w gorący oddech ścigających.

Myślałem w ten sposób: skoro Sar wie, że znam wzgórza ze sztolnią, to w życiu nie przyjdzie mu do głowy, że właśnie tam pójdę. Byłoby to bardzo głupie, nie powinien więc zawracać sobie głowy tym kierunkiem ucieczki. Udając durnia, próbowałem Sara przechytryć. Choć może tak mi się teraz tylko wydaje, może gnałem na oślep, a teraz próbuję to niezdarnie uzasadnić.

Słońce jak to Słońce, świeciło jasno i jak to Słońce właśnie, chyliło się ku zachodowi. Przed wejściem do wąwozu kazałem Królowi zebrać drewno. Poszedł bez słowa sprzeciwu i wrócił z całym naręczem suchych gałęzi. Znikał jeszcze trzykrotnie, za każdym razem przynosząc więcej. Wyglądało na to, że bardzo się starał i chciał, by w tę noc nie zabrakło nam światła.

Ledwo zapadła ciemność, spróbował zasnąć, lecz nie bardzo umiał. Nie chciało mi się gadać. Patrzyłem w ogień, w płomień wspinające się po drewnie i zerkałem co chwilę w mrok, czy nie nadciągają. Byłem pełen niepokoju i nadziei, Sar nie trzymał mnie długo w niepewności. Zobaczyłem ich, srebrną smugę jasnych z koronami ognia, zmierzającą w naszą stronę. Takie światło towarzyszy przynajmniej pięćdziesiątce ludzi. Byli jeszcze daleko, lecz skoro ich widziałem, oni także musieli nas dostrzec.

- Pamiętasz tę historię o Tarze i Ur? - zapytałem.

Stałem w ten sposób, by Król nie widział światła, ciągnących ku nam przez wzgórza.

Przytaknął.

- Właśnie zrozumiałem, jak można uciec i nikogo nie zabić. Dość już złego narobiliśmy, co?

- Oj, dość, dość - powtórzył Król.

Zerknął za siebie. Warknął na widok świateł. Zbliżały się i mogłem je policzyć, co najmniej kilkadziesiąt. Wiedziałem, że nie damy rady takiej sile i co muszę zrobić.

- Pamiętasz zaklęcie, które rzucił książę na Ura? Ur musiał przez nie żyć w mroku. Pomyślałem, że jeśli rzucę je na ciebie, schowasz się i będziesz bezpieczny. Nic nam się nie stanie. Nic a nic. Oni po prostu pójdą dalej.

Twarz wykrzywił mu słaby uśmiech.

- Ale ja nie chcę żyć w mroku.

- To tylko na trochę.

- Ur został tam na zawsze.

Nie miałem czasu na myślenie. Król zerkał to na światła, to w mrok.

- Ura przeklął zły człowiek. A teraz ja rzucę czar.

- Nigdy nie mówiłeś, że go znasz.

- Mówiłem, ale zapomniałeś. I wiem, jak go odczynić.

Mrugnął z niedowierzaniem, podrapał się w brudne kudły. Nie wiem już, czy to krzyczeli ludzie nadciągający ku nam, czy to mrok szeptał, cmokał, falował, a może było to jedno i drugie. Zabrzmiało coś jeszcze. Nawet nie wiem, czy dobrze słyszałem.

- W mroku jest kot. Miauknął. Gdzieś się tam kręci. Koty tak mają - powiedziałem.

Twarz Króla przeobraziła się momentalnie, nie myślał już ani o Pa, ani o pościgu. Liczył się tylko kot.

- A pójdziesz za mną?

- A pójdę - kazałem mu przyklęknąć, przyłożyłem dłonie do guzów na czole i wypowiedziałem kilka słów bez sensu. Odsunąłem się. - Już dobrze. Idź.

- A pójdziesz za mną?

- Mówiłem, że pójdę.

Dotarł na skraj światła i tam się zatrzymał. Odwrócił głowę w moją stronę. Na twarzy malowało się napięcie i wahanie.

- A czy jak znajdę kota, to będę mógł go zabrać ze sobą?

Coś pękało we mnie, musiałem uważać, by nie załamał mi się głos.

- Oczywiście. To będzie pierwszy z twoich kotów.

- A opowiesz mi, jak będzie dalej? Nigdy nie mówiłeś. Bo ja myślę, że się starzeję i powinniśmy przestać już wędrować.

- Dobrze, Królu. - Światła wyraźnie się przybliżyły, mogłem rozróżnić poszczególne pochodnie, błyszczały jasne na butach i piersiach. - To zrobmy tak, że ty pójdziesz naprzód, a ja będę ci opowiadał. Jak przestaniesz mnie słyszeć, to staniesz i poczekaasz.

- Nie oszukasz mnie? - zapytał jeszcze. - Bo ja się boję, że zamilkiesz i nie dowiem się, czy mam stać, czy iść.

- Nie zamilknę, Królu.

- Nie zamilkiesz.

- Nie.

Król wszedł w mrok, widziałem dwie czarne klapy, trochę podobne do rąk, zamykające się na jego plecach. Nie umiem sobie przypomnieć, co wtedy mówiłem: chyba usiłowałem opisać

piętrowy dom z pobielanego drewna, stojący pośrodku nasłonecznionej łąki. Nie trwało to długo. Słyszałem pewne kroki Króla, oddalające się w równym rytmie, nagle zwolnił, ruszył jeszcze do przodu i wydobył z siebie pełen niedowierzania jęk. Brzmiała w nim jakaś skarga.

Zaraz było po wszystkim. Król jęknął ponownie i zaczął wrzeszczeć. Nigdy wcześniej ani później nie słyszałem czegoś takiego. Nie mogę też go zapomnieć. Tak może krzyczeć człowiek, któremu kroją skórę na płaty i nawijają je na żelazne pręty, tak że czerwone mięso zostaje odsłonięte. Czuję, że mrok wlewa się w ciało Króla przez usta, nos i uszy, wypełnia żołądek, płuca i żyły niczym rozgrzana smoła. A potem krzyk umilkł, słyszałem tylko głuchy odgłos upadku.

Usiadłem przy ogniu i wyciągnąłem dłonie.

Grupie pościgowej przewodził kapitan Ron. Prowadził kilkunastu żołnierzy i służbę zbrojną w łąki. W sumie było ich z sześćdziesięciu. Na jego widok wstałem, rozkrzyżowując dłonie. Ron kazał ludziom rozstawić pochodnie w okręgu, dziesięć kroków od ogniska i dopiero wtedy podszedł do mnie.

- Gdzie on? - Jak na niego, mówił łagodnie i miękko. Chyba nie chciał, żebym się bał, bo nie planował zrobić mi krzywdy.

- Poszedł w mrok.

- Tak sam z siebie?

Nie odpowiedziałem. Ron zmarszczył brwi.

- Nie wierzę ci - odparł po chwili namysłu. Jego ludzie zamknęli nas w półokręgu. Ron, swoim zwyczajem mówił powoli i starannie dobierał słowa - co do mnie, to oblekłeś go w jasne i kazałeś uciekać.

- Nie mieliśmy jasnych.

- A ja myślę, że mieliście, tylko dla ciebie nie starczyło.

- Poszedł w mrok z tego miejsca. Wyślij ludzi, jeśli chcesz, albo siadź i poczekajmy do rana. Zabijesz mnie, jeśli nie znajdziesz ciała.

Ron myślał chwilę. Usiadł plecami do ognia.

- Dobrze - powiedział - poczekamy.

Jego ludzie rozpalili jeszcze trzy ogniska i położyli się przy nich, poza piątką, której Ron kazał stać na straży. Zapytałem, czy mogę się przespać i nie miał nic przeciwko temu. Ułożyłem się na piasku, ale sen nie chciał nadejść. Słuchałem rozmów ludzi Rona i skrzeczącego mroku. Przysnąłem dopiero nad ranem, a śnił mi się Król, wracający do ogniska. Oczy miał czarne, z nosa i ust ciekła ciemna krew, a na rękach trzymał kota. Było to tak przerażające, że natychmiast się obudziłem.

Ron też nie spał. Szarzało.

- Długo się znaliście? - powiedział, choć już kiedyś o to pytał.

- Dość długo.

- Acha. Żałowałem, że nie mam więcej ludzi. Z tego, co mówili, Król dałby radę nam wszystkim.

Oceeniłem jeszcze raz tych, których ze sobą przyciągnął. Mieli długie włócznie, łąki i proce.

- Nie, nie dałby.

- Acha.

Wzeszło Słońce i zaraz znaleźli trupa. Król leżał pięćdziesiąt kroków od ogniska, w niewielkim dole, gdzie zbierała się deszczowa woda, twarzą do ziemi. Odetchnąłem, że nie

muszę jej oglądać. Ponieważ ciało za dużo ważyło, by mogli zanieść je księciu, Ron kazał odciąć głowę i prawą dłoń.

Potem pozwolił mi odejść. Dał jedzenie, płaszcz i czapkę z jasnych, bym mógł wędrować, nawet gdy zapadnie noc.

\* \* \*

Kiedy długo siedzisz w mroku, zapominasz o Słońcu i powoli zaczynasz wierzyć, że tylko śniłeś, a ono nigdy nie istniało naprawdę. Bajają o nim starzy ludzie, którym choroby odebrały nadzieję, albo kobiety porzucone przez swoich mężczyzn – to jak historia o wolności opowiedziana przez urodzonego w więzieniu. Dlatego czasem czuję się kretem, ryjącym korytarze, który będąc ślepym, nie odróżnia kamienia od tego, co żyje.

*Kraków–Warszawa 2008*



# Rafał Dębski

## TROJAŃSKI SPLIN

### Prolog

Zdarzyło się to w samym środku uczyty, kiedy właśnie wznosił kielich, wołając:

- Za nas, którzy jesteśmy kowalami własnego losu! Niechaj bogowie nie wtrącają się w nasze życie, albowiem sami umiemy sobie radzić. Za zwycięstwo!

- Za zwycięstwo! - odpowiedzieli biesiadnicy.

Wtedy właśnie porwała go nagle niesamowita siła, odwróciła na plecy i uniosła gwałtownie pod zdobiony maszkaronami, zakopcony sufit. Zamknął oczy, aby nie widzieć zbliżającej się, najeżonej płaskorzeźbami płaszczyzny, ale oczekiwane uderzenie nie nastąpiło. Zamiast niego poczuł wszechogarniającą falę zimna, a potem usłyszał niski kobiecy głos:

- Ależ wy, śmiertelnicy, cuchniecie. Jak można żyć w wiecznym smrodzie, wbijając w ciało obrzydliwe mięsiwa i zapijając je kwaśnym wińskim miast boskiego nektaru?

Otworzył oczy, ale niczego nie zdołał dostrzec. Otaczała go nieprzenikniona ciemność. Tylko ten huczący głos świadczył, że nie osunął się jeszcze w objęcia śmierci. A może nie osunął się w nie jeszcze do końca? A wreszcie i tego nie wiadomo – to przecież mogła mówić sama śmierć...

- Spokojnie, człowieczku. Jeszcze chwila i będę mogła zmyć z siebie twój odór.

Zaraz potem źrenice mężczyzny poraziło jaskrawe światło. Odnalazł grunt pod nogami, ale wraz z poczuciem własnego ciała ogarnęła go słabość. Osunął się z jękiem na twardą ziemię.

### 1

- Potrzebne mi to, zaiste - mruknął Priam, patrząc na niezliczone iskierki ognisk rozrzuconych wokół miasta. - Potrzebne mi to jak dodatkowa dziura w dupie.

- Co mówicie, panie? - Stary służący postąpił pół kroku, czekając na rozkazy.

Zawsze czekał na rozkazy, zawsze był gotów wypełniać drobiazgowo każde polecenie władcy. Wypełniał zaś te polecenia tak starannie i dokładnie, że z reguły coś psuł albo wychodziło mu odwrotnie. Był tak stary, że pamiętał jeszcze czasy dziada panującego władcy, choć wydawało się to prawie niemożliwe. Priam odwrócił się lekko, żeby sługa widział chociaż część jego twarzy.

- Nic nie mówię, w każdym razie nie do ciebie.

- Rozumiem, panie. - Starzec podążył za wzrokiem króla. - Do siebie mówicie. Wasz dziad też mówił do siebie. Ale wtedy stary już był i poniekąd zniedołężniały. Pamiętam, jak kiedyś naubliżał swemu odbiciu w zwierciadle, biorąc je za brata swego, który nie żył już od trzydziestu z górą lat. Zresztą, o tym, że nie żył, dziad wasz powinien wiedzieć najlepiej, albowiem sam go ukatrupił.

Priam machnął niecierpliwie ręką. Niech dziadyga zamilknie już. Doskonale znał historię śmierci dziadowego brata. Pokłócili się przy podziale łupów z pewnego statku, który miał nieszczęście osiąść na mieliźnie w pobliżu Troi. Legenda rodzinna utrzymywała, jakoby

starszy z braci zakął się śmiertelnie zatrutą przez czarownicę zapinką, przeznaczoną dla władcy dalekiej Persji, prawda była jednak taka, że krewniacy porżnęli się nożami, aż podłoga w skarbcu spłynęła krwią, przeżył zaś młodszy, miał bowiem więcej sił.

- Co rozkażecie, panie? - Sługa wziął zamaszysty gest za uzupełnienie polecenia.

Był głuchy jak pień, potrafił czytać wprawdzie z ruchu warg, ale teraz jego władca znów był odwrócony doń plecami.

Priam rozżłościł się na dobre. Miał dość! Miał dość wyrzekań Hekabe, ustawicznych kłótni między synami, ich żądań, intryg... W dodatku ten idiota Parys ze swoimi maślanymi oczkami, wiecznie siedzący przy Helenie, wciąż trzymający ją przy ludziach za rękę, za biust albo i gorzej...

Król odwrócił się do starego.

- Posłuchaj uważnie, Melaniposie - powiedział bardzo wyraźnie, żeby sługa mógł mimo zapadających ciemności dokładnie widzieć jego usta. - Udasz się teraz do stajen, rozumiesz? Nie, nie odpowiadaj, wiem, że rozumiesz. A zatem pójdziesz do stajen, wybierzesz tam najmocniejszą uprząż, jaką zdołasz znaleźć. Nie musisz się spieszyć, przynosisz jej do mnie, by się pochwalić pojętnością. Weźmiesz z niej podogonie. Wiesz, co to podogonie? Znakomicie. Uczynisz solidną pętlę i dowiążesz do niej najdłuższy rzemień uzdy. Tak, uzdy! Dobrze słyszysz... Tfu, przecie żeś głuchy, zapominam czasem... Dobrze zrozumiałeś. Potem przerzucisz koniec rzemienia przez belkę nad progiem. Tak, zgadza się, tę przy wejściu. Zasadniczo progi umieszcza się właśnie w takich miejscach. Przywiążesz to wszystko dokładnie. Nie, nie musisz mnie wołać, kiedy skończysz pracę, mnie to do niczego niepotrzebne, nie muszę widzieć, jak starannie wykonałeś węzły. Nie życzę sobie tego oglądać. Natomiast w zupełności zadowolę mnie, jeśli potem wleziesz na stołek, wsadzisz łeb w pętlę, a następnie kopniesz podparcie, uwalniając mnie od swego towarzystwa na zawsze.

Melanipos, zaskoczony, poruszył ustami, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale zmilczał. Podniósł dumnie głowę, obrzucił króla krótkowzrocznym spojrzeniem, po czym oddalił się dostojnym krokiem.

Priam miał nadzieję, że stary grzyb chociaż raz wykona polecenie, jak należy. Chociaż ten jeden raz. Mógłby zresztą wziąć przy tym do spółki swego imiennika, priamowego syna, którego król spłodził z niezapomnianą Arisbe. Nieraz władca pluł sobie w brodę, że uległ namowom żony, aby nadać chłopcu imię wiernego sługi. Było niczym jakieś przekleństwo. Kiedy potomek dorastał i ujawnił niektóre talenty, ojciec zaczął nawet podejrzewać, że spłodził go nie sam, lecz przy pomocy służącego – tak byli do siebie podobni w nieporadności, tak zgodnie potrafili zepsuć każdą rzecz. Tyle że staremu łapy trzęsły się z racji wieku, a młodemu, bo był... Właśnie...

Jedyne, co stanowiło pociechę, to fakt, że Melanipos sługa nie potrafił zrobić dobrze absolutnie nic. Zapewne w alkowie niewieściej szło mu równie niesporo, skoro nie dochrapał się własnego potomstwa, choć swego czasu ojciec Priama obdarował go całkiem okazałym stadkiem niewolnic. Być może właśnie Melaniposowi należało poczytywać za główną zasługę śmierć dziadowego brata, boć właśnie to on pielęgnował rannego. Wsadzić by go do rady wojennej Agamemnona, a Trojanie w ogóle nie musieliby walczyć. Oddziały dzikich Achajów i ich sprzymierzeńców jak nic wlażyłyby na najwyższą nadmorską skałę, aby wzorem lemingów skończyć w odmętach.

Król westchnął ciężko, spojrzął raz jeszcze na ogniska za murami i skierował się ku schodom, prowadzącym na dziedziniec.

- Czeka nas jutro ciężki dzień - rzucił do dowódcy gwardii, obchodzącego posterunki.
  - Tak, królu. Kolejny ciężki dzień. - Ogorzały, krępy mężczyzna zatrzymał się, skłonił z szacunkiem. - Powiadają, że brudni Achajowie sprowadzili skądś jakiegoś herosa, aby jednym oddechem skruszył nasz opór i rozegnał wojska.
  - Bzdury - prychnął pogardliwie Priam. - Tacy zdarzają się tylko w opowieściach.
  - Wiem, panie. Ale ludzie zaczynają już gadać, jak to ludzie. Boją się.
  - Powiedz im, że nijakiego herosa wróg nie ma, a jeśli kto się boi, możemy go zrzucić z murów w podarunku dla Agamemnona. Nikogo mocarniejszego od naszego Hektora nie masz na świecie. Nawet waleczny Ajaks unika z nim walki, choć powiadają, jakoby był najbieglejszym i najsilniejszym z wojowników tych brudasów.
- Dowódca gwardii w odpowiedzi skinął tylko głową, po czym odszedł do swoich obowiązków.

## 2

Potężny, umięśniony niczym bóg wojny mężczyzna szalał. Trudno byłoby nazwać to inaczej. Ciskał się po całym namiocie, rzucał naczyniami i sprzętami, nie zważając na uspokajający głos skulonego w kącie starego kapłana. Sprawiał wrażenie, że nie rozumie, co tamten do niego mówi. Zresztą w istocie tak było – nie pojmował ani słowa. Co więcej, chrapliwe dźwięki, wypowiedane przez dziwnie odzianego starca, drażniły go coraz bardziej.

- Uspokój się wreszcie - powiedział kapłan bardzo spokojnie, w narzeczu Irdi - zanim wpadnie tu Ajaks z przybocznymi i uczyni się bardzo nieprzyjemnie.

Rozszalały człowiek znieruchomiał. Kapłan kaleczył potwornie mowę ludzi stepów, ale przynajmniej coś dało się z jego gadaniny zrozumieć. Stary odetchnął z ulgą. Wreszcie nawiązał z osiłkiem nic porozumienia. Od samego świtu przemawiał do niego we wszystkich znanych sobie językach i narzeczach, aż wreszcie trafił.

Z tym że było już odrobinę za późno. Płachta wejściowa odfrunęła na bok, trzasnęła w szwach, z jękiem poddając się mocarnej dłoni.

Ajaks miał dosyć. Wściekłe ryki i trzask niszczonego sprzętów zbudziły go z twardego snu, zesłanego przez dobrotliwego Morfeusza, aby ukoić ciało po całonocnej hulance. Gdyby nie straż wystawiona przez Menelaosa, rozprawiłby się z awanturującym się głupcem od razu i poszedł dalej spać. Lecz gdy szedł tutaj, usłyszał od wartowników, że czcigodny Freos, kapłan Ateny, zakazał sobie przeszkadzać. Kto jak kto, ale człowiek służący ulubionej bogini wielkiego wojownika mógł sobie pozwolić na kaprysy. Ot, taki Kallimach na przykład, gorliwy wyznawca Hekate, mógłby zakazywać i nakazywać, grozić klątwą i gniewem swojej patronki, ale nie zdołałby powstrzymać Ajaksa, któremu pękała głowa, lędźwie zaś rwały, jakby je kto szarpał kleszczami. Agamemnon, znudzony długim obłęzieniem, znowu urządził wyprawę na jakąś osadę. Przywiódł ze dwadzieścia niewiast, z których może trzy się do czegoś nadawały. Właśnie one spędziły tę noc w namiocie pierwszej włóczni Achajów. Uśmiechnął się na wspomnienie igraszek, ale zaraz przykry grymas wykrzywił mu wargi, kiedy nadleciało przypomnienie, jak nad samym ranem zawiódł z kretesem. Zbyt dużo wina. Ale wszak bez należytej ilości trunku nie dotknąłby za nic przynajmniej dwóch spośród tych trzech branek.

Czekał cierpliwie przed namiotem kapłana, słuchał dobiegającego ze środka harmidru, aż

wreszcie nie wytrzymał. Nie zważając na to, że właśnie w tej chwili zapadła cisza, odtrącił strażników i wpadł do środka.

Żołnierze podnosili się z ziemi, rozcierając obolałe szczęki, jeden z przekleństwem wypluł zęb. Ajaks zdawał się czasem zapominać o swojej sile. Jego szturchaniec ważył tyle, co solidny głaz, a uderzeniem pięści potrafił zabić dorosłego byka. Tym większe było zdumienie poturbowanych ludzi, kiedy najtęższy znany im wojownik wyskoczył z namiotu niczym pocisk wypuszczony przez wprawnego trackiego procarza. Przeleciał w powietrzu dobre dwadzieścia łokci, zanim ciężko zarył w spieczoną ziemię najmniej honorową częścią ciała. Zerwał się natychmiast, czerwony na twarzy, spojrzał groźnie na żołnierzy. Ci udawali, że niczego nie zauważyli – tak było stanowczo bezpieczniej.

Freos wyszedł z namiotu, zgarnął na bok zerwaną płachtę, podszedł do Ajaksa. Bohater wyglądał na bardziej zdumionego niż rozłoszczonego. Na razie. W każdej chwili mogło się to zmienić. Jego sławetne napady szału były niczym szkwał na spokojnym morzu. Przychodziły niespodziewanie, niszczyły wszystko na swojej drodze, po czym błyskawicznie znikwały za horyzontem. Wszyscy zgodnie błagali bogów, żeby nawałnica pojawiała się podczas walki, a nie wspólnej biesiady.

- Co to było? - wymamrotał Ajaks. - Kto to był?

- Achilles.

Ajaks nie odpowiedział od razu. Może dlatego, że właśnie starał się powstrzymać nadciągający atak wściekłości. Kapłan patrzył na to spokojnie. Wielki wojownik zmagął się ze sobą, na potężnym karku wyskoczyły węzły mięśni i żyły, w kącikach warg pojawiła się piana.

- Daj już spokój - mruknął. - Ci durnie - wskazał żołnierzy - są dość załęknieni, a mnie w ten sposób nie przestraszysz.

Ajaks odetchnął głęboko, potarł dyskretnie stłuczone siedzenie.

- Kto to, powiadasz?

- Achilles.

Ajaks wzruszył ramionami.

- A kim on jest?

- Synem króla Peleusa i nimfy Tetydy, jak powiadają.

Wojownik zmarszczył brwi, spojrzał na kapłana z niedowierzaniem.

- Pierwsze słyszę. Ale mocarny z niego pachol, muszę przyznać. Zaskoczył mnie.

- Syn nimfy Tetydy i Peleusa? - rozległo się z boku.

Te słowa wypowiedział Kallimach, który bezgłośnie zbliżył się do rozmawiających. Ajaks spojrzał nań nieprzychylnym okiem. Zawsze irytował go ten pokurcz, który mimo iż powłóczył nogą, potrafił skradać się niczym lis.

- Nie inaczej - odparł z kamienną twarzą Freos. - Tetydy i Peleusa.

Kallimach zmrużył chytre oczka, rozciągnął usta w złośliwym uśmiešku. Ajaks miał ochotę trzasnąć pięścią w tę krzywą gębę.

- Jeżeli dobrze pamiętam - powiedział powoli kapłan Hekate - syna, który począł się ze związku z królem, nimfa postanowiła zanurzyć w wodach Styksu, żeby nadać jego ciału niezwykłą moc spiżu.

- Nie inaczej.

- Ale z tego, co słyszałem, głupia chwyciła szczeniaka za piętę i wsadziła go do rzeki głową na dół.

- Dobrze słyszałeś - rzekł zniecierpliwiony już Freos.

- Właśnie. Tyle że przytrzymała go zbyt długo i się utopił. Poszła potem za to na wygnanie i tułaczkę po dziedzinie śmierci, nie mając już czego szukać między żywymi.

Freos zgrzytnął zębami.

- A to zwyczajne łgarstwo- warknął. - Achilla o spiżowej skórze chowały kobiety w ukryciu, w dziewczęcym przebraniu, aby ukryć go przed zazdrością tak bogów, jak i śmiertelników, aby przyszedł nam z pomocą, kiedy nadejdzie pora.

- Wśród kapłanów krąży kilka wersji tej opowieści. - Kallimach zachowywał zupełny spokój.

- Prawdziwa jest taka, że Achilles uzyskał nadludzką moc i jest nieczuły na ciosy.

- I chcesz powiedzieć - Kallimach wydał pogardliwie wargi - że ten człowiek przebywa w twoim namiocie?

- Właśnie to chcę powiedzieć. Oraz dodać, iż będzie on godnym przeciwnikiem dla niezwyciężonego Hektora.

Kallimach spojrzał sceptycznie na mocarza, który ukazał się w wejściu.

- A jego pojawienie się nie ma nic wspólnego z tymi dziwnymi obrzędami, które ostatnio odprawiałeś? Nie wzywałeś na pomoc obcych sił, obcych bogów?

Freos nie odpowiedział, spojrzał tylko z wyższością na kapłana Hekate.

### 3

Trojanie wyroili się z bramy głównej i z tajemnych przejść, wypełniając wielką przestrzeń przed miastem. To miała być kolejna walna rozprawa. Rydwany i wspierająca je piechota zamierzały rozjechać przeciwnika, zmusić go do powrotu na okręty i natychmiastowego odpłynięcia. W pierwszym rydwanie jechał sam Hektor, przez obie strony zwany Niepokonanym. Sam jego lśniący hełm, ozdobiony purpurowym pióropuszem, budził strach wśród Achajów i Lacedemończyków. Ci ostatni starali się nie okazywać lęku, ale też żaden nie kwapił się, aby skrzyżować włócznię z potężnym synem Priama.

Król stał na murach, patrząc bez większego zainteresowania na to, co działo się w dole. Wbrew temu, co głosił zaledwie kilka godzin wcześniej, gdy żołnierze gotowali się do boju, nie liczył na szybkie rozstrzygnięcie. Wojownicy musieli od czasu do czasu upuścić sobie trochę krwi, inaczej umarliby z nudów podczas długich tygodni oblężenia. Ile to już? Trzy miesiące? Nie, cztery... Priam ziewnął dyskretnie. Za każdym razem musiał wychodzić na mury, żeby dodawać otuchy swoim ludziom. Taki był zwyczaj.

- Hektor znów pokaże, co znaczy prawdziwy trojański hart ducha - oznajmiła uroczyście Hekabe.

Król spojrzał na nią i skrzywił się. Chciał coś powiedzieć, ale pochwycił czujny wzrok starego Melaniposa. Kiedy tylko Priam otworzy usta, głuchy sługa zaraz zacznie dopytywać o rozkazy. I tak długo będzie męczył, aż jakieś otrzyma. A królowi nie chciało się dzisiaj nic wymyślać. Szkoda wielka, że stary nie potraktował ostatniego polecenia śmiertelnie poważnie i rzetelnie. Władca Troi przez chwilę miał ochotę wezwać gwardzistów i rozkazać im wykonać to, czego zaniechał, czy też nie potrafił uczynić Melanipos, ale i z tego zrezygnował. Stary mógł się jeszcze przydać. Nie wiadomo do czego, ale po przemyśleniu Priam uznał, że pozbyć się go ot tak, mimochodem, byłoby jednak marnotrawstwem – zupełnie jak wyrzucenie sandała nie do pary. A nuż znajdzie się ten drugi...

- Zaraz zaczniesz się bój - szepnęła królowa, zagryzając wargi.

Jak każda wysoko urodzona niewiasta, rozpuszczona bogactwem i dobrobytem, pragnęła mocnych doznań. Priam nieraz miał okazję przekonać się o tym w sypialni. A teraz jej serce tłukło się w oczekiwaniu na odór posoki i śmierci, na krzyki umierających, wycie rannych i okaleczonych. Nic tak nie zastrzało jej apetytu jak oglądanie krwawych zmagania. Król pokręcił głową. Nocą znów będzie od niego chciała nie wiadomo czego...

Ponure rozmyślenia władcy przerwały głosy rogów. Achajowie ruszyli naprzeciw wojskom trojańskim. Nad ciżbą żołnierzy poniósł się potężny głos:

- I niech Zeus Gromowładny pokarze swoich wrogów, tych, co kpią z jego mocy, z jego mądrości i dobrotliwości!

Po chwili od strony wojsk Agamemnona dobiegło:

- ... z jego mocy, z jego mądrości i dobrotliwości.

Co za głupota, pomyślał Priam, co za ostateczna głupota! Toż gdyby Zeus chciał wysłuchać modlitw wszystkich, którzy się na niego powołują, na świecie nie pozostałoby żywej duszy!

Wrzask ruszających na siebie mas wojska wzbił się pod niebo, skutecznie zagłuszając nawoływania kapłanów. Hektor nie ruszył w pierwszym rzucie. Już dawno nauczył się, że trzeba poczekać, aż walka rozpocznie się na dobre, inaczej jego obecność sprawiała, że przeciwnicy zaczynali się cofać, umykać przed jego ozdobionym skrzydłami rydwanem. Wtedy szeroki, ciężki miecz nie mógł nasycić się krwią. Rozpaleni bojem żołnierze byli nieco skłonniejsi mierzyć się z herosem.

Priam przymknął oczy, słuchając zgiełku bitwy. Będą się teraz tam w dole kotłować, kłębić i krzyczeć, słowem robić to wszystko, co powinni robić powołani pod broń mężczyźni. Królowi już dawno przejadły się wojny, bitwy i sława. Czasami nachodziła go myśl, że i życie mu się przejadło. Zazdrośni powiadali, że ma dwadzieścia żon i pięćdziesięcioro dzieci. Słusznie powiadali, nie wiedzieli jedynie, iż nie ma czego zazdrościć. Gdyby zawistnicy wiedzieli, ile to kosztuje zdrowia, o wydatkach nie wspominając...

Tymczasem bitwa wrzała. Sądząc po okrzykach przerażenia, Hektor już włączył się do boju. Pracował niby doświadczony żniwiarz, który jednym pociągnięciem sierpa potrafi skosić całą wiązkę zboża. Tyle że tutaj nie kłosa leciały w powietrze, lecz odcięte głowy i ręce.

Król Troi skrzywił się z niechęcią, słysząc obok spazmatyczny oddech żony. Ten okrutny barbarzyńca, którego nazywała swoim synem, w Priamie budził tylko niesmak. Góra mięśni, szeroki kark, z którego wyrastała niewielka główka. Kiedy wracał umazany krwią zarówno wrogów, jak i swoich – bo były chwile, gdy cuchnący wyziewami pola bitwy nie patrzył, kogo morduje – Hekabe wyglądała, jakby za chwilę miała się rzucić na wojownika i pojąć go na miejscu, na oczach wszystkich. Raziło to wysmakowany gust arystokraty aż do mdłości, musiał jednak za każdym razem przyjmować tępego osiłka z honorami, nazywać synem. Był mu potrzebny. Był potrzebny całej Troi.

Nagle zgiełk przycichł. Już po wszystkim? Priam, zaskoczony, otworzył oczy. Na błoniach wojska rozstąpiły się. Hektor zatrzymał rydwan i wytrzeszczonymi oczami przyglądał się człowiekowi, który stanął naprzeciwko niego. To znaczy, król nie widział twarzy najdzielniejszego z dzielnych, ale gotów był przysiąc, że tamten wytrzeszczył oczy, bo zdradzał to całą postawą.

A przed nim, w szerokim rozkroku, oparty na wielkim mieczu z kutego brązu, stał wspaniale zbudowany mężczyzna o skórze ogorzałej od słońca i wiatru. Miał na sobie

przykrótką tunikę, która nie pasowała ani do pokrytej kilkudniowym zarostem twarzy, ani do długich, ciemnych włosów. Przeciwnicy wpatrywali się w siebie przez dłuższy czas. W powietrzu czuło się napięcie podobne do tego, jakie zdarza się tuż przed potężną nawałnicą. To dlatego żołnierze obu stron przerwali walkę. Szykowało się prawdziwe widowisko.

- A to kto? - spytał Priam.

Kapłan Hery, Manichos, postąpił pół kroku, znalazł się tuż za władcą.

- Niejaki Achilles, którego Agamemnon z Menelaosem wezwali, aby poskromił Hektora.

- Achilles - powtórzył król. - Pierwsze słyszę... Chociaż nie... Dźwięk imienia jakby skądś znajomy. Tylko skąd?

- To ten, którego matka zanurzyła w wodach Styksu.

- A, tak! Całkiem głośno było o tym swego czasu. Ale ponoć nimfa utopiła dzieciaka i poniosła zasłużoną karę.

- Widać jednak nie - wymamrotał Manichos.

Mówił coś jeszcze, ale jego słowa utonęły we wrzawie, trwający do tej pory nieruchomo przeciwnicy rzucili się bowiem na siebie. Hektor zeskoczył z rydwanu i ruszył pędem w stronę Achillesa, który także zerwał się do biegu. Krzyczeli przy tym słowa, których zgromadzeni nie rozumieli.

- *Ar Cruum!* - wrzeszczał Achilles. - *Hareh Cruum!*

- *Ar Seith!* - odpowiadał Hektor. - *Hareh Seith!*

Wreszcie zwarli się. Achilles zamachnął się wielkim mieczem, cios trafił na wzmocnioną spizem włócznię wroga. Siła uderzenia była tak wielka, że z klingi dobył się dźwięk podobny potężnemu dzwonowi. Oręż zadrżał w rękach Hektora, lecz trojański bohater nawet się nie skrzywił. Od razu odpowiedział głębokim pchnięciem, które ześliznęło się po brązowym ostrzu.

- Co oni wołali? - Priam odwrócił lekko głowę w stronę kapłana Hery.

- Pojęcia nie mam, panie.

- To zdobądź owo pojęcie, głupcze! Wzywali z pewnością jakichś bogów, a ja życzyłbym sobie wiedzieć jakich. W końcu jeden z tych osiłków walczy po naszej stronie! Nie chciałbym, aby ściągnął na nas gniew mieszkańców Olimpu.

- Tak, panie.

Manichos wycofał się. W spokojnym głosie króla bezbłędnie rozpoznał niewypowiedzianą groźbę. Władca Troi zwykł zawsze stawiać na swoim, a wszelkie przeszkody traktował z całą bezwzględnością. Ludzi także. A może przede wszystkim ludzi. Bogom okazywał, oczywiście, należyty szacunek, ale tylko wtedy, kiedy byli mu potrzebni.

Walczący zmagali się w tytanicznym boju, pot spływał im po policzkach, ramionach, kapał na gorącą, suchą ziemię. Każdy cios każdego z nich zdołałby powalić legion wojska, lecz nie mogli dać rady sobie nawzajem. Dzwoniło ostrze miecza, sucho odpowiadało drzewce włóczni. Potem Hektor odrzucił włócznię, chwycił miecz równie potężny, jak ten, którym wywijał Achilles. Rozległ się huk, jakby na ziemię runęło w jednej chwili tysiąc dzwonów.

- Oni nie są z tego świata - szepnęła Hekabe, wpatrzona z zachwytem w widowisko.

- Obawiam się, że masz rację - powiedział cicho Priam.

W duchu postanowił, że porozmawia sobie tego wieczoru z całą radą kapłanów, a potem z Manichosem w szczególności.

Freos miał siną twarz, oddychał chrapliwie. A raczej próbował oddychać przez ściśnięte gardło. Gardło to ścisnęła zaś żylasta, mocarna dłoń Ajaksa. Po raz pierwszy wielki wojownik ważył się nie tylko sprzeciwić kapłanowi Ateny, ale na dodatek porwał się na niego samego.

- Kim on jest? - warczał wściekle, ściskając palce i nie zważając, iż nieszczęsny starzec nie dałby rady odpowiedzieć, nawet gdyby chciał. - Kim jest ten przeklęty siłacz?

Freos rzeził, oczy wyłaziły mu na wierzch, a wiszące w powietrzu nogi kopały rozpaczliwie, próbując dosięgnąć wrażliwych części ciała napastnika. Na próżno. Ajaks dzierżył nieszczęsnego kapłana w wyciągniętej ręce, udaremniając w ten sposób jakikolwiek opór. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie nagłe pojawienie się Achillesa. Wojownik, spocony jeszcze po walce, stanął w wejściu namiotu i obserwował scenę z dość umiarkowanym zainteresowaniem. Obok niego przepchnął się młody, zwinny grecki żołnierz. Na widok granatowej już twarzy szanowanego kapłana krzyknął przeraźliwie, spojrzał na Achillesa. Sam nie miał najmniejszych szans sprzeciwić się wspaniałemu Ajaksowi, który jedną ręką mógłby zgnieść zwykłego śmiertelnika. Chłopak nie odstępował nowego bohatera na krok. Kiedy zakończył walkę z Hektorem i obaj rozeszli się do swoich, zaoferował się nieść miecz Achillesa. Ten z początku nie chciał oddać broni, ale potem machnął ręką, pozwolił zabiegać koło siebie. Teraz, widząc przerażenie w oczach towarzysza, postąpił krok w stronę wijącego się Freosa i jego prześladowcy. Ajaks zmrużył oczy, wyszczerzył zęby, ale kiedy Achilles podszedł bliżej, puścił starego. Kapłan zwałił się ciężko na ziemię, chwycił obiema rękami za gardło. Z trudem zaczerpnął haust powietrza, jęknął przeciągle. Ajaks cofnął się krok, przygotowany na atak, jednak mocarz nie wykonał najmniejszego ruchu. Zamarł, wpatrzony w siną twarz Freosa. A potem powiedział coś w śpiewnym, nieco szumiącym i szeleszczącym języku.

Kapłan wyciągnął przed siebie dłoń, prosząc o chwilę cierpliwości. Achilles spojrzał na Ajaksa, odwrócił się do stojącego za nim młodego wojownika, odebrał od niego miecz.

- Idź stąd, Patroklesie - polecił Ajaks. - Nic tu po tobie.

Patrokles spojrzał na niego spod oka, lecz nie wypełnił polecenia.

- Nie słyszałeś? - warknął dowódca. - Odejdź, zanim wpadnę w gniew.

- Nie odejdę. Obawiam się, że kiedy Achilles odwróci się tyłem, wbijesz mu nóż w plecy.

- Jaki Achilles? Nie widzisz, że ten półgłówek nie rozumie nawet naszej mowy? To jakiś przybłęda! Może Hiperborejczyk albo inny barbarzyńca!

- Nieważne, zostaję.

Patrokles zacisnął pięści, przygotowany na wybuch szału Ajaksa. Jednak w tej chwili Achilles drgnął, spojrzał na chłopca, po czym wskazał wyjście z namiotu. Miał przy tym dziwnie łagodny, przepraszający wyraz twarzy.

- No, dobrze - sapnął Patrokles. - Ale będę czuwał w pobliżu.

- Odważny jesteś, chłopcze - te słowa wypowiedział kapłan. Mówił z najwyższym trudem, lecz przynajmniej mógł już oddychać. - Odważny, ale i głupi!



- Nie tak się umawialiśmy - syczał Set. - Nie tak, moja panno!  
- Pani - poprawiła go Afrodyta. - Mylisz mnie z Ateną. To ona jest wieczną panienką, biedactwo. Ja mam męża.  
- Wszystko mi jedno - odparł niecierpliwie Set. - Dla mnie wyglądacie tak samo odrażająco.

- Ty zaś nie jesteś zbyt piękny w naszych oczach.

Set wysunął rozwidlony język, łowiąc zapach kobiety. Gdyby wrzucono ją do zagrody jako ofiarę dla świętego węża, z radością wcieliłby się w zwierzę i z rozkoszą zamordował nieszczęsną. Ale zwyczajne patrzenie na nią kosztowało go bardzo wiele.

- Nie tak się umawialiśmy - powtórzył. - Co tutaj robi ten osiłek? Mój sługa poradziłby sobie z tamtą armią, gdyby nie przybył ten przekłety przybłąda z północy! Dopadłby w końcu nawet tego ich Ajaksa, któremu nie pozwalają z nim walczyć, żeby wojsko nie straciło ducha, gdyby zginął tak sławny dowódca!

- Możesz mieć pretensje do Hery. To ona namówiła Atenę, żeby przywlokła tego człowieka. Z pewnością na złość mnie. Wciąż nie może przeboleć, że to ja zostałam uznana przez ludzi za najpiękniejszą kobietę...

- O ile się orientuję, została za nią uznana ta, jak ją zwiecie... Ellen?

- Helena, tak - warknęła wściekle Afrodyta. - Ale nie na długo. Albo zginie w tej wojnie, albo się zestarzeje i znów laury pierwszeństwa przypadną mnie.

- Nieważne. Nie moja rzecz. Moją jest dotrzymać układu, a jakże mam to zrobić, skoro zjawił się mój największy wróg?

- Nie mówiłam przecież, że będzie łatwo. Żądasz wiele, więc rób swoje, a nagroda cię nie minie.

Wzdrygnęła się na myśl, że jeśli Set doprowadzi Greków do zwycięstwa, będzie się musiała oddać temu obrzydliwemu wężowi. Dreszcz, który ją przeszedł, zatrzymał się gorzką kulą w gardle, a jednocześnie poczuła dziwne, niechciane podniecenie oczekiwania na nowe, nieznanе doznanie. Nie wiedziała, dlaczego ten bożek pragnie mieć z nią potomstwo. Domyślała się tylko, że chodzi mu o zdobycie nowej mocy. Po co jednak moc na wpeł zapomnianemu bóstwu?

Set też się wstrząsnął, ale jedynie z obrzydzenia. Niech no tylko ta ludzka poczwara powije szczeniaka. Święty wąż zaraz go połknie. Niewinna dusza boskiego potomstwa powinna dać miażdżącą przewagę w walce ze znenawidzonym wrogiem.

## 6

Manichos patrzył wprost w spokojne oczy Priama. Obok starego władcy siedział Parys. Król Troi życzył sobie, aby ten pogardzany syn wysłuchał jego rozmowy z kapłanem.

- Co powiesz, sługo Hery? Skąd wziął się po tamtej stronie waleczny Achilles?

- To nie może być Achilles! - zaprotestował Manichos.

- Ale jest - odparł spokojnie Priam.

- To niemożliwe!

- Nie kłóć się ze mną - głos władcy nie wzniósł się ani o ton, ale kapłan natychmiast umilkł. Kiedy król krzyczał, można było liczyć na to, że jego gniew zakończy się policzkiem, kopniakiem, może kilkoma batami. Lecz gdy był tak niewzruszenie spokojny, nad głową tego,

przeciwno komu kierował niezadowolone, mając szept, miecz, a nawet pałka do łamania kości. - Nie słyszałeś, jak przekłęci Achajowie wykrzykiwali jego imię?

- Ale...

Priam uniósł dłoń, uciszając kapłana.

- Być może jest z niego taki syn nimfy i króla, jak z Hektora rodowity Trojanin. Skoro potrafiłeś przywołać na pomoc tego tępaka, może i oni uciekli się do podobnego sposobu?

- To niemożliwe, panie...

- Dlaczego?

Na to pytanie Manichos nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

- Ojciec - odezwał się Parys.

- Ty milcz, złe nasienie - warknął król. - Słuchaj i milcz. Ktoś musi przejąć po mnie schedę, a tak się składa, że wyrocznia w Delfach postanowiła, iż będziesz to właśnie ty. Jeśli dożyjesz... Czasami żałuję, że nie zadusiłem cię w kołysce, kiedy był na to czas. Ale czy człowiek może przewidzieć, jaki plon wzejdzie z zasianego nie w porę nasienia? Tak czy inaczej, muszę cię jakoś przygotować do rządów. Jeśli będzie czym rządzić - dorzucił gorzko.

- Wywołałeś tę wojnę i jeśli stracisz państwo, będziesz sam sobie winien.

- Ależ ojciec, przecież wiele razy mówiłeś, że tylko patrzeć, jak Grecy i tak do nas przyjdą, chcąc zająć te ziemie... Stoimy im na drodze do Tracji...

Priam patrzył z niedowierzaniem na syna.

- Jesteś głupcem - stwierdził. - Mówiłem też wiele razy, że nie wolno im dać powodu do wojny, zanim się umocnimy i przygotujemy. A ty co zrobiłeś, psie pomiotło?! - wrzasnął nagle, przypominając sobie chwilę, gdy Parys radośnie przedstawił mu piękną synową. - Zabrałeś żonę przekłętemu Achajowi, w dodatku bratu tego obrzydłego Agamemnona, najbardziej wściekłego demona, jaki się u nich zrodził!

Parys chciał coś odpowiedzieć, ale wtedy drzwi komnaty otworzyły się i dostojnym krokiem weszła młoda kobieta w granatowych szatach wieszczki. Skinęła głową Manichosowi, spojrzała na Parysa, a potem na Priama.

- Troja zginie, spłonie i zostanie zrównana z ziemią po fundamenty - oświadczyła, po czym powoli, majestatycznie opuściła pomieszczenie.

- Wariatka - mruknął Parys.

- Niebezpieczna wariatka - poprawił go Manichos. - Pochodzi z wieszczej linii rodu.

Priam prychnął pogardliwie.

- Wieszczą linia! Pęta się po ulicach i tylko ludzi straszy.

- Ale jej praprababka wywróżyła upadek miasta w straszliwej wojnie... I upadek nastąpił.

- Wiesz, ile razy Troja była palona i burzona? - przerwał mu Priam. - Przestań opowiadać bzdury! Taki los miasta leżącego na drodze różnych awanturników! A wszystkie te baby z pokolenia na pokolenie gadają, że Troja padnie. Wszystkie! Więc przez tyle wieków kilka z nich musiało utrafić! Przy każdej wojnie i przy każdym oblężeniu kolejna taka Kasandra wypelza ze świątyni i zaczyna wieszczyć, trzeba, czy nie trzeba! Pamiętasz, co było, kiedy ruszaliśmy na Mykeny i król Maranos przysłał nam pomoc? Ruch się zrobił w mieście, zamieszanie, więc ta głupia baba wylazła na mury i też zaczęła przepowiadać. Uznała armię naszego przyjaciela za napastników. Strażnicy zatrasnęli bramy, w mieście zaczęła się panika... Ledwie sobie poradziliśmy. Mało brakowało, a miasto spłonęłoby bez nijakiego najazdu. Od tamtej pory nasi poddani przestali zwracać uwagę na Kasandrę. Na szczęście.

- Ale ludzie znów wierzą w jej słowa.

- Jeśli tak, to oznacza tylko, że ludzie są głupi - machnął ręką Priam.  
- Są - przytaknął kapłan. - Jednak to oni stanowią o sile Troi. Musimy coś zrobić z tym greckim osiłkiem.

Król spojrzął na Parysa.

- Myśl, synu. - Owo „synu” najwyraźniej ledwie przeszło mu przez gardło. - Myśl, co zrobić.

- Dlaczego ja? - wezwany wzruszył lekko ramionami.

- Bo masz być władcą! - ryknął Priam, znowu nie panując nad sobą. - Bo to przez twoją zdziwę mamy Achajów na karku dziś, a nie za lat parę! Bo jeśli czegoś nie wymyślisz, zastanowię się, czy aby nie należałoby wydać cię Agamemnonowi i Menelaosowi! Wiesz, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłem?

Parys milczał. W jego ciemnych i głębokich oczach, płonących zniewalającym kobiety ogniem, próżno by szukać śladów myśli.

- Tylko dlatego, że oni i tak nie odpłyną - wyjaśnił król spokojnym już głosem. - Ale mogę dojść do przekonania, że warto za twoje życie kupić sobie chociaż krótki rozejm, kilka tygodni – czy nawet dni – spokoju. Dlatego myśl, głupcze! Teraz już rozumiesz?

Parys oblizał nerwowo wargi i skinął sztywno głową.

- Tak, ojczec...

## 7

Był piękny. Tak piękny, jak może być mężczyzna w sile wieku, doświadczony przez życie, ale wciąż jeszcze pełen wiary w lepszą przyszłość... Przynajmniej takie wrażenie sprawiał w pierwszej chwili, bo przy bliższym przyjrzeniu się było widać siateczkę zmarszczek wokół błękitnoszarych oczu, w których czaił się wyraz ogromnego znużenia.

- Żądam postawienia pierwszych świątyń - powiedział głębokim, niskim głosem. - I to natychmiast. Skoro masz, czego chciałaś, pora uczynić to, czego ja pragnę.

- Najpierw niech twój heros pokona herosa tamtej strony.

- Wiesz, że to niemożliwe, Ateno. Może niegdyś, kiedy posiadałem większą moc, potrafiłbym sprawić, aby mój sługa zyskał siłę większą od sługi Seta. Ale nie dziś. Od tysiąca lat panuje między nami równowaga.

- Twój sługa, Krummie? - prychnęła bogini. - Z tego, co wiem, on nie wierzy w bogów.

- Nie wierzy, lecz stoi po stronie dobra, a to pozwala mi wlewać w niego moc.

- A jego przeciwnik? Czy jest wcielonym złem?

- Nie. - Bóg pokręcił głową ze smutnym uśmiechem. - Jest taką samą ofiarą jak ten, którego ja dla was sprowadziłem. I tak samo nie wierzy w bogów, a raczej w to, że są cokolwiek warci. I ma słuszość. Ale Set nie pytał go o zdanie.

- Tak jak i ty.

- Tak jak i ja...

Atena milczała przez chwilę, a potem powiedziała cicho:

- Ty chcesz świątyń, a wiesz, czego zażądał Set?

- Wiem. Każdy z nas pragnie się wzmocnić, jak potrafi. On jest plugawym wężem, więc nurza się w plugastwie.

- A tyś jest wspaniałym bogiem - rzekła zgryźliwie kobieta - więc w czym się nurzasz? W

czystości?

- Bogowie zawsze mają ręce brudne i lepkie od krwi śmiertelników. Lecz wszak po to ludzie zostali powołani do życia, abyśmy mogli działać poprzez nich i kształtować ich losy.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. A ponieważ jestem boginią mądrości, zapewniam cię, że słyszałam chyba wszystkie największe bzdury, jakie można wymyślić.

- Zatem zyskałaś nowe doświadczenie! Co będzie ze świątyniami?

- Wszystko w swoim czasie. - Bogini uśmiechnęła się.

- W swoim czasie?! - Krumm pokręcił głową. - Musimy wszystko zrobić, dopóki ten wasz Zeus śpi. Przecież...

- O to się nie martw - Atena nie dała mu dokończyć. - Już jego małżonka zadba, aby się za wcześniej nie obudził. Ma swoje sposoby.

## 8

Walczyli od samego poranka. Kłuli się włóczniami, rąbali mieczami i próbowali rozjechać rydwanami. Priam, patrzący na to z wysokości murów, zaczynał podrzemywać, nie zważając na huk i wrzaski. Wojska, zmęczone całodziennym upałem, rozluźniły szyki, żołnierze posiadali na ziemi, patrząc tępo na zmagania wspaniałych wojowników. Ajaks dłubał w zębach drzazgą z włóczni, która po potężnym ciosie odłupała się od broni Hektora i padła u jego stóp. To trwało stanowczo zbyt długo. Trzy miesiące wcześniej oddałby wiele, aby znaleźć w szeregach kogoś, kto zdołałby przeciwstawić się straszliwemu Hektorowi, ale dziś miał tego dość. Nie tylko on. Odwrócił się, spojrzał w ponurą twarz Agamemnona. Od kilku dni, to znaczy od śmierci Menelaosa, który zginął jak ostatni głupiec, król najwyraźniej miał ochotę zakończyć wreszcie tę wojnę. W jakikolwiek sposób. W dodatku okrzyknięto, że Spartanina pokonał Parys. Pokonał... Leżał jak psia skóra, utyłany w piachu i Menelaos miał już zarznąć zasrańca, kiedy nagle padł jak rażony gromem. Od nadmiaru wina, gorąca i wysiłku musiała się w nim krew zapiec. Ale wśród ludzi poszedł szum, że Trojanom sprzyjają bogowie.

Nuda, jaką wiało nad polem bitwy, mogłaby przyprawić o śpiączkę nawet ruchliwą, wiecznie zaciekawioną wydrę. Ajaks wznosił oczy ku niebu. Czy bogowie też się pospali? U nich czas ponoć płynie inaczej, wolno lub szybko wedle ludzkiej miary, jak tam sobie uznają za stosowne. Ale może ich także uspiły całodziennie pojedynki Achillesa z Hektorem?

Wódz ziewnął, wycofał się z szeregów, poszedł do obozu. Dziś nic się nie rozstrzygnie, a trzeba koniecznie coś z tym zrobić. Minął młodziutkiego Patroklesa, który stał z rozdziawionymi ustami. Przynajmniej temu podobało się widowisko. Przyklepił się do Achillesa niczym kleszcz i nie zamierzał go opuszczać. A i ten osiłek najwyraźniej polubił dzieciaka. Kręcąc głową, Ajaks zmierzał do namiotu Freosa.

Priam tymczasem przywołał Manichosa.

- Wiem, że dokonałeś szalbierstwa razem z kapłanką Afrodyty - mruknął król.

- Jakiego szalbierstwa, panie? - spytał Manichos urażonym tonem.

- Z moim, tak zwanym, synem – Hektorem.

- O czym mówicie, władco?

- Nie udawaj. Tak dalej być nie może. Wojna musi się kiedyś skończyć, inaczej...

- ... inaczej wszystko straci sens - dopowiedział Ajaks. - Po to się walczy, aby wygrać

albo przegrać, a to, co wyczyniają te dwa barany, przeczy wszelkim zasadom.

- Naprawdę uważasz, że to moja sprawka? - spytał Freos.

- Oczywiście.

Do namiotu wszedł Agamemnon.

- Trzeba to przerwać! - powiedział zdecydowanie.

- Więc pchnijcie armie do boju! - zaproponował kapłan.

- Nie udawaj głupca - warknął król. - Po co mają się bić? Nawet jeśli ktoś zyska przewagę, zawsze pozostają obrzydli herosi. Dopóki trwają ich zmagania, nic się nie zmieni. Jeśli chcesz, możesz zaprzeczać, ale...

- ... ale każdy rozsądny człowiek bez trudu się domyśli, że to sprawka bogów, a zatem i kapłanów. Dla mnie jasne jest, że po stronie Troi stoją urażona Hera i nie mniej urażona Afrodyta...

- Hera nie stoi po żadnej ze stron! - zaprzeczył żarliwie kapłan. - Co uczyniłem, na mój niech idzie rachunek.

- Ciszej - syknął Priam. - Nie wszyscy muszą słyszeć, o czym rozmawiamy. Hera może nie zajęła wyraźnego stanowiska, ale miesza się w to wszystko bez wątpienia, skoro nie ukarała swojego kapłana za samowolę. A co do Afrodyty – nie mamy wątpliwości, prawda?

Manichos przygryzł dolną wargę.

- Co chcesz uczynić, królu? Zabić Hektora? Wydać nas na pastwę brudnych Achajów?

- Zabić? Nie. Trzeba zrobić tak, żeby...

- ... żeby jeden zarznął drugiego. A potem ten drugi powinien zginąć. Każdy ma jakąś słabość. - Agamemnon podrapał się w głowę. - To jak ta nimfa miała zanurzyć Achilla w rzecze? Trzymając go za piętę? Trzeba to będzie wykorzystać.

Kapłan spojrział na króla ze zmarszczonymi brwiami.

- Co zatem proponujesz, panie?

- Należy rozjuszyć Achillesa tak, aby na pewno pokonał Hektora.

- A wtedy zwyciężymy! - zapalił się Ajaks.

- Nie tak szybko. - Agamemnon zamyślił się. - Nie pora teraz myśleć o zwycięstwie. Bez pomocy wroga nie damy rady przeprowadzić tego, co zamierzyłem!

- A co zamierzyłeś?

- Idąc tutaj, minąłem Patroklesa. I coś mi zaświtało. Najpierw musimy...

- ... musimy porozumieć się z wrogiem - podsumował Priam. - Pozbędzimy się tych dwóch i doprowadzimy wojnę do końca.

- Czy to aby rozsądne? - wyraził wątpliwość kapłan.

- A to niby jest rozsądne?! - Król wskazał zmagających się herosów.

## 9

Hera nuciła tęskną melodię, stojąc przy tronie, na którym siedział Zeus, z odchyłoną lekko do tyłu głową. Bóg bogów trwał pogrążony we śnie, w którym ścigał właśnie Ledę o łabędziej szyi, aby posiąść ją w najbardziej wyrafinowany sposób.

Hera przymknęła oczy. Następna wizja powinna być bardziej kusząca od poprzedniej, inaczej mąż gotów się zbudzić. Zerknęła na tarczę, opartą o podnózek tronu, na złotą włócznię, tkwiącą w żelaznej prawicy Zeusa. Cóż dla mężczyzny może być bardziej pociągającego po

zdobyciu upragnionej kobiety niż rzucenie się w wir walki?

Zeus westchnął przeciągle, spadając złotym deszczem na zaskoczoną kochankę. Spełniony, zaczął otwierać oczy, ale wtedy Hera wzniosła głos o kilka tonów, rozpoczynając nową pieśń, niespokojną, a zarazem niesłychanie pociągającą. Bóg przymknął powieki, a na jego twarzy pojawiła się srogość.

## 10

Patrokles polerował wspaniały miecz swego mentora. To była cudowna broń, dla chłopca z pewnością zbyt ciężka, ale w rękach silnego wojownika bardzo skuteczna. Dała się poznać ta klinga niejednemu, którzy wyzywali na walkę Achillesa. A zdarzało się to na początku, zanim żołnierze doszli do przekonania, że niezbyt rozumnie osiągać sławę wojenną kosztem własnego życia. Pamiętano jeszcze mgliście imię pierwszego bohatera, który porwał się na niepokonanego wojownika, ale następni ginęli właściwie bezimiennie.

- Chcesz ćwiczyć? - spytał Achilles, kalecząc potwornie język grecki.

- Oczywiście, mój panie!

Wyszli przed namiot. Pierwsze promienie słońca osiadały na murach miasta krwawymi plamami, barwiły świat nierzeczywistymi kolorami.

Stanęli naprzeciwko siebie, z dużymi tarczami i zwykłymi mieczami. Ucząc Patroklesa, Achilles nie używał ukochanej broni. Zbyt lubił krew. Zadał pierwszy cios, wkładając weń tyle tylko siły, aby uczeń poczuł uderzenie, ale nie uszkodziło mu ono ręki. Chłopiec uniósł tarczę, odbił klingę, a potem wyprowadził pchnięcie dołem, nie kończąc go jednak, lecz robiąc obejście przez lewą nogę i uderzając krawędzią tarczy. Achilles zawirował w obrocie w tym samym kierunku, postąpił krok, znalazł się za plecami Patroklesa. Uderzył lekko płazem w odsłonięte ramię przeciwnika i zaśmiał się.

- Bądź czujny - rzekł. - Zawsze bądź czujny.

A potem powiedział coś w dziwnym języku, jakim porozumiewał się z Freosem.

Ajaks obserwował scenę, ukryty za niewielką skałką, którą na rozległą równinę przywiały dawno temu jakieś boskie wiatry.

- Bogowie dali ci talent - mruknął do siebie, patrząc z pewnym podziwem na ćwiczącego Patroklesa. - Szkoda cię będzie, ale cóż zrobić...

## 11

Odyseusz nie był zdziwiony powierzoną mu misją. Nie zaskoczyło go też, że Priam bardzo łatwo zgodził się na rozmowę. Posłaniec władcy Troi spotkał człowieka Agamemnona w połowie drogi. To też nie zdumiało króla Itaki. Zresztą, nie dziwił się niczemu, szczególnie w ostatnim czasie. Może tylko temu, jak długo monarchom przeciwnych stron zajęło dojście do przekonania, do którego on doszedł już dawno temu. Natomiast sposób, zaproponowany przez Agamemnona, wywołał w starym lisie coś na kształt podziwu. Cóż za cudowna podłość. Trzeba przyznać królowi Achajów, że potrafił myśleć rozsądnie. Jeśli, rzecz jasna, mu się chciało.

Tego ranka Achillesa obudził Ajaks. Wykrzykiwał mu coś nad głową, wymachując rękami. Heros stanął na równe nogi, chwycił miecz, spodziewając się nagłego ataku, zaraz jednak wypuścił broń z ręki, dochodząc do przekonania, że gdyby ten krzykliwy byczek chciał mu uczynić krzywdę, nie budziłby go, tylko zarznął we śnie. Ajaks zaś chwycił Achillesa za rękę i pociągnął za sobą. Na zewnątrz herosa oślepiło wschodzące słońce, tak że dopiero po chwili zobaczył to, co mu chciał pokazać Grek. Najpierw dostrzegł łachman leżący na ziemi, a dopiero potem, gdy przed zaspanymi oczami przestały latać barwne plamki, odgadł, że to jakieś ciało. Wzruszył ramionami – ani to pierwsze, ani ostatnie zwłoki, jakie w życiu oglądał. Ale przecież Ajaks nie pokazywałby mu byle trupa, coś musiało być na rzeczy. Przyklęknął, odgarnął płaszcz z twarzy nieboszczyka.

Zamarł.

Spojrzało na niego szkliste oko. Znajome oko pośród zmasakrowanej straszliwie twarzy. Drugie było niewidoczne, może nawet zostało wybite. Powoli odkrywał wełnianą materię, patrząc na okaleczone okrutnie ciało.

- Kto? - spytał chrapliwie.

Ajaks, który czekał w milczeniu, aż Achilles skończy oględziny, zaczął bardzo szybko przemawiać. W podnieceniu używał jakiegoś zupełnie niezrozumiałego dialektu, przypominającego grekę, ale bardzo mgliście. Bez tego Achilles miał ogromne kłopoty z trudnym językiem. Zaczął rozglądać się za Freosem, lecz kapłana w pobliżu nie było. Ajaks potrząsnął głową, a potem powiedział bardzo powoli, tym razem wyraźnie:

- To uczynił Hektor. - Słowa wsparł gestem, wskazując na Troję.

Achilles zgrzytnął zębami, a potem skoczył do namiotu i wybiegł stamtąd z mieczem. Nie zabrał ani włóczni, ani tarczy.

Ajaks z zadowoleniem pokiwał głową, rozejrzał się. Od strony obozu nadchodził Odyseusz. W dłoni trzymał zakrwawiony nóż, który wycierał z roztargnieniem w kawałek białej materii.

- Freos nie będzie nam już przeszkadzał - oznajmił beznamiętnie. - Kallimach zresztą też.

- Jego nie miałeś zabijać - powiedział zaskoczony Ajaks.

- Śledził mnie, kuternoga - odparł Odyseusz. - A poza tym, jakoś nie mam zaufania do kapłanów. Zawsze chcą coś ugrać i porozumiewają się nad głowami sprzymierzeńców.

- Jak wszyscy - zauważył Ajaks.

- Ale oni aż za bardzo.

## 13

Uderzenie w tarczę było tak potężne, że złocony spiż oddał je ogłuszającym dźwiękiem. Potem nastąpiło jeszcze jedno, i kolejne. Hera, skonfundowana, przerwała pieśń, a Zeus otworzył oczy.

- Co się stało? - spytał półprzytomnie.

Bogini próbowała znów zanucić usypiającą melodię, ale mąż powstrzymał ją niecierpliwym gestem.

- Znów coś knujecie! - warknął. - Najpierw upojna noc z tobą, potem wspaniałe sny...

Mów, natychmiast, co się dzieje! I kto uderzył w tarczę?

Hera otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale przerwał jej niecierpliwy gest męża. Przed tronem Zeusa stało widmo. Pocięte i okaleczone widmo młodzieńca o smutnych oczach.

- Kim jesteś? - spytał Zeus.

Duch nie odpowiedział. Odwrócił się i odszedł.

Zeus spojrzął na Herę.

- Młodzieniec o czystej duszy - mruknął. - Nikogo innego Hades nie zgodziłby się wysłać tutaj, aby uderzył w Tarczę Gromu i zbudził moją czujność. Nikomu innemu nie zawierzyłby, iż raz wypuszczony, wróci do Podziemia plątać się bez celu po Elizejskich Polach... Młodzieniec o czystej duszy - powtórzył. - Musiał zostać skrzywdzony za sprawą bogów, skoro przybył przed moje oblicze i zdołał wzbudzić głos Tarczy...

Hera spuściła oczy.

- Zaraz sobie porozmawiamy - rzekł głośno Zeus. - Zobaczą tylko, co właściwie zaszło, o co się znów pokłóciliście i co zdążyliście nawyrabiać.

## 14

Achilles stał pod murami miasta i krzyczał. A właściwie nie tyle krzyczał, ile wydobywał z siebie głos przypominający ryk lwa. Wołał w dźwięcznie brzmiącej, obcej mowie. Pod jego nogami leżały zakrwawione zwłoki.

Priam stanął przy blance, obserwując awanturującego się wojownika. Na jego ustach zagościł lekki, ledwie dostrzegalny uśmiezek.

- Sprowadź no tutaj Hektora - powiedział do stojącego za nim Melaniposa i od razu skarcił sam siebie za bezmyślność. Stary, oczywiście, nie wie nawet, iż ten na dole wydziera się tak, że mury drżą, a już na pewno nie słyszy swojego pana. Przywołał gestem strażnika. - Zawołaj Hektora. Chyba ktoś wprasza się do niego w gości.

A potężny człowiek na dole nie przestawał krzyczeć. Nawet z wysokości murów widać było łzy płynące po jego policzkach, bryzgi śliny i nabrzmiące na karku żyły.

Hektor przyszedł po kilku chwilach. Cuchnęło od niego przetrawionym winem, niemytym ciałem i tanimi pachnidłami, jakich używały tanie dziwki. Priam był pewien, że za jedną z tych ladacznic przebrała się jego ukochana małżonka. Lubiła śmierdzących potem i krwią żołnierzy.

- Achilles czegoś od ciebie chce - powiedział powoli i wyraźnie do przybyłego.

Hektor wybałuszył na niego oczy. Przez cały czas pobytu w mieście nie nauczył się ani jednego słowa ponad „jeść”, „pić” i „dziewki”. Król wskazał mu, aby podszedł do blanki. Hektor przez chwilę patrzył na Achillesa, który na jego widok bluznął potokiem słów w taki sposób, iż nikt nie mógł żywić wątpliwości, że są to najgorsze wyzwiska, jakie człowiek wymyślił od samego zarania dziejów. Hektor odpowiedział przeciwnikowi w podobnym tonie.

W tym czasie nadbiegł Manichos, a za nim Parys wraz z tłumkiem dworzan. Królewski syn stanął z boku, obserwując rozwój wydarzeń.

- O co im poszło? - spytał Priam. Nie mógł sobie pozwolić, aby sprytny kapłan odgadł, iż jego król jest lepiej zorientowany w sprawie, niż powinien.

- Achilles zarzuca Hektorowi, że w bestialski sposób zabił tego młodzieńca. A Hektor twierdzi, że tego nie zrobił. Mam nadzieję, że się nie porozumieją, panie - dodał kapłan ciszej.



Tak, to była najślabsza część planu, pewne ryzyko, bo dla Hektora oskarżenie o brutalny mord było taką samą nowością, jak i dla innych Trojan. Król liczył jednak na wrodzoną tępotę swojego „syna”. Tacy jak on zwykli najpierw działać, a potem myśleć, jeżeli w ogóle byli skłonni po tym działaniu do jakiegoś „potem”.

Hektor nie zawiódł oczekiwań władcy. Po kolejnej porcji wyzwisk ze strony Achillesa poderwał się i wrzasnął coś do Manichosa.

- Miecz dla wojownika! - zawołał kapłan. - Nie daruje zniewagi!

Spojrzał przelotnie na króla.

Obaj odetchnęli z ulgą. Teraz chodziło tylko o to, żeby bogowie odwrócili twarz od ludzi, którzy popełnili tak potworną zbrodnię, jak mord niewinnego młodzieńca, prawie dziecka jeszcze. To znaczy od obu walczących stron. Należało uczynić jeszcze tylko jedno, aby ich dostatecznie rozgniewać. Priam wydobyl krótki, paradny mieczyk i zniecka wbił go po rękojeść w pierś Manichosa. Miał nadzieję, że Odyseusz należycie wykonał swoją część pracy.

- Za co? - jęknął kapłan, osuwając się na kolana.

- Za zdradę! - odparł spokojnie Priam. - Za znoszenie się z wysłannikami wroga. Może zaprzeczysz, że byłeś poprzedniej nocy za murami i widziałeś się z królem Odysem?

Manichos otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale w tej chwili wdarło się w nie lśniące ostrze oszczepu. Nieszczęśnik przewalił się powoli na plecy, zamarł z uniesioną wysoko głową, gdyż z karku sterczał mu brązowy grot, a potem przetoczył się na bok. Priam spojrzał na Parysa z wdzięcznością bodaj po raz pierwszy w życiu.

- Zdrada zawsze musi zostać ukarana - rzekł głośno. - Ten robak i tak wykpił się szybką śmiercią, choć zasłużył na ćwiartowanie lub zgoła rozrywanie końmi! Synu, dziękuję za pomoc.

Parys skinął głową, a Priam zawołał, aby czym prędzej odwrócić uwagę od zajścia:

- A teraz popatrzmy na śmiertelne zmagania bohaterów!

Mam nadzieję, że śmiertelne, dodał w myślach.

## 15

Stali w rzędzie, ze spuszczoneymi głowami. Nawet Set, na żądanie władcy bogów, przybrał znieawidzoną postać człowieka, z nawyku tylko wysuwał od czasu do czasu język, co dodatkowo wyprowadzało z równowagi i tak już rozjuszonego Zeusa, który drgnął nagle, niczym koń żgnięty ostrogą, i spojrzał na pobladłą Herę.

- Przyszła kolej na twojego człowieczka - warknął. - Ci durnie na dole zabili nam już trzech kapłanów i jednego niewinnego młodzieńca w ciągu zaledwie jednego poranka. Zadowoleni jesteście? Liczyliście może na to, że jeśli prześpię te wszystkie wydarzenia, mój gniew będzie mniejszy?

Milczeli, a on patrzył po kolei na piękne oblicze Afrodyty, zarumienione ze wstydu policzki Ateny, bladą cerę Hery, czerstwą, przystojną twarz Krumma i węzowe źrenice Seta, jedyne zresztą, który odważył się spojrzeć w oczy zagniewanemu bogowi bogów.

- Wyglądacie jak grupa smarkaczy, którzy dla zabawy utopili psa sąsiada i zostali przyłapani - ciągnął Zeus. - Chcecie się kłócić, prowadzić nawet ze sobą wojny? Proszę bardzo! Po to jesteście bóstwami. Ale dlaczego wciągacie do tego obcych? - Wskazał ruchem

brody stojących na końcu. - Co chcieliście uzyskać?

Znów odpowiedziała mu cisza.

- Afrodyta obiecała ci się oddać i urodzić dziecko - rzekł do Seta. - Niby jesteś bogiem, a jednak głupcem. Ta kobieta to zwyczajna nimfomanka! Daje każdemu, kto ją o to poprosi, a jeśli nie poprosi, sama mu wchodzi do łóżnicy! Lubi nowości, uwielbia wszelkie perwersje, jest w tym niezmiernie podobna do swojej ulubienicy, obecnej królowej Troi. Ostatnią rzeczą, jaką by zrobiła, to pozwolenie, aby twoje nasienie powołało w niej nowe życie. A ty się nie uśmiechaj! - skarcił Krumm. - Nie jesteś lepszy. Świątyni ci się zachciało?! A nie wiesz to, że żaden z bogów nie może nakazać wznieść najmniejszego chramu bez mojego pozwolenia? Nie wiesz, widzę. Atena nie raczyła cię o tym powiadomić, prawda? Kto wie, może jej się zapomniało? Głowę ma tak wypełnioną mądrością, że brakuje w niej już miejsca na takie drobiazgi, jak pamiętanie o prawach Olimpu!

- Ależ ojciec... - zaczęła spostonowana bogini.

- Nie odzywaj się! - wrzasnął Zeus. - Dość już się nagadałaś z tym barbarzyńskim przybłądą! I nic dobrego z tego nie wynikło!

- O, Gromowładny Kronido - zasyczał Set przymilnie, lecz i jemu nie było dane dokończyć.

- Zawrzyj pysk, gadzie! W niczym nie jesteś lepszy czy gorszy od tej hałustry! Wasza piątka to tylko drobna część całej tej sprawy. Jestem pewien, że gdybym pogrzebał głębiej, musiałbym wezwać jeszcze Apolla, Hermesa, Marsa i pół panteonu, jeśli nie cały nawet. Może jedynie Dionizos by się obronił, choć i tu nie mam pewności. Potem dokładnie zbadam co i jak, na razie nie ma na to czasu. Trzeba naprawić, coście popsuli!

Zamilkł, znów mierząc ich surowym spojrzeniem. Ciszę odważyła się przerwać Hera.

- Co zatem rozkażesz, drogi mężu? - spytała miękko, ociekającym żalem głosem.

Zeus już miał wybuchnąć gniewem, ale zatroskane, pełne skruchy oczy żony sprawiły, że złość zaczęła go opuszczać. Co ta kobieta w sobie ma, że on nie potrafi się na nią gniewać?

- Na razie wycofajcie się z wojny o Troję, zabierzcie stronom wszelkie łaski i nie wazycie się więcej ich udzielać.

- Ale ich modły, ich wiara...

- Popełnili potworną zbrodnię, macie więc pretekst, aby opuścić wojska. Zresztą, jeśli się nie mylę, przyjmą to z wielką ulgą. Może to nauczy ludzi, chociaż na jakiś czas, że korzystanie z łaski bogów bywa wielce ryzykowne i niezwykle często przynosi więcej szkód niż pożytku.

- A co będzie potem?

- A potem się policzymy! Wszyscy otrzymacie zasłużoną karę.

Znów spojrzął na Herę i zrozumiał, że po raz kolejny daruje jej przewiny, nawet to nieszczęsne trzymanie go w uśpieniu. Jeśli zaś jej się upiecze, także pozostali nie mogą zbyt ucierpieć, choćby byli awanturnikami z obcego panteonu. Zresztą, Krumm i Set i tak setki lat wcześniej zostali skazani na zapomnienie. Nie uda im się przeniknąć w pamięć następnych pokoleń. Pokonali wprawdzie ostatnim wysiłkiem granice czasu, przenieśli swoich wysłanników przez jego meandry i wiry, ale nie potrafili doprowadzić gry do końca. Skonają gdzieś tam, na zimnej północy, ich postacie wyblakną – po części wsiąkną w skały i ziemię, po części zaś ulecą w gwiazdy. Może kiedyś jakiś poeta, patrząc w niebo, będzie miał przeczucie, iż istnieli nieznani mu bogowie, może nawet poświęci im strofy kilku poematów, ale nic więcej...

Trup Hektora wzniecał kłęby kurzu, kiedy zwycięski Achilles włożył jego ciało wokół murów Troi. Wznosił triumfalne okrzyki w niezrozumiałym języku, chełpił się zwycięstwem. W trakcie walki zdarzyło się coś dziwnego. Nagle poczuł w karku dziwne ukłucie, które sparaliżowało go na chwilę. Dostrzegł, że przeciwnik także znieruchomiał. A potem miecz wydał się cięższy niż do tej pory, nadciągnęło nieznane dotąd, niesamowite zmęczenie. Przeraził się. Za chwilę wróg wraził w jego pierś szerokie ostrze albo zgoła zetnie mu głowę. Ale Hektor nie ruszał się. Trwał w bezruchu, jakby został nagle zamieniony w posąg. Achilles wykorzystał chwilę niepewności, wyprowadził cięcie. Uczynił to ostatkiem sił, nie mając nawet nadziei na powodzenie. Trafił jednak. Wprawdzie wróg próbował odskoczyć, zasłonić się, ale nie zdążył. Nie zdążył po raz pierwszy od początku wielomiesięcznych zmaganiań. Trysnęła krew z przeciętej szyi, struga posoki strzeliła prosto w oczy Achillesa, a ten oślepiiony zadał następny cios, tym razem głębokie pchnięcie. Na cięcia nie miał już sił. Miecz wdarł się między żebra Hektora, zgrzytnął o kręgosłup. Achilles stał, ciężko dysząc, zmęczonym gestem ocierał oczy. Ale zaraz potem wezwał rydwan, przywiązał wroga za nogi i zaczął nim poniewierać. Sił dodawała mu świadomość wygranej i żal po utracie jedyne go człowieka, do którego się przywiązał w tym świecie.

Priam patrzył na triumfującego wojownika i uśmiechał się w duchu. Przywołał syna.

- Widziałeś - szepnął. - Zauważyłeś, jak był zmordowany po zwycięstwie? Nie jest może zwyczajnym śmiertelnikiem, ale bogowie zabrali mu łaski. Podczas najbliższej bitwy postaraj się ustrzelić go z łuku. Najlepiej zatrutą strzałą w piętę, żeby mieć pewność. To chyba potrafisz?

## Epilog

Pojawił się równie nagle, jak zniknął. Spadł spod powały wprost w mięsiwa i owoce. Uczujący nie zdążyli jeszcze ochłonać ze zdumienia po tym, jak ich król rozpułynał się w powietrzu, a już mieli go przed sobą zakrwawionego, pokrytego kurzem, z koszmarnie pozdzieraną na całym ciele skórą, poderżniętym gardłem i wielką dziurą w brzuchu.

Był martwy.

Ten, którego nazywali władcą, nie żył.

Potem powiadano, że zabił go gniew bogów, którym uparcie urągał i w których moc nie chciał uwierzyć. Pochowano go po cichu, daleko od murów stolicy, aby nie ściągnąć na jej mieszkańców przekleństwa i nie wszczynać zbędnego niepokoju, a ludowi oznajmiono, iż król wyruszył na następną wyprawę, aby do przydomków Barbarzyńca i Niszczyciel dorzucić kolejny...

# Robert J. Szmidt

## BARBARZYŃCY

Czego te pomioty szkaradka dodają tutaj do wina? pomyślał Tranog, nie otwierając oczu. Czuł suchość w gardle, jakby mu kto nasmarował przełyk olejem, a potem wraził tam żagiew. Nie to jednak wydawało mu się najdziwniejsze – podobne wrażenie miewał bowiem setki razy, ilekroć budził się po udanej popijawie. Tym razem do nieznośnego palenia doszło uczucie, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Kołysanie. Mocne kołysanie. Za nic nie chciało ustąpić, choć powinno. To, że kręciło mu się we łbie, kiedy padał na poślanie, mógł jeszcze zrozumieć. Normalka po siedmiu garncach wina i skromnej beczułce lury zwanej dla niepoznaki piwem. Ale żeby po całej nocy snu nadal mieć takie problemy? Nie chodziło o to, że rytmiczne ruchy przyprawiły go o mdłości. Rzyganie jest dla mieszczuchów i magistrów. Barbarzyńca, jak już coś zje, to na dobre. Nawet kości i kopyta.

A może nie spał tak długo, jak mu się zdawało. Ta myśl sprawiła, że uniósł powieki ważące teraz więcej niżli solidne młyńskie kamienie. Ciemność zobaczył, ciemność. Zatem noc jeszcze młoda, winko nie zdążyło wywietrzeć, stąd i kiwanie... Trza się przewrócić na drugi bok, uznał. Po chwili doszedł do wniosku, że w ogóle powinien się ułożyć wygodniej, bo teraz leżał twarzą do ziemi. Spróbował poruszyć zdrętwiąłą ręką, ale nie zdołał. Co znowu? Otworzył oczy, tym razem szerzej. Wokół panowały gęste ciemności. Nastawił więc ucha. Chlupot wody, trzeszczenie takielunku, pisk ptaszydeł. Znaczy nadal jest w porcie. Czyżby po ómaku wpadł do jakiegoś dołu? Przecież nie był aż tak pijany! Siedem garnców, i to wcale nie takich wielkich, rozwodnionego wina podłej jakości i... góra pięć piw! To miałyby go pozbawić zmysłów? Wypijał dwukrotnie więcej i nawet język mu się nie plątał, a dziewczki piszczały z zachwytem, gdy którą potem obłąpił.

Znowu spróbował poruszyć rękami. Coś brzęknęło. Czuć powoli wracało, więc zdołał stwierdzić, że ruch prawej dłoni pociąga zarazem lewą. Zdumiewające, zdążył pomyśleć, zanim stała się światłość.

- Nasz kochanieńki skarb już się obudził - powiedział człowiek stojący tuż obok Tranoga, a chwilę później z oddali dobiegł zgodny rechot wydobywający się z wielu gardeł.

Barbarzyńca zacisnął powieki, by oślepiający blask nie wypalił mu oczu. Szarpnął się mocniej, lecz nie zdołał oswobodzić rąk. Ktoś mu je spętał – dość grubym łańcuchem, sądząc po odgłosach.

- Chdże ja... - wycharczał, nie otwierając oczu, i natychmiast zaniósł się kaszlem. Czyżby połknął płomień, które przed momentem go oślepiły? - Pić... - dodał błagalnie.

- Dzidzi chce mleczka - odpowiedział mu ktoś rozbawionym głosem, wywołując kolejne salwy śmiechu.

- Raczej wina. - Te słowa przeszły już głódziej przez naszpikowaną kolcami krtan barbarzyńcy.

Trzecia próba otwarcia oczu powiodła się w pełni, w przeciwieństwie do dwu poprzednich. I Tranog zaczął dostrzegać pierwsze szczegóły. Chwilę później miał już jakie takie rozeznanie w sytuacji. Znajdował się na niewielkim statku. Około dziesięciu kroków od niego tłoczyła się banda brudnych obdartusów, wyposażonych w groźnie wyglądające zakrzywione szable o szerokich głowniach. Zatem to nie rybacy ani marynarze. Trafiłem w

ręce piratów, pomyślał Tranog, wodząc wzrokiem po ogorzałych mordach, na których widok niejeden miejski strażnik poszczałby się w paradne gacie.

- Pić - powtórzył, ufając, że piratom zjawisko kaca nie jest obce.

- Daj mu tam który wody! - rozkazał ten stojący najbliżej Tranoga. Był to człowiek odziany znacznie lepiej niż reszta, choć i tak sporo mu brakowało do przyzwoitego wyglądu. Nawet mimo ogolonej gęby i kompletu zębów.

- Litości - jęknął Tranog. - Królestwo za łyk piwa.

- Chyba to w niebiesiech. - Herszt piratów parsknął śmiechem, dobywając miecza.

Barbarzyńca szarpnął się raz jeszcze, ale kajdany dobrze trzymały. Nie przybito ich do pokładu, tylko przewleczono przez otwory w wielkim młyńskim kamieniu, tak że był doń przykuty za nadgarstki i kostki u nóg. Osobny łańcuch wychodził z obu stron metalowej obroży, nie pozwalając mu się podnieść choćby na tyle, by mógł wyprostować plecy.

- Gdzie ja jestem? - zapytał, odchrząknawszy głośno.

- Wszystko po kolei - odparł herszt, zbliżając sztych miecza do twarzy Tranoga. Barbarzyńca nie mógł się przed nim uchylić, napięty łańcuch nie zezwalał na najmniejszy ruch. - Powiedz „a”.

- Chcesz mnie ubić, to ubij - wymamrotał uwięziony. - Po co ten cały cyrk?

- Uprzedzali nas, jaka z ciebie bramorowa jucha. Nawet skuty możesz być groźny. A mnie każdy palec się przyda...

- Nie ukąszę ręki, która podaje wino - przyobiecał barbarzyńca.

Herszt wskazał głową stojącego obok chłopaka z wielkim garncem w dłoniach.

- Chcesz pić czy nie?

Tranog nie wysilał obolałego gardła po raz kolejny, tylko posłusznie rozdziawił gębę. Sztych miecza oparł się na jego języku, a po złobieniu popłynęło cudownie zimne... Szarpnął się mimo żelaza w ustach.

- Woda? - splunął, czując na języku słony smak krwi. - Zapłacisz mi za to. Wszyscy mi zapłacicie. - Potoczył gniewnym spojrzeniem po roześmianych mordach.

- Widzę, że wolisz zaspokoić pragnienie własną juchą - stwierdził pirat. Cofnął się o krok, podniósł miecz i spojrział na kroplę szkarłatu ściekającą po krawędzi ostrza.

- Kim jesteś, pokraczny synu parchatego szkaradka i skarłałego gołojucha? I dlaczego mnie więzisz?

- Widzę, że język masz cięty. I to głęboko, że tak powiem... - stwierdził herszt, jakby nic się nie stało. Dumnie zadarł brodę i przedstawił się: - Jam jest kapitan Zasmaranić, zwany Postrachem Ujścia Tuizy!

- Ha! - wykrzyknął Tranog, któremu te słowa nie zaimponowały. - Nigdy nie słyszał o żadnym kapitanie zasrańcu, który straszy w dorzeczu tutejszego strumyka, ale rzadko bywam w tych okolicach, więc nie miej mi tego za złe... konusie - dodał, komentując mikry wzrost herszta.

Ten przełknął zniewagę gładko, nawet nie spłoszył na puciołowatej twarzy.

- Lepiej być małym rycerzem niżli wielkim worem karmy dla ryb - oświadczył wyniosłym tonem. - A w tej właśnie roli występujesz dzisiaj, panie Tranogu, skądś tam jest.

- W roli małego rycerza? Ja? - Chciał rozprostować ramiona, ale łańcuchy nie pozwoliły. - W życiu.

Pirat po raz pierwszy stracił rezon. Nie wiedział, czy barbarzyńca naprawdę nie zrozumiał, czy tylko kpi z niego. Rechoty także umilkły. Na wszelki wypadek postanowił więc wyjaśnić

sytuację.

- Ja jestem małym rycerzem, nie ty... zakąsko dla żmijana - rzucił, wskazując głową spienione morze za burtą.

- Uwolnijcie mnie natychmiast z tych łańcuchów... - wycharczał barbarzyńca znudzony tymi przekomarzankami.

- A co nam zrobisz, jeśli nie spełnimy twojej prośby? - zapytał rozbawiony jego żądaniem Zasmarańec.

- Posmakujecie obu lic pani Tranogowej.

- Patrzajcie no... - Pirat obrócił się do kamratów. - Pani Tranogowa. Powiadają, że barbarzyńca żadnej babie nie przepuści, a oni tymczasem gżą się ze swoimi toporami i mieczami. Nie dziwota, że takimi cieniutkimi głosikami potem gadają!

Banda obdartusów zarechotała głośniejsz niż poprzednio. Niektórzy musieli szukać oparcia u kompanów, tak im się trzęsły kałduny.

- Flaki wam powypruwam, jak tylko się uwolnię. Jednemu po drugim... - Tranog napiął mięśnie, łańcuchy zatrzeszczały, z otworów w kamieniu posypał się pył, ale nic to nie dało. Żelastwo było za grube, żaden człowiek, nawet tak silny jak Tranog, nie mógł zerwać tych kajdan.

- Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz - podsumował jego wyczyny chłopak trzymający garniec z wodą.

- Kapłani sporo zainwestowali w te łańcuchy i teraz wiem dlaczego - stwierdził Zasmarańec, kiwając z uznaniem głową. - Na takich księżę Rzadkoch trzyma w pałacu butryny, a nawet jarubasy, nic więc dziwnego, że darmo ich nie oddał.

- Kapłani? Księżę? - Tranog spojrział na niego spode łba. - Co ty bredzisz, konusie?

Tym razem otrzymał za zniewagę cios płazem przez łeb.

- Nie drwij z człeka, który zada ci śmierć.

- Moja babka na dzień przed skonaniem mocniej potrafiła mi lagą przyłożyć - burknął barbarzyńca. Gdyby nie obroża i łańcuchy, sam spojrziałby teraz na Zasmarańca z wyższością.

- Ale ona, z tego co wiem, nie przykuwała cię do młyńskich kamieni, nasiąknięta winem góro flaków, i nie zrzucała z pokładu w głębiny, żeby oceaniczne stwory mogły pokosztować barbarzyńciny. A ja to zrobię.

Tranog strzelił oczami na wszystkie strony. Wokół widział tylko pofalowane morze. Poczuł nagle, że pot perli mu się na czole. Nie z powodu słów pirata. Po raz pierwszy znalazł się w miejscu, z którego nie widział nawet skrawka lądu. A wody nie cierpiał.

Zasmarańec skinął tymczasem na swoich ludzi. Sześciu chłopca chwyciło za grube drągi i zaczęło się zbliżać, podchodząc do kamienia ze wszystkich stron.

- Nie zrobicie tego. - Tranog spał się tak mocno, że posiniał na karku i na twarzy.

Nic to nie dało.

- Zrobimy.

- Za co?

- Za trzydzieści ćwierciaków.

- Dam wam dziesięć razy tyle. - Barbarzyńca wodził oczami od jednego do drugiego pirata, gdy ci wtykali drągi w otwory wyżłobione w kamieniu, do którego go przykuto.

- Akurat.

- W sakwie mam...

- Miałeś - poprawił go Zasmarańec.

- W karczmie...  
- Twoimi rzeczami także się zajęliśmy - zapewnił go pirat, wskazując na kasztel rufowy swojego statku. - Siekierką też.  
- Moi druhowie... - nie rezygnował barbarzyńca przerażony rychłą perspektywą znalezienia się w wodzie.

- Twoi druhowie o niczym nie wiedzą i niech tak zostanie. Zresztą i oni spoczną wkrótce na dnie obok ciebie.

- Z nimi tak łatwo wam nie pójdzie.

- Odrobina słynnej mikstury starego Pocięja potrafi czynić cuda, zwłaszcza dolana do wina. Na przykład pozbawia przytomności barbarzyńców wielkich jak góra. Myślisz, że nie da rady jakiemuś tam zaklinaczowi czy innej nekromanckiej mendzie?

- Waż słowa, konusie. Inaczej będziesz śpiewał, kiedy cię dopadnę i zacznę rozpruwać to różowe miękkie ciało.

- Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz. - Kapitan poklepał po głowie chłopaka, powtarzając jego niedawną ciętą odpowiedź. - Dzisiaj nawet takie wyrostki nie boją się ciebie, mój ty idący na dno Tranogu. A teraz bywaj, czas się pożegnać. Mamy sporo forsy do przepicia...

- I przepieprzenia - dodał któryś z piratów.

- I przepieprzenia - poparł go uśmiechnięty Zasmaraniec.

Choć było ich sześciu, i to wcale niemałych, z trudem dźwignęli wielki kamień, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Dopiero wtedy zobaczył, jak wtykają pod kamień jeszcze grubsze, idealnie wygładzone dłużyce. Minę musiał mieć przy tym naprawdę nietęgą. Zasmaraniec przyklęknął obok, trzymając się jednak w bezpiecznej odległości.

- Wybraliśmy najcięższe wyrobione żarna wyrzucone z portowego młyna - wyjaśnił. - Dziesięciu chłopów ledwo je podniosło, by wtoczyć po trapie na „Zew Czykwina”, czyli mój okręt flagowy. Wymagało to... - Terminologia marynistyczna była barbarzyńcy obca, tak jak nazwy pachnideł używanych w książęcym pałacu. I mniej przyjemna w odbiorze. Nic więc nie mówił, pozwalając Zasmarańcowi gadać, a sam w tym czasie zastanawiał się coraz rozpaczliwiej, jakie ma szanse na ratunek. Nie dość, że go ograbili ze wszystkiego, uniemożliwiając przekupstwo, to jeszcze planowali mord na jego przyjaciołach, jedynych ludziach, którzy mogli mu pomóc. - Nie wiesz nawet, ile balastu musieliśmy zostawić w porcie, by skompensować to obciążenie. Na szczęście mój „Zew” to kawał krypy...

- Dlaczego to robicie? - przerwał mu Tranog, by zadać pytanie najbardziej go w tej chwili interesujące.

- Dla pieniędzy - odparł herszt piratów, gestem nakazując swoim ludziom, by zaczęli przesuwać kamień z przykutym doń barbarzyńcą w kierunku burty.

- To już mówiłeś. Pozwól, że zapytam inaczej. Kto wam dał zlecenie? Przecie nie znam tu prawie nikogo. Przybyłem zaledwie wczoraj.

- Nic ci po tej wiedzy. I tak zaraz umrzesz. A w zaświatach spotkasz swoich bogów, oni na pewno ci powiedzą...

- Jeżeli zechcą mówić.

- Bogowie są łaskawi dla nas, śmiertelników - stwierdził pirat, głaszcząc się po zaokrąglonym brzuchu.

- Chyba wasi. Moi będą zbyt pijani, by zauważyć przybycie kolejnego herosa, a co dopiero z nim gadać.

Zasmaraniec podniósł dłoń, kamień popychany drągami zwolnił, ale nie zatrzymał się

całkiem. Z każdą chwilą statek przechylał się mocniej pod ogromnym ciężarem.

- Było przejść na inną wiarę - rzucił pirat, którego zaczęło bawić rozgoryczenie barbarzyńcy. - No dobrze. Niech ci będzie. I tak zabierzesz tę tajemnicę do grobu. - Wstał i spojrzał na oddalającego się bardzo wolno barbarzyńcę. - Słusznie powiadasz, że nie znasz tu prawie nikogo. Ale jak widać, i tych paru znajomych wystarczyło, byś trafił do mnie.

- Książę Rzadkoch?

- Nie inaczej. On i kapłani świątyni Harmolda.

- Ale za co, na pióra z kupra pyzika? Przecie przywiozłem im najcenniejszą relikwię. I naprawdę niewiele za nią chciałem.

- Cokolwiek to i tak więcej niż nic - rzucił sentencjonalnie Zasmaraniec. - Kapłanów nie znasz? Wziąć wezmą wszystko, ale jak przychodzi do dawania, o, to już zupełnie inna sprawa.

Kapitan postąpił krok, żeby nie tracić kontaktu z barbarzyńcą, który odjeżdżał od niego coraz szybciej, jako że im bliżej był burty, tym pokład bardziej się pochylał.

- Ale żeby książę na mnie dybał, saługowa jego mać?

- Za siedem dni jego wysokość ogłosi publicznie, że wyprawiwszy się na dzikie ziemie daleko za Tuizę, po pokonaniu niezliczonych niebezpieczeństw odzyskał roztrzaskany miecz Harmolda i złożył go w darze tutejszej świątyni. Dzięki temu czynowi... i twojej wcześniejszej dyskrecji podyktowanej chciwością, jak mniemam... lud pokocha go mocno i prawdziwie. Tyle szczęścia i radości za trzydzieści srebrnych ćwierciaków, czyli za przysłowiowe nic. - Pokręcił głową z podziwu dla przebiegłości władcy.

- Takim jak ty, konusie, zawsze rzucają ochłapy - stwierdził barbarzyńca, widząc kątem oka, że kamień dociera już do burty.

- I dlatego dorabiamy, jak tylko możemy - odparł rozbawiony do łez Zasmaraniec. - Żegnaj, Tranogu. Tutaj nasze drogi się rozchodzą. - Podeszedł bliżej i popchnął butem sunące żarna.

Jeszcze kilka uderzeń serca i wielki kawał obrobionej ludzkimi rękami skały pochylił się i... pomknął po długiej rampie przy akompaniamencie głośnych zgrzytów, przez które przedzierało się radosne rżenie piratów zgromadzonych przy burcie „Zewu Czykwina”.

Żarna tocząc się po kolejnych dłużycach, zjechały na skalisty brzeg, a dokładniej biorąc, na platformę masywnego wozu. Chwilę później, gdy dwa tuziny piratów dotarły tą samą drogą na brzeg, pogoniono zaprzęg składający się z czterech wielkich koniców i kawalkada ruszyła w głąb ładu, wspinając się krętą drogą na wysoką górę.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał Tranog, gdy już nieco ochłonął.

Idący obok wozu kapitan uśmiechnął się przebiegle.

- Jak słusznie zauważyłeś, mój prymitywny przyjacielu, takim jak my rzuca się jedynie ochłapy. A my też chcemy żyć długo i szczęśliwie. Dlatego chwytamy się każdej okazji, byle zarobić.

- Nie rozumiem..

- I nie dziwota, wy barbarzyńcy tylko chlacie, chędożycie co się rusza i zarzynacie się wzajemnie.

- Przyganiała bubula chesakowi - burknął Tranog.

- My, w odróżnieniu od was, kochanieńki, dialektujemy się sztuką.

- Chciałeś, kapitanie Zasmaraniec, powiedzieć, że się delektujecie. Chyba że twój dialekt...

- Patrzajcie go, wypierdka falfusa. - Pirat wybuchnął śmiechem, lecz w jego oczach pojawił się wyraz zaskoczenia. - Ależ cięty jęzor ma nasza barbarzyńska chluba. Jak zwał, tak zwał. Znamy malarstwo, poezję...



- Co ty, kurwać, wiesz o poezycji... konusie - zadrwił z niego Tranog.

- Nie chce mi się z tobą gadać - wypalił w odpowiedzi pirat i milczał godnie przez kolejny tuzin kroków, ale nie wytrzymał, musiał dokończyć myśl. - Co to ja mówiłem, aha, nam tylko ochłapy spadają, więc kiedy widzimy możliwość dorobienia do skromnych poborów, nie wahamy się ani chwili i dlatego jesteś teraz tutaj, a nie tam - machnął ręką, wskazując widoczne w dole morze.

- Zrzucicie mnie z tej góry, zamiast utopić? - zainteresował się Tranog, nadal nie mając pojęcia, na czym miałyby polegać zysk z takiej zamiany. Chyba że piraci chcieli zafundować okolicznym mieszkańcom widowisko, za opłatą rzecz jasna. A może znaleźli w pobliskiej wsi nabywcę na przechodzone żarna.

- Aj tam, aj tam! - Zasmaraniec uśmiechnął się szeroko. - Trafisz na dół, to fakt, ale nie tak, jak myślisz. Widzisz, mając swoich ludzi tu i tam, wiem o wielu sprawach. Na przykład o tym, że pewien magister, czy też mag, potrzebuje niewykwalifikowanej siły roboczej do swojej, jak by to powiedzieć, nie nazbyt legalnej kopalni. Za takiego osiłka jak ty zapłaci podwójnie, bo zanim szceźniesz pod ziemią w mroku tuneli, nakopiesz mu po dwakroć...

- Wam też nakopię, i to po trzykroć, jak tylko stamtąd się wydostanę - złożył obietnicę Tranog.

- Nie strasz, nie...

- Powtarzasz się, kapitanie Zasmaraniec.

Tym razem dostał nahajem przez plecy. Chyba dlatego, że reszcie piratów zaczynało się to przezwisko wyraźnie podobać. W każdym razie uśmiechali się pod nosem, gdy tylko je słyszeli.

Wóz zatrzymał się i podwładni Zasmarańca sprawnie przypięli kamień do drewnianego żurawia, którym opuszczono go na platformę z litego, poczerńiałego, jakby opalonego żelaza. Podtrzymujące ją łańcuchy zatrzeszczały groźnie pod tak wielkim obciążeniem. Tranog obrócony razem z żarnami dostrzegł przed sobą smukłą wysoką postać w czarnej szacie ze spiczastym kapturem. To charakterystyczne dla tutejszych magów nakrycie głowy osłaniało niemal całą twarz właściciela kopalni. Barbarzyńca widział tylko jego siwą szpicbródkę i koniec nochala ozdobiony kurzajką i kępką siwych włosów.

- Witaj, Saruwomanie, oby szczęście nigdy nie opuszczało progów twojego domu - powitał go pirat, gnąc się w ukłonie.

- Witaj, kapitanie Zasmaraniec. - Nie wiedzieć czemu magister wypowiedział miano kapitana tak niewyraźnie, że zabrzmiało raczej jak przezwisko nadane mu przez Tranoga niż prawdziwe nazwisko. - Oby bogowie, których wyznajesz, zawsze zsyłali ci pomyślne wiatry.

- A ja życzę wam obu śmierci w mękach z mojej ręki - wtrącił łypiący na nich spode łba Tranog.

- Coś ty mi przywiózł, mości kapitanie? - Magister przeniósł wzrok na skutego więźnia.

- Najprawdziwszego barbarusa z północy, zgodnie z zamówieniem. Jest wielki jak wontor, silny jak hoc i głupi jak gluza.

- U nas już takich nie robią - westchnął mag. - Ale na głupiego to on mi nie wygląda - dodał po chwili namysłu.

- Ma cięty język, nic więcej. Tym się nasiąka, przesiadując całe noce i dni po tawernach.

- Chcesz, konusie, porozmawiać o zaletach współczesnej poezji? - odciął się Tranog.

- Nie interesuje mnie, co podobni tobie smarują własnym gównem po wychodkach - burknął Zasmaraniec. - Przejdźmy do interesów, czcigodny Saruwomanie. Wypasiony

barbarzyńca, prawie nieśmigany. Taki, jakiego sobie życzyłeś, a nawet lepszy. Z nim norma wydobycia na przodku wzrośnie ci dwukrotnie.

- Nie kadź, nie kadź - mruknął mag. - Sam widzę, z czym mam do czynienia. Dam ci sto ćwierciaków.

- Umawialiśmy się na dwieście - zaprotestował kapitan, nie kryjąc urazy.

- I tyle byś dostał za prymitywa z górą mięśni, ale bez mózgu - odparł Saruwoman. - A kogoś mi sprowadził? Agresywnego cwaniaczka, który więcej będzie kombinował, jak uciec, niż pracował.

- Święta prawda, panie magusie - wtrącił groźnym tonem Tranog. - Święta prawda.

- Sam widzisz - wzruszył ramionami Saruwoman.

- Kpi z nas, lamczyk w rzyć badylem łechtany, po ślepiach to widać. - Kapitan ruszył w stronę żaren, jakby chciał barbarzyńcę za łeb chwycić i udowodnić prawdziwość swych słów, ale zaraz się zmytł. - Kpi jak nic.

- No sam nie wiem... - wahał się mag.

- A co tu wiedzieć?

- Wietrzę nie lada kłopoty z tym draniem. Patrzaj tylko, jakie to wielkie bydlę, jeszcze mi wydusi pozostałych.

- Zuba zubie ślepie nie wydłubie - uspokajał go kapitan.

- Oj, wyduszę, wyduszę - natychmiast podchwycił Tranog. - Zacznę, jak tylko mnie rozkujecie. A jak nie rozkujecie, zagryzę każdego, co podlezie.

- Sam widzisz. - Magister pokręcił głową. - Chyba zrezygnuję z tego zakupu.

Zasmaraniec zsiniał na twarzy, wodząc wściekłym wzrokiem od szczerzącego zębiska Tranoga do odwracającego się właśnie maga.

- I z czego rżysz, pluro niemyta - wycharczał, pochylając się niebezpiecznie nisko nad uwięzionym barbarzyńcą. - Ja może nie zarobię, ale ty z pewnością trafisz zaraz na dno. - Wskazał ręką lazurowy przestwór oceanu.

- Panie Sarucoście! - wydarł się Tranog, próbując spojrzeć za odchodzącym magiem. - Kapitan Zasraniec dobrze gada. Kpiłem z was w żywe oczy. My barbarzyńcy już tak mamy.

Magister zatrzymał się, obejrzał przez ramię.

- Akurat.

- Mogę przysiąc na moich, a nawet twoich bogów, jeśli zechcesz - przekonywał Tranog. Do niego również już dotarło, że kopalnia jest lepsza niż natychmiastowa śmierć przez utopienie, i to w słonej wodzie.

- Sam widzisz, ekscelencjo - przymilał się pirat. - Kanalia kostuchę poczuła i już skamle.

- Otóż to, otóż to! - Barbarzyńca pokiwałby głową, gdyby nie łańcuchy i obroża.

Saruwoman westchnął ciężko.

- Dam pięćdziesiąt ćwierciaków - burknął.

- Ale... - zapowietrzył się Zasmaraniec.

- To moje ostatnie słowo - rzucił mag, ponownie się odwracając.

- Bierz - szepnął błagalnym tonem Tranog, widząc brak zdecydowania na twarzy pirata. - Oni nigdy ci nie wybaczą, jeśli mnie nie sprzedasz. - Wysunął brodę, bo tylko tyle mógł zrobić, w stronę tłumu szemrzących obdartusów.

- Zgoda. - Kapitan obrzucił nienawistnym spojrzeniem obu rozmówców. - Ale...

- Żadnych ale! - zastrzegli jednocześnie skuty barbarzyńca i posepny mag.

- Nie wiesz jeszcze, co chciałem powiedzieć, szlachetny Saruwomane... - zaczął pirat.

- Dobilismy targu, nic więcej nie dam - zapewnił go mag, wyciągając rękę po klucze do kajdan.

- Chciałem tylko powiedzieć, że w tym tygodniu będę miał jeszcze dwa ciekawe okazy do zaproponowania - rzucił szybko kapitan.

- Mów dalej.

- Wprawdzie nie będą barbarzyńcami, ale też by się nadali, bo to ludzie z daleka, za którymi nikt w mieście nie będzie płakał, a już najmniej księżę pan. - Mag zbliżył się, okazując zainteresowanie. Na ten widok Zasmaraniec natychmiast zaczął zachwalać swój przyszły towar. - Pierwszy to cudak jakiś, co potwory ubija za pieniądze, silny i wytrzymały. Drugi jest specjalistą od truposzy, nie pamiętam jakim, ale na pewno nie grabarzem ani balsamistą...

- Kapitan Zasaraniec chciał rzec: zaklinacz i nekromanta - uprzejmie podpowiedział Tranog, nie rozumiejąc, dlaczego pirat tak płacze się w zeznaniach.

- Chcesz mi tu zaklinacza i nekromantę sprowadzić!? - ryknął rozwścieczony magister.

Kapitan zatchnął się. Łapczywie chwycił powietrze, mierząc przekrwionymi oczkami spętanego barbarzyńcę. Ten także zdążył już pojąć, że popełnił kolejny, kto wie, czy nie najpoważniejszy tego dnia, błąd.

- Ja się tam nie znam na magii - Tranog spróbował naprawić szkody poczynione ostatnim wtrąceniem - ale po mojemu taki nekromanta mógłby ożywiać zmarłych więźniów i nie trzeba by kupować nowych.

- Zamilcz, czechyro! - Magister rzucił sakiewkę piratowi i odprawiwszy go machnięciem dłoni, zawołał: - Żadnych ludzi parających się magią, bo sam trafisz na dół! A ty - zwrócił się do barbarzyńcy, pokazując mu klucze - nie myśl, że zdołasz stąd uciec. - Uśmiechnął się, widząc markotną minę Tranoga. - Trzysta lat mam już tę kopalnię i nikt z niej nie wyszedł, choć wielu próbowało. Magia jej strzeże. Ogień, który nawet żelazo przepali. - Tupnął nogą w platformę, na której stał kamień. Ot i wyjaśniła się zagadka, skąd ślady osmalenia. - A teraz bywaj, czas i na ciebie, i na mnie. - Zanim zszedł z obitego blachą podestu, zatrzymał się jeszcze i sięgnął po stojący na niej dziwaczny kosz wypleciony z pasków metalu. Zważył go w dłoni, a potem odstawił do innych na skały. - Dzięki za pomoc w zbiciu ceny, barbarusie. Zaoszczędziłem na tym interesie sto pięćdziesiąt ćwierciaków, znaj więc moje dobre serce. Dzisiaj nie musisz pracować.

Magister rzucił klucze w odległy kąt platformy zawieszanej na łańcuchach i dał znak ręką. Tranog usłyszał zgrzytanie jakiegoś mechanizmu i poczuł, że zaczyna zjeżdżać w mroczną czelusć.

\* \* \*

Wzrok przyzwyczał mu się do ciemności, zanim dotarł na dno skalnego komina. Zresztą nie było tu wcale tak ciemno, jak by się mogło wydawać. Mimo że widoczny w górze otwór dość szybko nabrał rozmiarów monety, barbarzyńca nadal mógł ogarnąć spojrzeniem rozległą jaskinię o płaskim, jakby sztucznie wyrównanym podłożu. Ściany, lejkowato schodzące się ku górze, upstrzone były miriadami błękitnych i zielonkawych ogników, jakby przysiadły na nich te robaczki, które Tranog widywał niegdyś nocami w parnych lasach tropiku. Tutejsze światełka błyszcząły jednak nieporównanie mocniej. No i nie szalały, nieustannie kreśląc w półmroku pętle i inne zawijasy.

Platforma po długiej jeździe uderzyła z głuchym hukiem w kamienne dno jaskini. Coś

chrupnęło znajomo. W powietrze uniosły się gęste tumany pyłu. Gdy opadły, Tranog zauważył, że nie jest sam. Trudno mu było się rozglądać z łańcuchem na szyi, ale wyraźnie słyszał szmery przesuwanych stóp i ciche powarkiwania. Zdawało mu się, że wychwytuje takie słowa, jak „strawa” i „świeżynka”, cokolwiek to drugie miało znaczyć.

- Tego, który otworzy mi kajdany, zabiję na samym końcu - obiecał chrapliwym głosem, aby pokazać kryjącym się w ciemności łotrom, że do strachliwych nie należy.

- Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz - odpowiedział mu zza pleców równie zgrzytliwy bas.

Jak widać, nie on jeden trafił tu z poręki kapitana Zaska.

- Kim jesteście, jarubasy w styję chędożone? - zapytał Tranog, zmieniając taktykę. Skuty w ten sposób nie poradziłby sobie nawet z jednym chudopachołkiem, gdyby ten zaszedł go od tyłu. - Nie słyszycie, o co pyta Tranog, syn posepnych grani Zimmermu?

Szmery i jęki ucichły, jak nożem uciął.

- Jesteś Zimmermanem? - zapytał ten sam człowiek, który naigrawał się z niego przed chwilą.

- A jestem - odwarknął barbarzyńca.

- Anakolut! - wydarł się niewidoczny rozmówca. - Pódź no tu, kłosinie jeden. Ktoś z twoich okolic zajechał! - Przez moment panowała niczym niezmacona cisza. - Sprowadźcie go migiem, brejzy jedne! - dodał gniewnym tonem, podchodząc bliżej.

W polu widzenia Tranoga pojawiły się nogi mówiącego te słowa, obute w poszarpane szmaty związane wokół kostki rzemieniem, a zaraz potem brudna patykowata ręka sięgnęła po porzucone klucze. Mężczyzna – niski, owłosiony jak nie przymierzając, stary łabuś i chudy niczym czykwin – przypadł do ziemi tuż przed nim, szczerząc w parodii uśmiechu pieńki poczerniałych zębisk.

- Zimmerman - wypowiedział tylko jedno słowo, przysuwając się bliżej, i to wystarczyło, by Tranogowi zebrało się na wymioty. Takiego zacuchu nie miał okazji wachać, nawet gdy korzystał z najbardziej zapyziałych wychodków.

- Odsuń się kapkę, bracie - poprosił. - Z gęby ci jedzie jak z beczki po wędzonych gluzach.

Brudny i zarośnięty więzień, obrzuciwszy go zaciekawionym spojrzeniem, zniknął z pola widzenia. Zaraz też do uszu skutego barbarzyńcy doleciało zgrzytanie klucza, jeszcze chwila i mógł ruszyć ręką. Był wolny!

Wstał, rozmasowując otarte do krwi nadgarstki, a potem zdrętwiałą szyję. Rozprostował plecy, unosząc wysoko głowę. Teraz mógł spojrzeć na stojących w głębi jaskini ludzi. Trzech ich było. Wszyscy równie brudni, obdarci i chudzi jak starzec z cuchnącą gębą. Prócz przepasek biodrowych wyglądających, jakby je przeżuł szczerbaty jurgiel, nic na sobie nie mieli. Tranog parsknął gniewnie, ruszając w ich stronę, ale nie zdążył zrobić nawet kroku, a już leżał na ziemi.

- Spokojnie, dumny Zimmermanie. - Zanim opadł pył, barbarzyńca usłyszał z tyłu basowy głos starca pobrzękującego kluczami. - Jeszcze ci stóp nie zdążyłem uwolnić.

Kilka kolejnych zgrzytnięć i Tranog mógł się poruszać swobodnie. Zanim jednak zszedł z kamienia, zrobił kilka przysiadów i skłonów, by przywrócić czucie w odrętwiałych członkach. Staruch w tym czasie, cisnąwszy klucze na platformę, stanął pomiędzy obdartusami a przybyszem, od którego był niższy o dwie głowy.

- Witaj w naszym skromnym prywatnym piekiełku - powiedział nieco łagodniejszym tonem. - Jam jest Bram ze Stokeru, ongiś pierwszy młot na wschód od Siedmiu Grodów. Zabiłem

więcej nizinnych, niż potrafię zliczyć...

- Na moje oko to ty w ogóle liczyć nie umiesz - burknął Tranog, rozglądając się po jaskini.

- Ano nie umiem - przyznał starzec, spuszczać wzrok.

- Zatem nie kłamałeś - pocieszył go nowy nabytek magistra, ruszając w stronę pozostałych.

Nie cofnęli się, mimo że wyglądał wśród nich jak dorodny mąsior wśród stada sajaków. Przyglądali mu się z ciekawością, lecz bez obawy.

- Poznaj nowych druhów... - Stary Stokerczyk stanął obok niego. - Ten tam z prawej, z ryjem brzydszym od zuby i czołem wysokim, to Franken. Przybył do nas z mroźnego Sztejnu kilka zim temu.

- Wszyscyście tu piękni jak nie przymierzając, potomstwo szkaradka - stwierdził Tranog, przesuwając wzrokiem po umorusanych zarośniętych gębach - ale on rzeczywiście nadawałby się do dziecków straszenia, gdybyście tu jakie mieli. - Przedstawiany nadał się, słysząc te słowa, choć nie z urazy; wydawał się dumny ze swojej szpetoty.

- I ja cię pozdrawiam, mężny Zimmermanie - powiedział.

- Tych zaś dwóch - stary podszedł do niższych od siebie całkiem łysych jajogłowych brodaczy - to bracia Humfy i Dumfy z dalekiego Alboinu. Skrytobójcami chcieli zostać, gdy dotarli ze swojej wsi na niziny, ale za bardzo się w oczy rzucali, więc ich kariera w tym zawodzie była dość krótka. Pierwszej nocy na murach ich przyuważono...

- Nie nas, tylko jego - mruknął rozeźlony Humfy albo Dumfy, bo trudno się było na pierwszy rzut oka rozeznąć. - Spadł dureń i narobił wrzasku...

- Boś mnie popchnął, kiedym...

- Dajcie pokój - poprosił Bram. - Będziecie mieli dość czasu, żeby wylać przed gościem swoje żale.

- Niewielka ta wasza gromadka - stwierdził Tranog, uściskawszy rękę obu braci.

- Niewielka - przyznał starzec - ale zacna. Zaraz poznasz t... dwóch ostatnich członków naszej kopalnianej społeczności.

W oddali słyhać było jakieś pohukiwania. Jeszcze chwila i w jaskini pojawili się dwaj zdyszani mężczyźni. Jeden z nich, wyższy, ale szczuplejszy, poganiał drugiego.

- Ten postawny smarkacz to mój syn Drakhul. - Bram, kiwając z uznaniem głową, wskazał wysokiego, chociaż już nie tak młodego mężczyznę. - Słusznie się domyślasz, Zimmermanie, pojмали nas razem, będzie trzydzieści zim temu. - W jego głosie po raz pierwszy dało się wyczuć nutkę smutku. - A jego towarzyszu... Cóż, Anakolucie, przedstaw się sam...

Zdyszany chłopak, najmłodszy chyba ze wszystkich, przystanął przed nimi pochylony, z dłońmi opartymi o kolana.

- O co to larmo? Biegnąc tutaj, upadł mi kilof - poskarżył się starcowi, zanim dostrzegł majestatycznie wyglądającego wśród tej bandy obdartusów Tranoga.

- Poznaj Anakoluta, swojego ziomka z odległego Zimmermu, zacny przybyszu. - Bram poklepał chłopaka po ramieniu. - To już wszyscy. Do niedawna był z nami jeszcze... Segal, ale zachciało mu się uciekać.

- Co z nim? - zainteresował się Tranog.

Czyżby magister kłamał, zarzekając się, że stąd nie ma ucieczki?

- Jest tam - odparł starzec, wskazując na platformę, a wszyscy pozostali pokiwali ze smutkiem głowami.

- Gdzie? - Tranog rozejrzał się, nie widząc nikogo.

- Pod spodem - wyjaśnił Humfy albo Dumfy, w każdym razie któryś z jajogłowych braci.

- Ukrył się?
- Raczej niespecjalnie mógł się przesunąć, a my nie zabraliśmy jego szczątków, bo nie wiedzieliśmy, że winda zjedzie przed nadejściem zmierzchu.
- Aha - mruknął Tranog, chociaż nadal niewiele rozumiał.
- Skoro już się poznaliśmy, proponuję, żebyśmy wrócili do roboty. - Bram podszedł do skrzyni stojącej obok platformy, pogrzebał w niej i wyjął ciężki kilof. Rzucił go pod nogi nowego więźnia, dodając uspokajającym tonem: - Po wieczery będziemy mieli mnóstwo czasu na odpoczynek i rozmowy. Teraz pozwól, że pokażę ci, na czym polega nasza praca.
- Magister dał mi dziś wolne - fuknął Tranog, odkopując z pogardą narzędzie. - A jutro i tak mnie tu już nie będzie.

\* \* \*

Dzień minął, zanim Tranog zdążył się obejrzeć. Po kilku godzinach bezowocnych przemyśleń udał się w głąb jaskini w poszukiwaniu towarzystwa i dalszych informacji.

Zastał Brama, gdy ten odpoczywał obok zapełnionego w połowie kosza, i dopiero wtedy się dowiedział, co wydobywano w tej kopalni. Jak się okazało, magistra nie interesowały wielkie jak pięści świecące kryształy, których stosy walały się pod ścianami, tylko czarny jak smoła minerał, którego cienkie żyłki przecinały tu i ówdzie skałę. Komu on potrzebny i do czego, barbarzyńcy nie wiedzieli. Ale cenny być musiał bez dwóch zdań, skoro mag wolał go od wielgachnych świecących w ciemności kryształów. Nie było go wiele, człowiek musiał się nieźle nachodzić, zanim znalazł kolejną kreskę na ścianie korytarza czy też w gorszych przypadkach – na jego sklepieniu. Potem należało wykuć taką żyłę i włożyć do kosza każdy kawałek urobku, na którym znalazła się choćby odrobinka tajemniczej substancji. Tranog pomógł starcowi napełnić kosz, dzięki czemu skończyli pracę długo przed pozostałymi, i zaciągnął urobek na żelazną platformę. Później, nie mając nic lepszego do roboty, zajrzał do innych korytarzy.

Anakolut kruszył skały z wielkim zapałem, chociaż efektów jego pracy nie było widać. Mimo że zbliżało się już południe, w jego koszu leżało tylko kilka grudek.

- Alem się urąbał! Z nimi. Zawsze. Tutaj - sapał na widok Tranoga, ocierając pot z czoła, a potem zamachnął się potężnie, aby zaimponować krajanowi.

- Ponoć z Zimmermu pochodzisz? - zagadnął go Tranog, przysiadając na głazie. Nie miał już ochoty na dalszą robotę. Anakolut, który przesadził z siłą uderzenia, przez co musiał się natężyć jeszcze bardziej, aby wyrwać kilof ze ściany, skinął tylko głową. - Z jakich okolic?

- Z Zimmerfrał - wyjęczał młodzian, poddając się.

- Ha! Znam tę zabitą dechami dziurę - ucieszył się Tranog. - Byłem tam kiedyś.

Anakolut spojrział na niego. Oczy w umorusanej twarzy aż mu się zaświeciły.

- Naprawdę? Kiedy? Sam? Po co tam? - zapytał, kucnąwszy przy przodku.

- Naprawdę. Ale dawno temu i tylko przejazdem.

- Tatki słuchając, wiem, że mało kto do nas zaglądał. Zimmerfrał z dala od traktów i szlaków leży. I nic w nim ciekawego nie ma.

- Prócz smoczego gniazda - wtrącił Tranog.

- A... smocze gniazdo - rozmarzył się chłopak. - Będąc w nim, czapka mi raz spadła. W przepaść znaczy. Alem wymarzył! Wtedy. Sam. Gdyby nie Anafora...

- Kto zacz?

- Siostra moja. Młodsza. Jedna. Tam teraz. Sama. Gadatliwa: „A szybciej, że szybciej, pódź no tu szybciej, bauciu jeden” - przedrzeźniał ją przez chwilę z zamglonym wzrokiem, ale zaraz posmutniał, wspomniawszy szczeniące czasy.

- Smoka ostatniego pamiętasz? - zagaił Tranog, aby zmienić drażliwy temat.

- Jak nie, jak tak - rozpromienił się Anakolut. Pod warstwą brudu na jego twarzy pojawiły się rumieńce. - Szósta zima. Moja. Z ojcem. Przed kuźnią. Wojsko szło. W góry. Potwora pokonać. Patrzyłem. Idąc, hełmy im błyszcząły. Proporce powiewały. Siła ich była. Kapitan. Jeden taki. Ręką pomachał. Mnie tylko... - Znowu posmutniał. - Dzień potem. Wracali. Osmoleni, zakrwawieni. Ledwie garstka ich przetrwała. - Tranog pokiwał w zadumie głową, wyprawa hurmem na smoka przy wtórze tarabanów, nie najlepszy pomysł. - Nazajutrz. Anafora znowu. Z podwórza. Woła. „Pódź, pódź... no pódź, mówię. Rycerzowie idą na poczware!” No i szli. Jechali raczej. Skądciś się dowiedziawszy. Tłumnie. Dzień cały. Gromadzili się. Za wsią. Zakuci w zbroje. Tylko oczy im spod hełmów widziały. - Zamarkował kratownicę na nosalu. - Pewni my byli. Koszmaru już koniec. Że pyziki z chałupy wyгнаwszy, nie staną się znowu żerem dla smoka. Ale gdzie tam. Rankiem. Tętent nas budzi. Przerażliwy. Wybiegając z chałupy, miska z kaszą mi z dłoni wypadła. Takem się wystraszył. Spłoszone konice widząc. Przez wieś. Z rozwianymi grzywami. Gnały. Bez jeźdźców. Same. Zły znak, pomyślałem. Wojsko przepadło. Cni rycerzowie potem. Kto się ostał? Ino pyziki. W chałupie. Zasrańce jedne. - Pokręcił ze smutkiem głową. - Trzeciego dnia. Przed zmierzchem. Tuż-tuż. Tatko przywołali. Mnie. I gadają: „Patrzaj, Anakolut”. Drogę wskazują. Paluchem. No to patrzył ja. Idzie. Wielkolud. Tam. W łuskowate skóry odziany. Z toporem. Bliźniaczy on. Na plecach. Ciągnąc wózek. Taki jak na chrust... - zamilkł dla zbudowania nastroju. Widać nieraz już tę historię opowiadał, a może coś mu w łepetynie świtać zaczęło? - No i przeszedł. On. Przez wieś. Na gniazdo. A ojciec. Tak gadają: „Jutro sam spał będziesz na swoim sienniku, bez pyzików gówien wachania”. I tak się stało. Jak rzekł. Wielki smokobójca. Rankiem wrócił, ciągnawszy smoczy łeb. Na wózku. - Pokiwał głową z uznaniem dla pomysłu wojownika. Sam by pewnie na to nie wpadł.

- Taaak... - mruknął Tranog, także wspomniawszy tamte dobre czasy.

Jak tylko usłyszał o smoku gnieźdzącym się nad Zimmerfrałem i nagrodzie za niego, od razu spakował do wężelka kilka woreczków siarki i ruszył na północ. Wyprzedzili go wojowie wysłani przez lokalnego władkę i rycerstwo błędne – czy też błędzące, sądząc po efektach wyprawy. Ale jedni i drudzy okazali się głupszy od gołojucha. Hurmem na gada poszli w biały dzień i dostali za swoje. Tranog jednak swoje wiedział i sposobem podpatrzonym u zaklinaczy stworę podszedł. Upolował dorodną opiołę, nadział siarką, a potem siedząc w głuszy przy skromnym ognisku, gdzie udo z jedonia szlachetnym trunkiem zapijał, czekał, aż smok się rozpuknie. Jak huknęło nad pobliskim potokiem, aż się echo po górach potoczyło, poszedł łeb martwego smokogada odciąć, na wózek go załadował i po nagrodę wrócił. Żadna to robota, jak się wie, co robić, ale wioskowym musiała się wydawać nie lada wyczynem, skoro do dzisiaj go zapamiętali. Tyle że wcale nie przed zmierzchem mijał tę wieś...

- Zaczna opowieść, młody Anakolucie - przyznał - choć niezbyt składna. Lepiej bierz się do roboty, bo w takim tempie do wieczora nie napelnisz kosza - poradził mu. Wstał i wyjął ze skały zakleszczone narzędzie jak nóż z osełki masła.

Po powrocie do jaskini obmył się w strużkach wody ściekającej po ścianie i ułożył wygodnie na jednym z posłań przy tłącym się ledwie ognisku. Musiał opracować plan ucieczki, i to jak najszybciej, zanim kapitan Zasaraniec dopadnie Gaveina albo Seeleona...

Gdy otworzył oczy, podsycony ogień huczał już wesoło, a spośród przedstawionych mu wcześniej więźniów brakowało tylko Anakoluta. I nie dziwota.

Starzec, pełniący w tej zamkniętej społeczności rolę przywódcy, siedział ze skrzyżowanymi nogami po drugiej stronie ogniska i spoglądał w płomień, gładząc palcami krzaczastą brodę.

- Dobrze ci poszło - stwierdził, wskazując kosz stojący na platformie, podczas gdy Tranog siadał na sienniku, przeciągając się mocno. - Każdemu na początku dobrze idzie. Dopóki kopalnia nie wysie z niego chęci do życia.

- Co z wieczerzą? - zapytał barbarzyńca, czując burczenie w brzuchu.

- Jak tylko twój krajan dociągnie swoją część urobku, załadujemy wszystko na platformę, uderzymy w gong - wskazał mosiężny krąg wiszący na stojaku z nieobrobionych bali w odległym zakamarku jaskini - i poczekamy, aż magowie wciągną windę na górę. Gdy zjedzie ponownie, będzie na niej strawa.

- Podciągną windę z tymi koszami? - zainteresował się Tranog.

Nie, to nie mogło być aż tak proste.

- Nie, to nie będzie aż tak proste - Bram natychmiast potwierdził jego podejrzenia, jakby potrafił czytać w myślach. - Niejeden przed tobą chciał wyjechać na tej windzie. Problem w tym, że magistry trzymają tam wysoko - wskazał granatowy krąg, ledwie odcinający się od ścian jaskini - kilka smoków. Sam zobaczysz, jak te bestie zioną ogniem. Segal myślał, że znalazł na to sposób... - Stary Stokerczyk pokręcił głową. - Głupiec, wszyscy mu mówiliśmy, żeby się przestał łudzić, ale on na to: „Nie, dam radę, nie takie rzeczy robiłem za młodu”. Może i robił, ja tam nie wiem. Bić potrafił jak mało który, a przynajmniej był mocny w gębie, ale tak naprawdę to z pięćdziesiąt funtów i trzydzieści lat temu. W każdym razie wymyślił, że uplecie grubą linę z włosia i wzmocni ją paskami żelaza wrywanego z koszy, a potem podwiesi się na niej pod platformą, gdy będą ją podnosić, i tak wyjedzie na górę. Sześć lat ją wyplatał ze swoich i naszych włosów, aż miał ze trzydzieści łokci solidnej liny. Namoczył ją w wodzie, żeby od razu nie zajęła się ogniem, i pojechał. Jednego tylko nie przewidział...

- Że nawet mokre włosy się palą?

- Nie, to wszyscy wiedzą. Zresztą wzmocniona paskami żelaza lina nie puściła do końca.

- Zatem czego nie przewidział?

- Że trzydzieści łokci to za mało.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza.

- On przynajmniej coś robił, żeby stąd wyjść - skomentował w końcu Tranog.

- I skończył jako skwarek - burknął Bram. - Zginął jak wielu przed nim. - Jego oczy rozbliły w blasku ognia. - Wiesz, zacny barbarzyńco z Zimmermu, ile w tej jaskini jest grobów?

Zapytany pokręcił przecząco głową.

- Dużo - odparł starzec. - Bardzo dużo i jeszcze trochę.

- Więcej, niż możesz zliczyć - podsumował Tranog z rechem.

- Śmieję się, śmieję. Ciebie też pochowam w tej dziurze, coś tak czuję.

- Jeśli mówisz o tym, że będę próbował uciec, masz to jak w banku.

- W czym?

- Bank to taki... - I jak tu wytłumaczyć ślepcowi, jak wygląda tęcza. - Po prostu możesz na to liczyć.

- Nie umiem... - Stary zasepił się jeszcze bardziej.



- Ucieknę, i już.

- Preferujesz jakiś konkretny ceremoniał pogrzebowy? - zainteresował się niespodziewanie Bram. - Zawczasu pytam. Jesteśmy barbarzyńcami, dbamy o swoich zmarłych, nie jak ci tam - spojrzął na otwór w skale - cywilizowani ludzie.

- Możecie mnie spalić, gdyby co, a prochy rozsypać z najwyższej grani.

- Najwyższa grań... - Starzec rozejrzał się. - Może być tamta? - wyciągnął rękę i pokazał biegnącą pod kątem wąską półkę na jednej ze ścian. - Wyżej nikt nie wlezie.

- A jak mnie spalicie?

- Mamy tu wprawdzie dość drewna i węgla, ale po co zasmradzać kopalnię. Wsadzimy cię do jednego z koszy, smoki szybciej załatwią sprawę. - Nagle się rozpromienił. - No i jak winda wyjedzie na górę, wiatr rozwieje twoje szczątki po wyspie.

- To rozumiem. - Tranog wyszczerzył zęby, przypominając sobie wysokie strome granie, ale zaraz spowaźniał. - Niedoczekanie wasze.

- Mów sobie, co chcesz. Ja swoje wiem.

- Co będzie na wieczkę? - Głodny Zimmerman postanowił zmienić temat.

- A jaki dzień dzisiaj mamy?

- Rano był słoneczny, a potem nie wiem, bo siedziałem z wami w tym jarubasowym tunelu.

- Słoneczny, powiadasz. W takim razie podadzą pieczyście. Udka z jedonia, smażone płaty z saługi, a dla tych, co ryb nie lubią, szaszłyki z okły.

Tranog przełknął głośno ślinę.

- Mam nadzieję, że piwo tutaj leją lepsze niż na kontynencie.

Słyszając to, więźniowie siedzący nieco dalej zarechotali.

- Wino mają wyborne, wierzaj mi - zapewnił go Franken z wyrazem paskudnego ryja przypominającym uśmiech.

- Wino... - rozmarzył się Tranog i nagle zdał sobie sprawę, że prócz wody od rana nie miał w ustach żadnego płynu. - Nie zostało wam coś z wczoraj?

Tym razem wszyscy się zaśmiali, głośno, do rozpuku.

- Na twoim miejscu zapomniałbym o tym, że żarcie może mieć jakikolwiek smak. - Bram wstał z sapnięciem, gdy zobaczył u wylotu tunelu Anakoluta. - Tutaj jemy codziennie to samo, czyli kaszę ze skwarkami, o ile to chrupiące gównno, które do niej sypią, rzeczywiście jest przypalonym mięsiwem, a nie czymś zupełnie innym. Do tego dostajemy trochę rozgotowanych warzyw. Tylko raz na miesiąc, przy pełni, dają nam lekko tylko nadgniłą suszoną pomaskę.

- Co takiego? - Tranog zerwał się na równe nogi.

- To, że jeśli nie potrafisz przemieniać wody w wino, nigdy więcej nie zakosztujesz tego zacnego trunku - dorzucił na odchodnym Stokerczyk.

- Ja słyszałem o jednym takim... - zaczął któryś z jajogłowych braci, ale zaraz został uciszony przez drugiego.

- Kasza, warzywa, suszona pomaska? - powtarzał z niedowierzaniem Tranog. - Żadnego wina ani piwa?

- A, byłbym zapomniiał... - Bram zatrzymał się i pacnął dłonią w czoło. - Tamtejszy kucharz - wskazał w górę - nie słyszał chyba o czymś takim, jak sól.

- Niesłone żarcie? - skrzywił się Tranog.

- Niesłone? Bracie! - Starzec splunął. - Przez pierwszy tydzień myślałem, że drań się zakochał, ale sam powiedz, czy można ślepić w babę przez trzydzieści lat?

- Nie rozumiem... - Tranog obejrzał się na pozostałych, czując, że znowu dworują sobie z

niego, lecz łyzy w oczach Stokerczyka uświadomiły mu gorzką, a raczej słoną prawdę. - No ale od czasu do czasu macie...

- Nic nie mamy - uciał Bram i ruszył w stronę platformy, by pomóc Anakolutowi wciągnąć na nią żelazny kosz pełen dzisiejszego urobku.

\* \* \*

Tranog nie marnował czasu. Obejrzał uważnie najeżony kolcami łańcuch, na którym podciągano urobek. Nie sposób było chwycić się go, nie kalecząc przy tym dłoni. Potem pomógł zepchnąć żarna z platformy, żeby zrobić miejsce dla koszy. Gdy po uderzeniu w gong winda zaczęła się podnosić, a pozostali więźniowie zajęli się zbieraniem nadpalonych szczątków człowieka do niedawna zwanego Segalem, on stał z zadartą głową i przyglądał się sunącej w górę konstrukcji, spod której zwisał smętnie poskręcany pas opalanej blachy.

Od szczytu skalnego komina dzieliło go więcej niż trzysta łokci, może nawet pięćset, ale winda nie pokonała całego dystansu na raz. Gdy była już blisko otworu, zauważył, a właściwie usłyszał, że zwolniła. Chwilę później ze skał wytrysnęły długie strugi ognia i wijąc się nieustannie, obmywały kolczasty łańcuch nad platformą, ją samą i całkiem sporą przestrzeń pod nią. Smoki... Dupa tam, nie smoki, uznał, przyglądając się uważniej miejscom, z których tryskał ogień. Ukatrupił kilka tych bestii, sam i pospołu z innymi. Nie tak wyglądały płomienie tryskające z ich pysków. Nie ten kolor, nie ta gęstość. No i jakoś nie czuł ich smrodu, gdy zjeżdżał w dół. Bo klatki mógł przeoczyć, jeśli były dobrze ukryte. Ale odoru gadów z niczym by nie pomylił.

Zatem to nie smoki, tylko jakieś maszyny, zapalające i wydmuchujące olej skalny. Widział kiedyś taki wynalazek w pałacu jakiegoś magistra, zanim jeszcze poznał zaklinacza. Tamto cudo broniło dostępu do najwyższej wieży, w której ukryło się magiczne ścierwo już po upadku innych fortyfikacji, ale było nieporównywalnie mniejsze. Grunt, że to nie żywe stworzenia, lecz ślepa machina, ucieszył się w duchu Tranog, którego szanse na przeżycie znacznie wzrosły.

Barbarzyńca skupił wzrok na blaszanym pasie rozgrzanym po kilku chwilach płomienistej kąpieli tak bardzo, że sam zaczął lśnić. Ogień sięgał do jego końca, a nawet dalej, zgodnie z tym, co mówił Bram. Choć wcale nie tak daleko... Zakładając, że przestrzeń dzieląca człowieka od ognia powinna sięgać odtąd dotąd, zastanawiał się milcząco, trza by mieć z osiemdziesiąt łokci liny... Jakkolwiek liczyć, dziesięć lat pleceni. Nie, nie i jeszcze raz nie. Kopnął ze złością końcówkę łańcucha, którym go przykuto do kamienia. Grube ogniwa zachrzęściły pod podeszwą sandała.

Łańcuchy! I to z najbardziej wytrzymałej stali, jaką zdołali wyprodukować księżęcy kowale. Pochylił się, oceniając ich długość – sześć razy po pięć łokci plus to, co pod żarnami. Będzie w sumie ze czterdzieści, może czterdzieści pięć. Mało, wciąż o wiele za mało. Ale...

\* \* \*

Nigdy w życiu nie jadł czegoś paskudniejszego, choć jego zęby rozszarpały w potrzebie rozmaite paskudztwa. Ale ta rozgotowana breja, pozbawiona jakiegokolwiek smaku, była je wszystkie na głowę. Jednakże zapychała pusty żołądek, więc ją zjadł, wspominając – za radą Brama – ociekające tłuszczem udźce kozdronia, rozplływające się w ustach i prawie pozbawione ości mięso plury. Ech... łyza mu się w oku zakręciła, gdy pomyślał o łyku zimnego

piwa, nawet najpodlejszego, bo i to byłoby o niebo smaczniejsze od źródlanej wody, na którą tutaj był skazany.

Niewiasty, wino i pienia. Gdyby nie przyjaciele w potrzebie, to byłyby trzy najważniejsze powody do opuszczenia tego miejsca.

- Jutro już mnie tu nie będzie - oświadczył pozostałym więźniom, gdy skończył wylizywać starą drewnianą misę.

- Całopalenie? - upewnił się starzec.

- Zapomnij o całopaleniu, stokerski kmiecie - odparł Tranog, spoglądając z zamyśloną miną na ognisko. - Jutro wszyscy zakosztujemy krwi i świeżego mięsiwa.

- Ja tam w ludzkim mięsie nie gustuję, a tylko takie tu mamy - odparł spokojnie Franken. - Wiem, co mówię, bo próbowałem... - zamilkł, widząc zdziwienie na twarzach towarzyszy niedoli.

- Kogoś ruszył, fałszywy pomocie? - Bram obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- Drakhula się zapytaj - odburknął Szejnianin.

- Ja tylko krwi trochę się napiłem - zaprotestował syn Stokerczyka.

- Tfu! By was Bruksela pociamrała...

- Bruksa, tatku - poprawił go Drakhul.

- Jeden grzyb... - Rozeźlony starzec napchał kolejną kopyść kaszy w usta, nie chcąc brnąć dalej w ten temat. - Dajmy już temu pokój - zaproponował, przełknąwszy - i porozmawiajmy o czymś normalnym, jak na prawdziwych barbarzyńców przystało. - Wskazał głową na Tranoga.

- On swój, kryć się nie musimy z naszym prawdziwym charakterem. Dzisiaj kolej na przemyślenia naszego młodego Zimmermana.

- Miałem. Coś ekstraordinaryjnego. Niezwykłe. Dla was - wymamrotał Anakolut. - Ale jedząc tę breję, zgubiła mi się myśl.

- Wielka szkoda, przyjacielu. - Inicjatywę natychmiast przejął Franken. - To może ja zacznę. Jestem następny w kolejce. - Anakolut zmarszczył czoło, usiłując przypomnieć sobie to, co tyle razy powtarzał w myślach, zanim go odwiedził Tranog, nie podołał jednak i skinął niechętnie głową. Szejnianin odłożył pustą już misę, po raz ostatni pociągnąwszy po dnie palcem, a gdy go oblizał, uśmiechnął się szeroko i tako rzekł - chyba już wiem, czym są gwiazdy.

- Gadanie! - zakrzyczeli go zaraz pozostali.

- Mówię wam. Już kilka dni temu zaświtała mi w głowie ta myśl, ale nie chciałem jej wam przedstawiać, zacni mieszkańcy północnych krain, zanim jej dobrze nie przemyślę i nie udokumentuję.

- Skoroś taki pewny, to mów, zobaczymy, ile oleju mieści się w tej twojej kwadratowej pale - zakpił z niego Bram przy wtórze śmiechu pozostałych barbarzyńców.

- To takie słońca, tylko o wiele dalej wiszące - oznajmił Szejnianin z dumnie podniesionym czołem, płaskim i wysokim.

- Aleś wymyślił.

- Zauważyliście, że one przesuwają się po niebie zawsze tak samo i w tę samą stronę? Wszystkie co do jednej.

Tym razem nie było podśmiejek. Siedzieli wokół ogniska, krzywiąc się, przymykając oczy. Nagle Humfy (albo Dumfy) wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu.

- A te spadające? - zapytał, trącąc łokciem brata.

- I tu mnie nie zagniecie - oznajmił jeszcze wyniośle Franken. - To nie gwiazdy spadają

nocą, kreśląc smugi na niebie.

- Tak? A to dopiero teoria... - Jajogłowy nadal był przekonany o swojej racji. - Rad bym się dowiedzieć, skąd ta pewność?

- Bo tak wiele spadło, a jednak żadnej nie brakuje! - odciął się Szejnjanin.

Ten argument zbił ich z tropu. Znowu się zamyślili. Słychać było tylko trzask płonących polan i od czasu do czasu czyjeś pomrukiwania. Tranog nie zwracał jednak na nich uwagi. Zupełnie już odpłynął myślami, układając w głowie kolejne wersje planu, szlifując szczegóły, obliczając wszystko po raz setny, by nie skończyć jako kolejny skwarek.

- Mam! - oznajmił wreszcie podniesionym głosem, ucinając kolejny etap niewątpliwie ciekawej dysputy o budowie nieba, którą toczyli zawzięcie jego kompani, będąc już tylko o krok od bójk, bo tak właśnie zwykli rozwiązywać słowne spory wszelacy badacze i myśliciele o duszy prawdziwego barbarzyńcy. Tutaj, w czeluściach jaskini, mogli sobie pozwolić na obnażenie prawdziwej natury, wiedząc, że nikt postronny ich nie podgląda ani nie podsłuchuje.

- Wiesz złapałeś? - zainteresował się Franken, który siedząc naprzeciw Tranoga, wcześniej widział, jak ten drapie się po głowie.

- Plan mam!

- Jaki plan? - zapytał Humfy. Albo Dumfy. W półmroku łysole niczym się nie różnili.

- Zrobię to samo co Segal... - zaczął Tranog.

- To i dobrze, mniej do spalenia zostanie - wymamrotał pod nosem Bram.

- ... tyle że z większym pomysłuńkiem - dokończył Tranog, nie zwracając uwagi na kąśliwy wtęret Stokerczyka.

- Mów!

Przysunęli się do niego jak jeden mąż, czekając na szczegóły.

- Wasz przyjaciel dobrze kombinował - zaczął Tranog wolno, lecz z każdym słowem rozkręcał się coraz bardziej - tylko liny miał za mało i ogień go dosięgnął...

- Choćbyś dziesięć lat wyplatał, smoki i tak cię zoczą i z dupy jesień Śródziemia zrobią - przerwał mu starzec.

- Tam nie ma żadnych smoków - zachnął się Tranog.

- A co ziejże ogniem?

- Machiny!

- Machiny, akurat - nabijał się z niego Bram. - Widział kto machinę, co ziejże ogniem.

- Tak po prawdzie to ja widziałem - oznajmił Franken. - Lało się do takiej olej skalny...

- Mam gadać dalej, czy wolicie bardziej szczegółowo omówić zasady działania miotacza ognia? - przerwał mu Tranog, przypomniawszy sobie nagle, jak magister nazwał swój wynalazek. Zamilkli natychmiast, choć widać było, że Szejnjanin chętnie podzieliłby się swoją wiedzą, ale i on pojął po chwili, iż ma znakomity temat na następną dysputę, zacisnął więc usta, by nie wypsnęło się z nich już ani jedno słowo. - Gdzie to ja byłem... A, wiem... Problemem Segala była za krótka lina. Sądząc z obserwacji poczynionych dzisiaj, gdy winda wywozi urobek, uważam, że trza będzie jej dwa razy tyle, czyli ze siedemdziesiąt łokci...

- Co znaczy, że czeka cię dwanaście lat wyplatania. - Bram znowu wpadł mu w słowo, a pozostali nerwowo sięgnęli palcami do zmierzwionych czupryn. Prócz Alboińczyków, rzecz jasna.

- Nie mam tyle czasu na zabawy. Zamierzam uciec jutro. - Tym ostatnim stwierdzeniem rozbawił wszystkich.

- Jutro? - zapytał Bram, gdy przestał już szczerzyć pieńki zębów. - Jakim cudem?
- Ano takim. - Tranog wskazał głową łańcuch leżący obok żaren.
- Teraz już nikt nie rżał. Barbarzyńcy kiwali głowami, Anakolut też się do nich przyłączył, aczkolwiek dopiero po chwili. Nawet on zrozumiał, że to się może udać.
- Będę jednak potrzebował waszej pomocy. Trza nam rozbić te żarna i ułożyć ich kawałki tak, by platforma, gdy opuszcza ją jutro po urobek, zatrzymała się na nich zamiast na podłożu jaskini. Dzięki temu będę mógł przymocować łańcuch do kratownicy stanowiącej jej podstawę.
- Łańcuch za krótki, mimo że taki długi - zauważył rozsądnie któryś z braci.
- Wiem - nie przejął się Tranog. - Dlatego przyczepię do niego paski metalu wyjęte z koszy. Segal odwalił część roboty, wystarczy wyjąć jeszcze kilka albo kilkanaście, spleść je porządniej albo skuć i bez trudu utrzymają mój ciężar.
- No dobrze, ogień cię nie sięgnie, ale co dalej? Nie wespnieš się po rozgrzanym łańcuchu, bo będzie za gorący, a jak platforma zatka otwór, co przecie stanie się kilka chwil po tym, jak smoki... znaczy te motacze...
- Miotacze, tatau - poprawił go syn.
- Niech będzie... jak miotacze przestaną zionąć ogniem.
- I na to mam radę - uspokoił go Tranog. - Poczekam, aż łańcuch ostygnie, wespnę się na niego i na skraju platformy poczekam na chwilę, w której...
- Chcesz wisieć na rękach tyle godzin? Dzień cały? - zdziwił się Stokerczyk.
- Wisząc tak długo, palce ci nie wytrzymają - poparł go Anakolut.
- Ale z was durka syny. Hamak sobie zrobię. Z waszych koców. Podwieszę go pod kratownicą, a jutro, jak tylko zaczną opuszczać windę, wespnę się na platformę, wyrżnę...
- Czym, jeśli wolno zapytać? - zainteresował się Franken.
- Toporem - burknął rozeźlony tym ciągłym przerywaniem Tranog.
- To my mamy topory? - zdziwił się Bram.
- Pewnie nasz przyjaciel myśli o takim krzemiennym ostrzu, jakich używali nasi antenaci...
- zaczął Szejnianin, ale pozostali zaraz go zakrzyczeli.
- Chyba twoi! - kpili z niego zgodnie. - My od człowieka, ale ty z pewnością od falfusa pochodzisz. Po tym prymitywnym ryju od razu widać! Krzemienne ostrza topora? Kto takie głupoty rozpowiada!
- Zawrzyjcie te niewyparzone jadaczki! - wydarł się Tranog, tracąc do reszty cierpliwość.
- Naznoście węgla w boczny korytarz, byle jak najdalej stąd. Kuźnię tam urządzimy.
- Kuźnię?
- A kuźnię. - Tranog ujął drzewce kilofa i pokazał go wszystkim. - Mój ojciec też w tym fachu robił, więc co nieco pamiętam...
- Topór z kilofa zrobisz? - Bram pokręcił głową z niedowierzaniem.
- Wystarczy trochę na końcu rozklepać...

\* \* \*

Tej nocy żaden z nich nie spał. Wszyscy pomagali, ale to Tranog odwalił największą część roboty. Reszcie sił nie starczało, a poza tym nie mogli odsypiać w dzień, bo czekała ich dzieńka jak zawsze, żeby ludzie magistra, odbierając dzienny urobek, niczego nie zauważyli.

Rozbicie żaren nie było aż tak trudne, jak się obawiali. Tranog znalazł cienką ryse,

zapewne tę samą, przez którą młynarze wcześniej pozbyli się wadliwego kamienia. Wystarczyło ją rozkuć, wrazić parę klinów i wielki krąg rozpętał się posłuszenie na dwie niemal równe części. Ich przesunięcie we właściwe miejsca okazało się o wiele trudniejsze, ważyły bowiem tyle, że i dziesięciu chłopów miałoby z tym kłopot, a ich było zaledwie pół tuzina, i to do tego wymizerowanych. Ale do północy dali jakoś radę.

Teraz przyszła pora na umocowanie łańcucha, na co poszło pięć pasków skutego uprzednio ze sobą żelaza. Na szczęście tego materiału mieli pod dostatkiem, jako że koszy było więcej niż pracujących w kopalni ludzi. Pozostały w chodnikach po dawniejszych, dobrych czasach... W każdym razie Tranog wybrał kilka najmniej pordzewiałych, podstawiając w ich miejsce stare i wyznaczając swojemu krajanowi zadanie ich wyczyszczenia. Cokolwiek mówić, Anakolut nie bardzo się nadawał do precyzyjnej roboty.

Reszta wyciągała kolejne pasy metalu, które Tranog skuwał na zwykłym gładzie, tworząc z nich kilkuwarstwową listwę. Gdy miał jej już kilka łokci, sprawdził wytrzymałość swego dzieła. Uwiesił się na niej, potem kolejno dołączali do niego pozostali. Wytrzymała ciężar wszystkich sześciu barbarzyńców, aczkolwiek groźnie pod koniec skrzypiała.

Nad ranem, gdy wszystko było już gotowe, a więźniowie ruszyli na wyrobiska, by do wieczora uzbierać dodatkowy kosz urobku, utrudzony nieludzko, lecz wciąż rozentuzjasmowany Tranog wziął się w końcu do wykuwania topora.

\* \* \*

Obudziły go stłumione odgłosy. Zaspany przeciągnął się na posłaniu i... byłby spadł w przepaść, niwecząc z takim trudem zrealizowany plan. Szczęściem, a raczej za radą Brama, przywiązał się do kratownicy. Klął ile wlezie, w myślach rzecz jasna, gdy tak wisiał nad pięćsetłokciową czeluścią na linie uplecionej z pociętego koca. Ze zmęczenia zasnął tak mocno, że zupełnie zapomniał, gdzie się znajduje.

Rozbudzony bólem i strachem, pochwycił dłońmi kratownicę i zwinnie jak cycoń przedostał się na skraj platformy, gdzie nocą po wystygnięciu żelaza zrobił sobie kilka pętli z kolejnego koca, by w razie czego mieć o co oprzeć stopy, kiedy winda ponownie ruszy w dół. Wiedział bowiem, że może mu nie starczyć czasu na podciągnięcie się i wskoczenie na skały. Jedno omsknięcie nogi i cały wysiłek spełźnie na niczym. Zostanie na zjeżdżającej platformie, w najgorszym wypadku dając sługusom magistra asumpt do zapalenia ognia, a w najlepszym skłaniając ich do takiego poprawienia zabezpieczeń, by nikt już podobnym sposobem nie mógł się wydostać z kopalni. Aczkolwiek, jak się nad tym dobrze zastanowić, ta druga ewentualność byłaby chyba gorsza. Nie dość, że sam by tu utknął na wieki, bo tyle pewnie trwałoby przekucie się przez zbocze góry, to jeszcze...

Zgrzytnęły łańcuchy. Popędzone batem konice zakręciły kieratem i platforma zatrzęsała się najpierw, a potem oderwała od skał i ruszyła wolno w dół. Ucapiony jej krawędzi tylko na to czekał. Mając wsparcie dla stopy, podciągnął się w okamgnieniu i skoczył na skałę, chwytając się grani tuż przy krawędzi. Dwa ruchy mocarnych ramion, później trzeci i już przetaczał się po wypolerowanej powierzchni, czując na skórze ożywczy wietrzyk i palące promienie słońca.

Zerwał się na równe nogi, szczerząc groźnie zęby i dobywając topora – niezbyt kształtnego mimo skucia dwóch kilofów, ale ostrego i jak trzeba ciężkiego. Wywinął nim popisową ósemkę, szukając wzrokiem wroga, ale nikogo nie zobaczył ani na skałach przy otworze, ani

przy kieracie. Trochę go to zdziwiło, jednakże nie widział też sensu w dalszym zgłębianiu tego zagadnienia. Skoro mądrzejsi od niego nie rozumieli pokrętej natury magistrów parających się magią, to i jemu myślenie raczej nie pomoże. Przywarł do skał, aby nie stanowić zbyt łatwego celu dla ukrytego łuczniaka – gdyby taki tu był i pilnował wyjścia – a potem rozejrzał się uważniej, wypatrując czyhających zagrożeń, pułapek i dróg wyjścia. W dole przy przystani stał tylko wóz, którym go tu przywieziono. Nigdzie, nawet na horyzoncie, nie dostrzegł jednak śladu żagla.

Chwila myszkowania pozwoliła mu znaleźć wąską, wyslizganą setkami tysięcy stóp ścieżkę, która obiegała szczyt jedynej góry na tej wyspie i znikła w oddali za skalnym załomem. Nie mając innego wyjścia, po chwili wahania opuścił tymczasową kryjówkę. Wystarczyło sto kroków, by ujrzał miejsce, którego szukał – wieżę maga.

Rzyc tam, nie wieża, pomyślał, patrząc na zrujnowane zabudowania w załomie skalnej ściany. Niegdyś musiała to być perła miejscowej architektury, niemniej wieki zaniedbań zrobiły swoje. Białe ściany poszarzały, a gdzieniegdzie nawet poczerniały od pokrywającego je guana, które w dodatku wżarło się w kamień, niszcząc jego gładką powierzchnię. Część murów runęła w przepastną otchłań. Co większe odłamki Tranog widział wśród wód spienionego przyboju. Z imponującej przed wiekami całości został tylko jeden budynek i pozbawiona szczytu wieża. Na obecność w jej wnętrzu magistra wskazywała wątła smużka dymu sącząca się nie z komina, lecz z dziury w dachu.

\* \* \*

Magister śniadał. Zamarł z gębą pełną wonnej jajecznicy i pajdą świeżutkiego chleba uniesioną w chudej dłoni. Ślepiea wylazły mu z orbit na widok stojącego w drzwiach Tranoga.

- Smacznego - rzucił barbarzyńca, uśmiechając się drapieźnie.

- Szo... jak...? - Mag próbował zerwać się z zydlą, przełknąć jadło, przywołać jakieś zaklęcie. Robił wszystko jednocześnie, nic więc dziwnego, że nie wyszło mu jak trzeba. A mgnienie oka później stał już pod ścianą na paluszkach, czując zimną stal na gardle.

- Domyślam się, że nie o zdrowie pytasz?

Saruwoman chciał pokręcić głową, ale szybko z tego zrezygnował. I słusznie, bo to nie najlepszy pomysł, gdy człowiek ma ostrze przyciśnięte do szyi. Tranog pozwolił mu przełknąć ostatnie kęsy. Poczł zapach smażonych jajek i zaburczało mu w brzuchu, ale nie zamierzał brać się do stygnącego jedzenia, dopóki nie załatwi najważniejszego.

- Czego chcesz? - zapytał przerażony mag. Nochal z wielką kurczajką drgał mu ze zdenerwowania.

- Długo by wymieniać. Chyba że wolisz usłyszeć moje żądania w skrócie? - Tym razem Saruwoman odruchowo skinął głową, co okazało się dlań niezbyt fortunne. - Opanuj się, brejzo jedna! Krwawisz na mnie! - ofuknął go barbarzyńca. I zaraz musiał przytrzymać głowę wyleknionego jeńca, gdyż ten znów zapragnął wyrazić skinieniem chęć do współpracy. - Po pierwsze gadaj, jak mogę się dostać na kontynent?

- Tylko łodzią - odparł usłużnie magister.

- Tyle to sam wiem.

- Moją łodzią...

- Już lepiej. - Tranog poklepał go po głowie dłonią wielką jak bochen. - Gdzie ona?

- Stoi uwiązana. Pod przystanią. Dlatego jej nie widać.

- Świetnie... - Barbarzyńca zastanawiał się przez chwilę. - Daleko stąd do Rządkochowy?  
- Przy pomyślnym wietrze dwie godzinki żeglowania - zapewnił go chrapliwie mag. Nawet mówienie sprawiało mu ból, ponieważ ostrze topora, dość szczerbate, wciąż tkwiło w ranie. - Łąd leży tuż za horyzontem. Tam - wskazał ręką na zachód.

- Łiesz, synu garbatego cyconia i kaprawej gierady!

- Na swoje życie przysięgam, a jest mi ono cenniejsze od wszystkiego innego - wyszeptał przesłuchiwany, bielejąc na twarzy. - Nie zabijaj, a wyjawię ci największy sekret tego świata, nawet podzielę się z tobą moim eliksirem.

- Hmm... - Tranog zaczynał czuć nieprzepartą chęć skosztowania pachnącej potrawy, którą miał na wyciągnięcie ręki. Resztką sił powstrzymywał się od dopadnięcia stołu i spałaszowania gołymi rękami żółciutkich farfocli. Wiedział jednak, że to mogłoby go kosztować życie. Krótka inkantacja tego jarubasa i zamieniłby się w kamień albo jakieś inne, równie nieruchawe paskudztwo.

- Ta kopalnia trzyma mnie przy życiu... - podjął mag.

- Mógłbyś się streszczać. Na czym zarabiasz, mało mnie obchodzi.

- Kiedy się streszczam. Z livium, czyli z tego czarnego minerału, który wydobywacie, robię eliksir życia. Dzięki niemu wciąż żyję, a mam już czterysta zim, albo i więcej - dodał, marszcząc brwi, jakby próbował coś obliczyć.

- Ciekawe... - mruknął barbarzyńca.

To by tłumaczyło, dlaczego nie ma tu nikogo poza tym zasuszonym staruchem pragnącym zachować swój sekret w tajemnicy przed całym światem. Jeżeli prawdę gada.

- Jest wart fortunę, jakiej nie potrafisz sobie wyobrazić - kusił go Saruwoman.

- Tyle, a nawet więcej, to ja już miałem - powiedział głośno Tranog, chcąc zagłuszyć burczenie w brzuchu.

- I zapewnia całą wieczność na jej wydanie - dodał mag, uśmiechając się przymilnie.

- Raczej na gnicie na tej wyspie po kres czasów - zakpił z niego barbarzyńca, choć wcale nie było mu do śmiechu. Z każdym zdaniem wypowiedzanym przez magistra docierał do niego kolejny oddech przesiąknięty wonią smakowitej jajecznicy.

- Tkwie tutaj - tłumaczył się pospiesznie przyciśnięty do ściany Saruwoman - bo nie sposób teraz zorganizować wystarczającą siłę roboczą, nie zwracając przy tym uwagi księcia Rządkocha i jego zgrai, a to, jak zapewne wiesz...

Myśl o stygnącej jajecznicy rozkojarzyła barbarzyńcę. Takie marnotrawstwo...

- Twoja nieśmiertelność kończy się tutaj i teraz - zdecydował, wykonując jednocześnie szybki ruch toporem. Głowa magistra potoczyła się z głuchym stukotem po podłodze, a ciało osunęło się po murze, obryzgując barbarzyńcę niemal czarną posoką.

Zimmerman otarł twarz z krwi, włożył topór za pas i przypadł do stołu. Jajecznicą, choć już mocno wystygła, smakowała mu bardziej niż najfikuśniejsze rarytasy z dworów, na których czasami zdarzało mu się ucztować.

\* \* \*

- Księciuniu mój!

Władca Rządkochowy uniósł łaskawie powiekę, by sprawdzić, któż tak hałasuje pośrodku nocy. Sądząc z piskliwości owego głosu, miał do czynienia z Tołdysławem, swoim szambelanem.



- Dlaczegoż mię niepokoisz? - zapytał tonem pełnym przygany.

- Nieszczęście, księciuniu mój, nieszczęście - lamentował stary sługa.

Te słowa zaniepokoiły władcę, jako że pora była późna, a szambelan dał się poznać jako człek pełen ogłady. Usiadł więc na łożu i oparłszy się o poduchy, zapytał:

- Jakież znowu nieszczęście?

- Ktoś wybił załogę „Zwu Czykwina”!

- „Zewu” - poprawił go książę.

- Nie rozumiem, gdy księciunio używa zamorskich przekleństw - zafrasował się sługa.

- Nie „zwu”, ino „zewu” - powtórzył Rząd Koch, nie kryjąc irytacji.

Sądząc po szeroko otwartych oczach Tołdysława, szambelan nadal nie wiedział, o czym mowa. Lepiej zostawić dyskusję o zawiłościach gramatyki na inną okazję, uznał władca i uśmiechając się pobłaźliwie, skinął głową.

- Nieważne, kontynuujże.

- Jak już wspomniałem, ktoś dokonał rzezi na pokładzie „Zwu Czykwina”...

- Dlaczegoż miałoby mnie to interesować, na bogów wszelakich? - przerwał mu mocno już podenerwowany książę.

- „Zew Czykwina”, księciuniu? Nic waszej wysokości ta nazwa nie mówi? Kapitan Zasmarianiec?

- A, Zasmarianiec! - Nie do końca rozbudzony Rząd Koch w końcu zrozumiał. - Nasz przyjaciel korsarz.

- Ten sam, księciuniu, ten sam.

- Czemuż tu się dziwić, wierny sługo, że kosa trafiła na kamień, jak to wy, prostacy, powiadacie. - Westchnął ciężko, bynajmniej nie z żalu po pucołowatym piracie. Ta śmierć oznaczała konieczność znalezienia sobie kolejnej zaufanej załogi. - Niech mu ziemia, woda czy co tam inszego lekkie będzie.

- Ale księciunio nadal nie rozumie! - Teraz to szambelan się zirytował. - Ktoś dwudziestu sześciu chłopów zarznął! W pojedynkę! Wielgachnym toporem!

Rząd Koch w jednej sekundzie siedział w łożu, a w następnej stał już przy strzelistym oknie, za którym widać było pogrążoną w mroku panoramę portu i otaczającego go miasta.

- On ci to?

- Na to wygląda...

- Ale jak?

- Zza grobu wrócił - wyszeptał zdjęty strachem szambelan.

- Głupiś - ofuknął go książę. - I zabobonny.

- To jak inaczej wytłumaczyć zmartwychwstanie Tranoga? Ponoć był taki jeden, co...

- Zamilcz! Kapitan Zasmarianiec chciwą kanalią był za żywota, pewnie sprzedał go komuś w jasyr albo sam się z nim ułożył... Choć nie. - Książę się zafrasował. - Wtedy by żył, zmijan podstępny. - Rząd Koch przeczłapał bosymi stopami na drugą stronę komnaty, ścigany przez zgiętego w pas sługę.

- Przeziębi się księciunio bez bamboszków - narzekał szambelan.

- Idźże ode mnie, jarubasie jeden, bo cię na pal nadzieć każę! - opędzał się od niego zamyślony władca, ale Tołdysław dopiął swego i obuł go szybko w wymoszczone futrem z andzela papucie. - Tranog wrócił... a co z tymi dwoma pomiotłami okły? Jak im tam...

- Z Gaveinem i Seeleonem? - podpowiedział usłużnie szambelan. Gdy Rząd Koch łaskawie przytaknął, szybko dodał: - Dzisiaj w nocy kapitan miał się zająć tym pierwszym, wabiąc go

na pokład informacją o zaginionym przyjacielu.

- Zatem to on... - ucieszył się książę, widząc tak proste rozwiązanie zagadki.

- Nie, nie - zaprotestował stary sługa. - On toporem nie obraca prawie wcale. Mieczem za to robi całkiem niezłe.

- A skądże wiadomo, że oni wszyscy od topora poginęli? - zainteresował się Rzakoch.

- Kapitan straży posłał na miejsce zdarzenia swoich najlepszych śledczych, a mają tam takiego jednego, Destero się nazywa, co tylko spojrzy na bryzgi krwi i zaraz wszystko powie. Nawet nazwisko kowala, spod którego młota wyszedł sztylet, miecz albo inne żelastwo użyte na miejscu zbrodni.

Książę nie odpowiedział, zamyślił się głęboko, oceniając sytuację. Zamek, w którym się znajdował, był nie tylko piękny, ale i potężny. Zim temu sześć oparł się inwazji, a cała armia wtedy go szturmowała. Tak więc na razie czuł się bezpieczny za tymi murami. Jeden barbarzyńca, jakkolwiek potężny, nie da przecie rady dwustu gwardzistom. Gdyby zaszła jednak taka potrzeba, wystarczy ogień rozpalić, a z miasta przybędzie z odsieczą pięciuset kolejnych zbrojnych albo i tysiąc, zależy, ilu członków milicji, którą stworzył po inwazji, spiło się w trupa tego wieczora. Nie, wszystko ma pod kontrolą, a rano...

Gdzieś w dole rozległy się wrzaski. Rzakoch raz jeszcze dopadł do okna. W ciemnościach spowijających wąskie przestrzenie pomiędzy murami niewiele mógł dostrzec. Widział tylko pochodnie, coraz liczniejsze, jak ogniki przesuwane się w jedno miejsce w pobliżu bramy. Tam wiele z nich nieruchomiało, niektóre nawet gasły. Hmmm...

- Każ zapalić ogień na wieżach - rozkazał szambelanowi, a ten natychmiast przekazał polecenie dalej.

Chwilę później nad zamkiem zagorzał ogień, a z dołu dobiegło frenetyczne dzwonienie - oto straż zwierzała szeregi, by przyjść z odsieczą swemu wodzowi i dobroczyńcy.

- To już nie potrwa długo - ucieszył się władca i nie pomylił się.

Szczęk oręża w korytarzu, za przepięknie zdobionymi białymi drzwiami. Coraz głośniejszy. Do tego krzyki, wrzaski, jęki agonii. Rzakoch wymienił spojrzenia z nie mniej zdumionym szambelanem.

- Co za licho? - szepnął, gdy odrzwia zadrżały po raz pierwszy, jakby w nie uderzył taran.

Ale to nie licho było, tylko pani Tranogowa prowadzona pewną ręką rozwścieczonego właściciela. Jej szlak zdobiły kałuże posoki i ciała setki z górą zbrojnych. Zimmerman nie przejmował się odsieczą idącą z miasta. Przy bramie został zaklinacz z nekromantą, Bramem, jego synem i resztą górników. W takiej sile barbarzyńcy, nawet wymizerowani, dadzą odpór choćby i armii. A jemu trzeba było tylko kilku chwil, by dopiąć swego.

Zemsta jest słodka, nawet na zimno, i o wiele smaczniejsza od niedosolonej kaszy.

*Wszystkim posłom tamtej i tej kadencji, bez których to opowiadanie nie byłoby tak smakowite.*

*Na coś się jednak przydadjecie.*

# Aleksandra Janusz

## ITER IN SARMATIAM

*Od Michał Kiślak martimacfly931@gmail.com*

*do Wandzia <w.szostek@uw.edu.pl>*

*data 24 października 2014 22:31*

*temat Dzienniki Erazma*

*wysłana przez gmail.com*

*Wszystkie zdjęcia są w załączniku. Manuskrypty dostaniesz w przyszłym tygodniu. Muzeum dało się przekonać, żeby je wysłać Fed Ex-em, trzeba jednak ubezpieczyć przesyłkę na jakieś fafdziesiąt tysięcy złotych, a na to z kolei musi wydać zgodę uczelnia.*

*Grzesiek zrobił datowanie izotopem i wiek się zgadza, chociaż to oczywiście nie przesądza o autentyczności. Erazm Łącki miał barokową wyobraźnię i odróżnienie faktów od fikcji literackiej może stanowić dla nas duże wyzwanie.*

*Raczej nie sądzę, żeby udało się uzyskać pozwolenie na wykopaliska w Dagestanie, ale zawsze można próbować. Kto wie, to mogłaby być następna Troja.*

*\* \* \**

### ***Erazm Łąckiego Silva rerum***

Onegdaj minęliśmy ostatnie większe miasto, jakie nakreślono na mapie. Teraz jeno kaukaskie szczyty niebosiężne, a sioła skąpo w dolinach rozrzucone. Małpoluda, któregośmy zabili przed wieczorem, pochowaliśmy, aby odorem juchy jakich bestii nie znęcić. Straszne to monstrum, jakby z głębi piekła na drwinę z rodzaju ludzkiego. Futro na nim jak u niedźwiedzia i wilcze zębiska, a *facies* przecie niby ludzka.

Bóg jeden wie, jakie diabły jeszcze tutaj żyją.

Pan Zebrzyński razem z przewodnikiem stróżują wokół obozu. Nasz góral powiada, że idziemy starożytnym szlakiem, a Brama Niebiańska już blisko. Jakom i na ścieżce oskrobał raz czy dwa kamienie omszałe, kocim łbom podobne. Lęk radosny ściska mię w trzewiach, gdy pomnę, że może i to pierwszy ślad naszej pradawnej Sarmatii. Wszystko jednak *solvitur ambulando*; obaczy się w drodze.

Marcinek skóruje zająca. Gdybyśmy go nie powstrzymali, małpoluda też by na mięso sprawił. Mię ciarki po grzbiecie chodziły, ale chamska nacja na nic niewrażliwa. A z fizjognomii nawet podobny. Bez mała nic nie gada, posepnie tylko pogląda przed siebie i suchą bułą ciamka. Tu się pokręci, tam jagód jakich uzbiera. Dziw, że się nie otruł jeszcze; znać, że Bóg prostaczków ma w opiece.

Ja przy ognisku siedzę, zbolełe kości wygrzewam i dla potomności *itineraria* piszę. Przed jesienią pewnikiem wrócić nie sposób. Więcej takich przygód jak dzisiaj, a rychło świętego Piotra powitam. Toż i atrament leję, suplikę ku niebu wnosząc z nadzieją, że *non omnis moriar*. Jedno dobre, że jakby ducha wyzionąć mi przyszło, oszczędzi mi Jezu starczego niedołęstwa.

Oto, jak było:

O świtaniu budzi nas wrzask okrutny. Ni to człek, ni to harpia albo zarzynane prosię. Zrywam się, szabli dobywszy, mało co widząc, ledwie o własne suknie się nie zaplącę. Zebrzyński już na nogach, zębami zgrzyta, stal złowrogo błyska mu w dłoni. A przewodnik jak polano zwęglone chwyci, jak się zamachnie, jak ryknie straszliwszym jeszcze głosem! Skoczył jaki stwór między krzewy i pomknął po skale, żem jeno ciemną *species* zoczył.

Pytamy, co zacz. Góral po rusku coś eksplikuje, mało języka nie połamie. Tyleśmy się wywiedzieli, że szlakiem rzadko kto wojażuje i jakoweś bestie się na nim zaległy albo dzikie ludy objęły drogę we władanie, tegom nie wyrozumiał.

„Nic to”, powiada wreszcie, „idziemy”.

Przewodnik jakby złękniony, co i rusz się rozgląda. Niekiedy z konia zeskokczy, złapie za kindżał, przepatruje krzaki. A trzeba Wam wiedzieć, że nasz góral wywodzi się z plemienia Lezginów, którzy tutaj zamieszkują. Dumny to naród, hardy jako sam Kaukaz i do krwawego rzemiosła wielce sposobny. Swoje miasta ałłami zowią i każdy ałła ma swojego króla; tak się rządzą, jak starożytni Grecy. Do cywilizowanych narodów im jednakowoż daleko, z natury są dzicy i bisurmańską wiarę wyznają, a duszę mają łotrowską i skorą do gwałtu.

Srogie przypadły na nas terminy, skoro i on się stracha, powiadam sobie. Pożałowałem, że nie masz nas więcej, bo gdzie kupa zbrojna, tam zawždy o napaść trudniej. Ale jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Nie darmo bitny Zebrzyński zabrał się ze mną i nie darmo prowadzi nas Lezgin, a i mię jeszcze trochę siły w rękach ostało. O Marcinku nie wspomnę, boć on strachliwy i nieruchawy, jak to czeladź bywa. A jeżeli to dzikie zbójce na nas czekają, to przecie dla złota, a nie dla krwi czatują na szlakach i okupem ich łaskawość zdobyć nietrudno.

Tak to sam sobie wykładam, a temczasem perć coraz to cieńsza, konie prowadzić przyszło. Wreszcie w pół dnia słyhać kaskadę, jak huczy z dala. Przewodnik powiada, że przy wodogrzmotach popas uczynimy. I tak się dzieje, prowadzam konia, chociaż się wzdragam, by się nie ochwacił, bo tam głązy okrutne i *aura* wilgotna jak u samego Posejdona w podwodnym pałacu.

A ściany omszone, zielenią ku górze strzelają, błyszczą w słońcu. Przeźrysta kryniczna woda po nich ścieka. Gapię się na ten majestat stworzenia boskiego i gębę rozdziawiam. O tym, że *periculosa* ścieżyna, całkiem przepomniałem.

*Ex abrupto* znowu wrzask, podobny jak o świtaniu. Patrzymy, a tam zwierz dziwny przy jeziorku siedzi, żywą rybę w łapie trzyma. Niby-człek, niby-bestia, nie większe niż młody chart. Podobne do małpek, com widział u króla, osobliwie z Turczach sprowadzanych. Bez ogona jednak, nie tak włochate, z mordą nieomal człowieczą. Nie ucieka, krzywi się do nas, obmierzłe miny robi.

Góral burczy, żeby nie podchodzić. Zebrzyński na to w śmiech. Co się małpierza boisz, powiada, tchórzliwy Saracenie, ja pokażę, jak te *monstra* pognębić.

Skacze naprzód, zatnie przez łeb. Czaszkę pogruchotał, mózg na kamienie pryska.

A przewodnik jak się zapiekli, jak krwią mu oczy podbiegną. W swojej mowie do Zebrzyńskiego szwargocze, pewnikiem szpetnymi słowy. Wreszcie wrzeszczy po rusku: Głupi Polak! Głupi!

Zebrzyński do niego z szabłą: „Jak do szlachcica mówisz, psi synu?”.

Widzę, że się zaraz posiecą, więc biegnę między nich. „*Pax, pax* panowie! Pokrwawicie się i co nam z tego? Tutaj cyrulika nie masz. A jeszcze się konie popłoszą”.

Odstąpili, skonfundowani. Zaraz też góral począł naglic, abyśmy czem prędzej zabrali się z

miejsca i tak pomknęliśmy dalej, jakby nam diabeł sukmany podpalał. Grzechocą w sakwach *impedimenta*, konie mało nóg nie połamia, Zebrzyński klątwy ciskając, leci naprzód za nami. Rychło się też pokazało, czemu Lezginowi tak spieszą.

Skoro tylko ustaliliśmy przy drugiej kaskadzie, bokami robiąc po forsownym biegu, słysząc z gór wołanie. Jedno, drugie, trzecie. Zrozumiałem, że zaraz będziem wojować z małpami, co pomsty za komilitona szukają. Okrutna sromota zginąć w takich terminach, już lepiej jak wilcy zjedzą.

Każę podsypywać bandolety, a sam do sakwy swojej lecę. Zawždy bestia prochu się lęka, a ja na taką okazję nagotowałem moje specjały. Zawczasu uczyniłem alchemicznych ogniów artycjalnych, z przepisu mości Twardowskiego, na całą Koronę słynnego adepta. Receptury trzymawszy w sekrecie, podzielił się ze mną w zamian za odpis manuskryptów, co je Siekliński o Sarmatii pisał. Przed dwudziestu laty pragnął Twardowski sam na wschód ruszyć. Jednak zachciało mu się towarzystwa królów i magnatów, a gdy między nimi przestajesz, ani się obejrzysz, jak od polityki się zgubisz.

Ładuję tedy puszkę. Reszta kamraderii pistolety napchała. Po obu stronach szlaku pokazują się małpiska, ale ze trzykroć większe niż tamto. Tęgie, barczyste, jak rosły chłop albo i większe. Teraz Zebrzyńskiemu do śmiechu nieskoro, wyrozumiawszy, że z młodym uprzednio miał do czynienia. A najdziwniejszym, że każda małpa kija w ręce niesie albo ostry kamień. Największa ma jakieś pióra i kostki przez szyję natroczone. Niezwyczajne małpy, lecz małpoludy. Skąd to się wzięło, jak napłodziło, dojść niepodobna i myśleć nieochędoźnie.

„Dla Boga!”, woła mój towarzysz. Marcinek struchlał zupełnie. Lezgin głowy nie tracąc, strzela. Ja lonty podpalam. Huknęły prochy, iskry ogniste w barwach wszelakich w niebo wylatują. Iście królewskie *spectaculum* w głuchej dziczy wyprawiam, jeno kompanów a zwierzątką nierozumne za świadków mając. Tu Zebrzyński do rozumu doszedł i palnął, nasz pacholik takóž, ale znowu góral pobladł i Ałłacha woła. Widać taki dziki, jako i one.

Nie szkoda to, bo spodziewany afekt poczyniony. Zmykają małpoludy, aż się kurzy. Zebrzyński drugim pistoletem jeszcze palnie za nimi. „Macie, takie syny!”, krzyczy. I ja strzeliłem, uważając, żeby jakiego trafić. Bo tak mię się widziało, że nie wiadomo, jakie one zmyślne. I jeśli bez srogich ran ujdą, na drugi raz huku się nie przełęką.

Pogratulowano mojego fortelu, wreszcie odpocząć przystało. Potem szliśmy jeszcze kilka stajań, aż się szlak poprawił. Na koń wsiadłszy, myślimy, że się turbować już nie trza.

Wszakże, jak wyszło na jaw, jeden nie odpuścił. Czy się ginąć nie bał, czy pomsty nade wszystko szukał, nie wiem. Jak tylko wjechaliśmy w leśną gęstwę, skoczył małpolud na Zebrzyńskiego. Ten z konia zleciał, ale szczęśliwie nie potłukł się mocno; od razu też wstał, uderzył i małpę zabił. Taki on zręczny w szabli, chociaż trochę warchoł.

\* \* \*

[...] Podjęto mię tedy zacnie, wyborną potrawką cielecą na pieprzo doprawioną. Gdy począłem o plemiona starożytne wypytywać i Sarmatii obraz wystawiać, tak mi wódz saraceński powiedział: nasi dziadowie przestawali z ludem, o którym prawisz i dotąd pamięć o nim żywa. Mianowicie Imperjum było to kolossalne, pełne niezbadanych cudowności a mądrości, od Perskiej Zatoki aż po Kaukaz [...]. Ze wszech krain rycerze i Xiążęta peregrynacje na Północ obierali, gdzie w górze wydrażonej miasto ekstraordynaryjne pobudowano. W owej to Sarmackiej Stolicy, dokąd zimą wszelakie plemiona zjeżdżały,

zebrano najdawniejsze sekrety starożytnych mędrców i bogactwa nieprzebrane. Najlichszy pacholek nosił czepce karbunkułami a chryzolitami wysadzone. Spacerowano podle jezior żywym srebrem napełnionych, gdzie pluskały się szczerozłote krasnopióry.

W emporiach przedawano maszyny latające z kutej stali, które to *Ignis fatuus*, ogień szalony napędzał. A nie było to czarnoksięstwo ani moc czartowska, jeno sciencyja inwencją człowieczą rewelowana [...].

*Ars medica* taką u nich była kunsztowną, że ani podagra, ani *cancer* nie miały się ich; tak też dożywali 300 i więcej lat w dobrem zdrowiu. Taka prolongacja życia zwyczajną była rzeczą, a jeżeli któremu zdarzyło się przed czasem żywota stracić, nie grzebano ich, ale *in glacie* trzymano, póki *medicus doctus* zmyślną maszyną pulsu nie wrócił [...].

Tadeusza Sieklińskiego „Sarmatii opisanie”, excerptum

\* \* \*

DO ANNY

*Weźrzyć w twoje oczy, jak utonąć w studnie  
Przepastne, gdzie iskrzą się gwiazdy uludne  
O świecie zapomnieć, oglądać co rano  
Na białych twych licach jutrzenkę różaną.  
Weźrzyć w twoje serce, na zawsze się zgubić  
Nie księgi, retorty, ciebie tylko lubić.  
Gdzie suknia szafranna, warkocze świetliste,  
Szarymi się zdają jedwabie złociste.  
Zły Losie! Dlaczegoś Jutrzienki mnie zbawił,  
Alchemiję pustą i księgi zostawił?  
Atropos pomylić się przecie musiała,  
Gdy córki Tytanów nitkę przecinała?  
Ty śpisz tylko. Boginka omyłkę poprawi,  
Gdy nektar z ambrozją alchemja wystawi.  
Przecież to się nie godzi, tego nie pisano  
By Titonos stary przeżył Eos różaną.*

\* \* \*

Jesteśmy jako liście niesione wiatrem, a nasz Los gałązką na wodzie pisany. W lichej skorupce, niby w muszli ślimaczej, tkwi dusza nieśmiertelna i jeno Pan Bóg wie, co każdego z nas czeka. Żyjemy jak cienie Platona, błyskiem płomienia rzucone na ścianę jaskini – letkie, nietrwałe, paciepne.

O zachodzie słońca przybyliśmy pod Niebiańską Bramę. Góral tak to zmyślnie wymiarkował, że w tej chwili nadjechaliśmy, gdy *facies* słoneczna nad samą bramę schodziła i widowisko, które starożytni budowniczy kunsztownie obrachowali, my także oglądać mogliśmy.

Wybrałem się za młodu peregrynacją do Rzymu, żądzą wiedzy, lecz i pospolitą *curiositate* wiedziony. Starożytnych budowli tam ostało się kilka, wszystkie prawie potłuczone i w ruinie; Pantheon i Łuk Konstantyna dla przykładu, których obraz każdy, kto ksiąg zakosztował, łącno wystawić sobie może. Powiem, że z bliska ogromniejszymi się zdają,

jakby cały majestat cesarzy w sobie zawarły. Imaginacyjej nie dostaje, by wywieść, jak przedstawiał się Rzym, zanim podbiła go Barbaria.

Jak pisze poeta:

*Wszystko się w nim zmieniło, sam trwa prócz odmiany  
Tyber, z piaskiem do morza co bieży zmieszany.  
Patrz, co Fortuna broi: to się popsowało,  
Co było nieruchome; trwa, co się ruchało.*

Gdym Bramę Niebiańską obaczył, zaraz o czasach rzymskich pomyślałem. Łuk wysoki, filary do samych niebios, jakich i Rzymianie wystawić nie umieli. Bez figur i obrazów fikuśnych, a ze spiralami i wzorami wszelakimi, które w szkicu załączam. U samej góry szczeliny sprytnie w kamieniu porobione, tak że słońce przeświecało przez nie czerwonym światłem i ktokolwiek przez łuk przechodził, w krwawym blasku stawał. Dobyłem kompasu i dreszcz mię przebiegł, albowiem pojąłem, iż o świtaniu Brama przemienia się w Theatrum Jutrzenki. I tak dwakroć, o poranku i o zmierzchu, letnią porę roku wymierza.

Niezwykła ta *metamorphosis* przejęła mną tak bardzo, iż zrazu nie dostrzegłem, co Lezgin znów nam pokazuje. Na poły po rusku, trochę na migi, jak to on ma w zwyczaju, objaśnia, że *citra*, gdzie skały i drzewa widok zasłoniły, znaleźć można ruiny wieży strażniczej. Ale, powiada, miejsce to klątwą obłożone i spać tam nie będziem. We wieży owej, gdy jak dziś miesiąc w pełni, sceny osobliwe się wyprawują. Kto je ujrzy, rozum stracić może. I niejednen podróżny zginął bez śladu, prudencji nie dochowawszy.

Zaciekawiło mię to wielce. Skoro, medytuję, Sarmaci wybudowali w bramie theatrum słoneczne, czy to możliwe, aby we wieży obstalowali lunarne? Wedle Sieklińskiego w astronomii taką biegłość mieli, jako i w alchemiej, a światłem słońca maszyny czarnoksiężkie paśli.

„Chodźmy tam zaraz przed wieczorem”, rzekę. „Kto wie, jakie cuda znajdziem”.

„Diabelska to sprawa”, kręci głową Zebrzyński. „I pewnością tutejszych pohańców dzieło. Wiary nie dam, że nasi pradziadowie czarną magiją się parali”.

„Eh!”, wzruszyłem ramionami. „Prostaczkowie, *causam rerum* nie wiedząc, wszystkie rzeczy nadzwyczajne Bogu albo diabłu imputują. Człowiek uczony, *nempe* ostrożności dochowując, dzierży kaganek wiedzy i mroki rozświeca. Idź ze mną, a bacz, aby zasadzki jakiej nie było”.

Wkrótce obaczyliśmy osypisko z głazów omszałych, a pośród nich wieżyca zrujnowana tkwiła, w kamieniach jakoby w kopie śniegu utkwiona. Trzy białe ściany jeno się ostały *inter rudera*, niby kości Ziemi objedzone przez kruki. Tutaj Lezgin przystanął, nieskory prowadzić nas dalej. Dałem mu czerwońca; rad nierad, przecie poszedł.

Marcinek plunął na ziemię, niby złe duchy odpędzając. Pośmiałem się z niego trochę; aleć się okazało później, że nie bez racji mój pacholik upiorów się lękał.

Wieżyca jawiła się starożytną jak sam Rzym, albo i dawniejszą, a na kolumnach znów ujrzałem pełno wzorów i znaków osobliwych, zbyt drobno utkanych na moje stare oczy. Jednakże pośród inszych drobiazgów, jakie zabrałem w podróż, było i szkło powiększające od Beleńskiego, szklarskiego mistrza z Krakowa. Domniemawszy, że z pradawnym sarmackim pismem mam do czynienia, począłem kopiować znak po znaku do mojego dyjariusza.

Wodząc palcami po zawilej skrypcie, rychło dostrzegłem, że znaki owe rozmieszczono

przy kunsztownie nakreślonych liniach, na poły zatartych. W szarudze wieczornej nie lza było wykoncypować, co w kamieniu wyryto. Dobyłem kredy, której zawsze przy sobie noszę i wtarłem ją w mur, aby ryty lepiej się pokazały.

Gdym się cofnął, aż oczy ze zdumienia przetarłem. Oto ujrzałem mapę kunsztownie w kamieniu wyrytą, ze stronami świata, rzekami i szczytami gór poznaczonymi, i chociaż pismo obce, obraz przecie rozpoznać się dawał. Serce mocno zabiło mi z radości, ale też począłem wodzić się z myślami. Jak to? Czemuż mapa w strażnicy, którą wróg łącno zdobyć może? Czyżby Sarmaci wojny się nie lękali? Możliwe. Jeżeli choć połowa cudów, o jakich Siekliński pisał, przedstawiała się prawdziwie, musieli być z nich wielcy wojennicy, na których siły w Europie ni w Azji nie było. Czemuż tedy inszych Imperiów nie podbijali, jeno w podziemiu na skraju świata pobudowali wspaniałą swoją stolicę?

Na tom odpowiedź miał jasną – Sarmaci, chociaż bitni i wielce odważni, musieli wyżej cenić sobie mądrość i pokój niż krwawe waśnie z sąsiadami. *Etiam*, stolica naszych pradziadów od zepsucia ani wojen nie upadła, jeno od wstrząśnienia ziemi, gdy poruszyły się góry.

Czy ocalały owe trakty starożytne? Byłyżby do podróży zdatne? Nasz przewodnik, chociaż drogi do Sarmacji nie znał, okoliczne szlaki schodził i wiedzieć to musiał.

Temczasem znad górskich szczytów począł wznosić się srebrny miesiąc. Lezgin za łokieć mię szarpie, do odwrotu natarczywie namawia. Mię ani w głowie ewakuacja, gdym się ze strażnicą zapoznał. Stoją nadal trzy ściany, a w tych ścianach szczeliny widoczne jako i w bramie. I taka mię myśl naszła, iż w świetle srebrzystym, na mapę zgrabnie rzuconym, *iter in Sarmatiam* się nam ukáže, droga do kraju, gdzie mądrość pradziadów mieszka i ratunek dla mojej najdroższej Anny odnaleźć można.

Do tego czasu moi towarzysze, znudziwszy się, czynili, cokolwiek któremu było miłe. Zebrzyński drzewko młode sobie znalazłszy, cięcia i sztychy markował, uważając wszakże, by szabli nie potępić. Marcinek znowu gomółkę sera wyjął z sakwy, odkroił kawałek i z wolna go przeżuwał, czasem tylko trwożliwie wokół się rozglądając. Ognia rozpalać ani jądła gotować mu nie dozwoliłem, zamierzywszy zrazu, iż długo we wieży nie zabawimy. Pochodnie za to rozpalił i wetknął między kamienie, by dzikiego zwierza dym odstraszał.

Gdy usłyszeli, jak Lezgin srogi raban podnosi, patrzą na mię, cobym ich pokierował. Zebrzyński z nowym ogniem w żrenicach, na wszelką awanturę gotów, chociaż wprzód iść nie chciał. Marcinek znowuż trzęsie się niby jaki zając i na komendę wyczekuje. Odwagi w moim pacholiku wiele nie masz, ale zna chłopak mores.

„Nie idziemy w noc”, oponuję, „Coby nas wilcy albo małpoludy pożarli. Ledwo tamtym bestiom uszliśmy, a w nowe *pericula* ślepo pobiegniemy? Tutej jeno stare ściany a ciemne przesady”.

„Panie”, góral tłumaczy, a pot ciurkiem kapie mu z czoła. „Tu złe, Szejtan, tfu! Księżycowa choroba padnie na waszmości!”

„Kto ma sumienie czyste”, powiadam, na moich towarzyszy popatrując, „Szatana lękać się nie musi. Kto się jednak lęka, z Bożą pomocą krzyżem świętym złe duchy przegonić może”.

Wyciągnąłem zza pazuchy krzyż poświęcony, który mój pradziad przywiózł z Rzymu, filigranem w złocie robiony, z kością małego palca św. Hieronima w rączce, który to święty mędrcom i uczonym przewodzi.

„*In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen*”.

Ledwo ostatnie słowo przebrzmiało, blade światło na ściany i posadzki wpełza, kamień do



białości rozjaśnia. I zaraz bucha z ziemi *nebula* okrutnie gęsta, bezwonna, jak dym siwa, przejrzeć jej nie sposób. Umbrą zakrył się świat, w głowie mojej się zakołowało, a w członkach uczułem słabość, jakby mię kto miodem spoił.

Zaraz do sił wróciłem, a i wokół rozjaśniło się nieco. I tutaj zdjęło mię zdumienie srogie, gdym się po wieży rozejrzał. Oto z waporowych exhalacji wyłoniła się strażnica, jak gdyby nigdy przez czas nieruszona, z kobiercami grubymi na kamieniu, ławą przy kominku, a na kominku ogień jasny goreje. Jeno miast pochodni, płonie białe światło pod sufitem w szklanej kuli, pewnikiem artificiozne. Przeżegnałem się znowu, nie wiedząc, co czynić.

Zebrzyński i Marcinek stoją obok, tak samo osłupieli. Górala nigdzie nie masz; ani chybi salwował się ucieczką. Przed naszymi oczyma *scalae colcheatae* ku szczytowi wieży się pną, a z nich po stopniach szklanych, przeźrzystych jako powietrze, zstępuje ku nam żołnierz. Rosły i milczący, w złotą zbroję odziany, zdobną we wzory i spirale przedziwne. *Cassim* złotą ma na głowie, co jego twarz dokumentnie zakrywa.

Chociaż niesamowite rzeczy się przede mną wyprawują, myślę, trwogi po sobie pokazać nie wolno. Powiadają, że strach jest złodziejem rozumu. Będąc w naszym gronie najrozumniejszym, tem bardziej przykład dawać muszę. Zresztą – być może sztuczka jaka zmyślna oczy nam zamydla?

Gdy zszedł rycerz na sam dół, odzywa się do nas grzmiącym głosem. Ani po Hebrajsku, ani po Łacinie, nic się z tego nie da wyrozumieć; toż mowa jakaś nieboska. Czyżby pradawni Sarmaci inszym językiem niż w Rzeczypospolitej gadali? Czy prastarą mowę słyszę, jedną z 72, co się urodziły po upadku Wieży Babilońskiej? Czyżbyśmy zapożyczyli Polszczyznę od ludów podbitych? Skonfundowałem się nieco, lecz zaraz wymiarkowałem, jak należy postąpić. Zgoła niepodobna, aby w Imperium tak starożytnym *linguam romanam* nie znano.

„*Benigne domine! Imo ex corde gratias tibi agimus propter in tua formosa specula hospitium. Quae – rogationem meam ad MMDominum non habe, quaeso, ruditatem, magis eam curiositatem puta – miracula hic geruntur? Modo in ruinis consistebamus, at luna orta sumus in turri splendide ornata, de cuius laudibus numquam satis. Si MMDominus vult famulorum metum depellere, nec non nobis curiosis illos insolentes casus explicare, gratissimo animo nomen MMDomini prosequemur*”.

Zjawa zmilczała chwilę i już się turbowałem, żem ją obraził. Wreszcie odpowiada Łaciną excelentną, głosem dudniącym:

„*Audi, homuncule! Plena luce in speculam meam ingressi estis, ubi servire usque ad finem temporum pollicitus eram. Multo ante in cineres versus sum; multo ante patriam meam obliti sunt vivi; sed caelestibus laetitiis fruar non prius, quam Extremum Iudicium advenit et Deus ipse me iuramento absolvit. Multi hic perveniebant, in animo quorum solum rapinae et latrocinia: violenti, fures, sacrilegi; istis non praebeo misericordiam. Dicite igitur, mortales, quid in mediis montibus petatis? Quis finis profectionis vestrae?*”.

Popatrzyliśmy po sobie. *Motiva*, dla których młody Zebrzyński zabrał się ze mną, tajemnicą dla mię nie były. Chudopachołek z domu, a nie taki gładysz, aby bez grosza będąc, wżenić się w majątek, do gołego szlactwa fortunę dodać pragnął. Zaś ja, szukający pradawnych sekretów życia i śmierci, czy prawa boskie lubo starożytne łamałem? Tegom nie wiedział i wiedzieć nie chciał. Odparłem tedy politycznie, by kłamstwa nie rzec, lecz całej prawdy nie wyjawić:

„*E longe sita terra egressi, e re publica, ubi libertas suprema virtus habetur, ubi omnes equites pares sunt, et fidem quae cuique placet confitentur. Regem quoque inter nos*

*eligimus, leges una voce decernimus, inde nihil de nobis sine nobis consulere potest. Illae vero virtutes ab antiquo populo Sarmatarum originem trahunt. MM Domini patriam cunabula proavorum nostrorum fuisse ferunt; quapropter iter fecimus, ut sapientiam maiorum cognoscamus et debitam ei reverentiam reddamus. Cupio, post ad rem publicam reditum, expeditionis cursum referre, atque MM Domini nec non proavorum meorum patriae gloriam perennem dono dare”.*

Rycerz spojrzeniem mię przewierca z wielką konsyderacją, widać cenzurę wystawia. Zadrzałem, wyrozumiawszy, że zjawą do głębi jaźni naszej sięga, wszystko widzi, żadnego łgarstwa nie przepuści.

*„Mentiris, pulver vilis. Si solum levis curiositas ad quam custodio patriam te deduceret, vos prohiberem, in confusionem impellens et semitas confundens. Eheu! Scelera vestra sanguineis notis in caelesti firmamento scripta. Socius tuus nebulo, sed tu etiam eo invisior. Non satis verborum in hominum sermone, quae tuum crimen exprimere possint. Non ad me pertinet finem mortalium decerni, idcirco vos vita non privabo; auferam tamen vobis sanam mentem, ne improbitates vestras orbe terrarum disseminetis neque patriam meam vestra praesentia spurca contaminetis”.*

Po czym pięści zaciska i przeklęstwa po swojemu grzmieć poczyna. Jam się przeżegnał tylko, że światem w duchu rozbrat biorąc i żałując, żeśmy przewodnikowi posłuchu nie dali. Zebrzyński łokciem mię trąca.

„Dla Boga!”, woła. „Nie będziem iść jak owieczki na rzeź. Bij upiera, kto w Boga wierzy!”.

Jam nawet nie myślał, że upiera w ogóle można bić, bo to przecie z waporów ciało uczynione. Widać księgi uczone rozumu dodają, lecz pewności i chybkości odbierają. Temczasem Zebrzyński impetem na zjawę leci, szabla błyszczy w świetle artificiojnym. Zjawą dobywa broni, wielkiemu kindżałowi podobnej. Odłożywszy, tnie z mocą. Zebrzyński na stronę odskakuje i zaraz znów przez czoło. Tamten odbije, dalej wytnie przez palce. Zebrzyński niewzruszony, *sinistra manu* szablę bierze i na wprost uderza.

Upada zjawą, krzycząc strasznie. Ale co dziwnym i straszniejszym jeszcze, Ałłacha woła, głosem naszego Lezgina. Wnet rozwiewają się omamienia, znikają kobierce i płonący kominek, gaśnie światło artificiojne i zapada ciemność. Jeno pochodnie, co je Marcinek w ziemię wetknął, goreją jeszcze.

Przewodnik nasz leży bez ducha na kamiennej posadzce, z brzuchem krwawo rozplatanym.

\* \* \*

MUMIE NASZYCH CZASÓW;

Albo

CIAŁA JAKO ŚWIĘTE PIĘKNOŚĆ ZACHOWUJĄCE

Czyli

Sposoby, aby Zwłoki Nierozkładające się Śpiących Dawwały Pozór

Powiada Bolos-Demokryt, a i Geber pisze o balsamowaniu Ciał, która to sztuka już u Egipcjan była znaną. Tak i teraz, gdy do grobu Osoby jakie znaczne kładą, traktują *Corpora* wonnemi olejkami i proszkami, aby Zwłoki przed pogrzebem pięknie się prezentowały. Śród ziół następujące są tedy używane: *Salviam*, czyli Szałwia; *Ruta*, *Chamaeleon*, czyli Rumianek; *Lawenda*, *Artemisia* Bylicą zwana, płatki Róży, a z wonności *Cynnamon*, *Balsam* i *Mirra*, jak

też proszek z żywicy cyprysowej i Muszkatu, a także Styraks oraz Goździki. Do jamy ciała, jak i na ciało podane, zapachem kontentują i objawy rozkładu tłumią.

Piszą filozofowie, iż Ciało nietknięte rozkładem tajemną sztuką do Życia wrócić można, co mię się widzi wielką Abominacją. Nikt inny bowiem, a jeno Bóg i Jego Syn Jezus Chrystus, a także nieliczni święci przez niego, jak święty Paweł w Troadzie, Rezzurekcyję zmarłych sprawić mogą. Wszakże poznałem metodę na zwłok zachowanie, która jest sztuką naturalną i czartowskiej mocy w niej nie ma. Tak traktowana niby Mumia Egipska, w chłodzie trzymana, wiele miesięcy przeleży, urody nie tracąc. Co można uczynić z rewerencji dla wielkiej jakiej Osoby lub gdy zwłoki długą drogę do Ziemi Rodzinnej przebyć muszą.

Wpierw krwie upuścić i powoli gotować, aż cała woda w powietrze transmigruje do zupełnej suchości. Co się ostało, prażyć, aż czyste sole się pokażą. Owe roztworzyć we wodzie, wzięwszy 1 część do 100 części wody. W takiej proporcji z wodą roztworzone zwą się Solą Żywą.

*Secundo*, wziąć spiritus drzewny i ogrzewać nad żarnikiem, a pary skraplać. Tak otrzymany destylat zwie się balsamem mistrza Mannhofa.

*Tertio*, wziąć 9 części Soli żywej i 1 część balsamu mistrza Mannhofa.

Tenże roztwór nastrzykiwać do tętnic i do serca Zmarłego, krwie upuszczając.

Czytałem, iż jeden filozof najlepsze rezultaty otrzymał, płyn nastrzykując do serca psa jeszcze żyjącego, aby puls go po ciele rozprowadzał. Jednak z Człowiekiem, rzecz oczywista, uczynić tego nie lza, choćby bardzo niewiele życia mu pozostało. I ja przytaczam jeno, com w uczonych pismach przeczytał, sam za retortę nie chwyciwszy.

*Philosophus Anonymus*

\* \* \*

Piszę prędko, chmury bowiem znów czernieją nad nami.

Być może za naszą Zbrodnię karają nas Niebiosy? Grzech kogo zabić, chociaż przecie Poganina nieco mniejszy.

Jużeśmy minęli Niebiańską Bramę i jakby do innej krainy drzwi się za nami zawarły. Ptastwo całkiem inne tutaj żywie, ziele gęste roślinie przy ziemi, jakiegośmy wcześniej nie widzieli. Znalazłem figurę potłuczoną z sardoniksu, co się jeno ostały w niej brzuch a szyja, po wierzchu zetlała i chropawa. Przy wieczorze szliśmy podle wałów, co się wydały ostatkiem jakiego starego muru. Jam tu drogę zgubił, ale znajdę ją; wszystkom z Bramy akuratnie skopiowałem, a w tej sztuce nie mam sobie równych.

Gość tu w dolinie *horribilis*, a duchota, że sukmany zawilgły nam, a pot z czoła kapie. Marcinek mię poratował, gdy mój koń na błotnej drodze się usterknał, upadł i mię przygniótł. Jam potłuczony, szczęśliwie nie połaman. Konia trza było zastrzelić. Sakiew nie rzuciliśmy, jako że po Lezginie wałach się ostał, myszka z pręgą czarną. Na podjezdka siadłem, że chociaż rosły i wiele podźwignąć może. Marcinek jedzie na drugim. „Znajdziecie, panie, swoją Sarmatię”, powiada. „Coście zamierzyl, zawsze się udaje”. Pomocny i dobry to chłopak.

O Zebrzyńskim gadać nie będę, bośmy się srodze poróżnili. On mię zwie miłośnikiem trucheł, za co ja mu odrzekłem, że widać nie komprehenduje, gdyż jest lampartem, co się sobą delectuje. Na taką okazyję chciał się bić, i jam nie był od tego. Aleć gromy huknęły salwą i rozpętał się huragan, cośmy w skalnej grocie przeczekali. Zda się, nieba jak i my gniewliwe.

Ja nie wracam, choćby nam wszystkie czarty dawały do wiwatu [...].

[zamazane]

[...] *lacerta* przebrzydła. Marcinek pokąsany, aleć kaftana nie przegryzła, sińce jeno krwią podbiegłe i brew opalona. Że ogniem bestyjka pluje, pewnikiem daleka krewna Wawelskiego Smoka. Ale siarką nie cuchnie. Przeciwnie, mięso całkiem smaczne, a gdy suchary zapleśniałe, delicją wydać się może [...].

O pakunek mój lękam się bardzo. Długą drogę przebył z nami, może parę dni ukropu krzywdy mu nie uczyni. Gdy koń się ochwacił, nie cenny tobołek, a inną sakiew precz rzuciliśmy. Pewnikiem rozum już tracę. Może przekłństwo zjawy w cel utrafiło?

Napotkaliśmy zagajnik drzew nadzwyczajnych, które miały liście jako czerwone ucha, a pnie jako grube wiązki pakuł. Między listowiem *nigri globi* wyrastały na długich tyczkach; baliśmy się tego skosztować, a nuż trucizna. Marcinek sidła zastawił, to się i jaszczur ognisty, i parę sztuk ptastwa dobrego złowiło, tak żeśmy się najedli do syta. Wpierw jednak wszedłszy w zagajnik, mury znaleźliśmy obsydianowe, maleńką niby-kapliczkę z figurką wielkiej piękności, widać, że bardzo starą. Pod kapliczką pęki świeżego kwiecia nałożono. I tak sobie dumam, że nie wszystko stracone, skoro ludzie tutaj żyją. *Fata viam invenient*. Los znajdzie drogę, a ja wynajdę drogę do Sarmatii, krainy, która przed wiekami mlekiem i miodem płynęła, i praszczurów naszych porodziła, i wszelkiej mądrości jaśniała ostoją. Choćbym zstąpić miał do Erebu, odnajdę starożytno cuda i pradawne maszyny.

I uczynię, com zamierzył.

\* \* \*

Człek, chcąc minąć Charybdę, często ze Scyllą się potka. Wpierw uszedłszy groźbie, z lekkością odetchnie: innych niech zła przygoda trwoży, jam umknął Kostusze. Śród bliskich ogień rozпали, do obiadu siędzie, brzuch napełni – bezpieczny. O sroga ślepoto! Jakby z pajęczej nici, co ją byle mucha zerwać może, liny na okręcie swoim gotował, gdy szkwał jeno przycichł i okazyji czeka.

Odpocząwszy w zagajniku, ruszyliśmy o świtaniu śladem ludzkim, mniemając, iż nie zbójcy swoim Bożkom kwiecie niosą, a lud jaki nabożny. Wszelako ostrożności dochować kazałem, nie zapomniawszy, że walecznym jest naród lezgiński, z którego nasz przewodnik pochodził. Przy tem nie wiadomo, czy nas ugoszczą, czy obwieszą; odzież na nas licha, zbłocona i podarta, aleć konie nadal bardzo dobre, szable i kolczugi pierwszorzędnej roboty, monety niemało *et varia*. Garkami żelaznymi tudzież innym drobiazgiem tak samo dzikus nie wzgardzi. A przewodnik nic o tem ludzie nie gadał.

Wszakże spyży zbrakło, namiot stracił i dwa konie, dalej jechać tak nie sposób, jeżeli pomrzeć nam nie tęskno. Tak czy tak, łącno życie stracić. A gdyby choć muła albo dwa kupić, już by dalej można; o drogę spytać, nowego przewodnika nająć. Wreszcie do Ojczyzny z moją najdroższą Przyjaciółką *in bona fortuna et gloria* powrócić.

Zatem nadzieję mając, że Bożkowie, co ich dzikusy w estymie trzymają, podróżnych gościć kaza, wypatryliśmy dym gęsty nad czubkami drzew. Marcinka puszczałam przodem: pojedź i obacz, czy ludek poczciwy. O nas nie mów nic; jeżeli zechcą zabić, uciekaj prędko. Dałem mu puszkę z ogniem artycyjnym, bom pamiętał, że dzikie ludy jak małpy boją się tego. Marcinek chłop jak dąb, chociaż w drodze nieco brzucha stracił. Ale na koniu siedział rośłym, tom się nie lękał, że go zanadto zmęczy, gdyby *necessitas* ujść pogoni.

„Waćpan głupio myślisz, żeby go dogonili, choćby i na lezgińskiej myszce siedział”,

Zebrzyński peroruje. „Tego u Lezginów uważano bardzo dobrym. Widziałeś, że mają w większości koniki małe, grube jak prosięta; jako charty, ale wielkością, nie prędkością. A tutej może jeno osiołki. Albo i koziołki, które po kamieniu skaczą. Na co takiemu ludkowi jeździć wierzchem, gdzie w górę skała, tam skała i po skale rzeka płynie?”

Na co ja mu odpowiadam: „*Tace*, bo waść mię złościś i gdzie stoimy, zdradzasz. Chowaj się za tamtem krzakiem kolczystym a cuchnącym, bo pasujecie do siebie”.

„A tobie w cieple się konserwować i rosółem posilać, nie wyprawie przewodzić”, odrzekł. „Żeć do grobu blisko, nie dziwne, że grób miłujesz”.

Usłuchał jednak.

Czekamy cierpliwie, chociaż muchy nade mną tańczą, nie śmiem odganiać. Konie dalej w gęstwinie stoją, trawę skubią – kontente. Czas się dłuży, cień się zmieniać poczyna – myślę, może już go tam zabili i obrabowali. Wreszcie poruszenie w chruście. Idą dwa dzikusy, każdy w sukni czerwonej, jakby z dwóch chust szytej i Marcinka naszego prowadzą. Ale, co ogromnie nas dziwuje, pod bronią go nie trzymają. Przeciwnie, wielce mu respektują, ledwie na kolana przed pacholikiem nie padną.

Popatrzyłem po sobie. Cóż robić, chyba to, co każą, i pokładać ufność w Bogu.

Także prowadzą nas do wsi. Wkoło się rozglądam i dumam sobie: dzikie ludy, jeno w chustach na gołe ciało chodzą, a jednak jakie przemyślnie. Chaty z kamienia pomurowane, dachy z liści palmowych polukrowanych czerwoną farbą, twarde niby dachówki. Za każdą chałupą mała komórka z wygodką, czego u nas po wsiach ze świecą szukać.

Wirydarze mają udatne przy domach, a zza płotów wielkie banie wystają jak balony, z drzew zaś zwieszają się ogromne frukta w formie gruszki. Gdy je przekroić, pełno w nich czarnych, drobnych kosteczek, a miąższ mają pomarańczowy. Smakują zaś jak masło zrobione z harbuza, gdyby harbuzy mlekiem miast sokiem płynęły. Wszystkich innych fruktów także cudowne *genera*, które cały rok drzewa wydają; jedne odchodzą, a drugie nachodzą.

Krów nie trzymają wcale, kozy hodują i małe świny, osobliwie łaciate i kudłate; mają też po zagrodach obfitość królików wielkości owych świń, z uszami jako żagle. Kury są, ale dzikie zupełnie, samopas biegają i po krzakach się gnieźdzą. Tak też dzikusy jajec nie jedzą, powiadają, że w nich kłątwa siedzi. Kurę zaś jeno gotowaną w rosole, bo są zbyt chude i przez to łykowate. Za to przepiórki trzymają w klatkach z drewnianych prętów i tuczą do tłustości ziarnem, rozynekami i kozim twarogiem; te jedzą bardzo chętnie. Świny też na różnie pieką, szynki i polędwice wędzą, robią szmalc i z głowizny galaretę; z krwi gęstą polewkę gotują. Ale to jeno w dni świąteczne, bo na co dzień fruktami i baniami, królikami a przepiórkami żywią.

W każdym obejściu leży pies na progu. Jak mi powiedziano, psy te są bardzo mądre; domu strzegą, a i żywizny upilnują i wilka czy lisa odpędzą. Jam nie widział, żeby co innego robiły prócz spania a włóczęgi po wiejskich duktach.

Gdyśmy tak szli wedle ścieżki, widzieliśmy białogłowy, co kosze pełne fruktów na głowach niosły, a chaty białym kwieciem zdobiły. Młode chłopaki budowały wielkie palenisko na placu pośrodku wsi, a nad nim powieszono kocioł ogromny, w jakim sam Noe musiał strawę na Arce swojej gotować. Patrząc i *opinor*, że wielkie jakie święto odprawiać będą.

„Zda się, że dobrześmy trafili”, rzecze Zebrzyński. „Jakowaś ucza się szykuje”.

„Oby i nas samych nie podali w potrawce”, mówię, bo niedobre przeczucie mię zdjęło. „Może i stąd naszego Marcinka rewerencyją darzą, że do tego gara w sam raz by się nadał”.

Poprosili nas tedy do największej chaty, com zgadł, że tam król rezyduje. Jako i siedzi na krześle czarnem, pięknie w liście i kwiaty wyrzezanym, mąż wielki i srodze tłusty, że się ledwo na siedzisku mieści. Suknie na nim w zieleni i złocie, niby u kardynała na brzuchu się wzdymają, pas haftowany przepysznie, zdobny srebrnymi kutasikami. Piękna metresa misę z daktylami przed nim trzyma, a on daktyl po daktylu kosztuje i w gębie międli.

Pokłoniliśmy się grzecznie. Temczasem król daje znak na dzikusa z siwą głową i dwoma krzywymi szablami przy boku. Tamten zaś ukłon oddaje i po Rusku z wielką elokwencją się odzywa, chociaż znać, że to mowa dla niego obca.

„Strudzeni podróżni! Jego Królewska Mość Dżamszid, szósty tego imienia, Monarcha Doliny Dwudziestu Wodospadów, naczelny wódz Sairimy, wita was w naszych skromnych progach w imieniu swoim i wszystkich Sarmatczyków”.

Wszyscyśmy osłupieli. Dziwując się wielce, spojrzałem na Zebrzyńskiego.

Tłomacz peroruje dalej, na Marcinka wciąż poglądając. Co się później pokazało, myśleli, że on jest znaczna figura, bo tłusty, co jest u nich królewską cnotą, wspólną ichniejszym bohaterom i licznym Deastrom. A że z natury wzrostem mierni, tym większym się wydawał gigantem.

„Że goście zjawili się wśród nas w dniu tak znamionym, musi być wolą Niebios. Opowiedzcie się tedy, kim jesteście i skąd przybywacie”.

Miarkując, że nie masz tutaj duchów supernaturalnych, co w myślach czytają, powiedziałem mu to samo co wprzód zjawie. Uradowawszy się, zaraz wszystko królowi powtórzył. Tedy pogadali czas jakiś w wielkiej excytacji; wreszcie odpowiadają nam.

„Zaiste niezwykle są wasze słowa, szlachetna postawa i ubiór, choć znać, żeście zdrożeni. Jego Królewska Mość, Dżamszid, szósty tego imienia, pragnie wszystkiego dowiedzieć się o was i owej ojczyźnie, bośmy może krewni, chociaż dalecy. Wasze przybycie musi być znakiem, albowiem rano zmarł nasz wielki mędrzec, świątobliwy Bachman, w słusznym wieku lat stu jedenastu. Tedy prosimy was na stypę, którą jutro wyprawiamy. Temczasem nagotujemy dom gościnny, kąpiel i co tylko będzie trzeba”.

Jak powiedzieli, tak uczynili. Izby nam wskazali, Marcinkowi i mię wielką, Zebrzyńskiemu mniejszą, co zaraz poczytał sobie za afront. Czemu, powiada, łoże dostał małe i przy drzwiach, niby jaki sługa? Próżno mu tłumaczę, że tutejszy zwyczaj każe czcić mężów grubych lub w słusznym wieku, a że nie jest ani jednym, ani drugim, tedy wzięli go za pacholka. To rozsierdziło go jeszcze bardziej.

„Ja ich respektu nauczę”, mówi. „Czekajcie tylko, ja wam pokażę, jak szlachcica szanować”.

Ledwo go zatrzymałem, upomniawszy, że nie godzi się w gościnie brewerie wyczyniać.

Konie chcieli rozkulbaczać, odmówiłem. Marcinek końmi i bagażem się zajął, co bardzo ich alterowało. Dalej widać uważali, że to znaczna persona i peregrynację *incognito* odprawia. Mój pakunek prędko schowałem w spizarce, coby gorąc mu więcej nie szkodził.

Zaraz też po wieczerzy jałem się wywiadywać, jak żyją nasi gospodarze i co wiedzą o dawnej Sarmatii. Bodajbym gębę trzymał na kłódkę; czego się dowiedziałem, o ból głowy mię przyprawiło.

Otóż Sarmatczycy, którzy wedle mej wiedzy winni liczyć się między Chrześcijany, milion pogańskich Deastrów wyznają, a nauk Chrystusa nie pomną. Czy starożytni Sarmaci nie znali Dobrej Nowiny, czy też rozpleniła się u nich herezja, dociec niepodobna. Ów królewski minister powiada, że za młodu bywał na Rusi, gdzie widział bizantyńskie kościoły i

nabożeństwa, co w nich odprawiano. Że Łaciny nie zna, tyle zrozumiał, co mu objaśnili. U nas, rzecze, bardzo jest podobnie, jeno miast Hostii gorącą polewką się obdzielamy.

Wykoncypowałem, że wiara może u nich była, ale ją wypaczono. Jak bardzo, tegom wtedy jeszcze nie wiedział.

Królów obierają w powszechnym głosowaniu, co dziwnym nie jest. Nasza szlachta od Sarmatów pochodzi, zatem dźwiga brzemień zwierzchności nad synami Chama. Ale skoro tutej wszyscy od Sarmatów pochodzą, tedy i wszyscy głos mieć powinni. Wszelako w owym głosowaniu doszli do zupełnego obłąkania, gdyż i babom wolno głos na ichniejszym sejmiku zabrać i kreskę postawić. Znam w Polsce szlachcianki, co się procesami kontentują, a i zajazd potrafią uczynić, i królowi srogo przymówić. Strach myśleć, co by się wyprawiało, gdyby i na sejmikach mogły perorować! Prędko byśmy fraucymerom się kłaniali.

*Et cetera*, wszystko u nich odwrotnie. Żony pojmują sobie nie dożywotnio, a na rok i co roku szluby odnawiają. Przeto niestali są, ale i nieswarliwi, bo jeżeli mąż i żona długo ze sobą żyją, tedy muszą żyć dobrze. Najlepiej, aby panna za mąż wychodząca była przy nadziei, bo panna cnotliwa uchodzi za niezdatną do rodzenia. Tak że niecnota u nich cnotą się zowie. Najlepiej, aby mąż był tłusty, a i panna słusznej krągłości, co jest oznaką szlachetnego rodu i urody. Nie dziwna, że za Marcinkiem zaraz się panny poczęły oglądać, choć to Cham z długiej linii Chamów spłodzon.

Zebrzyński srodze się tym skonfundował, wielkie miał bowiem o sobie mniemanie. Usłyszawszy, że panny o cnotę nie stoją, pragnęły i tej gościny skosztować. Wszelako smakiem się obeszło; wydał im się zanadto chudym i gniewliwym.

Wziąwszy pod rozwagę wszystkie te rewelacje, nie dziwnym, co się nazajutrz na uczie zdarzyło.

\* \* \*

[...] O dawnych pogańskich Królach piszą zacni autorzy, że gdy który zmarł, brał ze sobą do grobu swe sługi, żołnierzy i cały fraucymer, a przy tem Hekatombę z bydłat czyniono i najlepsze konie rżnięto. Takim sposobem Bożków ucieszywszy, cały swój Dwór zabrawszy ze sobą, miał ów Król władać na drugim świecie jak i na ziemskim padole. Czy w pogańskim Rayu było tłoczno od Królów i czy ze sobą wojowali, tego nie mówią. Doprawdy, piękne takie Niebo, niby Sejm Elekcyjny. Gdzie dwóch Królów, tam o jednego zanadto.

Drewnowski przytacza, że tylko w jednej Piramidzie Egypskiej pogrzebiono 100 bydłat, 50 Metres, 33 koty, których Egypcjanie jako Bożków wyznawali. Do tego 120 roślących żołnierzy i całe śpizarnie mięsa, wina i zboża, także cały Statek wraz z wioślarzami, w czym ja nie bardzo *consentio*, gdyż wiarę temu dać trudno.

Balsamowano owe Zwłoki tak przemyślnie, aby piękność zachowały, com w inszym rozdziale opisał. Uważali bowiem, że im Ciało piękniejsze, tym możniejszy Duch w Rayu i tak długo żyje, póty się Zwłoki w proch nie rozpadną. Tak oto, nieśmiertelność Duszy do Ciała przypisując, bładzili nieszczęśliwie. Aż Chrystus się światu objawił, Król co ofiarę sam z siebie złożył, balsamować się nie kazał, a Ciałem i Krwią podzielił [...].

*Philosophus Anonymus*

\* \* \*

Siedliśmy tedy na placu w kole. Stołów ani stolców nie masz, jeno kobierce z traw

wypłatane. Kwiecia pachnącego wszędzie dostatek, wszyscy w biel odziani. I nam białe szaty dano, a żupany zbrukane wzięto do praczek. W kotle jakowyś war się burzy, przy niem zaś ustawiono podniesienie, gdzie Sarmaczyk stoi, *plenus dignitatis*, w sukni białej, srebrem upstrzonej; siwa broda wisi mu aż do pasa. Wkoło zaś pełno wieńców, kosze fruktów, przepiórki powiązane; kto przychodzi, do owego stosu dokłada. I nam dano po koszyku ze słodkimi chlebkami, daktylami i pieczonym ptaszkiem, coby podejść i tam ostawić. Zrozumiałem, że to jaka ofiara; zmierziło mię owo bałwochwalstwo, alem gospodarzom afrontu nie chciał czynić.

*Gravitas* wielka wkoło, ale bez rozpachy. Jak to bywa, gdy zmarły sędziwego wieku doczekał, prawników napłodził i ze światem się pogodził. Przyniesiono frukta i chleby, pieczone prosięta, wielkie szynki i ogromne ciasta, co je z bani wypiekano, nie jedzą wszakże, na obrzęd wyczekują. Jedno mię dziwi, że nigdzie trunny nie widać; pojmuję, że najsampierw stypa, pogrzeb zaś później. Obyczaj u nich tył na wywrót, zatem i ten również.

Brodofijas z w sukni białej poczyna przemawiać, a minister tłumaczy. Czego w całości nie przytoczę, bo i siebie, i Czytelnika zanudzę. Zasługi mędrca wymienia, o Bogach dużo gada i o łaskę ich prosi. Musi być to ichniejsze nabożeństwo, bowiem Sarmaczyk jak umówieni wstają, siadają, wstają znowu; coraz to ręce uniosą i jak do modlitwy złożą.

Pomodlili się, pośpiewali. Na środek placu wybiegają panny, jako Gracyje lubo Dyjanny; każda *pulchra et decora*, każda goluteńka niby figura grecka, jeno biodra białem płótnem przepasane, a piersi gęsty kanak z indyjskich kamieni osłania. Wdzięcznie tańczą, pieśni nabożne śpiewają.

„Na pogrzebie się zabawiają, biel w żałobie noszą”, Zebrzyński pod nosem burczy. „Co to za lud, jakby z drugiej strony lustra? Pewnie i Szatana miast Boga rewerują”.

Przeżegnałem się chybko.

„Broń nas Boże od takich bezceństw”, powiadam. „Bo i my z nimi siedzimy, nabożeństwa słuchamy i z gościny korzystamy. Bacz pilnie, czy koziołka nie przyprowadzą na ów stos ofiarny i czcić go nie każą. Gdyby tak się stało, wyjdziemy po grzeczności”.

„Znać, że waść stary i mleko masz w żyłach. Szablą po łbie heretykom, a nie w grzeczności się bawić”.

„Rekoliguj się waćpan, bośmy między wrony trafili i z owych terminów prędko nie wyjdziemy”, mityguję. „Siła ich tutaj, prędzej nas zabiją”.

„E tam, leniwe to a tłuste”, Zebrzyński replikuje. „Rzezałoby się jako barany. Certujemy się z nimi jak przekupy, a można by wziąć sobie co trzeba i dalej w drogę”.

„Wypocząłeś waść, najadłeś się, to i w kogucie piórka stroisz. Pomnij, żeś jeszcze onegdaj delektował się jaszczurkami”, odciąłem.

Chciał mi jeszcze przygadać, ale tańce się skończyły i ów kapłan znowu przemówił. *Etiam*, minister tłumaczy.

„Szanowni bracia i siostry! Prędko przemija żywot człowieczy. Przeznaczono nam zakwitać jako roże i tak samo rychle więdnąć. Wszelako chociaż ciało ginie, dusza jest nieśmiertelna. Świętobliwy Bachman jest tu z nami i pozostanie na wieki, albowiem, jak każe tradycja, ofiarował się, by żyć w nas wszystkich. Uczcijmy jego pamięć”.

Skinął na pachółków, co stali przy garze; tak jeden począł wielką chochlą do misek polewkę nabierać, drugi zaś roznosić między gości. Straszliwe przeczucie mię zdjęło. Zwracam się do ministra:

„Nie chcę przeszkadzać WMMPanu w ceremonii; proszę też o wyrozumiałość, gdyby moje



pytanie alterowało WMMPana, ale co oznacza ofiara świątobliwego mędrca Bachmana? Byłybyż dary, które w testamencie desygnował, do onej zupy włożone?”.

Rozśmiał się na to.

„Dziwne, że WMMPan nie rozumie”, rzecze. „Gdyż my tak samo, jak i wy robimy. Mędrzy nasi, prorocy i sławni wojennicy ofiarowują swoje Ciało i Krew, aby w nas żyła po wieki wieków. Tem sposobem ich dobroć na nas wszystkich przechodzi. Mąż tak świątobliwy i sędziwy jak Bachman zdarza się raz na stulecie. To wielki zaszczyt i niechybnie przeznaczenie Boże, żeście na ceremonię zdążyli”.

Skinąłem głową z nadzieją, że niczego nie znać po mię, ale mi przed oczyma i czarno, i czerwono się zrobiło, krew do głowy uderza, pot ciurkiem z czoła leci. Niczego wszakże nie czynię, tylko wzrokiem wkoło toczę, by poznać, czy patrzą na mię; w dogodnej chwili zupełnie wyleję i dam znak towarzyszom, by tak samo postąpili.

Zebrzyński wszelako postępszał. Jak się nie porwie z miejsca, za włosy nie chwyci, wreszcie w furii szabli dobywa.

„O, takie syny! Rozumiałem, że z ludźmi siedzę, a widzę, że z bestyjami; przebrzydłe kanibale, poganie przekłeci! Oby was djabli wzięli, żeby was pioruny z jasnego nieba trzaskały, żeby was ziemia żywcem pożarła! Zabij, kto cnotliwy!”.

To zakrzyknąwszy, *hostiliter* na biesiadników skoczy. Jednego zaraz usiekł, innego przez ramię zatnie; obalił. Minister z maczetami na niego sunie. Nic to, Zebrzyński uskoczył z przycięcia i zaraz na odlew uderza. Pierwej osłupiawszy, teraz spoglądam, jakby z tej matni wyleźć i uciec. Wprawdzie tchórzem nie pachnę, ale *nec Hercules*, kiedy ludzi kupa.

*Et interim* Zebrzyński bohatersko się bije. Dwom Sarmatczykom wypruł trzewia, trzeciemu ramię pogruchotał. Nigdzie mojego pacholika nie widzę; wymknął się, czy go zabili? Za mną też paru leci. Co za dużo, to niezdrowo. Złapałem pieczone prosię, co przede mną na wielkiej tacy leżało, i jak tarczą się osłaniam. Powaliłem pohańca prosiakiem, drugiemu tacę na łbie rozbiłem i w nogi; pojedyńkować się nie chcę. Skaczę przed siebie, gdzie ludzi najmniej, a tam owe gruszki harbuzowe na wielkim stosie leżą. Posypały się szeroką strugą, rozpekły, aż ziemia sokiem niby krwią spłynęła. Tyle żałowałem, że w stronę gara nie pobiegł, aby go wywrócić i chociaż temu bezceństwu kres położyć.

Lecę tedy po bagaże, a tu – stać! Regiment Sarmatczyków przede mię wychodzi, wszyscy w szable uzbrojeni. Znać po nich wytrawnych żołnierzy.

„Podдай się”, powiadają jako taką ruszczyzną. „Z nami nie wygrasz. Broń złożysz, nie zabijemy cię, boś ty nikogo nie zabił. Wybieraj, śmierć albo życie”.

Jak rzekłem, tchórzem nie pachnę, ale jeszcze mi życie miłe. Przeciw 20 chłopu w pojedyńkę stanąć nie masz sposobu. Nie było rady. Broń złożyłem i poprowadzić się dałem.

I tak siedzę pod strażą już trzeci dzień, na sąd czekam. A że czasu mam pod dostatkiem, tedy piszę.

\* \* \*

O człowiecze, ziemny prochu! O, karmo robacza! Co wzniosłego stworzysz, podły pędrak stacza. Wszystko butwieje i w pył się odmienia, wśród gwarków Erebu, wśród Hadesu cienia. Na co balsamy wonne z Ameryckich krzaków? Czas potka nas w groby niby w sieci raków.

Dwie doby już mię w chałupie wartują, odkąd po raz ostatni *itineraria* spisywałem. Na męki nie wzięli, jeść dobrze dają, do wygodki pod strażą prowadzają; znać, że naród spokojny

i więźniów często nie bierze. Atramentu zbrakło, dali mi farbę wyrabianą z czerwców, którą szaty traktują.

Siedzę tedy na stolcu i pragnąc ponure myśli wyekspediować, wiersze układam, ale drwią ze mnie Muzy. Trzecią już kartę pokreśliłem, *interim* słyszę, że idą do mnie. Otwierają się drzwi, widzę Marcinka. Zdrowszy, kontent, w czystej szacie i gębę śmieje.

„Przebóg! Żyjesz!”.

„Ano żyję, Jaśnie Panie”.

„Bóg cię chronił! I wolnym chodzisz?”.

„Ano, jam się nie bił. I jedna dziewczka mnie chce, to i wybroniła. Oni mnie tam słuchają, nie wiem dlaczego. Mówią, że mnie prorocy ogłosili i że jestem wybrany do rycerskich czynów, ale ja w to nie wierzę”.

Patrzę na tę *faciem* durną, jak gdybym pierwszy raz ją widział. Powszechnie wiadomo, że Cham zostanie Chamem; nawet gdy kogo nobilitują, znać w nim krew poślednią. Temczasem rodowici Sarmatczycy mojego pacholika w wielkiej estymie mają, chociaż z krwi ślachtetniejsi. I jak tu pogan zrozumieć? Jedno mnie wszakże turbuje.

„Przebóg, Marcinku! A tyś tej polewki kosztował?”.

Wzruszył ramiona.

„A bo to było ich gniewać? Przy tym sam ksiądz proboszcz powiada, że ciało to marność i nic w Niebie nie znaczy. Czy robaki zjedzą, czy ludzie zjedzą; idzie to za jedno”.

Aż mnie ciarki po grzbiecie przebiegły. Zbaw nas, Panie, od chłopskiej filozofii. Temczasem mój pacholik po staremu gada dalej:

„Wzburzyli się okrutnie, gdy pakunek odnaleźli. Powiadają, że ciało tak zgotowane, żeby się nie rozkładało, jest spod praw natury wyjęte. Alem im rzekł, że Jaśnie Pan jest człowiek podściwy, jeno trochę obłąkany. Puszczą Jaśnie Pana i Jaśnie Panię oddadzą. Boją się, żeby ich przekleństwo boskie nie trafiło”.

„Marcinek”, zdumiałem się. „A jak ty z nimi gadasz?”.

„Ano, minister letką miał ranę i już wylizał się z tego. Ja im powoli po polsku, oni mnie po rusku; słowo po słowie dogadujemy się jakoś”.

*Fames artium magistra*. Komu czego trzeba, snadno sposób wynajdzie. I ja sposób znalazłem na nieszczęście Anny mojej najmilszej. Oto straszna zbrodnia, za którą będę potępion. Gdy suchoty moją Wenus życia zbawiły, w tajemnicy Zwłoki preparacji poddałem. Wszystkom miał wprzód przygotowane, albowiem cierpiała biedaczka długo w agonii. Miast pogrzeb chrześcijański sprawić, w daleką drogę zabrałem ze sobą. Jak pisze Siekliński, w starożytnej Sarmatii Rezurekcyję Zmarłych sprawiano i tej brzytwy chwyciłem się z ochotą. Gdybym mógł lek jaki znaleźć, o duszę bym nie dbał, *pactum explicitum* z biesem uczynił i od najczarniejszej magii nie stronił! Skłamałem Tobie, wierny Czytelniku, przecież nie wszystkom zataił. Uwieńczywszy sukcesem moją inwestygację, tak samo uczyniłbym wyznanie i stąd o pakunku *continenter* pisałem.

Wszakże teraz spowiadam się Czytelnikom, gdyż u kresu drogi moje pisanie u Sarmatczyków ostawiam. Da Bóg, kto inny ciekawy peregrynację obierze na Wschód, dzienniki przeczyta i drukiem ogłosi ku nauce i przestrodze. *Exegi monumentum aere perennius*.

Mówiłem długo z Marcinkiem; wreszcie i z ministrem konwersować przyszło. Wyprawiają mnie i drogę pokażą. Marcinek zostanie żyć z kanibalami. Doma wracać nie chce. Rzeczpospolita wolnością stoi, powiada, ale nie dla mnie. Urzędy zdobywać, królów obierać,

nie dla mię. Ślachestwo kupić, krzywo patrzeć będą i za równego nie wezmą. Tutej mię rewerują, choć niczego prócz koszuli na grzbiecie nie przyniosłem. Wszystko, co potrafię, wielką im nowiną.

Czy źle uczyniłem, żem go czytać i pisać wyuczył?

Sam będę, bez towarzysza wiernego, jedyne, który miał tyle odwagi, aby wojażować ze mną i który nie raz z opresji mię wyratował, szaleństwo miarkował, *denique* ze śmiertelnych terminów wyciągnął. Skłamałem bowiem w drugiej rzeczy, a to z pustości człowieczej. Żaden Zebrzyński, warchoł i rębajło, nigdy z nami nie wojażował. Jestto bajka i głupstwo przeze mię zmyślane. Gdzie Zebrzyński się bił, ja w szranki stawałem; gdzie warcholstwa popełniał, jam to uczynił; gdzie się spieraliśmy, sam spierałem się ze sobą. Chociaż idzie mi w rok pięćdziesiąty, szablę umiem trzymać w dłoni i da Bóg, jeszcze będę. *In consequentia*, owe bitwy letko są przesadzone, co by zdolności a krwawości Zebrzyńskiemu dodać. Tak żem Sarmaczyka żadnego nie zabił, chociaż raniłem dwóch, jednego zaś obaliłem prosiakiem.

Zatem *acta est fabula*. Nie masz dobrego i złego Sarmaty. Niczym od winy wymówić się nie mogę. We mię jednym wszystko złe i dobre, mądre i głupie, co tylko w szlacheckiej duszy grać może.

Powiedziano mi, że jest na Pólnocy góra na pół rozpękła; gdy się źlebem pójdzie, znajdzie się rozpadnięcie dziwnie straszne i głębokie w ziemi, opatrzone wielce trudnym przystępem. Tam z najwyższą ostrożnością trzeba postępować, aż wysokie odrzwia w jamie się pokażą. Jestto ostatnie wejście, jakie do starożytnej Sarmatii prowadzi. Ludzie tam nie chodzą, powiadają, że kto wnidzie do środka, przepadnie. A gdyby po dłuższej bytności powrócił, jak najrychlej zabić go trzeba, bo wróci przekłety i na zawsze odmienion.

Wszakże z pierwszej komnaty wynosili *miracula* kunsztowne, maszynki dziwnych kształtów, co nikt ich wprawić w ruch nie potrafi, ale całkiem nieszkodliwe. Kominki niemi dekorowali, dzieciom dawali do zabawy. Dalej chodzić się boją.

Tedy, jak myślę, można obozem rozłożyć się w pierwszej komnacie i tak raz po raz wchodzić i wychodzić. Tam bezpiecznie od dzikich bestii. Wodę się znajdzie, zwierzyny wkoło nie brakuje i jako pustelnik żyć można czas jakiś.

Nie taką Sarmatię znalazłem, jakiej szukałem, ale i tę odnajdę.

Gdybym przez rok nie wrócił, niechże Marcinek tam pójdzie. Wiadomość dla niego ostawię.

\* \* \*

Anno Domini [zamazane]

To Marcin z wojsławia pisze. Poszedł ja na te gure, co mój pan. 5 leciech minęło bom nie mug ostawic dzieckow.

[tutaj bazgroł]

To rysował Pawełek, muj pierworodny

bilim siem z wielko machino, ale nic to. ksienge nam ostawił, gdzie pisze jak z jaśnie panienko pospołu machiny budujo i predko nie wynido. Prawda to czy imaginacia nie wiem.

Ksienge spalilim, a jaskinie zawalilim.

\* \* \*

„Magazyn Mimesis”: Przegląd prasy

Zdawałoby się, że nic, co związane z pierwszą Rzeczpospolitą, nie może nas już zaskoczyć. A jednak. Grudniowa publikacja w „Mówią Stulecia” zdumiała mnie i zachwyciła. Otóż w maleńkiej wiosce gdzieś w Dagestanie polska misja archeologiczna odnalazła doskonale zachowane, przekazywane z pokolenia na pokolenie zapiski podrózne polskiego szlachcica, imię Erazma Łackiego.

Erazm Łacki to fantasta. W poszukiwaniu cudownego leku, który ma wskrzesić jego żonę lub narzeczoną (tutaj źródła nie są jasne), próbuje odnaleźć polski wariant mitycznej Atlantydy, czyli starożytną Sarmację.

Nikt z nas, współczesnych, nie wątpi, że Erazm ściga widmo. Nie wiemy jednak, czy on sam jest tego świadom. Może Sarmacja od początku do końca stanowi dla niego tylko symbol czegoś lepszego i czystszeo niż Rzeczypospolita, z której wyruszył. Marzenia, które zawsze majaczy nad odległym horyzontem. Tego Erazm Łacki nam nie powie. Zresztą jego pamiętniki zawierają tyleż prawdy, ile zmyślenia. Nie służą opisaniu rzeczywistości, lecz wyższym, moralizatorskim celom; jeżeli Łackiemu nie zgadzają się fakty, tym gorzej dla nich. Czytelnik z epoki, wyczulony na subtelności, które zginęły w pomrokach dziejów, rozszyfrowałby tekst bez trudu. My tylko możemy się domyślać, czy Erazm rzeczywiście wiózł ze sobą truchło narzeczonej i które tubylcze plemię przeistoczyło się w jego wyobraźni w małpoludy. Albo jakie – być może – aluzje polityczne kryją się w opisie wioski kanibali.

*Silva rerum* zdają się być raczej spójnym dziełem literackim niż zbiorem podróжных notatek. Zbyt wiele tutaj współzależności, konsekwencji, zbiegających się wątków. Nie wszystko wszakże musi być wyssane z palca. Skoro Erazm Łacki dotarł tak daleko, niewątpliwie czerpał inspirację z otoczenia.

Czy autor dopiął celu i po trzystu latach zyska posłuch u potomnych? Zobaczymy. Polski barok jest epoką, w której XXI wiek może się przeglądać jak w lustrze. Stary, dostatni świat, w którym żył Kochanowski, powoli się rozpada. Zastępuje go rzeczywistość, w której bezustannie toczą się wojny. Nie brakuje gwałtownych konfliktów na tle religijnym. Nie wiadomo, w co wierzyć i komu ufać, a w ostatecznym rozrachunku pewna jest tylko śmierć. Zabobon zwycięża nad naukami starożytnych filozofów. Bez wątpienia dlatego autorzy barokowi chętnie sięgają po przesadną ornamentykę i elementy fantastyczne.

Gdzieś w tle z alchemii powoli wyrasta nowoczesna chemia. W czasie zamętu kiełkuje filozofia rozumu. Ale do oświecenia jeszcze daleko.

Może *Silva rerum* Erazma Łackiego nie rozmija się z naszą wrażliwością tak bardzo, jak by się wydawało.

\* \* \*

Portal Nasze Miasto: Kulturalnie  
Recenzja *Silva rerum* Erazma Łackiego  
Robert „Belphegor” Krupiński

*Silva rerum* Erazma Łackiego, pamiętnik z czasów Sienkiewicza, opublikowano na fali popularności Jacka Komudy i w ogóle sarmackiej popkultury. Fabularnie jest to groch z kapustą, bo pamiętnik zawiera moim zdaniem zupełnie niepotrzebne dodatki, jak kawałki

ksiąg, a nawet jeden grafomański wiersz.

Tekst opowiada o szlachcicu, który jest Sarmatą i na starość poszukuje drogi do Sarmacji. Chociaż właściwie nie jest stary, bo ma tylko pięćdziesiąt lat. Oprócz tego towarzyszy mu Marcinek, który pełni taką rolę, jak Sam dla Froda (bez skojarzeń), a oprócz tego jest archetypicznym głupim chłopem, który nic nie mówi i ciągle je. Podróżuje też z nimi inny szlachcic, warchoł Zebrzyński. Potem się jednak okazuje, że nie wszystko jest z nimi tak, jak to wygląda, tylko *nomen omen* zupełnie inaczej.

Poza tym jest jak zwykle, biją się z duchami, kanibalami i yeti, chociaż niekoniecznie w tej kolejności. Ogólnie pełno w tym schematyzmów i w dodatku dziełko zawiera morały, jakby było napisane dla nastolatków, którzy jeszcze nie skończyli gimnazjum. Walki nie są bardzo krwawe, nie ma też seksu, więc widać, dla kogo to zostało napisane.

Kontynuując dalej, opowiadanie bardzo trudno się czyta, bo ma za dużo łaciny i staropolszczyzny (sorry za szczerłość). W opisach wioski kanibali jest za to dużo epickości, ale to nie wystarczy, żeby nadrobić wady. Oczywiście wszyscy wiedzą, że Sarmacji nie ma, więc to nawet nie jest dobra fantastyka. Niestety jest to bajka poniżej przeciętnej, a szkoda, bo mogłaby wykorzystać potencjał. Na pewno napisano ją tylko dla pieniędzy. Nic dziwnego, bo *petunia non olet*.

\* \* \*

Forum Galactica Strona Główna. Historia duża i mała  
Temat: Pogawędki o tyłku Horacjusza

Szarotka

Wysłany: Czw, 6 Sty 2015 11:49

Czytaliście już to może? [link]. Znalazłam już ze trzy cytaty z Paska. Ktokolwiek to napisał, rypał jak złoto. „Mówią Stulecia” schodzi na psy.

CzarnyWilk

Wysłany: Czw, 6 Sty 2015 12:10

Tak myślałem, to jest od początku do końca lewacka propaganda. Sarmacja w Rosji? I te wszystkie kawałki o biednych ciemężonych chłopach? No i subtelne aluzje, jak to religijność szlachty jest taka powierzchowna, a naprawdę wszyscy oddają cześć Szatanowi.

Streptococcus

Wysłany: Czw, 6 Sty 2015 12:16

Co, nie podoba ci się, że możemy sobie rościć prawa do nowych historycznych terytoriów? :P Poza tym popatrz, można w drugą stronę, żadnej kobiety wśród bohaterów oprócz jakiegoś trupa. No i to całe nacjonalistyczne rozpasanie.

Bzdziogwa

Wysłany: Czw, 6 Sty 2015 12:17

Ciekawe, co na to Putin.

Milva

Wysłany: Czw, 6 Sty 2015 12:20

@Szarotka – bez przesady, oni to jakoś sprawdzają. MS to nie Fakt. Podlinkowali do oryginałów. Swoją drogą bardzo ciekawe.

@Bzdziogwa – nie sądzę, żeby to czytał ;-)

Bzdziogwa

Wysłany: Czw, 6 Sty 2015 12:35

Nikt nie wie, co czyta Putin ;- ) [link] już jest na vesti.ru

Streptococcus

Wysłany: Czw, 6 Sty 2015 13:02

O matko bosko. A popatrzcie tu [link]. Cały ogródek kwiatków, nawet petunie :D  
[...]

\* \* \*

*Silva rerum* Erazma Łąckiego

Fałszerstwo w ładnym opakowaniu

Autor: Joanna Stenko

W ostatnim numerze „Mówią Stulecia” uraczono nas przedrukiem pamiętników Erazma Łąckiego, szlachcica w podróży do fikcyjnych ruin starożytnej stolicy Sarmacji. Jak wierzyć redaktorom, zapiski (w doskonałym stanie) znalazła polska misja archeologiczna gdzieś w Dagestanie. Tam zresztą podobno szukał Sarmacji pan Łącki.

Zostawmy kwestie nacjonalistyczno-dyplomatyczne, które jak widzę, z radością eksplorują już użytkownicy forów internetowych. Nie mam im tego za złe, bo kąsek jest smaczny, ale dali się złapać na rybkę podrzuconą przez redaktorów, co zapewne wyjaśni się w następnym numerze.

A przynajmniej taką mam nadzieję, bo przecież tak szacowne czasopismo jak „Mówią Stulecia” nie mogło bezkrytycznie zamieścić XIX-wiecznego fałszerstwa, podając je za autentyczny tekst z epoki.

Aby odkryć mistyfikację, nie trzeba być profesorem literatury. Nawet jeżeli weźmiemy pod uwagę zgrubną modernizację dzienników Erazma przez „Mówią Stulecia”, uważny czytelnik szybko się zorientuje, że ich staropolszczyzna to tylko stylizacja. Autor wzoruje się głównie na *Pamiętnikach* Jana Chryzostoma Paska (którym zresztą inspirowali się poczytni autorzy, jak Kraszewski czy Sienkiewicz) oraz na *Nowych Atenach* księdza Chmielowskiego, encyklopedii dobrze znanej historykom.

Gdyby nie styl opowieści, fałszerstwo zdradziłaby tematyka. Siedemnastowieczna szlachta rzadko zapuszczała się na dziki Wschód; nie cieszył się on szczególnym zainteresowaniem wśród paniątek. W odróżnieniu od nich, podróżnicy, artyści i myśliciele XIX wieku fascynowali się Azją. Równie gorącym tematem było brakujące ogniwo między człowiekiem a małpą, koncepcja, którą Sarmaci uznaliby za bezbożną.

Kolejny ulubiony temat epoki to spirytyzm, co ujawnia się w opowieści o starożytnym duchu. Przy tym pradawna Sarmacja jawi się czytelnikowi jakby wyjęta prosto z powieści Vernego. Wątpię, żeby siedemnastowieczny szlachcic polski wymyślił lampy gazowe i „machiny latające”. Balsam mistrza Mannhofa to nic innego, jak roztwór formaldehydu, wynalezionej ponad dwieście lat po rzekomej podróży Erazma Łąckiego na wschód. Swoją

drogą nie jestem pewna, czy nawet ciało utrwalone formaliną przetrwałoby kilkuletnią (!) podróż w warunkach, gdzie trudno nie tylko o lodówkę, ale nawet o temperaturę pokojową. O to jednak trzeba by zapytać jakiegoś patologa. O micie szlachetnego kanibala wspominać nawet nie warto, notabene flora i fauna owej doliny mlekiem i miodem płynącej bardziej kojarzy się z Ameryką niż z południowo-wschodnią Azją, gdzie m.in. nie rosną papaje.

Itede, itepe.

Naśladownictwa dawnych pamiętników były w XIX wieku powszechne i tym tropem powinien pójść każdy zasługujący na swoje miano archeolog. Nawet jeżeli wykłady z historii literatury nie należały do jego ulubionych zajęć. Oczekuję, że redaktorzy „Mówią Stulecia” staną na wysokości zadania i ujawnią dowcip – albo uznają swój błąd.

W przeciwnym wypadku z żalem zrezygnuję z prenumeraty jednego z moich ulubionych (dotychczas) tytułów.

\* \* \*

*Silva rerum* Erazma Łackiego – odpowiedź

dr hab. Wanda Szostek

Wydział Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego

Instytut Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych

Jestem przyjemnie zaskoczona żywą reakcją czytelników, jaką wywołała publikacja *Silva rerum* Erazma Łackiego. Można powiedzieć, że historia się powtarza. Autentyczność pamiętników Paska również była kwestionowana; aby ją potwierdzić, potrzebne były lata pracy ze źródłami historycznymi.

Niektóre badania są dla nas łatwiejsze. Za czasów Sienkiewicza nie było takich narzędzi, jak datowanie radiowęglowe. Oczywiście, sam izotop nie daje stuprocentowej pewności i odkrycie musi zostać uwiarygodnione więcej niż jedną metodą. W nauce wnioski formułuje się na podstawie głębszej analizy niż pobieżna lektura zmodernizowanego tekstu.

W chlubnym zamiarze krytycznego odczytania pamiętników pani Stenko dokonuje ogromnych nadinterpretacji. To nie pan Łacki widział „lampy gazowe” – zobaczyła je pani Stenko, która nie zna fascynacji alchemików tzw. wiecznym światłem, czyli zjawiskiem fosforescencji. Różne maszyny-zabawki należały do kuriozów często spotykanych na magnackich dworach, a imię Łacki jest człowiekiem czytany i bywałym. Trudnił się również alchemią i możemy przypuszczać, że pozostawał w stałym kontakcie z innymi adeptami. Nie ma w tym nic dziwnego, że jednemu z nich udało się otrzymać formaldehyd. Michał Sędziwój opisał napięciowy szereg metali sto pięćdziesiąt lat przed odkryciem ogniw galwanicznych. Prekursorskie odkrycia, które „nie chwyciły” w swojej epoce, zdarzają się częściej, niż to zwykle przyjmujemy.

Nie sprawdzimy, w jakim stanie rzeczywiście było ciało pani Łackiej pod koniec podróży. Autor ma skłonności do konfabulacji. Możemy za to odnaleźć endemiczne rośliny, które opisywał. To nie będzie proste, ponieważ podczas kolektywizacji rolnictwa w ZSRR cała dolina została zaorana pod pszenicę i ziemniaki. Prace są jednak w toku.

Wiemy przynajmniej, że opisywane przez autora wieża i Brama Niebiańska istniały aż do XX wieku. W trakcie budowy kołchozu zostały rozebrane, ale zachowały się we wspomnieniach najstarszych mieszkańców (i w fundamentach ich domów).

Odnaleźliśmy także wzmianki o dziele *Sarmatii opisane* Tadeusza Sieklińskiego, na które

powołuje się Łacki. Zostało ono wydane drukiem przez samego Sieklińskiego lub jego potomnych i do drugiej wojny światowej znajdowało się w zbiorach Biblioteki Narodowej, skąd zginęło.

W razie wątpliwości dotyczących języka i ortografii manuskryptu, skany są dostępne na stronie Uniwersytetu. Odnośnik do nich został zresztą umieszczony w „Mówią Stulecia”. Staropolszczyzna była żywą mową o nieskodyfikowanej gramatyce i pisowni. Znajomość Paska nie wystarczy, aby oceniać jej autentyczność.

\* \* \*

### *Silva rerum*

Nazwa tego hasła odnosi się do więcej niż jednego pojęcia.

Sylwa – gatunek literacki

*Silva rerum* – utwór Erazma Łackiego

### *Silva rerum*

Utwór Erazma Łackiego, prawdopodobnie napisany w XVII w. Odnaleziony przez polską misję archeologiczną prowadzoną przez dr. Michała Kiślaka, niedaleko wsi Gimry, w Dagestanie. Składa się z pamiętnika szlachcica mazowieckiego Erazma Łackiego (ur. circa 1610, prawd. w okolicy Otwocka) oraz gromadzonych przez niego rysunków, zapisków i wycinków ksiąg.

Pamiętniki opisują fragment rzekomej podróży Erazma Łackiego w poszukiwaniu ruin starożytnej Sarmacji. Autentyczność tekstu nadal jest kwestionowana.

Prace w toku.

Ponieważ treść tego artykułu ma formę załączkową, pomóż nam ją rozbudować, o ile dysponujesz odpowiednimi źródłami.

Prosimy, zapoznaj się najpierw z zasadami oraz zaleceniami edytowania Wikipedii.

*Warszawa, grudzień 2011 – luty 2012*

## **PRZYPISY:**

*Serdecznie podziękowania dla Roberta Sochania za przetłumaczenie dialogu Erazma ze zjawą na jęz. łaciński*

***Wszystko się w nim zmieniło, sam trwa prócz odmiany..***

Fragment *Epitaphium Rzymowi* – łacińskiego wiersza szesnastowiecznego poety włoskiego Janusa Vitalisa w przekładzie Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego.

***Benigne domine!...***

– Łaskawy panie! Dziękujemy szczerze za gościnę w pięknej waszej strażnicy. Proszę pytania mego wobec WMMPana nie wziąć za niegrzeczność, ale za ciekawość uprzejmą – jakie to cuda się tutaj odprawiają? Dopiero w ruinie staliśmy, wzeszedł miesiąc i oto jesteśmy we wspaniale ustrojonej wieży, której nie sposób dość nachwalić. Jeżeli WMMPan pragnie rozproszyć trwogę czeladzi, a i nam ciekawym wszelkie dziwy eksplikować, będziemy WMMPanu ogromnie wdzięczni.

***Audi, homo!...***

– Posłuchaj, człowiecze! W pełnię księżycą wstąpiliście do mej strażnicy, gdzie



przyrzekłem służyć aż po kraniec czasów. Dawno rozpadłem się w proch, dawno moja Ojczyzna poszła w niepamięć pośród żywych, lecz ja Niebiańskich rozkoszy nie zaznam, dopóki Sąd Ostateczny nie przyjdzie i sam Pan Bóg nie zwolni mię z przysięgi. Wielu tu przychodziło takich, co jeno rabunek i grabież mieli w głowie, gwałtownicy, złodzieje, świętokradcy; dla nich nie mam litości. Opowiedzcie się zatem, śmiertelni: czegoż wśród gór szukacie? Jaki cel waszej podróży przyświeca?

### ***E longe sita terra egressi...***

– Przybywamy z dalekiego kraju, z Rzeczypospolitej, gdzie najwyższą cnotą jest wolność, każdy szlachcic jest sobie równy i taką wiarę wyznaje, jaka mu się podoba. Króla obieramy też pośród siebie i prawa ustalamy jednogłośnie; toteż nic o nas bez nas uradzić nie sposób. Owe zaś cnoty od starożytnego ludu Sarmatów pochodzą. Wieść głosi, iż Ojczyzna WMMPana była kolebką naszych praojców; toż wybraliśmy się w podróż, aby mądrość przodków poznać i słusznym hołdem uhonorować. Do Rzeczypospolitej powróciwszy, pragnę zdać świadectwo wyprawy i Ojczyźnie WMMPana a praszczurów moich sławę nieśmiertelną podarować.

### ***Mentiris, pulver vilis...***

– Kłamiesz, prochu marny. Gdyby jeno płytką ciekawość wiodła cię do Ojczyzny, której strzegę, zawróciłbym was, w konfuzję wpędzając i ścieżki płacząc. Niestety! Przewiny wasze krwawymi znakami na firmamencie niebieskim spisane. Towarzysz twój to hultaj, ale tyś bardziej obmierzłym od niego. Na twoją zbrodnię brak słów w ziemskiej mowie. Nie moją rzeczą losem żywych szafować, toteż was życia nie zbawię. Odbiorę wam jednak zdrowe zmysły, abyście nieprawości swej po świecie nie rozsiewali i mojej Ojczyzny nie skalali plugawą swoją obecnością.

### ***... oraz na Nowych Atenach księdza Chmielowskiego...***

Ksiądz Benedykt Chmielowski (1700–1763), duchowny katolicki, autor modlitewników, najbardziej znany jako twórca *Nowych Aten* – pierwszej znanej polskiej encyklopedii, czerpiącej z tradycji kompendiów epoki średniowiecza i baroku. *Nowe Ateny*, powstałe z kompilacji olbrzymiej liczby znanych księdzu tekstów – staro- i nowożytnych – dają dobry pogląd na ówczesny stan wiedzy o świecie. Znajdują się tam zarówno bzdury, jak i prawdziwe informacje (np. o rzymskich monetach znajdowanych przez rolników). Z encyklopedii pochodzi m.in. słynne zdanie „Koń jaki jest, każdy widzi” – przypuszczalnie autor chciał, aby część zoologiczna była kompletna, ale bez zbędnego marnowania miejsca. Innym znanym zdaniem zaczyna się elaborat na temat kozy – „Kozy, śmierdzący rodzaj zwierząt [...]”.

### ***Michał Sędziwój opisał napięciowy szereg metali...***

Michał Sędziwój (Sendivogius) (1566–1636), najwybitniejszy alchemik polski, autor cenionych traktatów. Działał na dworach w Polsce i za granicą, m.in. Zygmunta III Wazy i cesarza Rudolfa II. W jego pracach, zaskakująco przejrzystych jak na epokę, można znaleźć odkrycia znacznie wybiegające poza dotychczasowy stan wiedzy. Sędziwój był bliski odkrycia tlenu i tylko brak nowoczesnego języka nauki zapobiegł opisaniu eksperymentu w należyty sposób. Za pomocą wypierania z soli jednego metalu przez drugi uszeregował je w opisany wiele lat później szereg napięciowy. Stosował także (eksperymentalnie) saletrę jako nawóz sztuczny. Pracami Sędziwoja wspierali się m.in. Newton i Lavoisier.

# Joanna Skalska

## DUCH ZEMSTY

*Kolejny raz czas spokoju i szczęścia u boku kobiety nie trwał długo. Złe duchy szalały po Ziemi i ich złośliwy chichot docierał nawet do zacisznego miłosnego gniazdka, które uwiliła dla Barbarzyńcy czuła Marella. Złożona dawno temu obietnica, a może po prostu jego niespokojny charakter sprawił, że porzucił kochankę i ruszył na Północ, gdzie czekały go niebezpieczne przygody i skąd wołał głos Ducha Zemsty, od tylu już lat splątany z jego losem. Raz jeszcze zawierzył życie ostrzu miecza i sile mięśni...*

... od godziny przedzierał się przez zatłoczone ulice. Hałas i miejskie zamieszanie dały mu się już mocno we znaki. Był zmęczony. Przestał reagować na poszturchiwania przechodniów, na jego skronie wypłynął pot, który mieszał się z siąpiącą od rana mżawką. Kiedy więc z boku traktu ukazał się ogród, wojownik bez namysłu skierował tam kroki.

Przysiadł na potężnym głazie pod wielkim dębem. Tu mógł odetchnąć. Już zapomniał, jak uciążliwe bywa życie wędrowca. Od czasu ostatniej wyprawy przytył, rozleniwiał się i zgnuśniał. To wszystko przez Marelłę, pomyślał, ale na wspomnienie kochanki jego usta same rozciągnęły się w uśmiechu. Nie na długo. Twarz Barbarzyńcy zaraz spoważniała. Wojownik wstał, poprawił pas na biodrach. Od pewnego czasu wyczuwał w powietrzu obecność złej magii, jakby macki wrogich zaklęć krążyły nad grodem, szukając go. Wyglądało na to, że wreszcie dosięgły celu.

Ścieżką zbliżał się potwór. Żadna kobieta nie mogła wydać na świat tej istoty. Głowa – ludzka, grzywa – lwia, tors – koński, reszta – mechaniczna konstrukcja. Już z daleka wydawał groźny dźwięk niczym warczenie dzikiego kota albo syk rozjuszonego węża.

- Stój! - wykrzyknął Barbarzyńca, szykując się do starcia. - Stój, mówię!

Monstrum zatrzymało się, spojrzało złym wzrokiem, ale nie wykonało żadnego ruchu.

- Kto cię przysłał? - zapytał wojownik.

Cisza.

- Odpowiadaj! Który z moich wrogów? No, który? Degon? Yohungir? Wieszczyk Aethron? Czy może ta jędza Kalista?

- Lista twoich nieprzyjaciół jest doprawdy długa, ale ja nie znam żadnego z nich - odezwał się potwór.

- Nie znasz Yohungira?! Jednego z najpotężniejszych królów, których nosiła Ziemia?! Na jakim świecie żyjesz?

Monstrum wzdrygnęło się, słysząc te nabrzmiałe nieufnością okrzyki.

- Odkąd znalazłem się w tym podłym stanie, nie zajmują mnie sprawy możnych i potężnych. Niewiele mnie interesuje poza własnym nieszczęściem.

Barbarzyńca popatrzył uważnie na dziwną istotę, po raz pierwszy dostrzegając wymęczone, pozbawione blasku oczy oraz poorane zmarszczkami czoło.

- Podły stan? Nieszczęście? Co masz na myśli?

- Czy myślisz, że zawsze tak wyglądałem? - Stwór wskazał na swoje ciało. - Że się taki urodziłem? Nie! Kiedyś jak ty przemierzałem tę krainę na prężnych nogach. Żadna troska nie mąciła mych myśli i w jednej chwili... Stało się...

- Co?

- Na mojej drodze stanął zakon kitlarzy! - wybuchnął. - Ten wrzód na ciele ludzkości! Ten pasożyt zatruwający zdrową krew! Ten... Ten...

Wzburzone monstrum wolno się uspokajało. Jego pierś wciąż falowała, w oczach lśniła nienawiść.

- Moja jedyna nadzieja i pociecha to ta butelka - sięgnął za pazuchę po sporą flaszkę z ozdobnym korkiem. - Tu zamknięty jest potężny czarodziej. Dzięki niemu jeszcze kiedyś się zemszczę.

W głowie Barbarzyńcy zaświtała pewna idea. Pomyślał o własnej krzywdzie i zemście, którą poprzysiągł dokonać. To nie będzie łatwe zadanie. Pomoc czarodzieja zamkniętego w butelce bardzo by mu się przydała.

- Kim są owi kitlarze? - zapytał.

- To potężny zakon. Pokonać ich jest niezwykle trudno. Jeszcze trudniej stać się jednym z nich. Kandydatów czekają długie przygotowania. Każdy rok kończy się próbą, którą – jak powiadają – wielu przypląca życiem. Ci, którzy przetrwają, po dziesięciu latach nowicjatu składają sekretną przysięgę, a jej słowa, pochodzące ze starożytnego zaklęcia, mają straszliwą moc. Kto je wypowie i przypieczętuje przysięgę własną krwią, staje się jednym ciałem z wszystkimi członkami zakonu. Jedno ciało zakonu – ich największa tajemnica. Nikt nie wie, jak to możliwe, że kiedy odetniesz dłoń jednemu z nich, okrutny ból przeszyje ręce każdego kitlarza, choćby ten znajdował się w odległej krainie. Porazisz mieczem bok jednego, a w tej samej chwili ból zegnę w jednakowym spazmie wszystkich. Wszystkich! Sporo już było śmiazków, którzy upatrywali w tym słabość zakonu. Skuszeni opowieściami o magicznych płynach i proszkach wyrabianych przez kitlarzy, a których wartość w złocie mierzono ich wagą, wyciągali miecze i ruszali do ataku na najbliższy zamek zakonu. Zranię jednego, zaboli każdego – śmiali się. Głupcy! Najazdy te nigdy nie kończyły się dobrze, choć nierzadko, a i owszem, udało się temu czy tamtemu wykonać plan: napaść, pokonać, zranić kilku kitlarzy, złupić i się wzbogacić. Ale co z tego, skoro ów nieszczęśnik natychmiast znajdował się na liście wrogów zakonu. I odtąd każdy kitlarz – powtarzam: każdy – ścigał go jak osobistego wroga, szukając zemsty za ból swego ziomka, który był przecież i jego bólem. Jedno ciało – to nie słabość, lecz potężna broń zakonu. Każdy, kto zadziera z jednym kitlarzem, choćby ten był – co się rzadko zdarza – nędznej budowy ciała i ledwie potrafił unieść miecz, znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, bo staje nie przeciwko jednemu rycerzowi, lecz tysiącom z całego bractwa.

Barbarzyńca w ciszy rozważał ryzyko związane z tą nową komplikacją.

- Pomszczę cię - namyślił się wreszcie. - Rozgromię zakon siłą własnego miecza, bez pomocy magii. A ty w zamian dasz mi uwięzionego czarodzieja.

Stwór złapał się za pierś, gdzie za pazuchą trzymał butelkę.

- Co? To?! Nie, tylko nie to! - zaprotestował gwałtownie.

\* \* \*

Agnieszka obudziła się w świetnym nastroju. Wyrzała przez okno i zdecydowała, że założy zieloną sukienkę z krótkim rękawem, chociaż zachmurzone niebo zwiastowało kolejny deszczowy dzień, dokładnie taki sam jak wczoraj, przedwczoraj i jeszcze wcześniej. Tegoroczny maj bardziej przypominał mokre przedwiośnie niż słoneczną zapowiedź lata, na

którą wszyscy czekali. Jeden ponury dzień następował po drugim i słońce od tygodni nie mogło się przedrzeć przez warstwę chmur.

Nastawiając czajnik w kuchni, Agnieszka włączyła radio i kiedy z głośnika popłynął ostatni przebój znanej piosenkarki, zanuciła refren razem z wokalistką. Dopiero w łazience, gdy spojrzała na swoje odbicie w lustrze, jej uśmiech na chwilę przybladł.

\* \* \*

Monstrum długo nie chciało przystać na propozycję, co miało ten skutek, że przekonanie Barbarzyńcy o wartości uwięzionego w butelce czarodzieja rosło, a wraz z nim rosła natarczywość jego nalegań. Wreszcie stwór się zgodził. Dogadanie szczegółów umowy nie trwało długo i wkrótce Barbarzyńca stanął przed siedzibą kitlarzy. Deszcz przestał padać i wojownik mógł się dobrze przyjrzeć warownej twierdzy i wysokim, niedostępnym murom. Niemal zwątpił, czy monstrum skierowało go we właściwie miejsce, ale w końcu ruszył do środka, mrużąc pod nosem:

- Oby ten czarodziej wart był mojego wysiłku.

Ledwie wypowiedział te słowa, musiał się zatrzymać.

Tuż za bramą, strzegąc dostępu do wnętrza twierdzy, stała ogromna ośmiogłowa hydra.

- Kim jesteś? Po co tu przyszedłeś? - zasyczały jednocześnie wszystkie paszcze, masywne szpony wysunęły się do przodu.

Barbarzyńca nie stracił spokoju.

- Chcę kupić magiczny proszek - powiedział. - Mam pieniądze...

Wyciągnięty z kieszeni trzos zabrzączał metalicznie.

Hydra chyba się tego nie spodziewała. Pierwsza głowa zwróciła niepewne spojrzenie na drugą, ta przekazała zapytanie sąsiedniej, a ta jeszcze kolejnej. Tym sposobem wszystkie łby popatrzyły po sobie pytająco. Te wzajemne konsultacje widocznie dały wynik pozytywny dla Barbarzyńcy, bo szpony hydry schowały się, cielsko bestii usunęło się w tył i zatęchły kamienny korytarz – przejście do wnętrza twierdzy – był wolny. Plan zdawał się działać.

Przynajmniej przez chwilę.

Druga głowa, widocznie tknięta nagłymi wątpliwościami co do zamiarów gościa, wychylna nagle w jego stronę, aż ognisty oddech osmalił mu twarz.

- Pismo polecające masz?

Barbarzyńca wyciągnął zza pasa rulon, rozwinął i podstawił pergamin pod oczy bestii.

- Proszę bardzo. Z pieczęcią i podpisem czarownicy Kalisty.

Kiedy razem z Othem (tak przedstawił się beznogi potwór) fałszowali list, Barbarzyńca uznał, że użycie w piśmie polecającym nazwiska Kalisty, jego zacieklego wroga i osoby doprawdy mało sympatycznej, będzie niezłym żartem.

- Hmm... - zamruczała głowa, w jej oczach powoli gasła podejrzliwość. - Wszystko jest w porządku. Możesz przejść.

- Zaraz, zaraz... - Czwarty łeb hydry włączył się do rozmowy. - Spójrz na datę.

- Datę? - dopytywała się dwójka.

Czwórka przewróciła oczami z politowaniem i fuknęła na dwójkę:

- Wystarczy policzyć.

- A, rzeczywiście - ucieszyła się tamta.

Barbarzyńca westchnął głęboko, niczego z tego nie rozumiejąc.

- Mogę przejść? - zapytał.  
- Nie! - wrzasnęły obie głowy naraz.  
- Każde pismo polecające ważne jest tylko do najbliższej pełni księżyca - wyjaśniła czwórka. - Wyrabianie magicznych proszków jest skomplikowane i zajmuje przynajmniej dwie, czasem trzy pełnie, więc kiedy przyjdiesz po odbiór zamówienia, nie będziemy mogli cię wpuścić. Równie dobrze możemy nie wpuścić cię teraz.

- A jeśli przyniosę wtedy nowe pismo?  
- Nie, nie. - W tyle szóstka pokręciła głową. - Jeden list, jedno zamówienie. Nie możesz dokonać odbioru z nowym pismem.

- A jeśli za dwie pełnie będę chciał złożyć nowe zamówienie? Zupełnie inne. Wtedy mnie wpuścicie? - Barbarzyńca tak łatwo się nie poddawał.

- Po co ci nowe zamówienie, skoro nie odebrałeś starego? To bardzo podejrzane - zasyczała mu szóstka tuż nad uchem.

- Bardzo podejrzane - zawtórowały pozostałe. - Coś przed nami ukrywasz!  
Głowy otworzyły paszcze, pokazując kły i jęzory, po których pełzały płomyki.  
Barbarzyńca ani myślał czekać na atak. Wyciągnął miecz i uskakując za uchylone skrzydło bramy zamku, uciął głowę jedyńki.

Siedem pozostałych łbów natychmiast zionęło ogniem, ale płomienie tylko zatańczyły po powierzchni mosiężnych wrót, nie czyniąc skrytemu po drugiej stronie wojownikowi żadnej krzywdy. Barbarzyńca wiedział jednak, że bezpieczeństwo kryjówki było pozorne, gdyż z drugiej strony nic go nie chroniło. Nic nie mogło powstrzymać hydry od obejścia bramy i bezpośredniego natarcia. W rzeczy samej, już słyszał dźwięk pazurów na kamiennej posadzce.

Musiał działać. I to szybko.

Zakasał rękawy, złapał za krawędzie bramy i pociągnął z całych sił. Zawiasy ani drgnęły. Kroki hydry przybliżały się.

Barbarzyńca spróbował jeszcze raz. Napiął mięśnie, aż twarz mu poczerwieniała, a żyły na szyi nabrzmiały. Ale wysiłek nie poszedł na marne. Zawiasy skrzypnęły i poczęły się przesuwać. Jeszcze jedno, dwa pociągnięcia i wrota uwolniły się zupełnie.

Barbarzyńca odetchnął z ulgą. Czekala go walka z hydrą rozsierdzoną utratą głowy, lecz teraz miał przynajmniej w tym starciu jakieś szanse. Oceniał, że nawet całkiem duże.

Manewrując wrotami niczym tarczą, ruszył w stronę bestii. Po kilku krokach poczuł uderzenie gorąca przenikające nawet przez chroniącą go warstwę mosiądzu. Przeciwnik był tuż-tuż. Wojownik wychylił się za tarczę, zamachnął mieczem i błyskawicznie skrył z powrotem. Po posadzce potoczyła się mała rozgarnięta dwójka, jej paszcza wciąż rozwarta, gotowa do ataku.

- Dwa do sześciu - zamruczał Barbarzyńca pod nosem.

Nie był to jednak czas i miejsce na świętowanie tego małego zwycięstwa, bo owe sześć pozostałych głów hydry właśnie podniosło wściekły skowyt zapowiadający następne natarcie. Wojownik wiedział, że bestia nie da się drugi raz zaskoczyć, choćby nie wiadomo jak raptownym wymachem miecza. Gadzie oczy zapewne uważnie obserwowały krawędzie wrót, gotowe do reakcji na najmniejszy ruch.

Ale tego raczej się nie spodziewają, pomyślał Barbarzyńca i używając bramy jak tarana, runął do przodu. Przycisnął wroga do muru i znów użył całej swojej mocy, tym razem po to, by zmiążdżyć hydrę i raz na zawsze uwolnić od niej świat. Ale choć słyhać było gruchot łamanych kości i jazgot śmiertelnie przerażonej bestii, życie z niej nie uchodziło, a wystający

u dołu ogon uderzał raz po raz po kamiennej posadzce.

Barbarzyńca poczuł, że siły go opuszczają, a mosiężne zdobienia, za które chwycił bramę, wyslizgują mu się ze spoconych dłoni. Dłużej tak nie wytrzyma.

Ostatni raz docisnął wrota i porzucając tak dobrze mu służącą zaimprovizowaną tarczę, pobiegł tam, gdzie czekali go groźniejsi przeciwnicy: w głąb twierdzy, do środka siedziby kitlarzy. Nie obejrzał się za siebie ani razu, żeby sprawdzić, czy – i w jakim stanie – pokonana bestia podniosła się z podłogi.

\* \* \*

Agnieszka była duża, a biorąc pod uwagę współczesne kanony kobiecej urody, dużo za duża. Ramiona siłacza, nogi jak topole, szerokie biodra, obfite piersi – taką budowę ciała odziedziczyła po matce, a ta po swojej, a tamta po swojej. Dla prababki, babki i matki nie było to problemem, znalazły mężów, założyły rodziny, wiodły szczęśliwe życie. Natomiast ich potomkini mogła pochwalić się jedynie trzydziestką na karku, bagażem kompleksów i jedną, zupełnie zresztą nieudaną, katastrofalnie nieudaną, randką wyczerpującą jej całą historię romantycznych kontaktów z płcią przeciwną. Mieszkała sama, miała jedną przyjaciółkę, z którą wymieniała długie listy i której nigdy nie spotkała. Raz na dwa tygodnie szła do kina z koleżanką z pracy, również samotną, choć trochę starszą, bo czterdziestoletnią, kobietą. Agnieszka już od prawie roku bezskutecznie usiłowała uwolnić się od tego niepisanego zobowiązania, bo zarówno wybierane przez koleżankę filmy, jak i jej towarzystwo nudziły ją bezgranicznie.

Odsunęła wzrok od swojego odbicia w lustrze nad umywalką, a razem z nim nieprzyjemne myśli. Znowu się uśmiechnęła. Nastrój sprzed kilku minut powrócił. Wciąż miała przeczucie, że dziś czeka ją dobry dzień. Że wydarzy się coś, co wszystko odmieni.

\* \* \*

Biegł bez wytchnienia. Wiedział, że zamieszanym przy bramie udało mu się już zwrócić na siebie wystarczająco dużo uwagi i pojawienie się pościgu było tylko kwestią czasu.

I rzeczywiście – chwilę później do tupotu jego kroków dołączyło pobrzmiwające z tyłu echo wielu ciężkich stóp.

Barbarzyńca rozejrzał się po korytarzu. Po obu stronach ciągnęły się rzędy identycznych masywnych drzwi, zatrzaśniętych i pozbawionych najmniejszego otworu. Te wrota w połączeniu z murami, wilgotnymi i osmalonymi od zatkniętych po bokach pochodni, sprawiały ponure, niemal więzienne wrażenie. Bez wielkiej nadziei pchnął najbliższe drzwi.

Za nimi ukazało się... Uciekinier nie miał jednak czasu, by przyglądać się temu, co znajdowało się wewnątrz. Pościg był już tak blisko, że nawoływania strażników dało się słyszeć całkiem wyraźnie. Barbarzyńca wślizgnął się do środka, zamknął drzwi i natychmiast przyłożył do nich ucho.

Pościg przemknął korytarzem, nawet nie przystając. Jednak cisza nie trwała długo. Tym razem do kroków i okrzyków dołączyły głośne trzaśnięcia. To ścigający zaglądali po kolei do każdego pomieszczenia w korytarzu, sprawdzając, gdzie ukrył się Barbarzyńca.

- Schowaj się pod posłaniem.

Barbarzyńca drgnął i skierował zaskoczony wzrok w głąb komnaty.

- Zaraz tu będą. Pospiesz się.

Wojownik uznał słuszość rady i zanurkował pod szerokie łożo. Ledwie to zrobił, zawiasy zajęczały przeciągle. Od progu uniosły się głosy dwóch, może trzech strażników, którzy wymieniali między sobą jakieś niezrozumiałe uwagi. Wreszcie drzwi trzasnęły i w komnacie zapanowała cisza.

- Poszli. Możesz już wyjść.

Barbarzyńca nie ruszał się. Wciąż leżał na zimnych kamieniach i patrzył na drewniane belki służące za podstawę łożka. Rozwagał, czy to, co przez chwilę widział jego oczy, istniało naprawdę, czy też było omamem wywołanym przez zmęczenie niedawną walką albo zły czar któregoś z jego wrogów.

- Wyjdź. Teraz jesteś bezpieczny, ale nie możesz tu długo zostać.

Czy życzliwość, którą słyszał w głosie, zawdzięczał odruchowi serca osoby z krwi i kości, czy też tam w górze leżała obłudna kreatura utkana ze złośliwych zaklęć?

- Wyleziesz stamtąd czy nie?!

Barbarzyńca wylaź. Spojrzał.

- No, śmiało, poprzyglądaj się.

Zawstydzony, odwrócił wzrok, ale powodowany przemożną ciekawością, zaraz spojrzął znowu.

Zobaczył gęstą plataninę wypustek, macek i czulek. Wszystkie drgały lub wibrowały. Niektóre zdawały się badać przestrzeń wokół pościeli, gdyż co rusz wypuszczały w górę końcówki, które rozchyłały się niczym rozkwitające kwiaty, nabierały powietrza, nadymały się i wreszcie – *puf!* – pękały z cichym sykiem, by zaraz z powrotem opaść w dół. Inne pulsowały przymglonym światłem przypominającym daleki poblask nocnego ogniska. Jeszcze inne zginały się i prostowały niczym odnóża wielkiego owada. Istota rozciągnięta na pościeli, która ukryła go przed zamkowymi strażnikami i której winien był wdzięczność, wyglądała jak przedziwne ruchome kłębowisko.

Czy żywe?

Wyciągnął rękę...

- Nie dotykaj mnie.

Odskoczył i wbił baczne spojrzenie w istotę na łożku. Gdzie są usta, które wypowiedziały te słowa? Gdzie oczy, które śledziły jego każdy ruch?

- Nie lubię, kiedy ktoś mnie dotyka, zwłaszcza jeśli jest to mężczyzna. Choć kiedyś... - westchnienie - było zupełnie inaczej. Kiedyś pieszczoty mężczyzn sprawiały mi ogromną przyjemność.

Barbarzyńca wyteżył wzrok, ale wciąż widział jedynie gmatwaninę macek.

Tymczasem kobieta mówiła dalej:

- Dziwisz się. Patrzysz niedowierzająco na moje nędzne ciało, ale wiedz, że jeszcze niedawno wyglądałam zupełnie inaczej. Tam, gdzie teraz widzisz pomarszczoną skórę, znajdowały się miękkie krągłości. Gdzie jest szorstkość – była gładkość, gdzie woskowa cera – blask i żywe kolory. Mój powab zachwycał wszystkich bez wyjątku, mogłam przyćmić każdą piękność. Zamknij oczy i pomyśl o najpiękniejszej kobiecie, jaką kiedykolwiek widziałeś. Gdybym w rozkwicie urody stanęła obok niej, już nigdy nie chciałbyś na nią spojrzeć i nie mógłbyś uwierzyć, że darzyłeś uwielbieniem taką pospolitość.

Zamknij oczy i pomyśl o najpiękniejszej kobiecie, jaką kiedykolwiek widziałeś... Barbarzyńca nie oparł się spełnieniu tej prośby. W jego wyobraźni pojawiła się Marella, jej gibkie ciało zatańczyło na wewnętrznych ścianach powiek, a w nozdrza uderzył go zapach

skóry kochanki. Słodka Marella! Nie wierzył, że mogła istnieć kobieta obdarzona większymi powabami. Wiedział natomiast, że bez namysłu zabiłby tego, kto ośmieliłby się skrzywdzić jego Marellę. Kto zgasiłby blask jej oczu! Pozbawił cerę aksamitnej miękkości!! Ociosał zaokrąglenia!!!

Zacisnął pięści.

- Kto winien jest twojej krzywdy? - wyrzucił przez zaciśnięte ze wzburzenia szczęki.

Rozsądek podpowiedział mu, że być może reaguje zbyt impulsywnie i wojownik przez chwilę na próżno usiłował odgonić obraz kochanki, bezskutecznie przekonywał siebie, że przecież Marelli nic nie grozi, że ona i kobieta leżąca na posłaniu to dwie różne osoby. Za późno. Gniew już mu wezbrał w piersi.

- Mów. Kto to zrobił?

- Skorpion! Ten bezlitosny drapieznik! Znajdziesz go w jaskini za miastem.

- Obiecuję, że go zgładzę. Masz moje słowo.

- Pospiesz się. Ta jadowita bestia chce uchodzić za człowieka, przystroić się tym, co mi ukradła. Ma już moje kruczoczarne włosy, ma piersi, talię i uda. Zabrała już prawie wszystko. Teraz sięgnie po... życie.

- Właściwie... - zająknął się wojownik, przypominając sobie o umowie z Othem. - Zanim rozprawię się ze Skorpionem, muszę wykonać jeszcze jedno zadanie.

- Nie! Nie możesz z tym zwlekać. Będzie za późno! - Macki poczęły się poruszać gwałtownie niczym gałęzie wierzby podczas burzy. - Zresztą obiecałeś. Dałeś słowo!

- Tak, masz rację, dałem słowo - zgodził się Barbarzyńca z westchnieniem.

\* \* \*

Przez cały ranek w izbie przyjęć było bardzo spokojnie. Nieliczni pacjenci nie hałasowali i nie robili awantur, a dyżurujący lekarze, również zadowoleni z mniejszej ilości pracy, zachowywali się wyjątkowo miło. Agnieszka siedziała za swoim biurkiem z napisem Rejestracja uśmiechnięta i zrelaksowana. Wszystkie zaległe papiery i skierowania zdążyła posegregować, tak że blat był niemal pusty. Tak jak lubiła. Od czasu do czasu myślała o skrytej pod obowiązkowym szpitalnym fartuchem ulubionej zielonej sukience z krótkim rękawem. Przeczucie jej nie zawiodło. To był dobry dzień.

Przynajmniej do pewnego momentu.

Tuż przed południem w drzwiach izby przyjęć pojawił się mężczyzna. Od razu wydał jej się podejrzany. Podeszedł do biurka i oznajmił, że musi wejść do szpitala. Wyjął portfel, próbował ją przekupić. Potem pokazał skierowanie, już na pierwszy rzut oka sfałszowane. Agnieszka wiedziała, że będą kłopoty, nie przewidziała tylko jak duże. Mężczyzna zaatakował bez uprzedzenia. Nie wiadomo skąd wyciągnął długi i giętki metalowy pręt i z furią zaczął nim okładać recepcjonistkę. Drugą ręką złapał wielki segregator z jej biurka i również jego użył jako broni. Agnieszka próbowała odpierać napaść, aż wreszcie poddała się. Przywarła do ściany, jęcząc za każdym razem, gdy pręt ciał jej ramiona albo ciężki skoroszyt przygniatał piersi.

Jej cierpienie skończyło się tak nagle, jak się zaczęło. Mężczyzna odstąpił od ataku i pobiegł w głąb szpitalnego korytarza. Agnieszka osunęła się na podłogę i obolała patrzyła, jak zaniepokojony hałasem lekarz dyżurujący wystawia głowę zza drzwi gabinetu i podnosi alarm. Pojawiały się kolejne osoby, pielęgniarki, lekarze, nawet pacjenci. Zamieszanie rosło.



Chwilę później zaprowadzono ją do pustej izolatki, gdzie zbadał ją sam ordynator. Nie stwierdził żadnych złamań, jedynie stłuczenia i lekki szok. Kazał napić się słabej herbaty i przykładać lód, ale kiedy ktoś postawił przed nią szklankę z napojem, nie mogła jej unieść, tak trzęsły jej się ręce. Siedziała więc, patrząc, jak herbata paruje, i próbowała zebrać myśli. Na próżno. Jej mózg, wzburzony jak reszta ciała, po prostu odmawiał funkcjonowania. W takim stanie zastał ją wezwany przez ordynatora policjant. Myślała, że nie zdoła wydusić słowa, ale na widok munduru przełączył się jakiś przycisk w jej umyśle i rozmowa przebiegła bardzo sprawnie. Po złożeniu zeznań Agnieszka na powrót wpadła w dziwny stan roztrzęsionej apatii. Po pewnym czasie (nie potrafiła powiedzieć jak długim) do pokoju weszła pielęgniarka, która zastąpiła ją w Rejestracji.

- Wezwałam taksówkę. Stoi przed szpitalem - powiedziała.

Idąc przez parking, Agnieszka poczuła pierwsze krople spadające z zachmurzonego nieba. Sięgnęła do torebki, którą włożyła jej do ręki pielęgniarka, i zorientowała się, że parasolka została w szufladzie biurka. Zanim doszła do taksówki, rozpadało się na dobre. Jej ulubiona zielona sukienka z krótkim rękawem przemokła. Na nagich ramionach pojawiła się gęsia skórka.

\* \* \*

Po wyjściu z komnaty Barbarzyńca skierował kroki w stronę bram zamku.

- Obietnica jest obietnicą - mruczał do siebie pod nosem.

Ledwie pokonał kilka metrów, zobaczył zbliżającego się korytarzem samotnego kitlarza. A więc zemsta Otha na zakonie będzie miała jednak pierwszeństwo. Taka okazja mogła się nie powtórzyć i wojownik nie zamierzał jej marnować. Skorpionem zajmie się później.

Zagroził drogę mężczyźnie.

Tamten spojrzał zaskoczony.

- Gościu, czy mogę ci czymś służyć? - zapytał.

Teraz z kolei zdumiał się Barbarzyńca. Zarówno pytanie, jak i ton, jakim zostało zadane, wskazywało na szczerą troskę i życzliwość. Żadna z tych cech nie znalazła się w charakterystyce zakonu, którą odmalował przed nim Oth. Ale beznogi stwór powiedział również: „Poznasz ich po białych kitlach i węzach oplecionych wokół szyi”. Mężczyzna w korytarzu idealnie pasował do tego opisu. Nie mogło być mowy o pomyłce.

Barbarzyńca wyciągnął miecz.

- Teraz zapłacisz za krzywdę Otha! - wykrzyknął.

Kitlarz nie drgnął, natomiast zwisający z jego szyi wąż podniósł łeb i zasyczał wściekle.

Barbarzyńca uderzył pierwszy. Jego ostrze ze świstem przecięło powietrze, ale wąż umknął przed ciosem, błyskawicznym ruchem opadając na posadzkę i natychmiast atakując od dołu. Wojownik odskoczył w ostatniej chwili, złapał miecz w obie ręce i wykonał zamach. Gad znów się wywinął i znów usiłował wpuścić trujący jad do krwi przeciwnika. Zamach, unik, próba ukąszenia, zamach, unik, próba ukąszenia – przez jakiś czas walka toczyła się w tym rytmie. Równowaga zdawała się idealna, wynik pojedynku – i życie – mogły zależeć od najdrobniejszego błędu jednej ze stron, od spóźnionej o ułamek sekundy reakcji, chwilowego osłabienia koncentracji... I wtem stało się. Barbarzyńca przygotował się, zamierzył, ale tylko zamarkował cios do przodu. Naprawdę miecz poszybował w bok, tam gdzie już wystrzelił uciekający przed ostrzem wąż. Miecz wszedł w pokryte łuskami cielsko, łeb z rozwartą

paszczą potoczył się po posadzce. W nieruchomych oczach odbił się płomień pochodni.

Ten tryumf nie wystarczył Barbarzyńcy. Opanował go szal walki. Uderzał i uderzał, siekł mieczem truchło, póki nie zamieniło się w stertę krwawych wiórów. Szaleńczy taniec tętna w żyłach wojownika nieco przycichł.

Otarł pot z czoła. Rozejrzył się.

Kitlarz zniknął. Za to z głębi korytarza dochodził hałas przybliżających się kroków.

Tchórzliwy szczur – wojownik zmełł w ustach wyzwisko dla kitlarza, który nie tylko przestraszył się starcia jeden na jednego i uciekł, lecz również sprowadził posiłki.

Barbarzyńca błyskawicznie przeanalizował swoją sytuację i sam wziął nogi za pas. Nie widział w tym jednak aktu tchórzostwa, tylko raczej kalkulowane posunięcie, strategiczne wycofanie z bitwy, które w dłuższej perspektywie przeważa szalę zwycięstwa w wojnie.

Po ucieczce z zamku skierował się do ogrodu, gdzie wcześniej spotkał Otha. Teraz też znalazł go bez kłopotu, wciąż tkwiącego przy wielkim dębie, jakby nie ruszał się stamtąd od rana.

- Wykonałem zadanie. Pomściłem cię - oznajmił Barbarzyńca, dopowiadając, już tylko w duchu, że chociaż właściwie nie udało mu się bezpośrednio zmierzyć z żadnym kitlarzem, był to drobiazg niewart wspomnienia. Przecież w każdej chwili mógł wrócić do zamku i użyć swego miecza. Zemsta praktycznie już się dokonała.

Tamten popatrzył nieufnie.

- Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

- Spójrz! - Barbarzyńca gwałtownym ruchem wyciągnął miecz z pochwy. Ostrze błysnęło, eksponując koronkowy wzór, który utworzyły przyschnięta krew hydry i wciąż świeża – węża.

Beznogi gwizdnął z podziwem.

- Dotrzymałeś słowa.

- Mam nadzieję, że ty zrobisz to samo. - Wojownik przyłożył miecz do jego gardła.

Oth niechętnie wyciągnął butelkę zza pazuchy. Zawahał się, wreszcie z widocznym żalem podał ją Barbarzyńcy.

Wojownik złapał flaszkę, odwrócił się na pięcie i ruszył ku bramie ogrodu. Za jego plecami Oth jakby z opóźnieniem zdał sobie sprawę z ogromu swojej straty. Począł wymachiwać zaciśniętymi pięściami w powietrzu, jakby boksował się z niewidzialnym przeciwnikiem. Gniew i rozgoryczenie nie pozwoliły mu mówić i tylko jego usta co trochę otwierały się i bezgłośnie zamykały.

\* \* \*

Posterunkowemu Maciejowi Rybickiemu już od rana coś nie dawało spokoju. Jakaś nie do końca sformułowana myśl chodziła mu po głowie, krążyła na granicy świadomości, raz po raz nurkując z powrotem w nieświadomość. Domyślał się, że miało to związek z Kubą Rozpruwaczem Seniosem, jak nazwano groźnego seryjnego mordercę od pół roku skutecznie umykającego policji. Rozpruwacz zabił już pięć samotnych starszych kobiet, z których każda bez wyjątku miała za sobą – najczęściej w bardzo już odległej młodości – karierę w najstarszym zawodzie świata. Rybicki, zwykły mundurowy z ledwie trzyletnim stażem, nie miał nic wspólnego ze śledztwem w tak poważnej sprawie, o pracy detektywa mógł jedynie pomarzyć lub poczytać w kryminałach, ale tak się złożyło, że poprzedniego dnia znalazł się w ekipie zabezpieczającej ślady w miejscu ostatniej zbrodni Seniora. Jego zadaniem miało być

przeganianie gapiów sprzed domu ofiary, ale że ten znajdował się za miastem, w okolicy spokojnej i prawie bezludnej, Maciek właściwie nie miał nic do roboty, po prostu stał beczynnie na podwórku i moknął. Z nudów zajrzał przez okno do środka domu. Na kuchennej podłodze zobaczył martwą kobietę w bordowym dzierganym sweterku. Obok leżało przewrócone krzesło i kubek z aureolą rozlanej herbaty. Wokół ciała kręcili się pstrykający zdjęcia technicy, ale Rybicki nie zwracał na nich uwagi. W obrazie miejsca zbrodni było coś znajomego. Coś, co w niejasny sposób przypominało mu o czymś innym. Tylko co? Bordowy sweter? Krzesło? Porcelanowy kubek? Plama herbaty? I z czym to mu się kojarzyło? Z czym?

Gdyby tylko miał trochę spokoju, gdyby mógł przez chwilę posiedzieć w ciszy, być może odnalazłby odpowiedzi na te pytania, ale jak na złość od samego rana na komendzie panował prawdziwy młyn. Telefony się urywały, petenci ustawiali w kolejce. Parę minut po pierwszej zamieszanie sięgnęło szczytu, gdy do komisariatu wtargnął Olek, zwany Natką, znany policjant od dawna drobny złodziej, naciągacz, krętacz, alkoholik i cukrzyk. Kilka lat temu z powodu choroby i trybu życia stracił obie nogi i od tamtej pory jeździł na wózku oraz otrzymywał rentę, co oznaczało, że chyba po raz pierwszy w życiu Natka miał stały – choć skromny – dochód, który prawie w całości przeznaczal na najtańszy samogon. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Umysł Olka zaczął szwankować. Często zjawiał się na komendzie – którą traktował jak swój drugi dom – i dzielił się z policjantami swoimi urojeniami. Nikt już nie zwracał na niego uwagi.

Jednak tego dnia Natka tak głośno się awanturował i tak stanowczo domagał zgłoszenia przestępstwa, że w końcu komendant dla świętego spokoju kazał któremuś z młodszych podwładnych się nim zająć.

Padło na Rybickiego.

Maciek zaprowadził Olka do osobnego pokoju, wysłuchał kolejnej szalonej historii i nawet wypełnił formalne zgłoszenie kradzieży butelki samogonu. U dołu kartki – zgodnie z procedurami – kazał się Natce podpisać, a następnie, gdy tylko inwalida opuścił komisariat, wrzucił ją do kosza. Policjant zapewne szybko zapomniałby o całej sprawie, gdyby pół godziny później nie odebrał telefonu ze szpitala. Zgłaszano napad na recepcjonistkę i lekarza.

Rybicki wyciągnął z kosza kulkę papieru, rozprostował i jeszcze raz przeczytał spisana swoją ręką relację Natki. Wszystko się zgadzało. Znaczący był zwłaszcza jeden szczegół: długi metalowy pręt, być może wyrwana samochodowa antena radiowa, którą sprawca posługiwał się jak mieczem.

Kwadrans później był w szpitalu. Z braku bardziej doświadczonych ludzi komendant przydzielił mu nadzór nad sprawą i Maciek po raz pierwszy w życiu mógł się wcielić w rolę detektywa. Przesłuchał napadniętego lekarza, ale ten nie potrafił powiedzieć nic poza to, co Rybicki już wiedział. Zresztą doktor właściwie wcale nie ucierpiał, jeśli nie liczyć zupełnie zniszczonego stetoskopu, który zsunął mu się z szyi i na którym skoncentrowała się furia atakującego. Z recepcjonistką sprawa miała się zupełnie inaczej. Ta była widocznie posiniaczona i roztrzęsiona. Zauważywszy, że miała łzy w oczach, chciał odłożyć rozmowę na później, ale kobieta, nie czekając na pytania, oznajmiła:

- Wiem, kim on jest. Wyjmował portfel z kieszeni... to było, jeszcze zanim się na mnie rzucił... i razem z portfelem wysunął się dowód. Wtedy zobaczyłam jego nazwisko.

Rybicki otworzył notes i pstryknął końcówkę długopisu.

Kilka minut później przez służbową komórkę dyktował koledze w komendzie dane do sprawdzenia.

Barbarzyńca nie widział wybuchu gniewu Otha. Szedł już ulicą w stronę rogatek grodu. Tym razem nie zważał na tłoczących się przechodniów, choć ścisk był nawet większy niż rankiem. Wiele sobie obiecywał po uwięzionym w butelce czarnoksiężniku i nie mógł się doczekać, kiedy skorzysta z jego mocy. W przeciwieństwie do innych wojowników nigdy nie lekceważył mocy czarów i nie wzbraniał się przed ich użyciem. Oczywiście nic nie mogło zastąpić sprawnego ramienia, ostrego miecza czy przenikliwego osądu, ale skoro okoliczności wepchnęły mu w dłonie władzę nad potężnym magiem, nie widział powodu, by z tego nie skorzystać.

Zwłaszcza w tak dobrej sprawie jak pokonanie Skorpiona.

Przeczuwał, że zbliża się do siedliska drapieżcy. Zostawił za sobą gwar miasta i szedł teraz odludną okolicą, od czasu do czasu mijając gaje obrosnięte paprociami. W koronach drzew skrzeczały papugi. Wreszcie dotarł do miejsca, w którym panowała zupełna cisza. Ptactwo zamilkło, ucichł nawet wiatr, który do tej pory łagodnie mierzwił liście. To musiało być tu.

Rozejrzał się uważnie. Ledwie kilkanaście metrów dalej zobaczył wejście do jaskini. Wyteżył wzrok. W kosmatej ciemności wnętrza grotty rysował się kształt jeszcze bardziej mroczny. Plama doskonałej czerni – Skorpion.

Barbarzyńca powstrzymał odruch sięgnięcia po miecz, zamiast tego wyciągnął korek z butelki.

Nie wydarzyło się absolutnie nic.

Wojownik zmarszczył brwi, potrząsnął flaszką. Nic.

Gniew wezbrał w piersi Barbarzyńcy. Oth go okłamał! Nabił w butelkę! Chociaż... – wojownik, który już zawracał w stronę miasta, by zrobić porządek z obłudnikiem, zatrzymał się w pół kroku. Jeśli to oszustwo, dlaczego beznogi tak niechętnie rozstawał się z flaszką? Przyjrzał jej się dobrze. Przechylił. Ze szklanej szyjki ułała się bezbarwna ciecz o ostrym zapachu. Magiczny płyn, skonstatował Barbarzyńca i bez namysłu pociągnął spory łyk. Nic się jednak nie wydarzyło. Wojownik wlał więc w siebie resztę płynu. Znowu nic.

Może trzeba zaczekać, by poczuć jego działanie, pomyślał, odrzucił pustą butelkę, usiadł na pniu zwalonego drzewa i zadumał się nad czekającymi go zadaniami.

W pierwszej kolejności musiał się rozprawić ze Skorpionem. Potem winien dokończyć zemstę na kitlarzach i dopiero wtedy będzie mógł się zająć wyrównaniem rachunków z własnymi wrogami. Zadania piętrzyły się, przygody rozrastały, a przecież jeszcze wczoraj wiódł spokojne życie w miłosnym gniazdku uwitym przez Marellę, jeszcze dzisiejszego ranka leżał u boku kochanki i nawet nie przypuszczał, że jego ramię i miecz potrzebne są tylu ludziom. Choć Marella... Poczul niepokój w sercu. Kobieta taka jak ona przyciąga męskie spojrzenia niczym magnez. Czy znalazła sobie nowego kochanka? Czy już zapomniała o Barbarzyńcy?

Odsunął od siebie nieprzyjemne myśli. Spróbował się skoncentrować na oczekujących go zadaniami. Im szybciej je wykona, tym szybciej będzie mógł wrócić do Marelli.

Rozejrzał się. Okolica jakby się odmieniła. Wszystko lśniło niezwykłym blaskiem, a z koron drzew promieniowały pasma kolorowego światła.

Barbarzyńca wstał, zaniepokojony. Wyciągnął dłoń w stronę liści. Promienie odgięły się,

powtarzając jego ruch. Wysunął drugą dłoń. Tęczowe wiązki znów odchyliły się, jakby poddając się jego władzy. Jakby? Nie! One naprawdę mu ulegały, gięły się, przybliżały i oddalały – dokładnie tak jak nakazywał. Czarodziejski płyn wreszcie zadziałał. Wojownik poczuł moc wzbierającą w jego piersi.

- Aaaaa! - zakrzyknął straszliwie i runął ku grocie Skorpiona.  
Ziemia drżała pod jego stopami.

\* \* \*

O czwartej po południu Maciek Rybicki miał już zupełnie niezły obraz sytuacji. Dokładnie wiedział, z kim ma do czynienia. Potrafił odtworzyć jego poczynania od samego rana, począwszy od pierwszego spotkania w parku z Olkiem Natką, przez agresywne zachowania w szpitalu, po kolejne starcie z Natką. Obraz ten oczywiście nie był pozbawiony luk. Rybicki nie wiedział na przykład, gdzie w tej chwili przebywa poszukiwany, ale miał za to przecucie, gdzie ten znajdzie się wkrótce. Więcej niż przecucie. Pewność. Wszystko więc zorganizował tak, żeby można go było tam zgarnąć.

Jednak policjant nie mógł odpędzić drobnego ukłucia żalu, że sprawa skończy się w taki właśnie sposób. W szaleństwie tamtego było coś szlachetnego... Coś heroicznego. Owszem, wyjątkowo głupio dał się nabrać na starą pijacką bajkę Natki, jakoby ten stracił obie nogi nie z powodu stopy cukrzycowej, tylko złościwości lekarzy, którzy odcięli mu zupełnie zdrowe kończyny. Właśnie w tym jednym głupim błędzie tkwiło wyjaśnienie pozornie przypadkowego i niesprowokowanego ataku w szpitalu. Mężczyzna po prostu próbował wyrównać krzywdę. Jego intencje były czyste. A gdy dodać do tego jeszcze obietnicę, którą złożył chorej pacjentce... Lekarze pozwolili Maćkowi tylko na krótką, pięciominutową rozmowę z nią i uprzedzili: późne stadium nowotworu złośliwego, jakby ta formułka mogła go przygotować na to, co zobaczy. Wysuszony strzep ludzki. Żywego trupa.

- Pana nos też nie jest za piękny, a uszy odstają - powiedziała kobieta.

Rybicki zarumienił się, spuścił wzrok i zdał sobie sprawę, że ma przed sobą młodą, inteligentną i wygadaną dziewczynę, która próbuje nie tracić poczucia humoru nawet w tych okolicznościach. I chyba wtedy po raz pierwszy zrobiło mu się żal, że świat jest, jaki jest i że ściga tamtego mężczyznę, zamiast pomagać mu w krucjacie wymierzania sprawiedliwości. Na chwilę przeniósł się do rzeczywistości tamtego, takiej, jak ją sobie wyobrażał, z komiksowych obrazków o superbohaterach, z opowieści o wszechmocnych herosach. Tam zło naprawdę dało się pokonać, krzywdy można było naprawić, a miecz na zawsze mógł uwolnić ludzkość od raka...

Maciek otrząsnął się z zamyślenia. Zejdź na ziemię, zrugął sam siebie po cichu. Akcja musi się odbyć zgodnie z planem. Spojrzał na zegarek. Kwadrans po czwartej, a jemu został do wykonania jeszcze jeden, mało przyjemny obowiązek.

Sięgnął po telefon.

\* \* \*

Ziemia drżała pod jego stopami. Ptaki zamilkły, a przestraszone zwierzęta pochowały się w swoich norach. Barbarzyńca biegł, sunął do przodu. Niezwyciężony. Niepohamowany. Nieokiełznany.

Za progiem jaskini musiał jednak przystanąć, pozwolić wzrokowi przystosować się do

panujących w środku ciemności. Dopiero po chwili zobaczył swojego wroga, jego połyskujący pancerz, potężne kleszcze i zimny błysk pary małych oczu. Czaiło się w nich zło – wojownik nie miał co do tego wątpliwości. Odbijało się w nich cierpienie zadane nie tylko kobiecie, którą spotkał w zamku kitlarzy, lecz setkom, nie, tysiącom, ludzi. Skorpion żerował na udęce innych, dzięki niej rósł w siłę i być może wkrótce stanie się wszechmocny.

Barbarzyńca zaatakował bez wahania. Bestia wywinęła się spod miecza i ostrze uderzyło kamienne dno grotu, aż poleciały iskry. Wojownik nie czekał z kolejnym natarciem, ale i to zakończyło się z podobnym skutkiem. Potem następne, i następne...

Ramię Barbarzyńcy zatrzymało się w pół uderzenia. Walka nie przebiegała dobrze. Coś było nie tak, chociaż moc czarodziejskiego płynu wciąż wypełniała jego członki, czego najlepszym dowodem były głębokie żleby w kamieniu, które zostawiał po sobie jego miecz. Wyglądało to tak, jakby miał tej mocy... za dużo. Tak dużo, że wymykała się spod kontroli. Prześlizgiwała między palcami.

Barbarzyńca opuścił broń. Skorpion czaił się w rogu, nie atakując. To tylko potwierdziło przypuszczenia wojownika. Skorupiak nie był godnym go przeciwnikiem, zwłaszcza teraz, kiedy dysponował ogromną magiczną siłą. Marnował tylko na niego czas, a przecież nie mógł przewidzieć, jak długo będzie trwało działanie napoju. Póki trwa, powinien korzystać z niego mądrze i zająć się ważniejszymi sprawami. Najważniejszymi. Własną zemstą.

Odwrócił się ku plamie światła w wyjściu z jaskini, obiecując sobie, że jeszcze tu wróci i ostatecznie rozprawi się ze Skorpionem.

Po kilku krokach poczuł tak wielki przyływ czarodziejskiej mocy, że aż zakręciło mu się w głowie. Tętno w skroniach załomotało, fala ciepła rozogniła twarz. Świat zawirował.

Miał ochotę tańczyć, miał ochotę śmiać się w głos. Moc była wszędzie. Kąpał się w mocy!

\* \* \*

Edyta Barzyńska wracała z cotygodniowych zakupów z odległego, ale za to taniego supermarketu. Komórka zadzwoniła w najmniej dogodnym momencie, kiedy na prostym odcinku alei Mickiewicza jej sfatygowane punto rozpędziło się wreszcie do przyzwoitej prędkości. Szturchnęła łokciem siedzącą z boku trzynastoletnią córkę.

- Justyna! Odbierz!

- Co? - Justyna wyjęła z ucha słuchawki odtwarzacza mp3.

- Odbierz moją komórkę - Edyta powtórzyła prośbę.

Dziewczynka sięgnęła po leżącą na tylnym siedzeniu torebkę matki i wyjęła z niej telefon.

- Halo.

Przez chwilę słuchała bez słowa, wreszcie odsunęła słuchawkę od ucha.

- Mamo, to chyba ważne.

W jej oczach pojawił się niepokój.

\* \* \*

Barbarzyńca ocknął się nagle. Gdzie jestem?, przemknęło mu przez głowę. Rozejrzał się czujnie w sposób charakterystyczny dla kogoś, kto obudził się z długiego snu w nieznanym pokoju. Ale on znał to miejsce. To tutaj zmierzał, ta srebrna wieża nieopodal była celem jego wędrówki. Choć nie pamiętał, w jaki sposób się tu znalazł. Widocznie nogi same go przyniosły. A może pokierował nim magiczny płyn krążący w jego żyłach? Przejechał palcami

po włosach. Były mokre, jakby w czasie jego wędrówki padał deszcz. To dziwne, że tego nie pamiętał.

Najważniejsze, że tu był. Wreszcie mógł wyrównać rachunki. Spojrzał na szczyt błyszczącej wieży i sięgnął po miecz, ale nie ruszył z miejsca. Jakiś ruch z boku, na granicy pola widzenia, przyciągnął jego uwagę. Odwrócił głowę i zobaczył gromadkę ludzi stojących beczynnym, tkwiącym tam bez wyraźnego powodu. Bardzo podejrzanym. Nie spuszczał z nich oczu.

Wśród ciemno ubranych postaci mignął mężczyzna w białym stroju, potem drugi. Barbarzyńca przypomniał sobie słowa Otha: kto atakuje jednego kitlarza, tak naprawdę zadziera z całym bractwem. Więc stało się. Teraz ma na karku cały zakon.

Do jednego z kitlarzy podeszła kobieta, która wydała się Barbarzyńcy znajoma. Wyteżył wzrok. Tak, to ta biedna, wiecznie zapracowana praczka, nad którą lituje się Marella i zawsze płaci jej dodatkowego dukata ponad to, co się należy. Zdawało mu się, że nawet z daleka widzi zaczerwienione od pracy ręce kobieciny. Dwa kroki dalej stała też jej córka. Co one tu robiły?

\* \* \*

- Mamo, zobacz. Spojrzał na nas.

- Widzę.

Justyna nieśmiało zamachała dłonią tacie, ale wzrok tamtego obojętnie prześlizgnął się po tym geście.

- Myślisz, że nas poznaje? - zapytała dziewczynka.

- Nie wiem.

\* \* \*

Wszystko to było bardzo tajemnicze. Barbarzyńca zupełnie nie wiedział, co robić. Czy najpierw rozprawić się z kitlarzami? A jeśli tak, to czy powinien atakować od razu, czy czekać na ich ruch? A może należałoby wycofać się, zmylić prześladowców i dopiero wtedy wrócić pod wieżę? Grupa ludzi z boku wciąż się powiększała. Przybywało też kitlarzy. Barbarzyńca obserwował ich uważnie.

\* \* \*

Maciek zakończył wreszcie rozmowę z komendantem, schował komórkę i podszedł do Edyty Barzyńskiej, która na miejscu pojawiła się kilka minut wcześniej.

- Dzień dobry pani. Nazywam się posterunkowy Rybicki. Rozmawialiśmy przez telefon.

Kobieta kiwnęła głową w roztargnieniu. Wciąż patrzyła na męża.

- Pomyślałem, że córka... - policjant przerwał i niezręcznie wskazał na stojącą obok Justynę - nie powinna być świadkiem tego... - znów wykonał nieokreślony ruch ręką - zamieszania.

- Oczywiście. - Barzyńska wreszcie przeniosła całą swoją uwagę na funkcjonariusza. - Justyna była ze mną, kiedy pan zadzwonił. Przyjechałam prosto tutaj. Nie miałam gdzie jej zostawić, ale już rozmawiałam z sąsiadką. Zgodziła się odebrać stąd małą i posiedzieć z nią trochę. Zaraz powinna tu być. O... już jest.

Rybicki podążył wzrokiem za spojrzaniem rozmówczyni i z trudem powstrzymał się od gwizdnięcia pełnego podziwu.

Z zaparkowanego po drugiej stronie ulicy samochodu wysiadła seksowna dziewczyna. Bardzo seksowna. Czarnowłosa, ubrana w sukienkę podkreślającą świetną figurę.

- Mariola! Tutaj! - krzyknęła w jej kierunku Barzyńska.

\* \* \*

Marella? Tutaj? Serce Barbarzyńcy podskoczyło z radości w szerokiej piersi. Jednak zaraz jego czoło przecięła głęboka zmarszczka. Po prostu nie wierzył w takie zbiegi okoliczności. To musiała być pułapka. Kitlarze specjalnie sprowadzili tu Marelłę, wystawili ją na przynętę. Zapewne nie mieli kłopotów z przekonaniem jej, by to zrobiła. Wystarczyła garść klejnotów. Zawsze miała słabość do błyskotek. Albo któryś z przystojnych kitlarzy zawrócił jej w głowie i śmierć Barbarzyńcy byłaby jej bardzo na rękę...

Odwrócił wzrok. Nie chciał już więcej na nią patrzeć.

\* \* \*

Rybicki patrzył, jak Mariola oddala się w stronę swojego samochodu. Obok – powłócząc nogami i ze spuszczoną głową – szła Justyna Barzyńska.

Wreszcie odwrócił wzrok ku matce dziewczynki.

- Nie wiem, jak dobrze orientuje się pani w interesach męża... - zaczął ostrożnie. Trzyletnie doświadczenie pracy w policji nauczyło go, by w rozmowach z ludźmi nie zakładać zbyt wiele. Nawet jeśli chodziło o małżeństwo. Zwłaszcza gdy chodziło o małżeństwo. - Dziś rano wydano wyrok w procesie, który pani mąż wytoczył dawnemu wspólnikowi.

- O procesie oczywiście wiedziałam - powiedziała Edyta Barzyńska - ale nie miałam pojęcia, że skończył się właśnie dziś. Widzi pan, odkąd Robert, znaczy były wspólnik męża, przejął firmę, z pieniędzmi u nas było krucho. Zaczęłam pracować na dwa etaty, na nic nie było czasu... - zawahała się. - Zresztą ostatnio sama unikałam rozmów z mężem. Miał obsesję na punkcie tego procesu. Wciąż mówił o procesie i o tym, co zrobi, kiedy interes wróci wreszcie w jego ręce. Firma była całym jego życiem, on ją wymyślił, założył, dla niej zaryzykował ogromnym kredytem. Wkład Roberta miał być tylko zastrzykiem gotówki, taka dodatkowa inwestycja rozwojowa...

Maciek chwilę rozważał te nowe informacje.

- Postanowienie sędziego nie było korzystne dla pani męża. Ten zdaje się początkowo przyjął to ze spokojem, ale wychodząc z sądu, już na schodach, zachwiał się i na trochę stracił przytomność.

- Zemdlął?

- Należy przypuszczać, że właśnie ten moment słabości zapoczątkował to... to... - Rybicki jękał się. - Prawdopodobnie nazwą to psychiatrzy, kiedy mąż już znajdzie się pod ich opieką. Ja mam swoją teorię. Wydaje mi się, że pani mężem kieruje duch zemsty. Teraz zaprowadził on go pod biurowiec dawnego wspólnika...

Rybicki przerwał. Wśród zgromadzonych wokół policjantów, lekarzy i pielęgniarzy zapanowało poruszenie. Wyglądało na to, że Barzyński wykonał ruch.

\* \* \*



Chwila niezdecydowania minęła. Barbarzyńca znów był gotów do akcji. Podejrzana grupka z boku, kitlarze i Marella, wszystko to tylko go odciągało od głównego celu. A przecież tam – wojownik zadarł głowę i popatrzył w górę srebrzystej wieży – znajdował się jego śmiertelny wróg. Zacisnął pięść na rękojeści miecza i ruszył do ataku.

\* \* \*

Edyta Barzyńska odwróciła głowę i schowała twarz w dłonie. Nie chciała patrzeć na to, co się zaraz stanie. Wystarczyło jej, że widziała policjantów, pielęgniarzy i szalony wzrok swojego męża. Dobrze, że nie ma tu już Justynki, przemknęło przez jej głowę i z wdzięcznością pomyślała o Marioli. To nie pierwszy raz, kiedy sąsiadka ratowała ją, zajmując się córką. Barzyńska podejrzewała co prawda, że jej mąż podkochuje się w Marioli, ale ponieważ nie widziała w tym żadnego zagrożenia – sąsiadka była zbyt atrakcyjna, by zainteresować się takim mężczyzną – nie zamierzała z tego powodu rezygnować z jej pomocy. Może powinnam zwracać na niego większą uwagę, pomyślała.

Rybicki dał swoim ludziom sygnał, by na razie nie ruszali się z miejsc. Tłumaczył im to już wcześniej. Wkraczamy do akcji tylko w ostateczności, najpierw pozwalamy działać pielęgniarzom, powtarzał im aż do znudzenia. Naprawdę miał nadzieję, że wszystko odbędzie się szybko i spokojnie. Tak byłoby najlepiej dla Barzyńskiego. W stosunku do tego mężczyzny nie potrafił zachować profesjonalnej rezerwy, po prostu nie mógł stłumić sympatii. Postanowił sobie, że postara mu się pomóc. Już z daleka wyglądało to na sprawę psychiczną, ale nigdy nie wiadomo, co ludziom przyjdzie do głowy. Niektórzy gotowi byli wnosić formalne oskarżenie na deszcz za zalanie schnącego prania. Zarzuty Natki to pestka. Nikt nigdy nie traktował ich serio, ale napad i pobicie w szpitalu? To dużo poważniejsza sprawa. Jutro zadzwoni do poszkodowanej kobiety, Agnieszki Jakiejś tam, jej nazwisko akurat wyleciało mu z pamięci. Wypyta ją, wybada grunt. Jeśli będzie trzeba, spróbuje przekonać, by zwyczajnie odpuściła.

\* \* \*

Barbarzyńca jeszcze raz spojrzął na wieżę, gdzie w wygodnej komnacie, gdzieś na najwyższych poziomach przebywał jego wróg. W oczach wojownika zapłonęła nienawiść. Nagłym gestem wysunął miecz z pochwy. Ostrze zaśniło w słońcu, jakby było wysadzone setkami brylantów.

\* \* \*

Maciej Rybicki zmrużył oczy, oślepiony nagłym blaskiem. Przez chwilę nie widział nic poza mroczkami tańczącymi na wewnętrznej stronie powiek.

Słońce? Edyta poczuła ciepło przesuwające się po jej szyi. Zabrała dłonie od twarzy i otworzyła oczy. Słońce! Cały świat skąpany był w jego świetle. Zieleń liści przybrała srebrzysty odcień, a krople wilgoci po ostatnim deszczu, ledwie sprzed godziny, połyskiwały wszystkimi kolorami tęczy. Edyta nie mogła powstrzymać okrzyku zachwyty.

Promień słońca najpierw tylko musnął przednią szybę, potem wybuchł w eksplozji jasności. Siedząca za kierownicą Mariola zaczęła grzebać w torbie, mając nadzieję, że znajdzie tam okulary przeciwsłoneczne, ale kiedy prowadzony jedną ręką samochód

niebezpiecznie zjechał na pobocze, zrezygnowała z poszukiwań. Tego tylko brakowało, żebyśmy miały teraz wypadek, pomyślała, zerkając na tył na milczącą Justynę.

Agnieszka siedziała w przemoczonej zielonej sukience z krótkim rękawem na krześle w swojej kuchni. Siedziała tak od prawie godziny. Wewnętrzne rozedrganie minęło i teraz wpadła w dziwną apatię. Nie mogła się nawet zdobyć na to, by wyciągnąć z zamrażalnika lód i, jak zalecił ordynator, obłożyć nim posiniaczone miejsca. Po prostu siedziała i patrzyła przez okno. Poruszyła się, dopiero gdy kuchnię zalała nagła jaskrawość słońca.

\* \* \*

Barbarzyńca poczuł, jakby pod wpływem słońca obudziło się w nim coś nowego. Wielka moc poczęła krążyć w jego żyłach. Może dopiero teraz zaczął działać magiczny płyn, próbował zgadywać wojownik, ale zaraz odrzucił tę myśl. To było coś innego, po prostu to wiedział, czuł to każdym skrawkiem ciała. Coś prawdziwego. Coś niezwykle potężnego.

- Aaa! - zakrzyknął groźnym głosem.

Uniósł miecz jeszcze wyżej.

Wreszcie był naprawdę gotowy.

\* \* \*

Oszołomiona słonecznym blaskiem Edyta znów przyłożyła dłonie do twarzy. Dotyk własnych palców na policzku wydał jej się obcy.

Moment oślepienia minął. Rybicki znowu mógł widzieć, choć nie, nie znowu, lecz po raz pierwszy. Po raz pierwszy widział wszystko wyraźnie i ostro, jakby ktoś wytarł z kurzu szybę, przez którą obserwował świat. Już wiedział, co musi zrobić. Ruszył ku mężczyźnie stojącemu przed wejściem do wieży i gotującemu się do ataku.

W mroku jaskini za rogatkami miasta poruszyła się plama doskonałej czerni. W jej jednym końcu otworzyły się małe zimne oczy. Skorpion wyczuł, że coś się zmieniło. Układ sił na świecie uległ przetasowaniu i dla Skorpiona nie była to dobra wiadomość. Wyczuł, że gdzieś całkiem niedaleko pojawił się godny go przeciwnik. Taki, który mógłby go nawet pokonać. Zaniepokojony Skorpion znowu poruszył się w ciemnościach grotu. A był tak blisko celu! Tak blisko tego, by poczuć się zupełnie bezkarnie. By ze swoich łupów skompletować dla siebie człowieczeństwo. Pomyślał o swojej ostatniej ofierze, kobiecie leżącej bez sił na zamku kitlarzy. Czy zdąży się z nią ostatecznie rozprawić? Czy może będzie musiał oddać jej to, co już zabrał?

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jej ręce... Wielkie, czerwone i szorstkie, z szerokimi i nierównymi paznokciami. Nigdy nie miała czasu, by o nie jakoś specjalnie dbać, ale żeby aż tak! Z niedowierzaniem obracała dłońmi. Co się stało?! Jednocześnie poczuła, że zmieniły się nie tylko jej dłonie. Jej piersi urosły i opadły niemal do talii, biodra się poszerzyły. Do rzemyka w pasie dowiązana była niewielka, mocno zużyta tarka. Spojrzała po sobie. Stała się... praczką!

Słońce? Teraz? Teraz! Wstała nagle z krzesła, jakby pojawienie się na niebie słońca przeważało jakąś szalę, która od dawna już huštała się na granicy równowagi. Stała na środku kuchni – w swojej przemoczonej zielonej sukience z krótkimi rękawami, z fioletowymi sińcami na odsłoniętych ramionach – i wydała z siebie krzyk od dawna tłumionej wściekłości.

- Aaa!

Od razu lepiej! Przymknęła oczy. Poczowała przyływ wewnętrznej siły. Poczowała, jak na jej szerokiej szyi wyrasta siedem nowych głów.

Skrył się pod gęstą koroną wiekowego dębu. Często tu przesiadywał, ale teraz, w przeciwieństwie do wielu ostatnich tygodni, liście dębu służyły mu za ochronę nie przed mżawką, lecz przed promieniami ostrego słońca. Ładna pogoda wcale go nie cieszyła, podobnie jak wcześniej nie cieszyły go deszcz i zachmurzenie. Umysł miał zaprzątnięty własnym nieszczęściem i nieustannym knuciem planów zemsty na tych, którzy to nieszczęście spowodowali. Jego jedyną pociechą była – sięgnął za pazuchę – flaszka z uwięzionym czarodziejem. Lekko potrząsnął butelką. Ten czarodziej wygląda na jeszcze potężniejszego niż ten poprzedni, pomyślał i w jego głowie zrodził się nowy pomysł, by machnąć ręką na nieporozumienie, którym skończył się ostatni targ ze spotkanym dziś rano śmiałkiem, zignorować brutalny sposób, w jaki odebrał poprzednią butelkę – toż to kradzież była! – i namówić go do wykonania jeszcze jednego zadania. Tym razem zmusiłby kitlarzy do sporządzenia magicznego proszku na odrost nóg.

Nacisnęła na hamulec. Samochód wyhamował z piskiem opon, a kierowcy jadący z tyłu zaczęli trąbić z wściekłością. Nie zwracając na nich uwagi, zawróciła tam, skąd właśnie przyjechała. Jak mogłam? Jak mogłam zostawić go samego?, wyrzucała sobie, czując, jak już na samo wspomnienie Barbarzyńcy jej serce zatrzepotało. Potrzebował jej wsparcia, a ona go opuściła. Nigdy sobie tego nie daruje. Ale miała nadzieję, że daruje jej to Barbarzyńca. Że szybko się pogodzą i zawiązką wynagrodzi mu całe to nieporozumienie. Zerknęła w lusterko. Poprawiła włosy i wydeła uwodzicielko wargi. Odpięła dwa guziczki sukienki, pogłębiając dekolt i jeszcze bardziej eksponując pełne piersi. Docisnęła pedał gazu.

- Twoja Marella już do ciebie jedzie - wyszeptała.

Przeszedł, nie, przebiegł, ostatnie metry zalanego słońcem trawnika, który dzielił go od bramy srebrnej wieży, gdzie stał Barbarzyńca. Z bliska wojownik – z groźnie uniesionym mieczem, z oczami rozpalonymi determinacją – wydał mu się jeszcze potężniejszy. Jak mógł się tak długo wahać? Teraz było dla niego oczywiste, że od razu powinien stanąć po stronie Barbarzyńcy, że tylko ostrze miecza wojownika może sprawić, iż świat stanie się lepszym miejscem. Lepszym, choć nie idealnym – co do tego nie miał złudzeń. Podziwiał Barbarzyńcę, ale widział też błędy, jakie tamten popełniał. Choćby ta krucjata przeciw kitlarzom, choćby krzywdy żony i córki... Niezamierzone niesprawiedliwości – był tego pewien. Miał nadzieję, że jako pomocnik Barbarzyńcy, jego prawa ręka, zdoła odpowiednio nim pokierować. Że razem dokonają wielkich rzeczy. Na początek zmierzą się z nieuchwytnym Rozpruwaczem. A później? Później pójda tam, gdzie skieruje ich duch zemsty.

# Jakub Małecki

## DRZYPAPA

Tony lśniącego białego puchu układają się na dachu supermarketu w miękkie, rozplaszczone wydmy, choinkowe ozdoby migoczą ciepło za wysokimi, przeszklonymi drzwiami, z głośników sączą się kolędy, a rzeki obciążonych torbami ludzi przepływają pomiędzy sklepowymi witrynami.

Przed budynkiem, wsparty o uchwyt łopaty, z plecami wygiętymi w pałąk stoi studziwieńdziesięcioośmiocentymetrowy mężczyzna o spiczastym nosie, łysej głowie i z kilkudniowym zarostem na dziobatej, zaczerwienionej twarzy. Spod byczego karku rozlewają się na boki grube ramiona i cała przerośnięta reszta opięta kurtką i spranymi džinsami. Mięiste wargi zaciskają się na filtrze czerwonego marlboro. Obok mężczyzny, z chrzęstem ugniatając śnieg szerokimi oponami, powoli zatrzymuje się czerwona alfa romeo.

Szyba od strony pasażera zsuwa się, ukazując łysą głowę mężczyzny zawzięcie żującego gumę. Po szyi i głowie pnie mu się zygzakowaty tatuaż.

- Jest kolega do przekopania. Tysiąc. Pół teraz, pół po sprawie. Chyba że wolisz machać tą szuflą.

- Kto taki?

- Pokurcz na niego mówią. Słyszałeś?

- Słyszałem. Tysiąc pięćset. Będę się z jego kibicami przez następny rok użerał.

Mężczyzna uśmiecha się dziko, unosi brwi, spogląda na kierowcę i z zadowoleniem kręci głową. Energicznie żuje gumę, nie przestając się uśmiechać.

- Słuchaj, Drzypapa, albo tysiąc, albo ci, że tak grzecznie powiem, życzę wesołych świąt. No?

Drzypapa wyciąga czerwoną dłoń o knykciach jak włoskie orzechy i chowa kopertę do tylnej kieszeni spodni. Szyba podnosi się z cichym wizgiem, samochód powoli odjeżdża.

W tle dzwoni *Lulajże, Jezuniu*.

\* \* \*

Bolesław Krzywda przyszedł na świat w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku – wyłoniwszy się spomiędzy pulchnych ud rostej bibliotekarki, wykrzywił się tylko i zamachał wszystkim, czym mógł zamachać. Ważył pięć siedemset i nie płakał.

Rozciągnięta na przemoczonym łóżku, z aureolą spoconych włosów na zmiętym prześcieradle, z pożegnalnym liścikiem od męża pod poduszką i palcami wbitymi w materac, Jadwiga Krzywda wsłuchiwała się w coraz dłuższą ciszę. Zaciskając powieki i kręcąc głową, szeptała pod nosem „Panie Boże, o nic więcej nie proszę, tylko o to jedno, błagam, niech krzyczy, niech już zacznie krzyczeć”. Bolesław – siny, pomarszczony i oklejony strzępami na wpół zakrzepłej krwi – czknął głośno i w milczeniu wchłonął w siebie pierwszy oddech.

Nie odzywał się przez kolejne pięć lat.

Czarny drewniany krzyż, wiszący nad łóżkiem Jadwigi, każdego wieczoru i każdej nocy wysłuchiwał jej błagalnych modlitw o to, by Bolek przerwał milczenie. Niech szepcze, niech wyje, śpiewa, płacze, wrzeszczy – prosiła – bylebym go mogła wreszcie usłyszeć, bo jak nie

mówi, to prawie jakby nie żył.

Jej prośby zostały wysłuchane na miesiąc przed szóstymi urodzinami Bolka, kiedy to chłopiec złapał na podwórku jednookiego, tłustego kota. Zwierzę wiło się w dużych, silnych dłoniach, ogon bił na wszystkie strony, wreszcie rozległ się syk i krótkie, ostre zęby zatopiły się w miękkim przedramieniu Bolka. Chłopiec krzyknął.

Od tamtej pory krzyczał już prawie codziennie.

Na zupełnie parzącą w język, na uciekające kuropatwy, na sąsiada, który nie pozwalał pogłaskać nutrii, na listonosza, bo nie pożyczył roweru, na deszcz, od którego się mokło, i na słońce, bo oślepiało. Szybko nauczył się mówić i czytać, ale prawdziwą miłością darzył tylko krzyk. Krzyczał z bólu, ze złości, z nudy i ze szczęścia, krzyczał, kiedy był głodny i kiedy się najadł, krzyczał zimą i latem, tak w nocy, jak i w dzień.

Na kolanach u wezłowania łóżka, ze zwieszoną głową i dłońmi opartymi o kołdrę, Jadwiga Krzywda co wieczór zanosila modły do czarnego, drewnianego krzyża: prosiła, by jej syn już nie krzyczał.

\* \* \*

Z oczyma zasłoniętymi grubym szalikiem, z oparciem krzesła wgniatającym się w plecy i z linkami alpinistycznymi wciśniętymi głęboko w ciało, Drzypapa słucha cienkiego, podekscytowanego głosu:

- Sam już nie wiem, czy spodziewałem się czegoś więcej, czy nie, chyba właściwie tak, ale to już nieważne, teraz jesteś już tutaj. Przyszedłeś. Przybyłeś, przepraszam. Tacy jak my nie przychodzą, tylko przybywają. Więc przybyłeś. Ale po co? Ach, no tak, żeby mnie pobić, utrzyć mi nosa, dać nauczkę. Tak?

Drzypapa kiwa głową.

- I jaki prawdomówny! - Po pokoju niesie się chichot. - Pięknie. No więc, drogi Drzypapo, przybyłeś, aby mi dać nauczkę. Ale co się stało? Złapali cię moi chłopcy, bo ty, jak na prawdziwego bohatera przystało, nie nosisz kłamki. Walisz z piąchy, rozumiem, to się ceni, ale są pewne granice żartu. Równie dobrze mógłbyś śmigać po Pradze z drewnianą kopią i koniem między nogami. Sentyment sentymentem, ale do postępu trzeba się dostosować.

Nos Drzypapy pęka pod podeszwą buta, po ustach i szyi mknie ciepła krew.

- Ale wróćmy do spraw bieżących. Czy ty masz, najśłodszy Drzypapo, jakiś pomysł, jak tę zaistniałą sytuację rozwiązać?

Drzypapa odchyła głowę do tyłu.

- Ech, jednak ten knebel to był niepotrzebny. Ani porozmawiać, ani nic. To jakby ślepego próbować straszyć gestami. Panowie, wyjmijmy panu Drzypapie knebel, ściągnijmy też ten szalik. Panie Drzypapo, Drzypapo kochany, spójrzmy sobie wreszcie w oczy, co? Przecież ludzie tacy jak my mają pewne zasady. Nie będziemy tu siedzieć w workach na głowach jak jacyś barbarzyńcy. O, tak lepiej. Otwieramy oczka. Tak jest. Patrzymy na mnie. Tak.

\* \* \*

Kiedy Bolek skończył lat siedem, Jadwiga zaczęła uczyć go strachu. Nie wolno skakać do studni ani z dachu obory, przed złym psem uciekaj na najbliższe drzewo, schodź z drogi samochodom, nie ganiaj po polach dzikich kotów. Przestań krzyczeć na panów pod sklepem.

Uczył się bać, tak samo jak uczył się polskiego i matematyki: przy stole w kuchni, nad

herbatą i otwartym zeszytem, odpowiadając na pytania matki padające od strony zlewu, kredensu czy pieca.

- Przed traktorem?

- Uciekać.

- Przed bykiem?

- Uciekać.

- Przed rzeczka?

- Uciekać.

- Bolek! Przed rzeczka?

- Nie uciekać.

Tak przedzierał się, niezdolny do strachu, uczuciowy kaleka, przez kolejne lata dzieciństwa, a jego ciało stawało się coraz wyższe i coraz bardziej bycze.

W szóstej klasie szkoły podstawowej po raz pierwszy zrobił ze swojej fizyczności prawdziwy użytek: wracając ze szkoły, pomógł pijanemu sąsiadowi wyciągnąć z rowu ciągnik. Dostał za to swojego pierwszego w życiu papierosa. Wypalił go w stodole. Niecały miesiąc później pobił do nieprzytomności dwóch znanych w okolicy pijaków, którzy kopali pod sklepem związanego psa. Sklepowa podarowała mu za to pół mendla jaj i całusa w policzek. Jesienią złamał nogę największemu szkolnemu postrachowi młodszych klas. Po powrocie do domu znalazł w torbie gruszkę, pół kiełbasy i dwie bułki z paszтетem.

Nauczył się, jak odróżniać sytuacje bezpieczne od niebezpiecznych, wiedział już, kiedy przed czym uciekać. Potężny i znudzony, opierał się łokciami o blat kuchennego stołu i udzielał odpowiedzi na coraz rzadsze pytania padające od strony zlewu, kredensu czy pieca. Schorowana, przygięta do ziemi Jadwiga Krzywda najczęściej leżała w łóżku, z bólu zagryzając zęby na rogu poduszki. Powtarzała, że jej jedynym marzeniem jest, żeby ktoś wyjął jej z ciała wszystkie kości.

\* \* \*

Pośrodku pomieszczenia, z rękoma założonymi na plecy, kołysze się nieznacznie w przód i w tył szczupły, nie więcej niż trzydziestoletni mężczyzna. Ma na sobie tenisówki, cienkie spodnie w kolorze kawy z mlekiem i rozpiętą głęboko białą koszulę – z podwiniętych rękawów wystają opalone, żyłaste przedramiona. Przez środek dużej, kształtnej głowy biegnie farbowany na biało irokez. Czoło, nos i obydwa policzki zniekształca gruba, pofałdowana blizna po oparzeniu.

- I jak? Podobam ci się?

Drzypapa milczy.

- No i prawidłowo. Jeśli mam być szczery, to ty też mnie swoją gębą nie zauroczyłaś. Nie od tego jesteśmy, aby się sobie nawzajem podobać. Ale, ale... widzę, że patrzymy na moje blizny. Jesteś ciekaw, skąd się wzięły? Co? Jesteś ciekaw? Od mamusi je dostałem. Mamusia postanowiła przyoszczędzić na naprawie bojlera, który podgrzewał nam w mieszkaniu wodę. Kiedy miałem trzynaście lat, podczas kąpieli dostałem po twarzy wrzątkiem. Cała gęba mi się pokurczyła, stąd zresztą mój wzniosły gangsterski pseudonim. Codziennie musiałem potem dostawać zastrzyki. I wiesz, czym mnie mamusia próbowała udobruchać? Za każdy zastrzyk dostawałem jeden komiks, bo mamusia pracowała w kiosku Ruchu. Ależ ja się wtedy naczałem o tych wszystkich superbohaterach i superzłoczyńcach!

\* \* \*

Jadwiga Krzywda umarła latem dziewięćdziesiątego siódmego, pod lipcowym słońcem, w trawie między domem a studnią. Bolek miał wtedy dwadzieścia lat i ciało jak młockarnia. Brat Jadwigi zabrał go do Warszawy, dał pokój na poddaszu i pracę na budowie. Odtąd przez dwanaście do czternastu godzin dziennie Bolek pchał przed sobą taczkę z przelewającym się wolno z boku na bok cementem. Tam też, wśród robotniczych kontenerów i wznoszących się powoli ku niebu żelbetowych kikutów, w kraciastym cieniu dźwigu, dorobił się przezwiska.

Niedługo później po raz pierwszy pięści przyniosły mu pieniądze. Dwóch ludzi lokalnego mafiosa, którzy zjawili się po comiesięczny haracz, posłał do szpitala. Kolejnych czterech, którzy przyjechali zrobić z nim porządek, potraktował podobnie. Właściciel firmy zaprosił Drzypapę na obiad i wsunął mu w rękę trzy stułotowe banknoty, za to wuj, sprawujący na budowie funkcję kierownika, przestał się do niego odzywać.

- Z kryminalistami i chuliganami nie będę rozmawiał - oświadczył, kiedy wracali razem do domu, a potem włączył radio.

Od tamtej pory Drzypapa jeździł do pracy autobusem. Nie miał już nikogo. Po piętnastu latach krzyku, znowu wolał milczeć. Przezwisko pozostało.

\* \* \*

- Jesteś legendą. Drzypapa to, Drzypapa tamto, ludzie o tobie opowiadają niestworzone rzeczy. Widziałem nawet dzieci bawiące się przed blokiem w Drzypapę. Nieważne, co teraz będziesz robił, legenda i tak się będzie rozrastać i pęcznić. A ja się, kochany Drzypapo, w pewnym sensie narodziłem z ciebie. Gdyby nie opowieści o twoich wyczynach, żeniłbym tylko dalej koks tym wszystkim bezmózgom o ramionach jak ogłoszeniowe słupy i opychał ścierwo sinym chudzielcom o czerwonych nosach. Ale ty mi pokazałeś, że można zrobić coś więcej. Że nie muszę się ograniczać do marzeń o byciu największym kozakiem na mieście. Wstrzyknąłem koks swoim marzeniom. Wyrosły im muskuły. Bo widzisz, kochany Drzypapo, ja chcę, żeby na dźwięk słowa Pokurcz ludzie klękali ze strachu i chylili głowy. Żeby na mój widok samochody zjeżdżały na pobocze jak przed pędzącą karetką pogotowia. Żeby każdy bandzior w Polsce marzył o tym, by być mną. Tak, tak, gdyby za marzenia karano, odsiadywałbym dożywocie.

\* \* \*

Do domu wujostwa wracał coraz później. Po fajrancie zwykle jeszcze dorabiał, wymiatając z bram zakapturzonych kulturystów amatorów, wybijając zęby ekshibicjonistom krążącym po parkach, łamiąc palce handlarzom heroiny. Dwudziestoczworoletkowi zrzucano z rąk okowy pracy etatowej. Kiedy pewnego dnia podczas kolacji wuj oświadczył mu, że ma się wyprowadzić, Drzypapa nic nie powiedział.

Wynajął pokój w studenckim mieszkaniu. Prawie codziennie zgłaszali się do niego pobici licealiści, stłamszeni właściciele drobnych biznesów, nękanymi mieszkańcy blokowisk, zdradzone żony i zdradzeni mężowie, członkowie klubów motocyklowych, uliczni zawadiacy, szefowie bojówek, gangsterzy. Pieniądze płynęły coraz szerszym strumieniem, coraz większe blizny zakwitały na ciele Drzypapy.

Złamania, stłuczenia, wstrząśnienia mózgu, postrzał w ramię: nieubezpieczony nigdzie Drzypapa coraz częściej trafiał do szpitala, lepiąc swoje zadłużenie względem służby zdrowia

niczym śnieżną kulę. Coraz wyższe zarobki przeznaczal już niemal wyłącznie na płacenie grzywn – nikt tak chętnie nie składa pozwów, jak pobici gangsterzy. Sprawy sądowe ciągnęły się za nim smrodliwą, uciążliwą wstęgą.

\* \* \*

- Przecież ty się nawet nazywasz jak superbohater! Krzywda. Na imię masz chujowo, nie przeczę, sam jakbym miał Bolesław, tobym pewnie tatusia szanownego rozpruł od czoła po pępek, mamusię tak samo, ale to nazwisko? Klasa! Wyobraź sobie tylko: „Cześć, syneczku, zrobił ci ktoś kiedyś krzywdę?”. Zmarnować takie nazwisko, to by była naprawdę głupota.

\* \* \*

Latem dziewięćdziesiątego dziewiątego przyjął zlecenie od mieszkańców jednego z wielkopłytowych bloków na Bielanych; sprawa, dość typowa, polegała na utemperowaniu agresywnej młodzieży o skłonnościach do piwa i dresów. Drzypapa wirował po klatce schodowej, rzucając blockersami jak wytlaczankami po jajkach: pękały wargi, puchły policzki, krew płynęła z połamanych nosów.

Czternastoletni Witek, bębniąc palcami o metalową poręcz, zbiegał po schodach z mieszkania na drugim piętrze. Na samym dole wpadł w ręce Drzypapy: pchnięty na ścianę, poczuł, jak chropawe żebra kaloryfera wbijają mu się w plecy. Kręgosłup trzasnął cicho.

Dzięki koneksjom wuja wyrok dla Drzypapy skurczył się z czterdziestu ośmiu do osiemnastu miesięcy – w tym czasie Witek uczył się spoglądać na świat z perspektywy wózka inwalidzkiego.

Po wyjściu z zakładu karnego, przesiąknięty życiowymi poradami zdobytymi w celi, Drzypapa sięgnął po butelkę i rosyjski metanabol; połączenie sterydów i alkoholu przyjemnie gotowało krew w żyłach. Palił już wtedy jak smok: trzy, czasem cztery paczki dziennie. Po uszy zanurzony w długach, półprzytomny i obojętny, chadzał nocą po mieście i godzinami przesiadywał przed pamiętnym blokiem na Bielanych, patrząc tępo na rozlane wokół, stygnące po całym dniu miasto.

\* \* \*

- Pamiętasz tamtego chłopca? Witusia? Niewinny dzieciak, wyszedł z mieszkania, żeby pograć w piłkę. Wituś już nigdy nie pobiega po boisku, bo mu kręgosłup złamałeś. A może ja jestem taki drugi Wituś? Przecież ty nie masz pojęcia, komu wybijasz zęby i nosy łamiesz. Skąd wiesz, kim ja jestem? Powiedzieć ci? Chcesz wiedzieć, czym się różnię od ciebie, rozkoszny Drzypapo? Zapewniłeś tamtym ludziom trochę spokoju, zgoda, chociaż tak na marginesie, młodzi – nazwijmy to – dresiarze są już tam z powrotem, piją, zaczepiają. Jest ich chyba nawet więcej niż wtedy, ale wracając do tematu: wywaliłeś z klatki kilku agresywnych typków i przy okazji posłałeś niewinnego chłopaka na wózek inwalidzki. Dożywotnio, dodajmy dla precyzji. A wiesz, co ja zrobiłem? Ja, narkotykowy diler, gangster z ryjem jak z filmu nie dla dzieci? Otóż, mój drogi Drzypapo, ja temu Witusiowi kupiłem najnowocześniejszy wózek, a jeden z moich ludzi raz w miesiącu zabiera go na zakupy, do kina, na jedzenie, co sobie tylko chłopaczyna wymarzy. Raz w miesiącu, a do tego tłuste, wierz mi, tłuste kieszonkowe. I ja to robię z pobudek jak najniższych, dla zaspokojenia własnych



fantazji, właściwie głównie po to, żeby ci to teraz móc powiedzieć. Żeby cię ośmieszyć. Poniżyć. I co z tego? Motywacja jest, najmilszy Drzypapo, chują ważna. Jest wózek? Jest. Pomagam dzieciakowi? Pomagam.

- Czy ty myślisz - mówi wolno Drzypapa, uśmiechając się szeroko - że mnie to rusza?

- O proszę! Odezwaliliśmy się, brawo. Nie, słodki Drzypapo, wcale tak nie myślę, ale cóż by ze mnie był za superzłoczyńca, gdybym nie potrafił odrobinkę stopniować napięcia?

\* \* \*

Pół roku po odzyskanej wolności poczuł, jak zakwita w nim wyniszczające uczucie do rumianej, wesołej ekspedientki z pobliskiego monopolowego. Miała zielone oczy i na imię Edyta. Zamieniał się na jej widok w bryłę roztapiającego się masła.

Usiłował zdusić w sobie to niechciane uczucie, zapijał je, zajadał metanabolem, wypacał z siebie, godzinami wałąc w worek treningowy uwieszony pod sufitem piwnicy. Codziennie rano budził się jednak z jeszcze większym ciężarem w brzuchu – to coś rozrastało się w nim, na przekór wszystkiemu, kalecząc od środka jak zwój kolczastego drutu.

Z ławki przed blokiem na Bielanych przeniósł się na inną, położoną w jednej z alejek parku przy monopolowym, i sadzał na niej stutrzydziestokilogramowe ciało, by długimi godzinami zagryzać zęby na swoim własnym wstydzie.

Wchodził czasem po piwo albo dwa i gubiąc roztelepanymi rękami drobne, z płonąca twarzą marzył, by jak najszybciej stamtąd uciec.

Któregoś dnia zalał wstyd półlitrową czystą i szybko, byle zdążyć przed utratą zdobytej nagle odwagi, kupił różę i wparował do sklepu. Nowa ekspedientka czule oznajmiła, że bardzo jej przykro, ale pani Edyta już tu nie pracuje.

\* \* \*

- Bo widzisz, te komiksy, które dostawałem od mamusi za to, że mi zepsuła twarz, one wszystkie były na jedno kopyto i pamiętam, że kiedy tak leżałem z obandażowaną głową i mnie tak okropnie bolało, to o niczym innym nie marzyłem, jak tylko o tym, żeby któryś z tych łotrów zrobił któregoś dobrego w balona. Żeby go poniżył, ośmieszył, żeby nim zamiótł podłogę. Od superbohaterów z reguły wieje nudą na kilometr, za to złoczyńcy tworzą zachwycającą, różnorodną i bardzo obiecującą menażerię, rozumiesz, Drzypapo miły, to tu jest pole do popisu, tu masz szansę na oryginalność. Ale zły złoczyńca to też jest raczej nuda. Kiedy uświadomiłem sobie, kim na dobrą sprawę jestem w tym mieście, zacząłem snuć marzenia o przyszłości. Najpierw obrastałem w sławę, ale to, co robiłem, wydawało mi się takie banalne, zwyczajne, dlatego w pewnym momencie postanowiłem, że będę – tadam – dobrym złoczyńcą! I co ty na to? A potem usłyszałem o tobie i pomyślałem, o tak, to jest to. Naślę na siebie Drzypapę, superbohatera! Jak myślisz, kim są ci, którzy ci dali w kopercie pięćset złotych?

\* \* \*

Z czasem przyjmował coraz mniej zleceń, a dzięki wujowi odnowił znajomość ze szpadlem i taczka. Od kwietnia do września kaleczył ziemię rowami kopanymi pod kanalizację, zimą stawał do boju ze śniegiem.

Pod pogardliwym okiem wymiaru sprawiedliwości zmierzył się z kilkoma starymi sprawami o pobicie, a widmo powrotu w szeregi więźniów zawisło mu ciężko nad głową.

W wieku trzydziestu pięciu lat Drzypapa znowu zaczął krzyczeć. Wracał wieczorami do wynajętego mieszkania, by w chłodnym, wilgotnym zaciszu piwnicy tłuc w grubo oklejony taśmami worek. I wrzeszczeć.

\* \* \*

- Zresztą, sam zobacz - kolejne zdjęcia łądują u stóp Drzypapy - tu jestem z Witkiem, on jeszcze na starym wózku, a tutaj ja, on i jego mama. O, proszę, jest też nowe чудо, tuż po zakupie. Piękna maszyna, nie sądzisz? A w tym albumie zbieram wycinki z gazet i wydruki artykułów z internetu, wszystkie dotyczą mojej działalności charytatywnej. Tu z Owsiakiem, podczas Wielkiej Orkiestry, tu w domu opieki społecznej, a tutaj uśmiechają się panie z hospicjum, na które co miesiąc łożę sporą sumkę. Ale to są rzeczy trochę jednak niewymierne, nie widać efektów tak wyraźnie, jak w przypadku takiego Witka, dlatego zdecydowanie większą frajdę sprawia mi działanie na, nazwijmy to, pojedynczym obiekcie. Weźmy na przykład moją towarzyszkę życia. Jesteśmy ze sobą od niedawna, ale to bez wątpienia miłość jak z filmu. Ja, obłędnie bogaty, i ona, wyrwana ze szponów biedy. Pojawiłem się w jej życiu jak anioł, sfrunąłem w lśniącym BMW i zmieniłem jej świat na lepsze. Na dużo lepsze. Żebyś widział ten uśmiech, którym mnie wita co rano. Z tego, co wiem, powinienes ją nawet kojarzyć. Ma na imię Edyta, pracowała w monopolowym niedaleko twojego bloku. Tygrysica w łóżku, mówię ci, po prostu tygrysica. Jest już ze mną w ciąży. Tu masz zdjęcie moje i Edyty, o proszę, słodka fotka, nie ma co. Obejrzyj sobie, możesz ją nawet zatrzymać.

\* \* \*

Historia Drzypapy pełzła po uszach i językach, przesiąkając przez miasto i stając się powoli jedną z tych miejskich legend, które opowiadane w bramach, sklepach, salonach fryzjerskich i pubach, z każdą kolejną wersją przybierają coraz potężniejsze rozmiary.

Mawiano, że Drzypapa ma dwa i pół metra wzrostu i pięści jak bochny chleba, że pochodzi z lasu, z Czarnobyła albo z próbówki, że żywi się surowym mięsem i mieszka w piwnicy bez światła, codziennie wstrzykuje sobie środki na tuczenie byków, że jest niechcianym odpryskiem eksperymentalnego rządowego programu do walki z przestępczością zorganizowaną, że jego matka była za młodu enerdowską pływaczką, ojciec – agentem KGB, że jako dziecko Drzypapa odgryzł cielakowi ogon i że w łóżku niemal rozrywa kobiety na pół.

Podobno w szale zabił własną matkę, a potem zjadł ją bez mrugnięcia okiem. Podobno nie miał w ciele kości, która by nie była złamana, a skóra opinająca jego bycze ciało była jedną wielką płataniną blizn, kroniką stoczonych pojedynków. Podobno przez dziesięć lat spędzonych w więzieniu nie odezwał się ani słowem. Podobno nocami słyhać było, jak zaciska zęby na poręczy łóżka, próbując przegryźć metal.

\* \* \*

- I co mi zrobisz, najmilszy Drzypapo? Nie wiesz. To ja ci powiem. Nic mi nie zrobisz. Gdyby coś mi się stało, wyschłyby natychmiast wszystkie te strumienie kasy płynące do Witka, domów opieki, hospicjów, także do Edyty. Wszystkie te szlachetne uczynki wynikają z

najobrzydliwszych pobudek, z najwstrętniejszych myśli wijących mi się w głowie, ale kogo to obchodzi? Myślisz, że ludzie nie wiedzą, kim jestem i co robię? Myślisz, że to komukolwiek przeszkadza w wyciąganiu ręki po charytatywny banknot? Czy tobie się wydawało, że bijąc szkolnego chuligana czy rozrabiakę z bramy, robiłeś coś dobrego? Rozniesiesz mnie na strzepy, cudowny Drzypapo, zabijesz dilerę, a twoje pięści sięgną tak naprawdę setek starców i dzieci umierających na raka. Panowie, proszę rozwiązać pana Drzypapę. A teraz zostawcie nas samych. Dziękuję. No, jesteś wolny.

\* \* \*

Podobno w ogóle nie sypiał.

\* \* \*

- Jak to: po co tutaj jesteś? Przecież właśnie wszystko powiedziałem. Nic mi nie zrobisz, to już wyjaśniłem, ale to przecież nie oznacza, że masz się pograć w odrażającej bierności, prawda? Dla mnie bowiem, słodki Drzypapo, bierność jest rzeczą absolutnie odrażającą, a biernymi ludźmi gardzę bezgranicznie. Mam jednak nadzieję, że ty weźmiesz sprawy w swoje ręce, że prześwietlisz mnie, przejrzysz na wylot. Liczę na to, że zaczniesz węszyć, szukać, śledzić mnie, że uczepisz się mnie jak rzep. Ja potrzebuję mocnych wrażeń, a życie już mi takich nie dostarcza. Potrzebuję czegoś więcej. Potrzebuję superbohatera, który będzie mnie ścigał. Czyhaj na mnie, czekaj na mój błąd, wymyśl sposób na to, by mnie dopaść. Nie chciałbym też, by w tym czasie zabrakło ci wątpliwości, fundamentalnego pytania, bo ktoś taki jak ty musi przecież się dręczyć jednym z nich, wymaga tego konwencja. Otóż, znakomity Drzypapo, odpowiedz mi zatem, kto w tym mieście jest prawdziwym bohaterem: ty czy ja?

\* \* \*

Co do jednej rzeczy wszystkie te opowieści były zgodne: w pewnym momencie burzliwa historia Drzypapy wygasła, choć nikt nie wiedział dlaczego. Mówiło się, że trafiła wreszcie kosa na kamień, ale samej kosi nigdy nie znaleziono, żaden też kamień nie przyznawał się do chwalebego wyczynu. Kolejne wersje finału legendy, unoszone na skrzydłach fantazji opowiadaczy, wyrastały jak chwasty na polu, jedna ciekawsza od drugiej.

Że zaszył się w lesie i żyje z dzikami, że spowaźniał, ożenił się i wiedzie życie zwykłego Kowalskiego, że wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, że sam zatłukł się na śmierć, że został zabetonowany w piwnicy podwarszawskiej willi gangstera Pokurcza, że dostał dożywocie, że ochrania prezydenta, że powiesił się na własnych jelitach.

Niektórzy mówili, że po prostu oszalał. Nocami widywano podobno zgarbionego olbrzyma, tkwiącego na jednej z ławek rozrzuconych pomiędzy blokami na Bielanych. W obłoku tytoniowego dymu, zaciskając zniekształcone palce na butelce, siedział tam podobno całymi godzinami, a wiatr szarpał jego długie włosy i brodę, roznosząc wokół kwaśny smród.

Mówili, że do końca życia nie odezwał się ani słowem.

# Jakub Ćwiek

## DŁUŻNICY

*Marcinowi „Juchasowi” Juchniewiczowi,  
bratu i towarzyszowi drogi ku gwiazdom*

Pierwszy w życiu Vince’a Comic-con i nie jest fajnie. Sala konferencyjna wypełniona po brzegi, reflektory napierdalają żarem, a im dalej, tym dziwniej i dziwniej. Jasny szlag.

Hale San Diego Convention Center to obecnie jedyne miejsce w całych Stanach, gdzie nikt na widok Bin Ladena i jego stadka talibów nie podnosi alarmu; przeciwnie, jest nawet szansa, że ktoś wręczy mu wstążkę i postawi na podium, ku uciesze plastikowych szturmowców i gumowych orków.

Założ T-shirt bez nadruku i marynarkę, myśli Vincent, a potem wkroczyć w ten świat przebierańców, ich standów, billboardów i stoisk dla kolekcjonerów, a na pewno zwrócisz na siebie uwagę. Nie, wcale nie musisz być filmową gwiazdą, nie musisz mieć milionów dolarów na koncie i gęby na okładce „Rolling Stonesa”. Wystarczy brak lateksowej maski i nieznajomość wszystkich składów Ligi Sprawiedliwych. Czymże jest norma w świecie szaleńców?

I to właśnie za sprawą owego niedopasowania Vincent czuje się tak bardzo nieswojo. Pierwszy raz w życiu jest wdzięczny za paparazzich i ich nabrzmiałe obiektywy. Przynajmniej stanowią przedmurze, oddzielają ludzi za konferencyjnym stołem od bandy Supermanów, Freddy’ch Krugerów i Harry’ch Potterów, wpatrzonych teraz w niego jak w obrazek.

Obok, poza zasięgiem wzroku Vince’a, produkuje się młody Irlandczyk prowadzący spotkanie.

- Przedstawiam państwu reżysera filmu *Dłużnicy*, Davida Finchera - mówi, przeciągając zgłoski, zupełnie jakby zapowiadał pojedynek bokserski w wadze ciężkiej. - producenta, Jamesa Hattricka, oraz główną gwiazdę, a już niedługo pierwszego pośród mrocznych mścicieli... Vinceeeenta Youngaaaa!

Oklaski, piski, wiwaty, *Marsz imperialny* i zbiorowy orgazm nastolatek. Łatwo do tego przywyknąć, ale prowadzący chyba pierwszy raz doświadcza takiego ładunku euforii wycelowanego mniej więcej w jego stronę. Napawa się i czeka, aż owacje wybrzmiają. Vince, zniecierpliwiony, zerka na stand przedstawiający Repo-Mana. Jest ich tu chyba ze dwadzieścia. Stanowczo za dużo jak na taką małą salkę. Wszystkiego jest tu, kurwa, za dużo.

- ... a teraz zachęcamy państwa do zadawania pytań - kończy prowadzący i w końcu siada na tej piegowatej, irlandzkiej dupie.

Pismaki z pierwszych rzędów wznoszą ręce: Las Birmański przysyłający armię dziwadeł z tyłu. Prowadzący typuje dziewczę w eleganckim czerwonym kostiumie.

Ta przedstawia się, rzuca nazwą pisma i mówi, że pytanie kieruje do Vince’a.

- Czy w dzieciństwie czytał pan komiksy, panie Young?

Banalne pytanie, ale to dobrze; źle się myśli, gdy spływający makijaż z każdą chwilą coraz bardziej upodabnia cię do Jokera. Vincent prezentuje więc uśmiech kumpla z sąsiedztwa i lekko odwraca głowę, tak, by dziennikarka przejrzała się w jego lustrzankach od Ray-Bana

niczym w boskim zwierciadle.

- Jasne, kochanie. Któż z nas nie uwielbiał Spider-Mana? - odpowiada w końcu.

Wszyscy rżą, jakby to było coś zabawnego, ale Vincent oczywiście nie mówi tego, co najśmieszniejsze. Pierwszy raz walił konia pod rysunki Romity juniora. Mary Jane, ukochana Petera Parkera alias Spider-Mana, owinięta jedynie w ręcznik i mówiąca „Bierz ich, tygrysie”, była jego pierwszą. To dopiero byłby news! Udław się tym, magazynie „Variety”!

Pytanie drugie. Wciąż z puli dziennikarskiej, nie od komiksfanów, ale nie ma co się łudzić – siepacze kolorowego chaosu stoją już u bram. Jeszcze chwila i wezmą go w krzyżowy ogień szczegółowych pytań.

Ogień, tak... Jak tu jest gorąco.

- A jak się panu podobają opowieści o Repo-Manie?

Vincent wzrusza ramionami, zaraz się jednak reflektuje, że przecież będą go cytować. Więc uzupełnia:

- Moje pierwsze wrażenie? To znakomita historia, ze znakomitą fabułą i pogłębionymi psychologicznie bohaterami, aż prosząca się o przeniesienie na ekran.

Tak, Vincent jest dzieckiem Hollywoodu i jak cała reszta rodziny uważa, że nie ma wyższej nobilitacji niż ekranizacja. To takie niebo dla książek, komiksów, gier, które za życia były dobre i dawały ludziom radość i rozrywkę.

- A czy scenariusz oddaje ducha pierwowzoru? - chce wiedzieć grubas obok laski w czerwonym. Ale to już na szczęście pytanie nie do aktora. - Panie Fincher, czy odważy się pan pokazać na ekranie tak krwawą jatkę?

Wesoły pomruk na sali uświadamia facetowi, jak bardzo chlapnął. Nawet Vincent, choć znużony, uśmiecha się pod nosem. Pytać reżysera *Siedem* i *Fight Clubu*, czy pozwoli sobie na dosłowną brutalność, to jak zastanawiać się, czy gwiazda porno ma coś przeciwko rozbieranej scenie.

Mimo to miło posłuchać, jak Fincher odpowiada, złożony dłoń. Palce wskazujące opiera na zarośniętym podbródku, środkowymi dotyka dolnej wargi. Mikrofon trzyma tak blisko twarzy, że każde „p” brzmi jak wystrzał. Zabawne: jakby strzelał do tej przeklętej bandy.

- Historia Repo-Mana to bardzo krwawa opowieść i trudno byłoby ją przedstawić bez właściwej dawki brutalności. Należy jednak pamiętać, że mamy także do czynienia z bardzo skomplikowanym bohaterem. To nie Batman używający mrocznych metod, ale w słusznej sprawie. To nie Punisher, brutalny i okrutny, ale wyłącznie dla złych. Któż wytoczy granicę Repo-Manowi? To superłotr, który postanowił zostać superbohaterem, wcale się jednak nie zmieniając. Nie żaden tam telewizyjny Dexter, uroczy w swej życiowej nieporadności, ale i nie przeintelektualizowany Lecter. To raczej taki koszmar z sąsiedztwa.

Z ulicy Wiązów, rzuca z tylnych rzędów jakiś przebrany debil, zupełnie nie doceniając faktu, że właśnie usłyszał najdłuższą publiczną wypowiedź Finchera. Nie dzisiaj – w ogóle. W całym pieprzonym życiu twórcy *Zodiaka*.

Vincent próbuje sobie przypomnieć, jak nazywał się ten X-man, który raził promieniem z oczu. Ma ochotę ściągnąć okulary i spróbować szczęścia. Ale nie może, nie ma czasu. Następne pytanie jest do niego.

- Czy nie boi się pan, że okrucieństwo odgrywanej postaci wpłynie na psychikę? Zostawi jakiś ślad?

Boję się, jak cholera, myśli Vince. Zwłaszcza tutaj. Boże, jakby to było cudownie, gdyby

wpadł tu teraz jakiś psychol i dokonał krwawej łaźni. Właściwie wystarczyłaby jedna seria z karabinu, a potem ciasne przejście załatwiłoby resztę. Spasiony Superman, Wonderwoman z wałkami tłuszczu przypominającymi stos naleśników i obwisłymi cyckami, pryszczaty Rambo – wszyscy stratowani pod stopami kamerzystów i pismaków...

- Nie, nie boję się - odpowiada w końcu. - Na tym polega zawód aktora, że potrafimy pokazać obce nam zachowania w przekonujący sposób. De Niro, szykując się do roli taksówkarza, jeździł taksówką po Bronksie, ale to nie znaczy, że nabrał chęci do zabijania alfonsów, prawda? My, aktorzy, tworzymy tylko wiarygodną iluzję. Jestem spokojny o swoją psychikę.

Przynajmniej jeszcze przez chwilę, dodaje w myślach. Jego uśmiech – „najseksowniejszy męski uśmiech od czasów Redforda” zdaniem czytelników „People” – pieczętuje wypowiedź niczym zajebicie wielka kropka.

- A czy to prawda, że zamierza pan spędzić dwa tygodnie w Samotni Repo-Mana, miejscu, gdzie pański bohater przetrzymywał i torturował ofiary?

Vince uśmiecha się.

- Przede wszystkim nie ma takiego miejsca - odpowiada. - Bo i Repo-Man naprawdę nie istnieje.

Śmiech na sali, ryk radości, dziennikarz zadający pytanie robi się czerwony i pewnie marzy teraz o jakiejś masce. Pożycz od kogoś z tylnych rzędów, fiutku. Albo przemysł wcześniej pytania.

- Ale tak - Vince podejmuje przerwany wątek - zamierzam przygotować się do roli, spędzając tydzień w pomieszczeniu odwzorowującym komiksową Samotnię. Zostanę na dwa tygodnie zamknięty z zapasem jedzenia, bez telefonu ani internetu, w trzydziestosześcioletniej przestrzeni bez okien. Choć to i tak lepsze warunki niż te, w których dorastałem.

Kończy zdanie, wiedząc już, że się podłożył. To, co jeszcze w głowie wydawało się zabawne, to tak naprawdę wręczanie dziecku nabitej broni. Ale jest już za późno. Zerka w stronę skrytego za banerem Steve'a, swojego agenta.

Ten składa palce w kółko, pokazuje, że jest spoko, ale jego mina mówi: „Kurwatygłupigówniarzunototerażciężjedzą”.

I rzeczywiście. Próbuja.

Zaczyna ta w czerwonym.

- A czy nie obawia się pan, że taki eksperyment przywoła w pana głowie wspomnienia z po...

Dziennikarka milknie nagle, w pół słowa, stuka w trzymany w dłoniach mikrofon, próbuje jeszcze raz. Znowu bez skutku.

Vince już wie, za co płaci Steve'owi.

Następne pytanie – to, które musi paść szybko, zanim dziennikarze zorientują się, co właśnie zaszło – należy po raz pierwszy do jednego z kolorowych oszołomów.

- Czy mógłby pan TO powiedzieć? - swą szansę wykorzystuje chłopak w stroju z *Kick Assa*.

Aktor wzdycha. Zawsze to lepsze niż opowiadanie o dzieciństwie.

Nabiera powietrza w płuca, przysuwa mikrofon, zaciska gardło.

- „Czas, byś spłacił swój dług” - cedzi.

Zbiorowy wytrysk entuzjazmu, wszystko ocieka lepka zajebistością. Nawet Fincher

uśmiecha się pod nosem.

To jednak będzie dobry film, myśli Vincent.

A potem: o kurwa, jak tu gorąco!

\* \* \*

W specjalnej notce, którą agent Vince'a dostał wraz ze scenariuszem, przedstawiono Repo-Mana w następujący sposób:

*Naprawdę nazywa się Cornell Jackson. Mężczyzna po trzydziestce, biały, niezwykle inteligentny, błyskotliwy, zawsze zadbany. Z wykształcenia psychiatra, z zawodu mentalista, prezenter telewizyjny – autor popularnego talk-show Mnie nie nabierzesz, w którym gwiazdy filmu, muzyki i sportu tłumaczą się z wpadek i dementują plotki na swój temat.*

*Nocą objawia się jednak drugie oblicze Cornella – bezlitosny psychopata, bezwzględny poszukiwacz prawdy, sędzia ludzkich żywotów. Pod maską Pierrota włamuje się do domów i prowadzi z ich mieszkańcami śmiertelną grę w dwadzieścia pytań. Wystarczy, że jedno z nich skłamie choć raz, i wszyscy giną.*

*Mówiąc prawdę, kupują sobie życie, wyznaczona zostaje im jednak kara – dług do spłacenia za ujawnione przewinienia. W tym wcieleniu Jackson tytułuje się Repo-Manem, Komornikiem.*

*Tak jest do dnia, gdy Cornell staje się przypadkiem ofiarą włamania. Rodzina, z którą właśnie toczył grę i która – zdaniem Repo-Mana – zasłużyła na życie, ginie pod ogniem włamywaczy, a sam Jackson zostaje ciężko ranny.*

*Po wyjściu ze szpitala podejmuje on z banku wszystkie oszczędności, po czym podczas swojego telewizyjnego show dokonuje publicznej spowiedzi. Przyznaje się do sekretnej tożsamości, zabójstw i zapowiada, że od tej pory wypowiada wojnę każdemu złu. Mówi:*

*„Każdy ma do spłacenia swój dług, niektóre jednak są większe od innych. Daję wam czas, maluczcy, byście wyrównali swoje grzeszki. Dla was – wielcy źli tego świata – nadszedł już dzień spłaty. Czas, byście oddali swoje długie”.*

*I Cornell Jackson, już nieustannie skryty pod maską, na którą teraz składają się dziesiątki odłamków luster – nowy Repo-Man, ukrywający się przed organami ścigania – rusza na krucjatę.*

A oto jak Steve skomentował tę notkę w rozmowie telefonicznej z Vincentem:

- To najlepsze, co ci się przydarzyło od śmierci Johnny'ego Deppa, Vince. Jeśli tego nie weźmiesz, osobiście przyjadę i zerżnę ci dupę kijem golfowym. Drewnianą piątką. Pamiętaj.

A ponieważ Vince nie był przygotowany na gwałt, a do tego chciał wreszcie odpocząć od wizerunku miłego chłopaczka z komedii romantycznych, nie mógł zrobić nic innego, jak tylko się zgodzić.

- Dobra, Steve, dobra. To dawaj, co tam masz.

Tak Vince został Repo-Manem.

\* \* \*

- Potrzebujemy jeszcze kilku zdjęć kuchni - mówi Peter, specjalista od *publicity*.

Vince patrzy na niego z zadowoleniem. W końcu trafił mu się zawodowiec.

Nie myśli przy tym, że Peter jest gejem, bo to nieprawda, co mówią o hollywoodzkich homoseksualistach. Znają się z Peterem od dwóch lat i piarowiec tylko raz zaproponował, że mu obciągnie. W porównaniu do tych wszystkich lasek spotykanych na ulicy i wymachujących swymi *celebrity list* jedna propozycja to fakt niewart wspomnienia. Zresztą Vince jest przekonany, że gdyby przyszło co do czego, Peter poradziłby sobie lepiej niż większość tych wariatek.

Fotografowie, zgodnie z poleceniem, trzaskają zdjęcia kuchennej wnęki.

- Dobrze, a teraz chcę zmarnowanego Vince'a w tamtym kącie. - Peter wskazuje palcem.

Wszyscy tutaj wychodzą z założenia, że ta sesja ma załatwić zdjęcia zarówno PRZED, jak i PO. Są przekonani, że po tych dwóch tygodniach Vincent nie będzie się nadawał do niczego. Pewnie mają rację, są zawodowcami.

I to właśnie dlatego włosy aktora skręcają się teraz w przetłuszczone strąki, z dbałością mierzwione przez charakteryzatorów, silikonowe wory pod oczami barwią się czernią, a kości policzkowe pod bladą od pudru skórą są wyraźne jak nigdy.

- Wyciągnij rękę i patrz na nią - krzyczy Peter, wpatrując się w ekranik aparatu jednego z fotografów. - A teraz wyszczerz zęby, jakbyś chciał przegryźć sobie żyły. O właśnie... Jezu, Vince, już się ciebie boję.

Śmieją się.

Steve też się śmieje i też boi. Ale nie Vince'a. Sprawdza, czy kawałki luster – tysiące małych odłamków pod różnym kątem przyklejonych do ścian – są na pewno dobrze umocowane. Czy podłoga jest dość ciepła, by chodzić po niej bosy, czy z klepek nie wystają drzazgi. Jego klient przeziębii się – i ze współpracy nici. Już od dłuższego czasu stosunki między nimi są napięte i sztuczne. Myśli też pewnie, gdzie podłożyć Vince'owi telefon. Klucz od Samotni wręczył mu już wcześniej, bez rozgłosu. Przygotowania do roli przygotowaniami, ale lepiej zostawić sobie furtkę do odwrotu. Tak na wszelki wypadek.

- Możesz mi pokazać szaleństwo? - prosi fotograf.

Jasne, myśli Vincent. Wystarczy, że rozejrzysz się dookoła, popatrzysz na tych wszystkich ludzi, którym się wydaje, że pracują w NASA i szykują do startu kolejny prom. Wystarczy, że przejrysz się w którejkolwiek ze ścian. Ty też jesteś częścią tego gówna, stary.

Ale oczywiście mówi: „Jasne”. A potem patrzy wilkiem niczym Hopkins w *Milczeniu owiec*.

I wtedy właśnie wnoszą ciała.

Żadne tam tanie sklepowe manekiny, tylko istny szczyt gumowo-silikonowej techniki dla tych, którym obrzydliwa jest własna ręka czy zwykły wibrator. Ubrane w T-shirty, ucharakteryzowane i ociekające sztuczną krwią – obrzydliwe i martwe, ale nadal w pewien sposób pociągające. Może za sprawą ułożenia warg tych żeńskich kukieł w zdziwione „Ooo”, a może z powodu wiecznych wzwodów u silikonowych panów? Szklane oczy jednych i drugich bezmyślnie gapią się w sufit.

- Tego połóżcie na stole, tego przy sedesie, tę dajcie w kąt kuchni - komenderuje Peter. - Tamte trzy? Bo ja wiem? Ułóżcie obok siebie jak materac. Vince musi gdzieś spać.

- To chore - mówi ktoś.

- Maleńki czworokącik - rzuca ktoś inny. Znów wybuch wesołości.

W ogóle jakoś strasznie dużo tu ludzi. Nie można się skupić. Nic dziwnego, że prawdziwi psychole wolą samotność.

Wreszcie ostatnia paczka, a w niej komiksy z Repo-Manem – te samodzielne i wszystkie



crossovery, gościnne występy Punishera i Batmana, i jeszcze trochę książek o psycholach, parę gazet. I pod z głośnikiem i trzydziestoma gigabajtami muzyki.

Do tego *Milczenie owiec, California, Siedem, Zodiak, Psychoza, American psycho* plus turystyczny odtwarzacz DVD z dziesięciocalowym ekranikiem. Zestaw z pozdrowieniami od Finchera.

Gdy godzinę później wszyscy wychodzą, Steve mówi jeszcze:

- Wiesz już, gdzie postawisz Oscara?

- Coś się wymyśli - wymrukuje Vincent.

Szczęk zamków z zewnątrz. Teraz czas na prysznic.

Kąpiącego się Vince'a obserwuje owinięty wokół kibla manekin. Jego skrwawiona twarz łudząco przypomina oblicze Keanu Reevesa.

\* \* \*

Pierwsze trzy godziny to cieszenie się wolnością. Tysiące zdeformowanych Vince'ów z lustrzanych odłamków patrzy, jak ten prawdziwy siedzi po turecku na środku pokoju i zajadając się batonikami, czyta komiks. Ubrany jedynie w gacie z Homerem Simpsonem i koszulkę z tego przekłętego Comic-conu popija z puszki colę i czuje się jak sześciolatek.

W jednej z trzech wypełnionych po brzegi lodówek czeka na niego stos mrożonych pizz – ostrych, tak jak lubi. Z *jalapeno* i kurczakiem. Z kukurydzą i brokułami. I masą żółtego sera. Ale to za chwilę.

Z głośnika dobiega głos Lady GaGi i jej chórków – śpiewają, że sorry Alejandro, ale koniec z mówieniem „Dziecinko”. I z całą resztą też, żebyś sobie nie myślał.

Vince uśmiecha się do jednego z manekinów w kącie. Jest zajebiście, nie?

Ale manekin nie docenia markowego grymasu gwiazdora i nadal trupi się pod ścianą.

Tymczasem w kącie leci komiksowy zeszyt numer dwa i zaczyna się ten trzeci. Ten, w którym po raz pierwszy pojawia się *Samotnia*.

\* \* \*

Podczas pierwszego spotkania David Fincher pokazał Vincentowi własnoręcznie zrobioną maskę Repo-Mana.

- Przejrzyj się w niej - powiedział. - Co widzisz?

Vince chciał powiedzieć, że siebie, ale to nie była prawda. Widział kolaż, kilkanaście różnych fragmentów wykrojonych z wizerunków różnych ludzi i złączonych w pozornie chaotyczną całość. Jego własna twarz była zlepkiem obcych twarzy.

A potem Fincher zapytał, czy Vince słyszał o teorii, że jesteśmy wszystkimi ludźmi, których w życiu spotkaliśmy i którym wywarli na nas wpływ.

- Słyszałem - odparł wtedy Vincent. I dodał z uśmiechem, że przecież ogląda reklamy, także te sieci komórkowych.

To naprawdę było zabawne, ale na twarzy reżysera nie drgnął ani jeden mięsień. Zamiast tego artysta powiedział:

- Wyobraź sobie, że składasz się wyłącznie z ludzi, którym zrobiłeś krzywdę. Albo tych, którzy zrobili krzywdę tobie. I co? Jak się teraz sobie podobasz?

Wtedy Vincent kolejny raz spojrział w maskę i stwierdził, że wcale.

Ani odrobinę.

\* \* \*

To musiał być Steve. Nie pasuje to co prawda do jego paranoicznego sprawdzania Samotni, ale Peter na bank nie miewa takich pomysłów. I w tym momencie Vince, krztusząc się i kaszląc, naprawdę myśli o zmianie agenta. Na mniej zabawnego.

Ktoś w każdym razie musiał tu być. To oczywiste, że będą go potajemnie sprawdzać, show dla tabloidów to jedno, ale dbanie o inwestycję drugie; nikt z producentów nie mógł pozwolić, żeby Vince'owi odbiła tu szajba naprawdę. Ale co innego sprawdzać, a co innego robić sobie z niego jaja.

Tymczasem na podłodze leży zamrożona pizza, teraz już otoczona aureolką wody – święta „Italiana” z podwójnym serem. Wciąż wygląda apetycznie, ale Vince nie jest już głodny. W Samotni prócz dymu unosi się wszechobecny smród topionej gumy i silikonu.

- Ja pierdołę - mówi Vince, a potem jeszcze ze trzy razy, jakby to było zaklęcie. Albo modlitwa. Litania do nadtopionego, silikonowego łba z odłatkami luster zamiast oczu, by wyparowały łaskawie z pieca.

Mogłem jednak użyć mikrofal, myśli Vince. A potem parska śmiechem. I znowu zanosi się kaszlem.

Wreszcie może wyciągnąć głowę z piekarnika – ta kształtuje się i ugniata pod jego palcami niczym plastelina, ale już nie dymi. Zastanawia się, kiedy piec przewietrzy się na tyle, żeby znów można było do niego wsadzić żarcie. Dalej będzie śmierdzieć, to pewne, ale i tak to lepsze niż pizza z mikrofal.

Nadtopiona głowa wędruje na blat, obok wielkiego kuchennego noża. Z obwisłym lewym policzkiem i zlanym w jedno, zaklejonym oczodołem wygląda jak maska Quasimodo. Z rozpękniętych nabrzmiałych warg wypełza silikonowy robal.

Vince wraca do czytania komiksów, zastanawiając się, która właściwie może być godzina.

\* \* \*

Zeszyt numer pięć nosi tytuł *Baśnie jednej nocy* i przepełniają go retrospekcje. Samego Repo-Mana jest tam niewiele; pojawia się wyłącznie na kilku pierwszych stronach, gdy wprowadza do Samotni po kolei czterech mężczyzn i sadza ich na krzesłach połączonych oparciami – są niczym posąg pogańskiego bóstwa spoglądającego równocześnie na cztery strony świata. Każdemu z nich Repo-Man wstrzykuje coś do żył i szepcze inne słowo do ucha.

Te słowa to kolejno:

Pluszak, tęcza, szept, sukienka.

A potem wychodzi, wyłączając w Samotni światło. Dwie minuty później zawieszony pod sufitem stroboskop eksploduje białym blaskiem.

Ściany, wyklejone odłatkami luster, mienia się niczym flesze paparazzich zgromadzonych wokół czerwonego dywanu na ważnej premierze. Stąd zresztą tytuł pierwszej historii: *W blasku fleszy*.

Jeden z pojmanych mężczyzn zna zresztą takie sceny z życia: jest aktorem. To on pierwszy w rozbłyskach i ułamkach własnego odbicia dostrzega najpierw twarz, a potem sylwetkę drobnej dziewczyny w ślicznej sukience w kwiaty.

Z głośnika rozlega się głos Repo-Mana. Mówi:

- Czas, byś spłacił swój dług - a mężczyzna, w doskonale zaprojektowanych kadrach

przypominających odłamki szkła, snuje swą opowieść. W jej finale zwiewna, kwiecista sukienka czernieje w ogniu kominka.

Reszta komiksu to opowieści pozostałych mężczyzn. To historie kolejno: najpiękniejszej tęczy, jaka kiedykolwiek powstała nad Nowym Jorkiem, pluszowego gekona o wylupiastych, wiecznie zdziwionych oczach, zdania wyszeptanego w sali kinowej podczas seansu *Masz wiadomość*, przygotowanego specjalnie dla singli. Wszystkie one zaczynają się uroczo, a kończą gorzko i krwawo. To w końcu komiks. Popkultura.

W każdej opowieści przewija się tajemniczy biznesmen w eleganckiej limuzynie. To on przedstawia zwrotnice wydarzeń.

W finale do mężczyzn – umęczonych stroboskopem, dragami i wyrzutami sumienia – wraca Repo-Man i pyta każdego po kolei o tożsamość owego mężczyzny. Wszyscy podają to samo nazwisko.

Repo-Man wychodzi i już w progu mówi:

- Wrócę tu za tydzień. Każdy z was, który przeżyje...

Zbliżenie na złożoną z lustrzanych odłamków maskę.

- ... może uznać swój dług za spłacony.

Stroboskop miga dalej.

\* \* \*

Telefon jest schowany w pudełku z *Psychozą*. Szkoda, bo Vince naprawdę miał ochotę na ten film. Wysła więc Steve'owi wiadomość: „Pieprz się, Steve”, i roztrzaskuje aparat, a jego resztki topi w toalecie. Potem zjada jogurt i przegląda zostawione gazety.

Czyta o kanibalu z Sundance. Zastanawia się, czy koleś reguluje brwi. Bo serio, jak można być zarośniętym jak niedźwiedź grizzly, a nad oczami mieć ledwie widoczne kreseczki? Czemu nikogo to nie dziwi?

W artykule piszą, że facet zjadł troje ludzi, a w lodówce miał „niesprecyzowane szczątki”, ale jedyne co teraz zastanawia Vincenta, to czy ćwiczył te miny, które robił, gdy go wyprowadzano z gmachu sądu. Filmik, na którym krzywi się do kamery, układając swoje cieniutkie brwi w maleńką wiktoryę, zrobił karierę na youtube i przebił popularnością prawie wszystko. Na pewno rozślawił miasteczko lepiej niż ostatni tamtejszy festiwal filmów niezależnych.

Vincentowi kończy się jogurt, więc zamierza już odłożyć gazetę i iść po następny, gdy nagle jego uwagę przyciąga dzieciak na drugim planie jednego ze zdjęć. Umorusany, jakby właśnie wygrzebał się z piwnicy. Jakby...

- Nie, kurwa - mruczy Vince. - Nie będę się nakręcał.

Zgniatą gazetę w kulkę i ciska ją w kąt pokoju. Potem kładzie się na leżących w kącie manekinach. Może to i upiorne, ale przynajmniej nie będzie to znów twarda podłoga. Łatwo jest grać chojraka i deklarować spanie na klepisku z perspektywy apartamentu w Hiltonie.

Teraz kładzie się na brzuchu, z bluzą pod głową, tak by nie łaskotały go włosy manekinów. Jego penis znajduje się dokładnie między pośladkami środkowej lalki.

- Masz ochotę zerznąć truposzkę? - pyta na głos Vince, ale wypowiedziane na głos nie brzmi to już tak śmiesznie.

W całym mieszkaniu nadal ciągnie topioną gumą.

\* \* \*

Pytanie, które chciała zadać zagłuszona dziennikarka podczas konferencji na Comic-conie, brzmiało w całości: „A czy nie obawia się pan, że taki eksperyment przywoła w pana głowie wspomnienia z porwania?” i dotyczyło sprawy, do której dogrzebało się „Variety” jakiś rok temu.

Według dziennikarskich źródeł sześciolatek Vincent został porwany przez pedofila i spędził cztery dni zamknięty w piwnicy opuszczonego budynku dwie przecznice od własnego domu. Raport policyjny, do którego dogrzebali się reporterzy, mówił, że szczęśliwie nie doszło do molestowania seksualnego, ponieważ porywacz zginął w wypadku samochodowym w trzy godziny po porwaniu. Wracał akurat z pobliskiego Wal-Martu z torbą pełną zapasów, gdy uderzył w niego furgon FedEx-u.

Jedni powiedzą karma, inni – ręka Boga. Mały Vincent – który wtedy nie wiedział nic ani o wypadku, ani o karmie czy Bogu – mówił „Mamusiu” i „Przepraszam”, a także „Proszę mnie już wypuścić”. Normalnie jak na jakimś filmie.

Po czterech dniach wycieńzonego chłopca znalazła grupka dzieciaków bawiących się w strzelanego. W szpitalu lekarze powiedzieli, że to była naprawdę ostatnia chwila, a pastor Crews, który opiekował się roztrzęsioną matką, oświadczył z ambony, że to cud, i zapytał, czy potrzeba komuś jeszcze innych dowodów na istnienie Boga. Nikt nie odważył się zapytać, czego dowodem był nieświętej pamięci pedofil...

Wracając do konferencji. Prócz oczywistego były jeszcze dwa inne powody, dla których Vincent nie chciał opowiadać tej historii przed kamerami. Dwa drobne szczegóły, o których wiedział i pamiętał tylko on.

Po pierwsze, siedząc wtedy w piwnicy, zabił i zjadł na surowo szczura.

Po drugie wcale nie został porwany. Napruta po gnomie koniuszki uszu matka dostała za niego wtedy całe trzysta dolarów.

\* \* \*

Vincent śni o legendzie amerykańskich psycholi – Tedzie Bundym. Biega za nim po żeńskim akademiku, zagląda do pokoi, gdzie na łóżkach leżą nagie studentki z rozbitymi głowami. Jarzeniówki w korytarzu jaśnieją, to znów blakną; przywodzą na myśl nowojorskie metro. Bundy ucieka, śmiejąc się potępieńczo.

- Czy ty spłaciłeś już swój dług? - pyta Vince.

Bundy nie przestaje się śmiać i wymachiwać młotkiem. Fragment skalpu przyklejony do trzonka wygląda jak indiańska ozdoba.

Vince biegnie dalej.

W jednym z pokoi Peter dyryguje ekipą fotografów, każe im układać ciała kolejnych dziewczyn.

- Chcę mieć krew, więcej krwi - krzyczy Peter. - To pójdzie na okładkę.

A potem, już do Vince'a:

- Pokażesz nam ten swój piękny uśmiech? Potrzebujemy fotki pod oświadczenie.

Martwa dziewczyna na łóżku podnosi się, ociera krew z oczu i przechyla głowę jak zdziwiony pies. Czeka.

To Wendy. Tak, dokładnie jak ta z *Piotrusia Pana*.

Bundy'ego nie ma, bo to już nie jest akademik bractwa *Chi Omega* na Florida State University.

To znówu ten dom, przeklęta rudera w Queens, z jeszcze bardziej przeklętą piwnicą i truchłem szczura.

- Czy mógłby pan odebrać mój dług? - pyta Wendy.

Vincent nie odpowiada.

Budzi się...

\* \* \*

... oko w oko z trupem. Keanu z toalety, ten, który jeszcze wczoraj podglądał Vince'a pod prysznicem, leży teraz obok aktora, twarz przy twarzy, z miną jakby właśnie zażył niebieską pigułkę. Zasnęta sztuczna krew wygląda jak błoto.

Albo gównu.

Vince zrywa się na równe nogi.

- Kuuurwa!

Keanu nie wygląda na obrażonego.

Vince rozgląda się po pokoju, dostrzega na podłodze świeżutki stosik prasy, na nim ciastko z ogromną kandyzowaną wisienką.

Pierdolony Steve, myśli. Znajduje w kieszeni spodni klucz zostawiony przez Steve'a na wypadek kryzysu, zamyka drzwi od środka i zostawia klucz w zamku. Ale ciastkiem nie gardzi. Prasą również nie. Zwłaszcza że po pobieżnym przejrzeniu pierwszych stron pism branżowych i pisemek plotkarskich widać wyraźnie, że Peter wydymał konkurencję. Wszędzie tylko Vince i Samotnia. I trupy. W tym Keanu z kibla. Ale Vincent nie ma mu tego za złe. Niech i on nacieszy się swoją chwilą sławy.

Jak tak dalej pójdzie, wszyscy zostaniemy ich dłużnikami, prorokuje jakaś laska z „Rolling Stonesa”. A pod spodem zdjęcie z obłądnym spojrzeniem Vince'a, tym nad którym wczoraj...

Właśnie, przecież to było wczoraj. Nie ma szans, żeby pojawiło się to już dziś, we wszystkich pismach, ukazujących się przecież w różne dni tygodnia.

Szybkie spojrzenie na datę i numer na okładce nie pozostawia wątpliwości, choć Vince nie wierzy. Minął już tydzień? Przecież dopiero tu wszedł. Wczoraj, no, może przedwczoraj. To niemożliwe, żeby...

Pospiesznie kartkuje gazetę i wybuchą głośnym śmiechem. Czytał już te artykuły. Wszystkie oprócz głównego.

- Brawo, Peter - krzyczy do zamkniętych drzwi. - To wam się udało!

Ciska fałszywy magazyn w kąt i idzie do kuchni.

\* \* \*

W specjalnym, świątecznym zeszycie Repo-Man spotyka Punishera. To prawdziwe starcie rysowanych pojebów, więc trzeba było psychologa, by je opisał. Wydawnictwo zdecydowało się na Gartha Ennisa. Facet, który zastrzelił Boga – uznali zgodnie właściciele praw do obu mścicieli – to jedyny człowiek na Ziemi, który może ogarnąć taką dawkę przemocy. W dodatku Ennis to Irlandczyk – a ci zaczynają anegdoty od „Kiedy ostatni raz widziałem zamach bombowy...”.

Historyjka zawarta w zeszycie to opowieść o tym, jak Frank Castle aka Punisher i Cornell Jackson, obaj w koloratkach, spotykają się w Watykanie, gdzie tropią międzynarodową szajkę handlarzy afrykańskimi dziećmi. Podobno w pierwszej wersji na jej czele miał stać papież,

ale żona szefa DC jest katoliczką. Stało więc na przewodniczącym kongregacji do spraw wiary. Niemcu, by skojarzenie było dość jasne.

Najzgrabniejsza w tym, w gruncie rzeczy słabym, zeszycie jest klamra spinająca opowieść.

W jednej z pierwszych scen, gdy bohaterowie się poznają, Repo-Man mówi do Castle'a, że po rozwiązaniu sprawy przyjdzie czas, by Punisher spłacił swoje długi.

I rzeczywiście, na ostatnich stronach, gdy biskup leży już na ziemi z rozgrzaną lufą rewolweru w odbycie i sześcioma kulami w zakamarkach jelit, Repo-Man przykłada pistolet do głowy Castle'a.

- Franku Castle, czas, byś spłacił swój dług - mówi.

Punisher odchyła głowę i szepcze:

- Nareszcie.

\* \* \*

Uśmiech Perkinsa z *Psychozy*, spojrzenie Kevina Spacey'a z *Siedem*, urok Michaela C. Halla – z *Dextera* – w połączeniu ze stylem i elegancją Christiana Bale'a z *American Psycho*. Wszystko to kalki. Kopie. Zapożyczenia. Tandetna popkultura.

Wszystko napisał już Shakespeare, a przetestował de Sade. A jeśli nawet została jakaś luka, wypełnili ją Niemcy w swoich obozach.

Nie ma nowego sposobu na psychola, nie wymyślisz oryginalnej postaci, bo wszystko to remiks klasyków. Chodzi o to, żeby nikt się nie poznał.

To dlatego Vincent naśladuje sposób, w jaki Brad Pitt trzyma spluwę w *Kalifornii* i nakłada na to roześmianego Gene'a Kelly'ego, a gdy dochodzi do wniosku, że osiągnął już przesadę Carreya, wraca do początku. A potem miesza Richarda Ramireza – psychopatycznego fana AC/DC – z Clintem Eastwoodem i pyta martwego Reavesa, czy ten ma dzisiaj szczęście. Zważywszy na fakt, że Ramirez był gwałcicielem, a martwy Keanu uśmiecha się tak, a nie inaczej, pytanie niekoniecznie jest fortunne.

A potem Vince ćwiczy gesty, odruchy, lepi postać z maleńkich skrawków.

Zamknij oczy, mlaśnij językiem, otwórz oczy.

Uśmiechaj się powoli, coraz szerzej i szerzej, jednocześnie wytrzeszczając oczy.

Zachowuj się spokojnie, po czym nagle przyspieszaj. Niech nikt nie złapie twojego tempa.

A poza tym szczerz się jak Perkins, patrz jak Hopkins, broń trzymaj jak...

- Kurwa - mówi na głos. - Cipa, gówno, chuj, kurwa.

Stwierdza, że na dziś wystarczy.

I idzie pod prysznic.

\* \* \*

Klucz w zamku nie pomógł, skurwysyny musiały go jakoś wypchnąć.

Gdy Vince budzi się następnego dnia, przy drzwiach leży gazeta – tym razem tylko jedna, chyba niesfałszowana – i ciastko z wisienką.

Na środku pomieszczenia leży coś jeszcze: rozebrany manekin jednej z silikonowych dziewczyn z rozłożonymi nogami. Sztuczna vagina wygląda jak prawdziwa i nawet z daleka widać, że jest wilgotna. W lewą pierś ma wbity nóż, przytwierdzający kartkę z napisem „Masz dłuuuugi(ego)?” i emotikonowym uśmieškciem.

Vince stwierdza, że chłopaki muszą się naprawdę nieźle bawić jego kosztem.

I dobrze, bo to nawet zabawne. Tyle że w ten sposób nic nie osiągnie. Nie przygotowuje się do roli. Nie ulepi swojego własnego pierdolca. Musi coś z tym zrobić.

Patrzy po ścianach i tysiące postrzępionych Vince'ów przytakują jego nowemu pomysłowi. To jedyne wyjście.

Podchodzi do drzwi, podnosi z podłogi wypchnięty jakimś cudem klucz, wkłada go w otwór i łamie. Potem jeszcze zalepia zamek znalezionym w kuchni kawałkiem taśmy. Tak przygotowany zjada pizzę i zabiera się do pracy.

\* \* \*

W nocy śni mu się, że gra w dwadzieścia pytań z prezydentem Obamą.

„Czy wiedział pan o skali zagrożenia, jakie powodował wyciek w Zatoce Meksykańskiej” – pyta głosem stłumionym przez maskę Repo-Mana. Prezydentowa chce się odezwać, ale Vince kręci głową.

To pytanie do prezydenta.

Ale nie słyszy odpowiedzi. Budzi się w środku nocy.

\* \* \*

W pomieszczeniu jest gorąco. Naprawdę. Jak w jakiejś saunie. I ciemno, choć Vince jest przekonany, że przecież nie gasił światła, jak co noc. Nie jest przecież wariatem, żeby zasypiać w ciemnościach razem z okrwawionymi manekinami.

To wszystko zaczyna być denerwujące. Rozpraszają go. Nie dają się skupić. A przecież dla niego to nie zabawa. Czeka praca do wykonania.

Po omacku rusza wzdłuż ściany, do włącznika światła. Naciska.

- Ja pierdolę!

Srebrnobiały rozbłysk stroboskopu odbity w tysiącach odłamków razi niczym szpikulec do lodu wbity w mózg. A kolejne wcale nie są słabsze.

Vince wrzeszczy, skrzeczy, charczy i tłucze ręką po ścianie, próbując to wyłączyć. Wreszcie mu się udaje, ale biel i tak pulsuje pod powiekami, oczy pieką, a mózg nurza się w rozgrzanym żelazie.

Do tego jeszcze ten upał.

Przesadziliście, skurwysyny, chce krzyknąć Vince, ale jedyne, do czego jest zdolny, to cichy charkot. Serce tłucze mu się w piersi, w ustach ma sucho. Z trudem doczołguje się do manekinów, gdzie zostawił butelkę wody. Wypija jej zawartość bez odrywania ust.

A potem długo jeszcze siedzi w ciemności, tłumiąc wzbierającą wściekłość. W końcu zasypia.

\* \* \*

Odcięta głowa w piecyku to także scena z Repo-Mana. Z zeszytu *Szef kuchni*. Tam również o niespodziance dowiedziano się poniewczasie i, podobnie jak Vince, po zapachu.

Tam jednak nie śmierdziało gumą. A głowa miała w ustach jabłko.

\* \* \*

Pozostałe światła działały normalnie. Vince sprawdził to bardzo ostrożnie, zasłaniając

wciąż obolałe oczy i nie odrywając ręki od włącznika – tak, by w razie czego szybko przycisnąć go z powrotem.

Teraz siedzi na podłodze obok lodówki i zajadając się pizzą, przegląda wreszcie wczorajszą gazetę. Dochodzi do wniosku, że akcja ze stroboskopem to całkiem niezły patent. Dzięki temu może poczuć się jak prawdziwa ofiara porwania.

Czy można powiedzieć „prawdziwa”, mówiąc o miejscu i scenach odtwarzanych z komiksu? Vince po namyśle dochodzi do wniosku, że tak. I postanawia jednak nie zwalniać Steve’a.

W końcu znajduje artykuł o sobie. A nawet, jak się okazuje, dwa. Pierwszy to przygotowany przez ludzi Petera „reportaż z miejsca zbrodni”. Drugi to opowieść... a jakże... Wendy Hoskins. Witajcie prorocze sny.

Wendy, jedna z pierwszych dziewczyn Vince’a, a obecnie kelnerka w jakiejś zasyfionej knajpie przy autostradzie, życzy Vince’owi powodzenia i tłumaczy, jaki to wielki akt odwagi z jego strony.

*Gdy jeszcze byliśmy razem, Vince zabrał mnie do tamtego domu i pokazał tamtą piwnicę – opowiada gazetce Wendy. – Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam w jego oczach łzy. Tak bardzo bał się tego miejsca, że cały drżał. Kochaliśmy się tam wtedy, w tej piwnicy, by zatrzeć złe wspomnienia. Widać pomogło.*

- Noż kurwa - warczy Vincent. - Co za dziwka.

Już ma rzucić gazetę w kąt, gdy nagle dostrzega małeńki dopisek w rogu strony:

*Dostała za ten artykuł piętnaście tysięcy. Jak myślisz, jest twoją dłużniczką?*

Nie ma pewności, ale chyba nie jest to pismo Steve’a ani Petera.

\* \* \*

Tysiące odbitych Vince’ów patrzy z podziwem na to, co tego dnia prezentuje Vincent prawdziwy. Hipnotyczny krok, idealnie zbalansowane ruchy i zdumiewająco stonowana mimika. To podstawa, fundament pod nieprzewidywalność. Ułóż puzzle z drapieźnikiem. Zaczynaj od kawałków z błękitnym tłem, to te z ramką. Powiesz, że najłatwiejsze, ale to nieprawda.

Bo najtrudniej jest właśnie zacząć.

Dziś, pierwszy raz, jest z siebie zadowolony. Jego duma odbija się w oczach gumowych trupów i w tysiącach lustrzanych odłamków.

\* \* \*

W nocy śni mu się seks z Wendy na gruzach w piwnicy. Tamtej piwnicy.

Wendy jęczy, dyszy i wiję się pod nim jak aktorka w tanim pornolu. Krzyczy: „Jeszcze, Vincent, jeszcze” i „Wszystko będzie dobrze. Zapomnisz”.

Ale na to nie ma szans, bo w progu stoi naćpana matka, z krzyżem na nagiej piersi i sprzedaje wejściówki na pokaz. Koledzy z osiedla żegnają się przed krucyfiksem i płacą kobiecie woreczkami z białym proszkiem. Matka mówi, żeby nie siadać w pierwszym rzędzie,



bo jest zajęty.

Wendy tymczasem wyslizguje się spod Vince'a, opada na czworaka i jedną ręką próbuje rozchylić pośladki.

- Teraz tak, Vincent - dyszy. - I pospiesz się, publiczność czeka!

I Vince wchodzi w nią, ale coś jest nie tak. Ma wrażenie, jakby jego fiut się skurczył.

I nagle przychodzi mu do głowy, dlaczego tak się czuje.

Nie, myśli. Tylko nie to.

Rozgląda się za lustrem, ale nie widzi wokół żadnego. Jest tylko mężczyzna w uniformie FedEx-u, ma na twarzy maskę wyklejoną odłamkami luster.

Obok niego z jednej strony siedzi matka wtulona w pastora Crewsa, a z drugiej pyzaty mężczyzna z wysokim czołem i z policzkami zaróżowionymi jak u świętego Mikołaja. Facet sapie, brandzlując się lewą ręką.

- Czy ja mam sześć lat? - pyta wreszcie Vincent. W tym momencie Wendy szczytuje.

Kiedy budzi się, musi wziąć prysznic. Dziś odsuwa Keanu Reevesa moknącego w brodziku i długo stoi pod parującą wodą.

\* \* \*

Wciąż jest gorąco – uszkodzony termostat utrzymuje w pomieszczeniu temperaturę 95 stopni Fahrenheita – ale Vince'owi już to nie przeszkadza. Podobnie jak stroboskop. Właściwie to nawet lepiej; pozwala mu się wczuć w postać. Rozbłyśki narzucają rytm, pozwalają lepiej zgrać oddech, mrugnięcia, kroki.

W świetle stroboskopu cały świat wygląda, jakby układał się w komiksowe ramki.

Keanu już nie czeka pod prysznicem. Od trzech dni Vince zmusza go do ujeżdżania lalki z nożem w piersiach.

Myśląc o tym, Vince nieodmiennie się uśmiecha.

Mimo wszystko jednak dni zaczynają się tutaj zlewać. Harmonogram dnia – śniadanie, ćwiczenia fizyczne, prysznic, obiad, praca nad rolą, lektura, film, sen – staje się nużący. Nie pomagają nawet starania Keanu i Wendy, jak ładnie Vince nazwał jego partnerkę.

Z tego właśnie Vince żali się nadtopionej głowie – swojemu nowemu, najlepszemu kumpłowi, któremu nadał imię Rupert. Że powoli wszystko tu trąci beznadzieją.

\* \* \*

Tego dnia, gdy idą razem do piwnicy, Wendy bardzo chce, żeby Vince poczuł się lepiej, więc mówi: „Zrobię wszystko”, a on niby w żartach pyta, czy zje żywego szczura. Ale tak naprawdę nie tego chce, więc biorą się do rzeczy, robią to, co para nastolatków może zrobić, by w miejscu jak to zatrzeć traumę. Gdy kończą, Vince jest pewien, że kocha tę dziewczynę i chce się jej oświadczyć.

I możliwe, że gdyby tamtego dnia użył kondoma, żyliby razem z Wendy długo i szczęśliwie.

\* \* \*

Oczywiście ogólnodostępne komiksy o Repo-Manie wywołały falę protestów. Komiksowi zarzucano epatowanie przemocą, stawianie przed młodzieżą złych wzorców, brak jednoznacznie pozytywnego przesłania. No i oczywiście propagowanie satanizmu – to ostatnie

przede wszystkim w Teksasie.

Z biegiem czasu sprzeciw był tak wielki, że wydawca, z żalem w sercu, postanowił uśmiercić Cornella Jacksona. O tym właśnie jest ostatni zeszyt, kiczowaty zresztą jak diabli.

W nim to właśnie Repo-Man pozwala, w zamian za życie małej dziewczynki, zamknąć się bez jedzenia w swojej Samotni. Na ostatnim kadrze widzi w majaku uratowaną dziewczynkę i mówi jej, że właśnie zaciągnęła dług.

Zeszyt sprzedał się w rekordowych nakładach i przyćmił nawet opowieść o tym, jak Doomsday zabija Supermana. Wtedy też historią zainteresował się David Fincher.

Cóż, podobno nie ma tego złego.

\* \* \*

Potworny smród to sygnał, że nie działa lodówka. Vince ma nadzieje, że tylko jedna, bo ze smrodem sobie poradzi, ale z głodem już nie bardzo, a odkąd złamał klucz w drzwiach, nocne wizyty ustały i wygląda to tak, jakby nikt się nim nie interesował.

Ale nadzieja to tania dziwka, bo nie działa żadna z lodówek. Podobnie zresztą jak światło. Zwyczajnie nie ma prądu. Tylko klimatyzacja, być może zasilana z innego źródła, wciąż napierdala pustynnym żarem.

Vince skarży się Reevesowi, że w takim razie całe zapasy musi zeżreć na raz. Pobrzmiewa w tym narzekaniu zawołowana prośba o pomoc, ale Keanu za bardzo się tym nie przejmuje. Wygląda tak, jakby miał własne problemy. Vincent wzrusza ramionami i zaczyna napychać sobie usta zimnymi pizzami.

\* \* \*

To może być sen, ale trudno powiedzieć, bo Keanu siedzi w bezruchu, choć powinien kręcić się i szamotać, patrzeć błagalnie i poruszać ustami, jakby się modlił, przeklinał albo spowiadał. A on nic, patrzy tylko na Wendy, siedzącą naprzeciw, i wygląda, jakby się nudził.

Vincent przechadza się między nimi, patrzy to na manekiny, to znów na stojącego w kącie Ruperta. Nadtopiona głowa ma kawałki luster powbijane w twarz i minę, jakby nie mogła się już doczekać ostatecznej konfrontacji.

Teraz potrzebne są już tylko dwa słowa, dwa klucze do opowieści o winie, jeden dla Keanu, jeden dla Wendy. Zamiast tego jednak Vincent myśli, jakie imię pasuje najbardziej dla martwego dziecka.

\* \* \*

W Samotni śmierdzi, na półkach lodówek gniją resztki rozmiękłego zarcia, podłoga kuchni to jedna wielka kałuża.

Vince siedzi w kącie i ćwiczy miny. Patrzy groźnie na Keanu i pyta go o jego długi. Czy już je spłacił. Sztuczny Reeves nie odpowiada.

W kącie, w stosie fałszywych gazet, coś się rusza. Szczury? Całkiem możliwe, choć raczej jakieś robactwo. Vincentowi nie chce się tego sprawdzać. Zapocony w ukropie, bez jedzenia, budzi się tylko po to, by poćwiczyć. Nie ma już nawet sił na prysznic.

Tysiące postrzępionych Vince'ów martwią się, co to będzie.

I wtedy właśnie rozlega się łomot. Jedno, drugie uderzenie, od którego trzęsą się lustrzane

odłamki. Kilka z nich nawet odpada od ścian.

Drzwi nagle stają otworem i do środka wpada grupa ratowników medycznych. A za nimi Steve, Peter i reszta ekipy.

Vincent ćwiczy oblizywanie spieczonych warg.

\* \* \*

Dwudziesty drugi marca to najważniejszy dzień w życiu Vincenta Younga. Tego dnia, zdaniem wszystkich bukmacherów na świecie, odbierze Oscara w kategorii „Najlepszy aktor pierwszoplanowy”.

Wygląda lepiej niż dobrze. Peter zadbał o to, żeby Vince samą swoją postawą, uśmiechem i błyskiem w oku dementował wszystkie plotki.

O tym, że przeszedł załamanie nerwowe.

Że próbował się otruć tabletkami w pokoju hotelowym.

Że trzyma w domu nadtopioną głowę manekina.

Pod rękę z Vincentem idzie modelka Victoria's Secret, która wygląda trochę jak Wendy Hoskins. Trochę, bo jest oczywiście dużo ładniejsza.

A potem trwa gala. Billy Crystal kolejny raz dał się namówić na jej prowadzenie i teraz sili się na dowcip o wszystkim i każdym. Vincentowi też się obrywa, co przyjmuje oczywiście z szerokim uśmiechem.

Nie, nic, zupełnie nic nie wyprowadzi go dziś z równowagi. Dziś jest jego wieczór. Dlatego jest jebaną skałą w ogródku tybetańskiego mnicha.

Na scenę wchodzi Hally Berry i zapowiada nominowanych w kategorii „Najlepszy aktor pierwszoplanowy”. A potem otwiera kopertę.

- A Oskar wędruje do - patrzy na kartonik - Vincenta Younga za rolę w filmie *Dłużnicy*.

Wrzawa. Nieporównywalna do tej na Comic-conie, ale też jest miło.

Vincent całuje modelkę, ściska rękę Fincherowi, a potem jeszcze, po drodze, przyjmuje gratulacje od Seana Penna. Sean też był nominowany, ale ma już dwie statuetki i mu nie zależy.

Vincent wchodzi na scenę. Odbiera posążek. Całuje policzek Hally Berry. Staje przed mikrofonem.

- Każdy ma do spłacenia swój dług - mówi. - Niektóre jednak są większe od innych. Daję wam czas, maluczcy, byście wyrównali swoje grzeszki. Dla was, wielcy źli tego świata, nadszedł już dzień spłaty. Czas, byście oddali swoje długi.

Publiczność nagradza go śmiechem i oklaskami.

Naprawdę myślą, że Vincent żartuje.

# Paweł Paliński

## MOJE USTA MILCZĄCE, MOJE DŁONIE RDZAWE

### 1

Piątkowy wieczór u Araba. Proadren, deviantyna, liofilizowany subtot. Barowe głośniki rozsadza najnowszy przebój, elektroniczna kanonada. Trzask. I. Graaa-a-aj! I trzask. I śmiaaa-a-a-rr-ć! Nikt nie pije koktajli, wszyscy są buzującymi koktajlami. Tu nie wdycha się powietrza, tu wdycha się stare dobre opium wprost z osmalonych makowych ikeban. Małe kapsułki merigold, po których świat przykrywa czerwona łuna i wszystko staje się piękne, każda dziewczyna, każda rzecz. Zwietrzałe przedwojenne wobbly eggs: okrągłe i tak intensywnie niebieskie jak oczy nastoletnich nimfomanek.

Każdy oddech w objęciach skwaśniałego mroku przypomina gwałtowne przebudzenie, agresywny pijacki pocałunek. Koi i mierzi zarazem; przyprawia o dreszcze.

Są wszyscy, cała Paczka, cztery milczące postacie w uczernionych sadzą paramilitarnych kombinezonach. Żadnych insygniów, tylko ta sadza. Siedzą w odległym kącie sali – niby ukryci w półmroku, ale trudno ich nie dostrzec – na uboczu, lecz zarazem w samym centrum zdarzeń. „Cztery krety znam, Sam, Sram, Dram i Pram” drze się w pewnym momencie jakiś pijany, półprzytomny szczeniak, który zaplątał się w pobliże ich stolika; w takt pijackiej przyspiewki klepie po kolei szerokie plecy.

Szczeniak leci w tył. Twarda pięść Rammy’ego to bomba, nos tamtego to strefa zrzutu. Eksplozja następuje gdzieś pomiędzy. Kropelki krwi barwią piwo w ustawionych na barze kuflach. Nikt nie protestuje.

Samuel, Rammy, Dharma i Arbore, te imiona wymawia się z należyłą im czcią.

Są wszyscy, cała Paczka. Ostrzy jak brzytwy.

Są wszyscy.

Paczka jest sercem tego miejsca. Jest ostatecznym uderzeniem wszystkich pozostałych serc. Z Paczką się nie zadziera.

Ktoś wynosi nieprzytomnego dzieciaka na świeże powietrze.

Arab śmieje się bezzębnie, zmywa podłogę brudną szmatą.

Paczka milczy.

Wszyscy chcieliby być tacy jak oni. Nikt nie chciałby zająć ich miejsca.

Nienawidzimy jej za to i jest to najwyższy hołd, na jaki stać każdego z nas: cześć składana uwięzionym wewnątrz nas amalgamatem wdzięczności i nienawiści. Drzwi do więzienia nienawiści skuwa blady strach.

Paczka dobrze o tym wie – dlatego pozostaje Paczką.

Arbore rozpina kombinezon i z za pazuchy wyciąga dwie nowe aluminiowe menażki, zdobycz, którą chyba dla żartu wypychała dziś zgrzebny stanik; jak co wieczór szabrem płaci za przyjemności. Przez moment, ledwie mgnienie oka, nasze spojrzenia się spotykają; Arab znowu zanosz się chrapliwym śmiechem. Śmiejemy się więc do rozpuku wraz z nim.

Muzyka przybiera na sile. Ustawiona na podeście dla orkiestry stuwatowa konsola

wibruje; zachłystuje się rytmem, dmie w basy, dudni i trzeszczy, stuletnie, tysiącletnie organy wzniesione z porzuconych piszczeli zapomnianej cywilizacji. Drży napędzany alkoholem drzewny generator. Przechodzę obok i czuję, że włoski na moich rękach podnoszą się, gdy przecinam zasięg jej obłądnej, zimnej jonosfery. Głośniej, jeszcze głośniej, krzyczę do dyskdżokeja. Łysa głowa kiwa się nad płataniną kabli. Upiorny księżyc-mężczyzna nie słyszy, wpatrzony w mandalę rozjarzonych obwodów.

Nikt mnie nie usłyszy w tym huku.

Patrzę na tamtą mroczną czwórkę. Przyglądam się jej bez obaw – wiem, że jestem za młody, żeby ktokolwiek z Paczki zwrócił na mnie uwagę. Mam dopiero szesnaście obrotów od Pierwszej Wiosny Po Wybuchu. Tacy jak ja co najwyżej podcierają pogranicznikom tyłki. Tacy jak ja robią wszystko dla garści łusek z ich karabinów. Ale ja nie zbieram łusek. Chowam za to w cholewie buta długi nóż. Szykuję go dla Paczki. Ostrzę nieustannie. Mam dopiero szesnaście obrotów – być może metal stopnieje jak sople, zanim odważę się go przeciw niej użyć. Nie szkodzi, w odległych ruinach miast nie brakuje metalu. Poczekam. Jakby co, sprawię sobie nowe ostrze... Poczekam.

Wciąż czekam... Paczka była i będzie.

Tymczasem piję jedną szklankę berbeluchy z sałaty kompasowej za drugą. Tani sznaps nie patyczkuje się ze mną – atakuje gardło, wydłuża i rozciąga ciało w jeden długi rozpalony do białości południk. Znam to uczucie. To się nazywa „sałaciany twist”.

Głośniej! G ł o ś n i e j!

Atmosfera w klubie: stukot skłębionej ludzkiej maszyny napędzanej na krew i na pot. Migoce niebiesko-fioletowa łuna, destylat światła, miotany we wszystko z podkolorowanych sprejem samochodowych szperaczy, przeskakuje tam i sam. Płoniemy. Wydechamy dym – co za piekielna ułuda. Światła. Krew. Krew wydaje się rzadka, rozlewa się z łatwością. Za to pot gęstnieje, odkłada się na skroniach niczym oleiste aureole, słone cierniowe korony. Kaszel; opierające się haustom haszyszu udręczone płuca.

Zapach rozgrzanych ciał. Drażni. Każdy. Nerw.

Trzask. Śmiaaarć! Wizg. Śmiaarć! Skrzek. Śmiaaarć! Obłądny, obłądny loop.

Na parkiecie w najlepsze trwa festiwal pogo. Nie czekam na zaproszenie do tańca, rzucam się w sam środek pulsującej rytmem ludzkiej masy. Zostaję wchłonięty, bezwarunkowo wzięty w ramiona. W okolicy serca natychmiast czuję nieznośne ciepło. Przykrywa mnie ciemna fala, las namorzynowy rąk i nóg porwany skłębionym przyływem niewysłowionej tajemnej potrzeby. Kręcę w nim obłądne młyńce, rozdaję kopniaki. Wydaje mi się, że tonę, chcę powrotu na powierzchnię, proszę o oddech, o jeszcze jeden oddech. O litość i miłosierdzie. Oto substytut bliskości godny obecnych czasów. Usankcjonowana godowa walka. Czysta, zwierzęca miłość wyprana z jakiegokolwiek wykalkulowanego pożądania. Zew stada. Jak cios.

Tańczę, do upadłego, dopóki alkohol działa i w najlepsze rozsadza mi głowę miękką, bawelnianą eksplozją, póki zezwala na choćby odrobinę zapomnienia.

Ale czas nieubłagane mija. Robi się późno. Do lokalu wkrada się chłód, za nim atramentowa nocna cisza. Arab nie chce mi więcej polewać, orientuję się, że nie mam już nic na wymianę. Krążę jeszcze kilka chwil między pustoszejącymi stolikami, staram się odnaleźć starych znajomych i ostatkiem sił naciągnąć któregoś z nich na darmową kolejkę.

Piątek niepostrzeżenie przechodzi w złaźnioną rewanżu sobotę.

Świt przypomina garść popiołu rzuconego wprost na wiatr.

Lokal Araba mieści się w Dzielnicy Szklanej. Niska, odrapana rudera zbita z pilśniowych płyt. Arab wprowadził się do niej zaraz po tym, jak poprzedni właściciel zmarł we śnie. Śmierć we śnie to częsta przypadłość po Wybuchu. Śmierć we śnie i zadławienie pierwszym lepszym ostrym przedmiotem.

Szklanna to jedna z trzech dzielnic Osady.

Osada to jedyne ludzkie skupisko w promieniu stu kilometrów.

Sto kilometrów piechotą to trzy dni drogi przez radioaktywne pustkowia.

Nikt przy zdrowych zmysłach bez potrzeby nie opuszcza Osady.

Nazwaliśmy tę dzielnicę Szklaną nie bez powodu. W chwili zrzutu bomb panowała w tej okolicy burza piaskowa. Kiedy atomowy żar spopielił już wszelkie pozostające na otwartej przestrzeni węglowe życie, dla kaprysu przetopił podrzucany wiatrem piach w twarde półprzezroczyste wydmy. Resztki zabudowań, których nie zdmuchnął w niebyt, pokrył warstwą najdelikatniejszego kryształu. Teraz betonowe domy na zawsze otulone glazurą szkła wyglądają, jakby ściał je wieczny lód. Żarzą się w pełnym słońcu.

Ludzie z innych dzielnic Osady nie lubią nas, „szklarzy”, nienawidzą wydym.

Nie rozumieją, w jaki sposób nauczyliśmy się je kochać.

Nie dostrzegają piękna, które odnajdujemy w przezroczystym cmentarzysku...

Niektóre wydmy, niczym piekielny bursztyn, pełne są zatopionych w nich najbardziej nieprawdopodobnych przedmiotów. Dryfujących ponad ziemią telewizorów wyrzuconych z nieistniejących okien siłą ognistego podmuchu. Poderwanych z ziemi, pustych puszek po kolorowych napojach. Dachujących samochodów, odwróconych do góry kołami, o podwoziach pociętych siatką rur, niby naczyniami krwionośnymi napiętymi jak u lekkoatlety wykonującego skomplikowaną ewolucję. Okoliczne dzieciaki uwielbiają wdrapywać się na zaokrąglone szczyty szklanych wydym i wypatrywać kształtów mieniących się pod ich bosymi stopami niczym skarbów w wielkim statycznym oceanie, który tym się różni od innych, że na zawsze pozostaje ogromną, nieruchomą falą na nieosiągalnej granicy przełomu; spokoju. Dźwiękiem tego oceanu pozostaje głucha cisza, sto razy głośniejsza od szumu morza.

Życie w kleszczach takiej ciszy nie należy do łatwych.

Słabsi z nas ulegają czasem jej czarowi i krzyczą, żeby zagłuszyć tę ciszę i biegną wprost przed siebie, szarżując na wyszczerzone szklane bałwany. Mój ojciec tak zginął. I moja matka też. Pewnego dnia trzymając się za ręce, wybiegli z domu i rzucili się w objęcia wydym. Zasilili sobą ten jałowy świat. Szkło spłynęło czerwienią. Psy rozwlekły ich kości. Zęby i włosy rozsypały się w proch i kurz.

Są chwile, w których nienawidzę owiewającego mnie wiatru, bo wiem, że w jakimś sensie dotykam wspomnienia o tamtych dwojgu.

Kiedy wiatr dmie szczególnie silnie i nachodzi mnie ochota na zapomnienie, odwiedzam Araba.

Arab rozłożył się w pobliżu wydym, bo dzięki odbitemu od nich światłu został niekwestionowanym królem hodowców konopi i maku. W dzisiejszych czasach kombinatory tacy jak on, sprzedający chemiczną ulgę, mogą liczyć na rzesze wiernych poddanych. Ale to podobno cecha wszystkich chylących się ku upadkowi królestw z szalonym władcą na czele.

Paczka to dla wielu najodważniejsi ludzie z Osady. Bezustannie wciąż wyprawiają się na pustynię, która kiedyś stanowiła ledwie skrawek świata, a dziś jest niemal nim całym. Odszukują na niej stare domy i fabryki zagrzebane po dach w nieustannie przesypującym się pyle – przez kominy zagłębiają się w ich ciemne wygasłe wnętrza i odszukują te wszystkie

rzeczy, które zabrała ze sobą do grobu przedwojenna cywilizacja: narzędzia z dobrej, nierdzewnej stali, żeliwne naczynia, rozsypujący się w palcach węgiel; części elektroniki, śmierdzące buteleczki nafty, czasem jakiś obraz za szkłem, książki, jeżeli ktoś ma odwagę i ich o to poprosi – leki, które już dawno nie powinny działać, lecz my używamy ich, ponieważ w przypadku choroby równie to skuteczne, jak powierzenie się szamańskim zaklęciom bez pokrycia; dobre robocze obuwie, jakiegokolwiek obuwie, cokolwiek; gałgany do wypychania szczelin w naszych chatach, gdy przychodzą pierwsze chłody; pachnącą technicznym smarem amunicję tak drogocenną i wonną, jak niegdyś laski mirry, broń, za którą niekiedy mieszkańcy osad bez wahania sprzedają na jedną noc swoje żony i córki; podróżne egzemplarze Biblii, które oparły się upływowi czasu, lecz przecież nie zostało z nich nic poza uporczywym trwaniem, bezdennym i nienasyconym, gubiącym w swej czeluści każde słowo, a nawet Słowo. Paczka w poszukiwaniu tych rzeczy przeczesuje pachnącą wnętrzem grobowców ciemność. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety, nowi apostołowie z licznikiem Geigera w dłoniach, niczym z wściekle terkoczącą monstrancją.

Są hienami cementarnymi, ale takimi, które z padliny uczyniły świętość.

Są sępami, które zamiast roznosić po pustkowiach szczątki trupów, zbierają je, nie w magicznej potrzebie pożarcia i unicestwienia, lecz wskrzeszenia zwietrzałych i niekompletnych ciał.

Magowie Ery Promieniowania Gamma.

Bo i cała nasza terażniejsza egzystencja to przecież magia – nekromancja. Słowem i czynem próbujemy ożywić zmarłych; w efekcie sami się do nich upodabniamy. Dzieje się tak dlatego, ponieważ po tym, co sami sobie uczyniliśmy, z ogromnym trudem przychodzi nam uwierzyć na powrót w żywych.

Myx. Dziewczyna, którą zapoznałem kiedyś w barze. Myx pracuje na fermie udomowionych dzikich świń. Ma jedną pionową źrenicę i wole na szyi. Mieszka sama, w niewielkiej lepiance zaraz obok świniarni. Podobnie jak ja jest sierotą. Jej rodzice całe swe postapokaliptyczne życie walczyli z handlarzami niewolników – kiedyś wybrali się na pustynię, aby urządzić pikietę na dorocznym targu żywym mięsem i w drodze powrotnej ugrzęźli na jednej z kipiących radioaktywnym opadem Czarnych Mielizn. Umarli niedługo potem, kilka tygodni po powrocie do domu: łysi, różowi i skrzeczący niczym niedorozwinięte dzieci. Mała Myx miała wtedy sześć lat, ale opiekowała się nimi aż do samego, potwornego końca.

Wspomnienia z dzieciństwa Myx układają się w serię prześwietlonych obrazów nieuniknionego gnicia i niezwykłej bezradności.

Pewnego dnia, gdy wśród zwierzęcych kojców ćwiczyliśmy walkę na noże, powiedziała mi w tajemnicy, że do tej pory odczuwa skutki tamtych obowiązków. Że budzi się czasem w środku nocy z krzykiem, a co gorsza ten krzyk nigdy nie zamiera, podchwytywany za każdym razem przez bezsenne stado świń niestrudzenie ryjące w górach odpadków. Zdarzają się też dni, powiedziała, podczas których puchnę cała, jakby skóra podchodziła mi wodą i wypadają mi włosy. W takich chwilach boję się, że podzielę los matki i ojca.

Objąłem ją wtedy i obiecałem, że zabiję, jeżeli nie będzie w stanie znieść dalszej męki. Wywinęła się z moich objęć i odpowiedziała krótkim cięciem, zostawiając mi na przedramieniu płytką bliznę; żebym na zawsze zapamiętał. Właśnie tak, lata po zmierzchu człowieka, nawiązuje się dozgonne przyjaźnie.

Innym razem zaprosiła mnie do swojej lepianki. Przechyliła beczkę z deszczówką i

napelniła po brzegi glinianą miszkę, a na dnie naczynia ułożyła dwa patyczki w kształt iksa.

Co robisz, spytałem.

Powierzam cię Bogu, odparła.

Bóg spadł z nieba i roztrzaskał się o ziemię, gdy uwiązaliśmy mu do szyi sto tysięcy megaton.

Pokręciła szybko głową: nie masz racji. Raj nigdy nie mieścił się w niebie – to przecież stamtąd spadł na nas atomowy ogień. Bóg żyje między nami i ma się dobrze.

A teraz, czy mógłbyś klęknąć i pochylić głowę? Chciałabym nadać ci prawdziwe imię, tak jak to robili moi rodzice; to dla mnie bardzo ważne.

Od tamtej pory nazywam się Hardin. Na cześć miejsca, w którym urodził się pewien zapomniany wielki człowiek.

Lubię Myx, bo przedkłada szczerłość nad wszelkie pozory i ma talent do nożownictwa.

## 2

Paczka zajmuje budynek starej poczty w samym centrum Osady. Wysoki, napuszony, podparty resztkami kolumn zdobionymi w roślinne ornamenty, wspaniale pasuje do legendy, którą pogranicznicy obrosli niczym złym, zjełczałym sadłem. Przed półokrągłym zdewastowanym frontonem krzyżują się dwa główne miejskie szlaki; ktoś, kto chce przejść z jednej dzielnicy do drugiej, nie znajdzie innej drogi niż ta właśnie, musi go minąć. Taki spacer nie należy do przyjemnych, szczególnie o zmroku. Wraz z zachodem słońca ruiny rosną, uskrzydłone przez cienie rozsiadają się na rozstajach na kształt nadętej ropuchy, głodnej i przedwiecznie złej, która w swej chciwości zapomniała, jak rozróżnić cierpliwość od nienasycenia i ostatecznie skamieniała w oczekiwaniu na wciąż lepszą ofiarę. Okna patrzą ślepo w przestrzeń, tak jałowe, że wydaje się, iż to właśnie przestrzeń po horyzont odbija sączącą się przez nie pustkę, nie na odwrót. Strzaskane schody prowadzące do wnętrza wyglądają upiornie, jak gdyby prowadziły wciąż w dół; staczają się bezwładnym marmurowym jęzorem, liżą szorstki, suchy piach.

Kolonialny dwupiętrowy moloch szczyci się własnym rozkładem. Erozja sekunduje mu, powoli zamienia w kamienną fortecę. Zawalone lewe i prawe skrzydło utworzyło naturalne blanki z gruzu wokół niskiego portalu wejścia – ten gruz jakiś czas temu Rammy oblał czerwoną farbą. Z oddali wydaje się, że poddana piekielnej przemianie poczta kona i wyrzuje własne poszarpane wnętrze. Nad wyraz wymowna przestroga.

Paczka zabarykadowała się wewnątrz budynku, z niego wyrusza na swoje łupieżcze wypady, w nim przechowuje wszystkie wyrwane z trzewi pustyni dobra. Nigdy nikogo nie zaprasza do środka, odwiedziły go może dwie lub trzy osoby z burmistrzem na czele, a i tak bezpardonowo założono im worki na głowę. Wnętrze Poczty to sacrum, za zniewagę przewidziano jedną jedyną karę: śmierć. Podobno ciągną się pod nią kilometry wypełnionych skarbami piwnic. Podobno na jej tyłach stoi jeszcze wrak samolotu, którym Paczka przyleciała do Osady w czasach, gdy mnie jeszcze nie było na świecie. Podobno wrak przypomina ołtarz – wciąż palą się na nim świece, a w roztrzaskanym zbiorniku paliwa składane są ofiary z owoców i zwierząt. Podobno Paczka wcale o nas nie dba, szuka jedynie części do tego samolotu, aby na powrót wznieść się z tej jałowej ziemi i odlecieć w siną dal. Podobno to plotki. Podobno Paczka to nasi wybawcy. Podobno są szaleni. Podobno.



Cała czwórka przypomina mi oślizgłe gady, wielogłowe węże-tęgoryjce, jakie drążą nory w skarpach wysuszonych rzek. Zimą, gadzim zwyczajem Paczka kryje się pośród gniazda z głazów. Latem wyleguje w pełnym słońcu, czekając, aż poruszy się w nich zimna zastała jucha.

Nienawidzę jej.

Oto szczególnie żywe wspomnienie: Rammy siada na schodach, w otoczeniu zgrai dzieciaków i spragnionych bajd dorosłych, i snuje nieprawdopodobne historie. Opowiada o kojotach piaskowych; o tym, jak się je łapie, markując sobą przynętę i jak bardzo trzeba uważać na ich szybkie, rozszczepione żądła. O wszystkożernych papukozach, których dzioby z łatwością kruszą kości i stal, o miękkim punkcie za zewnętrznym uchem tych zwierząt, miejscu podatnym na bezpośredni strzał, tak, że trafione, natychmiast padają z klekotem pokrywających je rogowych płytek. O strasznych dniach na pustyni, kiedy w obliczu braku wody każdy gotowy byłby pić własny mocz. O błękitnej, rozpostartej nad głową samotności, która obraca rękę na jej właściciela, bo zdarzają się chwile, gdy tylko ból przypomina o własnym istnieniu. O trujących kaktusach-rosiczkach, których czarne kolce za dnia wysysają słońce, a w nocy rozkładają się w przepiękne wachlarze i wypromieniowują ciepło w oczekiwaniu na zziębnięte, szukające schronienia zwierzęta. Ludzie otwierają usta, zasłuchani. Chłopcy i dziewczęta tarzają się w wygaszonych ogniskach, czernią pozszywane ze szmat ubrania i marzą o życiu i przygodach Wielkiej Czwórki.

Ze wstydem przypominam sobie ogarniający mnie zachwyty, gdy w dzieciństwie uczestniczyłem w takich zgromadzeniach, gdy z zapartym tchem przysłuchiwałem się każdemu zdaniu. Ciemna, poorana zmarszczkami twarz Rammy'ego, dojrzała i twarda jak zbyt mocno przypieczony chleb. Wodniste, jasne oczy, w nich – nawet gdy opuszczał powieki – odblask bezlitosnego słońca. Klękałem, hołubiłem, pełzałem w prochu tylko dla jednego dotknięcia jego czarnych drelichowych spodni. W apogeum dziecinnej miłości po kryjomu wsuwałem do kieszeni najlepsze kaski melasy. Czasami nasze szczęście nie miało granic, do Rammy'ego dołączali jego towarzysze: okularnik Samuel, niska Dharma i smukła Arbore. Wychodzili przed Poczte, stawali w milczeniu obok. Opromieniał nas doskonały czworobok zbawienia.

Kłamstwa, same kłamstwa.

Tymczasem, wciąż, hasz. H a s z. U Araba wszystko wydaje się proste. Hasz, haszysz, hasz. Łatwe dziewczyny, które nadziewam na siebie, jak rybak nadziewa na palec zdobycz, łapiąc ją za skrzela. Hasz. Alkohol, hasz. Wszystko proste, wszystko jasne. Muzyka. Muzyka. Paczka skąpiana w poczerwieniałym od narkotyków mroku. Łatwe dziewczyny, ich delikatny zapach, mój zapach na ich ustach, ukryte aromaty na palcach. Gwałtowność, z jaką je biorę. Patrz na mnie, patrz na mnie, krzyczę. Dlaczego masz tak nudnie okrągłe źrenice? Odpowiedź tonie we wrzawie, na zapleczu, pod daszkiem tuż obok wychodka. To potworne, ta przenicowana czułość, wyraz mojej bezsilności.

To dziwne, wciąż wszystko pamiętam.

To znaczy, że Arab nie może mi już pomóc...

Nastaje odpowiedni czas.

Mija miesiąc lub dwa. Znam się już z Myx wystarczająco, przełamuję nieufność i zwierzam się jej ze swoich obaw. Wybieram odpowiedni moment ostrożnie; czynię to podczas naszego cotygodniowego treningu, w świniaarni.

Uczciwa walka sprzyjać będzie szczerości. Tak sędzę. Potrzebuję przyjaciela.

Krażymy wokół siebie na ugiętych nogach, każde w pogotowiu. Zbieram się w sobie. Ważę słowa, ważę głownię w mojej dłoni. Pchnięcie, unik. Świst i klang. Chrumkanie i kwik

niezliczonych tuczników. Pchnięcie. Kontra. Zdanie. Zmiana kierunku. Rozmokła ziemia bezwstydnie cmoka pod naszymi stopami, wokół pachnie gorącą szczyną. Kojce drżą od naporu szczeciniastych ciał. Brzęk much, brzęk ostrzy. Podwędzone z rzeźni, wyszywane metalem fartuchy ćwiartowaczy mięsa, które po kryjomu zakładamy, aby nie zrobić sobie krzywdy, szczękają przy każdym ruchu.

Mówię – Myx słucha.

Zachodzące słońce prześwieca przez falujące okna, wykonane ze skrawków folii.

Mija kolejna roztańczona godzina. Wyrzucam z siebie wszystko po kolei: każdy lęk, każdą wątpliwość. Moja zadyszana spowiedź idzie gładko, jednak wraz z ulgą i zmęczeniem w ciało niespodziewanie wkrada się niepokój. Ściany hali oblepiają kolonie szarych gniazd, wewnątrz roi się od jaskółek – z jakiegoś powodu w miarę mojej opowieści płochliwe ptaki coraz bardziej przyciągają uwagę Myx.

Wytrąca mnie to z równowagi. Czuję się zlekceważony.

Hej, jesteś tu ze mną, zagaduję niecierpliwie. Dziewczyna nie odpowiada.

Rozdrażniony, decyduję, że dam jej nauczkę, markuję ruch ciałem i w połowie triku wyprowadzam proste, brutalne uderzenie w sam środek piersi Myx. Nóż mknie, o dziwo nie napotyka gardy, krzesze iskry. Uderzenie jest bardzo przewidywalne, mimo to, zaskoczony widzę, że Myx nie odparowała go. Zatacza się w tył i przykłęka na kolano.

W tej samej chwili w jej oczach zauważam dziwną ociężałość, graniczący ze ślepotą brak skupienia.

Opuszczam ręce, zdezorientowany. Trup, podaję wynik starcia, lecz bez radości. Myx wciąż kuca w błocie. Wypuściła rękojęść noża, ręce wsparła na kolanach. Z jakiegoś powodu czuję się bardzo nieswojo; ostrożnie zdejmuję z siebie fartuch i odwieszam na zardzewiały hak.

Wnętrze niewielkiej mętnej kałuży przed Myx wypełnia w całości odwrócony żółty napis: SUPERMARKET. Spoglądam w górę i odnajduję ozdobioną nim foliową torbę. Nie wiem do końca, co ów napis oznacza, Arab kiedyś mi tłumaczył, do czego służyło takie miejsce. Cokolwiek to było, powinienem chyba żałować, że nigdy już tego nie zobaczę.

Świnie ucichły, zaskoczone tym, że tak niespodziewanie przerwaliśmy naszą potyczkę. Panuje zagadkowa, pełna napięcia cisza.

Przebiłem się?

Myx patrzy na mnie, nie rozumiejąc.

Przez fartuch, podpowiadam. Zrobiłem ci krzywdę?

Nie, odpowiada, w porządku. Chyba się zagapiłam...

Nie jesteś dzisiaj sobą, zwracam jej uwagę z wyrzutem. Stuknąłem cię przecież w taki...

Hardin, przerywa mi gwałtownie: co ty chcesz najlepszego zrobić?!

Jaskółki płoną w pełnym słońcu. W jałowym zawieszeniu.

Nieporadnie całuję Myx. Usta ma martwe.

Po krótkiej kłótni rozstajemy się. Milcząc.

Nie widzimy się z Myx przez wiele dni. Pałętam się bez celu po Osadzie, zawsze tak samo, aż nastaje wieczór pośród wydm i pustynna bryza prześlizguje się lekko po szklanych grzbietach. Opuszczam wtedy wszelkie zabudowania, spaceruję sam w sercu pustkowia, gdzie zimne płaszczyzny płynnie przelewają się jedna w drugą pod dyktando dawno wygasłych atomowych prądów. Z nastaniem nocy na niebie nie drży ani jedna gwiazda, za to wydmy w zastępstwie nieboskłonu odbijają światła i głosy Osady: różowy neonowy skrzek baru, nikłą

poświęcę rolniczych gospodarstw, ludzkie szemrania; zielonkawą łunę świńskiej fermy. Każde z tych miejsc budzi we mnie odrazę. Każde wyrasta z ziemi dla jakiegoś określonego powodu, nie tak jak wydmy, bezinteresownie – każde splamiła obecność Paczki.

Potrzebuję czasu na przemyślenie pewnych spraw. Wydmy mi go nie pożąłują.

Mam dopiero szesnaście obrotów od Pierwszej Wiosny Po Wybuchu, szepczę, w napotykanie co i rusz nieskończenie wąskie szklane kaniony; ostre brzegi rozpadlin ranią mi usta. Z wnętrza tych rozpadlin bucha mdłe gorące powietrze, nieświeży organiczny fetor roślin i drobnych zwierząt, które wpadły w ich pułapkę i zmieniły się w półpłynną ucztę dla trującej pleśni. Jedwabny kozuch saprofitu faluje, gdy zrzucam na niego niewielkie kamyki.

Od czasu ostatniego treningu Myx zerwała ze mną wszelkie kontakty.

Pamiętam doskonale wyraz jej twarzy: śmiertelne zdumienie.

Nie mówisz chyba poważnie, spytała mnie wciąż na kolanach.

Świnie skowyczały dziko.

Podnieś się, warknąłem. Narastała we mnie furia. Babrzesz się w gnoju!

Myx w odpowiedzi roześmiała się.

Ten śmiech jeszcze wibruje mi w uszach.

Wspinam się ostrożnie na strome zbocze, w którym jakieś bezimienne pracowite dłonie wybiły rząd płytkich schodków, i przykucam na samym szczycie szczególnie wysokiego wzniesienia.

Pamiętam doskonale wyraz jej twarzy: niedowierzanie i trwoga.

Czy ty wiesz, na co się zamierzasz, krzyczy Myx. Czy wiesz, w kogo się zamienisz?!

Odpowiadam: nie obchodzi mnie to.

Morderca! Będziesz mordercą!

Śmierć tych czterech gnid okaże się przysługą dla nas wszystkich.

Myx zrywa się na równe nogi i uderza mnie w twarz; wyraźnie czuję bijący z jej dłoni odór amoniaku. Od niespodziewanego ciosu oczy zachodzą mi łzami.

Myx też płacze.

Jesteś taki jak wszyscy, łka. Pusty w środku. Jesteś kolejną belką na nasz wspólny stos. Tyle lat. Tyle lat! A ludzie nadal nienawidzą. Jesteś próchnem, pięknie zapłoniesz.

Na szczycie szklanej wydmy czuję się lekki i nieskończenie stary, tak jakby wszystko to, co mówiła Myx, było prawdą. Kładę się na plecach i zamykam oczy. Pozwalam, aby ciało przeważało mnie nad krawędzią wydmy, i bezwładnie ześlizguję się w nieckę u jej stóp. Leżę potem bez ruchu, nie zwracając uwagi na upływający czas; może śpię, a może boleśnie czuwam, przypominając sobie pewne rzeczy jaskrawo i wyraźnie.

Wreszcie nocny ziąb zmusza mnie do podźwignięcia się.

Ostrożnie rozpalam niewielkie ognisko, biorę własnoręcznie wykonane dłuto i zaczynam kuć. Szkło oddaje uderzenia z cichym wizgiem. Blask ognia wydobywa tajemnice ukryte w głębi skały nie skały. Chcę je mieć, chcę ich dotknąć. Tylko w ten sposób przekonam się, że przeszłość istnieje, i na powrót uwierzę w możliwość istnienia przyszłości. Przygląda mi się podświetlona blaskiem pochodni odbita w gładkiej tafli wydmy twarz. Twarz szaleńca.

Arab uważa, że sprawa z góry wygląda na przegraną. Siedzimy obaj w zamkniętym jeszcze barze, on, pochylony nad klepiskiem mieniącym się mozaiką wdeptanych w nie drobnych przedmiotów – niedopałków, potłuczonego szkła, śmieci – ja, kręcę się na stołku na podeście, przysłonięty przez nieczynną konsolę, pośród płataniny kabli.

Nie tobie pierwszemu nie podoba się taki stan rzeczy, mówi Arab, grzebiąc czubkiem buta

w ubitej glinie.

Nie myśl sobie. Skrobie zapamiętałe wokół jakiejś błyskotki. Wreszcie prostuje się, drewnianym obcasem zasypuje dołek, który tak pieczołowicie wygrzebał, i spogląda w moją stronę.

Jeżeli przyszedłeś po radę, to żadnej nie otrzymasz. Szczyl z ciebie. Masz niewyparzoną gębę. Lubię cię. Sprawy stoją tak, jak stoją. Nic na to nie poradzisz.

Wchodzi za bar, nabija własnoręcznie skonstruowaną nargilę i pociąga z niej biały dym – jak haust mleka z butelki.

Chcesz trochę tego, pyta. Tym chętniej cię poczęstuję. Odmawiam gestem.

Słuchaj, ciągnie po chwili, mnie to wszystko tak naprawdę nie obchodzi, pozostaję neutralny. Prowadzę tu interes.

Powietrze powoli wypełnia się ziemistym fajkowym zapachem.

Wyżyłbym i bez tej czwórki. Przynoszą mi ochłapy. Byłe narkoman na głodzie przypomina przy nich róg obfitości. Zastanawiałem się kiedyś, jak by to bez nich było. Byłoby tak samo. A może nawet lepiej. Zgadzam się z tobą, nadzieja, którą nam serwują, przypomina wrzód na ciele. Ale taki wrzód, co do którego wszyscy mamy pewne oczekiwania: mianowicie, aby się nigdy nie zagoił. Drapiemy go przecież bez ustanku. Na własne życzenie fundujemy sobie wciąż nowe cierpienia. Przypominamy kolonię trędowatych pogrążoną w euforii własnego rozpadu. Ale bycie trędowatym, w ogólnym rozrachunku, wydaje się lepsze niż niebycie.

Naprawdę chcesz ich zabić?

Odpowiadam, że tak.

Myślałem, że z czasem ludziom przejdzie chęć zadawania sobie nawzajem śmierci, dziwi się Arab i pyka: *pyk!*

Już to słyszałem. Zza zasłony kabli mówię, że kto jak kto, ale handlarz narkotyków nie powinien grzęznąć w domorosłej filozofii. Poza tym, dodaję, nadzieja bez pokrycia to także faza umierania. Paczka pluje nadzieją jak jadem.

Hm, zamyśla się Arab, hm. Nargila słodko bulgoce.

Nic mnie to nie obchodzi. Rób, jak uważasz. Ja prowadzę tu za ledwie interes.

Schodzę z podestu, na którym za kilka godzin, jak co noc szaleć będzie łysy dyskdżokej, i siadam przy barze. Wyciągam z kieszeni spodni kilka dobrych nierdzewnych śrub wraz z nakrętkami i rzucam je na blat.

Będzie z tego jedna kolejka?

Arab nalewa mi pełną szklanekę, nie spoglądając na zapłatę.

Masz, mówi, na koszt firmy, Geronimo. Jesteś samobójcą, przy tobie nie stracę na byciu filantropem. Pij. Do dna.

### 3

Po dwóch tygodniach bez znaku życia Myx niespodziewanie pojawia się w barze. Wiedziała, gdzie szukać. Odkąd mnie tak brutalnie odrzuciła, bywam u Araba stałym gościem. Piję i palę, i piję. I wszyscy wokół piją i palą, i piją. I wszyscy więdniemy. I wspólny rozkład nas scala. Trwają żniwa; wielu chłopów po całych dniach spędzanych na katorżniczej pracy na kukurydzianych polach roztopia swój znój w alkoholu, korzystam z ich rozgadanego towarzystwa, w tłumie szukam sposobu na ukojenie samotności. Nikt nie stroni ode mnie, bo

wydmy obdarowały mnie paroma cacuszkami, które teraz z lubością przetracam. Zapraszam na kolejkę każdego, kto tylko ma ochotę na wzięcie udziału w małej ceremonii smutku; bez wyjątku.

Pojawienie się Myx burzy ten stan rzeczy. Dziewczyna wzbudza powszechne zainteresowanie. Zegar wskazuje dziesiątą, a może dwunastą w nocy, a ona sunie przez bar, nie zwracając uwagi na kierowane ku niej niewybredne pijackie zaczepki. I ja też mam w czubie, lecz inaczej, w ten szczególnie czuły sposób, który gdy tylko Myx staje obok, każe mi ją natychmiast przytulić. Ciało dziewczyny pozostaje jednak sztywne, nie odwzajemnia uścisku. Pionowa źrenica wpatruje się we mnie z nieludzką determinacją.

Jutro. Przyjdź do mojej lepianki, mówi Myx. Odręca mnie i natychmiast wychodzi.

Z niewiadomego powodu, przez resztę wieczoru alkohol ma kwaśny smak.

Do drzwi lepianki pukam koło południa. Głowę mam ciężką, pulsuje w niej nieznośny ból. W całej Osadzie unosi się zapach palonej słomy, niezawodny znak, że na niektórych polach kośba została ukończona. Nie sposób zaczerpnąć oddechu. Myx proponuje mi szklankę zimnej wody – wypijam łąpczywie. Ocieram usta dłonią.

Co u ciebie słyhać, pytam, lecz Myx ignoruje tę nieśmiałą próbę rozejmu.

Cieszę się, że przyszedłeś, mówi zaledwie; w jej głosie brzmi ostry, oficjalny ton.

Chciałabym ci coś pokazać. Dzisiaj w świniaarni zaplanowano rozpoczęcie uboju.

Zaskoczony, unoszę brwi, lecz nie ma czasu na wyjaśnienia, Myx bezceremonialnie odbiera mi szklankę i nakazuje iść za sobą. Opuszczamy lepiankę, okrążamy budynek z kojcami i przez niewielką furtkę w metalowym parkanie wchodzimy na ukryte podwórko.

Nigdy tutaj nie byłem.

Bo i nikt tu bez potrzeby nie zagląda, otrzymuję chłodną odpowiedź.

Przecinamy kwadrat podwórza i zatrzymujemy się przed drzwiami pomalowanymi na brudną zielen.

Myx patrzy mi prosto w oczy: nie zapomniałam nic z naszej ostatniej rozmowy. Dlatego cię tu przyprowadziłam. Do rzeźni.

Nie boję się widoku krwi, jeżeli o to ci chodzi, parskam.

Krew, mówi Myx, nie jest w zabijaniu najstraszniejsza.

Wchodzimy.

W rzeźni panują potworny upał i duchota. Ogromne kadzie pełne wrzącej wody szemrzą wytrwale na wiecznie podsycanym wolnym ogniu – para unosi się i skrapla na metalowych belkach podtrzymujących sklepienie z trzciny, kapie mi na twarz. W każdym kącie pomieszczenia czatują głodne bepańskie psy. Zatrzymuję się tuż za progiem. Myx dostrzega moje wahanie, łapie mnie za rękę i zmusza do wędrówki poprzez labirynt stołów do patroszenia, do trybowania, do ćwiartowania, do segregowania mięsa. Cicho pozdrawia każdego napotkanego mężczyznę. Milczący rzeźnicy pochłonięci swym krwawym powołaniem odpowiadają jej ledwie skinieniem głowy.

Po prawej stronie mijamy zwały odrąbanych nóg, stosy oczu, kopce samotnych uszu.

Po mojej lewej dwóch niewysokich terminatorów, dzieciaków, których twarze znam z widzenia, po kolei zanurza oprawione półtusze we wrzątku, aby pozbawić skórę szorstkiego włosia. Następnie za pomocą specjalnych cedzaków wylawiają z kadzi grudy pozlepianej szczeciny. Myx wszystko dokładnie mi tłumaczy.

Wrząca woda przypomina kipiące brązowe bagno.

Ból głowy rozrywa mi skronie. Żołądek podchodzi do gardła.

Myx szarpie mnie za rękę – nie zatrzymuj się! – pociąga do następnego z kolei pomieszczenia, tam gdzie kobiety segregują podroby. Z garnców pełnych świńskich wnętrzności wyławiają żołądki, wątroby, jądra, nerki. Wszystko to ładuje w oddzielnych wyłożonych pokrzywami koszach, warstwa za warstwą. Jelita napełnione zostają wodą i białym piaskiem i wypłukane z niestrawionych resztek. Kopyta starte na proch. Zęby posłużą do wyrobu grzechotek. Kobiety chichoczą, paplają wesoło z ramionami po łokcie w brunatnych skrzepach.

Widzisz, szepcze Myx. Zabijanie trwa krótko, ale uruchamia długi i pracowity proces.

Drepczemy dalej. Zbliżamy się teraz do wysokich podwójnych drzwi. Im bliżej tych drzwi, tym bardziej cichną śmiechy, a ponad wszelki dźwięk przebija się rozdzierający wrzask. Myx uchyla jedno ze skrzydeł. Dotarliśmy do ubojni.

Zapach krwi jest tak namacalny, że oddychanie nim staje się świadome, przypomina walkę z gęstym płynem zalewającym płuca. Nagle wdech i wydech zamieniają się w ciężką pracę. Oblewa mnie zimny pot. Z całego serca pragnę uciec na śmierdzące spalenizną powietrze.

W sali pracuje czterech półnagich oprawców. Dwóch z nich przywiązuje nogi świni do metalowych pierścieni w podłodze. Jeden trzyma w rękach wielki młot. Drugi – długi sztylet. Myx wyciąga zza pazuchy kawał plecionego postronka i podaje go mężczyźnie odpowiedzialnemu za węzły, ten skinieniem ręki posyła po kolejne zwierzę. Świnia najpierw idzie spokojnie, ale gdy jej małe przekrwione ślepka dostrzegają miejsce, w które jest prowadzona, stalowe dyby i ciemną, gęstniejącą kałużę pomiędzy nimi, nagle zapiera się ze wszystkich sił i wierzga. Walka z jej histerycznym pragnieniem ucieczki trwa prawie dziesięć minut. W końcu staje osowiała, z rozkraczonymi, unieruchomionymi nogami; w ostatnim geście rozpaczy bezwładnie leje z siebie rzadki kał. Mężczyzna z młotem unosi narzędzie ponad głowę. Przy potężnym uderzeniu krew i gnój unoszą się w zawiesistym obłoku ponad konającą świnią. Ten z nożem podrzyna sprawnie gardło. Wszyscy czterej podnoszą ciepłe jeszcze zwierzę za nogi i odrzucają na bok, na gołą ziemię. Pod ścianą ubojni leży długi, pęczniejący pokot.

Spędzamy w rzeźni prawie dwie godziny.

Dwie godziny odmierzane świstem młota, i miękkim, ziarnistym odgłosem gładko przecinanych zwierzęcych istnień.

Ubój trwa cztery doby bez przerwy.

Kiedy ostatniego dnia Myx na powrót prowadzi mnie do rzeźni, przetrzebione stado błąka się wśród pustej hali, pustookie i osowiałe jak ludzie, na których spadł nagły kataklizm i teraz w śmiertelnym zadziwieniu starają się odszukać cokolwiek, co po nim pozostało.

Niedługo nadejdzie zima, wyjaśniła Myx, opierając się o kraty pustych kojców. Zasolimy mięso i pokryjemy pozostałe przy życiu maciory. W ten sposób w ciągu zimnych miesięcy zużyjemy mniej paszy. Zabijamy świnię, bo uważamy, że dla nich to mniejsze zło niż śmierć głodowa. Mięso przecież nigdy się nie zmarnuje.

Czy to, co tutaj się stało, czegoś ci przypadkiem nie przypomina?

Na to pytanie nie znajduję żadnej odpowiedzi.

To straszne, wyznaję potem Myx, ale orientuję się, że robię tak tylko dlatego, że ona ode mnie właśnie takiej reakcji oczekiwała. Albowiem w ostatecznym rozrachunku wciąż nie mogę się pozbyć obrazu, który prześladował mnie podczas oglądania krwawego świńskiego pogromu. Wyobrażałem sobie, że każde konające zwierzę miało głowę kogoś z Paczki.

I ogromnie mi się to podobało.

Koniec zbiorów. Pola uprawne otaczające Osadę przypominają ogromne pogorzelisko. Nie chwije się na nich ani jedna kolba kukurydzy, nie faluje ani jeden łan pszenicy. Każde kłaczce, każdy kielek wyrwano i uprowadzono, a miejsce po nich posypano popiołem w akcie niezrozumiałej, bluźnierczej pokory. Cisza, trwanie. Pionowe słupy dymu błyszczą w charakterze zwiewnych obelisków, wysokich mirażu nagrobnych kamieni.

Stąпам pomiędzy pustymi, świeżo rozdartymi skibami.

Moja głowa także jest rozpruta i naga i przelewa się przez nią zwątpienie.

Świat podlega cyklicznej przemianie. Oracz z pługiem, rzeźnik z tasakiem, ja, Myx, idące pod nóż zwierzęta; stanowimy nietrwały łącznik, wąską kapilarę pomiędzy życiem a śmiercią, które to nie są dwoma odmiennymi otchłaniami, lecz jednym potwornym nurtem przelewającym się nam przez palce. Czy decydujemy sami o sobie poddani takim siłom? Czy największa nawet ryba machnięciem ogona może zawrócić bieg najmniejszej choćby rzeki?

Stąпам po zgliszczach, po wypalonym ściernisku. Stąпам po grobie uświęconym ogniem i sam nie wiem, czy to grób, czy już kolebka. Czy ten świat zasługuje na pogrzebanie, czy odrodzenie. Czy my zasługujemy na cokolwiek...

Wiem jedno. Koniec zbiorów zbiegł się w czasie z końcem uboju. Teraz, w centrum Osady, odbędzie się doroczny targ. Święto, zamieszanie.

Nadarza się szansa. Szansa dla mnie. Od wielu dni mój nóż drży niczym igła barometru przeznaczenia...

Dnia targowego budzę się o świcie – poranek wstał rzeński, suchy.

Ubieram się, pakuję podróżną torbę.

W drodze na miejsce spotykam Araba. Wędrujemy ramię w ramię. Pomiędzy nami wisi zagadkowe milczenie. Z braku lepszego tematu wskazuję sine pasmo chmur na horyzoncie, ale Arab uważa, że aura nie przysporzy nam zmartwień. W wąskich uliczkach na każdej ścianie – niczym obwieszczające pogodę, wypisywane pod osłoną nocy nieodgadnione przepowiednie – kwitną brudne zacieki, jedyny ślad po porannej rosie. Ciepły dzień przed nami, nie ma co, wtóruję mu zatem bez przekonania, myślami będąc zupełnie gdzie indziej. Mijamy uchylone drzwi, podniesione zasłony.

Te same i nie te same zarazem. Inne.

Wreszcie wychodzimy na główny trakt Osady. W oddali, u jego wylotu, majaczy zwalisty budynek Poczty. Dobry dzień, dobry utarg, cieszy się Arab, jak gdyby ten widok magicznie pobudził w nim kupieckie soki, lecz jego radość trwa krótko. Mina mu rzednie. Dostrzega nastrój, w jaki popadłem. Dostrzega, że jestem uzbrojony. Przypomina sobie naszą nie tak dawną rozmowę. Zwalnia kroku.

Nie powinno cię tu być, zauważa po długiej pauzie. Śmierdzisz rozlaną krwią, dodaje.

Wiesz dobrze, kogo tu być nie powinno.

Arab nerwowo gładzi kudłatą brodę.

Niedobrze. Wszelkie nagłe zamieszanie nie jest dobre dla mych transakcji, wybacz, bąka pod nosem, żegna się i pospiesznie umyka pomiędzy niskie chatynki, gdzie na mrocznych zapleczach pielęgnować będzie własne podejrzone interesy. Stchórzył. Nie mam do niego żalu.

Dobry dzień, powtarzam w myślach, idąc dalej samotnie.

Olśniewające, wręcz diamentowe słońce płynie nad horyzontem.

Na obrzeżach targowiska opieram się o ścianę parującą resztką nocnego chłodu. Plac przed starą Poczta przypomina ogromną misę, po której tańczą złote refleksy, niedługo tę misę rozgrzeje ludzka magma. Obserwuję kurz podrywany przez wiatr. Gnuśne wyczekiwanie sprawia mi niespodziewanie ogromną przyjemność.

Dobry dzień. Czas mija, mija, mija...

... i z minuty na minutę słońce grzeje coraz silniej. Ciepło. Rośnie temperatura, rośnie gwar; swoje kramy rozkładają miejscowi gospodarze ramię w ramię z przybyszami z odległych ludzkich osiedli. Lubię być świadkiem tych przygotowań. Powietrze jasne i przejrzyste iskrzy od napięcia, niecierpliwi kupcy wydają swoim liczным pomocnikom krótkie gardłowe polecenia. Każdy okrzyk tchnie rywalizacją. Dzieje się tak dlatego, ponieważ w związku z obecnością Paczki targ ma status najważniejszego wydarzenia w promieniu wielu kilometrów. Pogranicznicy czyniący zimowe zapasy niezmiennie ściągają swoją obecnością kupców – ten, kto spełni oczekiwania Paczki, może liczyć na wyjątkowo sowitą zapłatę i ogromny utarg – Paczka bierze przecież to, co najlepsze, jej zainteresowanie uchodzi za szczególne wyróżnienie, najlepszą reklamę. Któż nie chciałby jeść i pić tego co ona, zwykła brukiew, jeżeli tylko zwróci jej uwagę, natychmiast uchodzi za pokarm wart podniebienia bogów. Dla złudy pełnej kieszeni i krótkotrwałej chwały radioaktywne mielizny nie stanowią żadnej przeszkody.

Wciąż czekam. Dopiero przed południem pojawia się burmistrz i zaczyna się administracyjna szopka. Targ ma swoje ustalone rytuały. Namioty i drewniane budy, ustawione o świcie na planie okręgu, teraz przed uroczystym rozpoczęciem poddane będą inspekcji. Za pomocą licznika Geigera burmistrz dokładnie sprawdza towary; dogląda też, by każdy z kupców miał własny licznik, tak aby klienci mogli upewniać się o czystości oferowanych im dóbr. Wielokrotnie zdarzało się, że już o tak wczesnej godzinie kilka kramów niespełniających zasad bezpieczeństwa niepysznie pakowało manatki. Tego roku wszyscy jednak przechodzą próbę pomyślnie i gdy słońce staje w zenicie, burmistrz bije w dzwon. Targ uważa się za oficjalnie otwarty. Tuż przed gongiem dołącza do mnie Myx. Jako jedni z pierwszych klientów razem ruszamy pomiędzy pstrokate stoiska.

Wciąż nie mam planu, nie wiem, co zrobię, gdy napotkam Paczkę, Boże, ogarnia mnie zwątpienie! Spokój, uratuje mnie spokój. Na razie koncentruję się więc na rzeczach najprostszych – po co tu przyszedłem? Zamierzam kupić parę niezbędnych drobiazgow; potrzebujemy ziarna na mąkę, z której upiekę podpłomyki, czosnku i czystego żwiru do oczyszczania wody. W kieszeniach niosę lichego drobiazga na wymianę, w przewieszanej przez ramię torbie parę owiniętych słomą, droższych rzeczy.

Wszystko w porządku?, niepokoi się niespodziewanie Myx. Strasznie zbladłeś.

Źle spałem, znajduję pierwszą lepszą wymówkę. Daj spokój. Już mi lepiej.

Targ wokół nas kipi, rozkwita.

Przechadzamy się pośród zapachów i widoków zapierających dech w piersiach, oglądamy szpalery suszonych ryb wszelkich kolorów i kształtów, połowy są tak obfite, odkąd zabrakło rąk do trzebienia ławic, a odległe ciepłe rzeki wypłukały z siebie atomowy muł i rozkwitły na nowo, buchając skłębionym życiem. Kosze krewetek o skrzypiących pancerzykach i czarnych, nasyconych bezdennym smutkiem oczach. Wiązki cebul, białych i czerwonych, papryki, te ogromne, słodkie i soczyste, i te małe, od których cierpną zęby. Połcie mięsa. Ceramika. Bele zgrzebnie plecionych płócien. I dalej, w pachnących znojem namiotach



kowali, wszelkie narzędzia i tryby. Naczynia z tykwy – puste i wypełnione nalewkami.

Sprzedawcy podnoszą coraz większy raban. Nie próżnują, rozgrzewają gardła. Najlepsze, pokrzykują. Najświeższe! Czyste, spoza strefy opadu! Bierzcie, próbujcie! Uczciwa wymiana!

W takt tych dźwięcznych nawoływań plac zapełnia się ludźmi.

Myx przeprasza mnie i odbija w stronę straganu z ziołami. Odprowadzam ją wzrokiem, niepewny, czy mam ochotę na samotną przechadzkę, lecz ciekawość bierze górę i ruszam dalej, sam.

Zielarze. Krawcy. Myśliwi. Owczarze. Bartnicy. Tyle pracy i trudu w jednym miejscu. Szkoda byłoby wszystkiego nie zobaczyć. Gubię się w otaczającej mnie mnogości.

Świat na nowo wydaje owoce.

Czuję...

Niespodziewanie czuję się wspaniale wśród zbiorowiska nieznajomych mi twarzy, wiedząc, że każda z nich stanowi część układanki, z której od podstaw budowany jest s e n s. Wcześniej, w dusznym barze, na spalonym polu, podupałem na duchu. Ale oto, tu, w świecie mogli i zapadłisk spotykam życia sięgające po szansę istnienia na nowo; wszędzie – bystry, twardo stąpający po ziemi człowiek, król powracający do zrujnowanego królestwa. Pustynia i ruiny? Owszem, lecz gdzieś tam znajduje się także i urodzajna ziemia. Wszystkim żyje się trudno, ale w związku z tym wszystkim żyje się tak samo; odnaleźliśmy punkt zero, start nowych czasów. Widzę to jasno. Praca podniesie nas z kolan.

Czy ma pani nadzieję?, w przyływie euforii pytam jasnowłosą dziewczynę przesypującą fasolę w korcu.

Mam najlepszą fasolę w okolicy, odpowiada zdziwiona, a serce przepełnia mi radość.

W miarę jednak jak wstaje dzień, mój entuzjazm gaśnie, dostrzegam to, czego obawiałem się najbardziej, niecierpliwe spojrzenia kierowane ku ruinom poczty. Gdzie oni są, pytają złaknione oczy przybyszy. Gdzie nasza szansa? Gdzie chwała, która ozłoci moje jajka, moją szynkę, mój chleb.

Nie przyjechaliśmy tu wyłącznie dla zysku. Przyjechaliśmy po dotyk legendy.

I coraz częściej spojrzenia kupców odwracają się od zapłaty, a kupujących od wystawionych na sprzedaż towarów. W jednym kierunku. W oczekiwaniu.

Ja też łapię się na tym, że udziela mi się rosnące napięcie, stoję na środku placu i wlepiam wzrok w błyszczące czerwienią kamienie po obu stronach pocztowych schodów.

Przecież po to tu właśnie przyszedłem. Dla niej.

Myx, z naręczem suszonych korzeni, dotyka mojego ramienia.

Spójrz, mówię twardo, nie odwracając głowy, spójrz, jak warują, jak chcą jeść to, co oni. Być tym, czym oni są. Jak nie dostrzegają natury, która cierpliwie podtyka im pod nos nadchodzące wyzwolenie. Jak potrzebują gładkich kłamstw. Pewnie myślą, że kiedy dostąpią zaszczytu jedzenia ze wspólnej z Paczką miski, przynajmniej ich własne, smutne gówna z daleka będzie promienieć świętością.

Są chwile, odpowiada Myx, w których cię nienawidzę...

Jej oddech pachnie wnętrzem dawno wygasłego pieca.

Targ trwa przez cały dzień. Cały dzień bezwstydnego mizdrzenia się do Paczki.

Ostateczny werdykt zapada tuż przed zachodem słońca: szczęśliwcem okazuje się pewien kupiec ze Szklannej. Podnoszą się nieliczne głosy o faworyzowaniu miejscowych, ale burmistrz szybko ucisza wszelkie dyskusje – jak co roku każdy miał swoją szansę – i słabe protesty milkną. Nie znajdzie się przecież nikt, kto śmiałby podważyć zdanie Wielkiej

Czwórki.

Po raz drugi tego dnia bije dzwon. Koniec. Targowisko zamknięto.

Dźwięk dzwonu przypomina pękające gliniane naczynie. Tłum rzędzie; z sykiem, z nosowym pomrukiem powoli wycieka w boczne uliczki. Zwycięski kupiec za to pręży się, napuszony i rumiany, z kciukami zatkniętymi za fartuch, z lewa i z prawa przyjmuje należne mu honory. Przyglądamy mu się wraz z Myx.

Wokół wyróżnionego kramu krąży zgraja obdartych dzieciaków, takich co w lot zwietrzają każdy łatwy zarobek. Ktoś będzie musiał pomóc nieść te wszystkie korce i skrzynki, Paczka przecież nie splami się pospolitą pracą; wygłodzone maluchy liczą, że skapnie im coś z pańskiego stołu...

Paczka, Paczka, Paczka! Do diabła! Co robić?! Nóż drży.

Cały dzień tropiłem ją, cały dzień była poza moim zasięgiem!

Popatrz, mówię i aby dać upust złości, wskazuję niechętnie obdartą zgraję Myx, lecz naraz milknę w pół słowa. Albowiem niespodziewanie orientuję się, że oto los daje mi szansę. Że jeżeli tylko się postaram, Poczta stanie dla mnie otworem.

W skroniach eksploduje mi gwałtowny puls.

Hardin, co z tobą?

Szybko obmyślam plan działania. Kupiec wciąż upija się sukcesem, ma lekką głowę. Znam tego szczęśliwca, kalkuluję szybko, dobiłem z nim dzisiaj uczciwego targu. Za ledwie kilka kwart ziarna oddałem jakąś niespotykaną błyskotkę, po którą wyciągnęła rękę jego córeczka. Wykorzystam to teraz.

Hardin?!

Myx przeczuwa, co zamierzam, próbuje mnie powstrzymać, lecz zbywam jej protesty, odpycham od siebie. Roztrącam obdartą ciżbę i staję przed zarumienionym zwycięzcą.

Chciałbym ci pomóc, mówię szybko, twardo.

Dziś każdy chce mi pomóc, synu, odmawia ze śmiechem, lecz ja nie daję za wygraną.

Jestem silniejszy niż kilku bezdomnych złodziei razem wziętych.

Mężczyzna lustruje mnie od stóp do głów i widzę, że dobrze trafiłem, że pod zadowoloną, rozluźnioną sukcesem fasadą ciągle drży kupiecka żyłka. Mało tego, orientuję się, że zostałem rozpoznany.

Ty jesteś tym odludkiem, który grasuje po wydmach?

Przytakuję. W moje ramię wczepia się twarda dłoń, obmacuje je z wprawą.

Pewnie myślisz, że jestem ci coś winien, pada chytre pytanie. Zaprzeczam, a w duchu śmieję się, bo właśnie w tej chwili wszystko układa się tak, jak to przewidziałem. Zaczynamy dobijanie targu.

Ci, tutaj, za byle ochłap byliby na każde moje skinienie.

Pewnie, przyznaję skwapliwie. Rzuć im ochłapy. Przygarnij wszystkich. Zaoszczędzisz. A potem zważ każdą ze skrzynek, jak już dostaną je w swoje ręce. Ale gwarantuję ci, że gdy Paczka je otworzy, od razu zauważy braki. Stać cię na utratę dopiero co zdobytej reputacji?

Kupiec unosi brwi. Groźba robi na nim wrażenie.

Dobrze. Punkt dla ciebie. Co chcesz w zamian, pyta.

Płacisz wedle uznania.

Kupiec zaciera ręce, poznał godnego siebie przeciwnika.

Nie tylko odludek, ale i niezły spryciarz z ciebie, co? A potem niczym w liczydło przeskakuje w nim jakaś zapadka.

Samego cię nie wezmę. Sam sobie i tak nieporadzisz. Za to jeżeli dopilnujesz tej zgrai, dostaniesz coś ekstra. Wymieniamy uścisk dłoni. A teraz, komenderuje i odwraca się do mnie plecami, weźmiesz najcięższe pojemniki z suszonym mięsem.

Kiedy przykucam, aby zarzucić sobie na plecy skrzynię zbitą z nieheblowanych desek, staje przede mną Myx.

Hardin, szepce, a ten szept przypomina krzyk, co ty najlepszego wyrabiasz?

Coś, co powinno zostać zrobione już dawno temu.

Skrzynia boleśnie wrzyna mi się w skórę między łopatkami.

Coś, dzięki czemu ludzie na nowo uwierzą...

*Sam, Sram, Dram i Pram,*

*Czterech wspaniałych kumpli mam!*

*Sam, Sram, Dram i Pram,*

*Czterech wspaniałych kumpli mam!*

*Sam, Sram, Dram i Pram,*

*Czterech wspaniałych kumpli mam!*

*Sam, Sram, Dram i Pram,*

*Czterech wspaniałych kumpli mam!*

## 5

Ostatecznie kupiec wynajmuje dwanaścioro tragarzy. Dwie dziewczyny, dziewięciu chłopców i mnie. Bez ceregieli ustawia nas gęsiego, pomiędzy krwistoczerwonymi zwałami gruzu. Jestem największy i najstarszy z grupy, więc zajmuję pierwsze miejsce w rzędzie. Oddycham głęboko, spokojnie, pewny, że niemal dopiąłem swego – niedługo przejdę przecież przez drzwi Poczty. Dwadzieścia metrów przede mną. Na drugą stronę. Zaglądam przez nie już teraz, dostrzegam, co znajduje się za nimi. Na drugą stronę, czego? Nieprawdopodobne. Niemożliwe. Taką bezczelność wielokrotnie przyplącano życiu. Przywołuję z pamięci obraz pewnego nieszczęśnika, który w pijanym widzie wiosną forsował budynek. Zastrzelony na miejscu, gnił parę dni na jednym z szerokich stopni. Niespodziewanie ściska mnie w dołku. I zaraz udzielam sam sobie milczącej reprimendy. Dostyc tego! Kara? Skąd niby na mnie spadnie? Nie, nie spodziewam się żadnej kary! Człowiek nigdy nie wie, jak mocno przesiąknął podawaną z ust do ust brednią, dopóki we własnej osobie nie stanie u jej źródła. Ta myśl wraca mi spokój.

Ciemny portal Poczty w oddaleniu judzi niczym pęknięta żrenica.

Czas mija. Zrywa się wiatr, wznoszą gęste tumany kurzu. Kątem oka z radością zauważam, jak czerwona farba łuszczy się i odpada z fragmentów muru, jak spod jej matowej skorupy wyziera prawdziwy kształt rzeczy. Rosnę w siłę. I nagle doznaję olśnienia: zły czar pryska. Wokół chwieje się ledwie nędzna ruina. Grupka za moimi plecami staje się niespokojna. Nie ma obaw, nie przed brudną przegniłą rudera, szepczę. Nie ma obaw, jak modlitwę wypowiadam te trzy słowa, nie ma obaw, zadbam o to, abyście już nigdy nie czuli strachu.

Nie ma obaw. Nie przed... tym. Nie przed n i m i.

Nie słyszają.

Stoimy tak dobry kwadrans. Paczki wciąż nie ma. Mdleją nam ręce. Wiatr przybiera na sile, nawiewa na nasze spocone twarze kolejne warstwy pustynnego pyłu. Pył zastyga w

skorupy, w maski.

Wreszcie w ciemnym portalu pełga światło. Po chwili wynurzają się z niego dwie ciemne postacie z pochodniami w ręku. Poznają je – wszyscy je poznają. Rammy i Arbore. Piękni i smukli. Straceni. Zatykają pochodnie po obu stronach wejścia i ruszają w dół schodów. Ani na moment nie spuszcza z nich oka. Rammy i Arbore. Rubaszni, dowcipkujący – pochodnie, których użyli zamiast elektrycznego oświetlenia, boleśnie podkreślają uwielbiany przez Paczkę tandetny, ludyczny sztafaż. Gorzkie słowa w mojej głowie wirują coraz szybciej.

N i e p r z e d n i m i.

Rammy podchodzi do każdego z naszej trzynastki i bacznie nam się przygląda. Drzę. Mam wrażenie, że w jego jasnych tęczęwkach odbija się cały świat, są dokładnie tak niebieskie, jak je zapamiętałem z dzieciństwa, bliskie, lecz zarazem odległe, bezlitosne. Mimo że zaschło mi w ustach, wytrzymuję jasne, twarde spojrzenie Rammy'ego. Wyraźnie bawi go moja zadziorna postawa. Śmieje się i klepie mnie otwartą dłonią po twarzy. Zalatuje od niego bimbrem.

Arbore stoi trochę na uboczu, pozornie niezainteresowana, lecz wąskie wargi kobiety poruszają się bezgłośnie: dokładnie liczy towary. Kiedy dochodzi do wniosku, że rachunek się zgadza, wyjmuje kawałek grubego płótna, nacina je bagnetem i drze na pasy. Każdemu z tragarzy, z wyjątkiem mnie, przewiązuje takim pasem oczy.

Złapcie się ubrania osoby przed wami, udziela wszelkich instrukcji nieznoszącym sprzeciwu głosem, następnie wymierza we mnie ostrze bagnetu.

Poprowadzisz. Jak cię nazywają?

Hardin.

Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek słyszała takie imię...

To stare imię, wiele osób o nim nie pamięta, wchodzę jej w słowo i uprzedzając dalsze pytania, bez ostrzeżenia pociągam kolejkę ślepców za sobą. Ktoś na końcu stawki nieprzygotowany na nagły start po kilku metrach gubi rytm i z jękiem siada na ziemi.

Spokojnie, upomina Rammy. Bez narowów. Jeszcze raz. Na mój znak.

Po kilku próbach każdy mazgaj wie już, jak się poruszać. Ruszamy.

Przez piach, po schodach, do drzwi.

Przestępując przez wytarty próg, ulegam niepojętemu odruchowi: pokornie pochylam głowę. Nie potrafię wybaczyć sobie tej chwili słabości.

## 6

Poczta spada na mnie wilgotną, kamienną falą; wsysa; szelest, gdy drepczemy, jakby podłogę pokrywały opadłe, suche liście. Zaraz za ciasnym przedsionkiem wychodzimy na środek wysokiej hali. Przez wybite szyby w szklanej kopule ponad nami wlewa się czarne niebo. Czyjeś bosc stopy plaskają obłąkańczo na spękanej zielonej posadzce.

Wnętrze Poczty wypełnia stojące, martwe powietrze. Pociągam nosem. Uderza mnie ten zapach – ciężki, piżmowy. Szorstki, nieomal zwierzęcy. Z początku podejrzewam, że to odór starych bydlęcych kopców z czasów przed Paczką, gdy poczta służyła za oborę, albo nafty, którą nasączono płonące smolne główne. Jednak gdy zanurzamy się głębiej, korytarzem w głąb budynku, spostrzegam własną pomyłkę. Nie ma tu żywego ducha, źródłem zapachu okazuje się nie trzoda, lecz papier. Stosy papieru. Całe ich ogromne hałdy. Zwalniam kroku, zafascynowany tym, jak wiele miejsca zajmują – rozrzucone na podłodze, usypane w stosy pod

ścianami. Arbore nie pozwala na dokładne oględziny, kłuje mnie bagnetem w bok.

Nie zatrzymuj się!

Listy. Otaczają mnie niewysłane listy. Idę tam, gdzie mi rozkazano.

Przez boczne wyjście stromymi schodami zanurzamy się w podziemiach. Niskie słabo oświetlone korytarze biegną we wszystkie strony, krzyżują się ze sobą.

Dawne magazyny, wędrujemy przez dawne pocztowe magazyny.

Wybebeszono je, odgaduję, a zapisane wszelkimi rodzajami pisma wnętrzności odrzucono precz. Oto cała Paczka: pozbawiona szacunku dla ludzi, zarówno żywych, jak i umarłych. Dla przeszłości i przyszłości. Dla wspomnień. Dla czegośkolwiek oprócz własnych kałdunów. Potrzebowali miejsca na spiżarnię, więc zadbali, żeby była pod bokiem. Do diabła z delikatnymi pokładami wiadomości z nieistniejącego już świata. Wyrwijmy je z ciemności. Do diabła ze światem. Teraz Paczka cieszy się zupełnie nowym, własnym dniem dzisiejszym.

Teraźniejszością, którą urobiła na własną modłę. Warownią wzniesioną z ciepłych jeszcze zgliszczy...

Kluczemy. W lewo, w prawo, przed siebie.

Rammy prowadzi nas wciąż korytarzami; co rusz nakazuje komuś pozostawienie pakunku, to tu, to tam, w odchodzących od wąskich przejść pomieszczeniach. Po prostu kładzie ręce na ramionach kogoś z naszej trzynastki, popycha w odpowiednim kierunku i mówi: kładź. Skrzynki, worki, plecione kosze lądują w przygotowanych do tego przegródkach. Sprawnie, spokojnie. Paczka żeruje na Osadzie już tyle lat, że takie techniczne drobiazgi opanowane ma do perfekcji.

Zmęczenie, jestem zmęczony. Skrzynia, którą niosę na plecach, staje się coraz cięższa. Pot spływa mi po czole, po skroniach, w dół brody. Do ust. Chciałbym, aby mój pot przesączył się przez deski, skwasił i zatrzał znajdujące się w niej mięso. Wiem jednak, że to niemożliwe.

Nastoletni tragarze za mną poczynają sobie coraz śmieiej, szepczą, żartują. Ich głosy otrzeźwiają mnie, przywracają wigor. Niewiele już zostało do rozładowania. Czas, czas się kończy! Zakradłem się do Poczty, kalkuluję pospiesznie, i co dalej? Jeżeli natychmiast czegoś nie wymyślę, moja szansa przepadnie bezpowrotnie. Dla otuchy ukradkiem gładzę obły kształt zatknięty za pas spodni – jeżeli czegoś nie wymyślę, pozostanie mi nóż. Otwarta walka. Jeżeli...

W chwili, w której dotykam drewnianej głowni, Rammy nakazuje postój. Zbliży się do mnie chwiejnie, od stóp do głów oświetla pochodnią. Po raz kolejny wlepia we mnie zimny wzrok. Mocno pociąga z manierki.

Wszystkie smarki zostają na miejscu, rozumiano?

Ty, mówi do mnie, ty, Hardin, ty idziesz ze mną.

To podstęp, myślę w pierwszej chwili, przejrzeni mnie! Zdradziłem się, w jakiś sposób odkryto moje zamiary! Osaczają mnie teraz gdzieś samego, zabijają, zginę, sam przeciw wszystkim. Ale zarazem ogarnia mnie pewność, że nie dałem im najmniejszej wskazówki co do tego, kim jestem, co do rozmiarów gniewu, który mną kieruje. Sam na sam. To tylko los, tylko los mi sprzyja. Niespodziewanie mam wrażenie, że cały śmierdę strachem.

Drewnianymi schodami wychodzimy z powrotem na parter. W lewo i w górę. Rammy wyciąga nogi, prowadzi mnie gdzieś pospiesznie długim łącznikiem. W wysokich oknach nie ma ani jednej szyby, omywa mnie świeże nocne powietrze, leśny gorzki powiew, który drapie w gardło jak szczotka, oczyszcza płuca z piwnicznego zaduchu. Rozglądam się. Gubię krok. Truchtam z wysiłkiem.

Szybciej do cholery! Nie ma tu nic do oglądania, słyszę i potulnie przyspieszam.

Łącznik ciągnie się kilkanaście metrów, na jego końcu zatrzymujemy się przed podwójnymi drzwiami. Rammy puka w nie, a one odpowiadają stalowym echem. Przez chwilę nic się nie dzieje.

Czekaj tu. Wejdiesz, jeżeli cię o to poproszę.

Czekam, dyszę. Wreszcie pancerne skrzydła rozwierają się z chrzęstem i zalewa nas jasne światło. I głosy. I wbrew zakazowi zaglądam do wewnątrz.

I nie wiem, czy to jawa, czy sen...

W pokoju pomalowanym na najbielszy odcień bieli, w pokoju, jakiego nigdy w życiu nie widziałem, rozłożona na miękkich kanapach wyleguje się reszta Paczki. Jest czysto, tak nieskazitelnie czysto. I ciepło, tak przyjemnie ciepło. Nikt nie ma na sobie kombinezonu. Ani śladu łachmanów, tylko świeże bawełniane ubrania. Widok zapiera mi dech w piersiach. Tajemniczo pachnące kadzidła snują się nad rozgadanymi głowami, unoszą w przepięknych sinych welonach, rozbrzmiewa płaczliwa muzyka. Prawdziwa muzyka sprzed Wybuchu, a nie sklecony z resztek nadpalonych tranzystorów elektroniczny trans! Arbore i Dharma śmieją się i prężą, na gołe ramiona zarzuciły zwiewne fatałaszkę. Samuel, w podkoszulce i krótkich spodenkach w kwiaty, poprawia okulary na spoconej pijanej twarzy. Na ścianach wiszą obrazy. W niewielkim akwarium pływa lśniąca złotem rybka. Panowie piją prawdziwe, gazowane piwo, butelki znane z przerdzewiałych przedwojennych reklam, nie zaś mętny, chałupniczo warzony sikacz. Panie pociągają z błyszczących niebieskich karafek. Bijący od wszystkiego blask hipnotyzuje mnie, ostrożnie przekraczam próg, zsuwam skrzynię z ramion i stawiam ją na podłodze, jestem jednak tak zaaferowany, że pakunek wyslizguje mi się z rąk i pęka z trzaskiem.

Wszystkie głowy gwałtownie zwracają się ku mnie. Muzyka cichnie.

Rammy, szczebioce Dharma, przypomnij temu ciekawskiemu pastuszkowi, że nikt go tu nie zapraszał, a Rammy natychmiast podchodzi do mnie i bez ostrzeżenia wali na odlew w twarz. Nie mogę uniknąć ciosu, od tego, co zobaczyłem, za bardzo kręci mi się w głowie, przyjmuję go więc, pięść wpija się w na poły rozdziawione usta. Padam w tył, potykam się o próg i ląduję z powrotem na mrocznym korytarzu.

Brudas i niezdara, warczy Rammy.

Miałeś stać na zewnątrz, ośle. Zabieraj dupę w troki i wypieprzaj razem z resztą zawszonej czeredy. Drogę znasz. Zapłatę otrzymacie jutro.

Stalowa brama do świata Czwórki zamyka się z hukiem.

Rzeczy, które widziałem, sprawiają, że mam ochotę wydrzeć sobie gałki oczne.

Pluję krwią, w noc.

## 7

Purpurowa mgła. Przemykam łącznikiem. Purpurowa mgła, tak nucił ktoś w tamtym pokoju. Strzaskane okna zieją ku mnie niemo, puste i złe. Purpurowa mgła. I ten wers o całowaniu nieba. Co to za piosenka? Kołysanka? Straszna kołysanka. Może o miłości? Straszna to miłość... Do czego zmierzam? O co w tym wszystkim chodzi? Przedzieram się przez purpurową mgłę. Widzę, ale jakbym szedł po omacku. Niebo. Za oknem. Czarna przestrzeń kusi. Podnoszę ku niej głowę, a usta rzeczywiście układają się jak do głębokiego pocałunku.

Miałem rację, lecz czy ktoś da mi wiarę? Czy przekonam Myx, co takiego ujrzałem za podwójnymi stalowymi drzwiami, czy zrozumie, jeżeli jej o wszystkim opowiem? Czy też zmruży oczy i jak zwykle, niechętna, oskarży mnie o karmienie się wyłącznie nienawiścią? Czy ktoś, kto przywykł do wilgotnej lepianki i dachu z przegniłej pilśni, uwierzy, że tutaj, w samym środku osady, czas zatrzymał się przed Wybuchem? Że Paczka zatrzymała ten czas. Nie, o nie – że to my sami, mieszkańcy dzielnic, kupcząc własną uległością, zatrzymaliśmy go dla niej? Jak to możliwe? Skąd wystraszyli te przedwojenne dobra? Z wypraw, o których tyle się opowiada? Na pustyni biała farba obróciłaby się w kamień, każdą tkaninę przeżarł suchy płomienny oddech wydm.

Przetrwałaby jedynie purpurowa mgła.

Moje wszystkie przypuszczenia okazały się słuszne. Zabijamy się dla łaskawie rzuconych pod nogi, byle kilku konserw, a tymczasem Paczka zabiera co najlepsze kaski dla siebie. Moje wszystkie przypuszczenia okazały się słuszne, ostatecznie Paczka wcale o nas nie dba...

Biegnę po schodach w górę, potem w dół i tylko ten bieg sprawia, że nie zanoszę się płaczem.

W piwnicach Poczty odnajduję pozostałe dzieci, wyprowadzam je do wyjścia, zdzieram z głów opaski. Na progu wyciągają się ku mnie umorusane dłonie. Mówię dzieciom, żeby wracały do domów, że zapłatę za swoją pracę otrzymają już niebawem; być może jutro, zaraz po przebudzeniu. Mówię, że Paczka prosiła mnie, żebym jej dziś usługiwał, dlatego Rammy wziął mnie ze sobą. Ani jedno czoło nie marszczy się w grymasie niedowierzania. Słyszały na własne uszy, jak zostałem wyróżniony. Rammy osobiście poprosił, żebym mu towarzyszył. Oszołomione tym, co im się dzisiaj przytrafiło, nie odróżniają prawdy od kłamstwa.

Mówię: dobranoc. Śpijcie dobrze. Mówię, idą zmiany.

Macham im na pożegnanie, zabieram na wpeł wypalone pochodnie. Choć nie niosę już na barkach drewnianej skrzyni, poruszam się z trudem – osiadł na nich teraz o wiele większy ciężar.

Z powrotem w budynku. Pochodnia przygasa. W zimnym holu Poczty panuje przejmująca cisza. Przystaję na środku zielonej mozaiki. Przez jakiś czas nasłuchuję i wydaje mi się, że dociera do mnie echo odległej rozmowy. Nie, nic. Złudzenie. Rozglądam się, czas goni, lecz nie mogąc powstrzymać nagłej potrzeby, biorę naręcz listów i ukradkiem schodzę z powrotem do podziemi. W jednej z ciasnych komórek sadowię się za workami z pszenicą. Tylko rzucę okiem, myślę, tylko kilka linijek.

Jak było. Jak to kiedyś było.

Rozrywam pierwszą kopertę, lecz papier kruszy mi się w palcach. Na podłogę opadają strzępy nie do odcyfrowania: pojedyncze słowa, ich cząstki, jakieś imiona, pisane pochyłym charakterem pisma nazwy miejsc, o których nigdy nie słyszałem. Nie daję za wygraną i otwieram kolejne listy, ale dalej jest jeszcze gorzej: papier przeżarła pleśń, rozmoczyła woda lejąca się z dziur w dachu, zdeptały nieczułe buciory, podarły ostre zęby gryzoni.

Przeszłość spisana szczurzą szczyną. Oczy mam pełne łez.

Skurwysyny, szepczą nad stosem zmiętej korespondencji. Skurwysyny...

Ja też nie chciałem, żeby się tak z nimi obeszli, ale czy to w ogóle coś zmienia?

Głos dobiegający z ciemności podrywa mnie na równe nogi. Wymachuję pochodnią, po części w geście obrony, a po części dlatego, aby na nowo się rozpałiła.

Spokojnie, spokojnie...

Kto tu?!

Spokojnie Hardin, dobiega mnie drżący głos, ja tylko...

Dostrzegam stojący w drzwiach cień. Zostałem odkryty! Bez zastanowienia skaczę ku przygarbionej postaci, łapię za poły koszuli, pociągam i rzucam przez biodro. Słyszę trzask materiału i dosłownie sekundę po nim mdlący odgłos ciała uderzającego o podłogę. Wyciągam zza paska nóż. Jednym susem dopadam przeciwnika, lecz ręka zatrzymuje się w pół ciosu.

Rozciągnięty na workach Arab bezradnie rozkłada sękatę dłoń, kaszle. Na brodzie lśnią strużki zabarwionej czerwienią śliny. Szybko lustruję korytarz. Zamykam drzwi i oparty o nie plecami, kucam.

Przyszedłeś sam, upewniam się. Arab jęczy w odpowiedzi.

Pytałem, czy jesteś sam, powtarzam i dla zachęty biję go pięścią w chudą łydkę, ale ku mojemu zdziwieniu noga nie cofa się, pozostaje bezwładna. Przeczuwając kłopoty, ostrożnie wstaję. Udo Araba drga konwulsyjnie; przełamane, zwisa pod dziwnym kątem.

Cholera, klnę.

Nic się nie stało, uspokaja Arab. Boli tylko odrobinę.

Nie powinieneś nigdy zakradać się w ten sposób, mówię, bo to pierwsze słowa, jakie przychodzą mi do głowy. Głupie słowa, wypowiadam je, by przerwać ciszę.

Na ciemnej brodatej twarzy wykwita uśmiech. Patrzcie, patrzcie. Kaszel. Kto tu się niby do kogo zakradł? Za splekanymi czarnymi wargami, wyszczerzone żółte zęby są brudne od krwi. Pochodnia skwierczy i pyka, jakby była nie źródłem światła, lecz czasu, płonącym zegarem. Po kilku mokrych trzaskach Arab z trudem unosi się na rękach.

A więc jednak chcesz dopiąć swego. Zabijesz i mnie?, pyta.

To zależy.

Od czego?

Od tego, co tutaj, do cholery, robisz, warczę. A gdy nie otrzymuję odpowiedzi dorzucam:

Wiesz, po co tu przyszedłem. Przyszedłem tu, aby wyrównać rachunki z Paczką.

Arab śmieje się głucho.

Głupiec! Byłem głupcem, że zwątpiłem w twoją determinację, chłopcze.

Skrzeczy i opada ciężko na posłanie z worków.

W takim razie z przykrością stwierdzam, że także mnie wkrótce będziesz podrzynał gardło.

Samuel, Rammy, Dharma i Arbore, myślę.

Samuel, Rammy, Dharma i Arbore, wylicza Arab.

Można powiedzieć, że jestem ojcem całej czwórki.

## 8

Kręci mi się w głowie. Oddałbym każdą rzecz za łyk alkoholu, za łyk haszyszowego dymu, za cokolwiek, co przytępiłoby zmysły.

Przesypuję ziarna pszenicy pomiędzy palcami. Z garści pszenicy unosi się kojąca ziemista nuta.

Przed wojną pracowałem w firmie zajmującej się produkcją zestawów przeżycia. Bogacze zamawiali u mnie specjalne kapsuły gwarantujące bezpieczeństwo w każdych niemal warunkach, bo myśleli, że w chwili, w której wybije Godzina Zero, dzięki nim ich złote karty kredytowe utrzymają swoją moc.

Pszenica, trzymam się kurczowo jej ostrej woni.



Wiesz, co to karta kredytowa? Nieważne, może to nawet i lepiej.

Pochodnia. Trzask.

To były cudowne lata prosperity. Tuż przed dniem, gdy pierwsze głowice taktyczne przesłoniły słońce, to my trzymaliśmy wszystkie asy w rękę. Dokładnie tuzin asów. Nazwalismy je, uważaj, OvoPod. Wiesz, co to znaczy? Kapsuła Jajo. Jajo! Obraz mitologicznego początku; wchodziliśmy na rynek z niesłychanym zadęciem. A czasy były niespokojne. Od razu znaleźliśmy zbyt. Dwanaście kapsuł w ołowianym pancerzu i dwunastu kupców. Obłowiliśmy się na tym interesie. Tyle że gdy opadły mgły wojny, nikt już nie uznawał dolara za środek płatniczy. Zostaliśmy z niczym. Taki los...

Trzask, syk, trzask.

Wszyscy moi przyjaciele zginęli w pierwszej fali ataku, kontynuuje Arab. Zostałem sam z kilkoma beużytecznymi milionami i dokładnymi danymi położenia Jaj. Co z tego, skoro musiałbym odkopywać je gołymi rękoma? Ale wtedy, Boże, właśnie wtedy los uśmiechnął się do mnie. Spotkałem na swojej drodze czwórkę wojennych dezertersów w pełnym wyposażeniu. I ubiliśmy interes. Ich zbrojne ramię za moją wiedzę. Rozumiesz? Taki mieliśmy układ...

Zapach pszenicy utrzymuje mnie przy zdrowych zmysłach.

A więc nic z tego, co od tylu lat opowiadacie...

Bajki. Bajeczki. Wszędzie popiół, drogi chłopcze. Wszystko, co mamy, pochodzi z któregoś z Jaj. Poza granicami Osady każda rzecz, na której odcisnęła swoje piętno wojna, to szmelc. Radioaktywny półpłynny szmelc. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ryzykowałby wyprawy na te pustkowia, żeby wrócić z niczym. I to dla kogo? Dla garstki biednych obdartusów? Zresztą myślisz, że wyżyłbym z tych wszystkich śrub i zepsutych żarówek, które klienci przynoszą mi w zamian za wszelki towar? Mój bar to instytucja charytatywna. Założyłem go, bo wewnątrz Poczty zżerała mnie nuda. Założyłem go, żebyście mogli do upadłego podglądać swoich bohaterów.

Nie rozumiem tylko dlaczego... Przez tyle lat. Tutaj.

Och, kiedyś zmuszeni bywaliśmy do częstszych przenosin. Nie żyło nam się tak dobrze, jak teraz. Ale w tej okolicy, okolicy, co może cię zaciekawi, noszącej dawno, dawno temu piękną nazwę Kalifornia, zgromadzono blisko siebie kilka kapsuł Ovo. Z twojego punktu widzenia to, że stacjonujemy tu tak długo, to czysty przypadek...

Przypadek, szepczę.

Tak. Przypadek.

A samolot?

Nie ma żadnego samolotu. Rozpuściłem plotki o nim, żeby ludzie mocniej wierzyli w możliwość zbawienia. Żeby wierzyli, że mogą wznieść się ponad to, co przypadło im w udziale.

Wiedziałem. Jak mogliście to zrobić? Jak mogliście nam zrobić coś tak..? Krztuszę się złością.

Zasłużyliście na śmierć!

Arab przerywa mi niecierpliwym gestem.

Ludzie potrzebowali nas! Tępaku, bez naszej pomocy nigdy nie dźwignęlibyście się z kolan. Daliśmy wam czystą wodę i leki, kiedy najbardziej ich potrzebowaliście...

Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Pomogliście podnieść nam głowy, żeby natychmiast przygiąć kark!

Usta Araba wykrzywają się w szyderczym uśmiechu.

Nie martw się, synu, chrypi. Wszystkich nas od czasu do czasu ogarnia zmęczenie. Śmiertelne zmęczenie. I ta rozmowa też mnie męczy.

Pokazuje mi czarne obłe pudełko. Wiesz, co to jest?

Nie.

Sygnalizator. Wystarczy, że wcisnę guzik, i zaraz Paczka zbiegnie tu z bronią gotową do strzału. I wszystko będzie jak dawniej...

Przełykam ślinę. Rozumiem, w jak niebezpiecznej sytuacji się znalazłem. Wiem, że Arab ma nade mną przewagę. Lecz Arab nie spodziewa się, że w odróżnieniu od byle osadnika, ja nie drzę ze strachu przed Paczką. Bez słowa chwytam za złamaną nogę i wykręcam ją z całej siły. Ból paraliżuje Araba, zgrzytając zębami, obejmuje ranne udo.

Sygnalizator wypada mu z rąk. Podnoszę go z triumfem.

W oczach Araba pojawia się niedowierzanie. A zaraz po nim rezygnacja.

Idź, zabij, skoro uważasz to za słuszne, wzdycha. Dzisiaj zatem świętujemy wigilię prawdy... Na górze wszyscy pewnie upili się do nieprzytomności. Widzisz, nie różnią się tak bardzo od twoich ziomeków. Także potrzebują zapomnienia. Idź. Oni śpią. Dziś tylko mnie wystawili na straż. Wszyscy i tak od dawna jesteśmy martwi. Idź, zabij. To, co chcesz zrobić, sprawi jedynie, że świat odrobinę bardziej pochyli się ku upadkowi. Nic poza tym. Głupcze.

Nieprawda, warczę, siadam na wątłej klatce piersiowej i kolanami przytrzymuję ramiona. Nieprawda. Wznoszę nóż. Nieprawda!

Arab pluje mi w twarz.

Z rękoma gorącymi od krwi powoli ruszam schodami w stronę muzyki.

W stronę purpurowej mgły.

Samuel ginie od pojedynczego ciosu.

Podobnie Arbore.

Rammy'ego duszę, długo duszę i w tym duszeniu znajduję niewypowiedzianą rozkosz, bo jego zimne oczy wychodzą z orbit, jak dwa kawałki niebieskiego szkła opuszczające brudną ranę twarzy, a gdy źrenice wreszcie trzepoczą i rozszerzają się, ciało zaś więdnie, widzę w tych zniechęconych źrenicach oczekujące go przepastne pejzaże śmierci.

Pijana Dharma, śmiejąc się jak dziwka, sama rzuca się na mój nóż.

Samuel umiera z różową pianą na ustach.

Arbore umiera, trzymając się za drobne piersi.

Rammy umiera z głową odrzuconą w tył.

Dharma umiera bez słowa skargi.

## 9

Kiedy już jest po wszystkim, wracam do lepianki Myx i wsuwam się pod szorstki koc. Skórę ma wywróconą jakby na drugą stronę, dotyk materiału boli. Ale to słodki ból. Zrobiłeś to, pyta Myx. Tak, zrobiłem. Odwracam ją ku sobie, całuję mocno. Rękoma proszę o wybaczenie i Myx się dla mnie otwiera.

Nic już nie będzie takie samo, prawda?

Wszystko będzie nowe.

Powoli zdejmuję z siebie ubranie. Świat pędzi ku nieznanemu celowi. Kochamy się.

Cztery ciała stygną, cztery ciała sztywnieją. Śmierć wszelkim bohaterom, jęczę Myx do

ucha i Myx zanosi się cichym płaczem. Przytulamy się. Nasze serca tłuką o siebie w najdzikszym galopie. W chwili uniesienia Myx krzyczy wysoko. Świnie ochoczo podchwyting ten krzyk.

Nie liczy się nic. Tylko my. Tylko człowiek.

Tuż przed zaśnięciem kołyszę Myx w ramionach.

Szeptę do jej ucha:

Jutro wstanie nowy dzień. A z nim nowe nadzieje.

Niczego nie żałuj. Nikomu nic nie mów.

Ludzie sami muszą na powrót odnaleźć własną drogę.

Jutro zmyję z siebie skrzepłą krew.

Tak być musi.

Jutro.

# Rafał Kosik

## MIASTO PONAD I POD

Kolejny atak gorączki nie do wytrzymania.

Na osiemdziesiątym piątym piętrze betonowej wieży, w wielkim łożu z czarnego dębu gubernator Bermongate, Norman La Verne, toczył nierówną walkę z nieznaną chorobą. Stężała twarz błyszczała od potu, siwe kosmyki lepiły się do czoła. Niewidzące oczy wypatrywały demonów, sine wargi powtarzały nieme słowa. Zaciśnięte palce konwulsyjnie szarpały mokrą pościel. Służąca, wyczerpana wielogodzinnym siedzeniem przy chorym, zwilżyła chustę, by otrzeć pot i schłodzić głowę gubernatora. Medyk przygotowywał kolejny zastrzyk, choć wiedział, że żadne lekarstwa nie pomogą. Szósty atak w ciągu miesiąca, a każdy kolejny silniejszy od poprzedniego.

Rebeca La Verne, żona gubernatora, stała przy drzwiach i patrzyła na męża w milczeniu. Jak wykuta z kamienia. Zaciśnęła usta, gdy gubernator ze świstem wciągnął powietrze. Zaraz niewidzialne demony na długie godziny zapanują nad jego umysłem, by miotać opuszczonym ciałem.

Odwróciła się i wyszła.

\* \* \*

Niebo gasło z wolna. Ze wschodu nadciągała fala granatowej ciemności i szybko robiło się chłodno. Wyludnionymi ulicami, wśród czarnych ruin, pół metra nad ziemią płynął ciężko kanciasty grzmobil. Miał wygaszone światła pozycyjne i gotowe do strzału działka burtowe. Nie było jednak chętnego do ataku. Być może nie było nikogo.

Pancerz pojazdu pokrywała gruba warstwa kurzu. Brudu, zbieranego przez setki kilometrów, nikt nie próbował ścierać nawet z szyb, choćby po to, żeby zabić nudę monotonnej podróży. Podczas długiej drogi otoczenie zmieniało się wolno, niezauważalnie. Zmiany były płynne, każdego dnia mijany krajobraz różnił się odrobinę od wczorajszego. Kierującego pojazdem mężczyzny nie obchodziło to. Zazwyczaj nie obchodziło go nic ponad minimum niezbędne do przeżycia. I do rozrywki. Rozrywka pomagała w przeżyciu, więc wychodziło na jedno – taką przynajmniej miał teorię. Istotne zmiany dotyczyły tylko stanu prawnego danego rejonu.

Teraz to Bermongate. A w Bermongate nie wolno było sprzedawać, posiadać, hodować, ba, nawet mówić nie było wolno o narkotyku zwanym anielskie skrzydło. Za posiadanie jednego grama trafiało się do miejsca, o którym lepiej nie wspominać, na czas, którego lepiej nie liczyć.

W ładowni leżały dwie tony.

Podróżnik zjechał z głównej ulicy lub raczej z czegoś, co główną ulicą było kilkaset lat wcześniej. Mimo że był już blisko celu, nie chciał podróżować nocą. Chwilę kluczył mrocznymi uliczkami, omijając wrośnięte w podłoże wraki i resztki drzew, których mieszkańcy nie ścięli jeszcze na opał. Kilka przecznic zupełnie opuszczonych domów, czasem tylko jakiś cień przemykał na tle wybebeszonych budynków. Umarłe miasto.

Trzy kilometry dalej wróciło życie. Nieśmiało świeciło kilka neonów. Napotkani ludzie

przyglądali się podejrzliwie brudnej maszynie i strachliwie wycofywali w cień bram.

Jeśli wierzyć wymalowanemu na elewacji białemu prostokątowi, hotel zajmował cztery kondygnacje ponadstupiętrowego budynku. Ponad hotelem ziały czernią otwory strefy niczyjej, a czterdzieści pięter wyżej, bijącym z eleganckich okien światłem, zaczynało się królestwo możnych.

Gravmobil usiadł miękko na betonowym podejździe hotelowego parkingu, obok kilkakrotnie cięższych transporterów. Właz z sykiem otworzył się i wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna sprawnie wyskoczył na ziemię. Rozejrzał się i sprężystym krokiem ruszył do wejścia.

Recepcja była kwintesencją obskurności, ale na gościu nie zrobiło to żadnego wrażenia. Kładł się spać w miejscach, w jakich inni nie potrafili się obudzić. Recepcjonista, pasujący do scenografii jak pies do budy, wytoczył z zaplecza swoje starcze ciało i spojrzał na przybysza szparkami oczu w obwisłej twarzy, przypominającej wyciągniętą na powierzchnię rybę głębinową.

- Osiem godzin - rzucił zachrypniętym głosem olbrzym.

Starzec artretycznym palcem wskazał szczelinę terminala.

Na potrzeby tej podróży mężczyzna posługiwał się kluczem wystawionym na nazwisko handlarza oliwy z południowej Camitii. Handlarz od kilku dni stanowił integralną część fundamentu pewnego budynku. Nowy właściciel klucza nazywał się Aghenor i nie pamiętał już ani budynku, ani poprzedniego właściciela. Zbędne informacje są zbędne.

Wsunął złącze klucza w szczelinę. Sto pięćdziesiąt jednostek w okamgnieniu przepłynęło do sejfu gdzieś w podziemiach hotelu. Mimo postępującego upadku Miasta system wciąż działał.

- Chcesz dziewczynę? - rzucił bynajmniej niezachęcającym tonem recepcjonista.

- Przekonałeś mnie.

Klucz ponownie powędrował do czytnika.

- Dwa razy więcej niż pokój - zauważył Aghenor.

- Bo pokój dwa razy wolniej się starzeje.

Nie był wart swojej ceny, ale różnica nie była warta awantury. Zmęczenie czyni każdego mniej wymagającym. Byle dało się spać. Wystarczyło więc twarde łóżko i okno wychodzące na śmietnik, choć szyba była tak brudna, że mogło za nią być cokolwiek. Pysznic działał. Niestety lało się z niego coś zimnego w kolorze ścieków z piętra wyżej. Ale się lało. Aghenor śmierdział tak, że jemu samemu zaczynało to już przeszkadzać. Zdarza się, szczególnie po tygodniu podróży pojazdem bez klimatyzacji.

Ustawił na parapecie panel alarmu gravmobila.

Pukanie do drzwi przypomniało mu, że zapłacił również za dziewczynę. Szkoda, teraz miał ochotę tylko na sen. Schował broń do szuflady i przyciskiem otworzył drzwi. Miękko prześlizgnęła się między nim a ścianą. Błysnęły mocno podkreślone czernią oczy. Obrzucił ją wzrokiem. Blondyna pośledniej urody, ale przynajmniej zgrabna. Może jednak nie był aż tak śpiący?

Usiadła na brzegu łóżka i zajęła się oglądaniem swoich długich czerwonych paznokci.

- Rozbierz się - polecił.

Nie patrząc na niego, nacisnęła przycisk przy kołnierzu pufiastej kurtki – z cichymi psyknięciami odskoczyły klamerki w kurtce i butach. Zważywszy jej profesję, było to bardzo praktyczne rozwiązanie. Dziewczyna znużonymi ruchami zdjęła kurtkę, buty i elastyczną

sukienkę. Jednocześnie bieliznę ściągnęła jednym wyćwiczonym gestem.

W łóżku czekała na nią niespodzianka. Kilka minut i w objęciach mięśni ramion z chłodnej lalki zamieniła się w kochankę dyszącą z dawno niezaznanej rozkoszy.

Cicho piknął panel alarmu. Aghenor czujnie uniósł głowę. Dziewczyna pociągnęła go za kark, by kochał się z nią dalej. Odepchnął ją i zerwał się z łóżka. Gdy próbowała go zatrzymać, uderzył ją w twarz. Osunęła się na podłogę. A on narzucił ubranie, wyjął z szuflady broń i wybiegł na korytarz. W kilka sekund znalazł się w hallu i przez wąskie okno wyjrzał na parking. Oświetlenie nie działało, ale i tak widział trzy cienie kręcące się przy pojeździe. Przełączył blokadę na rękojeści miotacza. Z cichym buczeniem aktywował się rdzeń. Lewą ręką wyjął z pochwy krótki, składany miecz i nacisnął przycisk. Ostrze otworzyło się, złożyło z trzech części i zaskoczyło z metalicznym kliknięciem. W hallu nie było nikogo. Recepcjonista siedział pewnie za szafą w najdalszej części biura i udawał, że właśnie jest gdzieś bardzo daleko stąd.

Dwie postacie majstrowały przy klapie ładowni, trzecia oglądała właz kabiny. Jeśli był ktoś jeszcze, to dobrze ukryty. Aghenor zmniejszył moc miotacza do piętnastu procent. Wiązka powinna przejść przez szybę i nie zniszczyć jej. Zyska tym kilka sekund zaskoczenia. Zagryzł wargi, ponownie wyjrzał przez okno i bez precyzyjnego celowania strzelił w najbliższą postać. Rozległ się zduszony krzyk i odgłos upadku. Kciukiem zwiększył moc, obrócił się na pięcie i wypadł przez drzwi. Dwaj pozostali złodzieje stali do niego bokiem, wciąż zastanawiając się, skąd padł strzał. Pierwszy z nich otrzymał odpowiedź ułamek sekundy później, kiedy wiązka elektromagnetyczna przeszła go na wylot i pozbawiła przy okazji połowy wnętrza. Aghenor zaklął, widząc dziurę wyszarpaną w pancerzu pojazdu. Trudno, potem się tym zajmie. Pół sekundy na doładowanie rdzenia. Za długo. Rzucił się w bok, przekoziółkował za zaparkowany najbliżej wejścia transporter. Wiązka z blastera trzeciego złodzieja rozprysła się z sykiem na stalowym wsporniku wejścia dokładnie tam, gdzie przed chwilą stał Kangeryjczyk. Metal rozgrzał się do czerwoności. Aghenor przeczołgał się przed kanciasty dziób transportera i obejrzał dymiącą dziurę z tyłu pojazdu. Złodzieja nie było. Podwozie opierało się na ziemi, więc nikt się tam nie ukrył. Aghenor wstał i oparł się plecami o blachę transportera. Nasłuchiwał. Tamten mógł być wszędzie. Olbrzym na palcach przesunął się bliżej tyłu pojazdu, ale blachy pod podszewami i tak robiły dość hałasu. Skradanie się nie miało sensu. Przebiegł szybko za następny transporter. Błysk – i oderwany kawałek karoserii przeleciał mu nad głową. Kangeryjczyk przypadł plecami do rufy pojazdu. Skąd padł strzał? Szybko wychylił się, omiótł parking wzrokiem i wrócił na poprzednie miejsce. W pamięci został drgający trup bez połowy korpusu i gra cieni w załomach budynku.

Przezucie. Ta niematerialna funkcja rzeczywistości, dzięki której dożył swoich dwudziestu ośmiu lat. Rzucił się w bok dokładnie w chwili, gdy kolejna wiązka blastera śmignęła w jego stronę. Ładunek musnął osłonę ramienia, rozpruwając rękaw kurtki i ledwo osmalając kevlar. Tamten stał na dachu pojazdu. Aghenor strzelił w pół przewrotu. Ładunek poszybował w niebo i rozbłysnął gdzieś ponad budynkami. Na drugi strzał nie było czasu. Kangeryjczyk szybko przetoczył się po ziemi, odbił od burty następnego pojazdu i skoczył w górę, wyrzucając przed siebie ramię z mieczem. Rozciął bok tamtego i wbił ostrze w jego klatkę piersiową. Przeciwnik chciał krzyknąć, ale z głębokiej rany wydobył się jedynie świszczący bulgot. Wypuścił broń i runął na ziemię. Aghenor przykucnął i czujnie rozejrzał się. Nie było czwartego złodzieja albo już uciekł.

Kangeryjczyk biegiem wrócił do pokoju. Dziewczyna ocknęła się już i klęczała na

podłozde. Próbowwała przypomnieć sobie, co zaszło. Ujrzała nad sobą ogromnego mężczyznę w starej wojskowej kurtce, z zakrwawionym mieczem w dłoni. Wcisnęła się między szafkę nocną a łóżko.

- Nie mam z nimi nic wspólnego - krzyknęła, zasłaniając się rękoma.

- Ale mogłaś mieć. - Ruchem jakby od niechcienia uniósł miecz i przyjrzał się kapiącym kroplom krwi. - Kim oni byli?

- Nie wiem, nie wiem... - Przypadła do niego na klęczkach i objęła jego nogi.

- Więc wymyśl.

- Nie mam pojęcia... - Dziewczyna płakała, wpijając się w jego nogawkę. - Nie wiem, co chcieli ukraść.

- A zatem skąd wiesz, że chcieli coś ukraść?

Odpowiedź nigdy nie padła. Aghenor machnął mieczem – blondwłosa głowa pacnęła o dywan i potoczyła się jak świeży arbuz. Wytarł ostrze o zasłonę i złożył je. Klęczące dziewczęce ciało przechyliło się i upadło nieopodal własnej głowy. Kangeryjczyk stracił już jednak zainteresowanie towarzyszką miłych chwil w łożu. Zebrał do plecaka swoje rzeczy i wybiegł z pokoju. Tej nocy nie będzie chyba spał.

Kiedy dopadło go kolejne przecucie, było za późno na cokolwiek. Chłodną nocą stał na parkingu i patrzył w osiem luf wycelowanych w swoją pierś.

Tak, zdecydowanie tej nocy nie będzie spał.

\* \* \*

- Dlaczego jeszcze żyję? - zapytał, patrząc w oczy mężczyzny, siedzącego na wprost w kabinie policyjnego transportera.

Tamten obserwował go zza nieprzejrzystej przyłbicy hełmu. W kompozytowej zbroi był wielki, ale jednak nie tak potężny jak Aghenor w prostym, lekkim pancerzu.

- Bo takie jest prawo - rzucił po dłuższej chwili policjant i przełożył długolufowy miotacz do drugiej ręki.

Aghenor zaśmiał się chrapliwie.

- Istnieje tylko jeden powód – potrzebujecie mnie.

- Milcz. Takie jest prawo. Masz prawo do milczenia.

Przez resztę drogi nikt się nie odezwał.

\* \* \*

- Potrzebujemy cię. - To zdanie wybudziło Aghenora z krótkiej drzemki, w jaką zapadł po zastrzyku. Co mu wstrzyknęli? Nie miał pojęcia, ale kąty proste zamieniły się w krzywe, a kolory stały się czymś zupełnie innym.

- Potrzebujemy cię - powtórzył głos.

Elementy rzeczywistości powoli wskakiwały na swoje miejsca. Cella? Nie, sala przesłuchań. Betonowe ściany, jasne punktowe lampy wciśnięte w niski sufit, kajdanki skuwające nadgarstki za oparciem krzesła, krzesło przykręcone do podłogi. Lepiej przeczekać.

Dwóch facetów. Eleganckie garnitunki to pewnie wymóg zawodu, ale ruchy mieli nie dość twarde, by traktować ich poważnie. Wyglądali raczej słabowicie. Na razie to bez znaczenia.

- Nie martwi cię, co grozi ci za przemyt takiej ilości anielskiego skrzydła? - odezwał się niższy.

Chwila na zastanowienie, ale Aghenor wykorzystał ją na lustrację otoczenia. Kąty proste powoli wracały. I tak nie da się wyjść.

- Bardziej martwi mnie, jak zareaguje adresat, kiedy ładunek nie dotrze w wyznaczonym terminie - odpowiedział.

- Może pomyśl o tych, których zabiłeś.

- Złodzieje. Chcieli tego samego, co wy.

- To nie byli złodzieje, tylko nasi ludzie. Zamierzali cię aresztować.

- Mieli pecha. Nie myślę o tych, których zabijam. Szkoda pamięci. Żołnierz na wojnie...

- Policjant na służbie.

- Nie widzę różnicy.

- Zobacysz. Po piętnastu latach w wilgotnej celi zobacysz.

- Skończmy tę rozmowę. Czego chcecie?

- Zrobisz pewną rzecz.

Aghenor zaśmiał się chrapliwie, odrzucając głowę w tył.

- Zrobisz - powtórzył garniturowiec. - W przeciwnym wypadku nigdy więcej nie zobaczysz słońca.

- A co niby mam zrobić?

- Kto inny ci powie.

Aghenor parsknął śmiechem.

- Tracę tylko czas - rzucił. - Ty przecież nic nie wiesz, pionku.

Wyższy garniturowiec wciąż się nie odzywał. Przypalił papierosa. Niższy podszedł do więźnia.

- Jestem oficerem, prostaku.

- Nie wyglądasz na oficera.

- Licz się ze słowami, przemytniku.

- Tylko zabawiasz mnie tutaj przed właściwą rozmową, kapralu.

Tamtemu puściły wreszcie nerwy. Z rozmachem wałnął Aghenora pięścią w twarz. Wyższy doskoczył i odciągnął kolegę, nim ten zdążył uderzyć ponownie.

- Nie panujesz nad sobą, kapralu. - Aghenor splunął krwią. - Kto z ciebie zrobił oficera?

- Ja. - Aghenor dostrzegł cień, zarys postaci odcinającej się na tle jasnego prostokąta otwartych drzwi.

Zapadła cisza, w której wysoka, smukła kobieta miękkim krokiem wkroczyła do sali. Była piękna, zdecydowanie piękna. Ciemne lśniące włosy upięła kościaną spinką. Dalej spływały falami na ramiona i niżej, do połowy pleców czerwonej, haftowanej srebrną nicią sukni. Kobieta musiała być kimś bardzo ważnym, bo obaj garniturowcy ukłonili się i cofnęli pod ścianę. Stała na wprost Aghenora i wpatrywała się w niego czarnymi oczyma.

- Nazywam się Rebeca La Verne i jestem żoną gubernatora Bermongate - oznajmiła. Odczekała chwilę, a kiedy więzień wciąż milczał, dodała - widzę, że z ogłada u ciebie nie najlepiej. Naprawdę pochodzisz z okolic tak dzikich, że kultura jest tam równie rzadka jak gotowane mięso? Zwą cię Aghenorem z Kangerii?

Skinął głową.

- Zabił trzech naszych - wysyczał „kapral”.

- Nie byli dość dobrzy, Bothis.

- Byli najlepsi.

- Tym lepsza rekomendacja dla niego. - Wskazała głową więźnia. - Rozkujcie go.



Wszyscy trzej spojrzeli na nią uważnie.

- To barbarzyńca... - przypomniał wyższy garniturowiec.

- Dalej, Lauda, zrób to. - Kobieta ledwo wyczuwalnie podniosła głos.

Wezwany z ociąganiem podszedł do krzesła i rozpiął kajdanki. Kangeryjczyk wstał i roztarł nadgarstki. Chwilę rozważał szanse ucieczki, ale uznał, że są bliskie zera. Był na pięćdziesiątej kondygnacji potężnej, betonowej wieży. Może wyżej. Za daleko do wyjścia, nawet gdyby wziąć zakładnika.

Kobieta skinęła na niego głową i wyszła. Aghenor ruszył za nią. Stojący dotąd za drzwiami opancerzeni gwardziści podążali kilka kroków za nimi. Rebeca La Verne nie bała się Kangeryjczyka, co w pierwszym momencie zaskoczyło go. Może była pewna sprawności gwardzistów? Aghenorowi krążyło po głowie kilka scenariuszy obezwładnienia ich i odebrania broni, nim padnie choćby jeden strzał. Nie miał za to żadnego pomysłu, co zrobić później. Nie zrobił więc nic.

Windą wjechali kilkadziesiąt pięter wyżej, potem przez rozsuwane drzwi weszli do dużego gabinetu, wyłożonego ciemnym drewnem. Przyćmione światło wydobywało z mroku wielki stół, biurko, kilka foteli. Antyki. Elegancka biblioteka zajmowała jedną ze ścian, druga była zasłonięta purpurową kotarą.

- Zostawcie nas - poleciła kobieta.

Gwardziści wykonali polecenie bez zdziwienia ani wahania. Drzwi zasunęły się za nimi z cichym sykiem. Aghenor musiał przyznać, że w tym świecie chaosu budynek jest w świetnym stanie. To oznaczało, że włodarze Bermongate są bogaci i sprawnie posługują się starymi technologiami.

- Masz rację - odezwała się kobieta. - Potrzebujemy cię.

Wpatrywała się w Aghenora nieprzeniknionym wzrokiem. Dała dyskretny znak ręką i zza ukrytych we wnęce drzwi wyszła młodzianka służąca ze srebrnym dzbanem. Nie odrywając wzroku od podłogi, nalała wino do dwóch kielichów, podała je i ukloniła się. Aghenor skosztował. Było wyśmienite, więc wlał je w siebie i odstawił puste naczynie na stół. Tempo, w jakim to zrobił, zaskoczyło obie kobiety. Na znak swojej pani, służąca dołała wina i wyszła z sali. Tym razem Aghenor upił tylko łyk i zagapił się bezczelnie na Rebecę La Verne. Nie okazała zmieszania.

- Dwa dni drogi na zachód leży rejon zwany Rotherford - zaczęła. - Władający nim od pięciu lat Samuel Giddens posługuje się nowymi technologiami nie gorzej niż starymi. Łączy te dwie siły i niebezpiecznie rozciąga strefy wpływów na sąsiednie rejony. Zbliża się do naszych granic i pewnie ma zamiar je przekroczyć, choć oczywiście zapewnia nas o dozgonnej przyjaźni.

- Dozgonnej... - Aghenor wyszczerzył zęby.

- Rozwijają się zdecydowanie zbyt szybko, byśmy mogli na to spokojnie patrzeć. Ale to nie jest zadanie dla ciebie. Ty masz usunąć jednego człowieka. Jest niebezpieczny i zapewne doskonale strzeżony. To telepata.

- Telepata to taki ktoś, kto czyta w myślach innych - zauważył Aghenor. - Załóżmy, że podejmę się tej misji. On będzie o tym wiedział.

- Nie rozumiesz swojego położenia, barbarzyńco. - Rebeca La Verne uśmiechnęła się niemal pobłaźliwie. - Nie masz wyjścia. Chyba że chcesz zgnić w moich lochach. Nie ma więc wątpliwości, że rozmawiamy teraz wyłącznie o szczegółach technicznych, prawda? Nie przeceniaj umiejętności telepaty. Widzi więcej niż ja albo ty, ale nie jest wszechwiedzący. Ma

zginąć. Nieistotne, jak to zrobisz. Ważne, żeby zginął.

- Dlaczego pragniesz jego śmierci?

Rebeca La Verne podeszła do ściany z kotarą. Pociągnęła za sznur. Światła przygasły, a kotara rozsunała się na boki. Za wielką szybą był podobnej wielkości pokój, niemal identycznieumeblowany. Różniło go wielkie łóże z wyrzeźbionymi w czarnym dębie czterema słupami podtrzymującymi baldachim. W łóżu spoczywał mężczyzna. Spał, ale nawet teraz, nawet zza szyby Aghenor widział jego słabość. Ten człowiek był śmiertelnie chory. Zapadł się w poduszkę, jakby ziemia już go wzywała.

- Telepata wchodzi do umysłu mojego męża i powoli zabija go - powiedziała zmienionym tonem Rebeca La Verne. - Pomóż mi go uratować. On umrze, jeśli nie powstrzymamy telepaty.

Gdyby liczyła, że tą scenką wzbudzi litość czy współczucie Aghenora, byłaby naiwna. A nie była. Dlatego przeszła szybko do kolejnego punktu.

- Jeśli dopadniesz telepatę, zapomnimy o wszystkim, co zrobiłeś. Będziesz czysty jak łąza i wolny jak... po prostu wolny.

Kotara zasunęła się. Aghenor długo milczał, a Rebeca La Verne nie ponaglała go.

- To nie jest dobry układ - odezwał się wreszcie.

Kobieta podeszła bliżej, położyła mu drobną dłoń na ramieniu i spojrzała prosto w oczy. Na twarzy czuł jej oddech.

- Możesz też liczyć na dodatkową nagrodę...

Aghenor odsunął jej dłoń.

- Zabrałaś mi wszystko - rzucił wściekły. - Nie wpadłem przypadkiem, to była pułapka. Teraz proponujesz mi jedną z rzeczy, które miałem jeszcze kilka godzin temu – wolność, w zamian za misję, którą najpewniej przypłacę życiem. To nie jest dobry układ.

- Jesteś bezczelny! - Odsunęła się.

- Chcę wynagrodzenia za dostarczenie anielskiego skrzydła.

Kobieta parsknęła.

- Przemycasz do Bermongate narkotyki, który niszczy umysły naszych obywateli, i chcesz za to nagrody?

- Tak właśnie, pani. To czynię. Wróćmy jednak do nagrody. Założmy, że przeżyję misję i odejdę jako wolny człowiek. Wtedy Sathva opłaci morderców, którzy zaczną mnie ścigać. Będę potrzebował pieniędzy, żeby się przed nimi ukryć lub ich zabić.

- Powiedzmy, że najpierw my zabijemy Sathwę.

- Wówczas będę potrzebował pieniędzy na piękny wieniec pogrzebowy.

- Nie kpij sobie, więźniu! - zaostrzyła ton, a w jej spojrzeniu coś się zmieniło.

- To moje warunki, pani. Albo je spełnij, albo od razu wtrąć mnie do lochów. Mógłbym cię teraz zabić.

- Mógłbyś. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Ale wiesz, co stałoby się potem.

- Sądzisz, że się obawiam o swoje życie?

- Sądzę, że nie jesteś głupi i potrafisz odróżniać czyny sensowne od tych sensu pozbawionych.

- Pozwól, że zapytam: czemu nie wyślesz tam dużego oddziału, który z zaskoczenia przebiję się do apartamentów owego telepaty?

- Nie chcemy wojny. Wojna się nie opłaca. Ani nam, ani im.

- Czyż to - głową wskazał kotarę - nie jest wypowiedzeniem wojny?

- Wojny są różne, ale handel musi się odbywać jak zawsze. Handel to jedna z ostatnich

spoin Miasta. Jeśli zaatakujemy otwarcie, wszyscy stracimy, a jest mocno wątpliwe, czy dotrzemy do samego telepaty. Ale gdy zabijemy go z chirurgiczną precyzją, osiągniemy pożądaną efekt i nie stracimy zysków.

- Będą wiedzieli, kto go zabił.

- Tak jak i my wiemy, kto zabija mojego męża. Oni wiedzą, że my wiemy, my wiemy, że oni wiedzą, że my wiemy, że wiedzą i tak dalej. Jak już mówiłam, wojny są różne. Nie znasz się na polityce, więc o tym nie myśl, bo tę wiedzę zgłębia się latami. Plan jest gotowy. Ty go musisz tylko zrealizować.

Aghenor patrzył na nią zimnym wzrokiem. Jej twarz drgnęła.

- Dobrze - wycodziła przez zęby. - Dostaniesz swoją nagrodę. Po wykonaniu misji.

- Połowa teraz, połowa później.

- Targujesz się ze mną? Nie przeciągaj struny.

- Nie targuję się, pani. Czekam, aż się zgodzisz na moje warunki.

- Zgoda, barbarzyńco, czas ucieka. Ale nie prosz o więcej.

Nachyliła się nad stołem i dotknęła pierścieniem jednego z metalowych nitów zdobiących krawędź. Nad blatem pojawił się świetlny hologram, zarys kawałka miasta, w tej postaci nieodróżnialny od innych jego fragmentów. Trzy wieżowce, najwyższy przypominał strzelistą piramidę schodkową: co kilka kondygnacji nieznacznie zwężał się. Wieńczyła go imponujących rozmiarów kopuła i skomplikowana iglica. Wokół stało parę zdecydowanie niższych budynków.

Rebeca La Verne trąciła dłonią widmowy obraz i ten począł się wolno obracać.

- Trzy wieże - zaczęła. - Najniższa to biura i pokoje gościnne. Druga to koszary. Trzecia, najwyższa, to Grenmoore, twierdza właściwa. Tam, na górnych piętrach przebywa Samuel Giddens, jego świta i nasz cel, czyli telepata. Problem polega na tym, że do trzeciej wieży można się dostać tylko mostem z drugiej, a do drugiej tylko mostem z pierwszej. Zbrojny oddział nic nie wskóra. Trzy wieże może zdobyć albo wielka armia, albo... to misja dla dwóch osób.

- Chcesz mi dać partnera? - Aghenor zaśmiał się. - Tak samo zdolnego jak tamci trzej sprzed hotelu? Kogoś bardzo nie lubisz, pani.

Rebeca La Verne dała znak i drzwi rozsunęły się. Do gabinetu weszła drobna, rudowłosa kobieta w prostej sukni. Skłoniła głowę przed Rebeką La Verne i spojrzała z wyższością na Kangeryjczyka. Ten omiół ją uważnym spojrzeniem i ocena wypadła pozytywnie. Nowo przybyła miała pełne kształty i poruszała się z wrodzoną gracją.

- Sądziś, pani, że nie zabiję kobiety? - Aghenor zwrócił się do Rebeki La Verne.

- Twój profil psychologiczny mówi, że nie. To Keri Carpentry. Wspólnie z nią wykonasz misję.

Aghenor patrzył obojętnie na dziewczynę. Czyżby nie sprawdzili pokoju hotelowego? Potem dokładniej przyjrzał się Keri. Jej spojrzenie nieco złagodniało, w oczach mignął strach. Odwinęła rękaw z lewego przedramienia.

- Na wypadek, gdyby profil był niepełny - wyjaśniła.

Powyżej nadgarstka znajdowała się szeroka parciana opaska z podłużnym urządzeniem wyposażonym w kolorowy wyświetlacz i kilka przycisków. W paski materiału wpleciono miedzianą siatkę, zapewne pozwalającą wykryć próby jej rozcięcia.

- Mierzy puls - dodała szybko Keri. - To gdybyś uznał, że dobrym pomysłem jest obcięcie mi ręki.

- Będziecie udawać parę - uśmiechnęła się Rebeca La Verne. - Za trzy dni w Rotherford rozpoczynają się rozmowy handlowe. Prezydent Bromeland wysłał nowych przedstawicieli. Mieli pecha przejeżdżać przez nasz rejon. Jesteście do nich podobni. - Z szuflady biurka wyjęła dwa klucze. Położyła je na stole i pchnęła w stronę Aghenora i Keri. - Wasza nowa tożsamość. Handlujecie wolframem.

- Nic nie wiem o wolframie - zauważył Aghenor.

- Nie musisz. Do rozmów nie dojdzie. Misję wykonaj, nim rozpocznie się część oficjalna. To wszystko. Możecie odejść.

- Wszystko? - zdziwił się Aghenor. - Gdzie dokładnie jest telepata? Jak wygląda? Jak się nazywa? Jak się dostać do trzeciej wieży? Jak do drugiej?

- Tego musisz się dowiedzieć sam.

Hologram zniknął. Drzwi rozsunęły się i do sali weszło dwóch strażników w zbrojach. Rebeca La Verne wyniosłe odwróciła głowę i stało się oczywiste, że rozmowa jest skończona. Aghenor i Keri schowali swoje klucze i wyszli. Na zewnątrz czekał na nich Bothis.

- Mam ci udzielić daleko idącej pomocy - wyszczał, patrząc na Aghenora z nieskrywaną wrogością.

- To świetnie. Prowadź do zbrojowni.

- Nie planujemy bitwy. Idziesz na bal.

- Nie planujecie bitwy... - Aghenor spojrzał na niego pobłaźliwie. - Siedzicie tu na tyłkach, więc tym bardziej nie musicie żałować mi sprzętu. Ja idę na bal, który może się zamienić w bitwę.

- Trzymaj się planu, dla dobra wszystkich.

- Dla dobra wszystkich będę się trzymał planu. A ty dla dobra wszystkich zaprowadzisz mnie teraz do zbrojowni.

\* \* \*

Parking podziemny był oddalony od wieży o pół kilometra. Aghenor i Keri w asyście strażników dotarli tam systemem tuneli. Czekał już na nich czerwony opływowy Diamand. Na pewno drogi, na pewno elegancki, ale Kangeryjczyk miał wątpliwości, czy dość solidny. Pojazd musiał mieć jednak dobre zabezpieczenia, bo Rebeca La Verne nie naraziłaby misji. Aghenor przejechał dłonią po karoserii. Był w podłym nastroju. By dopasować się do wizerunku handlarza, musiał zostawić niemal cały swój ekwipunek, w tym lekki pancerz, który już wiele razy uchronił go od poważnych ran. Zabrano mu też broń, z wyjątkiem składanego miecza, na który się uparł. Na domiar złego za partnera dano mu kobietę zachowującą się jak rozkapryszone dziecko. Zamiast starego stroju wojskowego dostał frymuśny kombinezon podróżny, jaki zwykli nosić niedawno wzbogaceni handlarze. Nie był zbyt praktyczny, bo i jego zadaniem było zachowanie względnej elegancji i higieny podczas kilkudniowych podróży. Miał funkcję samooczyszczenia i wchłaniania zapachów, ale nie mógł współpracować z aktywną zbroją ani maskować właściciela przed czujnikami termicznymi. Jeszcze większy niesmak Aghenora wzbudziła zawartość bagaży – elegancki garnitur z cienkiej wełny i kaszmirowy płaszcz. Cały ten kamuflaż zdecydowanie nie był mu w smak.

Prócz kilku strażników przy pojeździe stali Lauda i Bothis. Niższy mężczyzna wręczył Kangeryjczykowi srebrny neseser.

- Przejrzyj po drodze. Jeśli umiesz czytać, prostaku. Jakies pytania?

- Tylko jedno - powiedział Aghenor i bez ostrzeżenia walnął go pięścią w twarz. - Jak samopoczucie?

Popchnięty, poleciał na ścianę i upadł. Strażnicy sięgnęli po broń, ale Lauda powstrzymał ich gestem.

- Potrafisz robić sobie wrogów - wycedził. - Jedź już, nim będzie ich zbyt wielu nawet dla ciebie.

Bothis podnosił się wolno, ocierając usta z krwi. Aghenor nie czekał. Wsiadł do pachnącego skórą wnętrza, uruchomił silnik i położył potężne dłonie na miękkiej kierownicy. Pojazd bezgłośnie uniósł się kilkanaście centymetrów i posłusznie skierował do bramy. Siedząca obok Keri patrzyła na mężczyznę z mieszanką pogardy i obrzydzenia. Nie dbał o to.

Szyby przyciemniły się automatycznie, ale i tak Aghenor musiał zmrużyć oczy.

Za dnia twierdza Bermongate robiła wrażenie. Stukondygnacyjna, prostokątna wieża miała zabetonowane na gładko kilka najniższych kondygnacji. Na wypadek oblężenia wyburzono okoliczne budynki, by oczyścić przedpole i nie ułatwiać życia wrogom. Jedyne wejście prowadziło przez pancerne drzwi, chowające się w strop dzięki siłownikom hydraulicznym. Dookoła rozmieszczono cztery strażnice w kształcie betonowych grzybów. Były łatwe do zniszczenia od strony wieży, na wypadek gdyby zostały zdobyte. Regres technologii i struktur społecznych sprawiał, że fortyfikacje upodabniały się do tych średniowiecznych. Za to miasto wokół wyglądało jak enklawa dobrobytu w świecie pustki i chaosu. W obrębie kilku okolicznych przecznic ludzie mogli bezpiecznie chodzić ulicami. Większość mieszczan nie miała nawet broni. Ale już pół kilometra dalej stał wysoki mur ze stalową bramą i potężnie ufortyfikowanym posterunkiem.

Przepuszczono ich bez sprawdzania.

Po drugiej stronie świat wyglądał normalnie. Normalnie dla Aghenora, bo Keri rozglądała się ponuro. Podejrzane typki stojące w bramach chciwymi spojrzeniami odprowadzały błyszczący bogactwem pojazd. Przez ulicę przemykały umorusane, ubrane w łachmany dzieci i bezpańskie kundły, które zapewne wkrótce wylądują w czyimś garnku.

- Posterunek - odezwała się po kwadransie Keri, wyraźnie ożywiona. Wskazała bunkier stojący na środku sporego placu.

- Opuszczony. Widzisz już, jak silna jest władza gubernatora. Gubernatorowej, ściślej mówiąc. Piętnaście kilometrów od wieży Bermongate i już dzikie ruiny.

Za placem trafili na przewężenie. Aghenor wyczuł niebezpieczeństwo, ale było już za późno. Dalszą drogę blokowała barykada. Gdy chciał zawrócić, z bocznej ulicy wysunął się biały grzmobil i stanął w poprzek przejazdu.

- Nie wolno im tego robić! - wykrzyknęła Keri. - To rejon jurysdykcji Bermongate!

- Chcesz im to wyjaśnić?

Pufnęła tylko ze złością. Z pojazdu wysiadł obwieszony złotem Murzyn z dredami.

- Korkorum... - mruknął Aghenor.

- Kto? - Dziewczyna spojrzała na niego z przerażeniem.

- Prawa ręka Sathvy, któremu dziś rano miałem dostarczyć to, na czym położyła swą piękną prawą rączkę twoja pani. Zostań tu.

Jej mina zdradzała, że nie ma najmniejszego zamiaru ruszać się z miejsca. Aghenor wysiadł i uśmiechnął się nieszczercze.

- Korkorum - zagadnął. - Od kiedy masz problemy z parkowaniem?

Tamten przyjął dowcip lekkim skrzywieniem pooranej bliznami twarzy. Podszedł bliżej, a

jego towarzysze poprawili broń w dłoniach.

- Sathva przesyła pozdrowienia i pyta, gdzie towar.
- W bagażniku - skłamał bez mrugnięcia Aghenor.
- Chcesz mi powiedzieć, że masz tam dwie tony?
- Jakoś upchnąłem.

Korkorum obszedł pojazd dookoła, na widok dziewczyny uśmiechnął się szeroko, ukazując garnitur krzywych, brązowych zębów. Podszedł do Aghenora. Pałką teleskopową uderzał miarowo o otwartą dłoń.

- Jedziesz w przeciwną stronę, bez towaru, z niezłą dupą, nówką Diamandem. Wiesz, co mi wychodzi z połączenia tych czterech rzeczy?

- Otwórz bagażnik i zapoznaj się z piątą - warknął Kangeryjczyk. - Dopiero potem oskarżaj.

- Oskarżaj... - Korkorum zerknął na klapę bagażnika. - Kim ja jestem, żeby oskarżać? Ja tylko załatwiam sprawy. Nieodwracalnie.

Zmarszczył czoło. Jeśli pokusiłby się o załatwienie sprawy nieodwracalnie, a potem przypadkiem okazałoby się, że w bagażniku jakimś cudem są dwie tony ładunku, miałby spory problem. Gardłowy wręcz.

- Co się odwlecze... - Walnął pałką w klapę, wgniatając blachę. - Otwórz!

Aghenor schylił się do kabiny i napotkał przerażony wzrok Keri. Nie była już tą wyniosłą, naburmuszoną arystokratką. Patrzyła na niego bezradna dziewczyna, oczekująca, że ktoś wyciągnie ją z tarapatów.

- Pod fotelem masz mały miotacz - szepnęła. - Jak się zaczniesz, zdejmiesz tego z murku po prawej. Potem biegniesz za mną do bramy.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

- Co się zaczniesz? - syknęła.

Nie odpowiedział. Nacisnął przycisk otwierania bagażnika i wyprostował się. Zamek pyknął i kłapa odskoczyła nieznacznie.

- Całe dwie tony - uśmiechnął się zachęcająco Aghenor.

Korkorum nachylił się i palcem ostrożnie unióś klapę. Była to ostatnia czynność, jaką wykonał w życiu. Wszystko potoczyło się w niesamowitym tempie. Wybuch małego ładunku urwał klapę, a przy okazji głowę specjalisty od załatwiania spraw nieodwracalnie. Fragment ulicy wypełnił się dymem. Ogłuszony hukem Aghenor zatoczył się, ale wyszarpnął spod kombinezonu miotacz i wypalił do stojącego za nim zdezorientowanego żołnierza. Wypuścił z ręki nieprzydatną na razie broń i przeturlał się dwa metry dalej. W miejscu, gdzie stał przed chwilą, wykwitł pióropusz kurzu i dymu. Kangeryjczyk nie słyszał tego. Działał jak automat. Wyjął składany miecz, nacisnął przycisk i rzucił broń w zapamiętanym kierunku. Ostrze otworzyło się w locie, wykonało trzy obroty i przebiło na wylot pierś drugiego żołnierza. Trzeci, którego miała zdjąć Keri, właśnie składał się do strzału. Aghenor dostrzegł to kątem oka i rzucił się pod osłonę pojazdu. Kolejna eksplozja wstrząsnęła ulicą i maska, a wraz z nią większa część silnika wyleciały w powietrze. Pozbawiony siły nośnej grzmobil z hukem zwałił się na ziemię. Kangeryjczyk zerwał się, wskoczył na dach pojazdu i odbił z niezwykłą siłą. Żołnierz mierzył do niego z miotacza, ale mały kaliber potrzebował prawie sekundy na ładowanie. Czas jakby się zatrzymał – Aghenor leciał, a żołnierz zaciskał palec na spuście, modląc się, żeby broń wypaliła. No i wypaliła, ale za późno. Pięść Kangeryjczyka wylądowała na brzuchu żołnierza, a ręka z bronią została wykręcona. Strzał poszedł w niebo.

Mężczyźni szarpali się jeszcze chwilę, ale Aghenor był zdecydowanie silniejszy. Rzucił przeciwnika na ziemię, skoczył i roztrzaskał mu czaszkę o kamień. Koniec walki.

Kangeryjczyk przysiadł i rozejrzał się czujnie. Nie było snajpera. Z zadymionego wnętrza zniszczonego Diamanda wytoczyła się kaszłająca Keri z kieszonkowym miotaczem w dłoni.

- Co to było? - zapytała zdezorientowana.

- Ładunek. - Aghenor potrząsnął głową, powoli odzyskiwał słuch. - Trochę za mocny.

- Ty, specjalista?! - wykrzyknęła. - I za mocny ładunek?!

- Czemu nie strzeliłaś?

- Nigdy nie zabiłam człowieka!

- Nigdy też człowiek nie zabił ciebie.

- Oparcie fotela prawie wgniotło mnie w szybę, kretynie!

Aghenor strzelił ją w twarz otwartą dłonią. Dziewczyna zatoczyła się.

- Licz się ze słowami, kobieto. Wasi specje skopali mój profil psychologiczny. Nie czuj się zbyt bezpiecznie.

Wycelowała w niego miotacz.

- Nikt nigdy mnie nie uderzył! - warknęła ze łzami w oczach.

Nim spostrzegła, co się stało, Aghenor przygniatał ją ciężko do ziemi, w dłoni trzymając jej broń.

- Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz - wycedził. - Zacznij się przyzwyczajać.

- Złaź ze mnie! - Szarpała się bezskutecznie.

- Jesteś moim problemem. - Wstał. - Może cię nie zabiję, może tylko zostawię tutaj.

- A to nie na jedno wyjdzie? - Z wściekłością rozmasowywała nadgarstek.

- Przecież to Bermongate, obszar jurysdykcji twojej pani. Albo jej męża, bo już nie jestem pewien, kto tam rządzi.

- Nie, nie zrobisz tego... - Pokręciła głową. - Wiesz, że raporty idą co parę godzin...

Aghenor wyciągnął przed siebie broń i wypalił. Z hukiem rozleciał się komunikator na nadgarstku Keri. Dziewczyna krzyknęła i skuliła się obok wraku pojazdu. Po chwili otworzyła oczy i zrzuciła z nadgarstka dymiące resztki bransolety.

- Teraz myślą, że zginęłam! - krzyknęła.

- I dobrze.

- Co ty wiesz o Bermongate?!

Aghenor nie wiedział zbyt wiele, ale nie odczuwał potrzeby zmiany tego stanu rzeczy. Ściągnął ciała w najbliższą bramę, przeszukał je i zabrał kilka przydatnych drobiazgów. Szczątków głowy Korkoruma nie zbierał. Przymierzył jego skórzaną kurtkę. Była za mała – nawet nie udało mu się wepchnąć ramion w rękawy. Obejrzał dokładnie broń. Uznał, że ta, którą dostał w zbrojowni Bermongate, jest lepsza, choć tak naprawdę najwyżej cenił swój miotacz elektromagnetyczny.

Keri usiłowała przejrzeć się w szybie.

- Moje włosy... - jęknęła, dotykając zakurzonych strąków z wplątanymi odłamkami plastiku i szkła. - Zapłacisz mi za to wszystko, ty chamie!

- Wynośmy się stąd - Aghenor zignorował jej pogroźki. - Zbierz, co zostało z bagaży.

- Nie mamy bagaży! Twoja bomba rozrzuciła je po całej ulicy.

W górze pojawiły się wygłodniałe chiroptery z błoniastymi skrzydłami. Wyczuły trupy i teraz zataczały coraz niższe kręgi. Dodatkowy powód do pośpiechu.

- Musimy wracać - powiedziała ciszej dziewczyna.

- Wprost przeciwnie. Musimy jechać dalej. Jak najdalej stąd.  
- Nie mamy pojazdu, ubrań... - Dziewczyna pokazała strzępy swojego kombinezonu. - Nie możemy dłużej udawać handlarzy. A ty chcesz jechać dalej?  
- Płacą mi za to. Podjąłem się misji.  
- Brawo. Szlachetnie i profesjonalnie, ale najpierw odstaw mnie do Bermongate.  
- Wsiadaj! - Wskazał pojazd tarasujący ulicę. - Za kilka minut może tu być więcej żołnierzy Sathvy.  
- Wróć piechotą. Może mnie nie zabiją.  
- Jazda, babo! - Złapał ją za łokieć, zaciągnął do pojazdu Korkoruma i wepchnął na fotel pasażera. Nie opierała się szczególnie mocno. Potem z wraku Diamanda wyciągnął najpotrzebniejsze rzeczy i wrzucił do ich nowego pojazdu.  
Ruszył szybko, tym razem nie dbając o lakier. Co chwilę zaczepiali więc o mniejsze przedmioty bądź tarli podwoziem o gruz. Keri skuliła się na swoim fotelu i pozostawała w tej pozycji, aż Aghenor uznał, że może już zwolnić.

\* \* \*

W Mieście trudno było znaleźć dłuższy odcinek ulicy wolny od wraków, starych barykad, dzikiej roślinności lub ruin. Nieraz musieli się cofać kilometr, by znaleźć inną drogę. Przetarte szlaki oczywiście istniały, ale bezpiecznie mogły się po nich poruszać jedynie opancerzone konwoje. Miasto wymierało. Całymi obszarami, ciągnącymi się kilometrami, czasem dziesiątkami kilometrów. Bogaci skupiali się na małych przestrzeniach dobrobytu i fortyfikowali na wyższych piętrach połączonych kładkami wieżowców. Dalej była strefa buforowa i dzikie ruiny. To naturalne, że nikt nie chce mieszkać na obrzeżach. Jak głosiły stare legendy, przed wiekami całe Miasto było piękne i szczęśliwe. Teraz, rozglądając się wokoło, trudno było w to uwierzyć. Szybko zaczęły się tworzyć enklawy. Jak tłuste oka na powierzchni rosółu, strefy dobrobytu wypłynęły z homogenicznego społeczeństwa.

Aghenor wybrał na nocleg stojący na uboczu dom towarowy. Ruiny domu towarowego, dla ścisłości. Wszystko wskazywało na to, że nikt się tu nie zapuszczał od lat. Zaparkował tyłem w sporej wnęce w hallu głównym, zabrał śpiwory, broń i powiódł dziewczynę na drugie piętro. Rzucił rzeczy na podłogę w miejscu osłoniętym niemal ze wszystkich stron. Z wyschniętych pnączy oplatających dolne piętra ułożył stos i rozpalił ogień. Z plecaka wyjął trójnog i kociołek, napełnił go wodą i rozstawił konstrukcję nad ogniskiem.

Dziewczyna przyglądała się tym przygotowaniom szeroko otwartymi oczami.

- Nigdy nie spałam w takich warunkach - powiedziała cicho. - Miało być przyjęcie w luksusowym hotelu i apartament.

Aghenor nie odpowiedział. Wrzucił do wody kostkę koncentratu i podszedł do skraju wypatroszonego budynku. Oparł się o popękany betonowy słup. Daleko na zachodzie majaczyło zielonkawe światło. Tam był ich cel – Rotherford i wieża Grenmoore. Jedyne w zasięgu wzroku dowód na obecność człowieka w tym świecie. Kangeryjczyk doskonale zdawał sobie sprawę, że cały kamuflaż już na nic. Co z ich misją? W sprzyjających warunkach dotrą do celu następnego wieczoru. Tyle czasu miał na obmyślenie alternatywnego planu zgładzenia telepaty.

Odwrócił się na metaliczny dźwięk. Keri przykucnęła przy ognisku i metalową łyżką mieszała zupę. Aghenor przyjrzał się dziewczynie i ponownie zauważył, że jest całkiem



zgrabna. Jej figury nie zdołał skryć nawet zniszczony, workowaty kombinezon. Wręcz przeciwnie – podarty, odsłaniał fragmenty ponętnego ciała. Nieświadomie wodziła go na pokuszenie, rozpraszała jego myśli, a to przecież nie czas na rozrywkę. Wrócił do obozowiska, rozwinął dwa materace i rzucił na nie grube koce.

Zdjął z ognia kociołek i dmuchając na gorące, zaczął jeść. Dziewczyna wpatrywała się w niego ponuro. Zjadł nieco ponad połowę i podał jej naczynie. Spojrzała niechętnie na niezbyt czystą łyżkę, ale głód był silniejszy. Aghenor gapił się bezczelnie, jak jadła.

Spróbowała wstać i skrzywiła się z bólu. Dotknęła brzucha.

- To z nerwów - wyjaśnił. - Przywykniesz.

Pokręciła głową.

- Miałam operację. Szew czasem jeszcze mi dokucza.

Z ogniska pozostała kupka żarzących się węgli. Keri przeciągnęła swój materac na drugą stronę, byle dalej od Aghenora.

- Zmarzniesz, jak żar wygaśnie - niby obojętnie rzucił Kangeryjczyk, co dziewczyna zbyła wzruszeniem ramion. Nie próbował jej przekonywać. Zawinął się w koc i niemal od razu zasnął.

Nie minęła godzina, gdy poczuł dziewczęce ciało wtulające mu się w plecy i obejmujące go drżące, szczupłe ramiona.

\* \* \*

Raptownie skręcił w boczną uliczkę i zatrzymał się w cieniu pod dachem, który jakimś cudem jeszcze się nie zawalił.

- Co? - zapytała zdeorientowana Keri.

- Strażnica. Obsadzona, jak wnoszę po dymie. Pilnują lepiej niż w Bermongate. - Wyłączył silnik, wysiadł i zaczął pakować do plecaka najpotrzebniejszy sprzęt.

- Co ty robisz?

- Dalej idziemy piechotą.

- To parę godzin marszu.

- Jeśli nie chcesz iść ze mną, bierz gravmobila i wracaj. - Zarzucił plecak i ruszył wolnym krokiem przed siebie. Dziewczyna pufnęła ze złości, wysiadła z pojazdu i pobiegła za nim.

Przez najbliższe parę godzin rzeczywiście przedzierali się przez ruiny, podobne tym w innych rejonach Miasta. Jediną różnicą był brak złodziejskiej hołoty. Pewnie dlatego że wszędzie były patrole. Udawało się je szczęśliwie omijać. Mury miejskie rozciągały się parę kilometrów od trzech wież, co oznaczało, że naprawdę bezpieczny dla mieszczan obszar jest kilkunastokrotnie większy niż w Bermongate. Jednak mur był wciąż w budowie, dzięki czemu Aghenorowi i Keri udało się przedostać przez niezabetonowaną jeszcze kamienicę. Wmieszali się w rzadki tłum, ludzi nieco tylko mniej obdartych od nich.

- Wyglądają znacznie gorzej niż w Bermongate - zauważyła Keri.

- Ale jest ich z dziesięć razy więcej. - Aghenor rozglądał się czujnie. Miał nieodparte wrażenie, że wyróżniają się i pierwszy lepszy patrol to zauważy. - Większą tu mają dyscyplinę.

Nie spotkał nigdy wcześniej tak dużego obszaru prawa i porządku. Następne minuty miały zmienić nieco jego pogląd na tę sprawę. Ktoś przebiegł obok i zniknął między budynkami. Aghenor zobaczył nadciągających z przeciwka trzech policjantów w zbrojach

przypominających te z Bermongate. Chwycił zaskoczoną dziewczynę i w kilku susach dopadł winkła budynku. Kilku ludzi właśnie przyjmowało pozycje strzeleckie za kamieniami i w oknach na parterze. Aghenor zrozumiał szybko swój błąd – patrol gonił kogo innego. Było już jednak za późno na jakiegokolwiek wyjaśnienia. Powietrze wokół zafurkotało od ładunków. Chwilę potem rozległy się pierwsze eksplozje. To się nazywa pech! Pociągnął Keri na ziemię i wepchnął za zwalisko gruzu. Kolejny wybuch zasypał ich gradem betonowych odłamków. Kangeryjczyk nakrył dziewczynę własnym ciałem. Większe kawały gruzu uderzały go boleśnie w plecy. Obejrzał się przez ramię. Chcąc nie chcąc, znaleźli się po stronie uciekających. Widział dobrze kilku z nich, z miotaczami wszelkiego typu wycelowanymi w wylot ulicy. Nie zwracali na niego uwagi, ale i tak nie było jak się wycofać. Policjanci bez wątpienia uznali już Aghenora za jednego z tamtych. Nie pozostawało więc nic innego, jak przyłączyć się do obrońców, przynajmniej na czas tej potyczki.

- Będiesz strzelać, jeśli ci każe? - Spojrzał w rozszerzone strachem oczy dziewczyny. Przytaknęła gorliwie. Wcisnął jej w dłoń najmniejszy z miotaczy, które mieli. - Po strzale ładuje się ponad sekundę.

Wychylił się i czym prędzej schował głowę. Beton tuż nad nim zamienił się w szarą chmurę odłamków. Huk ogłuszył go na chwilę. Oparł się plecami o barykadę i ocenił sytuację. Obrońców tego skrawka przestrzeni było sześciu, może siedmiu. Policjanci za chwilę ściągną tu całą armię. Na tyle, na ile zdążył się zorientować, przypadkowo znaleźli się razem z Keri w środku potyczki partyzanckiej. A siłą partyzantki jest jej mobilność.

- Zaraz zajdą nas od tyłu! - krzyknął do najbliższego mężczyzny, barczystego brodacza. - Musimy się wycofać.

- Kim jesteś?! - zapytał tamten. Najwyraźniej był dowódcą, bo gestem pokazał komuś, by zmienił pozycję.

- Aghenor z Kangerii. Zrządzeniem losu jesteśmy po tej samej stronie.

Za ich plecami dał się słyszeć tupot kilku par podkutych butów. Walcząc na dwa fronty, nie mieli żadnych szans. Kangeryjczyk wyjął z kieszeni dwa miotacze i ustawił na maksymalną moc.

- Przez budynek! Osłaniam! - Zerwał się i wypalił z obydwu luf, czym zamienił wylot ulicy w chaos dymu, kurzu i latających odprysków betonu. Wykrzyczał polecenie jak rozkaz wojskowy. Połowa z mężczyzn zerwała się. Rzucili się do bramy, nie czekając na dowódcę.

- Biegnij! - Aghenor szturchnął dziewczynę.

Nie trzeba było jej tego powtarzać.

- Tam nie ma przejścia! - krzyknął brodacz. - Zawracajcie!

Uniósł się lekko i w tym momencie strzał z tyłu niemal oderwał mu lewe ramię. Czerwona chmura zbryzgała ścianę. Dowódca osunął się i wypuścił z dłoni broń. Kangeryjczyk, przygięty do ziemi, rzucił się w jego stronę i złapał go za kołnierz. Odczołgiwał się ku bramie, ciągnąc za sobą rannego. Słyszał przelatujące tuż nad nim ładunki wibrującej plazmy. Czuł na twarzy ich gorąco. Dopiero gdy był tuż przy bramie, towarzysze rannego wychylili się, by pomóc.

Rana wyglądała paskudnie. Z każdym uderzeniem serca z rozdartych arterii tryskała krew. Aghenor zauważył, że dowódca ma pod płaszczem pochwę z mieczem, może szablą.

- A tamci? - Wystraszone spojrzenia wskazały barykadę skrytą w ciemności.

- Ich już nie ma. - Aghenor odwrócił się. - Zabierzcie go. Jak się stąd wydostaniemy, opatrzemy ranę.

- Wykrwawi się! - zaprotestowała Keri.

- Wszyscy się wykrwawimy, jak zostaniemy tu jeszcze trzy sekundy. Za mną!

Keri powstrzymała obrzydzenie i zacisnęła dłoń na ranę – niewiele to jednak dało. Mężczyźni ponieśli dowódcę. Dziewczyna biegła obok, w beznadziejnej próbie ratowania życia nieznajomego.

Minęli kilka pokoi i natrafili na ślepią kuchnię.

- Mówiłem, że nie ma przejścia - wyszeptał dowódca i głowa opadła mu bezwładnie.

Za nimi słychać już było kroki i rzucane półgłosem rozkazy.

- Zostawcie go - polecił Aghenor. - Nie żyje.

Niechętnie położyli ciało na ziemi. Aghenor ocenił konstrukcję budynku i wybrał ścianę.

- Schowajcie się i zatkajcie uszy - powiedział i nie czekając na nic więcej, wystrzelił wprost w mur. Siła eksplozji przewróciła wszystkich, ale gdy rozwiął się dym, w ścianie zobaczyli dziurę.

Kangeryjczyk gestem pokazał, by przechodzili. Czterech partyzantów i Keri, a na końcu sam Aghenor – wszyscy pospiesznie przedostali się przez wyłom w murze. Kangeryjczyk odwrócił się. Zobaczył cienie ścigających ich policjantów, wycelował i strzelił w strop. Po chwili pogoń zniknęła pod tonami gruzu, które stały się też grobem dowódcy oddziału.

\* \* \*

Ocalali poprowadzili Aghenora i Keri sobie tylko znanymi zakamarkami i piwnicami do dużej podziemnej sali. Na środku płonęło ognisko, z którego dym unosił się pod wysoki sufit i uciekał szczelinami. Kilkudziesięciu mężczyzn w mocno podniszczonych ubraniach, ze starą wysłużoną bronią, najpewniej zdobyczną, siedziało pod ścianami. Przerwali rozmowy, nieufnym wzrokiem omiotali nowo przybyłych. Aghenorowi wystarczył jeden rzut oka, by rozpoznać w nich dobrze wyszkolonych wojowników.

Jeden z trzech stojących na środku komendantów (zdradzały ich szable przypięte do pasa) wyszedł im naprzeciw.

- Co wy wyprawiacie?! - Pytanie było skierowane do przewodników. - Sprowadziliście obcych na naszą naradę? Gdzie reszta?

- Nie żyją - wyjaśnił jeden z partyzantów. - Ten oto szlachetny mąż wyprowadził nas z potrzasku.

- Nazywam się Aghenor - powiedział to tak, żeby wszyscy w sali usłyszeli. - Jestem po waszej stronie.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytał komendant.

- Przybyłem tu, by zabić telepatę, który siłą umysłu próbuje zamordować gubernatora La Verne'a. Podjąłem się tej misji, więc ją wykonam. Dowiedziałem się od twoich towarzyszy, że chcecie obalić rządy Samuela Giddensa. Będzie nam po drodze.

- Nie będzie. Giddens i telepata to ta sama osoba, ale ty wrócisz, skąd przybyłeś. Nie potrzebujemy wątpliwych sojuszników.

- Narażał życie, próbując ratować komendanta Grida - wstawił się za Kangeryjczykiem jeden z ocalałych żołnierzy.

- Milcz! - skarcił go komendant. - Naradzimy się.

Odeszli na bok i ściszone głosami, mocno gestykułując, rozpoczęli wymianę argumentów za oddaleniem Aghenora bądź współpracą z nim.

- Przejąłeś dowództwo nad tymi ludźmi w kilka sekund - szepnęła Keri. - Kim ty jesteś? Dlaczego ich ratowałeś?

- Nie ratowałem ich, ratowałem siebie - odparł. - I ciebie.

Nim zdążyła coś powiedzieć, nadszedł niski, barczysty komendant – narada była krótka.

- Możesz do nas przystać - powiedział - ale kobieta nam tu na nic.

- Ciężko się rozmawia, kiedy nie znam nawet twojego imienia - zauważył Aghenor.

- Jestem Zaproz, dowodzę północnymi dzielnicami, to Maltares z południa i Teutuhr z zachodu. Grid dowodził na wschodzie.

Aghenor powiódł wzrokiem po sali. Teraz potrafił już rozróżnić cztery formacje, niechętnie się mieszające.

- A kto dowodzi wami? - Przeniósł wzrok na komendantów.

- Nikt nami nie dowodzi! - oburzył się Maltares, potężny, choć wiekowy już mężczyzna, wzrostem niemal dorównujący Aghenorowi. - Dowodzimy razem.

- Wschód musi wybrać nowego komendanta - stwierdził Teutuhr, najniższy i najmniej umięśniony ze wszystkich, ale wyróżniający się inteligentnym spojrzeniem.

- Już się naradzają - zauważył ponuro Maltares. - Oby nie zajęło im to całego wieczoru.

- Odbywamy takie spotkania co miesiąc, a każde kolejne zwiększa ryzyko wykrycia naszego spisku. Tracimy czas, zamiast działać.

- Wiesz, że nie jesteśmy gotowi.

- Z każdym dniem maleją szanse na zwycięstwo. Morale podupada.

- Musimy czekać.

Narada oddziału ze wschodnich dzielnic nie trwała długo. Partyzant, w którym Aghenor rozpoznał towarzysza walki sprzed godziny, podszedł do komendantów i skłonił głowę.

- W starciu z policją zginął Grid i jego brat, który miał go zastąpić w takiej jak teraz chwili - oznajmił. - Dlatego po naradzie postanowiliśmy, że dowodzić nami będzie Aghenor.

- Co?! - parsknął Maltares. - Ten przybłęda?

Kangeryjczyk nawet nie drgnął.

- Taka jest nasza wola - oznajmił z mocą partyzant.

Maltares wyszarpnął szablę i wycelował w pierś tamtego.

- Więc lepiej ją zmieńcie - wycedził. - Znam go od trzech minut. Nie będzie komendantem.

- Nie znasz mnie jeszcze, więc wybaczę ci, że mnie obraziłeś - zauważył spokojnym, ale donośnym głosem Aghenor. - Ale nie wybaczę ci, że podniosłeś broń na mojego żołnierza.

- Twojego żołnierza, przybłędo? - Maltares powtórzył obelgę, jednocześnie kierując szablę w Aghenora. Krzyknął w stronę swoich żołnierzy - chcecie oddać los naszej sprawy w ręce tego... przybysza znikąd?

- Wyciągnął nas ze śmiertelnej pułapki - zauważył nieśmiało ten sam partyzant. - Zginęlibyśmy, gdyby nie on.

- Nie będziesz komendantem... - Maltares spojrział na Kangeryjczyka z wściekłością.

- Już nim jestem.

- Po moim trupie! - Maltares ruszył na niego.

- Da się załatwić. - Aghenor wykonał unik i wyszarpnął z pochwy rękojeść składanego miecza. Po naciśnięciu guzika błysnął metal, który utworzył zakrzywione ostrze. - Niech się spełni twoje życzenie.

Maltares natarł ponownie, atakując szybko i nie dbając o osłonę. Aghenor sparował cios i zwinnie przeskoczył na inną pozycję. Maltares był stary, miał dobrze ponad sześćdziesiąt lat,

ale stalowe mięśnie i także wola niełatwo opuszczały ciało. Kondycja już nie ta co dawniej – słychać było świszczący oddech, ale umysł pozostawał jasny, a wzrok skupiony. Chciał skończyć walkę, nim wyczerpią mu się siły, więc raz za razem ryzykował. Zaatakował ponownie i wtedy Aghenor poznał, że stary komendant nie walczył nigdy o życie, że ćwiczył się w fechtunku jedynie dla sportu i podtrzymania tradycji. Gdy to pojął, wiedział już, co musi zrobić, by zakończyć pojedynek, nim wiernym żołnierzom z południowych dzielnic przyjdzie do głowy wesprzeć dowódcę. Wykonał pozorowany cios na wysokości pasa, po czym uskokzył przed kontrą i zakręconym, do przesady niezdarnym ruchem z boku rozłupał przeciwnikowi czaszkę.

Przez salę przeszedł szmer niedowierzania, gdy ciało Maltaresa zważyło się na ziemię. Keri zasłoniła twarz i cofnęła się z przerażeniem.

- Siedzeniem i gadaniem nie wygrywa się bitew! - Aghenor dysząc, rozejrzał się po wpatrzonych w niego obliczach.

- Nie jesteśmy gotowi na atak. - Zaproz patrzył na niego ponuro. - Wciąż mamy za mało ludzi. Przed minutą zabiłeś jednego z naszych najlepszych komendantów. Nie ujdzie ci to na sucho.

- Potrzebujecie jednego dowódcy - odezwał się Aghenor. - Bez tego nigdy się nie porozumiecie. Będziecie tu stać i głądzić, zamiast działać. Miałem zamiar zabić Samuela Giddensa sam, ale wiem, że razem mamy większe szanse.

- Jest nam po drodze, ale nie będziesz naszym dowódcą! - wykrzyknął Zaproz i wyszarpnął z kabury miotacz. - Możesz być szeregowym żołnierzem, jeśli złożysz mi hołd i przysięgniesz posłuszeństwo.

- Nigdy nikomu nie przysięgałem posłuszeństwa. - Aghenor wyszczerzył do niego białe zęby. - Prędzej umrę, niż to uczynię.

- Życie ci niemiłe? Stawiasz miecz przeciw miotaczowi?

- Życie rzecz nabyta. Możesz jeszcze ocalić swoje, jeśli klęknie przed mną i przysięgniesz posłuszeństwo.

Zaproz zaśmiał się basowo. Aghenor nie miał szans dość szybko sięgnąć po miotacz, a jednocześnie wiedział, że lada chwila padnie strzał. Zasłonił się więc mieczem i skoczył. Wybrał idealny moment. Komendant wystrzelił. Ładunek plazmy trafił w ostrze, rozbryznął się z hukiem i nie uczynił widocznej szkody metalowi. Aghenor w trzech susach znalazł się przy przeciwniku. Zaproz z przerażeniem próbował się wycofać. Nawet nie pomyślał o sięgnięciu po szablę. Dla niego na wszystko było już za późno. Głowa komendanta północnych oddziałów z głuchym łoskotem upadła na ziemię i potoczyła się w stronę ciała Maltaresa.

Kangeryjczyk wyprostował się i z satysfakcją zauważył, że nikt już nie próbuje podjąć walki. Spojrzał na Teutuhra, ale ten stał z założonymi rękoma.

- Nie pragniesz się bić? - zapytał Aghenor, opuszczając ostrze, z którego skapywała krew.

- Zrobiłeś to, co należało zrobić od dawna. - W oczach dowódcy nie było strachu. Mówił szczerze. - Bić się pragnę, ale z prawdziwym wrogiem. Przygotuj nas do walki i poprowadź do Grenmoore.

Skłonił przed Aghenorem głowę. Żołnierze wschodnich dzielnic zaczęli wiwatować. Po chwili przyłączyli się do nich pozostali. Wszyscy mieli już dość bezczynności. Aghenor uniósł miecz i wydał okrzyk zwycięstwa. Niespodziewanie znalazł się w objęciach Keri. Podczas tych dramatycznych wydarzeń dziewczyna zupełnie zapomniała, że była obrażona na cały świat, a na Aghenora w szczególności.

\* \* \*

Od wielu tygodni Aghenor nie był budzony w tak miły sposób: pocałunkami gorących warg i musnięciami pachnących słodko włosów. Mała komnata, w której ugościli ich partyzanci, była zimna, ale przynajmniej zapewniała odrobinę intymności. I tę odrobinę wykorzystali nocą wielokrotnie. Teraz leżeli pod trzema warstwami koców, a Keri wystawiała spod nich tylko tyle nagiego ciała, ile było konieczne, by oddychać.

- Na wszystkie kobiety tak działasz? - zamruczała, pocierając noskiem ucho mężczyzny.

- Tylko na te, na których mi zależy.

Wtuliła się w niego i objęła, jakby chciała zatrzymać na zawsze.

- Co zrobimy po powrocie do Bermongate? - szepnęła.

- Nie zamierzam tam wracać - odparł. - Większe bogactwa czekają w Grenmoore.

- Jakie bogactwa? - Dziewczyna ożywiła się. - Co jest w Grenmoore?

- Mały zielony kryształek. Jest tam na górze, na szczycie wieży. Wygląda niepozornie, ale znam kogoś, kto zapłaci za niego więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Uśmiechnął się do niej szeroko i wysunął spod koca. Dziewczyna zamruczała, niezadowolona z zimna, które wtargnęło do jej przytulnego gniazdko. Mężczyzna ubrał się i spojrzał na nią. Sięgnął dłonią i zerwał z niej koce. Pisnęła, zaskoczona, zakrywając się dłońmi. Rzuciła się na swoje ubranie, bardziej z powodu zimna niż zakłopotania własną nagością. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

- Szykuj się. Dziś ciężki dzień. Dzień próby.

Potulnie skinęła głową. Narzuciła kilka warstw ubrań, a na wierzch za dużą wojskową kurtkę.

- Idę zrobić porządek z tą hałastrą - oświadczył Aghenor. - Nie odchodź nigdzie sama.

Ledwo znalazł się na korytarzu, wydało mu się, że za jego plecami coś błysnęło. Zerknął przez ramię, ale nie dostrzegł niczego, co mogło być źródłem błysku. Pomyślał, że to przywidzenie, gdy nagle zauważył coś, co zjeżyło mu włosy na karku. W komnacie nie było Keri! Rozejrzał się. Nie mogła przecież tak szybko odbiec! Wpadł do środka, rozrzucił wszystkie koce i materace, ale nie znalazł ani dziewczyny, ani ukrytego przejścia. Wybiegł do głównej sali.

- Keri zniknęła! - krzyknął. - Obstawcie wyjścia! Szukajcie jej! Nie mogła odejść daleko! Nie mogli jej uprowadzić na powierzchnię!

Partyzanci byli przerażeni, ale nie ruszyli się z miejsc. Patrzyli tępo na Aghenora.

- Ruszajcie się! - powtórzył groźnie.

- Zniknęła? - zapytał bez zdziwienia jeden z żołnierzy.

- Jakby wyparowała! Coś błysnęło i zniknęła.

- I tak jej nie znajdą - odezwał się Teutuhr. - Zabrał ją Zielony Błysk.

Aghenor popatrzył na komendanta i zmrużył oczy.

- Nie spraw, bym przestał cię lubić. - Spojrzał na niego ze złością. - Nie stawaj mi na drodze.

- Wierz mi, nic nie zrobisz. Jej tu nie ma.

- Sam to ocenię - dyszał Aghenor.

- Posłuchaj mnie przez chwilę. Nie zdołamy jej odnaleźć. Ona jest już gdzie indziej. Daleko stąd. Nie wiemy gdzie.

Aghenor opuścił miecz i oparł się na nim jak na lasce.

- Mów, co wiesz.

- Pięć lat temu Simon Giddens przybył znikąd, bez większego trudu pozbył się władającego tym krajem lorda Grenmoore'a, ostatniego z rodu wielkich władców, przejął władzę i mianował się dożywotnim prezydentem. Z początku wydawało się, że to zmiana na lepsze. Lord był nieudolnym przywódcą, więc wszyscy, z wyjątkiem przestępców i skorumpowanych urzędników, cieszyli się ze zmian. Policja zaczęła łapać bandytów, handel i przemysł rozwijały się jak nigdy wcześniej.

- Gdyby było tak pięknie, nie byłoby was tutaj - zauważył Aghenor. - I co to ma wspólnego ze zniknięciem Keri?

- Zaraz do tego dojdę. Pięknie było tylko z początku. Potem zaczęły znikać młode kobiety; najczęściej nawet bardzo młode, urodziwe dziewczęta. Znikały bez śladu z miejsc, z których nie mogły zostać porwane przez zwykłych bandytów. Tydzień temu dziewczyna, której rodzinę znam, wyszła do kuchni i dosłownie rozpułyła się w powietrzu.

- Jak to możliwe? - Aghenor złożył miecz i schował do pochwy.

- Każdy z mężczyzn tworzących tę armię - komendant powiódł ręką wokoło - stracił w ten sposób córkę, siostrę lub żonę. Ja straciłem swoją miesiąc po ślubie. Wracaliśmy do domu. Otworzyłem drzwi i ona weszła pierwsza. Klucz zaciął się w zamku, więc przymknąłem drzwi, by łatwiej go wyjąć. Spuściłem ją z oczu ledwie na kilka sekund i nigdy więcej jej nie zobaczyłem. Miała na imię Maria. Była piękną kobietą. - Chwilę patrzył w ogień, milcząc. - Z mojego domu nie ma innych wyjść. Ona... zniknęła. Pół roku temu. Chcę ją odnaleźć, a jeśli się nie uda, to pomścić. Musimy pomścić nasze kobiety. Dlatego chcemy zdobyć Grenmoore i zabić Samuela Giddensa.

- Skąd wiecie, że to on za tym stoi? - zapytał Aghenor.

- Raz jeden wróciła młoda dziewczyna. Nie było jej dwa dni. Miała obłęd w oczach, a ubranie całe w strzępach. Zdażyła powiedzieć rodzinie, że zabrało ją Zielone Światło. Nim zdolali ją uspokoić, do domu wpadła policja. Drugi raz już nie wróciła. Policja poprawiła robotę, a przecież policja jest posłuszna prezydentowi. Nie wiemy, dlaczego tak się dzieje ani w jaki sposób znikają nasze kobiety. Po prostu znikają, a prezydent bierze w tym udział. - Wstał, ale odwrócił się jeszcze i popatrzył Kangeryjczykowi prosto w oczy. - Teraz jesteś jednym z nas.

Aghenor myślał nad słowami Teutuhra, ale długie rozważania nie były jego mocną stroną. Wstał i oznajmił:

- Przygotujcie się! Zaatakujemy po zmroku!

- Nie jesteśmy gotowi - zauważył ktoś, ale gwar głosów natychmiast go uciszył.

- Jesteśmy! - krzyczeli partyzanci, unosząc broń. - Czekaliśmy na tę chwilę od dawna!

- Wasz los dopełni się tej nocy - oznajmił Aghenor. - O zmroku ruszymy, by zdobyć wieżę Grenmoore. A jeżeli ktoś wątpi, czy nam się uda, niech teraz odejdzie.

\* \* \*

Cały dzień poświęcili na przygotowania, przegląd broni, ustalanie planu ataku. Aghenor uparł się, żeby zgromadzić wokół siebie ludzi, którzy umieli się posługiwać mieczami. Z doświadczenia wiedział, że we wnętrzu budynku walka często toczy się na tak mały dystans, iż ostrze wygrywa z miotaczem. Jedynie dwunastu partyzantów potrafiło lepiej lub gorzej

używać broni białej. Gdyby miał na to dwa miesiące, być może istniałaby szansa, żeby zrobić z nich mistrzów. Na razie Aghenor żywił nadzieję, że kiedy dojdzie do walki, nie pozabijają się nawzajem. Nie mógł się już doczekać zmierzchu, aby dać nauczkę temu, który porwał Keri. Chciał odzyskać dziewczynę, zanim stanie jej się jakakolwiek krzywda. Dyszał żądzą walki, gotów zmienić własny rozkaz i iść do Grenmoore'a sam, już teraz. I pewnie zrobiłby to, gdyby Teutuhr nie powtarzał mu co kilka minut, że za dnia tylko dałby się zabić.

- Brama główna teoretycznie ma najlepszą ochronę - tłumaczył. - Ale to znaczy, że tam będą najmniej czujni, a w ciemnościach nie zdołają nas dostrzec. Od pięciu lat nikt nie próbował przedostać się do środka.

- A wcześniej?

- Wcześniej nie było bramy ani muru.

Następnych parę godzin Aghenor spędził na ćwiczeniach z partyzantami. Mimo ogromnego zapasu do walki, ich wyszkolenie pozostawiało sporo do życzenia. Niewiele mógł zrobić w tak krótkim czasie, nie chciał też ich zbyt zmęczyć przed zbliżającą się bitwą.

Po południu przyszło kilka kobiet z posiłkiem. Partyzanci odstawili broń pod ściany i zajęli się jedzeniem. Obok Aghenora usiadł Kordis – starzec, który nie wydawał się zdolny do walki. Imponował jednak wiedzą, dzięki czemu szanowano go.

- Gdzie trafiają porwane kobiety? - zapytał cicho Aghenor.

Starzec wzruszył ramionami. Ważył słowa, żując w milczeniu. Wreszcie odparł:

- Wszyscy wierzą w to, że to sprawka Giddensa. Kobiety zaczęły znikać, gdy przejął władzę. Ale gdzie trafiają? - Podrapał się w głowę. - Istnieje stara legenda, że Miasto jest tylko jednym ze światów. Kiedyś ludzi było więcej i Miasto nie mogło już ich pomieścić. Brakowało miejsca na budowę nowych domów.

Trudno było w to uwierzyć komuś, kto tygodniami przemierzał puste ruiny. Miasto ciągnęło się we wszystkie strony tak daleko, że nikt nigdy nie dotarł do jego końca. Wszędzie pełno było wysokich domów lub ich ruin.

- Budowano coraz wyżej i coraz gęściej, ale wreszcie nastąpił taki moment, że dotarcie na ostatnie piętra zabierało zbyt wiele czasu, a mieszkający na niższych nie widzieli światła słonecznego, żyli w wiecznym półmroku. Ludzie mnożyli się nadal i każdy chciał przez okno widzieć niebo. Trzeba więc było stworzyć im iluzję.

- Za ich wiedzą i zgodą?

- Początkowo tak. Ale ludzie łatwo zapominają. Zajmują się codziennymi sprawami. W świecie regresu, z każdym nowym pokoleniem głępszym od poprzedniego, te codzienne kłopoty stają się coraz bardziej przyziemne. Regres – to słowo najlepiej określa ostatnie kilkaset lat.

Kordis zamilkł, ale ciekawość Aghenora nie została zaspokojona.

- Stworzono inne Miasta? - zapytał. - Gdzie? To nasze nie ma końca.

- Nad nami.

Aghenor uniósł wzrok, jakby spojrzenie na odrapany sufit miało mu pomóc w zrozumieniu słów starca.

- Nad nami jest niebo - przypomniał.

- Niebo z przyzwyczajenia nazywamy niebem. Gdyby ktoś potrafił podskoczyć wysoko, dotknąłby nieba, a raczej roztrzaskał się o nie. Był kiedyś człowiek, który pragnął udowodnić, że niebo wisi nad dachami najwyższych wieżowców. I udowodnił to. Miesiąc pracował nad katapultą, zdolną sięgnąć nieboskłonu ładunkiem ze świńską krwią. Zaciągnął maszynę na dach



najwyższego budynku. Pocisk leciał długo, wreszcie zamienił się w małą plamę, która nie spadła. Mądrała triumfował, ale tłum nie. Chwilę później mądrała już nie żył, zrzucony na ziemię przez wściekłą hołotę. Plama na niebie zniknęła następnej nocy, ta na ziemi znacznie później.

- Więc niebo to tylko sufit, za którym jest następna ziemia i następne Miasto? Jak piętra w budynku?

- To tylko legenda. - Starzec otarł usta i wstał.

Aghenor zamyślił się. Jeśli byłąby to prawda, porwane kobiety, a więc i Keri, trafiałyby do innych Miast jako niewolnice. Cała nadzieja w tym, że nie następowało to od razu.

\* \* \*

Ledwo zaczęło się ściemniać, Aghenor zarządził wymarsz. Armia przemykała się chyłkiem, rozproszona w małych grupach, a i tak napotkane przypadkiem trzyosobowe patrole policji przyglądały się podejrzliwie mężczyznom o zaciętych twarzach. Nie zatrzymywano ich jednak, zapewne nikt nie spodziewał się ataku ze środka Miasta. Wroga wypatrywano z zewnątrz.

Spomiędzy wyższych budynków nagle wyłoniły się trzy wieże w pełnej okazałości. Zapał Aghenora ostygł, gdy zobaczył ich ogrom. Najniższa była wielkim kanciastym kłocem ze – zmatowionych czasem i brudem – szkła i aluminium. W większości okien na górnych kondygnacjach paliło się światło – goście na konferencję już przybyli. Druga, wyższa, wieża koszarowa była sześćdziesięciopiętrowym blokiem betonu. Gdzieś ziały otwory wybite przez pociski dawno zapomnianej wojny. Pięć najwyższych pięter niemal w połowie zniszczyła dawno temu potężna eksplozja. Jakby olbrzym odgryzł kawałek wielkiej tabliczki czekolady. Najwyższa wieża, Grenmoore – ich cel, pod warstwą brudu i osmaień zachowała resztki dawnego piękna. Wieńcząca ją kopuła była podświetlona na zielono.

Nagle z iglicy ponad kopułą strzelił w niebo promień zielonego światła, jakby ktoś na samym jej szczycie zapalił niezwykle mocny reflektor. Zjawisko trwało niecałą sekundę i znów zrobiło się ciemno.

- Co to było? - Aghenor zatrzymał się. - Widziałem to wczoraj z oddali.

- Nazywamy to Zielonym Kciukiem - wyjaśnił Teutuhr. - Kciuk wskazuje niebo kilka razy dziennie. Pojawił się wraz z Giddensem, ale nie mamy pojęcia, co to jest.

- Zejdźmy z widoku. - Aghenor skrzywił w boczną uliczkę.

W przeciwieństwie do innych znanych mu krain, tutaj na dużym obszarze większość budynków była zamieszкана. Z trudem znaleźli walącą się niemal, dziesięciopiętrową ruinę, na wpół rozsadaną wielkim drzewem. Opuścili ją nawet najbiedniejsi. Żyły tam jednak szczury, co znaczyło, że budynek w najbliższym czasie się nie zawali. Trzynastu mężczyzn wbiegło sprawnie na ostatnie piętro. Między niższymi nieco budynkami mieli dobry widok na wszystkie trzy wieże. Aghenor przypomniał sobie holograficzny model Grenmoore – wtedy nie widział skali budowli. Przebijanie się przez ochronę trzech kolejnych wież musiało zająć wiele godzin. Biorąc pod uwagę, że obrońcy dysponowali ogromną przewagą liczebną, doskonałą znajomością terenu i najnowszym uzbrojeniem, zmniejszało to szanse na zwycięstwo prawie do minimum. Jedyнным atutem partyzantów było zaskoczenie.

Aghenor zrzucił z pleców worek ze sprzętem i wydobył z niego lornetkę. Kilka minut analizował bezpośrednie otoczenie wież. Dostrzegł, że jest jeszcze czwarta, a ściślej mówiąc

jej ruiny. Dawno temu budynek zawalił się do połowy, ale pozostał szkielet kilkunastu, może dwudziestu kondygnacji. Od ruiny do głównej wieży było jakieś pięćdziesiąt metrów. Potem przeniósł wzrok na bramę, ufortyfikowaną jak w średniowiecznym zamku. Być może załoga Grenmoore nie spodziewała się ataku, ale z pewnością była zdyscyplinowana i trzymała się procedur.

- Zmiana planów - oznajmił Aghenor. - Nie przedrzemy się przez bramę.
- Za późno - zaprotestował jeden z partyzantów. - Wszystko zaplanowane.
- Nic nie jest zaplanowane. I tak idziemy na żywioł. Pierwsza grupa zaatakuję bramę główną, żeby odciągnąć uwagę od drugiej grupy, która dwie minuty później zaatakuję tylną bramę. Obrońcy nie będą się spodziewali, że trzecia grupa, czyli my, przedrzemy się po kryjomu.
- To stawia wszystko na głowie.
- Biegnij z wiadomością do grupy przy bramie głównej - rzucił Kangeryjczyk, nie wdając się w dyskusję. - Na szczycie muru, co kilkadziesiąt metrów są czujniki ruchu. Niech od razu zniszczą, ile się uda. Potem niech użyją wszystkiego, co zwiększy zamieszanie, pełnego arsenału: bomb zapalających, granatów dymnych. Wiatr wieje w dobrym kierunku – zasłoni nas dymem. Po kwadransie mają uciekać, nie oglądając się za siebie.

Pod zdecydowanym spojrzeniem Aghenora partyzantowi odechciało się dalszych dyskusji. Skłonił głowę i zbiegł po schodach.

- Co zamierzasz? - Teutuhr spojrzał pytająco na dowódcę.
- Nie będziemy zdobywać budynków po kolei. Roznieśliby nas już na początku. Przedostaniemy się od razu do najwyższej wieży.
- Jak?
- Po linie. Kuszą wystrzelimy harpun ze stalową liną. Harpun wbije się w mur.
- Jeśli ktoś nas zauważy, zginiemy.
- Tak, wtedy zginiemy.

Brudne ściany miasta pomiędzy nimi a murem świeciły nieregularnymi prostokątami okien. Ci ludzie mieli spokój i stabilizację za cenę żałoby po znikających córkach i żonach, za cenę dyscypliny i uległości. Nikt ich nie pytał, czy tego chcą. Nikt ich nie będzie pytał i tym razem. Aghenor zarzucił worek na ramię i ruszył w stronę schodów. Nie musiał się oglądać. Wiedział, że reszta idzie za nim.

Ulice były tu czystsze, dostrzegli nawet kilka garaży, wyraźnie używanych. Dobrobyt rozpełzał się od Grenmoore. Aghenor oglądał to i po raz kolejny utwierdzał się, że woli rejony mniej cywilizowane. Dwa razy musieli się chować przed patrolami, które w tej odległości od muru wewnętrznego pojawiały się coraz częściej. Gdy byli w połowie drogi, wrócił posłaniec z informacją, że plan Aghenora się nie podoba, ale zostanie wykonany. Kangeryjczyk nic nie odrzekł. Gdyby nie zrobili tego, co im polecił, wróciłby i osobiście zabił nowo mianowanych dowódców.

Przesuwali się w cieniu i dotarli tak blisko muru, jak się dało. Widzieli stąd przechadzających się po blankach strażników. Ryzyko wykrycia stało się zbyt wielkie. Aghenor napał barkiem na drzwi najbliższej kamienicy. Zamknięte. Wyciągnął nóż, by wyważyć zamek, ale podbiegł do niego młody chłopak imieniem Carm. Trzy miesiące temu Zielony Błysk zabrał mu siostrę. Chłopak wsunął w szczelinę zamka wytrych i drzwi stanęły otworem. Klatka schodowa ginęła w ciemnościach. Wślizgnęli się do środka i zatrzasnęli za sobą drzwi. Na palcach, starając się nie hałasować sprzętem, dotarli na najwyższe piętro. Stamtąd zamierzali dostać się na dach, lecz w słabym świetle latarki nie mogli dostrzec klapy.

Zobaczyli za to trzy stopnie prowadzące do mieszkania na poddaszu, skąd zapewne łatwo już było wyjść na dach. Tym razem wytrych okazał się zbyt prymitywnym narzędziem do skomplikowanego zamka. Aghenor wsunął nóż w szczelinę między skrzydłem drzwi a framugą. Z trzaskiem łamanego drewna drzwi ustąpiły. Kangeryjczyk pierwszy wbiegł do środka z zamiarem uciszenia domowników, gdyby ci nie zdecydowali się milczeć dobrowolnie. Mieszkanie miało trzy pokoje i partyzanci rozpierzchli się, by je sprawdzić. Aghenor usłyszał zduszony kobiecy krzyk. Wpadł do pokoju – dwaj mężczyźni mieli chyba opory przed uderzeniem zaspanej kobiety w koszuli nocnej. Aghenor nie miał. Zdzielił ją pięścią w policzek na tyle mocno, żeby ogłuszyć, ale nie zrobić jej krzywdy. Partyzanci sprawnie zakneblowali ją i związali, po czym rzucili na łóżko.

- Dobrze, że nie krzyknęła głośniej - powiedział Aghenor.

- Zwabiłaby resztę mieszkańców - zauważył ten, który nie chciał jej przedtem uderzyć.

- I musielibyśmy ją zabić. Następnym razem się nie wahajcie.

Znaleźli klapę w suficie. Dachami dotarli do ostatniego domu. Dalej było kilkadziesiąt metrów sprasowanych walcem gruzów, wykarczowanych krzaków i oświetlony elektrycznie dziesięciometrowy betonowy mur. Sforsowanie go, żeby pozostać niewidzialnymi dla przechadzających się po jego szczycie strażników, wydawało się niewykonalne.

Na kominie sąsiedniego domu przysiadł ponury, czarny chiropter. Wyglądał jak chudy człowiek opatulony płaszczem. Tylko wydłużony ryj psuł podobieństwo. Na pobliskich dachach dostrzegli następne.

- Skąd wiedzą...? - Jeden z partyzantów uniósł kuszę, ale Aghenor położył mu rękę na ramieniu.

- Czekamy.

- Beton jest drogi. - Carm poklepał swój plecak, wypełniony materiałami wybuchowymi. - Mur nie może być gruby.

- Mamy się tam dostać dyskretnie.

Leżeli blisko krawędzi i wpatrywali się w cel swojej wyprawy – wieżę Grenmoore. I sukces wydawał im się znacznie mniej realny niż godzinę temu. Pokonanie jasno oświetlonego i doskonale zabezpieczonego muru było ledwie pierwszym małym kroczkiem.

Huk z prawej strony wyrwał ich z rozważań. Wychylili się poza krawędź dachu i dojrzeli pióropusz dymu przed główną bramą. Zaraz potem nastąpił błysk na blankach i jeden z grzybków-czujników przestał istnieć. Obrońcy potrzebowali ledwie sekundy, by odpowiedzieć ogniem. Pierwsi partyzanci padli ranni, a żołnierze na murach ruszyli biegiem w stronę miejsca ataku. Część z nich pozostało na swoich pozycjach, co jak najlepiej świadczyło o ich wyszkoleniu, a jak najgorzej wróżyło powodzeniu misji. Aghenor zaklął pod nosem i obserwował rozwój wypadków. Nic więcej nie mógł zrobić, ponad murem włączyły się bowiem dodatkowe latarnie i oświetliły dach, na którym leżeli. Zgodnie z planem, przy bramie trzysta metrów od nich, trwała seria eksplozji granatów zapalających i dymnych. Nie mogły rzecz jasna zrobić większej szkody.

- Jesteś pierwszym dowódcą, który mając do dyspozycji kilkuset żołnierzy, wykorzystuje dwunastu - odezwał się Teutuhr.

Aghenor nie odpowiedział. Patrzył na zbliżającą się chmurę dymu.

- Zapamiętajcie konfigurację terenu - rzucił. - Zaraz będziemy działać po omacku.

Ocenił twardość grotu bełtu z linką w swojej kuszy i uznał, że nie zdoła wbić go w beton. Odszukał więc ceglany budynek tuż za murami i zapamiętał dokładnie jego pozycję względem

kominów obok. Kłęb dymu zbliżał się.

- Załóżcie skórzane rękawice - polecił.

Ledwie dym zakrył mur naprzeciw nich, Aghenor strzelił dwa razy z miotacza. Najpierw trafił żołnierza na blankach, potem czujnik ruchu. Przynajmniej to drugie było pewne, bo uruchomił się alarm. Jednak wobec szalejącej przy bramie bitwy nie miało to znaczenia. Według planu atak na tylną bramę powinien się rozpocząć za dwie minuty. Nie było sensu czekać. Kangeryjczyk wystrzelił z kuszy i słuchał, jak rozwija się linka, aż metaliczne kliknięcie oznajmiło, że zakotwiczenie się powiodło. Szarpnął kilka razy z całej siły. Trzymała. Owinął jej koniec wokół najgrubszego komina i oznajmił:

- Przechodzimy kolejno w odstępach dwudziestosekundowych. Jak najszybciej. Nie wiadomo, ile utrzyma hak. Ostatni odcina.

Natychmiast chwycił linkę i zaczął się wspinać. W kilka sekund zniknął reszcie oddziału z oczu. Karnie wykonywali jego polecenie.

Kangeryjczyk zeskoczył na pomost na szczycie muru. Obok leżał zabity przez niego żołnierz. Aghenor butem zwałił ciało w mrok.

- Helman, to ty? - usłyszał z boku.

- Nie - odparł Aghenor - ale zaraz go spotkasz.

Strzelił w majaczącą wśród dymu sylwetkę. Ciało bezszelestnie spadło z muru, oszczędzając Kangeryjczykowi wysiłku. Pierwszy partyzant zeskoczył na pomost. Błysk z oddali oznajmił początek ataku na drugą bramę. Przyczajeni na pomoście, czekali, aż wszyscy dotrą. Potem Aghenor odciął linkę, by zbyt wcześnie ich nie zdradziła, i wycelował kuszę w widoczne poprzez dym ruiny czwartej wieży. Budynek sprawiał wrażenie, jakby jedynym jego pragnieniem było udanie się na wieczny spoczynek, a stoi wciąż tylko dlatego, że nie wie, na którą stronę się położyć. Kangeryjczyk wybrał najgrubszy słup i nacisnął spust. Sprężyna jęknęła i posłała w ciemność bełt z linką. Przez bitewny zgiełk przebiło się metaliczne szczęknięcie. Pudło. Aghenor szybko zwijał linkę.

- Chodźmy! - zaproponował cicho przyczajony obok Teutuhr. - Na dole jest ciemno, przemkniemy się. Szkoda czasu na linę. Zaraz skończą się pozorowane ataki.

Aghenor skinął głową. Zbiegli schodami na poziom ziemi i przygarbieni, ruszyli w stronę pogiętego żelbetowego szkieletu. W ogólnym zamieszaniu nikt ich nie zauważył, choć wokoło przegrupowywały się oddziały obrońców. Ataki potraktowano jak najbardziej poważnie. Kangeryjczyk spojrzał w górę, na najwyższe piętra Grenmoore i zieloną poświatę niewidocznej stąd kopuły. Czy Samuel Giddens już wiedział o ataku?

Na dalsze rozważania nie mieli czasu, ujawnił się kolejny problem: szkielet budynku był pozbawiony schodów. Jeden z partyzantów wyciągnął z plecaka linę z kotwicą, po której wspięli się na pierwsze piętro. I na piętra kolejne. Na dziesiątym wszyscy padali już ze zmęczenia, ale na szczęście schody wyżej przetrwały. Oddział był już poza zasięgiem patroli, jednak od wejścia do samej wieży dzieliło ich jeszcze kilka problemów do rozwiązania. Na razie sprzyjało im szczęście. Nikt ich nie dostrzegł. Aghenor spowolnił wspinaczkę, bo obawiał się min bądź innych zabezpieczeń. Nie napotkali ich jednak. Ewentualnych agresorów odstraszać miał fatalny stan techniczny budynku: pourywane stropy, rozszczepione filary, z których wystawały skorodowane pręty zbrojeniowe.

Dotarli do przedostatniej ocalałej kondygnacji. Wyżej rozciągała się ażurowa płatanina betonu i stali. Unieśli głowy i zapatrzyli się na gwiazdziste niebo. Przed nimi roztaczał się widok na ogrom wieży Grenmoore. Byli ledwie na jednej czwartej jej wysokości.

Odgłosy ataków z obu stron muru powoli cichły – partyzanci doskonale trzymali się planu i rozpoczynali odwrót. Wielu zginęło. Kangeryjczyk wiedział, że zginęliby wszyscy, gdyby musieli zdobywać koszary.

- Zabrakło trzech minut - ocenił Teutuhr.

- Nie utrzymaliby się dłużej - odparł Aghenor.

Naciągnął kuszę i przygotował nowy zwój liny. Tym razem na końcu przywiązał składaną kotwicę. Przyklęknął na jedno kolano i wymierzył w piętro nieco poniżej ich pozycji. Nie paliło się tam ani jedno światło, może nikt nie zauważy zbitej szyby? Jęknęła sprężyna, kotwica ze świstem pomknęła do celu. W odgłosach dogasającej bitwy nikt nie usłyszał tłuczonego szkła. Aghenor naciągnął linę, żeby kotwica zaczepiła o parapet. Drugi jej koniec zawiązał wokół filaru.

Nagle rozległ się wizg ładunku plazmowego i jeden z partyzantów dosłownie rozprysnął się krwawą miazgą. Przerażeni, przypadli do ziemi. Kolejny ładunek eksplodował niemal nad ich głowami i zniszczył resztkę stropu. Spadające z hukiem kawały betonu przygniotły kilku mężczyzn.

- Strzelają z dołu! - krzyknął Aghenor. - Rzucajcie granaty dymne! Nie możemy tu zostać ani chwili dłużej.

Widział doskonale, że będą bez szans, gdy do ostrzału przyłączą się żołnierze z którejś z wież. Czarne cienie chiropterów krążyły nad polem bitwy, licząc na obfite żniwo.

- Wystrzelają nas na linie! - zaprotestował jeden z partyzantów.

- Jeszcze jedno słowo i ja cię zastrzelę! Dalej, granaty! Oni nie wiedzą jeszcze o linie.

Bez słowa odbezpieczali i rzucali, aż do ostatniego granatu. Dało to przynajmniej chwilową osłonę. Kolejne ładunki eksplodowały coraz bliżej przyczajonych partyzantów. Przez huk eksplozji wyraźnie słyszeli, jak trzeszczy konstrukcja wokół nich. Co chwilę rozlegały się wystrzały pękających węzłów i uszkodzonych nieodwracalnie stropów.

- Za mną! - Aghenor zerwał się i dłońmi w rękawicach chwycił linę. Zawisł na niej i szybkimi wyrzutami potężnych ramion zanurzył się w napływającej z wolna chmurze dymów.

Strop, na którym stali, zaczął pękać. Partyzanci jeden za drugim łapali się liny. Ktoś z krzykiem runął w dół, kogoś innego pochłonał następny wybuch. Wreszcie konstrukcja zapadła się, pociągając za sobą ostatnich dwóch mężczyzn. Aghenor był już w połowie drogi. Zza snującego się dymu patrzył z przerażeniem, jak giną jego żołnierze. I zauważył jeszcze coś. W rozwiewającej się chmurze naruszony szkielet budynku tracił kształt. Filary skręcały się i pękały. Kolejne stropy zapadały się i naruszały niższe kondygnacje. Było oczywiste, że walący się budynek pociągnie ich za sobą.

- Szybciej! - krzyknął i z wysiłkiem przyspieszył. Resztką oddziału nie była jednak ani tak silna, ani tak wytrzymała jak on i dystans zwiększał się. Wokół świszczały ładunki plazmy, ale odległość od strzelców była na tyle duża, że trafić mogli tylko przypadkiem.

Do walki dołączyli żołnierze z koszar, lecz poprzez dym nie widzieli, gdzie dokładnie są atakujący, strzelali więc na oślep. Część ładunków mknęła dalej, zapalając domy poza murem. Aghenor odchylił głowę do tyłu. Zostało ledwie kilka metrów, ale wyraźnie czuł drżenie liny. Nie zdążą!

- Trzymajcie się! - Wyszarpnął miotacz i strzelił w miejsce, gdzie przywiązana była lina. Poczul szarpnięcie i zaczął spadać. Kotwica w oknie wytrzymała, ale uderzył barkiem o ścianę tak, że aż zatrzeszczały mu kości. Ci, którzy byli na samym dole, nie wytrzymali uderzenia i odpadli. Poza nim zostało tylko trzech, w tym Teutuhr.

Na szczęście krawędź budynku osłaniała ich przed ogniem z koszar. Jednak ci z dołu mieli ich teraz jak na dłoni, bo dym rozwiął się. Ale oto wstrząsana raz po raz wybuchami dwudziestopiętrowa ruina do reszty straciła stabilność i na podobieństwo domku z kart zaczęła się składać. Z piekielnym hukiem zwała się, zasłaniając ziemię dywanem białego pyłu, który wypełnił wszystko kotłującym się chaosem. Z atakującymi z dołu mieli więc spokój na dłużej, ale Aghenor wiedział, że żołnierze z koszar zaraz przebiegną mostem. Miał już plan.

Kangeryjczyk, kaszląc pyłem, kilkoma szybkimi ruchami dotarł do okna, wdrapał się do środka i pomógł ocalałym. Mężczyźni, ciężko dysząc, zwalili się pod ściany pustego pomieszczenia. Ociekali krwią, pluli kurzem, wyglądali naprawdę przerażająco.

- Dalej! - krzyknął do nich. - Musimy wysadzić most. Odpoczniecie po śmierci.

Wypalił w zamek, który syjąc iskrami, rozleciał się. Kangeryjczyk zwrócił uwagę na świetlistą chmurę otaczającą wylot lufy. Kopniakiem wyważył drzwi. Partyzanci niechętnie poderwali się i wypadli na ciemny i pusty korytarz. Tym razem Aghenor nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem, czy nie ma pułapek – obrońcy nie mogli się spodziewać wtargnięcia do serca ich twierdzy na tej wysokości.

Odnalazł klatkę schodową i biegiem poprowadził ich dziesięć pięter w górę. Słyszał za sobą ciężkie oddechy. Z irytacją zwolnił. Wyjął i rozłożył miecz. Ładujący się pół sekundy miotacz może okazać się zbędny, gdy trzeba będzie walczyć z kilkoma przeciwnikami naraz. Pchnął kolejne drzwi i wypadł wprost na zaskoczonego żołnierza w lekkiej kevlarowej zbroi, tylko z krótką halabardą. Aghenorowi wydało się to dość dziwne, ale nie tracąc czasu na rozważania, jednym wprawnym ruchem ściał tamtemu głowę. Oświetlony korytarz obiegał budynek wokoło. Za pierwszym zakrętem Aghenor przeszył mieczem kolejnego żołnierza, który zdążył jedynie otworzyć usta w wyrazie niemego zdziwienia. Kangeryjczyk przeskoczył padające ciało i wykopał drzwi. Pokój był pusty. Wyrzwał przez okno. Trzy kondygnacje niżej znajdował się most, łączący wieżę Grenmoore z koszarami. Dobudowano go do istniejących wcześniej budynków. Widać było, jak niestarannie jest wpasowany w mury. Zgodnie z przewidywaniami, ściany mostu były grube i mocne, ale dach chronił jedynie przed deszczem. Nikt nie spodziewał się zagrożenia z góry. Kangeryjczyk wyjął z przewieszzonego przez plecy worka granat burzący. Po zastanowieniu dołożył jeszcze trzy i powiązał je wszystkie drutem. Strzelił, rozwalając dach i znów zobaczył świecącą mgiełkę, otaczającą wylot lufy. Wyczuł też intensywny zapach ozonu. Odbezpieczył jeden granat i rzucił wiązkę w otwór.

- Kryć się! - polecił i cała czwórka wypadła na korytarz.

Ledwo to zrobili, ujrzeli trzech żołnierzy z wycelowanymi w nich, napiętymi kuszami.

- Odłóżcie broń i cofnijcie się! - polecił dowódca.

Obie strony chwilę trwały w niemym wahaniu. Jednak miotacze partyzantów były opuszczone, a kusze żołnierzy wycelowane.

- Nie strzelajcie... - powiedział spokojnie Aghenor. - W żadnym wypadku nie strzelajcie. Zróbcie, co każą. Cofnijcie się.

Położyli miotacze na miękkiej wykładzinie i cofnęli się kilka kroków. Żołnierze podnieśli broń i w tym momencie rozległ się grzmot eksplozji. Chmura odłamków i płomieni rzuciła ich na ścianę. Partyzanci w mgnieniu oka dokonali dzieła dobytymi z pochew mieczami. Kolejna seria wstrząsów oznajmiła powodzenie akcji – most został zniszczony.

Aghenor pochylił się nad ciałami. Kusze. Absurdalnie archaiczne w zestawieniu z nowoczesnymi pancierzami żołnierzy. Nie bez powodu uważano, że Rotherford ma najlepiej wyposażoną armię Miasta.

- Zabezpieczcie miotacze i nie używajcie ich - polecił Aghenor. - Z jakiegoś powodu wszyscy obrońcy Grenmoore mają tylko broń białą.

Teutuhr bez pytania wykonał rozkaz. Dwaj pozostali byli jednak mniej rozumni.

- Nie damy rady bez nich - zaprotestowali.

Kangeryjczyk spojrział na nich, zirytowany. Niechętnie schowali miotacze. Uzbrojeni tylko w miecze, ruszyli w stronę schodów. Aghenor był pewien, że ktoś dysponujący taką władzą jak Giddens podda się naturalnej potrzebie górowania nad innymi i zamieszka tak wysoko, jak to możliwe. Ich celem była kopuła na szczycie wieży.

Gdy minęli zakręt, zza najbliższych drzwi wysypali się kolejni żołnierze, strzelający na ślepo z kusz. Aghenor zdołał się uchylić, ale jeden z partyzantów upadł z przebitą bełtem nogą. Aghenor z Teutuhrem skryli się we wnęce po jednej stronie korytarza, dwaj partyzanci pobiegli nieco dalej, by ukryć się po stronie przeciwnej. Ten ściskający przebite udo zagryzał z bólu zęby, a towarzysz wciągnął go w płytkie schronienie. Gdy kolejna strzała wbiła się w tynk koło jego głowy, ranny wyszarpnął miotacz i wystrzelił na oślep. Kangeryjczyk odruchowo rzucił się na ziemię, pociągając za sobą towarzysza. Oślepiający błysk i obaj partyzanci w ogłuszającej eksplozji przestali właśnie istnieć.

Aghenor poczuł ciepły deszcz. Z obrzydzeniem zrzucił z siebie miękkie tkanki. Dzwoniło mu w uszach, miał mroczki przed oczami. Uniósł głowę. Ściany z kremowych stały się czerwone.

- Skąd wiedziałeś? - zapytał ze ściśniętym gardłem Teutuhr.

- Nie wiedziałem. - Aghenor wysunął głowę poza róg i natychmiast ją schował. Ułamek sekundy później bełt strzały utkwił w tynku. - Są dwadzieścia metrów stąd. Mają tarcze.

Wyciągnął z kabury miotacz, z dna plecaka wygrzebał zwój sznurka i na oko odmierzył dwadzieścia metrów. Zawiązał ściśłą pętlę wokół spustu i odbezpieczył.

- Czekają na wsparcie. - Teutuhr patrzył na niego z napięciem. - Mają nas w szachu.

- Tak, ale zginą.

- Zaraz będziemy mieć przeciw sobie kilkuset doskonale uzbrojonych żołnierzy.

- Ale przedtem ci trzej zginą.

- Musi istnieć jakiś powód, dla którego nikt tutaj nie używa miotaczy. - Teutuhr przyglądał się z niepokojem zabiegom przy broni.

- Jest tu jakiś gaz, który pod wpływem wysokiej temperatury eksploduje. Trzymaj. - Aghenor wręczył mu drugi koniec sznurka, po czym solidnie się zamachnął i bez wyglądanania rzucił miotacz w głąb korytarza. W odpowiedzi nadleciały dwa bełty, ale to było ostatnie, co tamci mogli zrobić. Chwilę potem nastąpiła eksplozja.

Aghenor wyjrzał. Jedyne co zobaczył poprzez dym, to rozszarpane ciała i zbryzgane krwią ściany. Zarzucili plecaki i podbiegli tam. Zabrali dwie kusze i cały zapas bełtów. Ruszyli dalej, ale przed drzwiami na klatkę schodową Aghenor zatrzymał się i spojrział na trzy błyszczące metalem drzwi wind. Jazda nimi była zbyt ryzykowna – kabina mogła zamienić się w śmiertelną pułapkę. Jednak wspinaczka z ekwipunkiem siedemdziesiąt pięter w górę nie była szczytem jego marzeń. Zajęłaby zresztą wieki, a pojawiający się chaotycznie obrońcy dość szybko zorientują się, co się dzieje, i zewrą szyki.

- Nie chcesz chyba?... - zapytał Teutuhr.

- Nie chcę jechać windą - przyznał Aghenor. - Chcę jechać na windzie.

Włożył nóż w szczelinę drzwi i przekręcił. Potężnymi dłońmi rozsunął je do końca. Ich oczom ukazała się poprzecinana stalowymi kratownicami studnia, sięgająca sto metrów w dół

i kilka razy tyle w górę. W świetle słabych lamp po szynach pędziły w tę i z powrotem kabiny. Kto nimi jeździł i po co? Podczas ataku wszyscy od dawna powinni być na stanowiskach.

Teutuhr zaciskał palce na krawędzi drzwi i wpatrywał się w betonową studnię u ich stóp.

- Wchodź! - polecił Aghenor.

Komendant spojrział jeszcze raz w czeluść i po chwili wahania chwycił się otworu po wewnętrznej stronie drzwi. Postawił stopę na stalowej belce, z westchnieniem ulgi odzyskał równowagę. Aghenor stanął obok, a drzwi samoczynnie się zasunęły.

Tuż za ich plecami z szumem przemknęła kabina. Podmuchi niemal strącił ich w przepaść. Mocniej chwycili się elementów konstrukcji. Doskonale wiedzieli, że jeden nieostrożny krok, jeden niewłaściwy ruch skończy się upadkiem. Windy poruszały się w wydrążonym jakby wewnątrz budynku kwadratowym szybie. Osiem wind i puste miejsce w środku. Aghenor przypomniał sobie, że w Bermongate była tylko jedna sprawna winda.

- Skaczemy na tę - wskazał nadjeżdżającą z dołuabinę.

Jej dach w miarę mijanych pięter stawał się jasny lub ginął w mroku. Winda zbliżała się szybko, ale nie mieli wyboru. Chyba że wyborem nazwać nieruchome trwanie na stalowej belce wewnątrz gniazda wroga.

- Łatwiej już nie będzie - mruknął komendant.

Skoczyli równocześnie i ciężko zwalili się na dach kabiny. Jeśli wewnątrz ktoś był, na pewno to usłyszał. Pytanie tylko, czy domyślił się, co spowodowało ten dźwięk.

Chwycili się liny, nasłuchując dźwięków z wnętrza. Nic. Cisza.

- Leźlibyśmy tam z godzinę - przyznał Teutuhr, zadzierając głowę. - Jak sądzisz, wiedzą, że tu jesteśmy?

- Bardziej mnie interesuje, po co ta pusta przestrzeń w środku. - Aghenor wskazał szyny, takie same, po jakich sunęła ich winda.

Tyle że do kabiny poruszającej się w samym środku szybu nie byłoby jak wsiąść.

Poculi, że winda zwalnia. Byli może na osiemdziesiątym piętrze. Zeskoczyli na belkę, w obawie, żeby nie pojechać znów w dół. I rzeczywiście, po krótkim postoju kabina zaczęła zjeżdżać.

- Nie wiedzą, że tu jesteśmy - odetchnął z ulgą Aghenor. - Najpewniej myślą, że zginęliśmy. Minie sporo czasu, nim przeanalizują raporty i zidentyfikują ciała. Resztki ciał. Nie spieszmy się więc i działajmy rozważnie.

Teutuhr powiódł wzrokiem za spojrzeniem swego dowódcy. Jeśli szyny w centrum szybu rzeczywiście należały do systemu wind, to poruszająca się po nich kabina musiała mieć przystanki poniżej i powyżej innych – inaczej nie byłoby jak do niej wsiadać. Z miejsca, gdzie stali, widzieli najwyższe piętro i zatrzymujące się tam kabiny. Pomiedzy nimi, w samym środku ział czarny, kwadratowy otwór. Znikały w nim owe cztery tajemnicze szyny wraz z okablowaniem.

- Prywatna winda Samuela Giddensa - stwierdził Teutuhr i poczuł, jak wzbiera w nim pragnienie zemsty. - Mamy go.

- Do „mamy go” jeszcze kawałek. - Aghenor zaczął się wspinać po wystających elementach konstrukcji. Mimo ciężkiego plecaka poruszał się zwinnie jak kot.

Po kilku minutach dotarli pod strop, za którym znajdowały się maszynownie wind. Z tej odległości sytuacja wyglądała znacznie gorzej – szyb dziewiątej windy nie miał klamer ani stalowego szkieletu, po którym można by się wspiąć. Tylko cztery szyny w czterech rogach i przylegające do ściany grube kable.



- Nie wiemy, jak wysoki jest tunel - zauważył trzeźwo komendant. - Jeśli nadjedzie winda, nie będziemy mieli szans.

- Jeśli chcesz dopaść człowieka, który odebrał ci Marię, musimy się tam dostać.

W mdłym świetle ściennych lamp przyglądali się wylotowi szybu. Aghenor wyciągnął linkę z kotwiczką i powiązanymi co kilkanaście centymetrów supłami. Zarzucił ją na wspornik nad głową, zacisnął między palcami i mocno wspierając nogi o belkę, na której stali, wychylił się i zajrzał do wnętrza szybu. Teutuhr wstrzymał oddech, widząc karkołomny manewr nad kilkusetmetrową przepaścią.

- Kilkanaście metrów wyżej są drzwi, a nad nimi szczyt szybu - oznajmił Aghenor. - Szyny są mocowane do ścian co trzy metry. Idę pierwszy.

- Zaczekaj! Nie widać lin. Jeśli ich nie ma, to znaczy, że kabina jest na górze.

- Nie ma jej tam – widziałem betonowy strop. Musi się poruszać na innej zasadzie.

Obwiązał sobie linę wokół nadgarstka i zarzucił kotwicę w górę. Udało się dopiero za trzecim razem. Sprawdził, czy dobrze trzyma, i obwiązał drugi koniec wokół najbliższego filaru. Kilkom ruchami ramion dotarł do połowy liny, spojrzął w dół. Wisiał teraz nad prawie półkilometrową studnią, pełną ruchomych, drżących lin i jeżdżących w górę i dół wind. Wzdrygnął się i wspiął do pierwszego wspornika szyny. Podciągnął się na nim i krzyknął do Teutuhra:

- Odwiąż linę i chodź tu.

Po chwili wspinaczki również Teutuhr stał na wąskim wsporniku. Do następnego było jednak prawie trzy metry. Aghenor gestem pokazał, żeby wszedł mu na ramiona. To było jeszcze proste, ale z wciągnięciem barbarzyńcy poszło znacznie gorzej. W efekcie Kangeryjczyk dostał się na górę za pomocą liny. Z trudem pokonali odległość dzielącą ich od drzwi. Aghenor otworzył je nożem i obaj wydostali się z wnętrza szybu.

Zmęczeni, osunęli się na podłogę wnętrza kopuły Grenmoore. Poraziło ich zielone światło, zmrużyli przywykłe do mroku szybu oczy. Sala była ogromna, urządzona z przepychem. Bogato rzeźbione meble, kotary z kosztownych materii. Po jednej stronie na bibliotecznych półkach stało tysiące ksiąg oprawionych w skórę, drugą zajmowało wielkie łóże. Było też gigantyczne biurko. Obejrzeni się, nieco przytłoczeni atmosferą luksusu. Drzwi do windy mieściły się w potężnej, okrągłej kolumnie, na której wspierała się wieńcząca wieżę iglica.

Staliby tak dłużej, ale za ich plecami rozległ się tupot kilku par nóg. Do sali wpadło sześciu gwardzistów w długich płaszczach narzuconych na lekkie zbroje. Aghenor wybiegł im na spotkanie. Pierwszego przeszył z marszu, nim napastnicy zorientowali się, co się dzieje. Byli jednak dobrze wyszkoleni i od razu natarli na Kangeryjczyka. Barbarzyńca sparował pierwszy cios i wtedy stało się coś nieoczekiwanego – miecz pękł u nasady, dokładnie w miejscu, gdzie przedtem trafił ładunek plazmowy. Składane ostrze uderzyło z brzękiem o marmurową posadzkę i rozpadło się na trzy części. Aghenor zacisnął zęby i odrzucił bezużyteczną rękojeść. Stał teraz przyczajony naprzeciw trzech uzbrojonych przeciwników, którzy powoli, krok za krokiem otaczali go i próbowali zepchnąć w róg komnaty. Teutuhr, walczący z dwoma innymi, zauważył to, rzucił się na pomoc. Zaatakował najbliższego z trzech osaczających Aghenora i z zaskoczenia udało mu się go zranić. Niestety, sam się przy tym odsłonił. W jego plecy wbito miecz aż po rękojeść. Komendant stęknął, wypuścił broń. Kangeryjczyk chwycił ją w locie, nim dotknęła posadzki. Przetoczył się po ziemi pod wymierzonym w swoją szyję ostrzem i ciął z dołu w udo najbliższego gwardzistę. Nie miał jednak dobrego podparcia na śliskiej od krwi posadzce – broń zsunęła się po nagolenniku,

lecz gwardzista również stracił równowagę i nadział się na czubek uniesionego miecza. Kangeryjczyk wyszarpnął skrwawione ostrze i z półobrotu rozpruł brzuch rannego. Zostało trzech. Natarli jednocześnie, gdy się podnosił. Nie było czasu na zamach. Zrobił jedyne, co mógł. Zamiast cofnąć się, rzucił się do przodu i złapał za nadgarstek najbliższego gwardzistę, który celował z góry w jego głowę. Odebrał mu tyle energii, że cios spadł na plecy i nawet nie zabołał. Ułamek sekundy później gwardzista leżał na ziemi z wykręconym nadgarstkiem i twarzą we krwi. Nim pozostali dwaj odnaleźli się w nowej sytuacji, byli martwi: jeden z odciętą głową, drugi z rozplatanym aż po mostek brzuchem. Nie wypuszczając z dłoni miecza, Aghenor dobił rannego i upewnił się, że wszyscy nie żyją. Przyklęknął przy Teutuhrze. Uniósł mu głowę, spojrzał w zachodzące mgłą oczy.

- Jesteśmy niemal u celu!

- Ty jesteś. Ja tam nie dotrę. Jeśli odnajdziesz Marię... zaopiekuj się nią. Jeśli nie...

- Jeśli jej nie odnajdę, wtedy zabiję Samuela Giddensa. Nie, zabiję go i tak. Również w twoim imieniu. Obiecuję.

Komendant uśmiechnął się i zamknął oczy. Był już gdzie indziej. Aghenor delikatnie położył mu głowę na posadzce i powoli się podniósł.

Pośrodku sali stał siwiejący mężczyzna o orlich rysach i wysokim czole. Miał na sobie elegancki czarny garnitur, jakich nie nosiło się od bardzo dawnych czasów. Dłonie zaplótł palcami, jakby doświadczał wielkiego smutku. Patrzył na Aghenora spojrzeniem bez wyrazu.

Kangeryjczyk podszedł do niego ostrożnie.

- Samuel Giddens?

Tamten skinął głową. Instykt podpowiedział Aghenorowi, że zabicie go wydaje się za proste. Musi w tym być jakaś pułapka. Opuścił ostrze. Mężczyzna patrzył bez strachu na zakrwawionego barbarzyńcę.

- Jesteś telepatą, więc wiesz, o co chcę zapytać. Gdzie ona jest?

- Jak ci powiem, zabijesz mnie. Po co miałbym to robić?

- Między życiem a śmiercią jest wiele etapów pośrednich. - Aghenor patrzył spode łba. - Nie chcesz ich poznawać.

- Nie poznam.

- Sądzisz, że cię nie zabiję?

- Sądzę, że nie.

- Więc jesteś dupa, nie telepata! - Aghenor skoczył do przodu i cięciem miecza rozplatał prezydenta Rotherfordu na pół.

Miecz przeszedł przez ciało Samuela Giddensa bez żadnego oporu, a Aghenor na moment stracił równowagę. Nie była to jednak zasługa doskonałej klingi.

- Nie trzeba być telepatą - uśmiechnął się Giddens - żeby wiedzieć, że nie można zabić hologramu.

- Gdzie naprawdę jesteś?!

- W miejscu dla ciebie niedostępnym. A dotarłeś tak daleko tylko dlatego, że było to moją wolą. Wiem, czego szukasz. Czytam w twoich myślach jak w otwartej księdze. Przysłała cię tu żona gubernatora Normana La Verne'a, byś mnie zabił. Zgodziłeś się tylko dlatego, że i tak miałeś w planach tu przybyć. Pożadasz kryształu inkludytu, prawda?

Aghenor poprawił w dłoni miecz, ale nie ruszył się ani o krok. Wciąż czujnie nasłuchiwał, czy za plecami nie pojawi się kolejny oddział gwardii.

- Nie pojawi się - zapewnił go telepata. - Jesteś tu, ponieważ chcę z tobą zawrzeć układ.

- Jestem tu, ponieważ jeden już zawarłem.

- Ta dziwka Rebeca La Verne sama podtruwa gubernatora, zwalając winę na mnie. Chce przejąć władzę. Nie mam z tym nic wspólnego. Zapomnij o tamtym układzie. Nie był uczciwy. Mam dla ciebie lepszy.

- Najpierw powiedz, gdzie jest Keri.

Telepata spojrział na wiszący na jednej ze ścian wielki obraz, przedstawiający Miasto i cztery wieże Grenmoore w stanie sprzed przeszło trzystu lat. Obraz uniósł się i odsłonił dwie szklane cele. W każdej leżała nieprzytomna naga dziewczyna. Wzrok Aghenora padł na lewą.

- Keri! - Dopadł szyby i uderzył w nią ręką i mieczem. Rozległo się jedynie głuchoe puknięcie, jakby uderzył w twardą skałę.

- Wypuszczę ją, jak dobijemy umowy, barbarzyńco.

Aghenor pokręcił głową.

- Wypuścisz ją teraz - powiedział, jakby mógł tu rozkazywać. - To warunek wstępny, żebyśmy zaczęli rozmawiać... prezydencie.

- Wiem dobrze, że z takimi jak ty trzeba rozmawiać z pozycji siły.

- Skoro czytasz w moich myślach, wiesz, że nie zamierzam uciekać.

- Teraz tak, ale jak ją dostaniesz, zmienisz zdanie.

Dziewczyna z prawej... to była Maria. Podczas przygotowań do ataku Kangeryjczyk usłyszał o niej tyle, że teraz był pewien. Piegi, rude włosy i tatuaż na prawym ramieniu.

- Tak, zrobiłem to celowo. - Samuel Giddens patrzył na Aghenora ponuro. - Przewidziałem, że dotrzecie tu wy dwaj. Reszta hołoty miała zginąć i zginęła. To moja karta przetargowa.

Aghenor zerknął przez ramię na martwe ciało Teutuhra, ujął w obie dłonie miecz i z całej siły uderzył w środek szklanej tafli. Zaiskrzyło, ale na szkłe nie pojawiła się nawet rysa.

- To na nic. - Prezydent patrzył na jego wysiłki tym samym, obojętnym wzrokiem. - Wielokrotnie hartowane szkło nie boi się miecza. Możesz patrzeć na ukochaną, ale nic ponadto. - Uśmiechnął się po raz pierwszy. - Reszta zależy ode mnie.

- Ściąłem wiele głów z podobnym uśmiechem - odparł Aghenor. - Tocząc się po ziemi, nieodmiennie traciły poczucie humoru.

Prezydent zacisnął wargi. Był panem sytuacji i jednocześnie nie był. Czytał w myślach Kangeryjczyka i znajdował tam sprzeczne intencje. Nie wiedział, co o tym myśleć. Barbarzyńca powinien przecież układać się...

Aghenor wyjął z plecaka flarę i szarpnięciem za sznurek zapalił ją. Wokół różowego płomienia powstała mglista aureola, ale temperatura była zbyt niska, by doprowadzić do eksplozji tajemniczego gazu. Aghenor przysunął płomień do środka szyby.

- Imponujesz mi, poważnie - znów odezwał się Giddens. - Nie myliłem się co do ciebie, ale wiedz, że w ten sposób nie przetopisz się przez szkło.

- Nie chcę się przetopić przez szkło.

Telepata skupił się na myślach barbarzyńcy. Odnalazł w nich jednak tylko chaos wściekłości. Nie potrafił teraz czytać w jego umyśle. Czuł, że zaraz straci kontrolę nad swoim własnym.

- Nie chcesz usłyszeć, co mam ci do zaoferowania?

- Nie interesują mnie twoje propozycje, cieniu prezydenta. Przestań mi brzęczeć nad uchem, bo nie słyszę własnych myśli.

Gdy flara wypaliła się, Aghenor czuł na twarzy gorąco promieniujące od szyby. Wyjął z

plecaka manierkę i chlusnął zimną wodą na rozgrzaną powierzchnię. Rozległ się huk, jakby pękała wielka kopuła Grenmoore. Na tafli szkła poszerzała się siateczka pęknięć.

- Sprytne. - Giddens zaprzestał skanowania umysłu barbarzyńcy. - Ale to tylko rysy. Otworzę klatki, jeśli zgodzisz się na moje warunki.

- Jesteś nudny, hologramie. - Aghenor zamachnął się i uderzył klingą miecza Teutuhra w środek pęknięć. Bez rezultatu.

- Nie łatwiej wysłuchać, co mam ci do zaoferowania?

- Od jakiegoś czasu ciągle ktoś ma mi coś do zaoferowania. Dość.

- To szkło jest twardsze od twojego miecza.

Aghenor kilka razy uderzył w szkło, ale jedynym efektem jego wysiłków były skrzesane iskry. Przestał słuchać, co mówił Giddens. Uderzał raz za razem, aż powyszczerbiał miecz i uznał, że to bezcelowe. Chwilę stał przed szybą, złapał plecak i wyjął z niego ostatnie trzy flary. Szarpnięciem wyciągnął spod nóg prezydenta dywan (hologram oczywiście nie drgnął ani o milimetr), po czym zgniótł go w spory, bezładny zwój. Odpalił trzy race i wetknął je w dywan. Po chwili płomienie lizały popękana tafelę. Aureola wokół nich powoli stawała się coraz słabsza – gaz wypalał się. Aghenor wiedział, że ryzykuje, ale robił to wiele razy w życiu. Założył rękawicę i wyjął z kabury Teutuhra miotacz. Wsunął dłoń w płomień i nacisnął spust. Eksplozja nie nastąpiła, gaz już wypalił się i rozcieńczył. Za to szklana ściana zamieniła się w biały wodospad i z hukiem opadła na ziemię. Kangeryjczyk butem odtrącił dopalające się resztki i wszedł do celi. Bez trudu wziął na ręce Keri i wyniósł na środek sali. Nakrył ją płaszczem zerwanym z jednego z martwych gwardzistów.

Wnętrze celi musiało być wypełnione gazem usypiającym, bo dziewczyna odzyskiwała przytomność.

- Brzuch... - Skrzywiła się i zgięła w pół. - Boli... Dwa miesiące temu miałam operację. Coś mi wycinali. Potem ciągle bolało, ale nie tak jak teraz.

Aghenor dotknął jej brzucha.

- Coś tu jest...

- Wiem. Coś obcego. Śniło mi się...

- Co ci się śniło? - Prezydent zbliżył się do nich, nie zadając sobie trudu tworzenia iluzji poruszania nogami.

- Metalowa kulka z wężami kabli...

- Bomba... - Hologram cofnął się o kilka metrów. - Bomba z zapalnikiem neuralnym... To w stylu Rebeci La Verne. Głupia baba myśli, że pokrzyżuje moje plany takimi prostackimi metodami.

- Bomba z zapalnikiem neuralnym? - Kangeryjczyk podniósł wzrok.

- Myślisz, że Rebeca La Verne wysłała ciebie, byś mnie zabił? Ty miałeś tylko dostarczyć tutaj ją! - Wskazał Keri.

- Teraz na to wpadłeś? Taki z ciebie telepata...?

- Ta twoja Keri nie wiedziała o bombie. Nie odnalazłem więc tej informacji w jej myślach. Ale to i tak bez znaczenia, bo przecież mnie tu nie ma. Za to jesteś ty i jest ona. Jaka przykrość... - Giddens uśmiechnął się podle. - Bomba jest połączona z systemem nerwowym. Procesor wyczuwa moją obecność, bo widzi mnie jej oczami. Jeśli podejść bliżej, zapewne eksploduje. Nie sądziłem, że Bermongate stać na taką technologię, choć i tak nie potrafili jej dobrze zestroić. Powinna wybuchnąć od razu.

- Odejdź - powiedział Aghenor. - Wtedy bomba się zdezaktywuje.

Hologram Samuela Giddensa uśmiechnął się szeroko.

- Możemy o tym porozmawiać. Jesteś już ciekawy mojej oferty?

Kangeryjczyk chciał chwycić za miecz, ale z hologramem nie da się przecież walczyć. Hologramu nie da się zatrzymać. Rozejrzał się po sali. Emiter był dobrze ukryty, może nawet za ścianą.

Keri spojrzała na prezydenta i jej twarz znów wykrzywił ból.

- Przecież nie wierzysz, że to on! - Aghenor rzucił naramiennikiem gwardzisty w hologram, a przedmiot przeleciał na wskroś. - Jego tu nie ma.

- Nie wierzę, ale procesor bomby wierzy. Ona i tak wybuchnie. - Keri drżała. - Wiem to. Jest już częścią mnie. Albo ja jestem częścią jej.

- To płytko pod skórą. - Aghenor wodził palcem po świeżo zagojonym szwie. - Wytnę ją.

Keri złapała go za rękę.

- Chcesz mi wbić nóż w brzuch?

- Jeśli to uratuje ci życie, to tak.

- Uderz mnie. Jak stracę przytomność, nie będę go widzieć. Wyniesiesz mnie stąd.

- Nie robiłbym tego. - Prezydent podszedł bliżej. - Jeśli teraz straci przytomność, bomba z pewnością eksploduje.

- Zniszczy ci pałac - wycedził przez zęby Aghenor.

Dziewczyna skuliła się w kolejnym ataku bólu.

- Partacze - pokiwał głową prezydent. - Bomba swoim jadem zabije dziewczynę jeszcze przed wybuchem. Jednak to dobrze, że nie wysłałem jej, tylko zatrzymałem do twojego przybycia.

- Chciałeś ją wysłać do Miasta nad nami? - zapytał ze złością Aghenor. - Jako niewolnicę?

- Nad nami, pod nami, co za różnica? Poziomów jest wiele, a wasz miał pecha zostać odcięty. Handel musi trwać.

- Porwałś ją celowo, żebym tu przyszedł.

- Owszem. Nie wiedziałem, że wysłała cię ta suka. Nie sądziłem, że przychodząc tu, zrobisz przy okazji tyle zamieszania. Pomyśl, mógłbyś żyć inaczej. Tu nie ma perspektyw. Na tym poziomie nastąpił regres. Kilkaset lat temu reszta postanowiła go odciąć, żeby zapobiec emigracji biedaków i infekcji przestępczością. Oferuję ci przejście do lepszego świata, pełnego nieznanych ci bogactw.

Keri wyprężyła się po raz ostatni i opadła w ramionach barbarzyńcy. Zamknął jej powieki. Ogarnęła go bezsilna wściekłość, że nie może rozplatać stojącego obok widma.

Samuel Giddens pochylił się nad ciałem dziewczyny. Na jej brzuchu, wokół blizny pojawiła się czerwona plama, a skóra zaczęła się łuszczyć.

- Wybuchnie najdalej za minutę - mówił szybko, patrząc na Aghenora. - Stąd są tylko dwa wyjścia. Jedno z nich zaprowadzi cię do kilkuset wściekłych żołnierzy. Ale i tak nie dotrzesz na dół, bo wcześniej zabije cię bomba. Schodami już nie zdołasz uciec. Drugie wyjście to droga do lepszego świata, gdzie pomogę ci wykorzystać twoje zdolności dla naszych wspólnych korzyści. Wystarczy, że przejdziesz przez te drzwi, a bezpiecznie znajdziesz się daleko stąd. Tam, gdzie ja teraz jestem.

Kangeryjczyk wstał i spojrzał na wskazane drzwi, obok ziejących czernią drzwi windy.

- Dotrę tam, gdzie jesteś - odparł. - Ale nie teraz. Dotrę tam kiedyś, żeby cię zabić.

- Dlaczego? - Na twarzy prezydenta malowało się źle skrywane zdziwienie.

- Obiecałem przyjacielowi. - Aghenor wziął na ręce ciało Keri i podszedł do otwartych

drzwi windy. - Wybieram pierwsze wyjście. Trochę je przedtem oczyszczę.

Spojrzał ostatni raz na twarz dziewczyny, złożył pocałunek na blednących ustach i cisnął ciało do szybu.

Hologram Samuela Giddensa wpatrywał się ponuro w Kangeryjczyka. Prezydent już wiedział, że przegrał. Przegrał mimo swoich zdolności, mimo wyszkolonej armii i potężnego państwa. W sercu własnej twierdzy przegrał ze zwykłym barbarzyńcą.

Podłoga zadrżała. Aghenor zachwiał się, ale nie spuścił wzroku z prezydenta. Po chwili budynkiem targnął jeszcze silniejszy wstrząs, a powietrze wypełniło się hukami. Hologram zafalował i znikł. Na chwilę zgasły wszystkie światła. Aghenor zasunął drzwi windy, by nie wpuścić dymu, i otworzył drugie drzwi, wiodące na inne poziomy. Na środku małego pomieszczenia było okrągłe podwyższenie, na którym mógł stanąć jeden człowiek. Aghenor nie miał pojęcia, jak użyć przejścia i nie miał zamiaru teraz tego robić. Podważył nożem panel kontrolny przypominający ten w windzie i uśmiechnął się, widząc zielony blask. Teleporter, droga do lepszego świata, synchronizował się z bliźniaczym urządzeniem dzięki kryształowi inkludytu – najcenniejszemu przedmiotowi w Mieście. Aghenor uśmiechnął się i wyjął klejnot z uchwytu. Chwilę obracał go w dłoni. Był w tej chwili najbogatszym człowiekiem w promieniu stu, może i dwustu kilometrów. Warto było się trochę zmęczyć.

Nagle usłyszał za plecami szloch. Odwrócił się zaskoczony. Maria, obudzona wstrząsami, wyszła z celi i klęczała teraz przy ciele Teutuhra. Zapomniał o niej... Zawinął kryształ w chustę i wetknął do najbezpieczniejszej kieszeni. Zerwał płaszcz z najbliższego ciała i nakrył nim nagą dziewczynę. Uniosła na niego zapłakane oczy.

- Zginął, żeby cię ratować - powiedział. - Przyszedł tu dla ciebie.

- Inne od razu były przerwane... Mnie tylko więził.

- Musimy iść. Póki na dole trwa pożar i chaos, mamy szansę wydostać się stąd niezauważeni.

Pokręciła gwałtownie głową i przytuliła się do martwego ciała.

- Jeśli tu zostaniesz, zginiesz. - Aghenor chwycił ją za rękę i łagodnie pomógł wstać.

Przyłgnęła do niego, szlochając.

Uniosła wzrok i spytała przez łzy:

- Dokąd pójdziemy?

- Najpierw na wschód. Dwa dni drogi stąd mam sprawę do załatwienia. Muszę kogoś zabić.

*Warszawa 2007*

# Robert M. Wegner

## JESZCZE JEDEN BOHATER

Niebo na wschodzie przyniosło pierwszy zwiastun ataku. Nisko zawieszona chmura wyduła się, odkleiła od horyzontu, tworząc szczelinę, przez którą wdarł się pojedynczy promień światła. Promień rozszerzył się, urósł na boki, jakby chciał raz na zawsze odciąć skłębioną masę od ziemi, jakby był gigantycznym nożem, którym jakiś szalony cukiernik rozkrawa warstwy piekielnego tortu. Dolną stanowiła równina – porwana wybuchami, poznaczona chorymi plackami zeszkłonej ziemi i lejami, w których zalegało brudne błocko; górną – czarne jak sen grabarza, matowe, pożerające światło chmury, składające się z sadzy, pyłu po eksplozjach i trujących dymów. „Chmury”, nazywane tak tylko dlatego, że w języku żołnierzy nie było słowa, którym dałoby się określić to coś, co od lat wisiało nad tym globem.

Tort Lucyfera. Smacznego.

Świetlny promień odciął wreszcie barokowe cumulusy od ziemi i znikł, tak jak się pojawił.

A potem w ziemię uderzyła błyskawica. Oderwała się od podniebnego kłębowiska i na chwilę rozświetliła chmurzyskom brzuchy. Po niej następna, i kolejna, coraz szybciej i szybciej. Jedna obok drugiej, pięć, dziesięć, pięćdziesiąt na sekundę. Przez chwilę cała wielka, rozciągająca się od horyzontu po horyzont warstwa chmur wyglądała niczym olbrzymi balon, uwiązany do ziemi milionem ognistych węży. Pioruny uderzały jeden obok drugiego, jakby wszyscy pogańscy bogowie urządzili sobie popijawę, zakończoną zawodami, w których chodziło tylko o to, kto szybciej i mocniej rąbnie błyskawicą w ziemię.

Minęła prawie minuta, zanim siostra Weronika Amanda Redglowe usłyszała pierwszy pomruk. Liczyła. Atmosfera gęstsza, więc sześćdziesiąt razy cztery, dwieście czterdzieści dodać dwa zera, równa się dwadzieścia cztery tysiące. Dwadzieścia cztery kilometry. A pioruny wyglądały, jakby biły na wyciągnięcie ręki. Musiały być gigantyczne.

- Sierżancie - stuknęła pancernego kolosa w ramię - gdzie on jest?

Góra żelaza obróciła się powoli w jej stronę. Oczywiście wiedziała, że to nie metal, tylko skorupa, przy której zwykła stal prezentuje się jak ołów przy diamencie, ale co z tego, jeśli w dotyku materiał do złudzenia przypominał żelazo? W zakonie nie uczyli ich ksenometalurgii.

Sierżant był dwumetrowym Murzynem, który w pancerzu miał dwa dwadzieścia, musiał się więc pochylić, żeby spojrzeć na nią znad dolnej kryzy.

- W bunkrze.

Zabrzmiało to, jakby jego głos wydobywał się z wnętrza stalowej beczki. Uśmiechnęła się w duchu, miała trochę racji co do tego żelaza.

- Sam?

- Pilnuje go dwóch ludzi.

- Dobrze. - Skinęła głową, zadowolona. - Czy reszta jest gotowa?

- Za dwadzieścia pięć minut bierzemy ogłupiacze. - Wzruszył ramionami, ale widząc jej minę, dodał - to trzecia linia, nie dojdą tu. A gdyby doszli, zdążymy się wybudzić.

- Widziałam już żołnierzy, którzy byli pewni, że *kalehowie* do nich nie dojdą albo że zdążą się, jak pan to ładnie ujął, wybudzić. Proszę mi wierzyć, sierżancie, nie zapomnę tego do końca życia.

Zmierzył ją wzrokiem, a w jego ciemnych oczach zabłysło pytanie: „Czyli jak długo, co?”

Jak długo masz zamiar żyć, pętając się po linii frontu w habicie i z różańcem w dłoniach?”.

Widziała już to pytanie niejedną raz, także w oczach żołnierzy, którzy potem strzelali sobie w usta lub otwierali żyły. Zamykała później te oczy, modląc się za dusze tych chłopców. W takich przypadkach Kościół pozwalał na odprawienie wszystkich sakramentów, nawet jeśli chodziło o samobójców.

- Kto was wspiera?

- Kto? - Wyglądało na to, że nie zrozumiał pytania. - A, ten, no... z czternastego... Zawisza z oddziałem niezapisanych. Zostało mu siedemnastu.

Po raz pierwszy dzisiejszego ranka uśmiechnęła się szczerze. Zawisza. Znała go. Raz nawet widziała, jak umierał.

- Świetnie. Proszę mnie zaprowadzić do kaprała.

Bunkier odznaczał się brzydotą wszystkich betonowych schronów wszechświata. Najpewniej pochodził z czasów pierwszej wojny, gdy stawiano jeszcze takie konstrukcje, wierząc, że pół metra żelbetonu wzmocnionego kryształowymi przerostami alluwalu dadzą żołnierzom większe szanse. Po pojawieniu się pierwszych *maghostów* szybko z tego zrezygnowano, bo wystarczyło, że u jednego z załogi schronu zawiodły ogłupiacze, a po bitwie można było wyciągać wszystkich wiaderkami. Ale umocnienia linii Howarda pozostały: niskie, paskudne w swojej praktyczności budynki z otworami strzelniczymi wyglądającymi jak wściekle zmrużone oczy maniakałnego zabójcy. Pełniły teraz głównie funkcję magazynów amunicji i tymczasowych lazaretów.

Szli obok siebie – on, posępny zakuty w zbroję olbrzym stukający buciorami po ażurowej kracie leżącej na dnie okopu, i ona, drobna, ledwo metr pięćdziesiąt osiem, w ciemnym habicie przewiązanym białym sznurem. Kilku żołnierzy uśmiechnęło się na ten widok, jeden czy dwóch skinęło jej lekko głową, ale mina dowódcy powstrzymała ich od zagadywania. Sierżant nie odzywał się, wyraźnie zły, a ona nie pytała o powód tej złości, bo było to aż nazbyt oczywiste. Prosił o grawa, żeby odesłać ранego kaprała na tyły, a przysłali mu zakonnice. Jak następnym razem zażąda wsparcia ogniowego, to dostanie książeczkę z psalmami!

Nie wierzył w takie rzeczy, nie wierzył w modlitwę i siłę wiary. Zbyt wiele już widział, zbyt wielu kumpli wyciągał z pancerzy po tym, jak *kalehowie* przerobili im umysły na papkę.

Doszli do wejścia, żołnierz sięgnął do olbrzymiego stalowego koła i zakręcił. Grube na dziesięć centymetrów drzwi zaskrzypiały i zaczęły się powoli uchylać, ukazując zalany zimnym światłem przedsionek.

- To tu. - Wyglądało na to, że nie miał zamiaru jej towarzyszyć. - Wiedzą, że siostra przyjdzie.

- Dziękuję, sierżancie. Będę się modlić i za pana.

Wyraźnie wrzucił ramionami, choć pancerz ukrył ten gest. Przez chwilę wydawało się, że ma zamiar powiedzieć coś uszczypliwego, ale zrezygnował. Skinął tylko głową i postukał w pancerz. Oto, w co ja wierzę – zdawał się mówić tym gestem, choć nie wiadomo było, czy chodzi mu o trzy centymetry inteligentnej zbroi, czy o ukryty pod nią pojemnik z ogłupiaczami.

- Dwadzieścia trzy minuty do snu - rzucił z ręką na kole zasuwy.

Weszła do środka, drzwi zazgrzytały i zaczęły zamykać się z powrotem.

- I jeszcze jedno - podoficer zaszeptał, nie przerywając walki z mechanizmem - lepiej żebym po wszystkim nie znalazł w środku żywej zakonnicy owiniętej flakami mojego kaprała.

Zmierzyli się wzrokiem przez gasnącą szczelinę. Nie pierwszy raz słyszała podobny tekst.



Na froncie obowiązywały jasne zasady.

- Proszę zaczekać chwilkę, siostró - usłyszała głos nie wiadomo skąd, gdy sierżant podjął przerwana pracę. - Wewnętrzne możemy otworzyć dopiero wtedy, gdy zewnętrzne się zamkną.

Skinęła głową, choć nie miała pewności, czy ją widzą. Przedśionek był krótki i wąski, a drzwi z obu stron wyposażono w stalowe koła. Najwyraźniej pneumatyczne siłowniki poddały się już dawno temu.

Za jej plecami szczęknęły potężne blokady, światło zamigotało, jakby przestraszone.

Za drugich drzwi dobiegło stęknienie, kilka sapnięć i cichych przekleństw. Otwierały się powoli, niechętnie, najwyraźniej mechanizm odpłacał za lata zaniedbywania, kurzu i rdzy zżerającej przekładnie. Minutę trwało, zanim uchyliły się wystarczająco, żeby mogła wejść.

- Uff. - Żołnierz błysnął uśmiechem i otarł pot z czoła. - Mówiłem, żeby draństwo nasmarować, ale tu jest wszystko poza olejarką. Strzelec Klawenson.

- Siostra Redglowe. Nie byłoby łatwiej użyć siłowników pancerza?

- Ależ używam, używam. Inaczej we trzech nie ruszylibyśmy tego dziadostwa. Ale egzoszkielet i tak wymaga używania mięśni. Sierżant uprzedził, ile czasu zostało do zastrzyku?

- Dwadzieścia trzy minuty, teraz już pewnie dwadzieścia.

- Osiemnaście - poprawił. - Duchy są już niemal na pierwszej linii. Idą szybciej, niż sądziliśmy.

Osiemnaście minut. To znaczyło, że fala jest dwadzieścia, góra dwadzieścia pięć minut od nich. Zamknęła oczy. Pan poddawał ją próbie, a ona nie miała zamiaru zawieść.

- Gdzie ranny?

Zaprowadził ją bez słowa. Przygotowali dla kaprała pomieszczenie w samym środku bunkra, pozbawione okien, z jednym tylko wejściem. Bóg raczył wiedzieć, do czego projektant je przewidział, w tej chwili jednak znajdowało się w nim tylko połowe łóżko, wojskowy automed, taboret i kilka lamp, podpiętych do przenośnego generatora i do baterii akumulatorów na dodatek. Sama o nie prosiła, to ważne, żeby światło nie zgasło ani na chwilę.

- Będziemy musieli was zostawić - wyjaśnił Klawenson, kierując się ku wyjściu. - Rozkazy sierżanta. Proszę się nie martwić, zamkniemy drzwi i na wszelki wypadek pokażę, jak zablokować je od wewnątrz. Nic się tu nie dostanie.

Machnęła tylko ręką na tę niezgrabną próbę uspokojenia jej. Patrzyła na rannego. Edward Nowak, dwadzieścia osiem standardowych lat, katolik. W sumie miał szczęście, gdyby był Żydem, zostałby sam, bo rabin Glewstein wyleciał rano do dwóch żołnierzy z linii Eddginsa.

- Jak się pan czuje, sierżancie? - spytała łagodnie.

Popatrzył wzrokiem na wpół oszalałym ze strachu i zaśmiał się krótko, na granicy panicznego chichotu.

- Sierżantem to ja zostanę pośmiertnie. Teraz jestem kapralem i lepiej niech siostra to zapamięta.

Przypomniała sobie jego dane medyczne: uraz kręgosłupa, połamane nogi, pęknięte trzy żebra. Efekt upadku z sześciu czy siedmiu metrów na betonową płytę. Nie miał wtedy na sobie pancerza. Pech. Najgorsze jednak kryło się pod czaszką, rozległy krwiak powstrzymywany teraz tylko przez nanosiatkę wstrzykniętą do tętnicy. Siatka była bardzo delikatna, więc żeby miał szansę przeżyć, farmakologicznie obniżono mu ciśnienie. Tylko że z tego powodu nie mógł jak reszta żołnierzy dostać ogłupiaczy, gdyż ich składniki weszłyby w konflikt z przyjmowanymi lekami. Ot, i wszystko. Doskonale wiedział, że bez ogłupiaczy nie przeżyje

fali psychoschizoidalnej, zwanej falą *maghostów*, a z nimi zabije go wylew krwi do mózgu. Powinien zostać ewakuowany na tyły, o tak, z pewnością wolałby podjąć ryzyko tańca z polami anty-g, nawet jeśli miałyby rozerwać nanosiatkę, lecz zamiast tego przysłali mu tę pierdolniętą zakonnicę.

Pech.

Och, ludzkie oczy nadal potrafią przekazywać tyle informacji. Zwłaszcza takie, w których nienawiść miesza się z paniką.

Nieoczekiwanie uśmiechnął się szeroko.

- Czuję się lepiej, siostró. Chłopcy tak się martwią, że zadbali nawet, żebym z łóżka nie spadł. - Napiął mięśnie, pokazując pasy krępujące mu ręce i nogi.

- Nie zrobili tego sami, ja ich poprosiłam - wyjaśniła spokojnie. - Doświadczenie.

Przestał się uśmiechać.

- Jakie doświadczenie, co? Jakie, kurwa, doświadczenie!?! - Szarpnął się tak, że pasy zaskrzypiały, a łóżko prawie podskoczyło.

Podwinęła prawy rękaw i pokazała mu. Zamilkł, wpatrzony w paskudną, postrzępioną bliznę ciągnącą się od nadgarstka po sam łokieć. Jakby wygryzło ją zwierzę.

- Paznokcie i zęby - wyjaśniła. - Takie rany nie goją się ładnie.

Nie odzywał się, wpatrzony w jej przedramię.

- A ten, który to zrobił? - powiedział wreszcie.

- Tłukłam go krzesłem, aż zaczął się bardziej bać mnie niż tego, co *maghosty* zostawiają mu w głowie. - Opuściła rękaw i uśmiechnęła się spokojnie. - Ale zazwyczaj wolę modlitwę. Kiedy ostatnio byłeś w kościele?

- Dwa... nie, trzy lata temu.

Westchnęła ciężko, trudny przypadek.

- Więc dobrze, zaczniemy od podstaw. Pamiętasz *Ojciec nasz*?

Głośnik przekazał wycie syreny. Dwadzieścia minut do kontaktu, piętnaście do wzięcia ogłupiaczy.

\* \* \*

Trzydzieści kilometrów dalej pułkownik Stanley Kon-Kawawa wpatrywał się w napięciu w ekran. Linia ataku wyglądała jak fala eksplozji nadciągająca z prędkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę od wyrwy w murze chmur. Przeląła się już przez pierwsze okopy i ze stałą prędkością zbliżała do drugich. Komputery w sztabie dławiły się, próbując określić, gdzie i kiedy fala depresyjna się załamie, lecz jak dla niego nie miało to znaczenia. Jeszcze żadna z nich nie dotarła dalej niż trzydzieści kilometrów od punktu wyjścia i widział już, że ta też nie będzie wyjątkiem.

Pierwsza linia umocnień rozbłysła nagle światłem. Taktyczne głowice plazmowe o mocy kilku kiloton wyzarzyły parę kilometrów kwadratowych terenu przed okopami, znak, że nadchodził właściwy atak. *Paschodery*, *migoracze* i *patykołapy* sunęły za falą *maghostów*, żeby zetrzeć w pył oszołomionych ogłupiaczami żołnierzy. Dopiero po nich nadejdą sami *kalehowie*. Tak to przynajmniej miało wyglądać w teorii – w praktyce wojsko w okopach nie było osamotnione.

- Kto jest na pierwszej?

Kon-Kawawa prawie podskoczył w miejscu. Dowodzący linią Howarda generał porucznik

John Mannis poklepał go po ramieniu.

- Proszę się uspokoić, panie pułkowniku. Kto wspiera pierwszą linię, pytam?

- Musashi, panie generale. I dwudziestu trzech niezapisanych.

- Dobrze. A drugą?

- Szalony Koń. I dwadzieścia dwa pustaki.

- Trzecią Zawisza?

- Zgodnie z rozkazem. Plus siedemnastu.

- Dobrze. Rezerwy?

- Siódma Pancerna i Trzydziesty Drugi Pułk Grenadierów. Nie sędzę jednak, żebyśmy musieli ich ruszać, panie generale.

Nie patrzyli sobie w oczy, żeby ukryć to, co obaj doskonale wiedzieli. Nie: „nie sędzę”, ale: „mam rozpaczliwą nadzieję, że do tego nie dojdzie”. Siódma Dywizja Pancerna miała stan niepełnego pułku, Trzydziesty Drugi Pułk Grenadierów – niepełnego batalionu. Jedna trzecia pierwotnej liczebności. Oczywiście można ich ruszyć, byli w pełnej gotowości bojowej. Tylko że wtedy, jeśli za kilka godzin lub dni nadejdzie następny atak, nie będzie kogo rzucić do walki, żeby zatkać ewentualną dziurę w linii frontu.

Generał klepnął go jeszcze raz w ramię, odwrócił się, zrobił trzy kroki w stronę swojego biura i zamarł.

- Jak to dwudziestu dwóch przy Szalonym Koniu? - Spojrzał przez ramię. - Wczoraj miał dziewiętnastu.

W mgnieniu oka był z powrotem przy stanowisku pułkownika i jego dłonie już tańczyły pomiędzy ekranami. Obrazy pokazywane w czasie rzeczywistym zmieniały się, pierwsza linia, żarzące się przedpole, skulone w pozycjach embrionalnych sylwetki żołnierzy, ciemny, jakby wykuty z nocy zarys jednego z pustaków Musashiego. Humanoidalna sylwetka, dwa i pół metra wysokości, ostre krawędzie płyt pancerza, byle jak zaznaczone kontury twarzy. To ostatnie tylko po to, żeby żołnierze lepiej się czuli i lepiej reagowali na obecność automatów. Maszyna uniosła ramiona i z obu wystrzeliły strumienie ognia. Na kilka sekund ekran stał się jaskrawobiały, potem ze światła wyłonił się zarys trzymetrowego jeźowca, toczącego się przez zeszlona równinę. Miał setkę czy dwie długich, cienkich odnóży, które teraz dymiły. Seria z lekkiego działka trafiła w środek stwora, zatrzymując go w miejscu. Generał machnął zniecierpliwiony i obraz znikł, zastąpiony przez widok z kamer drugiej linii.

Piechota już się szykowała, żołnierze przygotowywali sobie stanowiska oddalone co najmniej kilka metrów jedno od drugiego i kładli się wprost na ziemi. Egzoszkielety zmuszały ich do przyjęcia pozycji embrionalnej, bo jakiś mądrała stwierdził kiedyś, że najbardziej kojarzy się ona z bezpieczeństwem i spokojem. Właściwie nie miało to znaczenia, po standardowej porcji ogłupiaczy przeciętnego piechura można by powiesić do góry nogami, zmusić do stania na palcach albo umieścić w wirówce. I tak najważniejszą bitwę musieli stoczyć we własnych głowach.

Jakaś ciemna sylwetka poruszała się za linią okopów. Szalony Koń.

- Pokaż mi jego dziennik taktyczny.

Pułkownik posłusznie wywołał odpowiedni ekran. Linia umocnień, stanowiska automatycznych działek i miotaczy, czołgi i bojowe wozy piechoty oraz zaznaczone na bladuróżowo sylwetki ogłupionych już żołnierzy. Do tego kilkanaście zielonych punktów rozstawionych w najważniejszych miejscach. Algorytmy taktyczne Szalonego Konia działały bez zarzutu, wszystkie niezapisane automaty zamaskowały się i czekały na wroga.

Ale mniej więcej pośrodku linii widniała większa zielona kropka.

- Zbliżenie.

Kropka rozdzieliła się na trzy mniejsze.

- Jeszcze. Widok z najbliższej kamery.

Na ekranie pojawiło się polowe lądowisko oświetlone dwoma zamontowanymi na wysokich słupach reflektorami. Ciężki transportowiec klasy Loki grzał właśnie silniki.

- Kto to jest i co tam robi?

Numer maszyny wyjaśnił wszystko. Przez ekran płynęły informacje, a pułkownik Stanley Kon-Kawawa czytał je półgłosem.

- Porucznik Malendof z Ósmego Dywizjonu Transportowego i kapral Hanako. Ładunek: trzy korpusy typu Samuraj, sześć jednostek centralnych, części zamienne. Wymieniano uszkodzone pustaki na nowe, nadpisywano oprogramowanie, uzupełniano uszkodzone części. Taktyczny tymczasowo przypisał korpusy do Szalonego Konia, stąd różnica w ilości pustaków.

- Dlaczego jeszcze tam są?

- Awaria silnika, naprawili ledwo dwadzieścia minut temu. Właśnie startują, panie generale.

- Gdzie jest fala?

- Dwie minuty przed nimi. Trochę za blisko, żeby ogłupiacze osiągnęły maksimum skuteczności... Poza tym mają ewakuować automaty z linii walk za wszelką cenę. Te pustaki to...

- Rozumiem. - Dowódca przerwał mu łagodnie. Racja, po co ogłaszać to, co wszyscy i tak wiedzą. Że każdy pustak jest na wagę złota. Że nie będzie posiłków. Że Ziemia wstrzymała już dostawy i liczy się tylko ucieczka. - Niech lecą wprost ku trzeciej. Najkrótszą trasą.

- Tak jest!

Właściwie nie musiał przekazywać tych rozkazów, bo w tej samej chwili maszyna plunęła ogniem z dysz i utonęła w tumanie dymu.

- Jezus Maria...

Szept dochodził z boku, od strony stanowiska obserwacji strategicznej. I właściwie trudno powiedzieć, jakim cudem przebił się przez gwar centrum dowodzenia, bo oficer, który go z siebie wydusił, miał głos, jakby ktoś zaciskał mu na gardle rękawice bojowego pancerza.

- Co znowu?

Pułkownik nie miał cierpliwości do panikarzy, zwłaszcza gdy dowódca patrzył mu na ręce, ale zerknąwszy na sztabowca, zrezygnował z reprimendy. Porucznik wyglądał na jakieś dwadzieścia lat, najwyraźniej był świeżo po akademii. Odkąd skrócono kursy oficerskie do czterech miesięcy, przysyłali mu coraz młodszych.

- Wrzuc to na główny ekran, chłopcze. Obraz strategiczny. Dobrze. Wyostrz... och...

Przez chwilę dwóch najstarszych rangą oficerów w centrum wpatrywało się w szary, monstrualny kształt wypełniający wiszący na ścianie ekran.

- *Abandalakh*. Matko Przenajświętsza, przecież go zabiliśmy - szept porucznika wypełnił pomieszczenie. I było w nim takie poczucie niesprawiedliwej krzywdy, że miało się wrażenie, iż młody oficer zaraz się rozplacze.

Zabiliśmy go, pomyślał pułkownik wpatrzony hipnotycznie w przelewające się na ekranie mackowate kształty. Zabiliśmy to kłębowisko ciemności, ten piekielny pomiot, szeroki na sto metrów rzyg z alterświata. Groza, jaką budził, była tak wielka, że porucznik, którego pewnie nie było jeszcze na świecie, gdy pierwszy raz starliśmy się z najpotężniejszą bronią obcych,

rozpoznał go bezbłędnie, widząc te kształty zapewne tylko na jakimś szkoleniowym filmie. Potrzebowaliśmy trzech dywizji, dziesięciu bohaterów i dwustu pustaków, zanim wreszcie jeden z automatów przedarł się na tyle blisko, że zdołał podłożyć pod to gówno pięćdziesięciokilotonową głowicę. Trzydniowa bitwa kosztowała nas piętnaście tysięcy zabitych i stratę całego Korpusu Maweryjskiego. A teraz pojawił się znowu.

*Abandalakh*. Szaleństwo odziane w kształt. Kłębowisko powstałe w miejscu, które nie powinno istnieć, nie tyle przesuwane się, ile przelewające z jednej formy w drugą, mackowate, amorficzne, pożerające wszystko na swojej drodze i wypuszczające w zamian hordy bestii. Stałe pole psychoschizoidalne otaczało go na odległość trzystu metrów, a wszystko, co w niego wystrzeliliśmy, rozmazywało się na płaszczy prawdopodobieństwa. Pociski rozpadały się w locie lub wybuchały dużo przed celem, strumienie plazmy gasły albo odbijały się w stronę strzelających, promienie laserów zdawały się go tylko łaskotać. Trzy dywizje ledwo wystarczyły, żeby powstrzymać to, co z siebie wypuszczał, a przecież mieliśmy tam najlepszych z najlepszych. Od tego czasu minęło dwadzieścia lat, więc uznaliśmy, że *kalehowie* mieli tylko jednego *Abandalakha*.

To było tak cholernie niesprawiedliwe, że gdyby porucznik wybuchnął tu i teraz płaczem, Stanley Kon-Kawawa nie zrugałby go jak psa.

Zwłaszcza że właśnie stracili pierwszą linię – żołnierze na niej nie zdążą się wybudzić, zanim on ich zabije.

Szczęściarze.

Mimo wszystko ktoś musiał tu dowodzić.

- Zawiadomić dowódcę Siódmej i Trzydziestego Drugiego, co na nich idzie. Niech ktoś nawiąże kontakt z dowództwem bombowców strategicznych. I wysłać meldunek do sztabu głównego. I... - Pułkownik zawahał się. - I dajcie znać trzeciej linii. Zabrać stamtąd ludzi, zanim wezmą ogłupiacze. Szalony Koń i Zawisza niech spróbują go zatrzymać tak długo, jak się da.

\* \* \*

Jasna Pani pojawiła się jak zwykle poprzedzana muzyką, która łamała mu serce. Walczył ze łzami, najszczerzszymi łzami bezbrzeżnego wzruszenia, jakie kiedykolwiek popłynęły z oczu śmiertelnika, wreszcie poddał się i zapłakał. Niegodny, niegodny, niegodny, tłukło mu się po głowie wraz ze wzbierającą falą miłości i oddania. Jak można było utrzymać się na nogach wobec takiego cudu?

Zamknął więc oczy i czując na policzkach łzy, padł na kolana, zanim przebrzmiały pierwsze takty.

- Królowo...

Tylko tyle zdołał szepnąć, zanim wrażenie obecności stało się tak wszechobecne, że wiedział, iż Ona już przed nim stoi.

- Rycerzu...

Głos. Ten głos. Jak szept najukochańszej matki, czulej, kochającej, pełnej miłosierdzia. Głos jedynej pani, której warto służyć. Ciałem i duszą.

Otworzył oczy. Unosiła się nad ziemią, ledwo kilka stóp przed nim.

- Rycerzu...

Patrzyła tak, że serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi.

- Rycerzu - szepnęła jeszcze raz - nadszedł czas.

Zamknął oczy, porażony niezgłębionym smutkiem w Jej głosie.

- Dziś staniesz przeciw największemu mojemu wrogowi, wężowi, któremu moja pięta zgniecie głowę, i jeśli okażesz się godzien, bramy nieba otworzą się przed tobą.

Pochylił tylko twarz, niezdolny do wyrażenia przepełniających go uczuć. Szansa. Nareszcie szansa na odkupienie win. Na zmazanie hańby.

- Pani. Będę twoim mieczem. Będę przedłużeniem Twojej woli i Twego sprawiedliwego gniewu. Będę - na moment brakło mu tchu ze szczęścia - będę piętą, która w Twym imieniu zgniecie wężowi głowę.

Uśmiechnęła się słodko.

- Dobrze, mój rycerzu. A zatem ty i twoi giermkowie staniecie w moim imieniu naprzeciw Nieprzyjaciela. Reszta ustąpi wam miejsca.

Wykonała gest i szeregi ciężkozbrojnych zaczęły się cofać w karnym szyku. Ominął je obojętnym wzrokiem, już się nie liczyły. Rozpościerająca się przed nim rozległa, okryta tumanami pyłu równina Czyścca wypełniała się wojskami piekieł. Pomniejsze demony i sukuby sunęły już przez nią, wyjąc i wymachując płonącymi ostrzami. Zignorował je, przenosząc wzrok dalej. Tam, gdzie z dymów i siarczanych oparów wyłaniała się Bestia. Nieprzyjaciel Świata we własnej osobie.

- Pani, przysięgam na mą nieśmiertelną duszę, że pokonam twego wroga lub polegnę, próbując tego dokonać.

Przysłoniła oczy rzesami, składając dłonie do modlitwy, i znikła.

\* \* \*

- Siostro? Czy siostra mnie słyszy?

Głos dobiegł znikąd, przerywając jej *Zdrowaś Maryjo*. Powtarzali je dopiero trzeci raz, ona spokojnie, bez trudu wpadając w odpowiedni rytm, on płacząc się i jękając, z oczami utkwionymi w zegarze odliczającym czas do nadejścia fali *maghostów*. Nie przepadała za zegarami, w takich chwilach bardziej przeszkadzały, niż pomagały, lecz później mogą się okazać jedyną nadzieją. Fala nigdy nie trwała dłużej niż kwadrans, choć zazwyczaj był to najdłuższy kwadrans, jakiego człowiek może doświadczyć w życiu. Dlatego zaczęli już teraz, aby dać się pochłonać modlitwie, znaleźć w niej oparcie i pomoc. No i oczywiście musiała go czymś zająć. Odmówili *Credo, Ojczy nasz* i zbliżali się do końca trzeciego *Zdrowaś Maryjo*, gdy głos znikąd oderwał ją od różańca.

- Siostro? Proszę podejść do drzwi, to pilne.

Dopiero teraz go poznała. Czarnoskóry sierżant. Mocno, bardzo mocno zdenerwowany. Spokojnie dokończyła *Zdrowaś Maryjo* i uśmiechnęła się do rannego.

- Zaraz wrócę i zaczniemy od nowa, bo sierżant nie da nam spokoju. Powtórz jeszcze raz *Ojczy nasz* i *Chwała Ojcu*. Wrócę, gdy tylko znajdę i zepsuję pewien głośnik.

Wstała i ruszyła do wyjścia. Sierżant musiał ją jakoś lokalizować, bo tym razem jego głos rozległ się tylko w głośniku nad drzwiami.

- Siostro, odlatujemy. Proszę się szykować do wyjścia. - Poleceniu towarzyszyło sapanie i zgrzyt otwieranych zewnętrznych drzwi.

Zamrugła, zaskoczona. Więc jednak przysłali grawa po rannego. A jednak zaryzykowali, żeby nie zostawić ich *maghostom*. Cóż, i tak będzie się za niego modlić. Sięgnęła do blokady,

którą pokazał jej Klawenson.

- Dobrze, sierżancie. Proszę otworzyć drzwi, idę po kaprala.

Głośnik zatrzeszczał, potem dobiegło z niego głośnie westchnięcie. Zamarła, z dłonią na drążku, bo wiedziała, co usłyszy, zanim sierżant otworzył usta.

- On nie poleci, siostrze. Przysłali po nas skoczki.

Skoczki. Małe kilkusobowe pojazdy desantowo-szturmowe. Gdy odpalały silniki, przeciążenie sięgało dziesięciu g. Używano ich głównie do błyskawicznych kontrataków i szybkiej ewakuacji z porzucanych rejonów. Nowak nie przeżyłby startu.

Te myśli przepłynęły jej przez głowę jedna za drugą, jak żołnierze defilujący przed trybuną honorową. Oczywiście poprzedzały główny wniosek.

- Przed czym uciekacie?

Zgrzyt ustał.

Koło otwierające drzwi można było zablokować od wewnątrz banalnie prosto. Krótki stalowy trzpień przechodził przez jedną ze szprych i zagłębiał się w niewielkim otworze. Dopóki nie został wyciągnięty, drzwi nie można było otworzyć żadną siłą poza plazmowym palnikiem albo kilkudziesięcioma kilogramami materiałów wybuchowych. Patrzyła na swoją dłoń zaciśniętą na blokadzie, na łańcuszek różańca, trzymany wciąż w tej dłoni, i czekała.

- *Abandalakh* - wyszeptał wreszcie i prawie poczuła jego bezradność. - *Abandalakh* się pojawił i idzie na nas. Fala *maghostów* będzie tu za osiem minut. On za dwie albo trzy godziny. Nie zatrzymamy go sami. Dostaliśmy rozkaz - dodał, nie wiadomo po co. To oczywiste, że dostali rozkaz, inaczej nie ewakuowaliby ostatniej linii obrony.

*Abandalakh*. Gdy była młodsza, ledwo po złożeniu ślubów, opiekowała się żołnierzami, którzy przeżyli pierwszą bitwę z tym czymś. Wielu nigdy nie doszło do siebie.

Zewnętrzne drzwi ponownie zaskrzypiały, a ona nie mogła oderwać wzroku od dłoni, w której trzymała różaniec. Małe srebrny krzyżyk kołysał się hipnotycznie.

- Sierżancie - zaczęła, gdy drzwi zgrzytnęły po raz ostatni i usłyszała kilka ciężkich kroków. Metalowe koło zamykające drzwi drgnęło i zatrzymało się, zablokowane. - Sierżancie - powtórzyła głośniej. - Nie skończyłam się modlić.

- Siostrze...

- Obiecałam kapralowi, że wrócę i zaczniemy różaniec od nowa. Zostało panu tylko kilka minut, zanim dotrze tu fala. Proszę iść.

- Siostrze, dostałem rozkaz...

- A więc nie wykona go pan. Ja, siostra Weronika Amanda Redglowe, w pełni władz umysłowych, z własnej i nieprzymuszonej woli zdecydowałam się zostać na linii frontu, aby opiekować się rannym kapralem Edwardem Nowakiem. Odmawiam opuszczenia stanowiska i odblokowania drzwi bunkra - z każdym słowem oddychała swobodniej i głębiej. - To pańskie zabezpieczenie, sierżancie. Na pewno nagrało się na czarną skrzynkę pancerza. Nikt nie będzie miał pretensji.

Szarpięcie niemal wygięło stalowy trzpień.

- To nic nie da. Nie otworzę drzwi. Proszę iść. Czas ucieka.

Przez kilka długich chwil milczał, jakby oczekując, że jednak zmieni zdanie. Wreszcie bez słowa odwrócił się i ruszył do wyjścia. Zdumiała ją, gdy zewnętrzne drzwi zaczęły zgrzytać. Poświęcał bezcenne sekundy, żeby je zamknąć. Uśmiechnęła się.

- Będę się za pana modlić, sierżancie.

Nie odpowiedział. Zresztą nie spodziewała się tego.

\* \* \*

- Pierwsza linia padła.  
- Straty?  
- Ośmiuset sześćdziesięciu ośmiu zabitych. Czterystu osiemnastu zaginionych. Musashi i wszystkie pustaki.

- Ile czasu go zatrzymali?

- Osiemnaście minut, pięćdziesiąt dwie sekundy.

Obaj, generał i pułkownik, wiedzieli, że to nieprawda. Pierwsza linia zatrzymała *Abandalakha* na mniej niż dwanaście minut. Pozostałe siedem to tylko powolne i systematyczne dorzynanie resztek niezapisanych i masakra wśród otumanionej ogłupiaczami piechoty. Nieszczęście polegało na tym, że żołnierze zażyli narkotyki, zanim zauważono prawdziwe niebezpieczeństwo i nie dało się już ich ewakuować, a bestia sunęła szybciej, niż zwykle poruszali się obcy, i dotarła do linii umocnień, nim zadziałały wybudzacz. Zamroczeni, pogrążeni w narkotycznych snach żołnierze nie mogli ani uciekać, ani walczyć. Nim zniszczono kamery, cały sztab mógł zobaczyć, co idący tuż za *Abandalakhem kalehowie* robią z ludźmi. Pytanie, czy da się powyrywać kończyny żołnierzowi ubranemu w najnowszy bojowy pancerz, znalazło wreszcie swoją odpowiedź.

Da.

I to tak, że ofiara nie umrze zbyt szybko, bo pancerz będzie robił wszystko, żeby utrzymać swoją zawartość przy życiu.

Sojusz technologii z obłądem.

Fala *maghostów* minęła już drugą linię i zaczęły się procedury wybudzania żołnierzy. Przynajmniej ci zdążą się ewakuować na tyły. Szalony Koń szykował się do swojej ostatniej bitwy.

Potem była jeszcze najbardziej oddalona, trzecia linia i osiemdziesiąt kilometrów za nią – port. Port, który co godzinę zasysał na orbitę setki uchodźców. Ludzie przegrywali wojnę o ten świat, i to przegrywali od wielu lat. Zostało im wszystkiego kilkaset tysięcy kilometrów kwadratowych, resztę zakrywały już chmury. Chmury, których obecność zignorowano dwieście lat temu, gdy planetę odkryto. Chmury, które znikły, rozwiały się jak zły sen, gdy pięćdziesiąt lat później zaczęli lądować pierwsi koloniści. Chmury, które trzydzieści lat temu pojawiły się znikąd, pożerając pewną małą miejscinę i rozlewając się niepowstrzymanie na całą planetę. A spod tych chmur wyłonili się oni, *kalehowie* i ich armie. Nie było żadnego formalnego rozpoczęcia konfliktu, żadnego wypowiedzenia wojny, które dawałoby jakąś nadzieję, bo konflikt formalnie zaczęty można w którymś momencie formalnie zakończyć. Bo żeby wypowiedzieć wojnę, trzeba znaleźć wspólny język, w którym da się to zrobić. Tu nawet nazwę dla obcych wzięto od miejsca, gdzie ich po raz pierwszy spotkano. Nowa Kalehia – górnicza dziura, która przeszła na zawsze do historii ludzkości. Tak jak jej stu trzydziestu dwóch mieszkańców.

Pułkownik Stanley Kon-Kawawa zamknął na chwilę oczy i kciukiem oraz palcem wskazującym nacisnął mocno nasadę nosa. Teorii na temat obcych było mnóstwo, od tych najbardziej oczywistych, że są to rodzimi mieszkańcy planety, którzy ukryli się przed ludźmi, a teraz próbują ją odbić, po takie, które twierdziły, że otwały się wrota piekieł i nadciąga sam szatan ze swoją armią. Teoria o rodzimym pochodzeniu *kalehów* padła po pobieżnym zbadaniu



pierwszych ciał. Mieli po sześć kończyn, w swych pseudochitynowych pancerzach przypominali trzymetrowe skorupiaki, a co najważniejsze, potrzebowali tych pancerzy, żeby przeżyć na powierzchni planety. Bez nich umierali w kilka minut. Więc, do ciężkiej cholery, nie mogli być stąd.

Twierdzenia, że walczą z zastępami upadłych aniołów, pułkownik w ogóle nie brał pod uwagę. I nawet fakt, że fala depresyjna często musiała ustąpić przed modlitwą, czy to był różaniec, recytowanie Tory, czy buddyjskie mantry, guzik go obchodził. Obcy to obcy i można było ich pokonać nawet mimo ich samobójczej taktyki. Zapomnijcie o kreślonych na mapach planach, skomplikowanych strategiach, ustalaniu celów drugo- i trzeciorzędnych. *Kalehowie* po prostu wybierali sobie kawałek frontu i wylewali się zza swoich linii. Nigdy się nie cofali, nigdy nie próbowali manewrów, taktycznych odwrotów czy podstępów. Po prostu parli naprzód i albo udawało się ich wszystkich zabić, albo zdobywali kolejny fragment planety, nad którym po kilku godzinach pojawiały się nieprzebyte chmury, oślepiające wszystkie detektory, które ludzie posiadali. A robili to już tyle razy, że wydawali się mieć nieprzebyte, nieskończone rezerwy. Lecz mimo wszystko udawało się ich od czasu do czasu zatrzymać.

Chyba że mieli po swojej stronie *Abandalakha*. Jeden z poruczników chrząknął.

- Druga linia. - Monitory pokazywały widok z następnej linii okopów. - Fala przeszła, *Abandalakh* dotrze tam za trzydzieści osiem minut, *kalehowie* trzymają się blisko niego, mamy więcej czasu, panie pułkowniku. Wybudzanie piechoty w trakcie.

Dzięki niech będą Bogu pod wszystkimi imionami za to, że obcy najwyraźniej sami byli wrażliwi na falę *maghostów*, pomyślał Kon-Kawawa, patrząc na podnoszące się z ziemi sylwetki. Obcy nigdy nie szli razem z nią, tylko zostawiali sobie co najmniej pięć minut rezerwy. Pięć minut, żeby postawić na nogi ludzi, którzy pogrążeni w narkotycznym odrętwieniu musieli zмагаć się z własnymi demonami. Ta zabawa – zamiast kogoś w warzywo, a po kwadransie, w kilka chwil przywróć mu funkcje maszyny do walki – robiła żołnierzom z mózgow gąbki. Z nerek, wątroby, szpiku i innych organów również. Po roku na froncie żaden nie miał szans na zostanie dawcą.

Ani ojcem.

Co właściwie nie miało znaczenia, bo średnia długość życia piechociarza wynosiła trzydzieści sześć dni.

- Skoczki na miejscu. Zaczynamy ewakuację.

Trzecią linię ewakuowano wcześniej, druga musiała poczekać, bo część żołnierzy wzięta już ogłupiacze. Ale wyliczyli, że będą mieli dość czasu, żeby wybudzić i zabrać ludzi w czasie między przejściem fali a przybyciem bestii.

Włączył się głośnik z pokoju dowódcy.

- Status Szalonego Konia? - Głos generała był cichy i spokojny. Albo dostał ze sztabu naprawdę pocieszające wieści, albo walnął kilka głębszych.

- Systemy stabilne. Sytuacja taktyczna rozpoznana. Zaakceptowany poziom ryzyka.

- Plan?

- Obrona obozu. Walka aż do zwycięstwa. On plus dwudziestu dwóch wojowników.

Na mgnienie oka zapanowała cisza. Pułkownik potrzebował tego mgnienia, żeby przypomnieć sobie, co jest nie tak z liczebnością pustaków. Jego dowódca też.

- Widok na lądowisko. - Kon-Kawawa usłyszał znów cichy i spokojny głos starego, brzmiący niby tak samo, a jednak inaczej. Prawie tak, jakby generał ćwiczył właśnie komendę dla plutonu egzekucyjnego.

Niepotrzebnie. Porucznik Malendof, kimkolwiek był wcześniej, już został zredukowany do kilku ochłapów zakrwawionego mięsa. Kapral Hanako – jeśli to był on – tańczył właśnie półnagi wokół leżącego przed transporterem ciała i wymachiwał zakrwawioną saperką. Zdaje się, że owinał sobie jelita porucznika wokół szyi.

- Podgląd z ostatnich dwudziestu minut.

Ekran wypełnił odpalający silniki transportowiec. Tuman dymu zasłonił go na chwilę i wtedy właśnie, jak usłudnie podpowiedziała pamięć pułkownika, zauważyli *Abandalakha*, a wszystkie monitory wypełniły się bestią.

- Przyspieszcie to. - Spokój i opanowanie generała zaczynały budzić grozę.

Tuman znikł w przyspieszonym tempie. Drzwi kabiny otworzyły się i dwie małe figurki wyskoczyły na lądowisko. Wyglądały prawie śmiesznie, gdy tak biegały tam i z powrotem wokół maszyny, podskakując i wymachując rękami. Wreszcie dopadły do silnika i otworzyły pokrywę.

W tym momencie zegar w rogu ekranu zmienił kolor na czerwony. Przypuszczalny czas przybycia *maghostów*.

Pułkownik mrugnął i jedna z figurek zniknęła mu z oczu. Druga wciąż tkwiła z połową tułowia w silniku. Po spodniach i butach nie dało się rozpoznać stopnia.

Rzut oka na zegar, cztery minuty po przybyciu fali. To było zdumiewające, że mechanik tyle czasu wytrzymał, naprawiając usterkę. Chyba że się modlił jednocześnie. Jego towarzysz, teraz widać było, że to porucznik Malendof, pojawił się, trzymając w ręku ciężką saperkę. Zamach i uderzenie – na kadłubie maszyny pojawia się rysa, nie więcej niż odprysk farby, Loki to bydlę opancerzone jak czołg, byle co go nie zadraśnie. I wtedy kapral wyskakuje spod pokrywy silnika. Znow gonił wokół transportowca, jeden biega, waląc saperką w co się da, drugi go ściga, a potem ucieka, uchylając się przed chaotycznie wymierzonymi ciosami. Wszystko w przyspieszonym tempie, ale bez dźwięku, gdyby dodać fortepianowy akompaniament, byłaby z tego niezła slapstickowa komedia. Salwy śmiechu padałyby nawet wtedy, gdy obie figurki zwały się wreszcie w śmiesznym niby-tańcu wokół obściskiwanego spoconymi dłońmi trzonka. Zapewne chichoty umilkłyby dopiero wraz z pierwszą fontanną krwi, tryskającą z boku rozrąbanego potężnym, pełnym furii uderzeniem. A z każdym następnym salę wypełniałyby coraz to głośniejsze okrzyki grozy. Bo pełzanie, osłanianie głowy kikutem odrąbanej dłoni i ciągnięcie za sobą flaków w ogóle nie jest śmieszne. Nawet oglądane w sześciokrotnym przyspieszeniu.

Gdy kapral owijał sobie szyję jelitami dowódcy, czerwone cyfry pokazywały dziesięć minut, pięćdziesiąt osiem sekund.

- Wystarczy. - Obraz wrócił do pierwotnej pozycji, to znaczy do kaprała tańczącego wokół krwawych szczątków na lądowisku. - Pułkowniku Kon-Kawava, proszę zawiadomić dowódcę odcinka, że sierżant Miller ma wystartować transportowcem i skierować się za trzecią linię na lądowisko Merido. Reszta ewakuacji bez zmian.

Sierżant Miller. Nawiązując łączność z dowódcą drugiej, Stanley Kon-Kawava mimowolnie zerknął za matową szybę oddzielającą stanowisko generała od reszty sztabu. Ten sukinsyn Mannis jednym okiem obserwował przebieg wydarzeń na lądowisku, a drugim sprawdzał, który z żołnierzy na drugiej linii ma licencję pilota. Bo te nowe pustaki były zbyt cenne, by je porzucić. Ziemia nie przyśle więcej sprzętu, więc nie było mowy o zostawieniu ich na drodze *Abandalakha*.

- I niech ktoś zajmie się kapralem. Szybko.

Tylko tyle. Niech się zajmie. Kon-Kawawa też znał niepisane prawo frontu. Jeśli *maghosty* wyżarły ci mózg i wsadziłeś sobie lufę w usta, byłeś superfacetem. Ale jeśli zacząłeś rozwalać kumpli, to nie ma zmiłuj. Dostajesz kulkę, nawet jeśli fala już przeszła. Pożytku na froncie z ciebie nie będzie, a w porcie nikt nie ma czasu, żeby ewakuować furiatów.

Żegnaj, kapralu Hanako, pomyślał pułkownik, przekazując rozkazy. Dzielny sukinsynu naprawiający silnik nawet wtedy, gdy obce demony gryzły cię w pięty. Mam nadzieję, że ci się udało.

\* \* \*

- Siostrze? Słyszałem, że otwierają drzwi.

Popatrzyła na kaprala i od razu wiedziała, że był przekonany, iż do niego nie wróci. Że jakimś dziwnym, żołnierskim instynktem wyczuł, co się święci, i słysząc otwierane drzwi, spodziewał się, że zostawi go tu samego, na pewną śmierć. W oczach miał coś pomiędzy nadzieją a zdumieniem. Dlaczego wróciłaś? pytał wzrokiem, więc powiedziała mu to, co wymyśliła, stojąc przy żelaznym kole i słuchając odchodzącego podoficera.

- Sierżant zaproponował, że jednak przyśle mi tu kogoś, na wszelki wypadek. Ale nie wpuściłam go, choć wspominał coś o sądzie wojennym. Całe szczęście zakonnice mu nie podlegają. - Uśmiechnęła się szeroko i zaraz spoważniała. - Nie potrzebuję tu kogoś w pancerzu i z bronią, komu ogłupiacze mogą nie pomóc.

- Był zły? - Nowak odwzajemnił uśmiech.

- Nie wiem. - Zatrzepotała niewinnie powiekami. - Nie rozumiałam połowy tego, co do mnie mówił. Co to znaczy „pierdolony pingwin”?

Żołnierz zaśmiał się na całe gardło i jakby ubyło mu lat. Rzuciła okiem na zegar. Trzy minuty. Zaczyna bardzo późno.

- Wystarczy, kapralu. Jesteś gotów?

- Tak. Tak, siostrze.

Przymknęła oczy, zacisnęła dłonie na sznurze różańca.

- Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego Jedynego...

*Credo* popłynęło z jej ust, a kapral Edward Nowak dołączył po trzecim słowie, już bez jąkania się i przerw. Znała jego dane, był wychowany w rodzinie katolickiej, bardzo przeciętnej, lecz od wybuchu wojny z *kalehami* większość religii przeżyła swoje odrodzenie. Dla niego skończyło się to zapisaniem do ministrantów – bo wszyscy chłopcy w klasie zostali zapisani – i przyspieszonym bierzmowaniem – bo rodzice wszystkich dzieci wymusili na proboszczu pośpiech. W końcu jeśli można było odeprzeć atak psychoschizoidalny, zwracając się wprost do Boga, to On musiał istnieć i poprowadzi swoje dzieci do zwycięstwa.

Proste jak drut.

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja... - Pierwsza modlitwa zawsze była dla niej ważna, narzucała rytm całemu różańcowi.

I oczywiście budziła wspomnienia.

Potem odkryto, że fala depresyjna wywoływana jest przez dziwaczne maszyny wojenne *kalehów*, przypominające olbrzymie ślimaki skrzyżowane z parowozami. Mówiło się o

zaburzeniach w pracy płatów skroniowych i potylicznych, o modyfikacji bodźców docierających do śródmózgowia i takie tam bzdety. Bo tak naprawdę nikt nie potrafił przekonująco wyjaśnić, jakim cudem fala przechodzi przez osłony osobistych zbroi, pancerze wozów bojowych, tarcze radiacyjne i mury bunkrów, zdolne przetrwać bliską eksplozję jądrową. Nikt też nie wiedział, dlaczego żołnierze zaczęli mówić na nią „fala *maghostów*”. Ale nazwa była krótka, łatwa do zapamiętania i nośna. Idą *maghosty, maghosty* go dopadły. Krótka, zwięzła i przerażająca. I na pewno lepiej, niż „pustaki musiały go zastrzelić, bo próbował wymordować pół plutonu”, „wrzucił odbezpieczony granat pod pancerz, wrzeszcząc, że musi zabić robactwo, które go oblaźło”, „odgryzł sobie język i udusił się własną krwią”.

Zaburzenia pracy jednostki centralnej potrafią doprowadzić do takich właśnie skutków. A skoro nie można zapobiec atakowi na nią, to trzeba ją na czas ataku wyłączyć. A jeśli jednostka centralna jest wodnistą breją, trzeba to zrobić farmakologicznie.

Frontowa legenda mówiła, że pierwszym ogłupiaczem była butelka sześćdziesięcioprocentowego bimbru.

Po naukowych objaśnieniach fenomenu fali *maghostów* religijność wśród kolonistów spadła. Żołnierze wciąż nosili krzyżyki na piersi lub zakładali na czoła zielone opaski, ale wojna straciła posmak krucjaty. Stała się najpierw zwykłym dążeniem do pokonania wroga, potem do zatrzymania go, a przez ostatnie kilka lat – walką o choćby szansę ucieczki.

- Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą...

Modlitwa jednak pozostała. Modlitwa, mantra, cytowanie sur Koranu. Niektórzy mówili o wprowadzaniu mózgu w stan zbliżony do fazy NREM, w której *maghosty* nie potrafiły zaburzyć jego pracy. Inni o sile wiary. Mało kto wspominał o desperatach, takich jak ona, siedzących w nieczynnym bunkrze, żeby spróbować pomóc bliźniemu w potrzebie.

Przesunęła koralik w dłoni.

- Zdrowaś Maryjo, łaski pełna...

Nazywali ich posłańcami snu. Ksiądz, dwóch pastorów, trzy zakonnice, rabin i dwóch mułłów. „Oddział religijny” linii Howarda. Dowództwo patrzyło na nich jak na bandę nieszkodliwych szaleńców, którzy uzbrojeni tylko w Biblię, Torę czy Koran, pchają się na front. Ale bywały takie chwile, gdy ktoś musiał zostać z ciężko rannym lub umierającym żołnierzem. Więc ich tolerowano. Nic więcej.

- Zdrowaś Maryjo...

Żołnierz zająknął się i wlepił w nią uważne spojrzenie. Zmrużył oczy, delikatnie napiął mięśnie, jakby sprawdzał, czy da radę zerwać więzy. Czekwała na ten moment, z jakichś powodów mężczyźni szybciej od kobiet reagowali na falę *maghostów*. Jak to słabsze umysły – tak zawsze twierdziła siostra Klara.

- ... między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus... - Nie dała mu szansy. Zaakcentowała mocniej słowa, aż ich rytm wciągnął go znów, przypomniał czasy dzieciństwa, gdy jako ministrant odmawiał różaniec przed ołtarzem.

Trzy *Zdrowaś Maryjo*. Trzy prośby. O wiarę, nadzieję i miłość.

- Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen.

Kapral wziął głęboki oddech, jakby wszystkie te słowa wymówił na jednym tchu. Uśmiechnęła się w myślach. Ważne, żeby nie zobaczył na jej twarzy żadnych emocji, żadnych uczuć, niczego, czemu jego rozdygotany umysł mógłby nadać kształt, na czym mógłby

zbudować sprowadzaną przez obcych psychozę.

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Była ciekawa, czy jak będzie po wszystkim, to jej chociaż podziękuję, nie tak, jak ten ostatni, który gdy tylko uwolniła go z pasów, obrócił się na bok, puścił bąka i zasnął. I nie jak ten, który obrzucił ją stekiem wyzwisk, mimo że chwilę wcześniej wzywał jeszcze imienia Pańskiego. I nie tak jak ten, któremu koledzy nie za mocno zapięli pasy, żeby było mu wygodnie. Blizna na ręce zaswędziała ją okropnie i poczuła coś, jakby strumyk gorącej, lepkiej krwi ściekający wzdłuż przedramienia. Spod opuszczonych powiek zlustrowała więzy mężczyzny. Wyglądały bardzo solidnie, sama je sprawdziła, ale nigdy nie wiadomo...

Kiedyś znalazła ukryty w łóżku nóż.

Widziała, jak oczy kaprała błędzą po jej twarzy i sylwetce, a mięśnie jakby mimowolnie napinają się, testując wytrzymałość pasów. Mimo to usta wypowiadały słowa zapamiętane z dzieciństwa.

- Zdrowaś Maryjo...

Podniosła nieco głos, nic wielkiego, o pół tonu, tyle tylko żeby skupić jego uwagę na modlitwie. Tylko modlitwie.

*Maghosty* – słudzy szaleństwa, przybywali niezauważalnie, bez trąb i chórów, nawet bez diabelskiego chichotu. Nie ma ich, i nagle są, a wraz z nimi wszystko, czego się boisz. Tylko ty i lęki twoje.

Dzięki Bogu bunkier był dobrze izolowany akustycznie, więc nie słyszeli ryku silników startujących skoczków. Inaczej nie miałyby szans, żeby powstrzymać kaprała od poddania się strachowi. A tak, w błogiej niewiedzy, mogą przetrwać atak.

Po to tylko, żeby zostać żywcem pożarci przez bestię.

Słyszała opowieści o tym, co płaszcz prawdopodobieństwa otaczający *Abandalakha* robił z ludźmi, którzy znaleźli się w jego zasięgu. Ich kości zamieniały się w proszek, krew gotowała w żyłach, skóra odchodziła od ciała lub przeobrażała w dziwną, jakby skamieniałą powłokę, pod którą dusili się, nie mogąc oddychać.

- ... błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus...

Nawet bohaterowie i ich pustaki, wtedy jeszcze strasznie proste maszyny bojowe, podlegali zmianom, jakie zachodziły wokół bestii. Ich pancerze rozpadały się, obwody traciły spójność, broń eksplodowała lub przestawała działać. I nikt nie wiedział, czy to była forma obrony, czy też obcy próbowali zmienić ten świat na zawsze, bo tego potrzebowali do życia.

Wtedy po raz pierwszy pojawiła się teoria, że *kalehowie* pochodzą z alterświata, z miejsca, gdzie panują inne parametry fizyczne. Nic wielkiego – nie znała się na tych wszystkich naukowych mądrościach – ale wystarczy odrobinę zmienić siłę przyciągania między dwoma cząsteczkami, żeby na przykład woda zaczęła się gotować w temperaturze trzydziestu pięciu stopni. Czyli w temperaturze ciała. Rzecz jasna dało się z nimi walczyć, pociski ich rozrywały, lasery przecinały w pół, a plazma paliła, ale ten cały arsenał pozwolił ludziom zyskać tylko trochę czasu. Sama broń, pociski i głowice jądrowe, to było widać za mało.

- Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą...

Ich świat jest inny, ale nie na tyle, żeby nie pokusili się o próbę podbicia tego, pomyślała. I to jest problem nas wszystkich.

\* \* \*

Demon nadchodził niespiesznie. Tak niespiesznie, że musiał całą siłą woli powstrzymać się od szarży. Jeśli bestia nie ruszy szybciej, zetrą się najwcześniej za godzinę.

Zamknął oczy, odmawiając po raz kolejny modlitwę dziękczynną. Nie miał innych słów na wyrażenie przepełniającej go radości. Żaden inny rycerz nie dostąpił tego zaszczytu, by w imieniu Miłosiernej Pani stanąć do walki z największym Jej wrogiem, porazić go mocą świetlistej lancy, rozplątać ognistym mieczem. Żaden.

Tylko on.

Fala skruchy nadeszła gdzieś od strony serca, wraz ze skurczem to serce ściskającym. Pycha, największy wróg każdego rycerza, znów wypęzła z zakamarków duszy i wbijała zatrute zęby w myśli. To przez pychę tu trafił, to pycha – gdy okazało się, że bramy Nieba każdy rycerz, nawet Zawisza z Garbowa, musi przejść na klęczkach – kazał mu żądać – ŻĄDAĆ – wpuszczenia z odstępniem od tej zasady.

Pamiętał dobrze, jak brama zamknęła się przed nim, a potem trafił tu, na przedpola Czyścica, gdzie w nieustającej wojnie ścierały się siły Nieba i Piekła i gdzie rycerze tacy jak on szukali odkupienia win.

Odmówił kilka *Ojczy nasz*, szukając ukojenia w modlitwie, i rozejrzał się jeszcze raz po przedpolu, wypatrując swoich giermków i strzelców. Byli tam, tak jak rozkazał, żaden nawet nie drgnął, żaden nie okazał strachu. Większość, uzbrojona w kusze i hakownice, czekała, aż wróg znajdzie się w zasięgu strzału; dwóch niosło beczułki prochu, poświęconego przez samą Panią, jeśli będzie okazja, podłożą je pod demona i wysadzą go w powietrze. Reszta szykowała topory i miecze. To byli najlepsi towarzysze, z jakimi kiedykolwiek stawał do walki, odważni, lojalni i zdyscyplinowani. Cóż z tego, że żaden nie nosił pasa, był dumny, że to z nimi przyjdzie mu zmierzyć się z Bestią.

Błysk!

Zielone przedpola Czyścica znikają, a na ich miejsce pojawia się samo Piekło. Czarne niebo, czarna, wypalona i martwa równina, okopy, dziwaczne budowle, rozrzucone tu i ówdzie sterty żelaznych blach, drągów i szpikulców, giermek, na którego patrzy, rozpływa się i zamienia w stalowego potwora, wielkiego i masywnego jak jakiś posąg, jego zbroja wygląda dziwnie, płyty nie zachodzą na siebie, zasłona na twarzy nie ma wizury, ręce...

Błysk!

\* \* \*

- *Maghosty* na trzeciej. Załamanie fali za około osiem minut.

Tu przynajmniej komputery wysiliły się i podały przybliżony czas, pomyślał kwaśno Stanley Kon-Kawawa. Strata mocy obliczeniowej, sam mógł ocenić, kiedy fala się załamanie. Poza tym taka informacja po przejściu trzeciej linii była psu na budę, równie dobrze mógłby usłyszeć prognozę pogody dla jakiejś ziemskiej wioski.

Patrzył, jak druga linia strzela serią krótkich błysków, gdy skoczki odpalają silniki. Były szybkie, ewakuowały żołnierzy z trzeciej i wróciły po tych z drugiej, zanim *maghosty* przebyły pole śmierci za pierwszymi umocnieniami. Dobra robota pilotów i logistyków pułku transportowego. Setka maszyn wznosiła się jedna za drugą w górę z przyspieszeniem 10 g, a potem zataczając na niebie szerokie łuki, mknęła w stronę punktu koncentracji za trzecią linią. Nikt rozsądny nie zazdrościł żołnierzom rozpląszczonym na podłogach. Pułkownik patrzył, jak

skoczki przelatują nad zieloną kropką oznaczającą oddalający się transportowiec. Sierżant Miller nieźle się spisał, w dwie minuty uruchomił silniki i poderwał maszynę z lądowiska, a teraz pełną mocą sunął jak najdalej od *Abandalakha*. No, może tylko on zazdrościł kolegom, bo będą we względnie bezpiecznym miejscu, zanim Loki przeleci połowę odległości między drugą a trzecią linią. Lepiej tracić przytomność przy dziesięciokrotnym przeciążeniu, niż czuć na plecach oddech potwora.

Dwa skoczki eksplodowały bez powodu.

- Mamy przebicie! Używa płaszcz prawdopodobieństwa!

Pułkownik nie rozpoznał tego przestraszonego głosu, a w tej chwili główny ekran wypełnił się rzutem satelitarnym. Na tym obrazie *Abandalakh* wyglądał jak olbrzymi obwarzanek w kolorze zgniłej szarości, niespójny i kleisty. Pułkownik nie wiedział, dlaczego ten widok kojarzy mu się właśnie z kleistością, może miało to coś wspólnego z tym, że bestia jakby przeciekała z miejsca na miejsce, zamiast uczciwie pełznąć.

- Nałożyć radarowy! - rzucił krótko.

Płaszcz prawdopodobieństwa najlepiej widoczny był na radarach, zmieniał fale elektromagnetyczne, tak że wokół potwora widzieli brudnofioletowy nimb, wirujący powoli i majestatycznie. Miejscami płaszcz miał mniejszą spójność, był jakby rzadszy, więc całość przypominała ramiona cyklonu lub obracającą się galaktykę.

I nagle, na oczach całego sztabu, jedno z ramion wyprostowało się i wyciągnęło przed siebie. Fioletowa macka, wyglądająca teraz jak cieniutka niteczka wysuwająca się z kłębka wełny, wystrzeliła w przód, sięgnęła nad drugą linią umocnień i leciuteńko, pieszczotliwie wręcz, musnęła kolejne trzy skoczki.

Ktoś kiedyś powiedział, że te maszyny nie powinny w ogóle latać. Potężne silniki, pracujące zawsze z pełną mocą, o krok od eksplozji, obok nich pusta puszką ładowni, a na samej górze małe kabina, naładowana elektroniką do tego stopnia, że niemal nie było tam miejsca dla pilota. Jeśli zawodziło choć jedno urządzenie, żywot skoczka był skończony – całość nieustannie poddawana była potężnym przeciążeniom, pracując na granicy wytrzymałości ludzi i materiałów. A płaszcz prawdopodobieństwa przeciągnął obwody skoczków poza tę granicę.

Pierwszy eksplodował, drugi rozpadł się na kawałki, trzeci nagle stracił ciąg i runął w dół.

- Rozproszyć się!!! - Pułkownik ryknął to na całe gardło, choć macka już opadała w dół, ku okopom trzeciej linii. Uderzyła w nie kilka razy na oślep i zaczęła się cofać. Skoczki złamały sztyk i bezwładnie runęły przed siebie. Byle dalej i szybciej.

- Alarm u Zawiszy. - Ten głos znał, kapitan Klausen, specjalista od pustaków.

- Co się stało?

- Uszkodzenie obwodów kontroli sensorycznej.

- A po ludzku, kapitanie?

- Przez chwilę zobaczył prawdę, panie pułkowniku.

- Kurwa mać! Zablokujcie mu to, do ciężkiej cholery! Co jeszcze pójdzie nie tak?!

Chyba nie powinien dawać upustu swojej frustracji, bo odpowiedź nadeszła szybciej, niż naprawdę tego pragnął. Cofająca się macka skrzyła nagle w bok, po czym owinęła wokół Lokiego. Przynajmniej tak to wyglądało na radarach. Maszyną nagle zatrzęsło, silnik – ten, który próbował naprawić kapral Hanako – sypnął iskrami i zadławił się, a ciężki transportowiec przechylił się w bok, wytracając wysokość. Sierżant Miller nie był aż tak dobrym pilotem, żeby utrzymać go w powietrzu na jednym silniku.

Jeżeli jeszcze żył, rzecz jasna.

Ale utrata trzech niezapisanych pustaków i ich części zamiennych nie miała już właściwie żadnego znaczenia. Nie wobec tego, co pokazał właśnie *Abandalakh*.

Głośnik zazgrzytał.

- Rozkazy do dowództwa bombowców strategicznych - głos generała nadal był spokojny i opanowany. - Niech grzeją silniki, ale nie podrywają maszyn. Ustalcie, jak daleko sięgnął polem, bombowce mają się trzymać dziesięć kilometrów poza tą strefą. I...

Zawahał się.

- I jeszcze jedno, pułkowniku Kon-Kawawa. Proszę przesłać do centrum portu hasło „Błękitny Chłopiec”. To wszystko.

\* \* \*

Przerażenie może mieć swój własny smak. To truizm, nadużywany na sto sposobów, ale prawdziwy do bólu. Gdy w ustach robi ci się sucho, gdy kubki smakowe informują, że przed chwilą ktoś nakarmił cię parą starych skarpet owiniętych wokół kawałka nieświeżego mięsa, to choćby milion tabletek i zastrzyków utrzymywało cię po właściwej stronie paniki, już wiesz. Twoje ciało, jego pierwotna część, zawsze gotowa do ucieczki lub walki, boi się. I to tak, że gdybyś był zwierzęciem schwytanym w potrzask, odgryzłbyś sobie łapę, byle tylko uciec jak najdalej.

Albo rozbił głowę o ścianę klatki.

Siostra Weronika przełknęła ślinę, usiłując pozbyć się obrzydliwego smaku z podniebienia. Modlitwa pomagała, kolejne *Zdrowaś Maryjo* i *Ojcze nasz* wypływały z jej ust nieprzerwanym strumieniem, modlili się w duecie, on nie odrywając wzroku od jej twarzy, i ona, skupiona na przesuwanych w dłoni koralikach różańca.

Nie podobało jej się to, że kapral tak patrzy. Nieruchomo, niemal nie mrugając, a jego usta mamrocą słowa mechanicznie, zupełnie nieświadomie. Modlitwa bez udziału świadomości, klepana jak jakiś bełkot, który trzeba odbębnić, myśląc o innych rzeczach, jest obrazą dla Pana. Zresztą, o czym on może w tej chwili myśleć? Jak się uwolnić? Są tutaj sami, żadnych świadków, mógłby zrobić, co zechce, zgwałcić, okaleczyć, zamordować, a potem stwierdzić, że to ona poddała się *maghostom* i sama to sobie zrobiła. W przypadku śmierci na linii frontu nikt nie będzie przeprowadzał szczegółowego śledztwa.

Nie teraz.

- ... między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Maryjo, Matko Boża...

Zaakcentowała mocniej kilka ostatnich słów, po rytmie oddechu kaprala, po sposobie, w jaki leży, starając się dociec, czy modlitwa do niego dociera. Nie drgnął nawet, nie zmienił pozycji, jego usta wciąż mamrotały zdrowaśki. To właśnie robił, zrozumiała nagle, nie modlił się, nie oddawał pod opiekę Matki Boskiej, tylko mamrotał zdrowaśki, mamrotał je bezmyślnie, jak całe stado pseudochrześcijan, tłoczących się co niedzielę przed ołtarzem i uważających, że dziesięć, pięćdziesiąt czy sto odklepanych byle jak modlitw otworzy im bramy Nieba. Nadal nic się nie zmieniło, ludzie sprowadzali religię i wiarę do wizyty w kościele, najlepiej dwa, trzy razy w roku, najlepiej, żeby kazanie było krótkie i zabawne, najlepiej, żeby po spowiedzi ksiądz nie zadawał zbyt ciężkiej, a już Boże broń długiej pokuty. A potem wracamy do swojego życia, kłamstw, zdrad, oszustw i robienia wszystkiego, żeby



bliźnim żyło się gorzej. Nawet teraz, nawet gdy rozwarły się bramy piekieł i *kalehowie* ruszyli na podbój świata, niewiele się zmieniło. Początek wojny wypełnił kościoły po brzegi, fakt, że modlitwa może ocalić ci duszę przed *maghostami*, nawrócił więcej niedowiarków niż objawienia z Fatimy. A potem przysłała nauka, ten nowy bożek, i rozpoczęła własną ewangelizację. To nie demony, tylko obcy, to nie dusza, tylko zaburzenia w funkcjonowaniu mózgu, i wreszcie: to nie wiara, ale działa i automaty bojowe was ocalą.

Wkrótce ostatni ludzie uciekną z tej planety, pokonani na równi przez obcych i własną niewiarę, ale i wtedy nic się nie zmieni. Ludzie nadal będą z przyzwyczajenia klepać zdrowaśki, myśląc o meczu, obiedzie albo kochance.

Tak jak ten tutaj – mimowolnie zerknęła na rannego. Leży i próbuje się modlić, ale na pewno nie wkłada w to serca.

- ... Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

Kolejny koralik przesunął się między jej palcami.

Ciekawe, jak długo ten żołnierz jest na froncie? Ile tygodni albo miesięcy. Dochrapał się kaprała, więc na pewno nie pochodzi ze świeżego poboru, choć to akurat nie musiało wiele znaczyć. Teraz żołnierze przeskakiwali czasem po dwa stopnie w ciągu dnia. Wystarczyło, że ich dowódca skończył, podrygując na kolcach *patykołapa*. Z danych wiedziała, że Nowak służył w armii od roku, ale to też nic nie znaczyło, mógł ostatnie jedenaście miesięcy spędzić w intendenturze albo być czyjś adiutantem w sztabie, teraz nawet szeregowcy zostawiali adiutantami, a do okopów trafił, bo kawa była za zimna albo mundur źle wyprasowany.

Ciekawe, jak długo już jest na froncie? Ile czasu siedzi na ostatniej linii obrony, spędzając osiemdziesiąt procent czasu w pancerzu bojowym, jedząc w nim, śpiąc i odpoczywając. Od jak dawna... to pytanie wreszcie przebiło się na zewnątrz, od jak dawna nie miał kobiety?

Byli tu sami, sami w opuszczonym bunkrze, on – przywiązany do łóżka żołnierz, i ona – zakonnica. Ciekawe, ile filmów dla dorosłych zaczynało się w ten sposób?

Jego prawa ręka przestała napinać pasy, dłoń wsunęła się między materac a ramę łóżka. Zauważyła to spod na wpół opuszczonych rzęs, choć ten ruch był tak ukradkowy, że niemal krzyczał, iż coś jest nie tak. Nie sprawdziła dokładnie łóżka, nie miała na to czasu, a jak zna życie, on na pewno coś sobie zostawił. Nóż? Pistolet? Paralizator?

- Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu... - Zamknęła oczy tak, by uznał, że całkowicie pograżyła się w modlitwie.

Łóżko skrzypnęło inaczej niż do tej pory. Rzuciła się w bok, w stronę najbliższego stolika, ciężka, metalowa taca z lekami była jedyną rzeczą, która nadawała się na broń, środki przeciwbólowe i bandażę sypnęły się na wszystkie strony, zakręciła się na pięcie, unosząc tacę nad głową, gotowa do ciosu. Wąska krawędź mogła z łatwością złamać kość, a cios w głowę ogłuszyłby każdego mężczyznę.

Patrzył na nią, wytrzeszczając w przerażeniu oczy. Nie w złości, panice czy nienawiści, ale w zwykłym, ludzkim, całkowicie bezbronnym przerażeniu.

- ... jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen.

Dokończyli razem, a potem on modlił się sam, a ona stała, z tacą wciąż nad głową, gapiąc się na jego prawą dłoń.

- Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

Różaniec. Kilkadziesiąt białych koralików, nawleczonych na cieniutki, złoty łańcuszek. Widziała go wyraźnie, jakby kołysał się jej tuż przed nosem, koraliki z powycieraną perłową

emalią, krzyżyk, na którym postać Jezusa była już tylko niewielkim zgrubieniem, ewidentnie wielokrotnie naprawiany łańcuszek.

- ... bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi, chleba naszego powszedniego...

Przyłączyła się, jakby jakaś siła otworzyła jej usta i wypychając powietrze z płuc, zmusiła do wypowiedzenia słów. Różaniec, rodzinna pamiątka, którą – skądś o tym wiedziała – matka lub babka wcisnęła mu na pożegnanie w dłoń. Zapewne wstydził się do tego przyznać, ale trzymał go przy sobie przez cały czas.

A ona omal nie rozbiła mu głowy, gdy po niego sięgnął.

Taca brzęknęła o ziemię, gdy zakonnica padła na kolana, zdjęta niepojętą grozą. To było gorsze nawet od chwili, gdy ten młody chłopak umierał na jej rękach, przeklinając ze wszystkich sił Boga. Zawiodła. Pozwoliła, by jej dusza poddała się podszeptom obcych demonów, by załęgły się w niej wątpliwości. Omal nie zabiła tego żołnierza, omal nie zabiła kogoś, kto tylko chciał się pomodlić.

Co ona tu robi? Myśl dopadła ją, gdy klęczała wśród rozsypanych lekarstw. Co próbuje udowodnić? Że jest lepsza od nowoczesnej medycyny? Że Bóg istnieje, bo modlitwa potrafi dokonać tego, co jest za trudne dla nauki? Że jej wiara, poświęcenie i śluby to coś więcej niż tylko dziwactwa czterdziestokilkuletniej kobiety? Pan nie potrzebuje, żeby jakaś podstarzała fałszywa zakonnica, grzesząca myślami o seksie nawet wtedy, gdy jest o krok od śmierci, brała na siebie ciężar udowadniania Jego istnienia. Opuściła głowę, patrząc na swoje odbicie w wypolerowanej powierzchni tacy. Oto ona, zmarszczki, posiwiałe włosy, oczy z płonącym na dnie tępym fanatyzmem. Tak wygląda służka Pana? Wiara oparta na bezmyślnej afirmacji dogmatów jest mniej warta niż życie w ciągłym grzechu. Gdzie akceptacja własnej niedoskonałości, gdzie zrozumienie, że nigdy nie pojmimy sami tajemnicy wiary, ale miłosierdzie Boże da nam szansę, jeśli wyjdziemy Mu naprzeciw z czystymi intencjami? Oto ona, stara, bezmyślna dewotka, która wyzywa Boga na pojedynek, zmusza Go do robienia sztuczek, poddaje próbie Jego miłość, jakby miała do tego jakiegokolwiek prawo.

- Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą...

Słowa docierały do niej jakby z oddali, potrzebowała kilku sekund, żeby je rozpoznać. Modlitwa. Różaniec. Są na początku drugiej tajemnicy, zakonnica i żołnierz, a mimo że z jej ust płyną dźwięki, jest jakby obok, jakby jej to nie dotyczyło. Ogarnął ją pusty śmiech, oto cała prawda o życiu Weroniki Amandy Redglowe, żalostnej kobiety, która nie potrafiła znaleźć sobie miejsca w życiu, więc uciekła pod habit. Zakryła się nim jak tarczą, a gdy nadchodzi godzina próby, jej wiara pęka niczym bańka mydlana i nie stać jej na nic więcej niż bezmyślne klepanie zdrowasiek. Klepanie, o które oskarżała tego biednego chłopaka. Prawda wygląda tak, że to nie ona go ratuje, tylko on ratuje ją, gdyby zamilkł, nie dałaby rady, poddałaby się szaleństwu i wyszła z bunkra, szukając śmierci. Ile warte jest jej życie? Co z nim zrobiła?

Pamiętała wyraz twarzy rodziców, gdy oświadczyła, że zaczyna nowicjat. Była jedynaczką, matka nie mogła mieć więcej dzieci, ale oboje z ojcem – wiedziała o tym – liczyli na gromadkę wnucząt. Egoizm decyzji o założeniu habitu złamał im serca. Jej koleżanki ze szkoły powychodziły za mąż, doczekały się dzieci, niektóre zdążyły już opuścić planetę, inne, jak Sara Glumbein, zginęły na pierwszej linii, walcząc z *kalehami*. Ich życie miało sens, poczęły nowe, poświęciły własne, żeby ocalić innych, nie zmarnowały darów Boga na ucieczkę przed ludźmi, odpowiedzialnością i trudami egzystencji. Nie schowały się w zakonie.

- ... teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen. Zdrowaś Maryjo...

Coś gorącego popłynęło jej po ręce. Podwinęła rękaw, rany na przedramieniu zaczęły się

otwierać, ślady po zębach i paznokciach pękały i krwawiły jak nieme oskarżenie.

Uderzyła go – napłynęło wspomnienie. Uderzyła żołnierza, który był zbyt przerażony, żeby logicznie myśleć, i zaatakował ją w panice. W furii waliła go taboretami po głowie i rękach, a potem po całym ciele. Nigdy nic nie sprawiło jej takiej satysfakcji.

Zerknęła jeszcze raz w dół, na zdeformowane jak w krzywym zwierciadle oblicze. Oto oblicze bestii, małej tchórzliwej kobiety uciekającej przed odpowiedzialnością w ramiona Kościoła, żądającej od Pana, żeby uczynił dla niej cud i katującego rannego żołnierza. Tyłu dobrych, dzielnych ludzi zginęło, walcząc z Obcymi, a ona żyje. Po co? Komu jest potrzebna? Co dała z siebie innym? Ojciec i matka nie doczekali wnuków, zerwała kontakty z przyjaciółmi, żołnierze ginęli, żeby ją ocalić. I po co to wszystko? Co próbuje udowodnić? Jak każdy tchórz, chce przede wszystkim zapewnienia, że tchórzem nie jest, jak każda egoistka pragnie stworzyć fałszywy obraz, w którym gra rolę pełnej poświęcenia kobiety. A to gra pozorów. Ułuda. I teraz, w ostatniej godzinie życia, pora zedrzeć tę pozłotę, pora pierwszy raz stanąć twarzą w twarz z potworem i spojrzeć mu w oczy.

- ... błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.  
- Jej usta ciągle wymawiały słowa modlitwy, ale nie mogła już oderwać spojrzenia od swojego odbicia na tacy.

A tamte oczy patrzyły na nią spojrzeniem bezdennym jak otchłań kosmosu. Czarne, nieruchome jak oczy gada, ani martwe, ani żywe, z pozbawioną uczuć inteligencją czającą się gdzieś w głębi. Samolubne stworzenie, które miała gdzieś w głowie, które rozsiadło się jej wewnątrz czaszki i kierowało życiem. To ono wybrało dla niej drogę, która była najbezpieczniejsza w świecie ogarniętym wojną – żadnych zobowiązań rodzinnych, żadnego poboru do armii, miłe i bezpieczne schronienie za klasztorną furką. Życie pasożyta.

Nagle je poczuła, nad oczami, tuż za kośćmi czaszki coś lekko się poruszyło. Poczuła to coś w środku, wewnątrz mózgu, i wiedziała już, że obcy robał ma segmentowe ciało, kilkanaście podobnych do pajęczych odnóży i długą, mackowatą ssawkę, która rozdziela się na setki wyrostków, wnikających w najważniejsze części mózgu. Przyłapaną na gorącym uczynku, gdy jego władza na chwilę osłabła, próbował zagrzebać się głębiej, wniknąć do środka, ukryć się. Miała tylko kilka chwil, żeby go dopaść.

Podniosła tacę i przyjrzała się jej z namysłem. Solidna stal nie powinna się poddać w zetknięciu z czaszką. Jeśli uderzy wystarczająco mocno, kości popękają, potem będzie musiała tylko sięgnąć w głąb i wydobyć robala.

Będzie wolna.

Trzeba uderzyć krawędzią. Mocno.

- Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej! Amen! Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej!! Amen!! Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej!!! Amen!!!

Krzyk przedarł się przez szum, który od jakiegoś czasu narastał jej w uszach. Ktoś krzyczał, nie klepał zdrowasiek, nie modlił się nawet, ale wrzeszczał z całych sił, głosem, jakby obdzierano go ze skóry. Chyba nawet nie nabierał powietrza. Jakby się zaciął i niezdolny do przypomnienia sobie dalszych słów, wyrzaskiwał prośbę o cud. Ona sama przestała się modlić kilka chwil wcześniej, co było niewłaściwe. Modlitwy różańcowej nie powinno się przerywać nawet z powodu pasożyta w głowie. Odszukała wzrokiem tego, który krzyczał, biedny chłopiec patrzył na nią jak na wariatkę i najwyraźniej próbował zerwać

więzy. Udało mu się niemal podnieść z łóżka, ale pasy wytrzymały. W ten sposób nie można się modlić.

Uśmiechnęła się.

- Zdrowaś Maryjo - zaczęła powoli, przesuając kolejny koralik między palcami - łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami...

Podążył za nią, pozwolił się prowadzić w modlitwie, a ona kiwała głową przy każdym słowie, jak nauczycielka pomagająca niezbyt roztargnietemu uczniowi. Załapał. Po chwili modlili się już razem, równomiernie, jednym głosem. Była zadowolona z jego reakcji, z tego, że najwyraźniej ze wszystkich sił starał się oddać swój los w ręce Pana.

Nagle zająknął się, zakrztusił i zamilkł w pół słowa.

Patrzyła zdumiona, jak oczy mu wilgotnieją, a po twarzy cieką łzy.

- Ja... ja jestem tchórzem, siostro. Bałem się, że zostanę tu sam... bałem się tak, że prawie się zsikałem, a... a potem potrafiłem przypomnieć sobie tylko tę jedną linijkę modlitwy... Żołnierze nie płaczą... nie płaczą... nieeee... - Rozszlochał się tak, że pociekło mu z nosa.

Nic nie powiedziała. Nagle ostatnie kilka minut zważyło się jej na głowę, każda emocja, każda brudna, paskudna myśl. Żołnierz, nie biedny chłopiec, tylko żołnierz. A ona siedzi w bunkrze, na opuszczonej linii frontu. *A maghosty...*

*Maghosty* zawsze najpierw atakują najsłabszych.

Już to kiedyś przechodziła, nie jeden i nie dwa razy, ale nigdy tak mocno jak teraz. Zatopienie się w modlitwie zawsze otulało jej umysł gęstym kokonem, który tłumiał głosy szaleństwa i sprawiał, że wydawały się niczym więcej jak cichym szeptem. Lecz dziś...

- ... teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen. - Przesunęła następny koralik.

Zapomnij o tym, co było, siostro Weroniko Amando Redglowe, powiedziała sobie cicho. Zapomnij o tym, *stara, bezużyteczna kobieto*. Zapomnij *tchórzliwy pasożycie*. Uśmiechnęła się w myślach – ja już was znam, moje paskudne demony, niejedną raz patrzyłam w te wasze małe, czerwone ślepka. I nie poddam się wam teraz, bo muszę ocalić tego chłopca. Rzuciła okiem na zegar, jeszcze kilka minut.

- ... i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Maryjo, Matko Boża...

Mimo wszystko się modli, zdążyła pomyśleć, patrząc na poruszające się bezgłośnie usta kaprała. A wtedy Boża pięść uderzyła w bunkier i zmiotła połowę stropu, otwierając go jak konserwę i wypełniając przestrzeń cementowym pyłem.

Ciemność.

\* \* \*

Knechci i giermkowie podjęli walkę bez niego. Fala pomniejszych demonów dotarła do ich linii obrony i padła, rażona salwą pocisków. Po niej kolejna i jeszcze jedna. One były nieistotne, to tylko pchły, które trzeba zgnieść, prawdziwy wróg zbliżał się w swoim tempie.

I był olbrzymi. Większy, niż można się było spodziewać na pierwszy rzut oka. Gigantyczny, ciastowaty korpus wyglądający jak skórzany wór pełen walczących ze sobą węży, otoczony smugami trujących wyziewów. To nie będzie łatwa walka, ta bestia nie podda się jednemu ciosowi, tu potrzeba wielu uderzeń miecza, a jedynym skutecznym sposobem może się okazać wysadzenie potwora w powietrze.

Przez głowę przeleciały mu dziesiątki planów, których głównym celem było podłożenie pod nieprzyjaciela beczulek z prochem. Czekał ich szybki atak, być może wielu jego żołnierzy

umrze, być może on sam da głowę, ale jeśli choć jedna beczułka znajdzie się przy boku demona, wygrają. A wtedy...

Jedna z wstęp szarego oparu otaczającego monstrum rozwija się nagle i uderza w ich szańce. Dwóch knechtów uskakuje przed nią, ten uzbrojony w kuszę robi to szybciej, trujące wyziewy ledwo go muskają, drugi – z ciężką gizarmą w ręku – jest wolniejszy, miazmaty owijają się wokół niego, wpełzają w szczeliny zbroi, wypełniają otwarte do krzyku usta. W kilka chwil żołnierz sinieje na twarzy, charczy, dławi się i rzezi. Ciało czernieje i odchodzi od kości.

Zawisza odwraca głowę, niezdolny wytrzymać tego widoku. To gorsze niż śmierć od wrzącej smoły. I wtedy cofający się opar traci spoistość, konsystencję i rozlewa się trującą mgłą po całym szańcu. Nagle jest wokół niego. Nie oddychać!

Błysk!

Pole bitwy wygląda gorzej niż poprzednio. Płonie. Pali się ziemia, niebo, nawet powietrze, a płomienie mają niezdrową, fioletowoniebieską barwę. Nad ziemią pędzą tysiące maleńkich świetlików, mknących szybciej niż bełt wystrzelony z kuszy; uderzają w przesuwające się powoli ciemne kształty, wyglądające jak wiązki chrustu, kłęby szmat na dziwacznych odnóżach, obrzydliwe stwory, którym przyczepiono jakieś koła i mechanizmy. Wokół wrze walka, potwory płoną, padają trafione świetlikami i lancami ciemnego światła, są rozrywane na strzępy przez potężne eksplozje. Same nie pozostają dłużne, te, które wyglądają jak małe kule o setkach wielołokciowych kolców, wyrzucają te kolce z siebie, a robią to z taką siłą, że szańce drżą od trafień. Inne rzygają czarnymi oparami, pożerającymi wszystko na swojej drodze, jeszcze inne plują kulami ognia. A naprzeciw tych poczwar... naprzeciw nich jest okop, w którym kilkanaście żelaznych golemów strzela z dziwacznych rur, miota pociski ciągnące za sobą komecie ogony i zionie smoczym ogniem z dłoni. Piekło walczy z piekłem.

Ogarnia ten widok jednym rzutem oka, krótszym niż uderzenie rozszalałego serca. A potem, choćby nie chciał, pamięć podsuwa mu obraz, który nakłada się na to, co zobaczył. Jego giermkowie i knechci stali na szańcu dokładnie w tych miejscach, co monstrialne golemy. Potwory, z którymi walczą stalowe homunkulusy, jeszcze przed chwilą były falą atakujących demonów. Szuka wzrokiem – knecht, który padł, jest tylko kupą powykręcanego metalu, wyglądającego jakby rdzewiał i kruszył się ze starości.

Rycerz zamyka oczy i pada na kolana.

- Pani! Paaaaniii! - krzyczy i milknie od razu, przerażony.

Jego głos... Jego głos!!! Jak rzeźnienie wydobywające się z żelaznego pudła. Unosi rękę przed oczy, wielkie, stalowe dłonie, niepodobne do niczego, co widział wcześniej, z palcami mającymi za dużo stawów, zerka w dół, żelazny napierśnik, nie, nie napierśnik, skądś wie, że to jego ciało, że pod tymi blachami nie bije żywe serce.

Unosi głowę.

Krzyczy.

I wtedy z nieba spada Boża pięść i wali w okop tuż obok. Olbrzymia fala ziemi, blocka, pociętych fragmentów umocnień unosi się nad nim i połyka go z ohydny mlaśnięciem.

Ciemność.

\* \* \*

- Straciliśmy Zawiszę! Kurwa! Straciliśmy Zawiszę!

To „kurwa” zasługiwało na naganę z wpisaniem do akt, ale pułkownik nie miał teraz głowy, żeby zwrócić na to uwagę i dochodzić, któremu z poruczników puściły nerwy. Stracili Zawiszę, i tylko to się liczyło. Jego pustaki będą przez jakiś czas walczyć samodzielnie, ale ograniczą się do wykonywania ostatniego rozkazu, czyli utrzymywania pozycji. I utrzymując pozycję, będą padać, jeden po drugim, a gdy zrobi się dziura w ich linii, nie zareagują ani nie spróbują kontrataku. To Zawisza nimi dowodził, to on był centrum taktycznym oddziału. Zakłócenia i chaos walki praktycznie uniemożliwiały wydawanie maszynom skutecznych rozkazów ze sztabu.

- Co się stało?

Generał Mannis po raz drugi tego dnia opuścił swój gabinet, co znaczyło, że sprawy szły gorzej niż źle. Strata bohatera na tym etapie bitwy była dla nich wielkim ciosem. Na trzeciej linii nie mieli już nikogo, kto mógłby przedłużyć opór.

- Dostał się w zasięg płaszcza prawdopodobieństwa, panie generale. A potem w linię uderzył Loki. Tuż obok. Straciliśmy kontakt.

Loki. Przeklęty transportowiec noszący imię przeklętego boga.

- Status?

- Brak danych, panie generale.

- Status Lokiego?

- Brak danych. Ale pewnie poszedł w drzazgi.

Zapadła cisza. Pułkownik kątem oka obserwował starego. Podobnie jak inni.

- „Błękitny chłopiec” nadany? - To było pytanie bezpośrednio do niego.

- Tak jest, panie generale. Sześć minut temu. Czekam na potwierdzenie.

- Dobrze. Łączność z Siódmą i Trzydziestym Drugim?

- Cały czas.

Znow cisza jak makiem zasiał. Wszyscy w sztabie już otwarcie gapili się na generała. Intensywnie, ze śmiertelnym skupieniem na twarzach. Pułkownik Stanley Kon-Kawawa nagle uświadomił sobie, jak to wygląda, dwóch starców, on i dowódca linii Howarda, i kilkanaścioro dzieciaków, niektórzy prosto ze szkoły średniej trafili na czteromiesięczny kurs oficerski, a potem od razu do sztabu. I te dzieciaki gapią się teraz na starego z takim wyrazem oczu, jakby oczekiwały, że uczyni cud. Że w jakiś magiczny sposób wyciągnie z rękawa całą armię i rzuci ją do ataku, miażdżąc wroga. Że odwróci nieodwracalne, zrobi unik przed nieuniknionym, ocali nas i nasze rodziny.

Był czas, gdy Stanley Kon-Kawawa uważał, że należą mu się generalskie gwiazdki. W tej chwili bardzo się cieszył, że jego marzenie się nie spełniło.

Stary rozejrzał się po sztabie, jakby trafił tu po raz pierwszy. Potem kilkoma szybkimi krokami znalazł się na progu swojego gabinetu.

- Stan, połącz mnie z dowódcą Siódmej i dowódcą Trzydziestego Drugiego. Na cichej linii. I niech bombowce szykują się do startu - rzucił cicho i zamknął drzwi.

Stan... powiedział Stan... nie pułkownikowi, jak zawsze przez ostatnie lata.

Boże drogi, już po nas.

\* \* \*

Ciemność miała zapach i smak mokrej ziemi, paliwa i rdzy. Ciemność szumiała deszczem, ściekała mokro po ciele i ziębiła członki. Ciemność rozsiadła się jej ciężko na piersi, oblepiła

żebra, przycisnęła nogi do ziemi. Wcisnęła się oleistymi paluchami do oczu, nosa i ust.

Siostra Weronika odchrząknęła, niemrawo i cicho, i dopiero wtedy poczuła nieznośne drapanie w gardle. Rozkaszała się od razu, rżącym, gruźliczym charkotem, wypluwając z ust i gardła ziemię, błoto i kawałki bliżej niezidentyfikowanych substancji. Gardło bolało i piekło, jakby opiała się kwasu.

Ciemność miała kolor, odkryła, gdy ostrożnie uniosła dłoń i starła błoto z twarzy. Szarości i cienie nabrały głębi, wypuściły z siebie zarysy przedmiotów, kształtów i obiektów. Pamięć jeszcze zawodziła, jeszcze odmawiała współpracy, choć podsuwała już obrazy jakiejś grozy, którą najlepiej byłoby zapomnieć.

W końcu nie co dzień budziła się w takich warunkach, leżąc w błocku, błockiem przykryta i próbując błockiem oddychać. Leżąc w... rozbitym bunkrze.

Bunkier. Front. *Maghosty*. Żołnierz. *Abandalakh*.

Wspomnienia uderzyły i cofnęły się zaraz, jakby zaskoczone brakiem reakcji. Powinna szarpnąć się i zacząć wrzeszczeć w przerażeniu, ale była po prostu zbyt zmęczona, zbyt wykończona tym, co z jej umysłem próbowały zrobić *maghosty*, żeby teraz jeszcze poddać się strachowi. Na panikę też trzeba mieć siły.

Poświęciła kilka sekund na analizę. Była w rozbitym bunkrze, na linii frontu, przysypana gruzem i błotem. To, co unosiło się nad jej głową, to kawałek zasnutego chmurami nieba, więc uderzenie musiało być potężne, jeśli zerwało strop. Ciemno, wszystkie lampy zgasły, najpewniej zniszczone. Nie mogła się ruszyć. Najwyraźniej to, że przeżyła, wyczerpało limit cudów na ten dzień. Która godzina? Uniosła rękę, rozświetliła na chwilę tarczę zegarka. Potem jeszcze raz, zdumiona. Piętnaście minut, jeśli cyfry nie kłamały – od chwili, gdy spojrzała po raz ostatni na zegar, minął zaledwie kwadrans. A ona czuła się, jakby przeleżała w tym błocku trzy długie noce.

Spojrzała przed siebie. Ściana, podobnie jak sufit, znikła, lecz nie odsłoniła widoku na równinę. Coś w niej tkwiło, coś czarnego i kanciastego. W świetle błyskawicy dostrzegła, że to coś jest rozprute od środka jak gigantyczna konserwa zmasakrowana tępym otwieraczem. To bok jakiejś maszyny, rozumiała, widząc fragment numeru taktycznego. Czy to ona w nas uderzyła?

Kapral Nowak. Rozejrzała się po pobojowisku. Nie pamiętała, z której strony stało łóżko; wszędzie pełno było kawałków gruzu, jakichś resztek, ziemi i błota. Próbowała unieść się na rękach, ale coś przyciskało jej biodra i nogi do ziemi. Ciężki, betonowy blok, jeśli dobrze go zidentyfikowała, mógł być fragmentem ściany albo stropu, teraz jednak najważniejsze było, czy pod nim ma jeszcze ciało, czy coś, co chirurdzy frontowi określają mianem „odpadków”. Przerwanie rdzenia kręgowego i szok mogły skutecznie odciąć ją od bólu, prawda? Podczas tylu lat kręcenia się po linii frontu nie takie rzeczy widziała. Złapała za krawędź bloku i naprężyła się, próbując go unieść. Równie dobrze mogłaby chcieć ruszyć z posad planetę.

Uniosła głowę, aby w półmroku zlokalizować żołnierza. Ludzkie oczy to wspaniałe wynalazek Pana, pomyślała, odnajdując w ciemnościach nowe szczegóły. Rozbite szafki, chyba resztki automedu, ramę łóżka. Wybuch odwrócił je o sto osiemdziesiąt stopni, widziała je więc teraz z boku i...

Kolejna błyskawica rozświetliła niebo tak nagle, że zakonnica zamrugała, oślepiąca. Mimo wszystko wewnątrz tego, co zostało z bunkra, wypaliło się jej na siatkówce. Tam, gdzie kiedyś znajdowała się ściana z drzwiami, ziała teraz wielka dziura o poszarpanych krawędziach, druga ściana niemal znikła, wyrwę po niej wypełniała półpłynna masa ziemi i błota, powolną

lawiną wdzierająca się do pomieszczenia, powstrzymywana tylko przez to, co kiedyś było chyba wojskowym transportowcem. W boku maszyny ział otwór większy niż drzwi do bunkra, a jej wnętrze mroczyło się ciemnością grobu. Ktokolwiek przebywał na pokładzie, nie miał szans na przeżycie. Dach... w tej dziurze zmieściłby się skoczek.

No i jeszcze to, co przygniotło jej biodra i nogi. Kawał stropu wielki jak szafa. Bez lewarka nigdy go nie podniesie. Zamrugła, usiłując szybko przyzwyczaić wzrok do ciemności. Jeśli dobrze zapamiętała, to po prawej, niemal w zasięgu ręki, miała jakąś przewróconą szafkę. Wciągnęła dłoń w tamtą stronę. Mogła jej dosięgnąć. Jeszcze nie wiedziała, po co jej to potrzebne, ale mogła.

Następny stroboskopowy błysk. Kapral...

Och, chłopcze...

Ból uderzył nagle, jak rażenie prądem. Zassała powietrze i niemal ugryzła się w język. A potem tylko siłą woli powstrzymała się, żeby nie wybuchnąć płaczem. Czuła je, czuła obie nogi i – co było kolejnym cudem – chyba nawet mogła jedną poruszyć.

A więc pod tym blokiem betonu ma jeszcze coś, co jest ludzkim ciałem.

- Siostro... siostro...

Szept ledwo przebił się przez szum wiatru. Zamarła, nie dowierzając uszom. Żył?

- Tu... - Musiała odchrząknąć. - Tutaj jestem.

- Gdzie?

- No... gdzieś tutaj. A pan, kapralu?

- No... - Zaśmiał się cicho. - Gdzieś tam. Może siostra do mnie podejść?

Spróbowała ponownie, mrówka usiłująca przesunąć cegłę.

- Jeszcze nie, kapralu - wydyszała. - Ale daj mi kilka lat...

- Co się stało?

- Nic poważnego, kapralu, nic... tylko... coś przygniotło mi nogę...

- Boli? Złamana?

Zaskoczyła ją prawdziwa troska w jego głosie.

- Tak. Nie wiem. Chyba.

- Niech się siostra nie... nie rusza. Co, do cholery, mogło siostrę przygnieść?

Przymknęła oczy. Panie, dodaj mi sił. Jestem po to, by nieść pociechę. Przeszukała pamięć, odtwarzając wygląd pokoju.

- Taka metalowa szafa, kapralu. Duża i ciężka.

- Gdybym tylko nie był przywiązany... Cholera, jeśli ta szafa się przewróciła, oberwaliśmy bardziej, niż myślałem... Mogą... do nas nie dotrzeć zbyt szybko...

- Niech pan tyle nie mówi, kapralu. To może panu zaszkodzić.

- Przekłęty pył - charknął i splunął mokro - chyba mam go wszędzie. Dobrze chociaż, że bunkier wytrzymał.

- Tak. Niech pan nic nie mówi, kapralu. Oszczędza siły.

Na kilka chwil zapadła cisza.

- Siostro... - Oddech kaprala znów zrobił się ciężki. - Chyba jestem ranny... czuję... krew w ustach... na twarzy... czy siostra mnie widzi?

- Jest za ciemno, kapralu.

Odległy grzmot wdarł się do środka.

- Sły... słyszy siostra? Nasi walą. Artyleria. Albo bombowce... Ale daleko. Pewnie zaraz... otworzą bunkier...



- Skąd pan wie, że zaraz?

Zaśmiał się cicho, radośnie.

- Cywile... Przecież *maghosty* przeszły, prawda? A słyhać tylko artylerię, nie naszych na linii. Więc *kalehowie* nie dotarli tu, bo inaczej bunkier trząsłby się już od hałasu. Wie... wie siostra, jak ryczy taka trzydziestkapiątka?

Tak, przemknęło jej przez głowę, wiem.

- Pew... pewnie właśnie wszyscy się wzbudzają, sierżant rozgląda się już i klnie. On za... zawsze wybudza się pierwszy. He... - Zakaszłał ponownie. - I lepiej nie opieprzać się przy wstawaniu. Eeeee... przepraszam, siostro.

- Nie ma za co, kapralu.

- Nie... nie za to... ja... gdy powiedzieli... dostaniesz zakonnicę... nie zabierzemy cię na tyły, tylko przyślemy ci zakonnicę i będziecie się razem modlić. - Zaśmiał się, nieco histerycznie. - Byłem pewien, że już po mnie. Ale... jestem, przeżyłem falę... Jak przeżyjesz falę, to przeżyjesz wszystko... tak mówią...

Uśmiechnęła się w mrok.

- Może tylko dlatego, kapralu, że coś walnęło w bunkier i straciliśmy przytomność.

Kolejna błyskawica zalała wszystko światłem, po niej trzy następne. Dały jej dość czasu, by zdążyła się dokładnie rozejrzeć. Rozwalone ściany, maszyna, zniszczony sprzęt, blok betonu przyciskający ją do podłogi.

Kapral...

Seria odległych grzmotów wypełniła resztki bunkra głuchym pomrukiem.

- Sły... słyszy siostra? Ale wał. - Zacharczał lekko, flegmowato. - Tfu, czuję krew nawet w gardle. Gdy...bym nie był... przywiązany...

Zamilkł na dłuższą chwilę.

- Światło, potrzebujemy światła.

- Z tym może być problem, kapralu.

- Wiem... wiem...

- Proszę się nie odzywać, kapralu. Oszczędzać siły. To rozkaz.

Nieoczekiwanie zaśmiał się krótko.

- Nie przyjmuję rozkazów... od... pieprzonych pingwinów.

Mimowolnie posłała w ciemność własny uśmiech. Żołnierskie poczucie humoru. Ale posłuchał. Po jakiejś minucie jego charkotliwy oddech wyrównał się, przycichł. Nowak zasnął. Albo stracił przytomność. Tak lepiej. Lepiej siedzieć cicho, nie rozmawiać i nie kaszleć, nie dawać znaku życia.

I, broń Boże, nie świecić.

Może... Może nas nie znajdą.

\* \* \*

Pełzł przez piekło, na czworakach, jak pies. Jego dziwaczne dłonie zapadały się w ziemię, oblepiały błotem i czarną mazią. Nie czuł żadnych zapachów, to była pierwsza rzecz, jaką uświadomił sobie po odzyskaniu przytomności. Nie czuł też żadnego smaku, ale przecież musiał mieć usta, bo krzyczał. Gdy tylko wróciła mu świadomość i ujrzał, że piekło go pochłonęło, wydał z siebie dziki, przeciągły wrzask. Dźwięk przyciągnął jakiegoś potwora, bestia podtoczyła się i próbowała nabić go na jedną ze swoich długich pik. Złapał broń,

wyrwał i dźgnął w kłębowisko ciemności, które stanowiło centrum demona. Stwór zadygotał i rozpadł się na kawałki, a on rzucił pikę na ziemię i opadł na kolana.

Czy zawiódł? Czy zbyt długo zwlekał z atakiem na Bestię i za karę został wtrącony na samo dno piekieł, gdzie demony, które nawet nie mają imion, toczą ze sobą niekończące się zmagania, polując i pożerając się nawzajem? Czy został skazany na wieczne potępienie? To niesprawiedliwe! Gdybyż tylko czymś zawinił! Gdyby czuł strach przed Bestią albo się zawahał... Ale nie, pamiętał doskonale, wróg budził w nim respekt, lecz gotów był stanąć z nim do walki bez trwogi w sercu.

Więc dlaczego trafił tutaj? Dlaczego na jego oczach sukkuby i inny czarci pomiot przybrały postać osobliwych monstrów, a knechci i giermkowie zmienili się w żelazne golemy, mające w miejscu twarzy maski z ledwo wydziobanymi otworami na oczy i usta?

Dlaczego...

Dlaczego pełźnie teraz na czworakach, jak najędzniejszy zwierz, zamiast podnieść się i dotknąć swojej twarzy? Czy boi się, że palce natrafią na podobną maskę? Czy boi się, że jeśli spróbuje poszukać zapięcia, aby ją zdjąć, to go nie znajdzie? Będzie się tylko miotał po piekle jak jakiś szalony derwisz, krzycząc i obmacując głowę i twarz.

Czy jest tylko jeszcze jednym żelaznym golemem?

Przeszył go dreszcz.

Nie potrafił odwrócić się i spojrzeć za siebie. Bestia tam była, ledwo milę od niego, może bliżej, olbrzymia jak zamek, przycupnęła w otoczeniu swojego dworu i chłostała nieszczęsną ziemię mglistymi biczami, pod których dotknięciem resztki żelaznych machin rozpadały się w pył lub topiły jak wosk. Kłębiące się u jej stóp stwory nie ruszały naprzód, jakby na coś czekały.

Nie miał broni.

Schronienie, trzeba poszukać schronienia.

Przed nim wznosiły się jakieś zabudowania. Kilkadziesiąt kroków, ocenił od razu, jama w ziemi, jakieś żelazne blachy, resztki murów.

I wtedy chmury zapłonęły. Z góry, z płomiennymi mieczami skierowanymi ku ziemi, spadały anioły. Jakby niebiosy zapłakały ognistymi łzami.

Przystanął, zbyt zdumiony, żeby cokolwiek zrobić.

\* \* \*

Rozdzierający powietrze ryk wyrwał żołnierza z płytkiego snu.

- Arty... leria - wymamrotał. - Ależ wałą.

- Tak, kapralu - odpowiedziała Weronika. - Wałą jak rzadko. Koncertowo.

Niebo w dziurze zapłonęło jaskrawym światłem. Jakby spalała się cała góra magnezi. Chwilę potem doszedł ją grzmot potężnych silników. Skoczki, pomyślała, skoczki lądują. Jednak próbujemy zabić bestię.

On też je rozpoznał.

- Skoczki. Słyszysz siostra? Skoczki... kont... kontratakujemy. Zepchniemy ich... do dziury... z której... wyszli... jak ja... chciałbym tam...

Urwał w pół słowa, gubiąc gdzieś oddech. Odzyskał go na chwilę, znów ucichł, kaszlnął dziwnie i zacharczał mokro.

I cisza.

Góra magnezji zapłonęła wprost nad ich schronieniem na wystarczająco długi czas, by zakonnica mogła mu się dokładnie przyjrzeć.

- Och... ja... Dobranoc... dobranoc, sierżancie Nowak.

\* \* \*

Siódma Dywizja Pancerna, Trzydziesty Drugi Pułk Grenadierów i oddziały zebrane z drugiej i trzeciej linii lądowały zgodnie z jednym z planów taktycznych przygotowanych dwadzieścia lat temu na taką właśnie ewentualność. Z drugiej strony i tak nie mieli innego wyjścia. Uwzględniając siły, jakimi dysponowali, „lądowanie na głowie” stanowiło jedyne sensowne rozwiązanie.

„Lądowanie na głowie”. Taktyka przygotowana na wypadek ataku niewielkich sił na *Abandalakha*. Mówiąc krótko, zamiast wielogodzinnego ostrzału artyleryjskiego, raketowego i bombardowania, szybki desant w odległości nie większej niż kilometr od celu i bezpośredni szturm. Prawdopodobieństwo powodzenia mniej niż osiem procent. Plan opracowano raczej jako element ćwiczenia intelektualnego niż rzeczywistej strategii przeznaczonej do zastosowania w polu, a teraz te osiem procent to było wszystko, co im pozostało. Albo nawet i mniej.

Obserwowali atak na głównym taktycznym. *Abandalakh* rozsiadł się tuż przed resztkami trzeciej linii, zgniły obwarzanek, kupa kompostu, wrzód otoczony ropiejącą, wypełnioną robactwem tkanką. Płaszcz prawdopodobieństwa podciągnął pod siebie tak, że na radarach nie pozostało po nim żadne echo. Czekał. Skurwysyn czekał na ich ruch.

Najpierw lądowały skoczki, setki maszyn jednocześnie otoczyły centrum zgnilizny pierścieniem ognia. Desantowce przysiadły na ogonach, wyrzuciły piechotę i poderwały się w powietrze. Pół minuty po nich transportowce Loki i Thor wypuściły z kanciastych brzuszysk czołgi, ciężkie wozy bojowe i pustaki, po czym, rzygając ogniem z silników, pomknęły w niebo.

I cisza.

Żołnierze zalegli w okopach i lejach, przytulili się do zmasakrowanej ziemi, maszyny rozpełzły się po przedpolu, zajmując pozycje, a obcy zachowywali się, jakby niczego nie dostrzegali. Bestia tkwiła nieruchomo, otaczające ją *paschodery*, *migoracze* i *patykołapy* zajmowały się najwyraźniej własnymi sprawami, jakiegokolwiek one były.

Pułkownik obserwował wroga w milczeniu, przygryzając wargi. Skurwysyn. Dziwny dziwnością koszmarne snu, nielogiczny, nieprzewidywalny. Niszczył ich bez wysiłku, jak dzieci, gdy próbowali uciekać, strącał skoczki z nieba pacnięciami widmowej łapy, a teraz siedzi i czeka, jakby lądowanie kilku tysięcy żołnierzy pod bokiem nic go nie obchodziło.

Naszła go głupia myśl – może to nie inwazja? Może wróg w ogóle nie jest inteligentny? Może walczymy z gigantycznymi czerwonymi mrówkami, dla których wszechświat to dżungla, którą przemierzają, pożerając po drodze wszystko, co znajdą? A może to samodzielny system terra... a raczej alienformujący, wysłany przodem przez przyjaznych i miłych Obcych, którzy nawet nie wiedzą, że nas zabijają? Może, kurwa, wykrwawiamy się, walcząc z automatyczną glebogryzarką.

Wszystkie oddziały bez jednego wystrzału zajęły pozycje wokół nieprzyjaciela. Kon-Kawava rzucił okiem na zegar i połączył się z dowódcą.

- Siódma i Trzydziesty Drugi na miejscu, panie generale.

- Niech zaczynają.

- Rozkaz.

Taktyczny rozbłysł pierwszą plazmową kulą.

\* \* \*

Modliła się. Nic więcej nie mogła zrobić, leżąc przywalona kawałem allubetonu, lecz prawdę mówiąc, nawet gdyby była w pełni sprawna, też nie mogłaby zrobić nic innego. Skończyły się czasy, gdy bohaterskie kobiety biegały po polach bitew, niosąc wodę i opatrując rany. Podmuch plazmowych eksplozji spaliłby ją na popiół z setek metrów, tylko pancerze dawały żołnierzom jakąkolwiek szansę, a jeśli któryś piechur padał, trzeba było mięśni wspomaganym egzoszkieletem, żeby go choćby przewrócić na plecy. To nie była wojna dla małych zakonnic.

Więc po prostu się modliła.

Błysk i żar pierwszej eksplozji zaskoczył ją. Wpadł do bunkra, natychmiast wysuszył powietrze, przyjemne ciepło w mgnieniu oka zmieniło się w nieznośny gorąc. Umilkła w pół słowa, zasłaniając twarz dłońmi. Skóra zapiekła. Panie! Czego oni tam używają?

Prawdziwe piekło rozpętało się dopiero po chwili. Ryk eksplozji, wystrzały z ciężkich dział, wściekły jazgot lżejszej broni, stłumiony syk płomieni i buczenie ogniów energetycznych laserów taktycznych. Siostra Weronika miała wrażenie, że cała armia okopała się wokół bunkra i odpiera dziki szturm. Momentalnie ogłuchła, a fale żaru przepływające przez rozłupany bunkier odbierały oddech i paliły skórę. Schowała dłonie w rękawy i zasłoniła twarz, ale to niewiele pomogło.

Modliła się.

I wtedy nagle zobaczyła wszystkie dźwięki. Łoskot bitwy zmienił się w orgię kolorów tańczących przed nią i wewnątrz niej, a olbrzymi ciężar wciskający jej ciało w posadzkę prawie znikł. Żar rozbrzmiał śpiewem ptaków i stał się niemal delikatną pieszczotą. Na jej oczach resztki jednej z metalowych szafek stopiły się i spłynęły na podłogę. Nie mogła oddychać...

To już? Umieram...? Panie, nie jestem godna...

Wszystko znikło, tak jak się pojawiło, w pół uderzenia serca. Nabrała haust powietrza, cudowny, nieskończenie długi, aż zakręciło jej się w głowie. Jakby oddychała ambrozją.

Co się stało?

Płaszcz prawdopodobieństwa, zrozumiała. Coś takiego działo się, gdy Bestia używała swojej najpotężniejszej broni. Coś się zmieniało w ludziach i wokół nich, nagle słyszeli oczami i widzieli węchem. I umierali, dusząc się, płonąc, wyrzuając rozpuszczone wnętrzności, zamieniając się w skórzane worki, wypełnione krwią i sproszkowanymi kośćmi. Jedyne broń Obcych, przeciw której nie mieli żadnego sposobu obrony. Żaden pancerz, żaden mur, żaden ogłupiacz nie ochroni cię przed czymś, co zmienia samą naturę rzeczywistości.

Och... biedni chłopcy.

Modliła się.

\* \* \*

- Ja pierdolę!!!

- Nadchodzą! Nadchooodzają!!! Czołgi! Kurwa, gdzie czołgi!!!

- Nie mogę...
- Wal! Wal!! Waaaaaal!!!
- Boże Święty! Nic nie widzę!
- Kapralu Wergsen, laser obok tego transportera. Już!
- Nie mogę...
- No chodźcie! Skurwysyny! Chodźcie! Chcecie?! To dla was! Aaaaaaaa...
- Czwarty pluton. Czwarty pluton, odezwijcie się. Porucznik Semerski do czwartego plutonu. Ktoś mnie słyszy?
- Nie mogę... się... ruszyć... Nie mogę się ruszyć! Nie mogę się ruszyyyyć!!!
- WA 17. Raport o uszkodzeniach... możesz się przemieszczać? Strzelać? Poruszać dłońmi? Dobrze. Trzymaj. Gdy zbliżą się na piętnaście metrów, zdetonujesz ładunek. Potwierdź... Dobrze.
- Poruczniku Banirow... Karl... nie mam kogo wam posłać... słyszysz? Przykrył nas płaszczem... słyszysz? Karl... z plutonu zostałem sam... Karl... pancerz się zaciął... Karl... jesteście sami... nie będzie wsparcia...
- Nie mogę się ruszać... to nie pancerz... jak nas załatwił płaszczem, coś się stało... ze mną... zęby mi wypadają... nie czuję... nic... widzę ich... sto metrów... jeden toczy się prosto na mnie... jest coraz bliżej, on...
- Dwunastka, połóżcie ogień w kwadracie 3B. Powtarzam, 3B. Tak... tak... Lecą. Nie... nie ma eksplozji. Powtarzam. Pociski nie wybuchły. Spróbujcie wymienić zapalniki...
- Palę się. Słyszycie? Palę się, a nie boli. Jezus Maria, słyszycie? Nic nie boli. Tylko dym czuję...
- Wycofaj ludzi! Menes, wycofaj ludzi! Zaraz was odetną!

\* \* \*

Głośniki trzeszczały komunikatami, rozkazami, wołaniem o pomoc, jazgotem broni i eksplozjami. Land Warrior VI, najlepszy, najskuteczniejszy i najszybszy system dowodzenia, pozwalający sztabowi obserwować wydarzenia na polu walki i wydawać żołnierzom rozkazy w czasie rzeczywistym.

Albo tylko patrzeć, jak umierają.

*Abandalakh* uderzył płaszczem prawdopodobieństwa osiem minut po ich pierwszym strzale. Przez ten czas żołnierze zdążyli zbliżyć się do niego na pięćset metrów, waląc ze wszystkiego, co mieli, i przez chwilę, przez jedną, króciutką, boleśnie głupią chwilę pułkownik Stanley Kon-Kawawa miał nadzieję, że im się uda. Że bestia *kalehów* wyczerpała jakieś „baterie” albo potrzebuje czasu, żeby naprawić uszkodzenia, więc dadzą radę wysadzić ją w powietrze.

A potem płaszcz rozłożył się na dobre trzy kilometry wokół potwora. Na nie więcej niż kilkadziesiąt sekund, lecz tym razem nie przypominał wirującej rozgwiazdy. Radary pokazały jednolity bąbel zgniłego fioletu, który w mgnieniu oka wypełnił przestrzeń i pochłonał wszystkie oddziały.

Gdy go cofnął, Siódma i Trzydziesty Drugi przestały istnieć. Ci, którzy mieli wielkie szczęście, umarli szybko, ci, którzy mieli zwykłe szczęście, wyszli bez szwanku, reszta konała powoli, gdy skóra odchodziła od ciał, skryzalizowane kości przecinały ciało albo krew przestawała przenosić tlen. Połowa pancerzy osobistych odmówiła posłuszeństwa, na

szczęście w większości przypadków ich użytkownicy już nie żyli. Niewiele było gorszych rzeczy niż tkwienie w skamieniałej skorupie i czekanie, aż *patykołap* nabije cię na którąś z pik. To samo działo się ze sprzętem. Pułkownik miał na swoim ekranie aktualizowane na bieżąco dane. Stracili łączność niemal ze wszystkimi czołgami, tylko na wschodnim krańcu pola pozostało kilka maszyn, padła większość wozów bojowych i pustaków. Artyleria – moździerze i działa – nawet jeśli wciąż była w stanie strzelać, to pociski wybuchały w lufach, w powietrzu lub nie wybuchały wcale. Przegrali w niespełna dziesięć minut od wylądowania.

W sztabie panowało zamieszanie, wszyscy krzyczeli, wymachiwali rękoma, ktoś się głośno modlił, któryś z młodszych oficerów ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się jak dziecko. Pułkownik Stanley Kon-Kawava patrzył na to, a w gardle rosła mu gorzka kula.

Zerwał się z krzesła z takim impetem, że poleciało ono pod ścianę. Dopadł w kilku krokach szlochającego porucznika, jednym szarpnięciem postawił na nogi i uniósł go w górę, trzasnął o wielki ekran taktyczny, aż przez obraz poszły fale zakłóceń.

- Cisza!!!

Nie sądził, że potrafi tak wrzasnąć.

- Poruczniku Nox, ty żaloszny, pierdolony bękarcie. Oni tam giną, nie mają łączności i nie wiedzą, co się dzieje, a my jesteśmy jedynym, co im zostało. Jeszcze raz zobaczę, jak płaczesz, a osobiście rozwalę ci łeb. Rozumiesz?!

Przyłożył mężczyźnie pistolet do głowy.

- Zrozumiałeś!!!

Wszyscy zamarli, niektórzy w dość dziwacznych pozach.

- Majison, uruchomisz łączność. Niech wszyscy, którzy dadzą radę, wycofują się na zachód. Kenowski, wytypuj najlepsze tereny na lądowiska dla skoczków, rozproszone, żeby nie załatwił ich jednym machnięciem. Poruczniku Chou Li, dane o wszystkich sprawnych pustakach, automatycznych stanowiskach i czołgach. Losert, artyleria, co zostało i ile ma jeszcze amunicji. Płaszcz nie zniszczył wszystkiego. - Kon-Kawava puścił wreszcie porucznika. - A ty, wysmarkaj nos i sprawdź, co z transportowcami ciężkiego sprzętu. Ruszać się!

Sztab ożył. Pułkownik wrócił na miejsce, postawił krzesło, założył słuchawki.

- Dobra robota Stanley - usłyszał.

- Dziękuję, panie generale.

- Gdzie bombowce?

- Sto kilometrów od *Abandalakha*, panie generale. Czekają.

Cisza. Stary od godziny nie wyszedł ze swojego biura.

- A port?

- Potwierdzili „Błękitnego chłopca”. Dowódca obrony portu stwierdził, że wykona rozkaz, dopiero jak zobaczy białka ślepi pierwszego *kaleha*.

„Błękitny chłopiec” – rozkaz wysadzenia w powietrze wszystkich urządzeń portu, a zwłaszcza windy orbitalnej. *Kalehowie* jak do tej pory nigdy nie wykazali najmniejszego zainteresowania odrywaniem się od powierzchni planety. Nie posiadali żadnych maszyn latających, nawet najprymitywniejszych, jak balony czy szybowce. Ale na Ziemi ktoś miał obsesję na punkcie Obcych zdobywających winę i ruszających w przestrzeń. Gdy ten port padnie, zostaną im jeszcze dwa, w odległości stu pięćdziesięciu i dwustu kilometrów. Nigdy nie wydadzą stąd wszystkich ludzi.

- Niech będzie. Ile zostało sprawnych pustaków?

- Wylądowali z sześćdziesięcioma, teraz, zgodnie z odczytem, jest tylko jedenaście... nie, już dziesięć. I tylko pięć może się poruszać.

Nie wiedział, po co to mówi, stary miał przecież własny ekran taktyczny.

- Dobrze. Połączcie się z nimi i uruchomcie „Chwałę bohaterów”.

- Rozkaz.

- Jak tylko wycofamy ludzi, bombardujemy wszystkim, co mamy.

- Tak jest!

Kon-Kawawa oderwał się od ekranu, rzucając krótkie rozkazy. Wszystkim, co mamy. Chodziły plotki o czterech stumegatonowych głowicach, przysyłanych na taką okazję specjalnie z Ziemi. Jeśli którakolwiek eksploduje choćby dziesięć kilometrów od *Abandalakha*, nawet płaszcz prawdopodobieństwa mu nie pomoże. Ale fala uderzeniowa może uszkodzić windę w porcie, pomyślał pułkownik. Odcinamy linę, na której wisimy, żeby zabić potwora, który wczepił nam się w pięty.

\* \* \*

Gdy tylko znikł płaszcz prawdopodobieństwa, eksplozje, huk dział i serie broni maszynowej niemal zupełnie umilkły. Odetchnęła kilka razy głębiej, ciesząc się smakiem powietrza. Kto by pomyślał, że pył, błoto, rozlane paliwo i spalenizna mogą utworzyć tak wspaniały bukiet? Przymknęła oczy i uśmiechnęła się z bólem, gdy odpychana od jakiegoś czasu myśl wypełzła na wierzch.

Wygrał, prawda? Bestia zwyciężyła ich jednym ruchem, jakby zmiatała bandę mrówek, która przyplątała się do jej piknikowego koszyka. Resztki sił, które trzymaliśmy na czarną godzinę, wystarczyły na mniej niż kwadrans.

Coś huknęło metalicznie, zazgrzytało i uderzyło o posadzkę. Przyszli, przyszli po mnie... Zamknęła oczy. Panie, dodaj mi sił.

Potężne szarpnięcie odrzuciło przygniatający ją kawał stropu na bok i nagle ona sama także znalazła się w powietrzu. Uderzenie plecami o ścianę było jak upadek z kilku metrów na ziemię. Jęknęła i otworzyła powieki.

Kanciasta maska z ledwo zaznaczonymi otworami imitującymi oczy tkwiła kilkanaście centymetrów od jej twarzy, a pancerna pięść trzymała za habit na piersi i powoli wgniatała w zimny allubeton. Rozpoznała znak wymalowany na pancerzu. Zawisza. Przeżył?

- Powiedz mi - zahuczało z głębi maski - siostró, bo przecież jesteś siostrą zakonną, choć nie rozpoznaję barw, kim jestem? Czy jestem Zawiszą z Garbowa, herbu Sulima? Starostą kruszwickim? Kim są te demony na zewnątrz, monstra ze snu? Czy to jakaś próba? Test, któremu poddaje mnie Najświętsza Pani? Co się stało z moimi knechtami? Kim są ci, którzy spadali z nieba, żeby walczyć z bestiami? Co się tu dzieje, na litość boską?

Och, maszyna wzywa imienia pańskiego, a tylu ludzi zapomniało już, jak to robić. Uśmiechnęła się przelotnie.

Pięść wielkości jej głowy huknęła w ścianę, zagłębiając się w niej na dobre pół centymetra. Płaszcz musiał zmienić właściwości allubetonu.

- Nie drwij ze mnie, niewiasto. - Szarpnął i uniósł ją wyżej. - Nie drwij ze mnie, bo przysięgam na...

Zawahał się, zaciął, potrząsnął nią jak szmacianą lalką.

- ... przysięgam na... Co się dzieje?

Żelazne palce rozluźniły chwyt i siostra Weronika klapnęła ciężko na podłogę. Ból zmasakrowanych nóg eksplodował, zagryzła wargi, żeby nie krzyczeć. Złapał ją znów za gardło, podniósł z powrotem, ścisnął.

- Co się ze mną dzieje? Co... mi zrobiłaś...

Dłoń miała tak wielką, że czuła, jak palce stykają mu się na jej karku. A potem nagle nie mogła nabrać tchu, serce załomotało, przed oczami zatańczyły czarne plamy, a ból poharatanych nóg gdzieś znikł. Liczyła się tylko żelazna obręcz na gardle.

- ... dlaczego... - dźwięczące metalem słowa dochodziły jak zza ściany - ...czego słyszę w głowie głosy... kim jest ten, który do mnie przemawia... co się dzieje...

Zdołała otworzyć usta i wydać cichy pisk. Przez ćmiącą oczy ciemność dostrzegła, jak unosi drugą rękę.

I nagle porwał ją wir.

\* \* \*

Skoczki krążyły wokół *Abandalakha*, szykując się do ostatniej misji. Miały wylądować jednocześnie, zabrać resztki piechoty i uciekać ile mocy w silnikach. Jeśli potwór rozwinie płaszczyznę, żaden nie oderwie się od ziemi. Bombowce zataczały powolny krąg osiemdziesiąt kilometrów od bestii. Trzy razy dalej niż przypuszczalny zasięg jej macek.

- „Chwała bohaterów” aktywowana, panie pułkowniku. Ocalałe pustaki pobierają osobowości.

Do tej pory nie przeprowadzono nawet wiarygodnej symulacji, jak pustaki z quasi-osobowościami różnych dowódców będą współdziałały na polu bitwy. Najlepiej sprawdzał się wariant: jeden bohater plus kilkanaście zwykłych, niezapisanych automatów. „Chwała bohaterów” była strategią równie rozpaczliwą, jak „Lądowanie na głowie”.

- Czyje?

- Leonidas, Roland...

- Rozumiem. Bohaterowie ostatnich bitew i odwrotów. Daj im pierwszeństwo dostępu do łączny. Gdy skoczki zaczną lądować, niech ruszą na *Abandalakha*, skupią na sobie jego uwagę. Gdy tylko wyciągniemy stamtąd ludzi...

Wszystkie ekrany zamigotały i zgasty. Na chwilę w bunkrze zapanowała całkowita ciemność, potem, zanim ktokolwiek zdążył krzyknąć, system zrestartował.

- Co to jest?!

- Jak...?!

- Co za sukinsyn!

- Andrew, spróbuj rezerwowego...

Wnętrze bunkra wypełniły okrzyki i dobre rady fruujące z kąta w kąt. Stanley Kon-Kawawa miał wrażenie, że ta banda dzieciaków znów o nim zapomniała.

- Meldować! - huknął wreszcie. - Co się dzieje?!

- Coś nas ssie, panie pułkowniku!

- Słucham?

- Coś ściąga mnóstwo danych z głównego serwera! Taktycznych i strategicznych. Informacje o sprzęcie, ludziach, *kalehach*! Dane z osobistych pancerzy, kody łączności do Land Warriora. Wszystko!

- Kurważ mać! - Obcy od chwili ujawnienia obecności na planecie jeszcze nigdy nie



próbowali zhakować żadnej sieci informatycznej. Ani wojskowej, ani cywilnej. - Zablokujcie to!

- Próbujemy, ale dopóki system się nie uruchomi do końca, nie damy rady.

- Wyłączyć serwer!

- Zostaniemy bez łączności i danych z powierzchni.

- To bez znaczenia... to...

To my mamy koordynować wycofanie resztek żołnierzy. Bez kontaktu z polem bitwy wszyscy tam zginą.

- Awaryjna łączność?

- Nie w tej chwili, panie pułkowniku.

- Ko... koniec. Skończył ssanie, panie pułkowniku. Teraz przymierza osobowości.

- Co robi??

- Przymierza. Pobiera i odrzuca, pobiera i odrzuca... Jakby szukał... I... przestał... eee, panie pułkowniku, ale nic nie pobrał.

- Kto?

- Nie... nie wiem. Nie mam danych identyfikacyjnych.

\* \* \*

Stalowa pięść grzmotnęła o ścianę tuż przy jej twarzy. Poczwała na policzku podmuch.

- Nic nie powiesz...

Zdumiewające, ale miała wrażenie, że słyszy jego oddech. Wściekłe, rozpaczliwe dyszenie wydobywające się zza maski. Chociaż może to był jej oddech. Powoli traciła czucie w całym ciele.

- A więc umrzesz.

Zamachnął się z potworną siłą. Zgrzytnęło, gdy jego ręka napotkała opór.

- Nie - powiedziała. - Nie wolno ci.

Siłował się chwilę z niewidocznymi pętami, zastygły w kształcie abstrakcyjnej rzeźby. Przemoc, tak, porachowanie komuś kości, by oprzytomniał, opanował strach, owszem, ale zabójstwo, nie. Jego oprogramowanie jeszcze działało.

- Postaw mnie, powoli.

Oderwał ją od ściany i opuścił. Nie czuła już bólu nóg, ale to akurat jej nie dziwiło. Z tego miejsca wydawał się jeszcze potężniejszy niż przed chwilą, góra czarnego żelaza wysoka na przeszło dwa i pół metra, szeroka na półtora, ważąca ponad trzysta kilo. W założeniu miał mieć możliwość wygrania starcia wręcz z *patykołapem* albo strzelania z przeciwpancernej trzydziestki w pozycji stojącej. W praktyce takie rozmiary sprawiały sporo problemów logistycznych, bo humanoidalny automat tej wielkości ledwo mieścił się w ładowni skoczek, o przeciętnym transporterze nie wspominając. Najpotężniejsi żołnierze w pełnych pancerzach byli o dobre trzydzieści centymetrów niżsi. Plotki głosiły, że następna, projektowana już na Ziemi generacja automatów bojowych miała być mniejsza, lżejsza i na tyle zbliżona proporcjami do ludzi, by mogła używać standardowych zbroi piechoty.

Siostra podeszła do łóżka. Kapral Nowak wyglądał niemal jakby spał, z głową lekko obróconą na bok i rękami wzdłuż ciała. Tylko zamiast oczu miał skrwawioną ranę, coś musiało trafić go w twarz w chwili katastrofy. Słyszała, jak automat odwraca się i staje za jej plecami.

Uklęka.

- *Requiem aeternam dona eis, Domine...* - Coś zgrzytnęło i trzysta kilo pancerza i obwodów bojowych padło na kolana, a głęboki metaliczny głos dołączył do modlitwy - ... *et lux perpetua luceat eis. Requiescant in pace. Amen.*

Wstała, naciągnęła koc na twarz zmarłego.

- Nie modliłabyś się - zahuczało z tyłu - nie tymi słowami, gdybyś była demonem, sukubem, który ma mnie zwieść... Kim jesteś?

Dobre pytanie. Kim jestem...?

Nie.

Złe pytanie.

- Nie „kim”. Ludzie zawsze pytają, kim jesteś, a powinni – po co jesteś? Jaka jest twoja rola w świecie, bracie mój. Czy jesteś po to, by jeść, pić, wydalac i spłodzić kolejne pokolenie tych, którzy będą jeść, pić i kopulowac? Czy uda ci się nadać swojemu życiu sens? Rozumiesz?

Automat wciąż klęczał i nie odpowiadał, przez chwilę myślała, że Zawisza już się nie podniesie.

- A kim i po co ja jestem? - zapytał wreszcie cicho.

- Jesteś bojowym automatem czwartej generacji. Model Knight V. Masz wgraną symulację osobowości dawno zmarłego wojownika, rycerza. Świat, który do tej pory oglądałeś, był przepuszczony przez kurtynę sensoryczną, widziałeś demony zamiast machin wojennych, ludzi zamiast automatów bojowych. Tylko... piekło, w którym cię umieszczono, było ładniejszym miejscem niż to tutaj, prawda?

Milczał, niezdolny do przetrwania tej wiedzy. Oczywiście – automat, symulacja osobowości, kurtyna sensoryczna... Równie dobrze mogłaby mówić po chińsku. Dotarło do niego tylko jedno.

- Więc... nie będzie odkupienia?

Ton, jakim zadał to pytanie, mimo sztucznego, brzęczącego metalem głosu, sprawił, że coś w niej zamarło.

- Kimkolwiek był rycerz, na którego podobieństwo cię uczyniono, na pewno go dostąpił. Był dyplomatą, wojownikiem, mężem stanu, z którego zdaniem liczyli się władcy ówczesnego świata. I wolał zginac honorową śmiercią, niż porzucić swoich ludzi. Oni... potrzebują takich jak ty - rzuciła szybko, widzac, jak Zawisza zaciska dłonie w żelazne kułaki.

- Kiedyś, na początku wojny, próbowali z bezdusznymi automatami, kierowanymi tylko przez sztuczną... mechaniczną logikę. Ale one się nie sprawdzały. Logika jest przewidywalna, a na polu bitwy przewidywalność to wielka luka w pancerzu. Logika nie zrobi niczego szalonego ani straceńczego, niczym nie zaskoczy ani niczego nie będzie improwizowac, zostawi ludzi na pewną śmierć, jeśli logiczne okaże się, by nie podejmowac ryzyka. Lecz walczymy z wrogiem, który nie pojmuje świata tak jak my, potrzebujemy więc szaleńców i świętych, desperatów i berserkerów, którzy mimo to stawiliby im czoła. My... oni potrzebują bohaterów, kogoś, kto zostanie z nimi, gdy demony rzucają się do ich umysłów i czynią bezbronnymi. Wybrali największych wojowników historii, legendy swoich czasów, i starali się ich ożywić. Takich, jakimi ich sobie wyobrażali, jakimi byli w ich opowieściach. Bo ktoś musi zostac, gdy nadchodzą obcy, i ktoś musi pójść tam, gdzie żaden człowiek by nie przeżył.

Wstała i odwróciła się ku Zawiszy. Nawet teraz, gdy wciąż klęczał z pochyloną głową, był od niej wyższy.

- Tak... Ktoś... ja... A moje wspomnienia? Bitwy, pojedynki, Gułabiec... Moi towarzysze, ci, których pamiętam... którzy...

Uniósł nagle obie pięści i huknął nimi o hełm, raz, drugi.

- Teraz wiem... ale nie pamiętam ich... twarzy... imion... nic. Ale kiedyś oni... on, byli prawdziwi... Inaczej on by z nimi nie został. Inaczej nie bawiliby się w taki fałsz... Tak... ktoś musi zostać, żeby banda tchórzy mogła uciec. Jak nisko upadli, że każą toczyć swoje wojny wspomnieniom poległych wojowników? Zamiast walczyć z honorem, dumą. Uciekają i zostawiają nas samych, a gdy ginimy... - Poderwał nagle głowę. - A ja? Ile razy już tu umarłem? Ile razy budziłem się u bram Czyścica, przekonany, że muszę walczyć z demonami, aby zasłużyć na odkupienie?

- Zgodnie z tym, co wiem, cztery razy. Raz widziałam to na własne oczy, zanim skoczek zabrał mnie na tyły. Zostałeś, żeby osłaniać ewakuację szpitala polowego.

Odwróciła się, spojrzała na ciało kaprała Nowaka.

- Miał dwadzieścia cztery lata. Cztery lata temu wylosował kartę ewakuacyjną i mógł uciec z tego miejsca, lecz został, bo jego przyjaciele nie mieli takiego szczęścia. Oddał swoją kartę młodszemu bratu. Był cybertronikiem.. to cenny zawód, chronił przed wzięciem do wojska, ale i tak przeszło rok temu zaciągnął się do armii, bo sądził, że ktoś powinien to zrobić. Czy był jakimś dziwakiem? Głupcem szukającym chwały? Czy jego śmierć ma jakiegokolwiek znaczenie? Robił to, co uważał za słusne. I nieważne, że się bał, płakał, przeklinał, czasem nawet bluźnił. Zawsze znajdował w sobie jeszcze to jedno ziarno odwagi, poczucia obowiązku, lojalności, które kazało mu zostać i walczyć. Rozumiesz?

Nie odezwał się, nie drgnął. Żelazny golem wypełniony desperacją i rozpaczą. Nie mogła pozwolić, by się w niej pogрузił.

- Wstań, pokażę ci coś.

Wyszli z bunkra wprost na pobojuwisko. *Abandalakh* tkwił nieruchomo jakiś kilometr, może półtora kilometra od nich, jego meduzowate, nieregularne pulsowanie utrudniało ocenę odległości. Rozejrzała się. Ziemia, niebo, oleiste kałuże, dymy i płomienie, dopalające się lub rozpadające maszyny. Nigdzie nie było *kalehów* ani ich żywych broni. Po użyciu płaszcz bestia obcych cofnęła swoje sługi, jakby uznała, że ludzi można już zostawić własnemu losowi.

I czekała.

W pierwszym leju znaleźli amorficzną masę składającą się z kilku pancerzy przyklejonych do boku transportera. Płaszcz prawdopodobieństwa stopił je w kształt, w którym wspólny korpus pączkował głowami, rękami i nogami sterczącymi na wszystkie strony. Za jedną z przesłon hełmu coś się chyba poruszało, drgało spazmatycznie rytmem przerośniętego serca.

- Walczą z wrogiem, który pali, rozrywa i kaleczy ciała, który niszczy i pogrąża w szaleństwie umysły, a potrafi także zmienić ludzi w coś takiego. Ale walczą. Większość z nich ma mniej niż dwadzieścia lat, na front... do bitwy idą coraz młodsi, brakuje doświadczonych dowódców, weteranów, którzy podnieśliby te dzieciaki na duchu, wsparli i dali przykład. Ale walczą, więc nie oskarżaj ich o tchórzostwo, rycerzu.

- Nie jestem nim.

- Jesteś. Tu i teraz jesteś Zawiszą z Garbowa, tak jak ja jestem Weroniką Amandą Redglowe, choć umarłam pięć lat temu w szpitalu, po tym, jak wykrwawiłam się z ran zadanych zębami i paznokciami.

Odwrócił się nagle, złapał ją za ramię, przyciągnął.

- Ona pierwszy raz zetknęła się z *maghostami* - powiedziała szybko - siedem lat temu. Ocaliła ją modlitwa, odparła atak bez ogłupiaczy, a niewielu ludzi to potrafi. Od tamtej pory przylatywała na front, by zająć się żołnierzami, których nie dało się zabrać w bezpieczne miejsce. Zmuszała ich do modlitwy, do skupienia się, pomagała obronić się przed falą szaleństwa. Udawało się jej z trzema na czterech, robiła się sławna, te dzieciaki śpiewały o niej piosenki, niektóre nawet sprośne. Aż do chwili, gdy została z czterema rannymi żołnierzami w bunkrze na linii Pulaskiego. Trzech z nich było katolikami, jeden protestantem. Wybuch zawalił drzwi tonami ziemi, nie zdążyli ich odkopać, zanim nadeszła fala. Musisz zrozumieć, modlitwa, medytacja, często pomaga przy ataku *maghostów*, ale one... żywią się psychozami, grymas, spojrzenie, gest – i już jesteś przekonany, że ten drugi chce cię zabić, że przespał się z twoją żoną albo że jest szpiegiem *kalehów* i zaraz rzuci się, żeby rozszarpać cię na strzępy. Jeden człowiek, wierzący, praktykujący, mający wsparcie w modlitwie kogoś, komu ufa, ma szansę jak trzy do czterech, dwóch jak jeden do czterech, trzech jak jeden do dziesięciu. Pięć osób nie miało żadnych szans. Po kilku minutach któryś z nich rzucił się na nią, a wtedy złapała taboret, solidny, metalowy, i tłukła go po całym ciele, wrzeszcząc „Módl się! Módl się, bo cię zajebię, skurwysynu!”. Niezłe słownictwo jak na zakonnicę, nie? Tłukła go, póki nie stracił przytomności. A potem stała na środku sali, ściskając w ręce ten zakrwawiony taboret i wrzeszczała, że mają się modlić, bo jak nie, to ich pozabija. I zaczęli się modlić, wszyscy, wpatrzeni w nią z przerażeniem. Bo *maghosty* możesz przespać, przemodlić, ale okazało się też, że możesz nie zauważyć ich przyjscia, jeśli coś rozprasza twoją uwagę. Jeśli boisz się kogoś. Lub o kogoś. Bo widzisz, ten pierwszy żołnierz poranił ją tak, że wykrwawiała się w tym lazarecie na śmierć. A gdy straciła przytomność, ci sami żołnierze, którzy kilka minut wcześniej mogliby ją zabić, zgwałcić albo zrobić coś gorszego, rzucili się na ratunek. Zabrała ich umysły tam, gdzie *maghosty* nie sięgają. W miejsce, w którym bardziej troszczysz się o innych niż o siebie. A gdy próbowali zatrzymać krwawienie, gdy robili sztuczne oddychanie, fala depresyjna przeszła dalej. Z pięciu osób zamkniętych w tym bunkrze trzy wyszły niemal bez szwanku, jedna miała kilka połamanych kości, a jedna zmarła pod wpływem odniesionych ran. Siostra Weronika Amanda Redglowe.

Podwinęła rękaw.

- Widzisz, blizna jak należy, zadbano o każdy szczegół.

Patrzył na nią, czuła to spojrzenie, choć Bóg jeden wiedział, skąd pochodziło to wrażenie, bo przecież nie miał nawet szklanych soczewek, w których odbijałaby się jej postać.

- Mój... - zawahała się - mój wzorzec. Zmarła w drodze na tyły, już po tym, jak odkopano ich i wysłano w bezpieczne miejsce. Ale ukryto tę informację i po pół roku pojawiła się znów, oficjalnie po rekonwalescencji i odpoczynku. Mieli ze mną łatwiejsze zadanie niż z wami. Żyją w świecie nieustannego podglądu i braku tajemnic. Kamery są wszędzie, w żłobkach, przedszkolach, szkołach, sklepach, miejscach pracy. Mieli ponad osiemnaście tysięcy godzin nagrań, na których była: od chwili narodzin do śmierci. Mogli sprawdzić, jak chodziła, śmiała się i płakała, jak zachowywała się w szkole, na randce, w pierwszej pracy, w zakonie.

Nadal trzymał ją mocno, oczywiście, nadal mówiła do niego jak po chińsku, rekonwalescencja, kamera, nagrania... Ale przynajmniej słuchał.

- Mieli dane z jej pamiętnika i z zapisków jej przyjaciół. Mieli karty medyczne, łącznie z zapisami fal mózgowych i sieci neuronalnej. W pół roku stworzyli... mnie. Zrobili to tak dobrze, że nawet jej rodzice nie zorientowali się, gdy wróciłam. A potem... bunkier, okop, rozbity transportowiec, odcięta placówka i ktoś taki jak kapral Nowak, ranny, uwięziony w

uszkodzonym pancerzu, źle znoszący ogłupiacze. I była modlitwa, czasem za umarłych. A gdy modlitwa nie pomaga... Więc gdy modlitwa nie pomaga, włączają się inne funkcje... odwracania uwagi. Mała zakonnica błakająca się po linii frontu może i jest żałosna, ale u wielkich męczyczn w pancerzach wzbudza też sympatię i chęć ochrony. Więc gdy modlitwa nie pomaga... a ona... ja próbuję na przykład rozwalić sobie głowę stalową tacą... albo podciąć gardło kawałkiem szkła... ludzie często zapominają o własnych strachach i spieszą na ratunek. Tego się nie da udać, odegrać sceny, zimna inteligencja, pozbawiona - zawahała się - pozbawiona duszy nie oszuka innego człowieka, zwłaszcza takiego, którego umysł zjadają już *maghosty*, żaden aktor nie odegra takiej sceny naprawdę przekonująco, w filmach... sztukach kuglarskich...

Zabrakło jej słów, zakłęta pod nosem z bezsilnej frustracji.

- Cholera... mowa ciała, gestów, spojrzenia... tego nie da się udać, więc ja... ona... muszę wierzyć, że naprawdę jestem Weroniką Amandą Redglowe, siostrą wojny, jak mnie tu zwa, że *maghosty* naprawdę po mnie przysły, że pożerają mój umysł i że chcę umrzeć. Tak jak Szalony Koń musi wierzyć, że broni swoich kobiet i dzieci przed wrogami, a Zawisza, że walczy z...

- Z demonami Czyścica, by zasłużyć na Niebo.

- Właśnie. Ja też miałam się nigdy nie dowiedzieć - dorzuciła cicho. - Jestem... nowym modelem, przysłanym z Ziemi, sprawdzanym... ale płaszcz prawdopodobieństwa przyniósł mi dar... otworzył skarbiec wiedzy i umiejętności, który na zawsze miał być zamknięty. Gdy uruchomili „Chwałę Bohaterów”, coś we mnie się obudziło. Programy sztabu zidentyfikowały mnie jako jeszcze jeden automat, próbowały nadpisać, lecz jestem... lepsza od nich.

Zaśmiała się krótko.

- Przeszłam przez wojskowe zabezpieczenia jak chorągiew pancerna przez garść chłopstwa i nie znalazłam nic lepszego oprócz małej zakonnicy, by spróbować wygrać tę bitwę.

- Wygrać? Wierzysz, że możemy wygrać z tym? - Machnął ręką w stronę *Abandalakha*.

- Tak. Bo gdy wierzymy... walczymy lepiej. I nie ma... - zawahała się - nie ma większej chwały, większego pomnika dla odwagi, niż gdy ktoś powierza życie swym wyobrażeniom przekutym w metal, w żelaznego golema, bo wie, że on go nie zawiedzie.

Zarechotał ponuro. Nieoczekiwanie i tak głośno, że prawie ją ogłuszył.

- Piękne kłamstwa. Ale ja nie jestem nim. Nie wiem, co on, ten Zawisza, by zrobił. Nie wiem nawet, czy był jakiś Gołubiec, jakiś odwrót, jakaś obrona...

- Był. Był Gołubiec... Ale teraz go nie ma, jesteś tylko ty. Tu i teraz. I tylko ty możesz ich ocalić. Bo sięgnęli po desperacką broń, która zabije ich samych.

- Są tego warci?

- Jeśli udowodnię ci, że tak, pójdiesz? Za wszystkich martwych bohaterów.

- Udowodnij.

Spojrzała na demonicznie zmorphowany transporter. Coś zazgrzytało w środku i jeden z głośników wewnętrznej łączności, uruchomiony jej interkodem, ożył.

Powietrze wypełniły trzeszczące głosy.

„Drugi pluton, sprawdźcie bunkier numer sześć na trzeciej linii. Weźcie ciężkie palniki, żeby otworzyć drzwi, pewnie będzie trzeba”.

„Zostawiliście kogoś?”.

„Tak. Jednego z naszych i szaloną zakonnice. Jeśli przeżyli, wyciągnijcie ich, gdy tylko

skończymy zabawę”.

„Którą?”.

„Weronikę Ama...”.

„Ach... Siostra Wojny, co? He, he. Słyszałem o niej”.

„I sprawdźcie co z Zawiszą. Nie chcę go tam zostawiać. W tym miesiącu dwa razy ocalił mi dupsko”.

„Mi też. Jak go znajdziemy, zabierzemy”.

„Cisza w eterze! Za trzy minuty sadzamy tyłki. Niech nas Bóg ma w opiece”.

„Amen”.

„Amen”.

„A jeżeli nie ma czasu, żeby mieć nas w opiece, to niech chociaż popatrzy, jak Trzydziesty Drugi dopierdala cholernym skorupiakom”.

Gwizdy i śmiechy.

„Aaaamen”.

- Słyszysz. Nawet idąc do bitwy, pamiętali o tobie.

- Widziałem głupców i tchórzy, którzy stawali do walki z gębami pełnymi przechwałek i bluźnierstw, po czym odwracali się i uciekali z krzykiem na widok wroga. Pokaż mi, jacy są naprawdę, teraz, w godzinie próby.

Zamknęła oczy. Jacy są... jacy jesteśmy naprawdę.

- Dobrze. Chodźmy.

\* \* \*

Generał porucznik John Mannis stanął za nim i bez słowa obserwował ekran. Na ekranie *Abandalakh* wciąż przelewał się, jakby miał konsystencję wolno gotującego się szlamu, przechodził z jednego nieokreślonego kształtu w drugi.

- Bohaterowie gotowi?

- Tak jest, panie generale.

- Za dwie minuty niech zaczynają, skoczki mają lądować trzydzieści sekund później.

- Rozkaz.

- I...

Głośniki na ścianie zawyły, rozjęczały się zgrzytem katowanych częstotliwości.

- Co jest?

- Do cholery...

- Wyłącz to...

- Nie mogę. Ktoś połączył się z nami i nadaje do wszystkich.

- Jak to do wszystkich?

- Piechota, zmechanizowani, artyleria, transport, wszyscy to odbierają.

- Cisza! - tym razem ryknął generał i w sztabie momentalnie zrobiło się cicho.

- Halo... Halo... ktoś mnie słyszy? Tu siostra Weronika Amanda Redgłowe. Halo...

Głośnik udławił się, gdy kilkuset ludzi próbowało odpowiedzieć jednocześnie.

- Nie wiem, czy ktoś mnie słyszy... wiem, że zaraz będzie ewakuacja, a potem wybuchną bomby... te wielkie, które zniszczą windę, ale tak trzeba...

Dowódca sztabu podskoczył jak trafiony pociskiem.

- Odciać ją!

- Próbuje, panie generale. - Dłonie kapitana odpowiedzialnego za łączność tańczyły w powietrzu. - Ale wygląda to tak, jakbyśmy my byli odcięci.

- Co?

- Nie wiem. Pozmieniały się kody łączności i...

- ... jest ze mną Zawisza i mamy jedną z tych małych bomb atomowych. Przed nami nie ma za wielu *kalehów*. Ja... niech wszyscy podadzą swoje pozycje skoczkom i uciekają, ja... my spróbujemy do niego podejść... Jeśli nam się nie uda... zrzucajcie bomby. A wtedy niech Bóg ma nas w swojej opiece.

\* \* \*

Spojrzała na Zawiszę znad panelu sterowania radiostacji wyciągniętej z rozbitego czołgu. Wokół rozrzucone były szczątki kilku żołnierzy i resztki jakiegoś automatu. Nie wzruszało jej to. Teraz liczyli się żywi.

Och, chłopcy, nie zawiedźcie mnie.

Kilka kroków od nich tkwił w ziemi taktyczny ładunek jądrowy, którego zazwyczaj używały pustaki.

Wrzawa w eterze ucichła i przez chwilę wyglądało na to, że nikt jej nie odpowie.

- Tu porucznik Lee z Trzeciej Kompanii Grenadierów. Mam dwudziestu trzech ludzi, w tym jedenastu rannych. Potrzebuję skoczka na pozycję osiem-dwa-sześć-cztery-pięć-jeden.

Westchnęła.

- Jeden skoczek nie weźmie dwudziestu trzech ludzi, poruczniku.

- Wiem. A jedna pieprznęta zakonnica nie doniesie atomówki do *Abandalakha*. Damy wam osłonę, niech nam tylko zabiorą rannych. Którędy pójdziecie?

Powiedziała mu. Powiedziała wszystkim.

- Nie musi pan tego robić, poruczniku - dodała na końcu.

- Taaaa... nie muszę w ogóle być w pierdolonej armii. Ale mam rodzinę pod windą, a na dodatek mój dziadek zawsze mówił, jak już przyjdzie ci żreć gówna, to przynajmniej mlaskaj, jakby ci smakowało.

Zaśmiała się. Szczerze.

- Tu Soweris z ekipą z Dużych Dwójek. Mamy dwa moździerze, które chyba jeszcze dadzą radę strzelać. Dajcie nam trzy minuty.

- Kimmel...

- Czarowski z dwoma czołgami, grzejemy silniki.

- Oweklas...

- Sanaka...

- Pers...

Radio trzeszczało kolejnymi nazwiskami, a ona patrzyła na czarną, matową maskę Zawiszy. Po chwili niemal niezauważalnie skinął głową.

Gdzieś wokół nich skoczki zaczęły schodzić do lądowania.

- Ruszamy za sto dwadzieścia sekund - rzuciła do mikrofonu i wyłączyła nadawanie.

Automat podniósł żółto-czarny walec ładunku i zarzucił go sobie na plecy. Zakonnica wyciągnęła z martwych rąk karabin i sprawdziła stan magazynka. Teraz było to takie proste.

- Uda się? - Nie wytrzymała.

- Nie wiem, sostro. Niczego nie wiem, poza jednym.

- Tak.
  - Ty i ja... jeszcze się spotkamy. Pod innym słońcem i na innej wojnie.
  - Może. Lecz to nie będziemy my. My jesteśmy tu i teraz, rycerzu.
- Gdzieś przed nimi rozjazgotały się szybkostrzelne karabiny.  
Ruszyli.



# Michał Cetnarowski

## ŚMIERĆ SUPERBOHATERA

Po raz pierwszy Superman poszedł wczoraj do pracy.

- Clark, zrozum - długo wieczorem tłumaczyła Lois. - Nie jesteś już taki młody jak kiedyś. Pobawiłeś się trochę, kilka razy uratowałeś świat, nikt ci tego nie odmawia. Patrz, jak długo mogłeś mieć marzenia – znasz jeszcze kogoś, kto miałby je tak długo? Kogoś, kto żyłby tak, jak chce?

Superman pomyślał o Wonder Woman, ale roztropnie nic nie powiedział. To nie był dobry temat do rozmowy z Lois.

- Ale ten czas się skończył. Popatrz na to obiektywnie. No, kochanie... Nie rób takiej miny. - Lois wstała zza stołu i jak zwykle, kiedy spuszczał głowę, podeszła do niego i przytuliła go do swojej miękkiej piersi. Jej głos był bardzo czuły i słodki. Naprawdę się przejmowała. - Przecież ta chwila musiała kiedyś nadejść, chyba nie zamierzałeś przebierać się w ten kostium do końca życia? Clark... No już, no, spójrz mi w oczy. Przecież o tym rozmawialiśmy. Tak będzie dla ciebie najlepiej. Wiesz o tym, prawda? Co, Clark? Powiedz mi, czy ty też się z tym zgadzasz?

Podniósł wreszcie wzrok i pokiwał niepewnie głową. Lois, z pocieszającym uśmiechem, wróciła na miejsce i dopaliła pozostawionego w popielniczce papierosa. Tej nocy kochali się w milczeniu i więcej na ten temat nie rozmawiali.

Zanim następnego dnia dotarł do biura, wstąpił jeszcze do fryzjera. Kazał się ostrzyć, na krótko, żeby te cholerne loki nie przesłaniały mu monitora. Spytał też fryzjera, czy można coś zrobić z siwizną na skroniach, ale jak skończyli, uznał to za niepotrzebne. Gdy wychodził, do kosza na ulicy wyrzucił jeszcze fałszywe okulary w cienkiej drucianej oprawie. Czuł się dziwnie, kiedy wiatr owiewał mu ostrzyżoną na krótko głowę, jakby nagle nagą. Popatrzył na dłoń i zdziwił się, zobaczywszy pogięte oprawki i pokruszone odłamki szkła, które nie zdążyły spaść i przylgnęły do skóry (oczywiście jej nie przecięły, co to, to nie). Nie poczuł, że ścisnął je tak mocno. Będę musiał uważać, pomyślał i pokręcił głową.

W pracy pilnował się, żeby nie liczyć szybciej od komputera i wklepywać wyniki w słupki dopiero wtedy, gdy pojawią się na monitorze. Kilka razy przejechał dłonią po włosach, ale kiedy zamiast gęstych loków kolejny raz poczuł prawie nagą czaszkę, przestało mu to sprawiać przyjemność, zaprzestał więc i tego. Słyszał liczby, wyszeptywane przez jakiś obcy głos w słuchawkach koleżanki z sąsiedniego boksu. (Głos należał do mężczyzny pomiędzy czterdziestym trzecim a czterdziestym szóstym rokiem życia, rasy białej, z nadczynnością tarczycy, utykającego na lewą nogę, co Superman oczywiście rozpoznał od razu, ale o tym też starał się nie myśleć). Pilnował się, żeby podczas wyjść dziewczyny do toalety, ukradkiem nie poprawić wprowadzonych przez nią danych. Nie wstał nawet i nie pomógł się podnieść portierowi, kiedy ten potknął się obok baniaka z wodą i rozrzucił ciężkie teczki z dokumentami. Pilnował się i pod wieczór, przez moment, był nawet z siebie zadowolony. Wracając do domu, zastanawiał się, czy nie skorzystać z komunikacji miejskiej, wybrał jednak spacer. Już nie czuł zimnych smagnień wiatru na krótko ogolonej czaszce, przyzwyczał się.

- Oooo, mój misiaciek jest zmęczony... - Lois szybko zagasila niedopałek i przygarnęła go czule do piersi, kiedy tylko odłożył teczkę i ściągnął płaszcz. Była z niego naprawdę dumna. -

Nio, cio powie misiaciek swojej misiulińce...? Jak minął dzień w pjacy? Było ciężko? Oooo... - Naprawdę się starała i był jej za to wdzięczny. Nawet pochwaliła jego nową fryzurę, choć, jak przyznała z zakłopotaniem, ze śmiechem, wolała go jednak, gdy miał dłuższe włosy.

Superman dał się odprowadzić do stołu, usiadł i pozwolił, żeby wymasowała mu kark. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś miażdżył go w uścisku Doomsday, i pierwszy raz tego dnia uśmiechnął się do siebie, ale zaraz też przypomniał sobie, żeby się pilnować, tak więc odgonił natrętą myśl. Lois skończyła masaż.

- Niech mój misiulek pójdzie się teraz wykapać, a kiedy skończy, jego misiulinka będzie miała dla niego prezencik... - Znikła za drzwiami sypialni i zaraz pojawiła się w nich znowu, tylko na chwilę, zalotnie migając przezroczystym peniuarem.

Superman wziął prysznic i ubrał się w piżamę. Stojąc przed zaparowanym lustrem, starał się nie patrzeć na swoje nowe odbicie i nie wpatrywać w bułowate mięśnie, które zakrył dopiero luźny materiał piżamy. Kiedy wyszedł, Lois nie było w kuchni. Zagotował wodę (wzrokiem, ten jeden raz), nasypał do szklanki kilka liści herbaty. Zieloną, taką, jaką lubi, dobrą na trawienie. Pamiętał o Lois, ale jeśli nie napił się herbaty, w nocy długo nie mógł zasnąć. Teraz trzeba było poczekać, aż się zaparzy. Żeby się ochłodzić i dotlenić przed snem, jak zawsze wieczorem, postanowił jeszcze wyjść na balkon.

Zamknął cicho przeszkłone drzwi i ostrożnie wysunął stopy z kapci. Lubił czuć zimny chropawy beton, kiedy tak stał, a chłodne powietrze wpływało mu do płuc. Pod sobą miał pomarańczowe światła miasta. Po ulicach, bezgłośnie (choć oczywiście słyszał wszystko) przejeżdżały taksówki i przechodzili ostatni spóźnialscy. Obok, w pustej plastikowej doniczce, leżały świeże pudełko papierosów i zapalniczka. Podobnie jak Lois uczył się palić, ale jeszcze mu nie wychodziło. Dziś też nie miał na to ochoty. Podniósł głowę i popatrzył w gwiazdy.

Przypomniawszy sobie, jak kiedyś, wygnany z Ziemi, podróżował tam, pomiędzy światami. Napełnione powietrzem płuca próbowały w kosmicznej próżni rozerwać żelazną klatkę piersiową, ale mięśnie trzymały jak kamień, taka różnica ciśnień to była dla nich igraszka. Kiedy przelatował przez górne warstwy atmosfery mijanych planet i na chwilę zatrzymywał się, żeby popatrzeć na mijane globy, na gałkach ocznych zamarzał mu szron ze ściętego powietrza, a on zaraz wyrównywał lot i kolejnymi spokojnymi mrugnięciami zeskrobywał osad. Przypomniawszy sobie, jak wylądował na planecie króla Aquarius, gdzie niebo i morza były karminowe, mieniły się różnymi odcieniami czerwieni (woda od drobnego planktonu, unoszącego się na falach). I jak później wracał do domu, i jak go zobaczył – a raczej Go, Ją: Ziemię, niebiesko-biało-rudą, przeciętą linią terminatora.

Czasem, kiedy tak stawał, myślał, żeby jednak złamać dane słowo i wyskoczyć, zobaczyć, co porabiają dawni znajomi. Flash, Zielona Latarnia, Bizarro, Braniac, Red Tornado, Hawkman, Aquaman, Golden Guardian... Z tego co wiedział, Flash radził sobie całkiem nieźle. Znalazł pracę jako komiwojażer, sprzedawał szczotki do butów i nie narzekał, wciąż w drodze, od miasta do miasta. A inni? Green Arrow? Batman?

Bruce był ponoć niedawno w mieście i Superman pomyślał, żeby może go zaprosić na kolację, ale Lois delikatnie wybiła mu to z głowy. „Clark, Bruce to pener, tylko popatrz”, szczerze go żałowała. „Sam przyznaj, ciągle jak dziecko. Czy on nigdy nie dorośnie? Tak, jak żyje, tylko coraz bardziej się stacza. To przykre, ja wiem, kiedyś byliście blisko. Ale życie płynie dalej. Jeśliby przyszedł – bo oczywiście możesz go zaprosić, jeśli chcesz, naprawdę

chcesz – tylko by ci przypominał o twoim dawnym życiu. Tylko by bolało. A trzeba patrzeć w przyszłość”. A zresztą nieważne, wreszcie go przekonała i machnął ręką, Bruce i tak pewnie by nie przyszedł. Ale inni? Kiedy tak stał i starał się nie patrzeć w gwiazdy, zastanawiał się, co teraz robią, ale nie skakał.

Wcześniej, zanim jeszcze dał Lois słowo, lubił zrzucić pidżamę i kiedy wszyscy w bloku poszli spać (czekał niecierpliwie, aż usłyszy te miarowe oddechy), wzbic się nagle w niebo, nago, lecieć tak wysoko, aż woda z prysznicza zeszkli się na ciele, zetnie cienką powłoką, zamarźnie, i przez chwilę błyszczy jak – tak bliskie, na wyciągnięcie ręki – gwiazdy. Teraz stał spokojnie na zimnym betonie i czekał, aż ciało ochłonie po gorącej kąpieli.

Myślał o śmierci, o tej prawdziwej, teraz prawdziwej, kiedy już stał się człowiekiem. Zastanawiał się, czy to rzeczywiście podróż i jak to będzie wyglądało. Wcześniej też umierał, nawet kilka razy, ale to nigdy nie było naprawdę. Tylko jakby zasypiał i budził się, nic się nie kończyło i nie zaczynało. Jimmy Olsen pstrykał te same fotki, zarówno gdy umierał, jak i wstawał z martwych, przyjaciele radośnie poklepywali go po plecach, po tym jak wreszcie wracał. A on cieszył się, odwzajemniał uśmiechy i czuł, jak przyjemnie się żyje, jakie to dobre, ten podarty kostium, to niebo, te flesze, ta trawa. A teraz?

Czy, jak opowiadają, będzie chwila bólu (to pęka serce), a potem zobaczy świetlisty tunel, i dłonie na końcu tunelu? Czy teraz wreszcie nim pójdzie, zostawi wszystko za sobą, a za świetlistymi drzwiami będzie wieczne słońce i niebiańskie, nigdy niewiędnące drzewa? A może będzie tam kamienny most, rozpięty nad jeziorem ognia, na którego końcu, za wszystkie kłamstwa, te przez całe życie, będzie już na niego czekał Szatan? Lubił tak o tym myśleć. Brał się wtedy z nim za bary, zrywał z siebie cienką bawełnianą koszulę, wzbijał w ciemność, ponad płomieniami, i jeszcze raz stawał naprzeciw Zła, z zaciśniętą kwadratową szczęką mocował z samym Demonem, Diabłem nad Diabłami (po skórze pełgały niewielkie płomienie, a do oczu strzelały czarne iskry, kiedy Diabeł, sapiąc z wysiłku, zgrzytał zębami, lecz on tylko potrząsał głową i nie zwracał na to uwagi). Tym razem ratował siebie, nie świat, ale i tak była to świetna sprawa. I była prawdziwa walka, na życie i śmierć (prawdziwą śmierć), walka o wieczność i o to, gdzie i jak dane mu będzie ją spędzić. Nigdy nie pozwalał sobie na wyobrażanie wyniku tej bitwy, to nieprofesjonalne, trzeba być skoncentrowanym. Ale nie musiał, już to mu wystarczało.

Przejechał dłonią po czaszce (już kiedyś widział takie głowy, może na jakimś filmie, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie), odetchnął po raz ostatni chłodnym powietrzem i wsunął stopy w kaptcie. Herbata pewnie się zaparzyła. Musiał wracać.

\*\*\*

The logo for Bevitore, featuring the brand name in a white serif font centered within a solid dark red rectangular background.

# Spis treści

[KRET I KRÓL](#)

[TROJAŃSKI SPLIN](#)

[BARBARZYŃCY](#)

[ITER IN SARMATIAM](#)

[DUCH ZEMSTY](#)

[DRZYPAPA](#)

[DŁUŻNICY](#)

[MOJE USTA MILCZĄCE, MOJE DŁONIE RDZAWE](#)

[MIASTO PONAD I POD](#)

[JESZCZE JEDEN BOHATER](#)

[ŚMIERĆ SUPERBOHATERA](#)